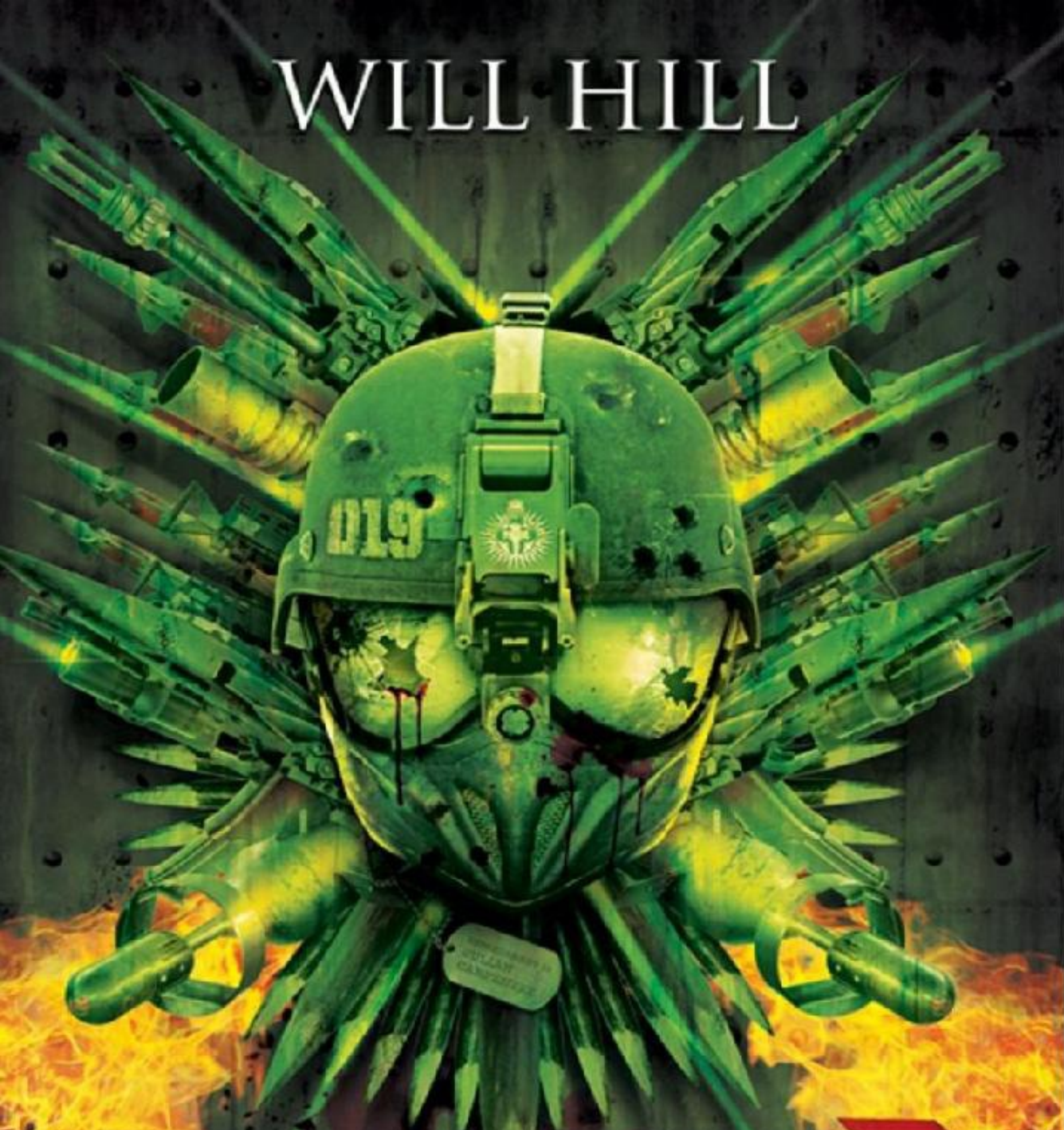


WILL HILL



DEPARTMENT 19
W OGNIU WALKI

NASZA KSIĘGARNIA

Will Hill

**Departament 19.
W ogniu walki**

Przełożyła Edyta Skrobiszewska

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

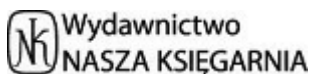
Tytuł oryginału Department 19. *Battle Lines*

Text copyright © Will Hill 2013
© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014
Copyright for the Polish translation by Edyta
Skrobiszewska, Warszawa 2014

Jacket illustration by Bose Collins
Logo images © Shutterstock.com
Jacket design layout © HarperCollinsPublishers Ltd
2013

Redaktor prowadzący Anna Słowik
Opieka redakcyjna Joanna Kończak
Redakcja Anna Brynkus-Weber
Korekta Ewa Mościcka, Katarzyna Nowak
Korekta plików po konwersji Irmina Garlej

ISBN 978-83-10-12813-3



www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[ZAWIADOMIENIE](#)

[PROLOG](#)

[PIĘĆDZIESIĄT DWA DNI DO GODZINY ZERO](#)

[NASTĘPNE POKOLENIE](#)

[LAZARUS W NOWEJ ODSŁONIE](#)

[BRAK WIADOMOŚCI](#)

[PUSTYNIA NIE POWINNA BYC MIEJSCEM DLA WAMPIRA](#)

[CZAS LECZY RANY](#)

[CYWILIZOWANI LUDZIE](#)

[PŁYŃ LUB TOŃ](#)

[ZAGINIONY HARKER](#)

[SZOK NOWOŚCI](#)

[ROZMOWA](#)

[CZAS WRACAĆ DO DOMU](#)

[GOTOWI DO DZIAŁANIA](#)

[PORTALE SPOŁECZNOŚCIOWE](#)

[DZIEWCZYNY KONTRA CHŁOPAKI](#)

[PIĘĆDZIESIĄT JEDEN DNI DO GODZINY ZERO](#)

[JEDEN Z NASZYCH](#)

[TAJNE ZNACZY TAJNE](#)

[DAWNE PORACHUNKI](#)

[NAJWAŻNIEJSZY POSIŁEK DNIA](#)

[WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZĘŚĆ 1](#)

[SEN SPRAWIEDLIWEGO](#)

[WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZĘŚĆ 2](#)

[NA SZLAKU UMARŁYCH](#)

[PRAWDA LUB KONSEKWENCJE](#)

[WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZĘŚĆ 3](#)

ZZA GROBU

ZA BLISKO DOMU

ZBYT DŁUGO W UŚPIENIU

TAM, GDZIE ZABOLI

ZAGŁUSZANIE

WSTEPNE WNIOSKI

„DO NOWEJ ZBRODNI PCHAJĄ ZŁOŚCI DAWNE”

PIĘĆDZIESIĄT DNI DO GODZINY ZERO

ZACIEŚNIAJĄC SIĘ

ZABAWA Z OGNIEM

SUMA NASZYCH CZĘŚCI

SCHODZĄC POD ZIEMIĘ

MIASTO GRZECHU

...WISI NA WŁOSKU

ŁĄCZĄC KROPKI

GŁÓWNY PODEJRZANY

WYBRUKOWANE DOBRYMI CHEĆCIAMI

POMRUKI NIEZADOWOLENIA

OJCOWIE .DLA. PRAWDY

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ DNI DO GODZINY ZERO

MRO CZNY HORYZONT

TRZEJ MUSZKIETEROWIE

OSTATNIE WYDANIE

NIGDY NIE PADA...

CZAS NA NIKOGO NIE CZEKA

ZA KOTARĄ

ELEMENTY UKŁADANKI

DEADLINE

...LEJE

BEZ NAMYSŁU

WYRUSZAJĄC ODRZUTOWCEM

WINNI

WSTRZYMAĆ PIERWSZĄ STRONĘ

DBAMY O SWOICH

PROSTO Z DRUKU

TEN STATEK JUŻ ODPLYNĄŁ

CO MOGŁO PRZEPAŚĆ

POWROT DO DOMU

DWA DNI PÓŹNIEJ

SEKCJA ZWŁOK

EPILOG PIERWSZY:

EPILOG DRUGI:

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ DNI DO GODZINY ZERO

*Dla Sarah, która wiedziała, jacy są pisarze,
ale jej to nie odstraszyło*

Na ziemi z dala jedno widać światło,
Drżące, ludzkie, żalosne światło,
Utrzymane mimo panującej nocy,
Zdaje mi się, że przez tamtych ludzi,
Z nieboską wręcz, brutalną rozpaczą.

ROBERT FROST

Zdaje się, że odpływamy w nieznane miejsca i ku nieznanym drogom; do świata mroku i okropnych spraw.

JONATHAN HARKER

ZAWIADOMIENIE

Od: Biuro Dyrektora Połączonego Komitetu Wywiadu
Temat: Poprawiona klasyfikacja departamentów
rządu brytyjskiego

Klauzula: ŚCIŚLE TAJNE

Departament 1	Kancelaria Prezesa Rady Ministrów
Departament 2	Urząd Rady Ministrów
Departament 3	Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
Departament 4	Ministerstwo Spraw Zagranicznych
Departament 5	Ministerstwo Obrony
Departament 6	Armia Brytyjska
Departament 7	Królewska Marynarka Wojenna
Departament 8	Służba Dyplomatyczna Jej Królewskiej Mości
Departament 9	Ministerstwo Finansów Jej Królewskiej Mości
Departament 10	Wydział Transportu
Departament 11	Biuro Prokuratora Generalnego
Departament 12	Ministerstwo Sprawiedliwości
Departament 13	Wywiad Wojskowy, Sekcja 5 (WW5)
Departament 14	Tajna Służba Wywiadowcza (TSW)
Departament 15	Królewskie Siły Powietrzne
Departament 16	Urząd do spraw Irlandii Północnej
Departament 17	Urząd do spraw Szkocji
Departament 18	Urząd do spraw Walii
Departament 19	POUFNE
Departament 20	Policja Państwowa
Departament 21	Ministerstwo Zdrowia
Departament 22	Rządowa Centrala Łączności (RCL)
Departament 23	Połączony Komitet Wywiadu (PKW)

PROLOG

CROWTHORNE, BERKSHIRE

W miasteczku Crowthorne jest syrena alarmowa.

To kopia przeciwlotniczej syreny z czasów drugiej wojny światowej. Jest jaskrawoczerwona i umiejscowiona na szczycie masztu dwa metry nad ziemią.

Alarm połączono podziemną siecią kabli ze szpitalem Broadmoor, rozległym kompleksem budynków z czerwonej cegły, zbudowanym nieopodal wioski, domem dla prawie trzystu najbardziej niebezpiecznych, zwichrowanych obywateli Wielkiej Brytanii.

Zaprojektowano go tak, by zaalarmować każdego w odległości czterdziestu kilometrów i poinformować go, że doszło do ucieczki ze szpitala. W ostatnich pięćdziesięciu latach rozległ się jedynie pięć razy.

Ben Dawson spał od czterdziestu pięciu minut, kiedy alarm zaczął wyć. Zerwał się ze swojego snu o spaniu, jednego z tych długich, głębokich i trudnych do przerwania, które nie zdarzały mu się często przez ostatnie sześć tygodni, czyli od narodzin Isli. Poczul, że żona też unosi głowę z poduszki.

- Z dzieckiem wszystko w porządku? - mruknęła.

- To nie Isla - odparł. - To alarm.

- Syrena?

- Cholerny alarm z Broadmoor - rzucił poirytowany. Dźwięk był ogłuszający - dwutonowe wycie, które sprawiało, że w piersi narastał mu gniew.

- Która jest godzina? - spytała Maggie, z trudem otwierając powieki i patrząc na męża.

Ben włączył lampkę, zmrużył oczy, kiedy światło zalało pokój, i spojrzął na zegar.

- Za kwadrans czwarta - jęknął.

„To nie w porządku - pomyślał. - To po prostu nie w porządku”.

Potem usłyszał inny dźwięk, pomiędzy kolejnymi alarmami syreny. Wysoki, pełen determinacji płacz dobiegający z pokoju ponad ich sypialnią. Ben zaklął i usiadł.

- Zostań - rzekła Maggie, podnosząc się. - Moja kolej. Ben wsunął stopy w trampki i wciągnął sweter przez głowę.

- Idź do Isli. Ja wyjdę na zewnątrz i sprawdzę, czy ktoś jeszcze się obudził.

- Dobrze - odparła Maggie, potykając się w drzwiach, na wpół zaspana. Jej mchy były całkiem automatyczne, typowe dla świeżo upieczonych rodziców na całym świecie.

Ben usłyszał jej kroki na schodach i to, jak uspokaja ich córkę.

Nie bał się, słysząc dźwięk syreny. Kilka razy jeździł do szpitala, widział ogrodzenie pod napięciem, dyżurkę przy bramie i solidne budynki. Nie obawiał się, że ktoś mógłby stamtąd uciec. Oczywiście przez lata prób było kilka. Na przykład ucieczka Johna Straffena w 1952 roku. Facet uciekł przez płot podczas obowiązkowego sprzątnia podwórka i zabił młodą dziewczynę z Farley Hill. To właśnie dlatego pojawiła się syrena. Ostatni raz komukolwiek udało się uciec prawie dwadzieścia lat temu. Od tamtego czasu wzmocniono środki bezpieczeństwa i ochronę. A jednak idąc ku frontowym drzwiom, Ben czuł narastającą frustrację. Dziecko i tak już się obudziło, więc kogo obchodzą środki bezpieczeństwa?

Ostatnich sześć tygodni w niczym nie przypominało tego, co opisywały książki o rodzicielstwie ani o czym mówili ich przyjaciele. Oczekiwał, że będzie zmęczony, zgryźliwy i

zestresowany, ale nic nie mogło przygotować go na to, jak naprawdę się czuł.

Był fizycznie wyczerpany.

Isla była piękna i kiedy na nią patrzył, czuł coś, czego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczył. To zgadzało się ze wszystkim, o czym pisano, jak z zadowoleniem zauważył. Ale mała płakała, głośno i bez końca. On i Maggie chodzili do niej na zmianę, podgrzewali butelki, klepali po pleckach, żeby jej się odbiło, albo po prostu kołysali w ramionach. Wreszcie zamykała oczy, a oni kładli ją ostrożnie do łóżeczka i szli na palcach do swojego łóżka. Jeśli mieli szczęście, mogli przespać pełne dwie godziny, zanim mała znów zaczęła płakać.

Ben otworzył frontowe drzwi. Nocne powietrze było ciepłe, a syrena - o wiele głośniejsza tu, na zewnątrz. Wyszedł na wąską brukowaną ulicę i zobaczył światła w oknach domów sąsiadów. Zapalił papierosa. Trzymał jedną paczkę na wypadek nagłych sytuacji, takich jak ta, kiedy budzi się trzeci raz przed czwartą rano. Drzwi domów sąsiadów zaczęły się otwierać i na zewnątrz pojawiły się pierwsze blade postacie w piżamach i szlafrokach.

- Co, u licha, się dzieje? - zażądała wyjaśnień jedna z osób. Był to duży, potężnie zbudowany mężczyzna z łysym plackiem na czubku głowy. - Dlaczego nikt tego nie wyłączy?

Charlie Walsh mieszkał obok Bena i Maggie. Ben spojrzał na niego, gdy ten podszedł, ale szybko znów skierował wzrok na wzgórze za wioską. Potężna sylwetka budynku szpitala była widoczna jako czarny kształt na tle słabego żółtego światła.

- Chyba się nie da - odrzekł. - Jestem niemal pewien, że można ją wyłączyć jedynie ze szpitala.

- Więc może ktoś powinien tam pójść i sprawdzić, co się dzieje?

- Może - odparł Ben.

- Dobra - rzucił Charlie. - Idę z tobą.

Ben spojrział na sąsiada. Jedyne, czego chciał, to pójść do domu, schować głowę pod poduszkę i czekać, aż ten piekielny hałas ucichnie. Ale to już nie było możliwe.

- Dobra - mruknął i ruszył energicznym krokiem do domu po kluczyki do auta. Leżały na stoliku w przedpokoju.

Minutę później mężczyźni gnali przez centrum Crowthorne w srebrnym rangę roverze Bena i kierowali się w stronę szpitala.

Siedzący za biurkiem na komendzie policji miasteczka Crowthorne Andy Myers próbował usłyszeć głos w słuchawce. Syrena alarmowa robiła wszystko, by mu to uniemożliwić.

Komendzie w Crowthorne policja Thames Valley nadała taki status, że w praktyce oznaczało to, że wszyscy pracują tu jako wolontariusze. Grupa składała się z dwunastu osób, w większości emerytów, na zmianę zajmujących się niewielką liczbą spraw, z którymi przychodzili do nich miejscowi. Były wśród nich drobne wykroczenia, takie jak grafficiarstwo i wandalizm, a także poważniejsze, na przykład wypadki komunikacyjne. Na komendzie nie odbywano całodobowych dyżurów, ale jeden z ochotników był zawsze pod telefonem. Dzisiaj Andy Myers wyciągnął krótką słomkę.

Kiedy zawyła syrena, wstał z łóżka i jęcząc, starał się rozciągnąć. Każde z sześćdziesięciu ośmiu przeżytych lat bardzo mu w tej chwili ciążyło. Miejsce w łóżku obok niego było puste i zimne - jego żona Glenda zajmowała je przez ponad trzydzieści lat, zanim poprzedniego lata przegrała z nowotworem. Od tamtej pory Andy, który pracował w domach maklerskich w City, szukał nowych sposobów na wypełnienie pustki w swoim życiu. Wolontariat na komendzie również do nich należał. Innymi były zasiadanie w radzie lokalnego klubu rotariańskiego, członkostwo w stowarzyszeniu Village Green i sprawowanie funkcji sekretarza w Klubie Krykietowym

Crowthorne.

Ubrał się szybko i w ciągu pięciu minut dotarł na posterunek. Nie spieszył się, ponieważ podobnie jak Ben Dawson nie wierzył, że ktoś mógłby uciec ze szpitala. Ale na wypadek, gdyby rozległa się syrena, istniały protokoły postępowania, a Andy Myers wierzył w przestrzeganie odgórnych zaleceń.

Wszedł na parking, krzywiąc się z powodu rozdzierającego hałasu syreny, stojącej za budynkiem. Był to zwykły dom zaadaptowany na posterunek. Stał na końcu ulicy, wieńcząc rząd podobnych do siebie parterowych domów. Andy otworzył drzwi i wszedł do środka, opadł na wytarte skórzane krzesło przy biurku, sięgnął po słuchawkę i wybrał numer.

Oficjalne zalecenie postępowania na wypadek ucieczki pensjonariusza Broadmoor zawierało jedynie dwa punkty. Po pierwsze, miejscowe szkoły miały zatrzymać dzieci w środku i pod stałą opieką aż do chwili, kiedy przyjadą po nie rodzice. Po drugie, miały zostać zorganizowane blokady drogowe w promieniu piętnastu kilometrów od szpitala. Komenda w Crowthorne miała jeden radiowóz, starego forda focusa stojącego na parkingu. Andy musiał więc zatelefonować do Wydziału Ciężkich Przestępstw w Reading i poprosić o instrukcje.

- Sir, proszę powtórzyć! - starał się przekrzywić syrenę. - Co mam zrobić?!

- Pojedź tam! - wrzasnął funkcjonariusz po drugiej stronie linii. - Jedź i zobacz, co tam się, u diabła, dzieje! Wysyłam jednostki, które zorganizują blokady drogowe! Jeśli to fałszywy alarm, odwołamy je!

- Co mówią ci ze szpitala?! - krzyknął Andy.

- Nie odpowiadają - rzekł inspektor. - Sądzymy, że system im się zawiesił albo ogłuchli, albo stało się coś równie cudownego. Pojedź tam, porozmawiaj z dyżurną pielęgniarką i złóż raport przez radio. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Przyjęto?

- Tak, sir! - zawołał Andy Myers i odłożył słuchawkę.

Zaklął siarczyście. Kiedyś, gdy tak robił, Glenda szerzej otwierała oczy i patrzyła na niego ostrzegawczo. Teraz złapał kluczyki do forda, wiszące na haczyku nad biurkiem. Potem zamknął posterunek, wsiadł do auta i wyjechał z parkingu. Gdy dotarł do obrzeży Crowthorne, włączył światła i syrenę na dachu, chociaż w tym hałasie i tak nikt by jej nie usłyszał. Docisnął gaz i pokierował forda tą samą drogą, którą niecałe pięć minut wcześniej jechał rangę rover Bena Dawsona.

Charlie Walsh bawił się radiem, przerzucając z jednej stacji na kolejną, aż Ben rzucił mu ostre spojrzenie. Wtedy całkiem wyłączył odbiornik. W zupełnej ciszy wjeżdżali na wzgórze, które dominowało nad okolicą. Obaj mężczyźni patrzyli na światła widoczne z kompleksu szpitalnego. Wreszcie pokonali ostatni zakręt i ich oczom ukazał się Broadmoor.

Otwarto go w 1863 roku. Wówczas nazywał się Szpital Psychiatryczny dla Kryminalistów w Broadmoor. Już dawno zmieniono tę nazwę. Uznano ją za obraźliwą. W dzisiejszych czasach szpital rozrósł się do rozmiarów małej wioski. Wokół pojawiły się liczne betonowe budowle, stały przyczepy, komórki i zasłonięte przejścia. Ale główne budynki, te, w których przebywali pacjenci i w których poddawano ich kuracjom, były takie same jak sto pięćdziesiąt lat wcześniej - przysadziste gotyckie budowle z pomarańczowoczerwonej cegły i z szarymi dachówkami zdradzającymi ich funkcję. Wszystko w wyglądzie tych budynków wołało: „Więzienie!”.

Kiedy zbliżyli się do ogrodzenia, Ben zwolnił. Wysoka na co najmniej siedem metrów siatka zwieńczona drutem i pod napięciem wyznaczała granicę wokół szpitala. Za nią znajdowały się wysokie ceglane mury, drzwi zamykane na amen i kraty w oknach. Do tego teren patrolowali strażnicy. Każdy z tych elementów miał informować potencjalnych

intruzów: „Nie zbliżajcie się”. Jeśli zignorowałyby ostrzeżenie, czekałaby ich bardzo niemiła niespodzianka.

Brama stała otworem.

Przesuwana, podzielona na środku i zasilana przez zautomatyzowany system, którym zarządzano ze stróżówki. Na bramie umieszczono niewielką skrzynkę, a w niej telefon, którego jednak rzadko używano. Niewiele osób przyjeżdżało do Broadmoor bez zapowiedzi.

Ben wjechał za bramę.

- To mi się nie podoba - stwierdził Charlie Walsh. - Powinniśmy zawrócić. Niech policja się tym zajmie.

- Już tu jesteśmy - odparł Ben. - Równie dobrze możemy się rozejrzeć.

Za ogrodzeniem pod napięciem droga prowadziła lekko w górę, do głównego wejścia. Wjazd przypominał średniowieczną warownię - były tu dwie wieżyczki, po jednej z każdej strony, a wyżej wisiał, wyglądający na bardzo ciężki, zegar zdobiony czernią i złotem. Zewnętrzne budynki szpitala rozciągały się za wjazdem po obu stronach i łączyły się z wieżami strażniczymi na wewnętrznym murze. Brama sprawiała wrażenie niemożliwej do sforsowania.

Chyba że stała otworem tak jak teraz.

Ben jechał powoli dalej, czując coraz większy niepokój. Bramy Broadmoor nigdy nie stały otwarte. Gdyby chodziło o usterkę lub awarię systemu zasilania, nigdy nie mogliby wjechać tak daleko niezatrzymani przez strażników. To, że obie bramy były otwarte, nie mieściło się w głowie. Ben zauważył coś jeszcze. Nacisnął przycisk na klamce drzwi i opuścił szybę. Poczul napływające do auta ciepłe powietrze i nasłuchiwał.

Syrena nadal wyla w miasteczku jak oszalała. Ale poza jej dźwiękiem, w przerwach między kolejnymi sygnałami panowała cisza.

Zwykle szpital tętnił życiem, zawsze coś się tu działo, zawsze

panowały ruch i hałas, nawet o tak wczesnej godzinie jak teraz. Powinni słyszeć odgłosy kroków, szczekanie stróżujących psów, rozmowy pracowników nocnych zmian...

Ale nie słyszeli niczego.

- Czego nasłuchujesz?! - krzyknął Charlie Walsh, starając się wygrać z syreną. - Słyszysz coś?

- Nic! - zawołał Ben. - Zero.

Zamknął okno i lekko nacisnął pedał gazu. Auto wjechało przez bramę i minęło dwa punkty ochrony - drobne budki, takie jak te, które stoją na autostradach i w których uiszcza się opłaty za przejazd. Ben spojrzał na jedną z nich. Była pusta. Ani śladu jakiegokolwiek ruchu, chociaż na tylnej ścianie dostrzegł jakiś cień. Jakby wylano na nią puszkę farby.

- Jak jest po twojej stronie? - spytał. - Widzisz tam kogoś?

- Nikogo - odparł Charlie i Ben po raz pierwszy usłyszał lęk w głosie sąsiada. - Tutaj nikogo nie ma. Gdzie oni wszyscy, u licha, są?

- Nie wiem.

W ciszy wjechali na dziedziniec. Z obu stron stały nowoczesne dobudówki administracyjne, ale głównym budynkiem pozostawał ten z ciemnopomarańczowych cegieł. Do zdobionych frontowych drzwi prowadziły szerokie schody. To na nich Ben dostrzegł coś dziwnego.

Gwałtownie wcisnął hamulce, sprawiając, że Charliem Walshem porządnie szarpnęło, i aż krzyknął z zaskoczenia.

- Co, do diabła?!

- Cicho - przerwał mu Ben. Włączył długie światła i oświetlił dziedziniec.

Na schodach leżał mężczyzna w białej szpitalnej koszuli, poplamionej czymś szkarłatnym.

- Boże... - szepnął Charlie. - Boże, Ben, nie chcę tutaj być. Wynośmy się.

Ben nie odpowiedział. Nachylał się do przedniej szyby i próbował spojrzeć w górę. Sam nie wiedział, co spodziewał się

tam zobaczyć. Strzeliło mu w karku, ale coś dostrzegł.

Na czwartym piętrze, dokładnie nad miejscem, gdzie leżał mężczyzna, było okno. Ale brakowało w nim szyby.

- Wyskoczył - szepnął Ben. - Widać odłamki szkła. Wyskoczył.

Walsh także się nachylił, ale miał zbyt szerokie ramiona i szyję, żeby zobaczyć to, na co wskazywał Ben. Opadł na siedzenie, ciężko oddychając.

- Ben, on nie żyje - powiedział słabym głosem. - Nie możemy dla niego nic zrobić. Jedźmy do domu. Zawiadomimy policję, a oni przyślą tu karetkę. Proszę cię, Ben. Jedźmy stąd.

- Ale dlaczego on tu leży? - zastanawiał się Ben na głos. - Dlaczego nikt nie próbował mu pomóc? Gdzie są pielęgniarki?

- Nie wiem! - Charlie tracił zimną krew. - Chcę jechać do domu, Ben. Chcę jechać do domu, natychmiast!

Ben spojrzał na sąsiada. Mężczyzna wyglądał tak, jakby zaraz miał wpaść w panikę. Oddychał szybko, a oczy otworzył szeroko ze zdumienia. Miał rację. Nic nie mogli zrobić dla tego nieszczęśnika - kałuża krwi pod jego ciałem wydawała się ogromna. Ale coś się tutaj nie zgadzało. Nie chodziło jedynie o otwarte bramy. Było zbyt cicho i zbyt pusto. Jeden z pacjentów leżał martwy na dziedzińcu i wyglądało na to, że nikt tego nie zauważył.

Odpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi. Charlie jęknął.

- Co ty wyrabiasz?! - krzyknął.

Syrena w miasteczku wciąż wyla niemiłosiernie.

Ben go zignorował. Wysiadł z auta jak w transie. Jego umysł starał się ogarnąć to, co widział. Miał wrażenie, że to układanka, której rozwiązanie jest w zasięgu wzroku, ale jeszcze niedostępne. Jakby z oddali usłyszał, że otworzyły się drzwi od strony pasażera i Charlie Walsh wysiadł. Nerwowo przestępował z nogi na nogę.

- Wracaj do auta! - zawołał. - Proszę cię!

Prośba w jego głosie przywróciła Bena do rzeczywistości. Machnął głową, jakby chciał coś odpędzić i oczyścić myśli.

- Dobra! - krzyknął i zobaczył ulgę na twarzy towarzysza. - Wybacz, stary. Jedziemy.

Wsiadł za kółko i już miał zamknąć drzwi, gdy nieboszczyk podniósł się i na nich spojrział.

Był to mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Jego koszula wyglądała, jakby ktoś umaczał ją w czerwonej farbie, a lewe ramię zwisało pod nienaturalnym kątem. Jednak na twarzy pacjent miał szeroki, głodny uśmiech, a oczy lśniły kolorem lawy.

Charlie Walsh pisnął, przyciskając dłonie do deski rozdzielczej, jakby próbował się odepchnąć jak najdalej od tego koszmaru, który miał przed oczami. Ben mógł jedynie patrzeć z szeroko otwartymi oczami, nie rozumiejąc, co właściwie widzi. I nagle skąpana we krwi postać skoczyła na maskę rangę rovera i przebiła pięścią przednią szybę.

Ben otrząsnął się z paraliżu, a Walsh ponownie krzyknął. Hałas syreny wdarł się do auta przez zbitą szybę, ogłuszając ich obu. Mężczyzna z czerwonymi oczami znów wbił ramię w okno, rozdierając skórę na cienkie wstążeczki. Krew chlusnęła w powietrze, kiedy jego dłoń minęła szyję Bena i skierowała się ku twarzy Walsh. Mężczyzna wrzeszczał tak głośno, że przekrzykiwał wycie syreny, ale Ben nie rozróżniał słów wychodzących z jego ust, które pluły krwią tworzącą na szybach czerwone wzory. Nieznajomy starał się dosięgnąć obu ludzi siedzących w środku.

Potem jego zimne palce zacisnęły się na dolnej wardze Charliego. Z pierwotnym okrzykiem triumfu szkarłatny potwór oderwał ją z twarzy Walsh z dźwiękiem przypominającym drący się papier. Krew trysnęła z rany, plamiąc deskę rozdzielczą i szybę. Krzyk Walsh stał się jeszcze głośniejszy.

Ben wrzucił wsteczny bieg i docisnął gaz do dechy. Walsh

rzuciło do przodu. Przez przerażający ułamek sekundy dłoń pacjenta zacisnęła się na jego szyi. Siła przyspieszenia rzuciła jednak mężczyznę do tyłu tak, że z impetem spadł na wyłożony kamieniami dziedziniec. Natychmiast znów się poderwał, skąpany w światłach wycofującego się auta. Ben spojrział przez ramię i zobaczył, że szybko zbliża się do bramy. Nie miał czasu na korektę kursu, mógł mieć jedynie nadzieję, że od chwili, gdy wjechali na dziedziniec, nie obrócił kierownicy.

Usłyszał zgrzyt metalu, kiedy rover minął budkę strażnika. Gdy auto ocierało się o mur, od strony pasażera sypnął snop iskier. Charlie Walsh na zmianę płakał i krzyczał. Miał minę człowieka pragnącego się obudzić z koszmarne snu. Podskoczył na siedzeniu i niemal wpadł na Bena, który bez ceregieli go od siebie odepchnął. Wtedy zgrzyt metalu ucichł - byli za bramą. Ben gwałtownie zahamował i obrócił kierownicę. Spod opon wydobywały się dym i pisk, lecz już po chwili duży wóz skierował się w stronę drogi, którą kilka minut wcześniej przyjechał. Za nimi rozległ się łomot. Ruszając z miejsca, Ben spojrział w tylne lusterko. Docisnął gaz do dechy.

Zakrwawiony pacjent, który urwał jego sąsiadowi dolną wargę, wbiegł rozpedzony w tył rovera. Na tylnej szybie pojawiły się plamy świeżej krwi. Gdy auto ruszyło, Ben zauważył, że mężczyzna leży na ziemi. Wyglądało na to, że sam się znokautował. Ale gdy tak na niego patrzył, kątem oka dostrzegł coś, co niemal przyprawilo go o zawał.

Na dziedzińcu pojawiały się ciemne kształty, szybko przemieszczające się w kierunku bramy. Ben ponownie nacisnął przełącznik i otworzył okno. Pośród hałasu syreny słyszał tłuczone szyby i niskie warczenie, jakie wydają stada dzikich zwierząt. Wyjeżdżając przez zewnętrzną bramę, wciąż patrzył w tylne lusterko. W rezultacie nie dostrzegł czerwono-niebieskiej poświaty wylaniającej się z ostrego zakrętu

przed nimi.

Andy Myers zacisnął zęby i dodał gazu. Dźwięk syreny alarmowej był ogłuszający nawet wewnątrz auta. Drzwi i okna starego forda nie były już tak szczelne jak kilka lat temu. Hałas wydawał się na tyle potężny, że równie dobrze szyby mogłyby być opuszczone. Mężczyzna chciał się dowiedzieć od dyżurnej pielęgniarki, co się dzieje, przekazać to wyżej i wrócić do łóżka. W południe mieli rozegrać mecz krykieta; wiedział już, że wielu członków drużyny nie będzie po takiej nocy w dobrej formie.

Lekko wszedł w ostatni zakręt przed szpitalem. Wtedy oślepiło go jaskrawe światło i miał zaledwie chwilę na ustalenie, co to jest, zanim rangę rover zderzył się z nim czołowo.

- Uważaj! - krzyknął niewyraźnie z powodu swojej dolnej wargi Charlie Walsh.

Ben oderwał wzrok od lusterka, świadomy, że coś jest przed nim. Wówczas czerwono-niebieska poświata rozświetliła przednią szybę, rozległ się szcęk metalu i wszystko pochłonęła ciemność.

Gdy Ben się ocknął, wokół panował chaos. Otworzył oczy i miał wrażenie, że głowa pęknie mu z bólu. Syrena nadal wyła, zagłuszając wszystko wokół. Powoli odwrócił się i spojrzał na Charliego Walsha.

Sąsiad wisiał podtrzymywany przez pas bezpieczeństwa z głową w dole i zamkniętymi oczami. Twarz miał pokrytą krwią, a na czole już zaczęła się pojawiać opuchlizna. Ben dostrzegł na ustach Charliego pęcherzyk powietrza. Potem

drugi i trzeci. „Żyje - pomyślał. - Dzięki Bogu”.

Spojrzał na siebie i zalała go fala ulgi. Nadwozie jego dużego auta wytrzymało. Za pedałami było spore wgłębienie. Silnik został dociśnięty do wewnątrz, ale nie przebił metalu. Gdyby tak się stało, zgniótłby dolną połowę ciała Bena na miazgę. Benowi leciała krew z nosa i widział w desce rozdzielczej wgniecenie po uderzeniu. W głowie mu dudniło i nie mógł zebrać myśli. Starał się, ale wszystko mu umykało. Rozwiewało się niczym dym na wodzie. Drżącą ręką otworzył drzwi. Chciał wysiąść, ale uderzenie bólu, które promieniowało z jego lewej kostki na całe ciało, na chwilę go unieruchomiło. Krzyknął. Popatrzył w dół i dostrzegł, że jego stopa jest obrócona o niemal dziewięćdziesiąt stopni w bok. Był to tak dziwny widok, tak okropny, że mężczyzna zwymiotował na kolana. Nie mógł się powstrzymać.

Wyjął telefon komórkowy z kieszeni i wybrał numer Maggie. Wiedział, że powinien zadzwonić na policję, ale z jakiegoś powodu miał opory. Coś się stało przed tym wypadkiem, chociaż nie był pewien co. Czy było tu inne auto? Czy w kogoś uderzył? Trzymając aparat przy uchu, wyjrzał przez pękniętą przednią szybę. Wokół znajdowały się rozrzucone skrawki metalu. Nachylił się, bo miał wrażenie, że jego auto jest wyższe niż zazwyczaj, że droga wygląda inaczej. Pod przednimi kołami rovera dostrzegł zgnieciony płat metalu. Patrzył na niego jakby nieobecny wzrokiem, lecz po chwili, kiedy spojrzał na resztki czerwono-niebieskich świateł, wszystko wróciło.

Szpital, mężczyzna, warga Charliego, policja, samochód i...
Zamarł.

„Boże, pozostali pacjenci. Pękające szkło. Są za mną”.

Syrena alarmowa nie przestawała wycić. Usłyszał w słuchawce głos Maggie. Krzyczała, chciała wiedzieć, czy ją słyszy. Ale nie potrafił zmusić ust do mówienia. Jeszcze raz spojrzał w tylne lusterko i dostrzegł schodzący ze wzgórza czerwony blask,

tworzony przez setki par połyskujących złowrogo szkarłatnych oczu.

- Uciekaj - wydusił. - Weź Isłę i uciekaj.

PIĘCDZIESIĄT DWA DNI DO GODZINY ZERO

NASTĘPNE POKOLENIE

Jamie Carpenter był tak skupiony na scenie walki rozgrywającej się przed jego oczami, że dopiero przy trzecim piknięciu konsoli zauważył, że dostał wiadomość.

- Pięć minut przerwy! - zawołał, wyciągając metalowy prostokąt z za paska. Usłyszał dwa jednoczesne jęknięcia ulgi. Wcisnął CZYTAJ na ekranie dotykowym i zobaczył krótką wiadomość.

NS303, 67-J/NARADA/ODPR/TERAZ

Była prosta, ale Jamie wciąż czuł smutek. To był rozkaz nieróżniący się od tych, które otrzymał do tej pory. Miał się stawić na odprawie podobnej do tuzinów innych, w jakich uczestniczył w ciągu tych miesięcy od swojego przybycia do Pętli, tajnej bazy, będącej sercem Departamentu 19. Ale ten rozkaz wysłano tylko jemu. Jego numer operacyjny widniał na ekranie czarno na białym. Prawie wszystkie wcześniejsze rozkazy wysyłano z prefiksem G-17 - numerem grupy operacyjnej, którą dowodził jeszcze przed miesiącem, złożonej z niego samego, Larissy Kinley i Kate Randall.

Grupę rozwiązano w wyniku ataku Valeriego Rusmanova na bazę. Ich wspólne doświadczenia miały pomóc Departamentowi podnieść się po tym ataku i się odbudować. Był to jeden z pierwszych rozkazów pełniącego funkcję dyrektora Cala Holmwooda. Jamie rozumiał tę decyzję, ale i tak miał wrażenie, że ich trójka została ukarana za bycie

dobrymi w tym, co robią. Holmwood zapewnił ich, że tak nie jest, a to, jak się czuli, nie miało znaczenia. Otrzymali rozkazy i je wypełnią.

-Sir?

Głos był drżący, więc Jamie podniósł wzrok znad konsoli. Siedział na ławce na Placu Zabaw - w szerokiej, okrągłej sali na poziomie F, gdzie na twardej, lśniącej podłodze pośród potu i krwi szkolono kilka pokoleń agentów. Od jakichś piętnastu lat sala była królestwem Terry'ego, wysokiego instruktora o szerokiej klatce piersiowej, który stał na środku ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Ale to nie on się odezwał. Głos należał do Johna Mortona, który padł na podłogę i patrzył na Jamiego szeroko otwartymi oczami.

Morton oddychał z trudem i krwawił z kilku ran, najpoważniej z dolnej wargi, którą rozcięła pięść instruktora. Siedział na podłodze po turecku, z dłońmi opartymi na kolanach i tak blady, że Jamie obawiał się, że zaraz zwymiotuje. Krew z wargi sączyła się równomiernie, tworząc kałużę między jego nogami.

- Nic, czym musiałbyś się martwić - odparł Jamie. - Muszę iść na chwilę na górę.

- Wszystko w porządku, sir? - spytał drugi głos.

Jamie obrócił się i spojrzał na mówiącego. Obok Mortona siedziała ciemnowłosa kobieta, Lizzy Ellison. Była niemal tak blada jak Morton i także krwawiła. Miała rozcięty łuk brwiowy, ale krew sączyła się też z jej ust. Niemniej głos miała mocny i spokojny.

- Tak - odpowiedział Jamie, uśmiechając się lekko do obojga.

- Przynajmniej o ile mi wiadomo. Terry?

- Tak, sir? - odezwał się wołany. Potężny mężczyzna wykorzystał chwilową przerwę w treningu i pozwolił sobie na chwilę zadumy. Gdy spojrzał na Jamiego Carpentera, na jego ustach pojawił się pełen dumy uśmiech.

Wydawało się, jakby ledwie wczoraj ten chłopak wszedł na

Plac Zabaw. Był chuderlawy i kompletnie zdezorientowany, ale miał w sobie całe pokłady determinacji, które Terry od razu dostrzegł. Był mistrzem w odczytywaniu ludzi. Otrząsnął się ze swych myśli, zdławił uśmiech i odpowiedział świetnemu, zabójczemu agentowi, którym stał się ten chłopiec.

- Walka wręcz - powiedział Jamie. - Jeszcze raz.

Morton i Ellison jęknęli. Popatrzyli najpierw na Jamiego, potem na siebie nawzajem, a wreszcie na okazałą sylwetkę instruktora.

- Tak jest, sir - odparł Terry i obrócił się w kierunku dwóch rekrutów z pełnym oczekiwania uśmiechem na twarzy.

Jamie szedł korytarzem do windy, która miała go zabrać do sali odpraw.

Na myśl o bezwzględnym programie treningowym, któremu Terry poddawał Mortona i Ellison, poczuł wyrzuty sumienia. Walka wręcz była brutalna i wyczerpująca. Takiego zmęczenia nie zapomni pewnie aż do ostatnich chwil swego życia. Ale szybko odsunął od siebie to uczucie. Rekruci musieli zostać złamani i stworzeni na nowo. Tak jest i zawsze tak było. Rozumiał, że koniec końców dwaj nowi członkowie jego grupy operacyjnej tylko na tym skorzystają. Będą gotowi na konfrontację ze światem, w którym przemoc i niebezpieczeństwo, jakiego sobie nie wyobrażali, czyhają za każdym rogiem. To wszystko, co Czarny Filtr trzymał w ryzach przez tak długi czas, miało szansę ich przytłoczyć, więc nie można było marnować czasu na urażone uczucia i kilka siniaków.

Jamie wykazywał ostrożny optymizm co do tych dwojga potencjalnych agentów, którzy zostali przydzieleni pod jego skrzydła. Ta sytuacja do tej pory wywoływała na jego twarzy uśmiech rozbawienia. Oboje byli starsi od niego i o wiele

bardziej doświadczeni życiowo. Ale w Pętli nic to nie znaczyło, a Jamie był tu już niemal legendą. Oboje patrzyli na niego z ledwie skrywanym podziwem.

John Morton miał dwadzieścia jeden lat i został osobiście zwerbowany przez majora Paula Turnera. Miał zostać przeniesiony do Pierwszego Batalionu Skoczków i wielu typowało go jako przyszłego kandydata do jednostki SAS - specjalnego oddziału komandosów brytyjskiej armii. Turner usłyszał o nim od dawnych kolegów z Hereford i szybko wkroczył do akcji, by zmienić ścieżkę kariery młodego żołnierza. Niecały dzień później Morton przybył do bazy; towarzyszyły mu takie same uczucia zaskoczenia, zdziwienia i podziwu, jakie malowały się na twarzy Jamiego prawie pół roku wcześniej.

Lizzy Ellison miała dwadzieścia trzy lata. Była o dwa lata starsza od kolegi z treningu i prawie o pięć od Jamiego. Pracowała jako agentka TSW - Tajnej Służby Wywiadowczej znanej wcześniej jako MI6. To, co tam robiła, jest ściśle tajne. Dostęp do jej akt ma tylko dyrektor. Jamie jej o to nie pytał, chociaż wiedział, że nadejdzie chwila, kiedy tak się stanie. Doświadczenie mówiło mu, że sekrety między członkami grupy operacyjnej oznaczają kłopoty. Na razie nie miał nic przeciwko temu, żeby jej przeszłość pozostała tajemnicą. Powód był tylko jeden: Angela Darcy. Piękna i przerażająca agentka, która towarzyszyła Jamiemu podczas desperackiej akcji ratunkowej w Paryżu przed mniej więcej miesiącem. Ona także pracowała dla TSW i w opinii Jamiego była najbardziej śmiertcionośnym i opanowanym drapieżnikiem w ludzkiej skórze, jakiego kiedykolwiek poznał. Angela wiedziała, kim jest Ellison. Nie miał pojęcia skąd, ale tyle mu wystarczyło. Skoro Darcy, która przed wstąpieniem do Czarnej Filtru nie unikała przemocy i kąpania się we krwi, słyszała o Ellison, to lepiej będzie nie naciskać na nową rekrutkę, by ujawniła swoje tajemnice.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Drzwi windy rozsunęły się i Jamie wszedł do środka. Nacisnął guzik zero. Gdy winda zaczęła się unosić, rozmyślał, czego tym razem może chcieć od niego Cal Holmwood.

Często miał wrażenie, że więcej czasu spędza w sali odpraw niż w tej niewielkiej klitce, gdzie od czasu do czasu zdarzyło mu się przespać. Był to owalny pokój znajdujący się w samym centrum jedyne go nadziemnego poziomu bazy. To tutaj omawiano najważniejsze misje i stąd wysyłano grupy operacyjne. W miesiącu następującym po ataku na Pętlę i porwaniu Henry'ego Sewarda, dyrektora Departamentu, to pomieszczenie stało się sercem bazy. Każda z misji zyskała status priorytetowej. Tutaj rzadko otrzymywało się dobre wiadomości.

Jamie oparł się o chłodną metalową ścianę windy i pozwolił myślom dryfować. Jak to często bywało, do głowy od razu przyszli mu przyjaciele. Katastrofalny atak Valeriego i jego armii wampirów na bazę Czarnego Filtru wpłynął na życie wszystkich. Kate wciąż nie pogodziła się ze śmiercią Shauna, młodego agenta, który był jej chłopakiem. W ostatnich dniach podjęła pewną decyzję. Jamie prosił, żeby jeszcze ją przemyślała. Matt Browning zaginął gdzieś w trzewiach bazy i przez całe dni patrzył w monitor komputera. A Larissa, wampirzyca, która stała się najważniejszą osobą w świecie Jamiego, znikła.

Drzwi windy otworzyły się i Jamie wyszedł na korytarz poziomu zero. Przystanął przed drzwiami sali odpraw, odetchnął i wszedł do środka.

Wokół długiego stołu na środku pomieszczenia zebrały się ciemne postacie.

Cal Holmwood stał u szczytu stołu z Jackiem Williamsem u swego boku. Wzdłuż stołu, skupiając uwagę na tymczasowym

dyrektorze, miejsca zajęli Patrick Williams, Dominique Saint-Jacques, Jacob Scott, Andrew Jarvis, Richard Brennan i agentka wydziału łączności Amy Andrews. Przyjęto ją do oddziału specjalnego razem z Dominikiem i Angelą Darcy, która najwyraźniej była nieobecna. Po ataku Valeriego oddział specjalny został powiększony i składał się z agentów z każdego wydziału Departamentu.

Siadając, Jamie dostrzegł, że brakuje też Paula Turnera. Chociaż to go akurat nie zaskoczyło.

- Poruczniku Carpenter - rzekł Cal Holmwood. - Jak idzie szkolenie pańskich rekrutów?

- Całkiem nieźle, sir - odparł Jamie. - Terry uświadamia im, na co się zdecydowali.

Cal Holmwood się uśmiechnął.

- Cieszę się. Za kilka godzin przekonają się o tym na własnej skórze.

Jamie zmarszczył brwi. Kiedyś szkolenie w Czarnym Filtrze trwało trzynaście miesięcy. Oczywiście następowało po wszystkich treningach, śpiewająco zaliczonych przez nowych rekrutów w oddziałach, z których zostali zwerbowani. Teraz sytuacja się zmieniła, okoliczności to uniemożliwiły. Obecnie na Placu Zabaw odbywano kurs przyspieszony, daleki od ideału, ale nie dało się tego uniknąć. Departament poniósł straty, i to ogromne.

Na poziomach mieszkalnych znajdowały się pokoje agentów, którzy nigdy do nich nie powrócą, puste biurka w wydziałach inwigilacji, bezpieczeństwa i wywiadu. Grupy operacyjne traciły jednego swojego członka, dwóch, a w niektórych przypadkach wszystkich trzech. Te puste miejsca, dziury w tkaninie, z jakiej uszyty był Departament, mimo wszystkich mężczyzn i kobiet zwerbowanych właśnie w tym celu, niełatwo będzie wypełnić. Zginęli przyjaciele, koledzy, nawet członkowie rodzin. Żaden złotodziób nie będzie mógł ich zastąpić. Chociaż to prawda, że byli oni najważniejszym

elementem w uzupełnianiu braków kadrowych, obecnie przywrócenie Departamentowi pełni sił stało się priorytetem.

Nie można czekać z odliczaniem do godziny zero, aż będą gotowi.

Niemniej Jamie nie wierzył, że członkowie jego grupy są gotowi. Nie planował brać ich w teren jeszcze przynajmniej przez tydzień.

- Dlaczego, sir? - spytał, patrząc na tymczasowego dyrektora.
- Co się wydarzyło?

Holmwood spojrział na Williamsa. - Jack?

Przyjaciel Jamiego skinął głową.

- Dziękuję, sir - rzekł. - Pod nieobecność oficera bezpieczeństwa zostałem poproszony o zapoznanie was z wydarzeniami ubiegłej nocy.

Wpisał serię poleceń do stojącej przed nim konsoli i wszyscy agenci skierowali uwagę na umieszczony na ścianie monitor. Otworzyło się okno i pojawił ziarnisty obraz z kamery przemysłowej: biegnące postacie w białych koszulach, skaczące sylwetki chwytające wszystko, co się poruszyło, niszczące i miażdżące. Krew tryskała po ścianach i sufitach, a pełne paniki i błagania spojrzenia ofiar i ich szeroko otwarte z przerażenia oczy były wyraźne nawet w tak niskiej rozdzielczości.

- To - zaczął Jack - jest oddział D szpitala Broadmoor, jednego z trzech znajdujących się w naszym kraju szpitali o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa. Umieszczają tutaj niebezpiecznych chorych mężczyzn i chore kobiety z całego kraju. O 1.47 grupa wampirów wdarła się do środka, zabiła wszystkich pracowników i uwolniła wszystkich pacjentów z ich pokoi. Dotąd doszło do konfrontacji z dwudziestoma dziewięcioma z nich. Dwóch zostało aresztowanych. Każdy pacjent został przemieniony.

Wszyscy w sali gwałtownie nabrali powietrza.

- Każdy? - spytał Patrick Williams cicho.

- Tak - odparł jego brat.

- To atak na nas, a nie na pacjentów - orzekł Dominique Saint-Jacques. - Przemienili pacjentów i wypuścili ich, mam rację?

- Na to wygląda - skwitował Jack. - Jednakże nie był to jedyny tego typu incydent wczorajszej nocy. Wampiry zaatakowały więzienia Supermax we Florence w Kolorado, Czarny Delfin w Sol-Ileku, C-Max w Pretorii, Al-Ha'ir w Rijadzie, Centrum Więzienne w Malezji, Ośrodek Korekcyjny Goulburn w Nowej Południowej Walii i Federalny Zakład Penitencjarny w Catanduvras w południowej Brazylii. Na wolności są ponad cztery tysiące najgorszych kryminalistów na świecie. Każdy, którego pojмалиśmy, został przemieniony. To wygląda na celowy międzynarodowy, świetnie skoordynowany atak na departamenty do spraw nadprzyrodzonych na całym świecie.

W sali zapanowała cisza. Agenci starali się przyswoić usłyszane informacje i ogarnąć skalę problemu. Jamie rozejrzał się po twarzach zebranych

- Patrick Williams i Dominique Saint-Jacques patrzyli spokojnie na Jacka. Czuł, jak przepenia go podziw dla tych dwóch osób.

„Nic ich nie rusza - pomyślał. - Zupełnie nic”.

Już miał zwrócić uwagę na Jacka, kiedy kątem oka dostrzegł Jacoba Scotta. Australijski pułkownik utkwiał wzrok w blacie stołu. Był blady jak prześcieradło. Ten wygadany weteran akcji wyglądał tak, jakby miał dostać zawału serca. Tak mocno zaciskał pięści, że pobielaly mu kłykcie.

- To jest teraz priorytet Departamentu - odezwał się Cal Holmwood.

Jamie oderwał wzrok od pułkownika Scotta i skupił się na dyrektorze.

- Jestem pewny, że rozumiecie, jak duże jest prawdopodobieństwo przeniknięcia informacji do opinii

publicznej. Istnieje ogromne niebezpieczeństwo, że cywile stracą życie. Wzywam do bazy grupy, które mamy obecnie w terenie...

- Wszystkie? - wtrącił Jamie. - Nawet te, które szukają admirała Sewarda? I Drakuli?

- Zespół majora Landisa będzie kontynuował poszukiwania admirała - odparł Holmwood, przewiercając Jamiego lodowatym spojrzeniem. - Pozostałe grupy wracają do domu, aż rozwiążemy tę sytuację.

- Drakula zbiera siły - przypomniał Jamie. - Teraz, podczas gdy my tu siedzimy. To on jest naszym priorytetem.

- Tu chodzi o Drakulę - odparł Holmwood. - Jack, zapisz z bramy.

Materiał z kamer przemysłowych znikł. Na ekranie pojawiła się łukowata

brama wjazdowa do Broadmoor. Jamie aż się wzdrygnął. Nad łukiem namazano krwią dwa słowa:

ON POWRACA

- No dobrze. - Jamie nie dawał za wygraną. - Jeśli Drakula i Valeri uwolnili więźniów, to zrobimy dokładnie to, czego oni chcą.

- Dziękujemy, poruczniku Carpenter - odparł Holmwood sucho. - Sami nigdy byśmy na to nie wpadli.

- Więc czemu to robicie? Holmwood spojrzał na Jacka.

- Poruczniku Williams, proszę puścić nagranie z Crowthorne.

Jack skinął głową i kliknął serię przycisków. Na ekranie otworzyło się nowe okno. Ukazywało malowniczą uliczkę w niewielkim miasteczku. Nacisnął ODTWÓRZ i obraz zaczął się poruszać. Widoczny był rząd parterowych domów z wypielegnowanymi ogródkami, czysty chodnik i stojący przy ulicy mały samochód. W przedniej szybie odbijało się światło

latami, pod którą był zaparkowany.

Kilka sekund później coś się zaczęło dziać. Mężczyzna w średnim wieku biegł środkiem ulicy, machając rękami i stukając twardymi podszewkami o asfalt. Po chwili w kadrze pojawił się dmgi mężczyzna. Miał długą szpitalną koszulę, białe stopy i płonące żądzą oczy. Wyglądało na to, że podchodząc do zaparkowanego auta, uśmiechał się.

Wampir się zatrzymał i przez dłuższy moment nic się nie wydarzyło. Mężczyźni zdawali się rozmawiać, stojąc po przeciwnych stronach wozu. Potem wampir sięgnął w dół i bez tndu obrócił auto, które przesunęło się po ulicy, posyłając w górę snop iskier, i rozbiło się na murze jednego z ogrodów.

Zebrani w sali agenci gwałtownie nabrali powietrza. Jamie rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. Wszyscy byli wstrząśnięci. Na ekranie bezbronny mężczyzna stał całkowicie odsłonięty, składając dłonie w bezsensownym błagalnym geście. Wampir zrobił pół kroku naprzód, a potem rzucił się na mężczyznę z taką prędkością, że znikł z ekranu razem z ofiarą.

Jack zatrzymał materiał, ukazujący leżące pod murem zniszczone auto. Tymczasowy dyrektor obrócił się do członków grupy operacyjnej Godzina Zero.

- Wampir na tym filmie został przemieniony nie więcej niż czterdzieści pięć minut wcześniej - oznajmił. - Czy ktoś może mi powiedzieć, co jest nie tak na tym obrazku?

- Chryste - wydukał Patrick Williams. - Był naprawdę silny.

- I szybki - dodał Dominique. - Zbyt szybki.

- Właśnie - przytaknął Holmwood. - Wszystkie zniszczone dotąd wampiry wyróżniały się siłą i szybkością znacznie przekraczającymi to, czego można by się było spodziewać po dopiero co przemienionych osobnikach.

- Dlaczego? - spytała Amy Andrews.

- Nie wiemy. Wydział naukowy bada dwóch więźniów, których udało nam się zatrzymać, ale do tej pory niczego nie

znaleźli. To oczywiste, że w tych wampirach musi znajdować się coś innego. Na wolności hula takich około trzystu. Dlatego to jest nasz priorytet, poruczniku Carpenter, ponieważ główną misją Departamentu jest chronienie cywili przed istotami paranormalnymi. Rozumie pan?

- Tak, sir - odparł Jamie. - Czemu schwytyanych badają w naukowym? Czy nie powinien się tym zająć projekt Lazarus?

Holmwood pokręcił głową.

- Nie chcę ich odrywać od głównej misji. Doktor Cooper jest w kontakcie z profesorem Karlssonem. Jeśli będzie potrzebował ich pomocy, ma uprawnienia, żeby o nią prosić.

- W porządku - skwitował Jamie.

- Doskonale. Czy są jeszcze jakieś pytania?

- Sir, gdzie jest Angela? - spytał Jack Williams. - Powinna tu być.

- Porucznik Darcy i jej zespół są w terenie - odparł Holmwood. - Mieli służbę, kiedy zaczęły nadchodzić pierwsze wezwania. Mają wrócić w ciągu godziny.

Jack przytaknął, ale nie potrafił ukryć swojego niepokoju.

- No dobrze - rzekł Holmwood. - Coś jeszcze? Nie? Zatem...

- A co z Godziną Zero? - zapytał Jamie. - W jaki sposób będziemy chronić cywili, jeśli pozwolimy Drakuli powrócić?

Holmwood posłał Jamiemu lodowate spojrzenie.

- Mężczyźni, którzy uciekli z Broadmoor, zostali odizolowani od społeczeństwa, poruczniku Carpenter. Wielu z nich cierpiało na najcięższe formy chorób psychicznych, liczni przez lata cechowali się niezwykle brutalnością i nieobliczalnością. Wszyscy muszą otrzymywać lekarstwa. Zostali przemienieni w taki sposób, by zyskać niespotykane u tak młodych wampirów siłę i szybkość. W ciągu następnych godzin każdy z nich zacznie odczuwać nienasyconą żądzę krwi. Jeśli ich nie zatrzymamy, możemy nie mieć żadnych cywili do chronienia. Jamie spuścił wzrok.

- Zatem jaki mamy plan, sir? - Patrick Williams miał

spokojny głos.

Cal Holmwood spojrział na agenta.

- Znaleźć i zniszczyć - odparł cicho. - Najszybciej, jak to tylko możliwe. To proste.

Jamie spojrział na obrócone auto na ekranie monitora. „Tak - pomyślał. - Proste”.

LAZARUS W NOWEJ ODSŁONIE

Kiedy Matt Browning otworzył ciężkie drzwi w korytarzu na poziomie F, był przejęty jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek. A jednak mimo wczesnej godziny nie był pierwszym z grupy projektu Lazarus, który stawiał się do pracy. Profesor Karlsson spojrzał na Matta, gdy ten wszedł do sali, uśmiechnął się i skinął głową na powitanie, a potem powrócił do leżącego na biurku tekstu.

„Jest szefem - pomyślał. - Chyba nie powinno mnie to dziwić.

Odbudowa projektu Lazarus po utracie admirała Henry'ego Sewarda została podjęta w pośpiechu. Cal Holmwood pozwolił Mattowi, jedynemu z ekipy, który przeżył, zarekomendować ludzi do projektu. Gdy chłopak pokonał wrodzony lęk i przekonał się, że nie wpadnie w tarapaty, wyrażając swoje zdanie, z radością poczynił kilka sugestii. Pierwszą było to, by Czarny Filtr zrobił wszystko, co w jego mocy, aby przekonać profesora Roberta Karlssona, dyrektora Szwedzkiego Instytutu Badań Genetycznych, aby został nowym szefem projektu. Matt już od jakiegoś czasu znał pracę profesora Karlssona i uważał go za jednego z najinteligentniejszych ludzi na świecie. Specjalizował się on w manipulacjach enzymami replikacyjnymi DNA, co czyniło go idealnym kandydatem do poprowadzenia badań nad lekarstwem na wampiryzm.

Holmwood przytaknął uprzejmie, wyraźnie niewiele rozumiejąc, podziękował Mattowi i go odprawił. Cztery dni

później Karlsson przybył do Pętli z małą walizką i skórzanym workiem pełnym przenośnych dysków twardych. Został przedstawiony Mattowi, wysłuchał z uprzejmością, jak nastolatek rozplęwa się w zachwytach nad jego osobą niczym dziewczynka podczas spotkania ze swoim muzycznym idolem, i zasugerował, żeby wzięli się do pracy.

Dzisiaj był pierwszy dzień działalności nowego, reaktywowanego projektu Lazarus z całym sprzętem i obsadzonymi stanowiskami. Czarny Filtr zrekrutował najlepsze umysły z całego świata, przebudował i powiększył laboratoria oraz nadzorował zainstalowanie najpotężniejszej lokalnej sieci komputerowej w Europie.

Każda minuta, której nie poświęcano na odbudowę i rozbudowę, była przeznaczana na analizowanie danych z dysku twardego odebranego profesorowi Richardowi Talbotowi, poprzedniemu szefowi projektu Lazarus i jednocześnie służącemu Valeriego Rusmanova. Obecnie agencja była coraz pewniejsza, że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Christopher Reynolds. Dysk odzyskano, kiedy Jamie strzelił zdrajcy w głowę, podczas gdy nieprzytomny Matt leżał na podłodze pomiędzy nimi. Reynolds wymordował cały zespół projektu. Już miał zakończyć życie Matta i uciec, kiedy w drogę wszedł mu Jamie. To właśnie przez Reynoldsa ponowne obsadzenie stanowisk w projekcie trwało aż miesiąc. Każdego kandydata sprawdzano tak dokładnie, że graniczyło to z pogwałceniem jakichkolwiek praw człowieka. Departament nie mógł sobie pozwolić na kolejną zdradę.

Reynolds pracował nad DNA wampirów od ponad dekady i wiele danych pozyskał sposobami starymi jak świat, a przy okazji nielegalnymi: sekcjami zwłok, eksperymentami na żywych osobnikach, torturami. Jego praca, szczególnie mapowanie wampirzego genomu i analiza fizycznych efektów wampiryzmu na przemienionym człowieku, okazała się bezcenna dla obecnych badań projektu Lazarus. Bez niej skala

postawionego im zadania byłaby nie do ogarnięcia.

Dzięki badaniom Reynoldsa mieli szansę i punkt wyjścia.

Proces analizy i tworzenia baz danych na podstawie odzyskanych dokumentów już trwał. Każdy nowy członek projektu, który przyjeżdżał do bazy, natychmiast zaczynał pracę. Lecz dzisiejszego poranka miała nastąpić oficjalna inauguracja i Matt doskonale wiedział, że tekst zajmujący teraz profesora Karlssona to przemowa, jaką ma wygłosić. Zostawił szefa samego i skierował się do jednego z biurk pod przeciwległą ścianą pomieszczenia. Zalogował się na bezpieczny serwer projektu Lazarus, otworzył plik z analizą, nad którą pracował jeszcze kilka godzin temu, i zatopił się w skomplikowanej strukturze budowy ludzkiego ciała.

O 7.10 trzydziestu dwóch pracowników projektu Lazarus siedziało już przy swoich biurkach. W powietrzu wyczuwało się napięcie, niemal było słycać delikatny szum wielkich umysłów. Wszystkie skupiały się na jednym celu - celu tak szlachetnym, jak jeszcze żaden w historii badań naukowych. Wzrok Matta powędrował, a działo się dość często, ku ślicznej szczupłej twarzy Natalii Lenski, niemal nadnaturalnie inteligentnej osiemnastoletniej Rosjance, która siedziała pięć biurk od niego. Została zwerbowana przez KOP, rosyjską Komisję Ochronną do spraw Nadnaturalnych, na uniwersytecie w Leningradzie, gdzie robiła doktorat. Dyplom magistra otrzymała cztery lata wcześniej, w wieku czternastu lat. Miała cerę bladą jak syberyjski śnieg i blond włosy, zaledwie dwa tony ciemniejsze. Spojrzała znad monitora i uśmiechnęła się do chłopaka. Matt poczuł, że na policzki wypływa mu rumieniec. Szerzej otworzył oczy i natychmiast ponownie spojrzał załamany na swój monitor.

„O Boże. O Boże. O Boże”.

Powoli, milimetr po milimetrze, odwrócił głowę i spojrzał na nią kątem oka. Ku swemu całkowitemu przerażeniu stwierdził, że Natalia wciąż na niego patrzy z tym samym

uśmiechem na twarzy. Przed kolejnymi niekończącymi się sekundami uratował go profesor Karlsson, który wybrał właśnie tę chwilę, aby wstać, przejść na przód laboratorium i uderzyć dłonią w blat najbliższego biurka. Czar prysł. Każdy mężczyzna i każda kobieta w sali, łącznie z Natalią, skupili uwagę na swoim szefie, który wyraźnie nie czuł się swobodnie, mając na sobie tyle par oczu.

- Dzień dobry - zaczął niepewnym głosem. - Dobrze widzieć nas tu wszystkich razem po raz pierwszy. W rzeczy samej.

Słuchacze mruknęli z aprobatą.

- Panie Browning - kontynuował profesor, patrząc na nastolatka. - Matt. Czy mógłbyś tutaj podejść, proszę?

Współpracownicy Matta spojrzeli na niego z zachęcającymi uśmiechami. Założyli, że rumieńce na jego twarzy to rezultat wyróżnienia przez profesora Karlssona. Gdyby tylko Natalia знаła prawdę... Matt odsunął włosy z czoła i wstał niepewnie. Powoli podszedł i stanął obok szefa, który patrzył na niego z dumą. Matt zaczął się uśmiechać, czując, że rumieniec znika z jego twarzy. Był niezwykle szczęśliwy, miał cel i całe pokłady determinacji.

- Panie i panowie - zaczął ponownie profesor, patrząc na pracowników projektu Lazarus. - Mamy szansę zrobić coś wspaniałego. Możemy uratować tysiące, może nawet miliony ludzkich istnień i zetrzeć z powierzchni ziemi chorobę bardziej śmiertelną niż jakakolwiek inna badana w laboratoriach na całym świecie. Nasz projekt stanowi najdalszą, najdziksza granicę, jaką musi przekroczyć nauka. Każdy z nas powinien być dumny, że dostał szansę, by być częścią tego zespołu.

Karlsson mówił dalej, ale Matt już go nie słuchał. Myślami powrócił do matki i do tego, jaka byłaby dumna, gdyby mogła go teraz widzieć i gdyby wiedziała, czym się zajmuje. Myślał też o minionym miesiącu, który okazał się najszcześniejszy w jego życiu.

Po raz pierwszy czuł, że znalazł swoje miejsce, że stanowi część czegoś większego. To było oszałamiające uczucie dla Matta - chłopca, który większość swojego nastoletniego życia spędził w samotności, wstydząc się samego siebie i nie dając z siebie nic ponad absolutne minimum. Doświadczenie podpowiadało mu, że im więcej siebie pokaże światu, tym większe prawdopodobieństwo, że świat wykorzysta te informacje, żeby go zranić. Ale już tak nie uważał. Tutaj, w tym dziwnym miejscu, pod lasami wschodniej Anglii, odnalazł prawdziwą przyjaźń wykutą pod ogromną presją sytuacji oraz cel, któremu mógłby poświęcić całe swoje życie, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

- A teraz do roboty - zakończył Karlsson i w sali rozległy się brawa, które wytrąciły Matta z transu.

Dołączył do braw na tyle szybko, by być pewnym, że nikt nie zauważył, że odpłynął gdzieś myślami. A kiedy każdy po kolei zaczął wracać do swoich zajęć, do tej misji, dla której wszyscy poświęcili szansę na jakąkolwiek normalność, Matt spojrzał na Natalię Lenski. I chwilę przed tym, jak się od niego odwróciła, dostrzegł na jej białych policzkach delikatne rumieńce.

BRAK WIADOMOŚCI

WAPPIN6, LONDYN TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Kevin McKenna rzucił ostatni z papierosów do stojącej na biurku puszki po piwie i sprawdził godzinę.

Dochodziła 21.30, a on był jedynym członkiem redakcji „The Globe”, który nadal tkwił w pracy. Anglia grała z Portugalią w Oporto i wszyscy inni siedzieli w pubie Dziesięć Dzwonów po drugiej stronie ulicy. Kibicowali, pili i klęli. Albo byli już w drodze do domu, zadowoleni, że mają wymówkę, żeby wyjść z biura o rozsądnej godzinie, nie ryzykując, że ktoś przypnie im łatkę lenia. McKenna chciał być w pubie z kumplami, ale telefon, który odebrał przed godziną, zbyt go zaintrygował, aby mógł to zignorować. Dlatego został w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami i z odłączonym czujnikiem dymu, czekając, aż kurier przyniesie mu paczkę od nieboszczyka.

Telefował adwokat, którego McKenna nie znał. Nie był to żaden z tych, którym od czasu do czasu wsuwał w dłoń wypełnioną banknotami białą kopertę w zamian za kilka minut sam na sam z aktami sprawy kolejnych celebrytów. Mężczyzna był uprzejmy i zapewnił McKennę, że jego kancelaria zajmuje się wykonaniem testamentu zmarłego Johna Bathursta. Nastąpiła długa przerwa, podczas której McKenna miał najwyraźniej wyrazić dozgonną wdzięczność lub bezgraniczny smutek. Lub jedno i drugie. Ale nie wiedział, co powiedzieć. To nazwisko było mu obce.

Kiedy zdał sobie sprawę, o kogo chodzi, zaśmiał się głośno do słuchawki.

W głosie prawnika pobrzmiwała nutka nagany, ale mężczyzna zachował profesjonalizm. Poinformował dziennikarza, że pan Bathurst zapisał mu coś w testamencie, i spytał, czy życzy sobie, aby podesłać mu to dzisiaj kurierem. W każdym innym wypadku McKenna powiedziałby prawnikowi, żeby wysłał paczkę pocztą, i sam zszedłby do pubu. Ale nie tym razem. Podał adwokatowi adres redakcji „The Globe” i zapewnił, że poczeka na kuriera, żeby pokwitować odbiór.

„Jesteś martwy, a wciąż sprawiasz mi problemy - pomyślał, zapalając kolejnego papierosa. - Pan John cholerny Bathurst”.

Nie od razu skojarzył nazwisko człowieka, który umieścił go w swoim testamencie, ponieważ słyszał je wypowiedziane na głos tylko raz, i to też miało swoje uzasadnienie.

Było to prawdziwe nazwisko Johnnyego Supernovy i jego najbaczniej strzeżona tajemnica.

Był czas, że Kevin McKenna splunąłby w twarz każdemu, kto ośmieliłby się zasugerować, że pewnego dnia będzie pisał artykuły o celebrytach drugiego sortu do gazety tak moralnie zepsutej, jaką jest „The Globe”.

Pełna pasji, złości i szczuplejsza wersja jego samego przyjechała do Londynu w 1995 roku w wieku dziewiętnastu lat. W uszach słyszał muzykę kapel gitarowych i house, a w żyłach płynęła mu gorąca krew klasy robotniczej. Miał rozpocząć pracę w legendarnej lewicowej biblii stylu - magazynie „The Gutter”. Wszedł do siedziby na Pentonville Road, gdzie został powitany przez recepcjonistkę piękniejszą od jakiegokolwiek dziewczyny widzianej w ciągu jego dziewiętnastu spędzonych w Manchesterze lat. Recepcjonistka przytrzymała mu drzwi do gabinetu redaktora

naczelnego, a kiedy ją mijają, posłała mu prowokacyjny uśmiech.

Za wielkim biurkiem, zawalonym okładkami i zdjęciami z najnowszego numeru, siedział Jeremy Black. Nosił grafitowy garnitur. McKenna wiedział, że gdyby spytał, dowiedziałby się, że kupiono go u Paula Smitha lub Ozwalda Boatenga. Pod nim miał znoszoną koszulkę beatlesów. Gdy McKenna podszedł do biurka, spojrzał na niego.

- Piwo? - spytał.

- Jasne - odparł chłopak. Nie było jeszcze 11.30, ale nie miał zamiaru wyjść na cieniasa przed nowym szefem.

Black sięgnął w dół i z lodówki, której McKenna nie widział, wyjął dwa piwa. Jedno podał chłopakowi, a potem rozsiadł się w swoim fotelu i założył ręce za głowę.

- Nie chcę cię tu widzieć częściej niż dwa razy w tygodniu, jasne? - rzekł.

- Jeśli jesteś w biurze, to znaczy, że źle wykonujesz swoją robotę. Historie dzieją się poza murami.

- Jasne - odparł McKenna, otwierając piwo i pociągając długi łyk. Miał nadzieję, że wyglądał na rozluźnionego.

- Zostaw kopię w recepcji. Jeśli artykuł będzie dobry, zadzwonię.

- W porządku.

- Jeden z ludzi pokaże ci co i jak. Będzie cię nienawidził i traktował jak śmiecia, ale jest mi winien dziesięć tysięcy słów, za które już mu zapłaciłem, więc ma pecha. Ty prawdopodobnie też.

- Kto to? - spytał McKenna, a na twarzy jego nowego szefa pojawił się uśmiech.

Jeremy Black miał rację - Johnny Supernova traktował go jak śmiecia. Ale McKenna miał to w nosie.

Supernova był legendą, wolnym strzelcem, anarchi-stycznym

geniuszem, który przemierzał nocny Londyn niczym napędzany koksem huragan. Jego pisarstwo odzwierciedlało człowieka, stanowiło doskonałą lawinę pięknie spisanych obelg przeplatanych obrazami, które zawstydzilyby nawet Kaligulę. Były to doniesienia z krwawiących obrzeży kultury masowej, definiujące swoje czasy niemal tak mocno, jak wydarzenia, które opisywały.

Ich autor był mały i żyłasty, o bladej skórze i czarnej czuprynie. Starszy od McKenny - miał prawie czterdzieści lat, może trochę więcej. Cechowały go wąskie oczy i przeszywające spojrzenie oraz osławiony głód alkoholu, narkotyków i cudzołożenia. Przywitał McKennę z wyraźną podejrzliwością, ale pozwolił mu się przyłączyć do swojego stolika w klubie Groucho. Najwyraźniej wówczas miał jeszcze kontakt z rzeczywistością i nie chciał, żeby „The Gutter” pozwał go za niedotrzymanie kontraktu.

W tamtym krótkim okresie, gdy budziła się świadomość kulturalna, Johnny Supernova był królem. Gwiazdy popu, artyści, aktorzy, aktorki i reżyserzy - wszyscy podchodzili do jego stolika i rozplýwali się nad jego osobą. Kevin siadał obok niego każdej nocy w wysokim budynku w Soho i pławił się w chwale swego mentora. Był starszy, sprytniejszy i surowszy niż inni i w rezultacie - uwielbiali go.

Lecz to nie mogło trwać w nieskończoność. I nie trwało.

Narkotyki, alkohol, nieustająca parada dziewczyn i chłopców - wszystko podsycalo nienawiść do samego siebie, która zżerała Supemovę i pchała go do najgorszych ludzkich zachowań. To, co wcześniej bawiło, stało się trudne do obserwowania, kiedy Supernova zaczął się zapadać i tracić kontakt ze śmietanką towarzyską, która niegdyś go ubóstwiała. Jego stolik był coraz częściej pusty, a pióro straciło ostrość i precyzję, którymi niegdyś siekał swoich czytelników. Nadmiar w pewnym momencie zawsze zbierze żniwo. Może to zrobić powoli, stopniowo, niemal

niezauważalnie albo gwałtownie niczym lawina. Johnny'emu Supernovie było pisane to drugie. Jego gwiazda znikła, nim miała szansę się wypalić.

McKenna trzymał się wtedy ostatkiem sił. Szaleństwo przestało być zabawne i stało się pracą. Johnny zdawał się kurczyć na jego oczach, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Pod koniec 2006 roku McKenna przyniósł mu obiad i powiedział, że potrzebuje w życiu odrobiny stabilizacji, dlatego przyjął pracę w „The Globe”.

Spodziewany wybuch nie nastąpił.

Supernova spojrział na niego przekrwionymi oczami, w których czaił się zawód. To było nieskończenie boleśnieszkie.

- Jesteś gorszy od całej reszty - powiedział, patrząc na McKennie w oczy. - Mogłeś być dobry. Mogłeś coś znaczyć. Ale jesteś taką samą szmatą jak reszta.

Nigdy więcej nie rozmawiali.

Telefon ponownie zadzwonił, wrywając go z zadumy. Odpląnął myślami w przeszłość, we wspomnienia o człowieku, o którym prawie zapomniał.

Podniósł słuchawkę.

- Kurier do ciebie - powiedział recepcjonista.

- Wpuść go na górę - odparł McKenna.

Kurier pojawił się po minucie. Kevin podpisał odbiór paczki, podziękował i usiadł przy biurku. Rozerwał papier i folię bąbelkową i zobaczył, co Johnny Supernova mu zostawił: kasetę audio, cienką teczkę i grubą kremową kartkę. McKenna położył kasetę i teczkę na biurku, wziął kartkę i przeczytał krótką wiadomość:

Kevinie,

jeśli w tej czarnej pustce, którą nazywasz duszą, tli się jeszcze isierka przyzwoitości, to powinno Ci pomóc.

Mimo obelgi Kevin nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Czytając te słowa, słyszał je wypowiedane głosem Johnny'ego z jego silnym akcentem z Manchesteru. Supernova zapewne by splunął, jakby poczuł ich gorzki smak. Minęły cztery lata, odkąd McKenna słyszał ten głos i widział mizerną twarz i usta, które je wypowiadały. Supernova zmarł trzy miesiące temu w wyniku przedawkowania heroiny. Nikogo to nie zaskoczyło.

McKenna za bardzo się wstydził, żeby pójść na pogrzeb.

Odłożył notatkę i przez chwilę rozważał odsłuchanie kasety. Uznał jednak, że znalezienie o tej porze magnetofonu będzie go kosztowało zbyt wiele zachodu, więc wziął do ręki teczkę.

W środku znalazł niewielki plik kartek, niemal przezroczystych, z wyblakłym czarnym tuszem, przebijającym na drugą stronę. McKenna uniósł pierwszą z kartek i przeczytał nagłówek.

TRANSKRYPT WYWIAD Z ALBERTEM HARKEREM;
12 CZERWCA 2002

„Niewiele ponad dekadę temu - pomyślał Kevin. - Matko, a wydaje się o wiele więcej”.

W 2002 roku Johnny Supernova miał już najlepsze lata za sobą: wciąż był sławny, wciąż cieszył się naganną opinią, wciąż się liczył. Ale jego czas szybko przemijał, z czego zdawał sobie sprawę. Jego wściekły, bezkompromisowy cynizm sprzedawał się coraz słabiej w cudownej krainie nowej klasy robotniczej. McKenna jeszcze raz przeczytał nagłówek.

„Albert Harker. Pierwsze słyszę”.

Wyjął z dolnej szuflady biurka kolejne piwo, odpalił papierosa od niedopałka poprzedniego i zaczął czytać. Minutę później przerwał, zapominając o piwie. - Chryste... - mruknął.

Pięć minut później filtr po wypalonym papierosie wisiał mu w kąciku ust. Popiół spadł na spodnie. McKenna nawet tego nie zauważył.

PUSTYNIA NIE POWINNA BYC MIEJSCEM DLA WAMPIRA

HRABSTWO LINCOLN, NEVADA, USA
WCZORAJ

Donny Beltran odchylił się na krzesło i wpatrywał się w ciemne pustynne niebo. Nad jego głową wisiały gwiazdy - bezkresny obraz migoczących złotych i srebrnych punktów. Mógłby się w nie wpatrywać godzinami, gdyby Walt nie zawołał, że burgery są gotowe, ściągając go na ziemię i wywołując potężne burczenie w brzuchu.

Donny ciężko podniósł się z krzesła i podszedł do Walta Beauforda, który właśnie przekładał mięso z metalowej kratki na plastikowe talerze obok bułek i saszetek z musztardą i ketchupem. Kiedy kumpel się zbliżył, Walt podał mu kolejne piwo z przenośnej lodówki. Donny odkręcił butelkę i pociągnął solidny łyk. Potem głośno beknął, wytarł usta wierzchem dłoni i uśmiechnął się do przyjaciela. Mężczyźni usiedli i zaczęli jeść. Czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. Był to wynik dwudziestopięcioletniej przyjaźni, która rozpoczęła się na uczelni w Kalifornii i przetrwała nawet zagrażające każdej przyjaźni małżeństwa i narodziny dzieci.

Ale ten weekend był święty.

Była to rocznica pewnego niezwykle surrealistycznego dnia w 1997 roku, kiedy sprzedali pięć procent swoich udziałów pewnej wyszukiwarki internetowej, którą pomogli

sfinansować prywatnej firmie inwestycyjnej, i ze szczerym zdumieniem uświadomili sobie, że zostali milionerami. By to uczcić, pojechali starym vanem Donny'ego do Joshua Tree, gdzie pili whiskey, palili trawę i wspominali. Teraz taki coroczny dwudniowy wyjazd na pustynię stał się tradycją przyjaciół.

Donny pochłonął burgera trzema kęsami. Walt jadł powoli, smakując każdy kęs, i dopiero kończył pierwszego burgera, kiedy jego przyjaciel rzucił się już na trzeciego. Jedli w przyjemnej ciszy, ze wzrokiem skierowanym na zachodnie niebo ponad wzgórzami, które osłaniały Strefę 51 przed ciekawskimi spojrzzeniami. Ich małe radyjko stało na ziemi między nimi. Znaleźli częstotliwość nadawanej z Las Vegas stacji, puszczającej klasycznego rocka; Bruce Springsteen śpiewał właśnie swoją piosenkę *Highway Patrolman*.

Donny skończył ostatniego burgera, poczuł, jak w żołądku burczy mu z zadowolenia, i rozsiadł się wygodniej na krześle. Koniec końców obydwaj zasną w takich pozycjach. Potem jeden z nich się zbudzi i szturchnie drugiego. Przeniosą się do namiotu, gdzie prześpią resztę chłodnej nocy. To była swoista tradycja, którą bardzo lubili.

- Co to? - spytał Walt.

Donny się uśmiechnął. Za pierwszym razem, gdy tu przyjechali, prawie dziesięć lat temu, większość pierwszej nocy spędzili na twierdzeniu, że widzą coś w oddali. Próbowali się wzajemnie nastraszyć. Ale nad sławną Strefą 51 nie widzieli nic poza zwykłymi wojskowymi myśliwcami i helikopterami. Donny nie miał zamiaru dać się wciągnąć w tę grę.

- Nic - odpowiedział, nawet nie obracając głowy. - Tak jak w zeszłym roku nie było nic. Jak zawsze. Nie próbuj starych sztuczek, Walt.

- Mówię poważnie.

Coś w głosie przyjaciela sprawiło, że Donny się obejrzał. Nie

był to lęk ani nawet niepokój. Brzmiało to raczej jak niedowierzanie. Spojrzał w kierunku, który wskazał Walt, gdzieś nad północnym horyzontem.

W oddali po nocnym niebie gładko sunęło czerwone światełko. Było może niecały kilometr od nich. Wyglądało jak główka szpilki, ale szybko gnało przez pustynię, często i gwałtownie zmieniając kierunek. Nagle Donny coś sobie uświadomił. To pędziło w ich stronę.

- Co to, u diabła, ma być? - głowił się.

- Nie mam pojęcia. - Walt utkwiał wzrok w zbliżającym się świetle. - Cokolwiek by to było, jest małe.

- Nie wydaje też dźwięku - dodał Donny. - Nie słysząc silnika.

Dwaj przyjaciele zamilkli. Na autostradzie przemknął samochód, ale z północy, z kierunku, z którego zbliżała się świecąca kropka, nie dochodził żaden dźwięk.

Światło zawirowało i pomknęło po niebie z zadziwiającą prędkością. Przez chwilę przyspieszało w jednym kierunku, zatrzymywało się, chwilę unosiło w miejscu i ruszało w zupełnie inną stronę. Migotało, jakby ktoś je szybko włączał i wyłączał. Potem opadło tak blisko ziemi, że zdawało się po niej sunąć, i wreszcie wystrzeliło w górę. I z każdą chwilą było coraz bliżej obserwujących je mężczyzn.

- To nie może być samolot - powiedział Donny. - Jest za ciche i za szybkie.

- Może to dron? - zasugerował Walt. - Jakiś nowy model?

- Może. - Donny miał wątpliwości.

Prędkość, z jaką światło co rusz zmieniało kierunek, była zbyt duża, a skręty zbyt gwałtowne nawet dla najmniejszego statku powietrznego. Mężczyzna przyglądał się tańczącemu punktowi z fascynacją. Nagle oddech ugrzązł mu w piersi. Światełko przyspieszyło w ich stronę. Opadło ku ziemi i po raz pierwszy Donny coś usłyszał - szelest pustynnego piachu, zupełnie jakby coś sunęło nad nim z niezwykłą prędkością.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie miał szansy.

Świecący czerwony punkt minął obozowisko zaledwie dwa metry nad ich głowami. Grill upadł na ziemię, a namiot zatrzepotał w potężnym podmuchu wiatru, wydając głośnie dudnienie. Podskoczyły talerze, kubki i puste puszkę po piwie. Donny zasłonił oczy, ponieważ czuł, że i on się unosi. Patrzył wciąż na ten fragment nieba, gdzie punkt minął ich z zawrotną prędkością. Stracił równowagę. Usłyszał pęknięcie plastikowego krzesła i zwałił się na ziemię. Walt momentalnie znalazł się przy nim i pomógł mu wstać. Uciszył go, nim Donny zdołał powiedzieć choćby słowo. Mężczyźni stali pośrodku zniszczonego obozowiska, nasłuchując i obserwując niebo w poszukiwaniu czerwonego punktu.

Nigdzie go nie dostrzegli.

Znikł.

- Co to, do diaska, było? - spytał Donny.

- Nie wiem - odparł Walt z oczami lśniącymi z przejęcia. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Nigdy. A ja... - Urwał, wpatrując się w niebo.

- Ty, co? - dopytał Donny. Zaczynał się uśmiechać na myśl o dziwnym zjawisku. Cieszył się, że dzielił to doświadczenie z przyjacielem.

- Wydawało mi się, że coś słyszałem - odparł Walt. - Przez chwilę, kiedy to nas mijało. Coś szalonego.

- Co takiego?

- Śmiech - odparł Walt z zakłopotaniem. - To brzmiało jak śmiech dziewczyny.

Pięćdziesiąt metrów nad ich głowami Larissa Kinley unosiła się w chłodnym powietrzu z uśmiechem wyrażającym niezmaconą radość na pięknej, bladej twarzy.

Okazała lekkomyślność, przelatując tak blisko obozowiska. Z pewnością naruszyła niejedną zasadę, ale miała to w nosie.

Wiedziała, że przy prędkości, z jaką gnała, żaden z mężczyzn jej nie dostrzegł, tak samo jak teraz nie mogliby jej zauważyć, choćby patrzyli wprost na nią. Czarny matowy materiał jej munduru sprawiał, że całkiem znikąca na tle pustynnego nieba. Zresztą żaden z mężczyzn na nią nie patrzył. Toczyli ze sobą pogawędkę, którą słyszała dzięki swojemu superczułemu słuchowi. Przez kilka chwil delektowała się swobodą, z jaką ze sobą rozmawiali, a potem odwróciła się i powoli poleciała w kierunku wyschniętego białego dna jeziora Groom. Larissa uwielbiała pustynię.

Jej rozległość sprawiała, że czuła się mała i wolna. Oczywiście, zakazano jej latać za dnia. Nie mogłaby tego robić nawet wtedy, gdyby nie istniało niebezpieczeństwo, że stanie w płomieniach. Ale kiedy słońce schowało się już za horyzontem, mogła zawładnąć niebem. Taka wolność była czymś bezcennym po trzech miesiącach spędzonych w Departamencie 19, gdzie jej każdy krok podlegał całodobowej inwigilacji i musiała się stosować do dziesiątek zasad i zakazów. Część wynikała z geografii. Pętla była ukryta w jednym z najgęściej zaludnionych krajów na świecie. Tymczasem NS9 umiejscowiono na środku mającego kilkaset kilometrów kwadratowych obszaru, należącego do amerykańskiego rządu, na który żaden z cywili nie miał prawa wstępu. Wszyscy słyszeli o istnieniu Strefy 51, ale nikt nie wiedział, co się tam dzieje. Wojskowi z radością pozwalali krążyć plotkom o UFO. Doskonale odciągały uwagę ludzi od prawdy.

Była na pustyni prawie od trzech tygodni. Kiedy Cal Holmwood powiedział jej, że zostanie na jakiś czas oddelegowana do NS9, założyła, że to kara. Wydało jej się okrutne, że dyrektor, który był świadom tego, co się działo między nią i Jamiem, wysyłał ją na drugi koniec świata. Tę misję mógł powierzyć któremukolwiek z agentów. Jednak teraz zrewidowała swoje poglądy.

Larissa tęskniła za Jamiem, Kate i Mattem. Dzięki przyjaciołom czuła się szczęśliwa, a sam Jamie wprawiał ją niekiedy w niesamowicie błogi nastrój. Ale w Czarnym Filtrze to były często jedyne pozytywne punkty. Była wampirem i jednocześnie członkinią organizacji, której jedynym powodem istnienia jest to, by zniszczyć wampiry. I chociaż od czasu wstąpienia w szeregi agencji nieraz już udowodniła, po czyjej stronie stoi, w bazie wciąż nie brakowało agentów, którzy patrzyli na nią z ledwie skrywaną odrazą. Częściowo dlatego, że pierwsze dni spędziła zamknięta w celi, a częściowo dlatego, że wielu osobom wydawało się, iż naraziła życie matki Jamiego, by osiągnąć własne cele.

Głównym powodem pozostawało jednak to, kim się stała. Otaczały ją wrogość i ciągle podejrzenia i nie zanosilo się na to, by miały w najbliższym czasie zniknąć.

W NS9 zaczęła od nowa. *Tabula rasa*. W Pętli nigdy by tego nie dostała. Tutaj przywitano ją serdecznie. Szybko zdobyła przyjaciół, co szczególnie ją zadziwiło. Przebywała tu z mężczyznami i kobietami, wśród których czuła się normalnie i dzięki którym mogła na chwilę odpocząć od towarzyszącej jej zawsze nienawiści do samej siebie. Unosząc się nad jeziorem Papoose i powoli zbliżając do szeroko otwartych drzwi hangaru bazy, dostrzegła jednego z nowych przyjaciół. Cekał na nią, oświetlony padającym ze środka żółtym światłem. Z łatwością stanęła na ziemi i uśmiechnęła się do Tima Albertssona, który odpowiedział jej tym samym, prezentując idealnie proste amerykańskie zęby.

Ten dobrze zbudowany komandos marynarki został opiekunem Larissy podczas jej pobytu na pustyni. Jego przodkowie pochodzili ze Skandynawii, co zdradzały jasne włosy i niebieskie oczy. Obecnie był członkiem elitarnego programu obejmującego agentów specjalnych.

- Przyjemny lot? - spytał.

- Bardzo - odpowiedziała. - Wręcz piękny. Mam wrażenie, że

mogłabym stąd dostrzec ocean.

- Z twoim wzrokiem? Nie wątpię. Larissa się zaśmiała.

- Możliwe.

- Kolacja? - zaproponował Tim. - Spotykamy się ze wszystkimi w stołówce.

- Teraz nie mogę. Muszę się stawić u dyrektora. Za kilka godzin chcę zadzwonić do domu, ale wpadnę, jeśli będę miała trochę wolnego czasu.

Tim skinął głową.

- Jeśli nie, to pozdrów ode mnie Jamiego - powiedział.

- Dobrze - przytaknęła, wiedząc, że wcale tego nie zrobi.

- Bomba. - Chłopak uśmiechnął się szeroko. - Więc być może do zobaczenia.

- Może - odparła i weszła do hangaru. Czuła, jak mocno wali jej serce.

Larissa czekała, aż drzwi windy się zamkną i ruszy na dół. Wówczas oparła się ciężko o metalową ścianę.

Serce nie chciało zwolnić. Częściowo z powodu Tima, jego przystojnej twarzy, jasnych włosów, wyluzowanego sposobu bycia, opanowania i pewności siebie. Ale przede wszystkim dlatego, że od około tygodnia narastało w niej pewne przekonanie. Wzmagało się, ilekroć miała rozmawiać z Jamiem. Była to jedyna rzecz, o której nie mogła mu powiedzieć, a której on nie chciałby usłyszeć.

Wysiadła z windy na pierwszym poziomie i poleciała korytarzem. W NS9 nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, że może jednak nie powinna tego robić, nie czuła się skrępowana ani zmartwiona, że ktoś spojrzy na nią z pogardą. Wewnątrz bazy, nazywanej przez wszystkich Krainą Marzeń, jedyną emocją, którą prowokowały wampirze umiejętności, była niegroźna koleżeńska zazdrość innych agentów, pragnących podczas akcji mieć jej siłę i szybkość.

Larissa zastukała do drzwi gabinetu dyrektora i poczuła, że się lekko uchylają. Rzadko bywały zamknięte, nie mówiąc już o zamknięciu na klucz, i jeszcze nigdy nie widziała przed nimi strażnika. To był jeden z wielu punktów, w których NS9 różniła się od Czarnego Filtru. Larissa pchnęła drzwi mocniej, wołając jednocześnie generała Allena.

- Wejść - odpowiedział.

Wleciała do środka. Gabinet był kwadratowy. Z boku stało szerokie biurko, a na przeciwległej ścianie wisiał czarny monitor sięgający niemal od podłogi po sufit. W głębi gabinetu na drewnianym stoliku leżała srebrna taca z różnymi butelkami: whiskey, brandy, wódki, ginu. Pod stolikiem znajdowała się mała szara lodówka. Larissa wiedziała, że zawsze jest pełna. Stół stał pomiędzy dwojgiem drzwi, które prowadziły do pokoi generała, a nad nim wisiały różne proporczyki, flagi i chusty w kolorach czerni i złota - memorabilia drużyny futbolowej Akademii Wojskowej West Point.

Larissa spędziła kilka wieczorów w tym przyjemnym, wygodnym gabinecie. Generał Allen był ciepłym, gadatliwym człowiekiem; bardzo lubiła jego towarzystwo. Raczył ją opowieściami o agentach, których poznała podczas swojego pobytu w NS9, i o tych pozostawionych przez nią w Anglii, o niezwykłych przygodach, bohaterstwie, o krwi i śmierci. Ostatnio opowiedział jej historię Henry'ego Sewarda i Juliana Carpentera, dwóch mężczyzn, których darzył ogromną życzliwością. Słuchała uważnie, kiedy opowiadał, jak bardzo ich trójka była zdeterminowana, by zniszczyć każdego wampira chodzącego po świecie. Młodzi i pełni ognia niejednokrotnie walczyli ramie w ramie, ich ścieżki przecinały się przy wielu okazjach i z czasem dwóch Anglików i Amerykanin zostali przyjaciółmi. Chociaż geografia im nie sprzyjała, pozostali ze sobą w bliskich relacjach. Larissa wiedziała, że utrata Henry'ego Sewarda była dla generała

Allena dużym ciosem. Zwłaszcza że od śmierci Juliana Carpentera nie minęły nawet trzy lata.

Ich pierwsza rozmowa przekształciła się w delikatne przesłuchanie na temat tego, czy Departament 19 będzie w stanie odnaleźć Henry'ego Sewarda i sprowadzić go do domu. Larissa odniosła wrażenie, że jedynie protokół powstrzymał generała przed wysłaniem wszystkich agentów NS9 na misję poszukiwawczą do Europy. Przypomniała mu, że Cal Holmwood i Paul Turner to dobrzy ludzie, i zapewniła, że robią wszystko, co w ich mocy. Jej obecność w Nevadzie była dowodem na to, że chcą przywrócić Czarny Filtr do pełni sił najszybciej, jak to możliwe, aby móc skuteczniej szukać zaginionego dyrektora. Najwyraźniej taka odpowiedź usatysfakcjonowała Allena, przynajmniej pozornie.

Larissa podleciała do jednej z dwóch kanap, które zdominowały środek gabinetu. Zostały ustawione pod takim kątem, by można z nich było widzieć to, co znajdowało się na czarnym ekranie. Między nimi stała niska ława. Usiadła i czekała na przyście generała. Liczyła na to, że będzie kontynuował opowieść o tacie Jamiego. Uwielbiała słuchać tych historii. Zaczęła je nawet zapisywać w zeszycie. Po powrocie do domu podaruje go Jamiemu. Miała nadzieję, że to pomoże mu pamiętać ojca takim, jakim był naprawdę.

Jakąś minutę później otworzyły się jedne z drzwi i w gabinecie pojawił się generał Allen. Był dużym mężczyzną, wysokim i szerokim w barach. Nosił się z pewnością siebie, jaka cechuje wojskowego. Miał na sobie białą koszulkę i bojówki. Ręcznikiem usuwał z twarzy resztki pianki do golenia. Zobaczył siedzącą na kanapie wampirzycę i się uśmiechnął.

- Larisso, jak miło cię widzieć. Napijesz się czegoś?

- Poproszę colę light, sir.

Allen wyjął puszkę z lodówki. Sobie wziął piwo. Podał

dziewczyni szklanę z lodem. Podziękowała mu i przelała napój. Generał otworzył piwo i upił spory łyk.

- Tim mówi, że straszysz naszych rekrutów - powiedział. - Ponoć kilku poprosiło o przeniesienie z powrotem do swoich jednostek.

- Boże! - Larissa się zarumieniła. - Przepraszam. Naprawdę nie miałam takiego zamiaru.

- Nie przejmuj się - odparł dyrektor bazy z szerokim uśmiechem. - Wszystkim odmówiono. Otworzyłaś im oczy, tyle. Przejdzie im. A jeśli nie, to znaczy, że nie będziemy mieli z nich żadnego pożytku.

Larissa przytaknęła.

- Prawdopodobnie nie, sir.

- Raporty z twoich misji są znakomite. Wszystkie jednogłośnie.

- Dobrze to słyszeć, sir. Allan skinął głową.

- Rozmawiałaś z Jamiem?

- Od dwóch dni nie, sir. Zamierzam dzisiaj do niego zadzwonić.

- To dobrze. Wciąż zdumiewa mnie to, co zrobił z Alexandru Rusmanovem. Dzieciak w jego wieku? To niewiarygodne.

Larissa czuła dumę.

- On nie uważa, by zrobił coś wielkiego, sir - odparła. - Sądzi, że po prostu spełnił swoje zadanie. Próbowałam mu uzmysłwić, że się myli, ale nie chciał mnie słuchać.

- Oczywiście, że się myli - zawyrokował generał. - Wiesz, jak wielu agentów straciło przez Alexandru życie? Starszych, bardziej doświadczonych od Jamiego? Zbyt wielu, by ich zliczyć, Larisso. Każdy chciał po prostu zrobić to, co musiało zostać zrobione. Ale to Jamie tego dokonał.

Larissa uśmiechnęła się promiennie. Uwielbiała podziw, z jakim po tej stronie Atlantyku o jej chłopaku mówili wszyscy, od żółtodzioba na szkoleniu aż po dowodzącego bazą generała. Jamie był tu traktowany jak legenda - nastolatek, który

zniszczył Alexandru Rusmanova, wziął oddział do kryjówki najstarszego wampira w Paryżu, uratował Victora Frankensteina, zapracował na zaufanie Henry'ego Sewarda i na pełen niechęci, ale jednak szacunek Paula Turnera. Nie czuła zazdrości, kiedy inni ją o niego pytali, lecz miłość i dumę.

- Wiem, sir - rzekła. - Powinien pan to powiedzieć jemu.

- Tak zrobię - odparł generał. - Kiedyś na pewno.

- Doceni te słowa, sir.

- Tęsknisz za nim? Cieszysz się na powrót do domu? Larissa przez chwilę to rozważała. Dwa pytania, dwie różne odpowiedzi.

- Tęsknię za nim - powiedziała. Generał Allen skinął głową.

- Słyszę na twój temat same pochwały - ciągnął. - Tim jest niemal gotów cię adoptować. Na pewno to zauważyłaś.

- Miło to słyszeć, sir.

- Pewnie moglibyśmy to zrobić. - Allen zatrzymał na niej spojrzenie szarych oczu. - Moglibyśmy załatwić ci tu stałe przeniesienie. Co byś powiedziała na taki obrót spraw?

Larissa poczuła nagle podniecenie. Wyobraziła sobie siebie, jak leci ponad wielkimi terenami Krainy Marzeń, jak je i śmieje się z przyjaciółmi w stołówce, jak trenuje rekrutów i pomaga NS9 w operacjach na całym obszarze tego nieznanego jej kraju.

- A co z Jamiem? - spytała. - Czy i jego moglibyście przenieść?

Generał Allen zaśmiał się serdecznie.

- Nic nie sprawiłoby mi większej radości, Larisso. Tego możesz być pewna. Ale sądzę, że szanse na to, by Cal Holmwood do tego dopuścił, są bliskie zeru.

Bob Allen patrzył, jak Larissa zamyka za sobą drzwi. Sięgnął do lodówki i wyjął kolejne piwo. Otwierając je, znów poczuł

wewnętrzny konflikt, który pojawiał się po każdej wizycie dziewczyny. Jego ekscytację rozmowami z wampirzycą na temat nowego pokolenia Czarnego Filtru zagłuszało poczucie winy. Zdradził człowieka, który siedział teraz zamknięty w celi osiem poziomów pod jego stopami. Powiedział Larissie prawdę - pewnego dnia pozna Jamiego Carpentera, a kiedy to się stanie, uściska mu dłoń i mu pogratuluje. To za mało, ale nie ma słów, by oddać sprawiedliwość temu, czego dokonał ten chłopak. Bob Allen nigdy nie pozwoliłby, żeby samotny agent stawiał czoła najniebezpieczniejszemu wampirowi, szczególnie tak niebezpiecznemu jak Alexandru Rusmanov. Wątpił, czy na taką misję puściłby mniej niż pięćdziesięciu swoich najlepszych agentów. A Jamie walczył z nim sam, mając do dyspozycji minimalną ilość broni i zaliczony zaledwie podstawowy trening. I przetrwał.

A jednak pomimo szczerego podziwu Bob Allen obawiał się Jamiego Carpentera. Bał się tego, jak chłopak mógłby zareagować, gdyby któregoś dnia odkrył prawdę - że po obu stronach Atlantyku ludzie, którym powinien móc bezgranicznie ufać, zataili przed nim to, że jego ojciec żyje.

Dyrektor dopił drugie piwo i skierował się do drzwi. Na końcu korytarza znajdowała się winda mająca go zabrać na dół, na poziom więzienny, gdzie mężczyzna, którego opisał Larissie jako swojego najlepszego przyjaciela, czeka na niego samotnie i w ciemności.

CZAS LECZY RANY

Kate Randall otarła łzy i ochlapała twarz wodą. To był pierwszy raz, kiedy się popłakała, od prawie dwóch i pół dnia. To jej nowy osobisty rekord od czasu tamtej nocy przed miesiącem, gdy patrzyła, jak umiera jej chłopak.

Stała w niewielkiej łazience jednego z pokoi należących do WZOB-u - Wewnętrznego Zespołu Oceny Bezpieczeństwa. Pośrodku znajdowała się sala przesłuchań, w której stały ławka ze stalowymi szafkami ze sprzętem monitorującym po bokach, biurko i dwa plastikowe krzesła. Przed wejściem do sali przesłuchań mieściła się mała poczekalnia oddzielona od reszty pomieszczeń wywiadu ciężkimi stalowymi drzwiami. Można je było otworzyć tylko dzięki wstukaniu dziewięciocyfrowego kodu znanego jedynie trzem osobom. Na lewo od poczekalni znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiego pokoju dziennego i kuchni. W cienkiej gipsowej ścianie salonu umiejscowiono kolejne dwie pary drzwi. Jedne kryły małą kwaterę, gdzie sypiał dyrektor WZOB-u, za drugimi była łazienka, w której Kate właśnie przestała płakać.

Rozległo się delikatne pukanie.

- Jedną minutę! - zawołała.

- Wszystko w porządku? - W głosie mężczyzny pobrzmiwała troska.

- Tak - skłamała. - Proszę dać mi chwilę.

- Dobrze - odparł głos. - Jesteśmy gotowi. Proszę się nie spieszyć.

Kate po raz ostatni wytarła oczy.

„Weź się w garść - myślała. - On cię potrzebuje”.

Przez dłuższy moment przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką. Potem nabrała powietrza, przytrzymała je w płucach i wydechając, otworzyła drzwi łazienki. Major Paul Turner stał w małym salonie z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Uśmiechał się do niej. Prawie udało mu się ukryć, że się o nią martwi. Kate dostrzegła to w jego twarzy, kiedy wyszła z łazienki.

- Gotowa? - spytał.

- Gotowa - odparła.

Turner poklepał ją po ramieniu. Przez chwilę trzymał na nim dłoń, lecz szybko ją opuścił. Poprowadził Kate do pokoju przesłuchań.

WZOB został utworzony po ataku Valeriego Rusmanova na bazę. Był odpowiedzią na informacje uzyskane podczas przesłuchania od jego brata Valentina. Nastąpiło ono po jego ucieczce do Czarnego Filtru.

Paul Turner spytał starego wampira, czy ma jakieś informacje na temat istnienia podwójnych agentów wewnątrz Departamentu. Smutny przypadek Thomasa Morrisa, byłego agenta operacyjnego, który ich zdradził, przyłączył się do Alexandru i przyczynił się do śmierci Juliana Carpentera, był uważany za odosobniony. Odpowiedź Valentina rzuciła cień na to założenie. Wampir twierdził, że odkąd w latach dwudziestych Departament się rozrósł, Valeri zawsze ma przynajmniej jednego szpiega w jego szeregach.

Valentin nie mógł niczym poprzeć tego twierdzenia. Nie znał nazwisk, dat, nie wiedział o żadnych oczerniających kogokolwiek dowodach. Wszyscy od razu pomyśleli, że chodziło mu tylko o wywołanie zamętu i nadszarpnięcie zaufania, jakim darzą się agenci. Ale wtedy baza została zaatakowana przez armię wampirów, która przemknęła niezauważona przez czujniki ruchu i laserowe siatki. Podwójne życie profesora Reynoldsa wyszło na jaw. Przez całe

życie był szpiegiem Valeriego Rusmanova. Kiedy Holmwood starał się naprawić to, co zostało, i odbudować Departament, Paul Turner podszedł do niego i po cichu wyjaśnił, że muszą posprzątać w firmie, i to jak najszybciej. Holmwood zgodził się z tym i nakazał Turnerowi, agentowi wydziału bezpieczeństwa, stworzenie zespołu, który przeprowadzi czystki.

- Paul, oni cię za to znienawidzą - uprzedził Holmwood. - Ale masz rację. Trzeba to zrobić. Kiedy będziesz gotów zacząć przesłuchania, daj mi znać. Zaczniemy ode mnie.

Turner się zgodził i stworzył WZOB, pierwszą grupę wewnętrzną w długiej i dumnej historii Czarnego Filtru.

Holmwood miał rację - nienawidzili go za to. Informacja, że tworzy grupę mającą sprawdzać każdego agenta, rozniosła się szybko po bazie i wzbudziła wiele negatywnych emocji. Uznano za okrutne rzucanie podejrzeń na wszystkich agentów, którzy dopiero co walczyli o własne życie i musieli patrzeć, jak giną ich koledzy i przyjaciele. Ci, którzy przeżyli, stwierdzili, że udowodnili już swoją niewinność i lojalność ponad wszelką wątpliwość. Paul Turner rozumiał ich oburzenie, ale się nim nie przejmował. Tajemnicą poliszynela było, dlaczego ma to w nosie. WZOB stał się jego prywatną wojną. Jednym z poległych agentów był dwudziestojednoletni Shaun Turner - jego syn, a zarazem chłopak Kate Randall.

W rezultacie pierwszy tuzin agentów, którym Turner zaproponował stanowiska w wydziale wewnętrznym, odmówił. Za bardzo bali się oficera bezpieczeństwa - jego lodowate spojrzenie mogło zamienić nawet najtwardszego z agentów w trzęsącą się galaretę - aby powiedzieć mu, co naprawdę sądzą o tym projekcie. Ale nie aż tak, by przyjął jego propozycję. Turner nie miał im tego za złe. Po prostu przechodził do kolejnego nazwiska na liście. Potrzebował tylko jednego człowieka, z którym mógłby dzielić to brzemie, kogoś, kto by zaświadczył, że jego działania nie budzą żadnych

wątpliwości. Jeśli zaszłaby taka potrzeba, spytałby każdego agenta w bazie. Gdyby wszyscy odmówili, wróciłby na początek listy i zaczął od nowa. Ale ostatecznie nie okazało się to konieczne.

Kate powiedziała Jamiemu, że zgłosi się na ochotnika do wydziału wewnętrznego, zanim to zrobiła. Nie prosiła go o pozwolenie i wiedziała, co jej odpowie, ale nie chciała, żeby dowiedział się o tym od kogoś innego. Jego odpowiedź była dokładnie taka, jakiej się spodziewała.

- Żartujesz - skwitował. - Po cholere chcesz to zrobić?

- Mam swoje powody - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - Z pewnością domyślasz się jakie.

- Oczywiście, że się domyślam - rzucił. - To jasne. Ale czy to przemyślałaś? Tak naprawdę porządnie? Wszyscy cię znienawidzą, jeśli to zrobisz. Wszyscy.

- Mam to w nosie. Mogą mnie nienawidzić do woli.

Przez kolejne pół godziny próbował ją od tego odwieść, ale kiedy zrozumiał, że to nie ma sensu, zrobił kolejną rzecz, której się po nim spodziewała. Powiedział, że niezależnie od tego, co powiedzą lub pomyślą inni, będzie ją wspierał. Podziękowała mu i przekazała pozdrowienia. Znowu napłynęły jej do oczu łzy, a w gardle pojawiła się gębel.

Larissa i Matt byli wspaniali po śmierci Shauna. Do pewnego stopnia ją rozumieli. Oboje musieli żyć bez osób, które kochali. W przypadku Matta - odbyło się to dobrowolnie. W przypadku Larissy było wynikiem tego, co zrobił jej Grey, stary wampir, który ją przemienił. Oni rozumieli samotność, wiedzieli, co oznacza tęsknota za kimś. Ale nie mogli w pełni pojąć, przez co Kate przechodziła. Jamie był jedynym, który mógł to zrozumieć. Niecałe trzy lata wcześniej patrzył, jak ginie jego tata.

Kate nigdy nie porównałaby swojej straty do jego. Ona była z

Shaunem od kilku miesięcy, a biorąc pod uwagę tryb życia w Czarnym Filtrze, spędzali ze sobą naprawdę mało czasu. Wiedziała, że utrata chłopaka nijak się nie miała do straty ojca, i nigdy nie twierdziła inaczej. Ale oznaczało to, że Jamie rozumiał, z czym się zmagala, z czym musiała się pogodzić, ponieważ to samo gnębiło go przez wiele miesięcy po śmierci Juliana Carpentera - że Shaun odszedł, że wszystko, czym był i czym mógł się stać, zostało w jednej chwili przekreślone. Już nigdy go nie zobaczy, nikt inny też nie. On nie był gdzie indziej, nie dzieliły ich rozkazy ani protokoły.

On nie żył i już nigdy nie wróci.

W oczach Paula Turnera rozbłysła iskierka, kiedy Kate weszła do jego gabinetu i powiedziała, że chce się zgłosić do jego grupy.

Od śmierci Shauna spędzała wiele czasu z dowódcą wydziału bezpieczeństwa. Stanowili dla siebie wsparcie, na co agenci Czarnego Filtru patrzyli ze zdumieniem. Wielu z nich nigdy nie dopuściło do siebie myśli, że Paul Turner w ogóle ma jakieś ludzkie emocje. Kate również z niepokojem odpowiedziała na jego prośbę o spotkanie zaledwie dzień po śmierci Shauna. W przeciwieństwie do Jamiego nigdy nie rozmawiała z nim prywatnie. Nie wstydziła się przyznać, że zwyczajnie się boi. Ale tego okropnego dnia przyjął ją w swoim gabinecie ciepło i serdecznie, czego się po nim nie spodziewała. Zaparzył jej herbatę i zapytał o syna. Opowiedziała mu o swoim chłopaku i w tej chwili poczuli, że mają ze sobą coś wspólnego.

Kate bardzo polubiła majora Turnera i była coraz bardziej pewna, że to uczucie jest odwzajemnione. Podczas ostatniej wizyty napomknął, że kiedy to wszystko się skończy, powinna poznać matkę Shauna. Caroline Turner, siostra Henry'ego Sewarda i żona Paula, która zapewne przeżywa teraz takie

piekło, jakiego Kate nawet nie próbowała sobie wyobrazić, wiele razy wspominała, że chciałyby ją poznać. Kate z radością przyjęła zaproszenie i Turner obiecał, że zorganizują spotkanie, gdy tylko nadejdzie stosowna chwila. Dlatego jej pojawienie się w drzwiach gabinetu nie było zaskoczeniem. Turner zaprosił ją do środka i słuchał uważnie, kiedy wyłuszczała mu powody swojej decyzji.

- Jesteś pewna? - zapytał, gdy skończyła.

-Tak.

- Dziękuję - odparł i ją uściskał.

Wrażenie było tak dziwne, że przez dłuższy czas stała sztywno. Dopiero po chwili uniosła ramiona i także go objęła.

WZOB był gotów do podjęcia działań w niecały tydzień. Pokoje zostały wyposażone, wywiad poinformowano o sytuacji i przeprowadzono wstępne przesłuchania mężczyzn i kobiet, którzy mieli pracować w wydziale, włączając także Kate i Paula Turnera. Mężczyzna nalegał, by zacząć od niego. Na tym etapie wywiad już od ponad miesiąca przeprowadzał najdokładniejsze kontrole w historii brytyjskich służb wywiadowczych. Był to pierwszy rozkaz Turnera wydany zaraz po tym, jak Cal Holmwood zatwierdził WZOB. Kontrola Turnera okazała się wzorcowa. Ale sprawdzanie dokumentów to tylko połowa procesu. Drugą stanowiło przesłuchanie, podczas którego agent siedział podłączony do detektora kłamstw czulszego niż jakikolwiek dostępny cywilom.

Maszyny WZOB-u mierzyły te same zmienne co tradycyjne wariografy: rytm serca, oddech, potliwość i tym podobne. Ale robiły to z nieporównywalną dokładnością. Wyniki były wiarygodne w dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięciu dziesiątych procenta. Z perspektywy matematycznej znajdowały się tak blisko ideału, jak to tylko możliwe. Agenci wywiadu podłączyli Paula do maszyn i kabli. Kate zadawała mu pytania, które wspólnie opracowywali. Zdał śpiewająco, ale przecież nikt nigdy w to nie wątpił. Potem przyszła kolej

na Kate i na ośmiu innych agentów wywiadu wyznaczonych na członków zespołu. Wszyscy zdali. Major Turner wysłał wiadomość do Holmwooda, że są gotowi i zapraszają.

To było wczoraj.

Cał Holmwood również przeszedł test - w jego przypadku także nikogo to nie zaskoczyło - i wydał rozkaz do działania. Aby uniknąć jakichkolwiek oskarżeń o ukryte motywy, wzywali agentów w przypadkowej, wyznaczonej przez komputer kolejności. Pierwszy z nich, porucznik Stephen Marshall, uniósł wzrok, gdy do pokoju przesłuchań weszli Kate i Turner. Maszyna była już podłączona. Na twarzy agenta malowała się lekka pogarda, gdy Kate i Turner usiedli naprzeciwko.

- Poruczniku Marshall - odezwał się Paul Turner. - Zanim zaczniemy, czy potrzebuje pan czegoś?

Mina agenta wyrażała niesmak.

- Zaczynajmy - rzucił.

- Jak pan chce. - Turner spojrział na Kate, która przytaknęła i otworzyła teczkę na pierwszej stronie.

- Przesłuchanie WZOB numer 012 - powiedziała. - Oficer prowadzący: porucznik Kate Randall, NS303, 78-J, w obecności majora Paula Turnera, NS303, 36-A. Proszę podać swoje nazwisko.

- Porucznik Stephen Marshall.

Kate spojrziała na stół. W jego blacie zamontowano niewielki monitor, ustawiony pod takim kątem, by był niewidoczny dla przesłuchiwanego. Widoczne na nim dwa szare kwadraty wyświetlały wyniki dwóch maszyn, brzęczących cicho po obu stronach krzesła porucznika Marshalla. Po milisekundzie obydwie kwadraty zabłyśły na zielono. Przytaknęła.

- Proszę odpowiedzieć niewłaściwie - rzekła Kate. - Proszę określić swoją płęć.

Marshall uśmiechnął się ledwie widocznie.

- Jestem kobietą.

Szare kwadraty zabłysły na czerwono.

- W porządku. Możemy zaczynać. Czy jest pan członkiem Departamentu 19?

- Tak.

Zielone.

- Czy obecnie służy pan w randze porucznika? - Tak.

Zielone.

- Czy ma pan przydział do wydziału inwigilacji rzeczonoego Departamentu?

- Tak.

Zielone.

- Czy rozumie pan, że pana pozycja wymaga pozyskiwania i analizowania danych, które mają status „ściśle tajne” i wyższy?

-Tak.

Zielone.

- Czy kiedykolwiek wykorzystał pan swoją pozycję w celach innych niż ujęte w rozkazach?

Marshall spiął się ze złości.

- Nie - powiedział.

Czerwone.

- Proszę, żebyś dokładnie przemyślał swoją ostatnią odpowiedź - odparł Paul Turner. - Porucznik Randall powtórzy pytanie.

Twarz Marshalla przybrała kolor purpury.

- To jakiś absurd!

- Poruczniku Marshall - zaczęła Kate. - Czy kiedykolwiek wykorzystał pan swoją pozycję w celach innych niż ujęte w rozkazach?

- Tak - rzucił przesłuchiwany. - Przecież już to wiecie. Zielone.

- Proszę wyjaśnić okoliczności, które do tego doprowadziły -

zażądała Kate.

- Moja dziewczyna i ja mieliśmy problemy - powiedział Marshall lodowatym głosem, z czerwoną twarzą. - Dziwnie się zachowywała, miała sekrety i kłamała. Podśluchałem kilka jej rozmów telefonicznych.

Zielone.

- Kiedy do tego doszło? - spytał Turner, przejmując przesłuchanie. Marshall spojrział na Kate wzrokiem pełnym nienawiści, a potem skupił uwagę na majorze.

„Pierwsze przesłuchanie - pomyślała Kate. - Pierwsze, a już mam wroga. Jamie uprzedzał, że będą się za to domagać mojej głowy”.

Nawet nie wiedziała, jak prawdziwe były te słowa.

CYWILIZOWANI LUDZIE

CHATEAU DAUNCEY AKWITANIA, POŁUDNIOWO-ZACHODNIA FRANCJA

- Jeszcze wina? - Głos był spokojny i pobrzmiwał w nim cichy autorytet.

Admirał Henry Seward skinął głową i uniósł kieliszek drżącą dłonią. Służący w nienagannym czarno-białym stroju wieczorowym z lśniąco-czerwioną czerwienią oczami pojawił się za nim i napełnił kielich winem o kolorze tak ciemnym, że zdawał się czarny. Piwniczka w *chateau* zawierała skarby, na widok których niejeden najbardziej doświadczony sommelier otworzyłby oczy ze zdumienia. Przynoszono butelkę za butelką na górę i przelewano do karafki tuż przed kolacją, chociaż nigdy nie było na niej więcej niż trzech osób. Zazwyczaj jednak były dwie.

Tak wyglądało to i dzisiejszego wieczoru.

Henry Seward siedział na końcu długiego stołu, przy którym spokojnie zmieściłoby się dwadzieścia osób. Jego towarzysz zajął miejsce po przeciwnej stronie. Niewielka grupa wampirzych sług spełniała każde jego życzenie z wyrazem nabożnego strachu malującym się na potwornych twarzach. Seward wiedział, że to nie jego się lękają.

Źródło ich strachu siedziało na drugim krańcu stołu z delikatnym uśmiechem na wąskiej twarzy.

Vlad Tepes, który później zasłynął w Europie jako Vlad Drakul lub Vlad Palownik i który ostatecznie zaczął siebie nazywać hrabią Drakulą, siedział w swobodnej pozie na krześle i obserwował gościa. Valeriemu Rusmanowowi nic nie można było zarzucić pod względem lojalności lub uporów, za to wiele w kwestii manier i etykiety. Mówił o Sewardzie „więzień”. Dla Vlada było to nie do zaakceptowania. Owszem, adekwatne do sytuacji - Seward był w *chateau* wbrew własnej woli, ale takie słownictwo tworzyło atmosferę niegodną cywilizowanych ludzi... mężczyzn dowodzących armiami i walczących o to, w co wierzyli. Dlatego zwracał się do Henry'ego Sewarda jak do gościa i tak też go traktował podczas wspólnych kolacji. Przyjęcie, jakiego doświadczał dyrektor Departamentu 19 w czasie długich nocnych godzin po kolacji, było już mniej cywilizowane, ale niestety tego wymagała sytuacja. Niestety z punktu widzenia manier. Z osobistej perspektywy Vlad uważał torturowanie Henry'ego Sewarda za isticie szampańską zabawę.

Pierwszy wampir spojrział na swego gościa. Seward był odziany w piękny ciemnoniebieski garnitur, który Vlad zamówił specjalnie dla niego w jednym z najlepszych butików w Paryżu. Dwa dni temu wysłał służących Valeriego na północ, aby go odebrali, i z radością stwierdził, że strój pasuje na gościa jak ulał. Nie był pewien, jak długo - Seward szybko tracił na wadze. Wynikało to z ograniczenia pokarmu i cierpienia, jakich doświadczył w ostatnim miesiącu. Mimo eleganckiego połysku materiału, miękkiej koszuli i krawata szkód wyrządzanych mu nocą nie dało się całkiem ukryć.

U lewej dłoni Sewarda brakowało teraz dwóch palców. Zostały połamane młotkami i oderwane tego dnia, kiedy Valeri doprowadził dyrektora Czarnego Filtru do *chateau*. Rusmanov miał na ustach szeroki, pełen satysfakcji uśmiech, kiedy prezentował zdobycz swemu panu. Kikuty zostały ładnie zabandażowane, a opatrunek zmieniał codziennie

jeden ze służących, który kiedyś był lekarzem. Kolejne bandaże zasłaniały opuszki pozostałych palców Sewarda, chowając poszarpane ciało, które poraniono, gdy wrywano mu paznokcie. Chociaż ta starożytna tortura, jedna z najstarszych, nie łamała tak zdeterminowanych i doświadczonych mężczyzn jak Henry Seward, powodowała krzyki będące muzyką dla uszu Vlada. Stanowiło to też dobry punkt wyjścia - granicę, za którą będzie już tylko gorzej, im dłużej ofiara będzie się opierała. I owszem, bywało naprawdę dużo, dużo gorzej.

Ukryte pod eleganckim garniturem ciało dyrektora przedstawiało przerażający obraz sińców, oparzeń i ran - śladów pozostawionych przez zwykłe bicie, ołowiane rurki i kable. A także przez szczypcy podłączone do akumulatora samochodowego. Jak przystało na mężczyznę o tak wysokiej pozycji, Vlad nie torturował nikogo osobiście. Stał tylko i patrzył na Valeriego i jego dwóch służących, kiedy z zachowaniem profesjonalizmu i pozorowanej obojętności podejmowali kolejne działania. Lecz pod tym fasadowym brakiem zainteresowania w jego umyśle pojawiały się scenariusze setek możliwości, a w żołądku zaburczało z pragnienia tak silnego, że niemal odczuwał je fizycznie. Pragnął odepchnąć wszystkich i własnymi rękami przelewać krew i zadawać ból.

Przez cały ten czas Seward nie powiedział im prawie nic - podał tylko swoje nazwisko i numer identyfikacyjny w Czarnym Filtrze. Vlad był pod wrażeniem hartu ducha tego człowieka, chociaż wiedział, że mógłby nakazać zrobienie gościowi rzeczy, których ten by nie przetrzymał. Ale nie spieszyło mu się. Nadejdzie pora, kiedy będzie musiał wiedzieć wszystko, co wie Seward, na wypadek gdyby istniało coś, czego Valeri był nieświadomy. Ale to może poczekać. Powoli dochodził do siebie dzięki stałemu dopływowi świeżej, ciepłej krwi. Teraz wypijał już trzech lub czterech ludzi

dziennie. Każda kropla pomagała mu powoli wracać do tego, kim był niegdyś. Valeri co noc wysyłał swoich służących na łowy i co rano wracali oni przed świtem z ofiarami porwanymi z okolicznych miast i wiosek. Vlad rozkazał im polować na dużej przestrzeni. Nie chciał wywoływać paniki czy przyciągać niepotrzebnej uwagi do tego odizolowanego skrawka świata. Nie teraz, kiedy znalazł się tak blisko odzyskania władzy, którą swego czasu traktował jak coś oczywistego. Jeszcze miał trochę do przejścia, ale z każdym dniem, z każdym łykiem krwi był coraz bliżej. A cudowna rzeczywistość jawiła się następująco: nie było właściwie nic, co Henry Seward mógłby mu powiedzieć, a czego on już nie wiedział.

Częstotliwości operacyjne różnych departamentów, kody dostępu do baz i systemów komputerowych - to wszystko może być pewnego dnia przydatne dla Włada i Valeriego. Jednakże obydwaj wampiry wiedziały, że w chwili, kiedy Henry Seward został porwany, to wszystko zostało zmienione. Jego wiedza była więc bezużyteczna.

„On też musi to wiedzieć - myślał Drakula ze wzrokiem wbitym w gościa.

- Z pewnością. A jednak odmawia wyjawienia nam tych informacji. To godne podziwu".

Dopóki nie odzyska pełni sił i nie będzie gotów podjąć bezpośredniej akcji, Vlad pozwalał Sewardowi wierzyć, że jego opór odnosi skutek. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, Seward wszystko mu wyśpiewa, czy tego chce, czy nie. A wówczas Vlad zabije resztkę tego, co z niego zostanie, i wyśle jego głowę na kołku do siedziby Czarnego Filtru. Lecz na razie zagra w grę Sewarda. Będzie próbował wyrwać dyrektorowi informacje, których ten nie zechce wyjawić, wykorzystując metody należące - jak pozwoli Sewardowi myśleć - do najbardziej efektywnych w jego arsenale. Gość dalej będzie się opierał. Ta zabawa w kotka i myszkę pozwoliła Sewardowi zachować szczyptę godności, a Vladowi rozproszyć nudę, jaka

powoli wkradała się w proces leczenia, kiedy zaczął wreszcie nabierać rozpędu. Zapewniło mu to też przyjemne towarzystwo podczas kolacji, oszczędzało stoickiego milczenia Valeriego i rozwiązało problem jedzenia w samotności.

Po drugiej stronie stołu sługa skończył napełniać kielich Sewarda. Vlad uniósł swój i czekał, żeby gość uczynił to samo.

- *Noroc* - rzekł wampir.

- *Noroc* - powtórzył Henry Seward. W ciągu ostatniego miesiąca co wieczór wznosił rumuński toast. Teraz stanowiło to już niemal jego drugą naturę.

Opróżnił pół kielicha i czekał na otumaniający efekt działania alkoholu, który niechybnie się pojawi. Gdy unosił wino do ust, drżała mu ręka. Było to tylko jedno z następstw tortur fundowanych mu każdej nocy przez ostatni miesiąc. Należała do nich także bezsenność, nawet kiedy dręczenie dobiegło już końca - miał zbyt obolałe ciało, zbyt napompowane adrenaliną. A jeśli sen jednak nadchodził, to niespokojny, pełen koszmarów i cierpienia.

Seward, wykończony, w ciągłym bólu, wiedział, że ciało zaczyna go zawodzić. Nie był to wynik żadnej konkretnej tortury, ale suma ich wszystkich; rano zaczął kasłać krwią. W muszli klozetowej również dostrzegł ślady krwi po tym, jak oddał mocz. Nieustannie kaszlał i walczył o oddech po wejściu na kilka schodów. Stało się dla niego jasne, że nie pozostało mu wiele życia. Zdawał sobie sprawę, że Drakula nie pozwoli mu opuścić tego miejsca. Pogodził się z tym, że już nigdy nie zobaczy rodziny ani przyjaciół. Wiedział też, chociaż sądził, że wampir nie jest tego świadomy, że informacje, przed których udzieleniem tak się wzbrania, są bezwartościowe.

Zdawał sobie sprawę z tego, że Drakula sądzi, iż się z nim bawi. Pozwala mu wykazać się odwagą i przeciwstawiać torturom, podczas gdy czeka tylko na odpowiedni moment, żeby wyrwać mu wszystkie dane. Ale stary wampir się mylił. On nie miał żadnych sekretów, żadnych informacji, które

mogłyby się przydać wrogowi. Kiedy potwór na dobre pokaże pełen wachlarz tortur, powie mu wszystko; kiedy wampir zda sobie sprawę z tego, że to bezużyteczne informacje, Seward splunie mu krwią w twarz i umrze. W międzyczasie zaciśnie zęby i przyjmie wszystko, co mu zaszerwują. Co wieczór będzie towarzyszył swojemu oprawcy w tych dziwnych przedstawieniach, mających naśladować normalność. Zupełnie jakby byli dawnymi kolegami ze szkolnej ławy, jedzącymi kolację w klubie.

- Co dziś jemy? - spytał, zerkając na stojącą wokół służbę.

- Gołębia, jak mniemam - odparł Drakula. - Czy to ci odpowiada?

- Wkrótce się przekonamy - rzekł Seward.

Jedzenie i wino, które dostawał, odkąd Valeri pofrunął z nim w niebo, gdy jego podkomendni walczyli o życie, były znakomite. Pewnie nie powinien być zaskoczony - za życia Drakula był księciem, potem już jako wampir został transylwańskim hrabią. Przywykł do wszystkiego, co najlepsze, i to w obydwu życiach.

Człowiek i wampir siedzieli w ciszy, kiedy służący uwijali się jak w ukropie, przynosząc srebrne tace i stawiając je przed jedzącymi. Zdjęto pokrywy i oczom wszystkich ukazały się delikatny pasztet strasburski i domowej roboty maślane bułeczki. Na ich widok Sewardowi ślinka naciekła do ust pomimo ciągłego bólu targającego jego ciałem. Rzucił się najedzenie, świadom nagany malującej się na twarzy Drakuli. W ciągu minuty zjadł całą porcję. Oparł się, czując, jak nabiera sił, a we krwi zaczynają krążyć endorfiny.

Jedzenie dodawało mu odwagi i tupetu. Poprzednie kolacje wypełniały rozmowy bez znaczenia, bezsensowne uwagi na temat współczesnego świata, opowieści o ich przeszłości. Nic ważnego, nic, co mogłoby kogoś urazić. Nadszedł czas, aby to zmienić.

- Wciąż jesteś słaby - powiedział. Drakula lekko przechylił

głowę.

- Co, proszę?

- To było proste stwierdzenie. Wciąż jesteś słaby. Nie odzyskałeś pełni mocy.

- Skąd to podejrzenie? Seward rozejrzał się po pokoju.

- Mam dowody przed oczami - odparł. - Z jakiegoż innego powodu byś się tu ukrywał, otoczony służbą, która ma cię chronić?

Drakula zmarszczył brwi.

- Chronić mnie? - spytał. - To dla nich zaszczyt, że pozwalam im sobie usługiwać. To najwspanialsze chwile ich marnego życia.

Seward się uśmiechnął.

- Z pewnością często to sobie powtarzasz. Musi być ci trudno przyznać, że nawet najsłabszy wampir w tym budynku mógłby cię teraz zabić jedną ręką, gdyby tylko zechciał.

W kącikach oczu pierwszego z wampirów zamigotała czerwień i Seward poczuł satysfakcję. Lecz potwór szybko się opanował i zaczął się śmiać. Był to okropny dźwięk, który zaczął się cicho, ale trwał bez końca i stawał się coraz głośniejszy.

- Cudownie - powiedział, gdy wreszcie przestał. - Teraz rozumiem. Chciałeś mnie zirytować swoim komentarzem, tak? Sądziłeś, że uznam go za impertynencję. Niezwykłe mi przykro, że pana zawiodłem, admirale.

Seward ciężko przełknął ślinę.

- Znajdą cię - rzekł, mając nadzieję, że jego słowa okażą się prawdą. - Czarny Filtr znajdzie cię i powstrzyma. Nie powrócisz.

- Jesteś jak dziecko - rzekł Drakula ciepłym, przyjaznym głosem. - Niczego nie rozumiesz. Mój powrót już się rozpoczął, drogi admirale. Jestem tam, pośród ciemności. Jestem wszędzie. Jestem legionem.

- O czym ty mówisz? - Seward czuł, jakby czyjeś zimne palce

sunęły po jego kręgosłupie.

Drakula pokręcił głową.

- Wkrótce się dowiesz - rzekł.

Służba krzątała się po jadalni, zbierając talerze i kładąc czystą zastawę przed wampirem i jego gościem. Znikli, kiedy pojawiła się druga grupa z kolejnymi daniami.

Drakula uniósł srebrną pokrywę i posłał Sewardowi pełen satysfakcji uśmiech.

- Tak jak sądziłem - rzekł. - Gołęb. *Bon appetit.*

PŁYŃ LUB TOŃ

- Od czego zaczynamy ? - spytał Patrick Williams.

- Wywiad zbiera wszystkie prawdopodobne lokalizacje - odparł Holmwood. - Nakierowaliśmy na szpital każdego dostępnego satelitę i przeszukiwaliśmy tereny leżące coraz dalej. Mamy ponad sto śladów cieplnych. Od nich zaczniemy.

- Dobrze - rzekł Dominiąue Saint-Jacques. - Ruszajmy. Holmwood skinął głową.

- Wysłałam zespoły z listą pięciu możliwych miejsc ataku. Zezwalam na działania w świetle dnia. Zniszczcie ich, zanim słońce znów zajdzie. Wszystkie zwyczajowe protokoły kontrolne wciąż obowiązują. Agenci muszą wiedzieć, że te cele są znacznie niebezpieczniejsze od wampirów, z którymi mamy zazwyczaj do czynienia. Macie osiem godzin, potem wracacie do bazy. Nie obchodzi mnie, czy zniszczycie wszystkie pięć celów, dwa czy żadnego. Po ośmiu godzinach jesteście z powrotem. Ci, którzy pozostali z tego Departamentu, nie mogą być beztroscy i nieostrożni. Jasne?

- Tak, sir - odparł Dominiąue.

- Znakomicie. Oficjalnie powołuję do służby wszystkich agentów, także nowicjuszy na szkoleniu. Postanowienie pozostaje w mocy, aż uporamy się z tym zagrożeniem. Potem młodzi wracają na trening. Uważajcie na nich i sprowadźcie ich bezpiecznie do bazy. Jasne?

- Tak, sir! - zawołał chórem oddział specjalny Godzina Zero.

- Świetnie. Odmaszerować.

Jamie wysiadł z windy i ruszył korytarzem na poziomie B.

„Znaleźć i zniszczyć - myślał. - Tak po prostu. Znaleźć i zniszczyć trzysta niezwykle potężnych wampirów. Jasne, żaden problem”.

Opuścił salę odpraw z mieszanymi uczuciami. Nie miał żadnych wątpliwości, że tłum, który uciekł poprzedniej nocy ze szpitala, odpowiadał przed Drakulą albo przynajmniej przed Valerim. Nie wątpił też, że mogło się to skończyć prawdziwą rzezią. Ale była również pozytywna strona tej sytuacji – tak wielka akcja, mająca na celu zaangażowanie wszystkich sił Departamentu 19 i jego odpowiedników na całym świecie na dłuższy czas, oznaczała, że Drakula nie był tak dalece zaawansowany w swoim planie, jak podejrzewano. O ile w ogóle był. Oczywiście żadne to pocieszenie dla agentów ruszających za chwilę, aby upolować zbiegłe wampiry.

Nie zatrzymując się, Jamie wyjął konsolę zza paska.

M-3/OP_EXT_LI/ODPR/ So4/JUŻ

Nacisnął WYŚLIJ. Wiedział, że kilka poziomów niżej, na Placu Zabaw, konsole należące do Johna Mortona i Lizzy Ellison zaczęły wibrować. Zastanawiał się, ile czasu zajmie im dotarcie do sali odpraw numer 4 na poziomie zero. Zgadywał, że około dziesięciu minut.

„ Pewnie pięć minut będą szukać właściwej sali - myślał z uśmiechem. - Mnie tyle to zabierało”.

Jamie dotarł do swojej kwatery, przysunął identyfikator do keypada wmontowanego w ścianę i gdy czerwone światło zmieniło się w zielone, pchnął drzwi. Opadł na łóżko wdzięczny za kilka minut wytchnienia. Biorąc pod uwagę sytuację, którą nakreślił Cal Holmwood, wątpił, żeby w nadchodzących dniach miał okazję do odpoczynku. Chociaż i

tak chwile wytchnienia rzadko się zdarzały. Służba w Departamencie 19 była fizycznie i psychicznie wyczerpująca. Taki był efekt wysokich stawek, o jakie wciąż grali. Jeśli Jamie i jego koledzy nie wypełnili swojej misji, umierali ludzie. Proste. Każdy agent rozumiał tę zależność, znajdował sposób na radzenie sobie z odpowiedzialnością i robił, co do niego należało. Ale nie zawsze było to łatwe.

Jamie poczuł, że powieki zaczynają mu ciążyć, chociaż obudził się zaledwie trzy godziny wcześniej. Konsola informowała go, że ma wiadomość od Larissy. Nacisnął OTWÓRZ.

Hej! Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Przez następną godzinę będę jeszcze na nogach, więc jeśli masz czas i ochotę, zadzwoń... x

Jamie sprawdził godzinę, o której przyszła wiadomość - 7.30. Najwyraźniej zasnął tak mocno, że nie usłyszał sygnału. Szybko policzył różnicę czasową.

„WNEvadzie jest 11.30. Za późno”.

Rozwahał, czy mimo to nie zadzwonić. Wątpił, żeby Larissę zdenerwowało, gdyby ją obudził - postanowił jednak dać jej się wyspać. Teraz, dumając nad skalą horroru, o którym usłyszał w sali odpraw, żałował, że nie zatelefonował. Dobrze byłoby usłyszeć przyjazny głos. Przez sekundę rozwahał, czy nie zawrócić i nie zastukać do sąsiadującej kwatery zajmowanej przez jednego z jego najlepszych przyjaciół. Ale wiedział, że byłaby to strata czasu.

Matt Browning rzadko przebywał w swojej kwaterze, chyba że spał. Jamie wiedział, że odmówił przeniesienia się do jednego z większych pokoi na obszarze projektu Lazarus. I chociaż podziwiał przyjaciela i rozumiał, gdy ten tłumaczył, że nie chce poświęcać pracy każdej chwili, uważał to za bezsensowne, bo właśnie tak było. Życie Matta kręciło się

teraz całkowicie wokół projektu. Jamie tęsknił, ale nie był na niego zły. Jakżeby mógł? Matt zaangażował się w coś, co można by uznać za najważniejszy projekt Czarnego Filtru. Niemniej może powinien trochę ponaciskać Matta i namówić go na jakiegoś drinka w mesie oficerskiej albo przynajmniej do dzielenia stolika podczas lunchu. Minęło wiele czasu, odkąd rozmawiali ze sobą dłużej niż minutę czy dwie w korytarzu, gdy obaj akurat się dokądś spieszyli.

Swoją drogą, minęły zaledwie siedemdziesiąt dwie godziny od ostatniej rozmowy z Larissą, a on nadal okropnie za nią tęsknił. Rozmawiali przez prawie godzinę na szyfrowanym kanale wideo. Jamie opowiedział jej o misji, z której właśnie wrócił, a Larissa uśmiechała się promiennie, oddalona od niego o osiem godzin. Jej dzień dopiero się zaczynał. Zadowolenie i ekscytacja w jej głosie, kiedy opowiadała mu o Krainie Marzeń, bazie NS9 i mieszkających w niej agentach, były dla niego słodko-gorzkie. Wiedział, że się wściekła, kiedy Holmwood oddelegował ją do NS9, i wiedział też, że tęskniła za nim równie mocno jak on za nią. Ale teraz w całej jej postawie pojawiła się pewna beztroska, której jednocześnie pragnął i się obawiał.

Cieszył się, że była szczęśliwa. Bóg jeden wie, że zasłużyła na to po tym, co przeszła w ostatnich latach i co jej zrobiono podczas ataku na Pętłę, kiedy ją podpalono i zostało z niej niewiele więcej niż kości. Ale był też zazdrosny o jej tymczasowe życie z dala od ciemności, która otaczała Czarny Filtr, która zdawała się podążać za nim, dokądkolwiek by się udał; zazdrosny o to, że spotyka ludzi i poznaje miejsca, że doświadcza nowych rzeczy. Maleńka cząstka jego, ta złośliwa, nienawidząca samej siebie, jaka narodziła się w wyniku śmierci ojca i jaką karmiły się zniecanie się i samotność, zadawała dwa pytania, podszeptując je z najciemniejszych zakamarków jego umysłu: „A co, jeśli o mnie zapomni? A co, jeśli nie zechce wrócić?”.

Odsunął od siebie dołujące myśli i wstał z łóżka. Wyjął z małej lodówki pod biurkiem butelkę wody i wyszedł na korytarz. Zamykając za sobą drzwi, starał się skupić na czekającym go zadaniu.

Jamie zalogował się do terminalu przed salą odpraw numer 4 i znalazł listę celów zespołu. Przeniósł ją na ekran za sobą i czekał na resztę swego nowo aktywowanego zespołu.

Czekał na nich niecałe dwie minuty. Morton i Ellison wpadli do środka wciąż ubrani w ciemne kostiumy treningowe, zgrzani po kilku minutach biegania po korytarzach poziomu zero w poszukiwaniu właściwej sali. Byli spoceni i brudni od zaschniętej krwi, ale na ich twarzach malował się pełen determinacji entuzjazm.

- Dobrze was widzieć - zaczął Jamie. - Zgubiliście się? Morton wyglądał, jakby zamierzał zaprzeczyć, ale Ellison go wyprzedziła.

- Tak, sir - rzekła. - Wszystkie korytarze wyglądają tak samo, sir.

- Przywykniecie - odparł Jamie i uśmiechnął się do kolegów. - Uwierzcie mi.

Młodzi agenci przytaknęli z wyraźną ulgą.

- Usiądźcie - powiedział Jamie, wskazując na puste plastikowe krzesła, otaczające stojący na środku sali długi stół.

Morton i Ellison zrobili, co im kazał. Jamie obserwował ich, zastanawiając się, czy też był taki zdenerwowany i przejęty, kiedy po raz pierwszy przyjechał do bazy.

„Chyba nie - myślał. - Poza mamą wszystko miałem w nosie. Zachowywałem się, jakby to miejsce należało do mnie”.

Zarumienił się na to wspomnienie, ale tylko trochę. Zrobił to, co musiał, żeby odzyskać matkę, i tylko to się liczyło. Wiedział, że po drodze nadepnął na odcisk wielu agentom

operacyjnym i że nie wszyscy wybaczyli mu to, co uznali za arogancję i brak szacunku.

- Agenci - powiedział spokojnym głosem. - Dzisiaj rano tymczasowy dyrektor Holmwood zatwierdził RUCHOMY CIEŃ. To operacja o priorytecie na poziomie pierwszym. Biorą w niej udział wszyscy agenci Departamentu. To, co widzicie na ekranie za mną, to nasza mała cegiełka. - Stuknął w serię klawiszy na konsoli i pierwsze nazwisko na liście zastąpiła karta przyjęcia pacjenta do szpitala. - Ubiegłej nocy nieznana grupa wampirów przeprowadziła masową ucieczkę ze szpitala Broadmoor w hrabstwie Berkshire. Nagranie z kamer przemysłowych oraz dane z satelitów termalnych sugerują, że wszyscy uwolnieni pacjenci zostali uprzednio przemienieni. Analizy pokazują, że te wampiry są znacznie silniejsze i szybsze niż inne nowo przemienione. Oznacza to, że mamy na wolności prawie trzysta bardzo niebezpiecznych wampirów. RUCHOMY CIEŃ to misja poszukiwawcza mająca na celu wyeliminowanie niebezpieczeństwa w jak najkrótszym czasie. Jakies pytania?

Morton uniósł rękę. Jamie skinął głową na niego.

- Dlaczego nam pan to mówi, sir?

- Wasze szkolenie zostało zawieszono - wyjaśnił Jamie. - Od tej chwili aż do zakończenia misji jesteście czynnymi agentami operacyjnymi Departamentu 19. Potem wrócicie do treningu na Placu Zabaw. Ale dopiero wówczas. Zrozumiano?

Morton przytaknął. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Ellison patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, ale podniosła rękę.

-Tak?

- Powiedział pan „znaleźć i zniszczyć”, sir? - spytała. - Mam rację?

-Tak.

- I jak to będzie?

- To znaczy?

- Ludzie będą oczekiwać odnalezienia tych pacjentów, sir. Media oszaleją, a rodziny uciekinierów będą żądać informacji, co się stało. Mówimy tu o chorych ludziach, sir. Ludziach z problemami psychicznymi.

- Już nie - zauważył Morton. - Teraz mówimy o wampirach.

Ellison posłała koledze ostre spojrzenie, ale nie odwracała uwagi od Jamiego.

- Media jeszcze o niczym nie wiedzą - odparł. - Kiedy historia wypłynie, a musimy założyć, że tak się stanie, upewnimy się, że nikt tego nie puści. Każdy, kto mieszka w pobliżu szpitala, jest już pod naszą kontrolą. Jeśli zajdzie potrzeba wyjaśnienia opinii publicznej, co się stało z pacjentami Broadmoor, wydział bezpieczeństwa przygotuje jakąś historię. Nie wiem, co to będzie, więc nie pytajcie. Zresztą i tak nie jest to coś, czym powinniście się przejmować. Musicie myśleć o tych pięciu wampirach, które rozkazano nam zniszczyć.

- Dobrze, sir. - Ellison zrezygnowała z dalszej dyskusji, lecz wyraźnie czuła się nieswojo.

Morton spojrzał na nią ze złością i szepnął coś, czego Jamie nie dosłyszał. Ellison odwróciła się i już miała się odszczeknąć.

- Agenci! - warknął Jamie, sprawiając, że oboje podskoczyli w miejscu. - To nie są ćwiczenia. To prawdziwa akcja. Od tej pory skupiacie na mnie całą swoją uwagę albo uznam, że nie jesteście gotowi, i odeślę was na dół. Tego chcecie?

- Nie, sir - odparli zgodnie.

- Dobrze - stwierdził Jamie - ponieważ to operacja o priorytecie na poziomie pierwszym. Na takich agenci giną. Materiał pokazujący siłę tych wampirów jest bardzo niepokojący, więc skupmy się, jasne? Za godzinę mamy być wszyscy uzbrojeni i gotowi do drogi, a dobrze byłoby wiedzieć, czego, do licha, w ogóle szukamy.

Morton i Ellison pochylili się, skupiając uwagę na dowódcy. Jamie zmusił się do uśmiechu, by przełamać napięcie, i zaczął

mówić o tym, co ich czeka po drugiej stronie murów bazy. Ale wiedział, że nic, co powie, nie przygotuje ich na to, co tam zastańą.

„Będę zadowolony, jeśli przyprowadzę ich do bazy żywych”.

ZAGINIONY HARKER

TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ
TRANSKRYPT WYWIAD Z ALBERTEM HARKEREM,
12 CZERWCA 2002

(początek taśmy)

JOHNNY SUPERNOYA: Dobra, włączone.

ALBERT HARKER: Co?

J.S.: Dyktafon. Nagram naszą rozmowę.

A.H.: Aha, w porządku.

J.S.: Proszę się przedstawić.

A.H.: Albert Harker.

J.S.: Będę do pana mówił po imieniu. Zgadza się pan?

A.H.: Może być.

J.S.: A więc, Albercie, odszukałeś mnie i zaproponowałeś ten wywiad. Może zacznij od wyjaśnienia dlaczego.

A.H.: Dziękuję. Chcę udzielić tego wywiadu, żeby ludzie poznali prawdę. J.S.: Prawdę o czym?

A.H.: O wampirach, panie Supernova. O Czarnym Filtrze. O mojej rodzinie.

J.S.: No i widzisz, mój wykrywacz ścierny właśnie się rozdzwonił. Bo powiedziałaś słowo „wampir”.

A.H.: Owszem. Powiedziałem.

J.S.: Wyjaśnijmy to od razu. Uważasz, że wampiry są prawdziwe? Istnieją w realnym świecie?

A.H.: Właśnie tak.

J.S.: Dlaczego miałbym uwierzyć w coś tak absurdalnego?

A.H.: Ponieważ to prawda.

J.S.: Czy masz na to jakiś dowód?

A.H.: Tylko swoje słowo.

J.S.: Wysłałem po ciebie wóz do schroniska dla bezdomnych, Albercie. Widzę ślady igieł na twoich ramionach. I sądzisz, że uwierzę ci na słowo? W cokolwiek?

A.H.: To zależy od pana, panie Supernova. Nie mogę podjąć tej decyzji za pana.

J.S.: Spokojnie, sam ją podejmę. Zatem nim przejdziemy do twego twierdzenia, że wampiry istnieją, powiedz mi coś innego. Jak to się stało, że o nich wiesz; że są prawdziwe? Pytam, ponieważ wydaje mi się, że wszyscy inni uważają wampiry za fikcję. I muszę ci powiedzieć, że na razie jesteś mało przekonujący.

A.H.: Jest pan świadom, jakie noszę nazwisko?

J.S.: Owszem.

A.H.: Zakładam, że jako dziennikarz jest pan raczej odczytany?

J.S.: Tak sędzę.

A.H.: I nie widzi pan związku? (przerwa)

J.S.: Drakula? Mówisz o Drakuli?

A.H.: Brawo, panie Supernova. Drakula, owszem. Mój pradziadek nazywał się Jonathan Harker i stał się bohaterem powieści Stokera, która, tak na marginesie, jest oparta na faktach. Nie jest fikcją, za jaką ją wszyscy uważają.

J.S.: Albercie, zażywasz sporo heroiny, prawda?

A.H.: To bez znaczenia.

J.S.: Zatem Drakula nie jest powieścią. To prawdziwa historia. Dobrze cię rozumiem?

A.H.: Owszem. Wszystko przebiegło mniej więcej tak, jak spisał to Stoker. Usłyszał gdzieś historię o Abrahamie Van Helsingu, z którym spotkał się tutaj, w Londynie.

J.S.: Van Helsing też był prawdziwy?

A.H.: Oczywiście. Im szybciej przyswoi pan te podstawowe fakty, tym szybszy i mniej bolesny stanie się cały proces.

J.S.: Nie rzucaj się, chłopie. Pamiętaj, kto tu komu płaci.

A.H.: Przepraszam. Tak, panie Supernova. Van Helsing był prawdziwy, tak jak John Seward i Quincey Morris, i Arthur Holmwood, którego prawnuk zasiada w Izbie Lordów. Tak samo prawdziwy był mój dziad. Byli tak samo realni jak pan i ja.

J.S.: Zatem Drakula też był prawdziwy?

A.H.: W rzeczy samej. Był prawdziwy i zginął, tak jak opisał to Stoker. Mój przodek i jego przyjaciele wrócili do domu. Ale Drakula nie był jedynym wampirem na świecie. Był po prostu pierwszy. Z czasem pojawiły się inne.

J.S.: I?

A.H.: I mój pradziadek wraz z przyjaciółmi dostali wolną rękę, aby się z nimi rozprawić. W imieniu imperium.

J.S.: Kto im dał wolną rękę?

A.H.: Premier William Gladstone. W 1892 roku.

(przerwa)

J.S.: Mówisz całkiem poważnie, prawda? Nie próbujesz mnie wkręcić?

A.H.: Mówię śmiertelnie poważnie, panie Supernova. To największa tajemnica świata. Moja rodzina i inni chronili ją od ponad wieku. Ale ja ją panu zdradzam.

J.S.: Dlaczego? I nie pytam o pieniądze.

A.H.: Nie jestem z rodziną... blisko.

J.S.: Więc robisz im na złość? Bo jeśli to wszystko prawda, jeśli nie jesteś wariatem, będziesz miał poważne kłopoty, gdy znajdę kogoś, kto zechce to opublikować.

A.H.: To już mój problem, ale tak. Podejrzewam, że nie będą zachwyceni.

J.S.: Jesteś w niebezpieczeństwie? I co ważniejsze: czy ja jestem w niebezpieczeństwie?

A.H.: Nic mi o tym nie wiadomo. Ale niczego nie gwarantuję,

panie Supernova. Czarny Filtr działa poza prawem, które rządzi życiem pańskim i moim.

J.S.: Czarny Filtr?

A.H.: Organizacja, która poluje na wampiry i utrzymuje ich istnienie w tajemnicy. Nie jest to jej prawdziwa nazwa, ale od zawsze tak o niej mówią. Założyli ją czterej mężczyźni, którzy przetrwali potyczkę z Drakulą.

J.S.: Co to takiego?

A.H.: Nigdy nie byłem w środku. Ale to coś w stylu oddziałów specjalnych dla istot paranormalnych.

J.S.: Chwila, moment. Nigdy jej nie widziałeś?

A.H.: Nie w środku, panie Supernova. To najbardziej tajna organizacja w kraju. Ale są tradycje, które dotyczą potomków czterech założycieli. Kiedy kończymy dwadzieścia jeden lat, automatycznie otrzymujemy prawo do przyłączenia się.

J.S.: Zakładam, że odmówiłeś.

A.H.: W rzeczy samej.

J.S.: Dlaczego?

A.H.: Ponieważ nie chcę spędzić życia na gonieniu potworów. I dlatego że niewiele jest na świecie rzeczy, których chciałbym mniej, niż przypominać własnego ojca.

(przerwa)

J.S.: Dlaczego, Albercie?

A.H.: Ponieważ był draniem, który zastraszał innych, był sadystą i oszustem, który miał swoich faworytów. Kochał mojego brata, a mnie ledwie tolerował. I wszystkim dał to do zrozumienia.

J.S.: Jednak kiedy nadeszła pora, spytał, czy przyłączysz się do Czarnego Filtru?

A.H.: Nie mam wątpliwości, że robił to z ciężkim sercem. Ale był zobowiązany przez zasady i tradycje organizacji, której poświęcił życie. Dzisiaj wierzę, że to jedyne, na czym mu kiedykolwiek naprawdę zależało. Zatem owszem, gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat, zadał mi to pytanie. Nigdy

nie widziałem go szczęśliwszego niż w chwili, gdy odmówiłem.

J.S.: No więc jak to wygląda? Budzisz się w swoje urodziny, ojciec Wchodzi do twojego pokoju i mówi: „Synu, tak na marginesie, wampiry istnieją, ja jestem członkiem tajnej organizacji, która je zwalcza, a teraz ty też masz szansę do niej wstąpić”?

(śmiech Harkera)

A.H.: Prawie. Użył większej liczby słów. Gros z nich dotyczyło honoru, obowiązku i poświęcenia. Ale w ogólnym zarysie właśnie tak to wyglądało.

J.S.: A ty odmówiłeś. Jak zareagował?

A.H.: Miał minę jak kot, który zjadł miseczkę śmietany. Potem krzyczał na mnie przez dobrą godzinę, wyzywał od tchórzy i mazgajów, a na koniec dodał, że mu wstyd, że jestem jego synem. Dla niego ułożyło się to idealnie.

J.S.: To znaczy?

A.H.: Mógł mnie otwarcie nienawidzić, panie Supernova. Wreszcie dałem mu dostateczny powód, odrzucając jego sposób życia. I nie musiał mieć mnie przy sobie każdego dnia. Nie wiem, co by zrobił, gdybym się zgodził, (przerwa)

J.S.: Ale nie zrobiłeś tego. Co się stało potem? Wyjawiał ci tę wielką tajemnicę. Wszyscy mówią „tak”, ale ty jeden powiedziałeś „nie”. Jak to wyglądało?

A.H.: Ostrzegł, że mam nikomu nie mówić tego, co usłyszałem. Zagroził, że w przeciwnym razie zamkną mnie, a zresztą i tak nikt by mi nie uwierzył.

Kilka dni później przyniósł mi do podpisania formularz z jakąś wersją aktu utajnienia. I to było tyle. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.

J.S.: Wspomniałeś o bracie. On się przyłączył?

A.H.: Oczywiście. Był miniaturową wersją mojego ojca. Nie mógł się doczekać.

J.S.: A ty co zrobiłeś?

A.H.: Skończyłem studia. Przeprowadziłem się do Londynu. Odkryłem narkotyki. Bardzo, bardzo je polubiłem.

J.S.: Jak zareagowała na to twoja rodzina?

A.H.: Zerwali ze mną kontakty przy pierwszej nadarzającej się okazji. Powiedzieli, że splamiłem honor rodziny i że nie jestem już mile widziany w domu. Odwrócili się ode mnie, panie Supernova.

J.S.: Dranie,
(przerwa)

A.H.: Kilkakrotnie byłem na jakimś przyjęciu albo w barze i zauważyłem, że ktoś mi się przygląda. Ktoś, kto nie wyglądał na osobę z kręgu moich znajomych. Parę razy wróciłem do domu i spostrzegłem, że ktoś w nim był pod moją nieobecność. Niczego nie brakowało, wszystko leżało na miejscu. Profesjonalna robota. Aleja wiedziałem. Więc chyba mieli na mnie oko.

J.S.: Obawiali się, że zaczniesz mówić?

A.H.: Nie wiem. Pewnie tak.

J.S.: Ale nie zrobiłeś tego, przynajmniej aż do dzisiaj. Dlaczego?

A.H.: Chciałem o wszystkim zapomnieć. Nie obchodził mnie ich głupi departament i wątpiłem, by ktokolwiek mi uwierzył. Więc starałem się o tym zapomnieć.

J.S.: Co się zmieniło? Dlaczego teraz?

A.H.: Złośliwość, panie Supernova. Sam pan to powiedział. No i jeszcze sprawiedliwość. I dlatego że mam dosyć dźwigania tej tajemnicy. Chcę się jej pozbyć.

(przerwa)

J.S.: To dobry temat. Czarna owca w szlachetnej rodzinie zostaje wypędzona i pozostawiona samej sobie. Heroina, bezdomność, ludzie, którzy cię śledzą, przeszukują twoje rzeczy. Naprawdę cholernie to ciekawe. Ale pozostaje jeden problem.

A.H.: Jaki?

J.S.: Wampiry. Czarny Filtr. Ja... nie widzę nic, co potwierdzałyby twoje słowa.

A.H.: Rozumiem pańskie nastawienie, panie Supernova. Lepiej niż pan podejrzewa, poważnie. Ale to wszystko prawda. Mogę panu powiedzieć to, co powiedział mi ojciec, i nic więcej. Dalej jest pan sam.

J.S.: Mów.

A.H.: Obawiam się, że nie będę w stanie powielić patetycznego tonu jego głosu, ale dobrze pamiętam, co wówczas mówił. Powiedziałem już panu, że Czarny Filtr założono pod koniec dziewiętnastego wieku. Przez ponad sto lat organizacja sporo się zmieniła. Ojciec powiedział mi, że na początku było czterech mężczyzn. Urzędowali w domu przy placu Piccadilly. Teraz bardziej przypomina to siedzibę SAS, tajnych służb specjalnych zajmujących się tym, co paranormalne. Wątpię, żeby znalazł pan gdzieś o tym wzmiankę, ale może pan spróbować. A nuż się mylę. A co do wampirów, nikt nie wie, co uczyniło z Drakuli tego, kim się stał, ale wiemy, że był pierwszy. Po jego śmierci została garstka wampirów, które osobiście przemienił. One przemieniły następnych i tak dalej. Wzrost liczby wampirów zmusił Czarny Filtr do rozwinięcia działalności.

J.S.: A co z samymi wampirami? Chryste, sam nie wierzę, że to mówię, ale jakie one są? Chadzają nocą po ulicach i zamieniają się w nietoperze i wilki?

A.H.: Nie, panie Supernova. Zmiana formy to coś, co Bram Stoker dorzucił do historii, żeby uczynić ją bardziej rozrywkową dla czytelników, tak jak podatność tych kreatur na krzyże i święconą wodę. One nie działają. Czosnek i bieżąca woda także nie. Reszta jest prawdą. Są silne, szybkie i wrażliwe na promienie słońca. Ich oczy lśnią na czerwono. I muszą pić krew, żeby przetrwać.

J.S.: Jaką krew?

A.H.: O ile dobrze się orientuję - jakąkolwiek.

J.S.: Ludzką?

A.H.: Oczywiście.

J.S.: Zatem gryzą ludzi?

A.H.: Owszem, gryzą ludzi. A jeśli ofiara nie umrze, sama staje się wampirem.

J.S.: Zatem czemu nie ma ich tysięcy? Dlaczego nie widuje ich na każdym rogu?

A.H.: Ponieważ, o ile mi wiadomo, bardzo niewiele ofiar przeżywa. No i Czarny Filtr ciężko pracuje, by utrzymać tę tajemnicę,

(przerwa)

J.S.: Albercie, co ja mam z tym zrobić?

A.H.: Nie rozumiem pytania.

J.S.: Jesteś inteligentnym facetem. Wiesz, że każdy wydawca w kraju wyśmiewa mnie i wywali za drzwi, jeśli to spiszę i przedłożę. Nikt w to nie uwierzy. Siedzę tu z tobą i wierzę, że ważysz każde słowo, ale nie potrafię tego przyjąć jako prawdy. Nie widzę takiej możliwości. Jakim cudem nikt wcześniej nie wyłamał się z organizacji? Dlaczego żaden wampir się nie ujawnił? Dlaczego gazety nie są pełne informacji o zaginionych osobach i ciałach pozbawionych krwi? Rozumiesz, o czym mówię?

A.H.: Jest pan dziennikarzem, prawda?

J.S.: Tak.

A.H.: Więc proszę robić swoje. To, co panu powiedziałem, jest prawdą. Niech pan kopie, panie Supernova. Proszę wygrzebać wszystko, co pan może. Jeśli nie znajdzie pan żadnych dowodów, zapomni o sprawie i jeszcze dostanie moje błogosławieństwo. Ale jeśli coś pan odkryje, choćby najdrobniejszą rzecz, która potwierdzałaby moje słowa, będzie pan miał wyłączność na największą historię od czasu powstania ludzkości. To chyba jest warte poświęcenia kilku dni, nawet jeśli potwierdzi pan jedynie to, że od początku miał pan co do mnie rację. Dlaczego nikt się nigdy nie wyłamał?

Podejrzewam, że członkowie Czarnego Filtru są pod ciągłą obserwacją. A nawet gdyby odeszli z organizacji, z pewnością szybko postawiono by ich przed sądem wojskowym. A wampiry? Dlaczego miałyby się ujawniać? Żeby wszystkie potencjalne ofiary wiedziały, że istnieją? Żeby rząd wypowiedział im wojnę? No i ostatnie, panie Supernova. Z przykrością pana informuję, że w gazetach roi się od artykułów i ogłoszeń o zaginionych osobach i ludziach, którym zrobiono straszliwe rzeczy. A to i tak zaledwie ułamek z setek zabitych i zaginionych, których historia nigdy nie trafi na strony brukowców.

(przerwa)

J.S.: Sądzę, że skończyliśmy.

A.H.: Też tak uważam.

J.S.: Gdzie mogę cię znaleźć, gdybym chciał uzupełnić niektóre informacje?

A.H.: Nie znajdzie mnie pan. Jeśli za kilka miesięcy będę jeszcze żył, jeśli nie dopadnie mnie żaden wampir ani żaden agent Czarnego Filtru, sam do pana przyjdę.

J.S.: Zdajesz sobie sprawę z tego, że to niedorzeczne, prawda? To obłąd.

A.H.: Proszę robić swoje, panie Supernova. To jedyna rada, jakiej mogę panu udzielić. Proszę to potraktować jak każdą inną historię i przekonać się, co wypłynie. Życzę panu szczęścia, z całego serca.

J.S.: Do zobaczenia. Mam nadzieję.

(koniec taśmy)

Kevin McKenna położył transkrypt rozmowy na biurku i ciężko odetchnął. Miał wrażenie, że przez cały ten czas wstrzymywał oddech. Wypalony papieros wypadł mu z ust, sprawiając, że dziennikarz podskoczył na krześle. Całkiem o nim zapomniał.

„ Chryste, Johnny - pomyślał. - Już bardziej nie mogłeś być

zdesperowany".

Transkrypt nie miał żadnego sensu. McKenna czuł się niemal zażenowany wywiadem swego dawnego mentora. Tego typu brukowe głupie historyjki były poniżej godności Johnny'ego Supernovy, którego kiedyś znał, i zrobiło mu się naprawdę smutno z tego powodu.

„Musiało być z nim gorzej, niż sądziłem. Johnny, którego znałem, wyśmiałby tego faceta bez zadawania zbędnych pytań”.

McKenna wstał z miejsca i przejrzał pozostałą zawartość teczki. Było w niej cztery czy pięć stron notatek nakreślonych charakterystycznym pochyłającym się pismem Johnny'ego Supernovy. Kevin zebrał je i zamierzał wyrzucić do kosza na śmieci stojącego obok biurka, lecz w ostatniej chwili się rozmyślił.

„Zostawił ci to w testamencie. Wyrzucenie ich byłoby brakiem szacunku”.

Położył teczkę na biurku, chwycił kurtkę i wyszedł z biura. Minutę później zjeżdżał windą. Zerknął na zegarek.

„Powiniennem zdążyć na drugą połowę” - pomyślał.

Potem ogarnęła go fala smutku. Od dawna nie myślał o Johnnym, nawet wtedy, kiedy w gazetach i magazynach pojawiły się nekrologi. Ich drogi rozeszły się na długo przedtem.

„Żegnaj, Johnny. Spoczywaj w pokoju, ty szalony draniu”.

SZOK NOWOŚCI

STEUENAGE, HERTFORDSHIRE

- Zgubiłem go! - krzyknął Alex Jacobs. - Kolejny poziom w górę!

Angela Darcy zakląła i pobiegła betonowym podjazdem w górę. John Carlisle dotrzymywał jej kroku.

Grupa operacyjna F-5 miała już wracać do bazy, kiedy otrzymała wiadomość od wydziału inwigilacji o nowym celu. Dowódca oddziału Angela Darcy nie zadawała pytań. Podała kierowcy nowe współrzędne i kazała się spieszyć.

Była zmęczona i wiedziała, że jej oddział czuł się tak samo. Powalili wampira na północnych przedmieściach Londynu. Rutynowa operacja, idealna dla Carlislea. Jeszcze przed miesiącem młody służył w SBS w Portsmouth. Wówczas zaczęła się rekrutacja, aby zastąpić agentów poległych podczas ataku Valeriego, i został wezwany do Czarnego Filtru, by rozpocząć szkolenie. Pod okiem Angeli nieźle sobie radził. Spodobały jej się postawa i spokój, którymi wykazał się na dwóch dotychczasowych misjach. Te dwie cechy u Alexa Jacobsa uznała za coś normalnego. Cichy, doświadczony agent spędził wiele lat w wydziałach wywiadu i bezpieczeństwa, lecz poprosił o przeniesienie do wydziału operacyjnego zaraz po ataku, który osłabił Departament. Angela obserwowała go bacznie przez kilka pierwszych dni, doszukując się śladów operacyjnej rdzy, ale szybko zrozumiała, że nie ma się o co martwić. Jacobs szybko

przypomniawszy sobie działania operacyjne i nosił czarny uniform tak, jakby nigdy go nie ściągał.

Odnaleźli cel, zdezorientowanego wampira w wieku dwudziestu kilku lat. Miał na sobie resztki szpitalnej koszuli. Był dokładnie tam, gdzie wydział inwigilacji powiedział, że będzie - na placu załadunkowym obok stacji Stevenage. Angela podprowadziła swoją grupę bliżej z załadowaną bronią. Zamierzali skrócić cierpienie kolejnego wampira, a potem wrócić do domu, do ciepłych i wygodnych łóżek. Cel zaczął się wycofywać. Miał przeraźliwie czerwone, lśniące ślepie i wił się jak zwierzę w potrzasku. Angela chciała właśnie wydać rozkaz do strzału, kiedy wampir, z wyraźną paniką w oczach, odwrócił się, przebiegł na drugą stronę torów i skoczył ponad ceglany murem na drugi poziom wielopiętrowego parkingu obsługującego stację.

Angela ze świstem nabrała powietrza. Wampir był rozmazaną plamą, błyskiem bieli, który znikł, zanim zacisnęła palec na spuście megagnata.

- Chryste - jęknął pod nosem Carlisle. Patrzył na górującą nad nimi budowlę z betonu. - Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby coś było równie szybkie.

Jacobs nic nie powiedział. Po prostu odwrócił się, podniósł wizjer kasku i posłał Angeli wymowne spojrzenie. „Ja też nie”.

Angela poczuła niepokój, lecz próbowała go zdławić.

- Za mną - wydała rozkaz.

Poprowadziła ich wzdłuż opustoszałych peronów stacji. Parking wznosił się wysoko na tle nocnego nieba. Był to brzydki betonowy klocek, słabo podświetlony migoczącymi żółtymi światłami.

- Myślisz, że wciąż tam jest? - spytał Jacobs.

- Nie wiem - odparła ze wzrokiem utkwionym w budynku. - Dowiedzmy się.

Buty Angeli stukały o beton, kiedy biegła na najwyższy poziom parkingu. Gonili wampira po całym gmachu, ale migał

im jedynie na każdym kolejnym poziomie. Po wejściu na podjazd i przeskanowaniu wzrokiem płaskiej powierzchni poczuła ulgę.

„Koniec poziomów - pomyślała. - Już nie masz się gdzie ukryć”.

Carlisle i Jacobs stali po jej obu stronach z bronią w gotowości i opuszczonymi wizjerami kasków. Na górze zaparkowana była tylko kilka aut, rozstawionych luźno pomiędzy grubymi betonowymi filarami, które podtrzymywały zniszczoną budowlę. Woda ściekała z wielu pęknięć w dachu, a zapach benzyny i smaru był wyraźnie wyczuwalny.

- Gdzie on jest? - spytał Jacobs.

- Gdzieś na tym poziomie - odparła Angela. - Rozejść się i go znaleźć.

Trzy czarne postacie przesuwaly się powoli w stronę środka parkingu, zajmując ustalone pozycje. Angela była z lewej strony ze swoim megagnatem opartym na ramieniu. Oddychała płytko, lecz równomiernie. Przez filtr termalny wizjera jej kasku parking wyglądał na szaroniebieski, zimny i mało zachęcający.

- Bądźcie czujni - powiedziała przez system łączności. - Zdejmijmy go czysto i bez szarpaniny.

Trzy pary butów stukaly cicho o posadzkę. Angela słyszała w oddali przejeżdżające ulicą auta, ale parking pozostawał cichy. Poczula, jak ciarki przechodzą jej po plecach, kiedy przypomniała sobie prędkość, jaką wampir rozwinął na placu, ale próbowała to zignorować.

„Nie ma się czym martwić. To rutynowe polowanie”.

Spojrzała na betonową przestrzeń, by upewnić się, że jej zespół ma się dobrze. Jacobs był pięć metrów po jej prawej stronie i poruszał się spokojnie naprzód. Carlisle - kolejnych pięć metrów dalej. Gdy na nich patrzyła, na jej twarzy pojawił się mroczny uśmiech, lecz zamarł, kiedy za ich plecami

rozległo się echo.

- Zostawcie mnie. - Coś warknęło. - Chcę po prostu zostać sam.

Angela stanęła w pół kroku.

- Stop - powiedziała, unosząc wizjer.

Jej zespół wykonał rozkaz. Obrzuciła wzrokiem pustą przestrzeń, szukając właściciela głosu, boleśnie świadoma, że filary były na tyle szerokie, by ktoś mógł się za nimi ukryć.

Powoli sięgnęła w dół i przekreśliła kontrolkę na pasku.

- Wyjdź i się pokaż. - Jej wzmocniony głos przetoczył się po parkingu. - Nie masz się czego obawiać.

- Nie boję się! - krzyknął wampir. Jego głos przypominał Pisk i odbijał się od każdej betonowej ściany. - Nie boję się! Wcale! Zostawcie mnie w spokoju!

- Nie możemy - odrzekła spokojnym głosem. - Wyjdź do nas. Brak odpowiedzi.

Angela powoli przeskanowała obszar, szukając śladu ich celu. Niczego nie znalazła, ani cienia, ani ruchu, niczego, co zdradzałoby jego pozycję. Popatrzyła na Jacobsa z megagnatem w dłoniach i na Carlisle'a stojącego między filarami z MP5 na ramionach.

Potem coś białego się poruszyło. Otworzyła szeroko oczy, chciała coś powiedzieć, ale było za późno.

Wampir wyłonił się zza jednego z filarów tak nagle, że można było pomyśleć, że po prostu się zmaterializował. Carlisle chciał się odwrócić, unosząc jednocześnie broń, ale był zbyt powolny. Jedna z pięści wampira przebiła wizjer kasku z odgłosem przypominającym huk grzmotu. Fioletowy plastik popękał w zetknięciu z ciosem, który wbił odłamki w twarz i szyję agenta, otwierając liczne krwawiące rany. Carlisle padł nieprzytomny na beton. Jego ciałem wstrząsały spazmy, a nogi uderzały o podłoże.

Wampir zawył, wydał z siebie ogłuszający skowyt triumfu i zwrócił spojrzenie swoich szkarłatnych oczu na Jacobsa w

chwili, gdy ten uniósł swój megagnat.

Jacobs zdławił strach, który próbował ogarnąć jego serce i wsunął palec na spust. Skupił całą uwagę na potworze, którego miał przed oczami. Wampir był prawie nagi. Jego ciało w intymnych miejscach przykrywały jedynie strzępy czegoś, co kiedyś musiało być szpitalną koszulą. Mężczyzna był chudy, wyglądał prawie na niedożywionego, a jego ogoloną głowę pokrywały różnokształtne różowe blizny. Oczy płonęły szkarłatem, otwarte usta obnażały białe kły.

Megagnat tkwił oparty o ramię Jacobsa. Agent wycelował lufę w sam środek piersi wampira. Zaczął pociągać za spust, lecz nim go nacisnął, zorientował się, że celuje w pustkę. Wampir przykucnął i ruszył w jego kierunku.

Przemknął po betonowej posadzce i pochwycił lewą rękę agenta, wykręcając ją w górę i na bok. Palec Jacobsa zadrżał, ściskając spust i posyłając wprost na sufit metalowy kołek, który odbił się, spadł i potoczył gdzieś na bok. Uchwyt wampira był niesamowicie mocny; Jacobs krzyknął, czując, jak kości w jego nadgarstku napierają jedna na drugą. Uderzył potwora wolną ręką, ale nic to nie dało. Twarz wampira pojawiła się tuż przed nim, ze świecącymi na czerwono oczami, wykrzywiona w szaleństwie. Agent poczuł strach, jakiego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu. Ręce miał złączone w potężnym uścisku, który pociągnął go na dół, zmuszając do zgięcia się w pasie. Nogami szurał po betonie.

Angela Darcy zwalczyła chwilową panikę i nakazała sobie spokój. Musiała robić swoje. Jej zespół został w mgnieniu oka przetrzebiony. John Carlisle leżał na ziemi w konwulsjach. Z jego zmiażdżonej twarzy ściekała krew. Alex Jacobs był właśnie torturowany przez wampira i traktowany jak nieposłuszna, buntująca się kukielka.

„Coś jest nie tak - pomyślała. - Bardzo nie tak. Jest zbyt

silny. I zbyt szybki".

Uniosła swój megagnat, ale od razu się zorientowała, że nie odda czystego strzału. Usiłując trafić wampira, zraniłaby Jacobsa. Wsunęła broń do kabury, wyjęła pistolet na promienie UV, jednym płynnym ruchem wycelowała i nacisnęła spust. Promień fioletowego światła pomknął przez parking i pochłonął potwora. Nie miał czasu zareagować, nim jego ciało stanęło w płomieniach.

Fioletowy ogień lizał skórę wampira, paląc ją na węgiel. Krew zaczęła ciec z pęknięć. Stwór był w agonii, ale nie zwolnił uścisku, w którym trzymał ręce Jacobsa. Agentka przed płomieniami chronił uniform, ale szalały one teraz wokół niego i jego krzyki dorównywały tym wydawanym przez wampira. Angela patrzyła z przerażeniem, jak palący się, wyjący potwór ciągnie Jacobsa, aż jego ciało znalazło się pod odpowiednim kątem, a potem uderza płonącym ramieniem w obydwa ramiona agentki. Rozległ się trzask. Ramiona Jacobsa były złamane, a jego krzyki coraz głośniejsze. Wampir odrzucił go na bok i skupił uwagę na Angeli.

Zaryzykowała spojrzenie na leżącego towarzysza. Obie ręce miał złamane w połowie przedramion, a dłonie wskazywały w górę pod nienaturalnym kątem. Ponownie skupiła uwagę na potworze, który zmierzał w jej kierunku. Płonące kawałki jego ciała opadały na betonową posadzkę, kiedy sycząc i dysząc, sunął po zimnej ziemi. Angela powoli się wycofała, utrzymując dużą odległość od wampira. Już dwukrotnie widziała, jaki był szybki, nie zamierzała ryzykować. Nie odrywając wzroku od rozpadającej się twarzy, wyciągnęła MP5 i opróżniła magazynek w jego nogi - rozwalila mu kolana i skruszyła długie, cienkie kości. Potwór padł na ziemię. Nie wydawał już żadnych dźwięków, kołysał się tylko na strzaskanych kolanach z szeroko rozpostartymi ramionami i otwartymi, pełnymi ognia ustami.

„Chryste - pomyślała. - Jezu Chryste!”.

Angela Darcy widziała wiele okropnych rzeczy w czasie swej kariery tajnego agenta, ale ta była jedną z najgorszych. Nabrała powietrza do płuc, rzuciła MP5 i ponownie sięgnęła po megagnat. Wampir zdawał się na nią patrzeć, ale w miejscu, gdzie były jego oczy, pozostały tylko fioletowe płomienie, więc nie mogła być pewna. Megagnat ciążył jej w rękach, kiedy wycelowała go w serce palącej się, spazmującej kreatury i nacisnęła spust

To, co pozostało z wampira, eksplodowało wrzącą krwią ochlapując brudną posadzkę. Angela biegła już na drugą stronę parkingu, krzycząc do mikrofonu swojego kasku żądania pomocy medycznej dla rannych kolegów.

ROZMOWA

Jamie Carpenter stał przed drzwiami na poziomie C. Odetchnął głęboko, próbując uspokoić rozszalałe serce.

Zostawił Ellison i Mortona, aby przyswoili sobie szczegóły misji, chociaż było ich doprawdy niewiele. Jeden z pięciu celów, które im przypisano, został zidentyfikowany: Erie Bingham, cierpiący na schizofrenię paranoidalną, ujęty podczas próby uduszenia maleńkiej siostrzenicy, minął komisariat policji w Peterborough i został uchwycony przez kamery przemysłowe. System rozpoznawania twarzy natychmiast go zidentyfikował, wpisał lokalizację do bazy danych i od tamtej pory śledził każdy jego ruch. Wampir przemieszczał się na południe. Pozostałe cztery cele wciąż stanowiły tajemnicę. Były jedynie punktami cieplnymi na mapach satelitarnych. Lecz odpowiedzialni za identyfikację agenci nie przestaną się starać i zrobią wszystko, co w ich mocy, aby odkryć tożsamość zbiegów, zanim Jamie i jego grupa ruszą do akcji. Wiedza o tym, czy przed przemianą poszukiwany był brutalnym człowiekiem, w takich sytuacjach może się okazać kluczowa.

Mieli wyruszyć za mniej więcej półtorej godziny, więc Jamie wydał swojej grupie rozkaz. Ustalił spotkanie w hangarze za siedemdziesiąt pięć minut. On sam zamierzał się udać do stołówki coś zjeść, kiedy zadzwonił Jack Williams i przekazał mu wieści.

Koledzy Angeli Darcy trafili do izby chorych i są pod opieką lekarzy. Ramiona Jacobsa zostały nastawione i wsadzone w

szyny, a rany Carlislea oczyszczono i zaszyto. Obydwaj wyzdrowieją, ale Jacobs przez wiele miesięcy nie wróci do czynnej służby a Carlisle będzie potrzebował operacji, aby usunąć kawałek plastiku, który utkwiał dosłownie milimetr od jego tętnicy szyjnej

- Powalił ich jeden wampir - powiedział Jack. - Angela mówi, że nigdy czegoś takiego nie widziała.

Jamie podziękował za przekazanie wiadomości i prosił, żeby Williams był ostrożny. Jack powtórzył to samo i rozmowa została zakończona.

Drzwi przed nim nie różniły się od setek innych na poziomach mieszkalnych B i C. To, co sprawiało, że jego serce biło jak oszalałe, znajdowało się w środku. Uniósł dłoń, z irytacją zauważył, że drży, i zastukał.

Cisza.

Powtórzył pukanie. Już miał zrezygnować i odejść, gdy usłyszał dochodzący ze środka niski głos.

- Kto tam?

- To ja - odparł. - Jamie.

Przez dłuższą chwilę nic się nie wydarzyło. Potem drzwi otworzyły się serią kliknięć i lekko się uchyliły. Jamie pchnął je do środka, odsłaniając przestronny pokój, o wiele większy od jego kwatery, niezagracony. W środku panował porządek; blat biurka był pusty, łóżko równo zasłane, a podłoga umyta i wypolerowana. Naprzeciwko biurka stały dwa fotek, jeden pusty drugi trzeszczał pod ciężarem osoby, która go zajmowała

Potwór, znany jako Victor Frankenstein, spojrział na Jamiego, kiedy ten wszedł do środka. Miał na sobie białą koszul rozpiętą pod szyją, czarne spodnie i ciężkie buty. Gęsty, wielobarwny zarost pokrywał jego policzki i brodę, a włosy opadały mu na czoło i ramiona. Jego wygląd nie był pogwałceniem kodeksu - Czarny Filtr dużo swobodniej podchodził do kwestii stroju i wizerunku niż wojsko czy siły

specjalne - ale to i tak martwiło Jamiego Na małym stoliku przy fotelu stała szklanka, butelka whisky i kubek z lodem. Te przedmioty też go zaniepokoiły zwłaszcza że ledwie minęło południe.

- Cześć - zagaił, zajmując pusty fotel.

- Dobry wieczór - odparł Frankenstein.

- Jest popołudnie. - Jamie zmusił się do uśmiechu. - Wczesne popołudnie.

- Mam to w nosie - rzucił Frankenstein. Sięgnął po butelkę i napełnił szklanę. - Jak się miewasz, Jamie? Uważasz na siebie?

- Staram się - rzekł chłopak. - Ale było łatwiej, kiedy i ty na mnie uważałeś. - Ponownie się uśmiechnął, starając się jakoś zdopingować potwora, skomplementować go. - O wiele łatwiej.

- Nie wątpię - odpowiedział. - Szkoda, że musiałeś tak szybko dorosnąć. Nie zasłużyłeś na to.

- Wiem - przyznał Jamie. - Ale taki jest świat, czyż nie? Złe rzeczy wciąż się przytrafiają.

Frankenstein przytaknął.

- Złe rzeczy się przytrafiają.

Pusta dłoń potwora sięgnęła do piersi i tam się zatrzymała. Pod koszulą były schowane rozległe blizny, znacznie świeższe niż pozostałe, pokrywające całe ciało. Zostały wyrte skalpelem Dantego Valeriano, samozwańczego króla wampirów w Paryżu, którego Frankenstein poważnie ranił prawie przed wiekiem, a który przez kolejne dekady skupiał się tylko na swoim nieza-spokojonym pragnieniu zemsty. Tak naprawdę był oszustem. Wywodził się z klasy robotniczej Saint-Denis i nazywał Pierre Depuis. Zdobył panowanie nad paryskimi wampirami jedynie dzięki brawurze i porywającej fikcyjnej historii swojego życia. Jamie wraz z niewielkim oddziałem agentów zniszczył króla wampirów w teatrze, w którym ten mieszkał, i sprowadził trzymanego w niewoli

Frankensteina do domu. Niestety, Valeriano zaczął już wprowadzać w życie swój plan zemsty.

„Nie wie, że to robi - myślał Jamie. - Nie zdaje sobie sprawy z tego, że dotyka blizn”.

Dłoń Jamiego drgnęła. Odruchowo chciał sięgnąć do szyi i dotknąć czerwonego fragmentu skóry, rozciągającego się pomiędzy szczęką a ramieniem - pamiątki po poszukiwaniach matki- Miał wrażenie, że to było lata temu.

„Nie jesteś jedyny - myślał. - Wszyscy mamy blizny”.

- Jak twoja dziewczyna? - spytał Frankenstein. - Jak jej było na imię? Tej wampirzycy?

- Larissa - odpowiedział przez zaciśnięte zęby. - Miewa się dobrze, dziękuję.

Potwór skinął głową.

- Nadal jest w Ameryce?

- Tak - potwierdził.

-I dobrze - mruknął Frankenstein.

Jamie opanował furję, jaka narosła w nim w jednej chwili. Siłą woli jakoś udało mu się ją zdusić.

„Spokojnie - powtarzał do siebie. - To nie jego wina. Bądź spokojny”.

Nienawiść Frankensteina do wampirów była wiekowa i niezmiernie silna. Już podczas pierwszej wspólnej akcji powiedział Jamiemu wyraźnie, co sądzi o tym gatunku. Uważał go za nienaturalny, niemający prawa istnieć na tym świecie. Jego spotkanie z lordem Dantem nie wpłynęło na zmianę zdania, no i nadal nie wybaczył Larissie zmarnowanego czasu podczas poszukiwań Marie Carpenter. To, że Jamie sam go o to prosił, nie miało znaczenia.

- Wydaje się szczęśliwa - odparł Jamie najradośniej, jak tylko potrafił. - Więc chyba rzeczywiście dobrze.

Frankenstein patrzył na Jamiego swoimi wielokolorowymi oczyma. Jego spojrzenie było ciężkie i wyrażało ostrzeżenie.

- A twoja druga przyjaciółka? - spytał. - Ta z Lindisfarne? Ma

na imię Kate, prawda?

- Ma się dobrze - rzekł Jamie, wdzięczny za zmianę tematu.
- Utknęła nad jakimś projektem z Paulem Turnerem. Rzadko ją ostatnio widuję.
- Takie jest życie w Departamencie - zawyrokował potwór.
- Zawsze coś się dzieje.
- Coś już o tym wiem. Właśnie byłem na odprawie Godziny Zero. Nie uwierzysz, co...
- Nie chcę wiedzieć - przerwał Frankenstein.
- Wiem, ale...
- Jamie - potwór nieznacznie podniósł głos - już to przerabialiśmy. Cał zaproponował mi miejsce w oddziale specjalnym. Odmówiłem. Przecież o tym wiesz. Dlaczego tak trudno ci uszanować moją decyzję?

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Wciąż jesteś nieaktywny. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie.
- Owszem.
- Dlaczego?
- To przecież oczywiste. Jestem niebezpieczny. Nikomu się nie przydam na żadnej akcji.
- Jesteś niebezpieczny trzy dni w miesiącu - sprostował chłopak. - Nie sugeruję, żebyś podczas nich brał udział w akcjach, ale przez resztę czasu...
- Przepraszam - przerwał potwór. - Jak zawsze ciekawi mnie, dlaczego uważasz, że to twoja sprawa.

Jamie poczuł wściekłość.

- Powiem ci dlaczego - odparł. - To moja spawa, bo narażałem życie swoje i czterech innych agentów, żeby wyciągnąć cię z tego teatru w Paryżu i sprowadzić bezpiecznie do domu. Oto dlaczego!
- Ale dlaczego to zrobiłeś? - zapytał olbrzym. - Dlaczego ryzykowałeś tyle, żeby mnie ocalić?
- Dlaczego? - Jamie nachylił się w fotelu. - O czym ty, u

diabła, mówisz? Przecież jesteśmy po tej samej stronie. Bo sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi. Bo nie chciałem, żebyś zginął. Wybierz sobie któryś powód. Dante by cię zabił, gdybyśmy nie dotarli tam wtedy, kiedy dotarliśmy. A teraz jedyne, co potrafisz robić, to pić whisky i zadawać głupie pytania? Co z tobą?

- Sam się oszukujesz, Jamie. - Głos Frankensteina był tak spokojny, że aż wkurzający. - Dlaczego mnie uratowałeś?

- Ponieważ to, co się stało, to była moja wina! - krzyknął chłopak. - Gdybym nie posłuchał Toma Morrisa, sprawy w Lindisfame potoczyłyby się inaczej! Nie spadłbyś, nie zostałbyś pogryziony, nie straciłbyś pamięci! Więc kiedy odkryliśmy, że wciąż żyjesz, nie mogłem pozwolić ci umrzeć, jasne? Musiałem cię znaleźć i sprowadzić do domu. Rozumiesz? Musiałem! Olbrzym uśmiechnął się szczerze.

- Wiem o tym, Jamie - powiedział cicho. - I jeśli sądzisz, że nie jestem wdzięczny za to, co zrobiłeś, to bardzo się mylisz, przysięgam. Zawdzięczam ci życie. Ale obaj wiemy, dlaczego tak postąpiłeś. Z powodu wyrzutów sumienia. Sądziłeś, że w ten sposób wymażesz błąd, który w swoim mniemaniu popełniłeś w zeszłym roku. Mówiłem ci już tysiąc razy, chociaż ty w to nie wierzysz, że to nie był twój błąd. Złe rzeczy się przytrafiają, Jamie. Tak po prostu. Zaufałeś starszemu agentowi operacyjnemu, bo nie miałeś powodu, żeby w niego wątpić, i wszystko diabli wzięli. Winieś się i jestem w stanie to zrozumieć. Ale uratowałeś mnie, przywiozłeś do domu i teraz możesz już zrzucić z siebie ciężar, który nosiłeś od chwili, gdy spadłem. Mówiłem poważnie, że zawdzięczam ci życie. Ale to nie znaczy, że pozwolę, byś mi dyktował, jak mam przeżyć jego resztę.

Jamie poczuł, że złość ulatuje. Ponownie opadł na fotel.

- Rozumiem - powiedział. - Wiem, jak trudno było ci w Paryżu. To znaczy nie wiem, ale mogę to sobie wyobrazić.

- Nie chodzi tylko o Paryż - sprostował Frankenstein. -

Dante, Latour, oni są jedynie częścią całości.

- Więc w czym rzecz?

- Nie zrozumiesz - stwierdził olbrzym. - Pogrzebałem tak wiele z tego, co robiłem, i tak głęboko, że zdołałem przekonać samego siebie, że może nie jestem takim potworem, za jakiego mnie wszyscy uważają. Że dobro może przewyższyć zło. Ale nie może. To tak nie działa.

- Dlaczego? - spytał Jamie. - Czemu miałoby tak nie być?

- Tak po prostu nie jest. Przeszłości nie da się całkiem pogrzebać. Wydawało mi się, że tak zrobiłem, ale kiedy wróciły wspomnienia, czułem, jakbym przeżywał to wszystko od nowa. Miałem wrażenie, że moja dusza jest rozrywana na tysiąc kawałków na moich oczach. Nie oczekuję współczucia ani litości. Ale chcę, żebyś zrozumiał, że nie mogę tam wrócić. Po prostu nie mogę.

Jamie współczuł wielkiemu szarozielonemu mężczyźnie, który niegdyś złożył uroczystą przysięgę, że będzie chronił rodzinę Carpenterów. Wiedział, że w wyjaśnieniach Frankensteina zabrakło jednego słowa.

„On się wstydzi. Tego, co robił. Siebie”.

- To, o czym nie chcesz wiedzieć, to poważna sprawa - rzekł Jamie, zmieniając temat. - Pojawił się nowy typ wampira. Bardzo silny i bardzo szybki. Powiem po raz ostatni. Przydałaby nam się twoja pomoc.

- Przykro mi - odparł potwór. - Nie mogę. A co z tobą? Wychodzisz?

Jamie sprawdził konsolę.

- Za niewiele ponad godzinę. Wszyscy czynni agenci ruszają dzisiaj za dnia lub w nocy.

- Zabierasz swoich żółtodziobów? Chłopak przytaknął.

- Holmwood tymczasowo zmienił status wszystkich rekrutów i przeniósł ich do czynnej służby. Wrócą na Plac Zabaw, jak tylko rozprawimy się z tą sytuacją. Ale na razie oficjalnie są agentami.

Frankenstein nalał sobie kolejną szklanę whisky.

- Są gotowi? - spytał.

- Nie. - Jamie był szczery. - Ale myślę, że sobie poradzą. Będą musieli. Tkwimy w bagnie po uszy.

Potwór upił łyk.

- Miej ich na oku.

Jamie zmusił się do śmiechu.

- Oboje są ode mnie starsi. Jedno było jakimś sekretnym zabójcą SIS, a drugie kandydatem do SAS. Mam nadzieję, że to oni będą mieli oko na mnie.

Frankenstein odstawił szklanę i się nachylił.

- Mówię poważnie. - Jego głos przywodził na myśl grzmoty. - Nie obchodzi mnie, co wcześniej robili, gdzie to robili i jak długo. Nigdy nie widzieli tego, co ty i ja. Dlatego powtórzę: miej ich na oku. Zrozumiałeś?

- Tak. W porządku, rozumiem. Będę ostrożny.

Frankenstein się wyprostował.

- Na pewno będziesz próbował - powiedział. Przez krótką chwilę w jego oczach pojawiło się rozbawienie i Jamie poczuł, że atmosfera w pokoju się zmieniła. - Porozmawiajmy o czymś mniej dołującym. Jak Mattowi podoba się to, że został poproszony o uratowanie świata?

Jamie otworzył usta, żeby odpowiedzieć, kiedy poczuł wibrowanie konsoli przy pasku. To alarm, który ustawił, żeby przed spotkaniem z oddziałem zdążyć zrobić jeszcze kilka rzeczy.

- Matt ma się świetnie - odparł, wstając. - Opowiem ci następnym razem, obiecuję.

- Musisz iść?

- Tak, przepraszam.

- Myślałem, że ruszacie dopiero za godzinę?

- Przykro mi - powtórzył Jamie, zauważywszy smutek na twarzy Frankensteina. - Przyjdę jutro, dobrze?

- W porządku. Powodzenia podczas misji. Bądź ostrożny. I

pamiętaj, co mi obiecałeś: trzymaj się z daleka...

- Wiem - przerwał mu chłopak z szerokim uśmiechem. - Wiem, co ci obiecałem. Przypominasz mi to za każdym razem, kiedy się widzimy. Do zobaczenia jutro.

- Dobrze. - Na ustach potwora pojawił się cień smutnego uśmiechu. - Do jutra.

- Naprawdę? - spytał Valentin Rusmanov, stawiając dwa kubki z herbatą na stole na środku celi. - Naprawdę kazał ci to obiecać?

- Trzymaj się z daleka od Valentina - rzekł Jamie z szerokim uśmiechem.

- Przypomina mi o tym za każdym razem, kiedy się widzimy.

- Jakże cudownie! - odparł Valentin, siadając na szeszlunku ustawionym pod jedną z nagich betonowych ścian celi. - W normalnych okolicznościach nie powiedziałbym, że łatwo mi schlebić, ale muszę przyznać, że robi mi się przyjemnie ciepło na myśl, że potwór uważa mnie za godnego takich ostrzeżeń. Czy wyjaśnił ci, dlaczego masz mnie unikać?

- Mówi, że nie można ci ufać - odpowiedział Jamie, popijając herbatę. - Nie wierzy w twój powód pobytu tutaj.

- Cóż, w sumie nie mogę go za to winić - stwierdził Valentin.

- Chociaż cieszę się, że postanowiłeś zignorować jego ostrzeżenia. No i nie lubię hipokryzji.

- To znaczy? - Jamie rozejrzał się po celi.

Lamberton, wieloletni lokaj Valentina, zajmował całą obok, ale mógł się tutaj pojawić w każdej chwili. Stare wampiry mogły przenikać ściany UV, które miały je zatrzymywać, i robiły to, ilekroć miały ochotę. Jamie założył, że Lamberton dawał im złudne poczucie prywatności podczas rozmowy swego pana z gościem. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że służący doskonale słyszałby dyskusję prowadzoną w o wiele większej odległości.

Cela Valentina zapełniła się kilkoma przedmiotami, odkąd pojawił się w bazie, oferując pomoc Czarnemu Filtrowi w pokonaniu zarówno swego niegdysiejszego pana, jak i starszego brata. Elegancki szeszlony, stolik do kawy z drewna różanego, obite skórą zielone krzesła - wszystko było nowe. Jamie nie wiedział, skąd Valentin je wziął. Zapewne otrzymywał to w wyniku długich dyskusji z Calem Holmwoodem. Jamie bardzo chciał wysłuchać jednej z nich.

Członkowie Departamentu wciąż mieli różne zdania na temat wampira, nawet po tym, jak zachował się podczas ataku brata na bazę. Walczył z Valerim na oczach wszystkich, aż do impasu, i napił Larissę własną krwią kilka chwil przed tym, jak ostatni element obrony bazy - pierścień niezwykle potężnych bomb UV - zmienił ich oboje w spalone łupiny.

Lecz dla wielu agentów pozostawał wampirem - starym i niezwykle niebezpiecznym. Został przemieniony przez Drakulę i wielu nie wierzyło, że może naprawdę stanąć po ich stronie. Oczekiwano jakiegoś aktu zdrady i to przyczyniało się do tworzenia napiętej atmosfery wewnątrz organizacji. Powód był jeden: nikt w Czarnym Filtrze nie byłby w stanie powstrzymać Valentina, gdyby postanowił się zwrócić przeciwko nim.

Jamie nie był pewien swoich uczuć względem starego wampira. Valentin był prowokatorem i w jego naturze nie leżało dawanie jakichkolwiek zapewnień. Odmówił prośbom potwierdzenia swej chęci współpracy. Nie zgodził się nosić pasa ograniczającego ani wszczepić sobie miejscowego lokalizatora. Na nic się nie zgodził. Utrzymywał, że jego słowo powinno być wystarczające, ciesząc się - tego Jamie był pewien - ze świadomości, że przecież nie ma powodów, aby właśnie tak było. Ale napił Larissę własną krwią, kiedy Valeri wyrwał jej gardło, i choćby za to Jamie czuł wdzięczność. Nie był głupi, wiedział, że Valentinowi prawdopodobnie chodziło tylko o wzmocnienie swojej pozycji w Departamencie i w tym

dostrzegł swoją szansę. Było tak wiele możliwych kłamstw, że nigdy nie będą całkiem pewni, dlaczego wampir postąpił tak, jak postąpił. Jamie postanowił więc uwierzyć Valentinowi, jednocześnie nigdy nie spuszczać gardy i mając zawsze pod ręką swój megagnat.

Okazało się to łatwiejsze, niż oczekiwał. Ponieważ ponad wszystkim i poza racjonalnym wytłumaczeniem leżała prosta prawda, która zapewne złamałaby Frankensteinowi serce.

Jamie lubił Valentina.

Bardzo go lubił.

Wampir był pełen życia: radosny, arogancki, zabawny i nieskończenie czarujący. Jego apetyt na otaczający go świat był zaraźliwy, chociaż pchał go do popełniania takich okropieństw, że na myśl o nich Jamiemu robiło się słabo. Niemniej chłopak zauważył, że już samo przebywanie w towarzystwie wampira poprawia mu nastrój. Niestety, ze smutkiem musiał przyznać, że nie mógł powiedzieć tego samego o Frankensteinie.

- Potwór robił w ciągu swojego życia takie rzeczy, że nawet ja dwa razy bym się zastanowił - rzekł Valentin. - Wiem, że teraz jest lojalnym pieskiem Czarnego Filtru, ale nie zawsze był taki oswojony i poukładany. Dlatego to, że mnie ocenia, uważam za hipokryzję. A ty nie?

- Nie wiem - stwierdził Jamie. - Żałuje tego, co robił. Ty nie. To dość duża różnica.

Valentin uśmiechnął się szeroko.

- *Touche*, panie Carpenter. Ale odpowiedz mi na jedno pytanie: czyjego żal wymaże cierpienia, jakie spowodował?

Jamie pokręcił głową.

- No właśnie - skwitował wampir. - Żal, poczucie winy i samobiczowanie są dobre, ale nie zmienią tego, co już się stało. Morderca może odnaleźć w więzieniu Boga albo przejść terapię i żałować swoich win. Może już nigdy nikogo nie zabić, ale to nie przywróci jego ofiar do życia.

- Prawda. Ale to lepsze niż alternatywa.
- Alternatywą w tym wypadku jestem ja?
- Owszem.

- Zapewne z twojej perspektywy to prawda - rzekł Valentin, popijając herbatę. - Z mojej natomiast nie ma nic tchórzliwszego od udawania kogoś, kim się nie jest. Jeśli nadejdzie dzień, kiedy ktoś wbije mi kołek w serce, aby ukarać mnie za wszystko, co zrobiłem, nie będę miał mu tego za złe. Według standardów moralnych, jakie panują w obecnych czasach, w pełni na to zasłużyłem, bo przeżyłem życie, jak sam tego chciałem. Dlatego tak mnie frustruje, że twoi zwierzchnicy wciąż mi nie ufają. Nigdy nie udawałem kogoś, kim nie jestem, i nie mam zamiaru zaczynać teraz. Rozumiesz, dlaczego tak mnie to irytuje?

- Owszem - przyznał Jamie. - Ale jeśli to dla ciebie zaskakujące, nie jesteś nawet w połowie tak inteligentny, jak ci się wydaje.

Nastąpiła chwila ciszy, zanim stary wampir wybuchł śmiechem. Jamie do niego dołączył. To był ryzykowny żart, ale chłopak wierzył, że całkiem nieźle wyczuł już granice Valentina, i był pewien, że ujdzie mu to na sucho.

- Lubię z panem rozmawiać, panie Carpenter - rzekł wampir, gdy ich śmiech już ucichł. - Masz w sobie więcej życia niż tuzin twoich odzianych na czarno przyjaciół.

- Dzięki. - Jamie uśmiechnął się szeroko.

„Lubię z tobą rozmawiać. Chętnie tutaj przychodzę”.

- Proszę bardzo. A więc co obecnie zajmuje pana czas, panie Carpenter?

- Wiesz, że nie mogę ci nic powiedzieć - odparł Jamie. - Chociaż jestem pewien, że i tak o wszystkim wiesz.

Valentin się uśmiechnął.

- Od czasu do czasu usłyszę jakieś mamrotanie, nawet tutaj na dole. Opróżnienie więzień to bardzo bystre posunięcie mojego byłego pana.

- Sądzisz, że rozkaz wydał Drakula? - spytał Jamie. - A nie Valeri?

Valentin aż prychnął.

- Oj, proszę cię - powiedział głosem pełnym pogardy. - Zmuszanie innych do walki w swoim imieniu rzeczywiście jest w stylu mojego brata, ale to była zbyt śmiała akcja, zbyt inteligentne posunięcie, żeby jego maleńki mózdzek mógł na to wpaść. Z przykrością muszę powiedzieć, że Drakula zaczyna się upominać o swoje prawa.

- Tak sądziłem - rzekł Jamie i głęboko westchnął.

- Słyszałem, że wasi zbiegowie są niezwykle potężni. To zdumiewające.

Jamie zmrużył oczy.

- Co o tym wiesz? - spytał.

- Nic - odparł wampir z błyskiem w oku, który się Jamiemu nie spodobał.

- Absolutnie nic. Zakładam, że ty i twoi koledzy nie jesteście bliżej ustalenia miejsca pobytu mojego dawnego pana.

- Wiesz, że nie mo...

- Nie możesz mi powiedzieć. Oczywiście - przerwał Valentin.

- Przyjmę więc, że tak się mają sprawy, a ty nie musisz ani potwierdzać, ani zaprzeczać. Jak już nieraz mówiłem twoim przełożonym, istnieje rozwiązanie waszych problemów.

Jamie się nachylił.

- Jakie?

- Ja, panie Carpenter - stwierdził wampir. - Przepraszam. Zakładałem, że to raczej oczywiste. Mogę ich odnaleźć - Jak?

- Znam ciemne zaułki, w których ukrywa się mój brat. Znam mężczyzn i kobiety, z którymi się zadaje. Mogę pozyskać informacje od ludzi, którzy wam nie podaliby nawet swoich imion. A co więcej, mogę ich wyczuć. Jesteśmy złączeni krwią. Mogę ich znaleźć, ale mi nie wolno.

- Dlaczego? - spytał Jamie.

- Jak już nieraz mówiłem, pana zwierzchnicy mi nie ufają,

panie Carpenter. Wierzą, że moja obecność jest częścią jakiegoś planu i że jeśli pozwolą mi wyjść, wrócę do brata i swego dawnego pana i powiem im wszystko, co wiem o tym miejscu i jego mieszkańcach.

- To głupie - rzekł Jamie. - Co mógłbyś im powiedzieć, czego nie wiedzą już od szpiegów Valeriego? I tak ledwie przetrwalimy atak.

Valentin uniósł dłonie i je rozpostarł.

- Też wysunąłem ten argument - odparł. - Niestety, nie są oni tak otwarci na prostą logikę jak ty. Dlatego tkwię w celi, niezdolny do udzielenia jakiegokolwiek pomocy i z każdym mijającym dniem coraz bardziej znudzony.

Jamie rozważył idiotyzm opisanej mu przed chwilą sytuacji.

- A nie możesz po prostu wyjść? - zapytał wreszcie. - Naprawdę potrzebujesz ich pozwolenia?

- Mój drogi panie Carpenterze - zaczął Valentin. - Schlebia mi pańska wiara w moje umiejętności, naprawdę. I, owszem, prawdopodobnie mógłbym stąd wyjść, gdyby zaszła taka potrzeba. Ale kiedy tylko opuszczę tę celę, pozostaną mi dwie możliwości: przebić się przez bazę i wywalczyć sobie przejście na powierzchnię albo przekopać się przez kilkaset metrów betonu i ziemi. Każda z opcji skończyłaby się śmiercią większości mężczyzn i kobiet w tej bazie. Nie jest to myśl, która jakoś szczególnie pobudza moją wyobraźnię.

- Porozmawiam z nimi - obiecał Jamie.

- Nie wątpię, panie Carpenterze. Jak zawsze, masz moją wdzięczność.

- Super - skwitował.

Był świadom tego, że Valentin o nic go nie prosił, że sam zgłosił się na ochotnika, by porozmawiać z przełożonymi w imieniu wampira. Ale odepchnął od siebie tę myśl. To, co wampir mówił, miało sens. Z pewnością każdy to dostrzeże.

Jego konsola zawibrowała. Jamie wyłączył sygnał alarmu.

- Czas do pracy? - spytał Valentin.

- Prawie - odparł chłopak, wstając i rozciągając ramiona.
- Te nowe, podrasowane wampiry nie ulegną samozniszczeniu, prawda?

- Wątpię - odrzekł Jamie z uśmiechem.

- Wielka szkoda - skwitował Valentin i wstał. - Twoja wizyta była prawdziwą przyjemnością, Jamie. Jak zawsze.

Wyciągnął dłoń, którą chłopak uściśnął. Jamie był skonfundowany. Zawsze tak się czuł, kiedy opuszczał celę Valentina. Zupełnie jakby usłyszał tylko połowę rozmowy, jakby to, co naprawdę ważne, jakoś mu umknęło.

- Mnie też było miło.

Valentin uśmiechnął się jeszcze raz, a potem podleciał do szezlonga i otworzył sfatygowaną książkę, która leżała na stoliku.

Jamie obserwował go przez sekundę czy dwie, a potem przeszedł przez ścianę z promieni UV i poczuł znajome swędzenie na skórze. Skręcił w prawo i szybkim krokiem udał się do celi na końcu bloku.

Jamie zawsze czuł się dziwnie, kiedy stawał przed ścianą z promieni UV, zamykając kwadratowy pokój, który jego matka nazywała teraz domem.

Ciepła, wygodna przestrzeń tworzyła tak surowy kontrast z szarym betonem innych cel, że zawsze chciało mu się śmiać. Marie Carpenter stała na środku nienagannie wysprzątane go pomieszczenia i uśmiechała się do syna podenerwowana. Przeszedł przez ultrafioletową barierę, uściśnął ją i poczuł, jak ostrożnie obejmuje go ramionami. To też sprawiało, że chciało mu się śmiać. Jego mama tak bardzo się martwiła, że niechcący zrobi mu krzywdę swoją wampirzą siłą, że trzymała go tak, jak gdyby był ze szkła.

- Jak się masz, mamó? - spytał, odsuwając się. - Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - zapewniła. Jak zawsze jej wzrok zatrzymał się na bliźnie na jego szyi. - A ty jak się czujesz, skarbie?

- Żyję - odrzekł z uśmiechem. Natychmiast pożałował swojego żartu, bo Marie zmarszczyła brwi. - Nic mi nie jest, mam. Wszystko u mnie w porządku.

- To dobrze.

Przez dłuższą chwilę stali bez słowa, patrząc na siebie.

- Mógłbym usiąść - rzucił wreszcie Jamie. - Co ty na to?

- Tak - odparła. - Tak, usiądź. Koniecznie. Chcesz herbatę?

- Nie, dzięki. - Klapnął na brązową skórzaną sofę, która przez lata stała w salonie ich domu w Kent.

- Przepraszam - powiedziała. - Zapomniałam, że przed chwilą piłeś.

Jamie przez moment był skołowany. Potem zaczął się śmiać.

- Słyszałaś, jak rozmawiałem z Valentinem.

- Nie podsłuchiwałam - odparła szybko. - Nie specjalnie. Nie mogę nic na to poradzić.

- W porządku, mam. To nie twoja wina.

- Masz ochotę na coś innego? - W jej głosie dało się słyszeć nadzieję. - Mam herbatniki.

- Nie, dzięki. Nie mogę zostać zbyt długo. Zasmuciła się.

- Idziesz na misję? - spytała.

Po raz kolejny miał ochotę się zaśmiać. Słuchanie o tym, jak jego matka mówi o misjach, było absurdalne, chociaż nie bardziej niż to, że w wyniku ostatniej próby skrzywdzenia rodziny Carpenterów przez Alexandru Rusmanova stała się wampirem. Albo to, że podczas ataku Valeriego na bazę walczyła przeciwko jego armii, dopuszczając się aktów przemocy, które kompletnie nie pasowały do jej delikatnej natury.

- Tak - odparł. - Ale nie mogę ci wyjawić, o co chodzi.

- Czy to niebezpieczne? - Stała zdenerwowana, trzymając w dłoni paczkę herbatników.

- Wszystkie misje są niebezpieczne - skwitował. - Zostaw te

herbatniki i usiądź.

Przytaknęła i odłożyła pudełko na stół, który kiedyś stał w ich kuchni. Potem usiadła na sofie obok syna.

- Dobrze się czujesz? - Chciał się upewnić. - Masz wszystko, czego ci potrzeba?

Skinęła głową.

- Przepraszam, że nie mogę zostać. Przyjdę do ciebie jutro, dobrze? Obiecuję.

- Dwa dni temu mówiłeś to samo - zauważyła. - I dzień wcześniej także.

Jamie poczuł, że na policzki wypływa mu rumieniec. Ale nie była to złość, którą czuł podczas rozmowy z Frankensteinem, tylko wstyd. Rzeczywiście obiecał jej dwa dni temu, że do niej przyjdzie. I dzień wcześniej także. I wiele razy przed tym. Ale jakoś zawsze wypadało mu to z głowy. Mnóstwo się działo i zapominał. Nigdy nie narzekała ani nie robiła mu wyrzutów. Nigdy nawet o tym nie wspomniała. Aż do teraz.

- Wiem - przyznał cicho. - Przepraszam. Po prostu... Czasami na górze jest istne szaleństwo.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Wyraz twarzy matki sprawił, że Jamiemu zachciało się płakać. Wyczytał z niej bezwarunkową miłość.

„Nieważne, jak często ją zawodzę - myślał - zawsze mi wybacza. Nie zasługuję na nią”.

- Boisz się czasami? - spytała Marie łagodnym tonem. - Zrozumiem, jeśli nie zechcesz mówić.

Pytanie nim wstrząsnęło. Rozważał kłamstwo, ale odrzucił tę możliwość. Obiecał sobie, że jej nie okłamie, niezależnie od tego, co będzie musiał jej powiedzieć.

- Czasami - odparł. - Zazwyczaj nie. Ale teraz... Marie zmarszczyła brwi.

- Słyszałam, jak rozmawiałeś z Valentinem o jakichś nowych wampirach. Są gorsze od normalnych?

- Nie widziałem ich na żywo - odparł. - Ale tak. Wygląda na

to, że jest źle.

- Musisz iść? Jamie skinął głową.

- Inni nie mogą się nimi zająć? Dlaczego to zawsze musisz być ty?

- Nie tylko ja, mamó. Wszyscy wyruszamy.

- To musi być coś poważnego - rzekła Marie. - Obiecuj, że będziesz bardzo ostrożny.

Jamie się uśmiechnął.

- Nie martw się, mamó. Przyjdę jutro, żebyś zobaczyła, że nic mi się nie stało. Obiecuję.

Marie uśmiechnęła się do syna, a on poczuł, jakby miało mu pęknąć serce.

- Nie składaj obietnic, których nie będziesz mógł dotrzymać - powiedziała. - Nie chcę utrudniać ci życia, naprawdę. Po prostu miło by było cię zobaczyć od czasu do czasu. To wszystko.

- Przepraszam, mamó - powtórzył. - Naprawdę. Jutro do ciebie przyjdę.

- W porządku. - Wzięła go za rękę. - Jestem pewna, że tak będzie.

Poczuł, jak w gardle rośnie mu gęła, więc wstał. Matka podleciała do niego, a on ponownie ją objął. Ścisnęła go, po czym wróciła na drugą stronę celi, żeby zaparzyć sobie herbatę. Jamie obserwował ją przez chwilę z bolącym sercem, a potem ruszył korytarzem.

Marie Carpenter słuchała oddalających się kroków syna.

Kiedy dotarł do drzwi, odetchnęła w sposób, który bardziej przypominał szloch. Martwiła ją świadomość, że Jamie był codziennie w niebezpieczeństwie, ale jeszcze bardziej bolało ją to, że tak rzadko go widywała. Myślała, że jedynym plusem okropnej serii nieszczęść, które spadły na jej rodzinę, będzie przynajmniej to, że spędzi więcej czasu z synem, tak jak przed

śmiercią Juliana, gdy chłopak stracił ojca. Ale Jamie był wiecznie zajęty i nigdy nie przychodził, choć obiecywał, że ją odwiedzi. Starła się nie okazywać, jak bardzo ją to boli. Nie chciała być ciężarem ani kolejnym powodem do zmartwień w chwili, kiedy jedyne, o czym powinien myśleć, to jak się nie narażać. Czasami tak bardzo się na siebie złościła. Próbowwała skupić się na tym, że Jamie ma większe zmartwienia niż odwiedziny u mamy, starła się po prostu być z niego dumna i go wspierać. Ale nie mogła nic poradzić na to, jak się czuła. Tęskniła za synem.

- Przeszkadzam?

Marie obróciła się i zobaczyła wysokiego, uderzająco przystojnego mężczyznę stojącego po drugiej stronie ultrafioletowej bariery. Miał na sobie piękny granatowy garnitur, a jego skóra była niewyobrażalnie blada, niemal przezroczysta. Zdawała się lśnić we fluorescencyjnym świetle.

- Oczywiście, że nie, Valentinie - odparła z uśmiechem. - Jak zawsze miło cię widzieć.

Stary wampir odpowiedział jej uśmiechem i przeniknął przez barierę UV, jakby to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Po pierwszej wizycie Valentina Marie też tego próbowała, ale spaliła sobie ramię na węgiel. Jednak teraz stała się szybsza. Nabierała sił z pomocą nowego przyjaciela i wierzyła, że dzień, w którym będzie mogła bezpiecznie wyjść z celi, coraz bardziej się zbliżał. Mężczyzna pojawił się u jej boku, a ona zareagowała na jego bliskość tak jak zawsze - jakby ktoś bez uprzedzenia przełączył jej wewnętrzny termostat o kilka stopni w górę.

- Wspomniałaś coś o herbacie? - Wampir uśmiechnął się oszalamiająco.

- Ty to zrobiłeś - zdołała powiedzieć. - Usiądź.

Przez dłuższą chwilę się nie ruszał, a potem przepłynął elegancko w powietrzu i usiadł na sofie.

- Jak się ma Jamie? - spytał.

Marie uśmiechnęła się na dźwięk imienia syna i zaczęła mówić, szykując dla nich herbatę.

CZAS WRACAĆ DO DOMU

OSIEM LAT WCZEŚNIEJ

Johnny Supernova zaniknął za Albertem Harkerem drzwi swojego mieszkania, założył łańcuch i przekręcił zasuwę.

Bywał już w towarzystwie szaleńców różnego typu. Kiedyś pomógł nawet przekonać gwiazdę popu, by zeszła z dachu swojego domu w St Johns Wood, kiedy groziła, że skoczy ze swoją dwuletnią siostrzenicą w ramionach. Był jednym z pierwszych, którzy podczas imprezy w Camden weszli do łazienki, gdzie nastoletni chłopak zdarł sobie żyłką skórę z przedramion, mamrocząc coś o chodzących pod nią pajakach. Widział paranoję podsycaną narkotykami i sławą, przemoc, wykorzystywanie i koszmary wszelakiego rodzaju, sadyzm, złośliwość, a raz nawet zimne i puste oczy psychopatki stojącej obok niego w hotelowym barze i beznamiętnie opowiadającej o pogodzie. To wspomnienie do dziś wywoływało u niego ciarki.

Ale jeszcze nigdy podczas swoich podróży po ciemnych zakamarkach świata nie trafił na szaleńca tak wiarygodnego jak Albert Harker. Nigdy nie słyszał tak spokojnego, rzeczowego głosu. To, co opowiedział mu ten człowiek, to wymysły wariata, fantazje dziecka albo spiski konspiracyjne fanatyka. Ale w sposobie, w jaki ten mężczyzna opowiadał swoją historię, nie zauważył ani krztyny obłędu. Był naprawdę bardzo przekonujący.

Dreszcz przeszedł Johnny'emu po plecach, kiedy wszedł do

salonu i zobaczył na stoliku magnetofon. Mała czarna maszyna wydawała się niepokojąca, wręcz niebezpieczna, więc przez chwilę rozważał roztrzaskanie jej na kawałki. Pozbyłby się informacji, które zawierała, raz na zawsze. Ale coś sprawiło, że się zawahał. Ostatnie zlecenie otrzymał niemal trzy miesiące wcześniej, a pieniądze za nie już dawno się rozeszły. Wątpił, by ktokolwiek potraktował historię Harkera poważnie, ale nauczył się, żeby nigdy nie mówić „nigdy”. Może mógłby to przerobić na coś, co da się gdzieś upchnąć? Opowieść o ojcach i synach, o braciach i obsesji wyższej klasy na punkcie rodziny i tradycji.

Johnny wziął magnetofon i wyjął z niego małą kasetę. Umieścił ją na jednym z dwóch odtwarzaczy, które stały przy oknie, wsunął czystą taśmę do drugiej kieszeni i wcisnął nagrywanie. Przyjaciele i znajomi często się dziwili, że Johnny Supernova jest tak zorganizowany, gdy w grę wchodzi jego wywiady. Skanował notatki i trzymał pliki na laptopie. Robił kopie nagrań i opisywał je własnym kodem, który dla innych zupełnie nic nie znaczył.

Nagranie przegrywało się w trybie przyspieszonym, aż głośne piknięcie dało mu znać, że kopia jest gotowa. Johnny wyjął nową taśmę, napisał na etykiecie pozornie przypadkową kombinację liter i cyfr i ustawił ją na półce pod magnetofonem. Stało już na niej kilkaset wyglądających identycznie taśm. Oryginalną kasetę umieścił ponownie w przenośnym magnetofonie, a potem poszedł do niewielkiej kuchni. Zaparzył dzbanek herbaty i niósł go właśnie do pokoju, bo chciał jeszcze raz odsłuchać nagranie, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Johnny zmarszczył brwi. Nikogo nie oczekiwał, a swój adres trzymał raczej w tajemnicy. Przez lata miał do czynienia ze zbyt wieloma szalonymi fanami, ludźmi, którzy pojawiali się na jego progu na końcu jakiejś dziwnej pielgrzymki i chcieli z nim imprezować. Albo po prostu pobyc w jego obecności. Na

początku zapraszał tych ludzi do środka, częstował piwem i winem, czasami narkotykami i pozwalał im zostać tak długo, jak długo chcieli. Później proponował filiżankę herbaty i pozwalał im się ogrzać przez kilka minut, a potem wysyłał tam, skąd przyszli. Teraz po prostu mówił, że pomylili adres, i zamykał im drzwi przed nosem.

Odstawił dzbanek, zszedł po schodach i wyszedł na wspólny korytarz, z którego korzystali wszyscy mieszkańcy domu. Po raz pierwszy pożałował, że nie ma domofonu. Mógłby sprawdzić, kto stoi na zewnątrz, chroniąc się za zamkniętymi na dwa zamki drzwiami. No ale nie miał domofonu. Podszedł do drzwi wejściowych i zbliżył twarz do drewnianej płyty.

- Ko tam?! - zawołał. Poczul ukłucie wstydu, kiedy zorientował się, że głos mu drży. - Kto tam?!

- Policja, proszę pana - odparł człowiek za drzwiami głosem wyzutym z emocji. - Proszę otworzyć.

Johnny zamarł. Kiedy policja stukała do jego drzwi za pierwszym razem, było zgoła inaczej.

- W czym mogę pomóc?! - krzyknął.

- Musimy z panem porozmawiać. To kwestia bezpieczeństwa narodowego - odparł rozmówca. - Może pan pomóc, otwierając drzwi.

„Bezpieczeństwo narodowe?”.

Wciąż się wahał. Coś tu nie grało. Próbował ustalić źródło swojego niepokoju, ale to mu się nie udało. Wziął więc głęboki oddech i otworzył.

Ledwie drzwi się uchylily, a ktoś z impetem je wyważył. Johnny zatoczył się do tyłu. Stracił równowagę, obrócił się i podparł jedną ręką o zniszczony dywan w korytarzu. Nim się wyprostował, drzwi wejściowe były zamknięte na zamek, a przed nim stały dwie ubrane na czarno postacie. Ich twarze zasłaniały fioletowe wizjery kasków, które mieli na głowach. Johnny nie mógł dojrzeć ani milimetra odsłoniętej skóry. Jedna z osób uniosła dłoń w rękawicy i Johnny wpadł w

panikę. Odwrócił się i pobiegł w kierunku otwartych drzwi swojego mieszkania.

Nie zdążył.

Próbował dosięgnąć futryny, chciał przeskoczyć przez szparę w drzwiach, ale czyjeś palce chwyciły go za włosy i pociągnęły ostro w prawo. Stracił równowagę i uderzył głową o ścianę. Zobaczył gwiazdy i z trudem utrzymał się na nogach. W jego myślach kołatało tylko jedno zdanie: „Muszę uciec. Muszę uciec. Muszę uciec”.

Rzucił się do przodu, czując rozdzierający ból, kiedy część jego włosów została w ręku człowieka w czerni. Wbiegł do mieszkania i próbował zamknąć drzwi, ale między nie a futrynę wcisnęła się już noga w ciężkim czarnym bucie. Odwrócił się i pobiegł po schodach do kuchni; był coraz bardziej spanikowany. Za nim zabrzmiały kroki, powolne i spokojne. Johnny zdał sobie sprawę z tego, że nie ma dokąd uciec. Potem czyjeś ręce znów go chwyciły i pchnęły do salonu, gdzie rzucono go na sfatygowaną sofę. Przyglądał się dwóm czarnym postaciom. Jedna z nich zdawała się go obserwować zza fioletowego wizjera, a druga podniosła magnetofon i wcisnęła odtwarzanie. Z głośnika rozległ się głos Alberta Harkera.

„To największa tajemnica świata. Moja rodzina i inni chronili ją od ponad wieku. Ale ja ją panu zdradzam”.

Postać zatrzymała odtwarzanie, otworzyła kieszeń magnetofonu, wyjęła taśmę i przekazała koledze. Ten trzymał ją tuż przed twarzą Johnny'ego.

- To nagranie twojego wywiadu z Albertem Harkerem? - spytał tym samym beznamiętnym tonem, który Johnny słyszał zza drzwi.

Dziennikarz przytaknął. Był zbyt przerażony, żeby się odezwać.

Mężczyzna wsunął kasetę do kieszeni z boku uniformu.

- Gdzie są twoje notatki? - spytał.

Johnny wskazał je drżącym palcem. Jego notes leżał tam, gdzie go zostawił, na podłokietniku krzesła. Druga postać wzięła go, przekartkowała i schowała do kieszeni.

Johnny odzyskał głos.

- Ej! - zawołał. - Tam są też inne rzeczy!

- Inne? - spytała jedna z postaci.

- Normalne - odparł Johnny. - Do pracy. Notatki z rozmowy z Harkerem to tylko ostatnie dwie strony. Zostawcie mi resztę. Proszę.

Nastąpiła cisza. Potem ciemna postać wyjęła z kieszeni zeszyt, wyrwała dwie ostatnie kartki i rzuciła notes na stolik.

Johnny już miał się do niego podczołgać i chwycić, kiedy dłoń w ciemnej rękawicy ujęła go za twarz i obróciła w swoją stronę. Fioletowy wizjer znajdował się ledwie kilka milimetrów od jego twarzy; Johnny poczuł narastającą panikę.

- Panie Supernova - powiedział intruz głosem tak zimnym, że dziennikarz miał ochotę krzyczeć. - Szczerze odradzam próbę opublikowania tego, co pan dzisiaj usłyszał. Niczym niepotwierdzone bajdurzenia człowieka uzależnionego od narkotyków i chowającego urazę do swojej rodziny nikogo nie zainteresują. Poza tym trudno uznać, żeby coś takiego było mówione w jak najlepszym interesie publicznym. Opublikowanie takiej historii oznaczałoby koniec pańskiej kariery, a już teraz nie ma się ona za dobrze. Czy rozumie pan, co do pana mówię?

Johnny szybko przytaknął. Przez jakiś czas postać pozostała nieruchoma. Johnny widział w fioletowym wizjerze odbicie swojej przerażonej twarzy. Potem człowiek w czerni puścił go i wstał.

- Skończyliśmy tutaj - powiedział.

Drugi intruz skinął głową, poszedł do kuchni i otworzył drzwi.

Chwilę później już ich nie było.

Johnny patrzył za nimi przez dłuższą chwilę, a potem gwałtownie poderwał się z sofy i podbiegł niepewnym krokiem do wejścia. Korytarz był pusty.

Drzwi do domu były zamknięte.

Johnny zachlupał jak małe dziecko i zatrzaskał drzwi mieszkania. Zamknął wszystkie zamki, zasuwę i łańcuchy. Pobiegł na górę, dopadł półki z kasetami i drżącymi rękami chwycił kopię wywiadu z Harkerem. Trzymając ją mocno, zsunął się na podłogę i oparł o ścianę. Przyciągnął do siebie kolana i zaczął płakać.

Półtora kilometra dalej Albert Harker szedł Mostem Londyńskim, zastanawiając się, czemu skłamał dziennikarzowi. Nie, to nie tak.

Nie skłamał. Wszystko, co powiedział Supemovie, było prawdą. Ale pomiął jeden szczegół, gdy opowiadał o swojej odmowie wstąpienia do Departamentu 19.

W Nowy Rok 1980 roku brat bliźniak Alberta, Robert, wziął go na bok, wymusił przysięgę milczenia i opowiedział mu o Czarnym Filtrze.

Albert jeszcze nigdy nie widział brata tak ożywionego i podekscytowanego perspektywami, jakie miał dla nich rozpoczynający się właśnie rok. Albert go wysłuchał, a potem zapytał, skąd brat wie o tajnej organizacji, którą mu opisał. Robert zmarszczył brwi. Miał minę kogoś, kto dał się ponieść i nie rozważył potencjalnych konsekwencji.

- Tata się wygadał - wyznał po dłuższej chwili. - W nasze urodziny, jak się upił. Stwierdził, że za rok będziemy mogli zacząć prawdziwe życie. Spytałem, co ma na myśli. Wtedy mi powiedział.

- A ja gdzie wtedy byłem? - zapytał Albert. Znajome uczucie ponownie zagościło w jego piersi. Miał wrażenie, że obłożono mu serce lodem.

- Było późno - wyjaśnił Robert. - Już spałeś. - I mówisz mi o

tym dopiero teraz?

Spojrzenie Roberta padło na podłogę i Albert już wiedział.

- On mi zabronił- rzekł brat. Miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, by wyglądać na skruszony. - To było rano. Powiedział, że nie powinien być mi nic mówić i że nie mogę ci niczego zdradzić. Obiecałem, że tego nie zrobię. Przepraszam, Bert.

Albert odepchnął urazę na bok - miał w tym już spore doświadczenie - i spróbował się skupić na słowach brata. Istniała przyszłość, w której razem będą robili niezwykle rzeczy, ekscytujące i niebezpieczne. Nowy Rok, dzień zazwyczaj przynoszący mu jedynie smutek, nagle nabrał kolorów i stał się pełen możliwości.

- Nie przejmuj się - rzekł z uśmiechem. - Chociaż wygląda na to, że będziesz musiał się nauczyć lepiej dotrzymywać sekretów.

Robert także się uśmiechnął.

- Tata też. Powiedział mi, kto jeszcze pracuje w Czarnym Filtrze.

- Kto?

- Frankenstein.

- Spadaj! Doktor Frankenstein jest prawdziwy?

Robert pokręcił głową.

- Nie doktor. Potwór. Przyjął nazwisko swojego stwórcy. Kwestia honoru czy czegoś takiego.

- Potwór Frankensteina jest prawdziwy i pracuje z naszym tatą? Właśnie to chcesz mi powiedzieć?

- Aha. A za rok my też będziemy z nim pracować. Postaraj się to jakoś ogarnąć.

- Muszę się napić - powiedział Albert, uśmiechając się do brata. - I to dużo.

Robert zaśmiał się pełnym radości śmiechem - głośnym, o wysokim tonie. Bracia objęli się i dołączyli do zabawy w chwili, gdy zebrany tłum zaczął odliczać sekundy do

pólnocy.

Przez osiem długich miesięcy Albert czekał na urodziny z przejęciem, którego nie odczuwał, odkąd był małym chłopcem. Wiosna i lato wlokły się niemożliwie, aż wreszcie nadeszła upragniona chwila. Dzień wcześniej opuścił korytarze szkoły w Cambridge i przyjechał do rodzinnego domu, ciesząc się atmosferą wyczekiwania, odczuwalną, kiedy wszyscy jedli kolację. Potem życzył rodzinie dobrej nocy.

Długo trwało, zanim zasnął.

Kiedy rankiem się obudził, podekscytowany zszedł na dół, gdzie zastał rodziców i brata w trakcie śniadania. Przyłączył się do nich. Ten czas okazał się ostatnią chwilą prawdziwego szczęścia, jakiej wspólnie doświadczyli. Kiedy talerze zostały zebrane, szampan wypity, a prezenty otwarte, ojciec poprosił Roberta do gabinetu. Mijając brata w drodze na górę, Robert puścił do niego oko.

Mężczyźni wrócili piętnaście minut później. Robert miał minę kota, który właśnie zjadł miskę śmietanki. Ojciec wyglądał na dumnego. Chyba obydwaj płakali i Albert poczuł przyływ miłości.

„Moja kolej - pomyślał z ekscytacją. - Lada moment. Za sekundę”.

Ale nic się nie stało.

Znów zaczęły się zwykle rozmowy i Albert zrozumiał, z narastającym przygnębieniem, że jego kolej wcale nie miała nadejść. Starał się pochwycić spojrzenie brata, ale Robert świadomie unikał jego wzroku. Patrzył w każdym możliwym kierunku, tylko nie na Alberta. Śniadanie dobiegło końca i członkowie rodziny rozeszli się jedni poszli do pokoju dziennego, inni wyszli do ogrodu.

Albert został na swoim miejscu. Nie mógł uwierzyć, że to naprawdę się stało, że ktokolwiek - nawet David Harker - mógł być tak okrutny. Wreszcie usłyszał, że ojciec woła

Roberta. Chwilę później silnik jeepa zawarczał na podjeździe, opony zaszurały po żwirze - dotarła do niego rzeczywistość. Wstał od stołu, spakował torbę i wyszedł z domu, nic nikomu nie mówiąc.

W Cambridge przez trzy dni chodził pijany, a czwartego dnia zadzwonił do brata. Robert stwierdził, że nie wie, co się stało, a nawet gdyby wiedział, nie mógłby mu nic powiedzieć. Wyjaśnił, że teraz obowiązują go nowe reguły, i zabronił Albertowi pytać go o organizację, o której rozmawiali w sylwestra. Najlepiej by było, gdyby o wszystkim zapomniał.

Albert walczył z chęcią krzyczenia do słuchawki: „ To nie w porządku! To nie w porządku ! Zawsze dostawałeś wszystko, teraz masz i to, a ja nie mam nic! TO NIE W PORZĄDKU! ”

Zamiast tego powiedział Robertowi, że już nigdy więcej nie chce go widzieć i się rozłączył, chociaż brat próbował protestować. Potem otworzył butelkę wódki i czekał, by się przekonać, czy ojciec skróci jego cierpienia.

Mijały tygodnie bez wiadomości z domu. I wreszcie pewnego upalnego dnia pod koniec sierpnia Albert wrócił z pijackiego spaceru po parku i zastał ojca przed drzwiami swojego pokoju. Na jego twarzy malował się niesmak, kiedy zobaczył, w jakim syn jest stanie, niechłujny i nieogolony, ale nic na ten temat nie powiedział. Czekał tylko, aż Albert otworzy drzwi, i wszedł za nim do środka.

Albert usiadł na krześle pod oknem, ale ojciec wolał stać. Nie zaproponował mu herbaty, kawy ani niczego innego. Interesowało go tylko jedno - to, co ojciec miał mu do powiedzenia. Mówił wyzutym z emocji tonem, na którego dźwięk Albertowi chciało się wyć. David Harker wyjaśnił w skrócie, że istniała organizacja zwana Czarnym Filtrem, że każdy męski potomek rodziny Harker ów od czasów pradziadka, który pomógł ją założyć, był jej członkiem. Albert ma prawo się przyłączyć, jeśli taka jest jego wola. I to

było tyle.

Albert patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Zdał sobie sprawę z tego, co się stało - jego ojciec nigdy nie chciał zapraszać go do organizacji, ale usłyszał, zapewne od zwierzchników, że ma taki obowiązek. Dlatego przyjechał do Cambridge i złożył Albertowi propozycję w najmniej entuzjastyczny sposób, w jaki tylko potrafił, mając nadzieję, ale nie licząc na to, że Albert odmówi. Przez chwilę młody mężczyzna chciał się zgodzić ze zwykłej złośliwości. Ale ta myśl szybko minęła.

- Nie chcę się przyłączyć - powiedział, patrząc ojcu prosto w oczy. Zobaczył w nich dokładnie to, czego się spodziewał: bezgraniczną ulgę. Poczul, jak coś pęka mu w piersi, i kazał ojcu się wynosić. Nie czekając, aż ten wyjdzie, poszedł sztywnym krokiem do sypialni i padł na łóżko.

Leżał tam przez dłuższy czas. Wreszcie usłyszał trzaśnięcie drzwi.

Wiatr wiał od strony rzeki, więc przechodząc przez most, Albert mocniej opatulił się płaszczem.

Pozwolił Johnny'emu Supernowie wierzyć, że nigdy nie chciał wstąpić do Czarnego Filtru, że odrzucił propozycję ojca ze zwykłej, wyrachowanej złośliwości. Prawda była taka, że dzień jego dwudziestych pierwszych urodzin stał się dniem, kiedy zamknął przed światem serce. Okazał się potwierdzeniem wszystkich lęków: że jest do niczego, że nie dorównuje bratu, że ojciec nigdy go nie chciał i nie kochał. Prawda była banalna i przez to tym bardziej bolesna - odrzucił propozycję ojca, ponieważ nie mógł znieść myśli, że codziennie będzie widział w jego oczach rozczarowanie.

Albert znajdował się mniej więcej w połowie mostu, kiedy obok niego z piskiem opon zatrzymało się czarne auto. Przystanął i na nie spojrział. Okna były tak samo czarne jak

karoseria, a na przedniej tablicy rejestracyjnej widniał napis: „Wóz dyplomatyczny”. Drzwi od strony pasażera otworzyły się, więc Albert nachylił się i spojrzął do środka. Mężczyzna w czarnym garniturze przyglądał mu się zza czarnych okularów.

- Długo wam to zajęło - rzekł Albert. - Jeśli mam być szczery) nie sądziłem, że dotrę tak daleko. Chyba zanizacie standardy.

- Uda się pan z nami, panie Harker - pokazał mężczyzna Niczym się nie zdradził, czy słyszał słowa Alberta

- Dokąd?

- Ktoś chce z panem rozmawiać, panie Harker - odparł mężczyzna. Przesunął się nieznacznie na siedzeniu. Poły jego marynarki rozsunęły się na tyle, że Albert dostrzegł schowany pod pachą mężczyzny pistolet.

- Nie wiem, o kogo mogłoby chodzić - ciągnął z delikatnym uśmiechem.

Rozejrzał się. Tamiza płynęła powoli, a promienie słońca odbijały się od kamienia, szkła i metalu budynków po obu jej stronach. Niebo nad głowami było błękitne, a sunące po nim chmury - białe. To był naprawdę piękny dzień, na jaki ma się nadzieję każdego poranka, kiedy człowiek zmusza się, by wstać z łóżka. Albert Harker odetchnął głęboko i wsiadł na tylne siedzenie auta.

Gładko przyspieszyli, zostawiając Tamizę w tyle. Albert obserwował mijane budynki z dziwnym żalem. Miał wrażenie, że już nigdy ich nie zobaczy. To, że mężczyzna w przeciwsłonecznych okularach nie uznał za konieczne zasłonić mu oczu, sugerowało, że dostał bilet w jedną stronę. Nie obchodziło ich, że widział drogę do miejsca przeznaczenia.

Wóz przebił się przez korki na ulicy Aldwych, pojechał Kingsway i Woburn Place i skręcił na Euston Road. Za brudnymi zaśmieconymi ulicami Londynu, które otaczały stację King's Cross i które jeszcze dziesięć lat temu były w o wiele gorszym stanie skręcili na północ na York Way. Minęli ryneczki i kanalik z brudną, śmierdzącą wodą. Silnik wozu

mruczał, przejeżdżając Camden Road, gdzie zatrzymał się przed wysokim, wąskim budynkiem.

Facet w okularach kazał Albertowi czekać, po czym wysiadł z auta. Chwilę potem drzwi obok niego otworzyły się, ukazując mężczyznę przytrzymującego je z taką grzecznością, że Albert z trudem zwalczył chęć, by się roześmiać. Wygramolił się na zewnątrz i spojrzał na budynek. Do drzwi wejściowych, teraz otwartych na oścież, prowadziły niskie, pięciostopniowe schody. Harker spojrzał na mężczyznę w okularach, który się nie ruszał.

- Nie idziesz? - spytał.

Ten milczał. Albert obserwował go przez dłuższą chwilę, a potem przeszedł podjazd i powoli, stopień po stopniu, wszedł po schodach. Za drzwiami ujrzał postać stojącą na długim, wąskim korytarzu. Jej czarny garnitur był identyczny z tym, który nosił czekający na zewnątrz kolega. Ten także niczym się nie zdradził, że zauważył Alberta Harkera. Stał nieruchomo z rękami założonymi z przodu. Słuchawka w uchu była dobrze widoczna. Po przeciwnej stronie korytarza Albert zobaczył otwarte drzwi. Podeszedł do nich powoli, próbując uspokoić walące serce, i wszedł do znajdującego się za nimi pomieszczenia.

Pokój był wysoki z okiennym wykuszem, przy którym umiejscowiono sofę. Obok niej stał ojciec Alberta.

- Witaj, synu - powiedział David Harker. Miał na sobie uniform Czarnego Filtru. Ręce spoczywały po bokach ciała, a na twarzy nie malowała się żadna emocja.

Albert otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale wówczas zza pleców dobiegł go drugi głos, który go zmroził.

- Cześć, Bert.

Gdy powoli się odwrócił, w rogu zobaczył brata. On również był ubrany na czarno. Obok stał mężczyzna, którego Albert nie znał.

- Robert? Co ty tu...?

- Patrz na mnie, Albercie - rzucił David ostro. - Twój brat prosił, żeby mógł być obecny, ale to ze mną masz sprawę.

Albert zmusił się do spojrzenia na ojca. Na jego policzkach dostrzegł jasnorożowe plamy - w dzieciństwie dobrze je poznał. Były wyraźnym znakiem, że cierpliwość ojca jest na wyczerpaniu i że lada moment wybuchnie.

- Witaj, ojcze - powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił. W towarzystwie tych trzech mężczyzn poczuł się bardzo samotny. Ich lojalność wobec siebie była znacznie silniejsza niż lojalność, jaką którykolwiek z członków jego rodziny czuł wobec niego. - Co mogę dla ciebie zrobić? David zbliżył się o krok.

- Co mu powiedziałaś? - spytał lodowatym tonem.

- Komu?

- Dziennikarzowi. Co mu powiedziałaś? Albert wzruszył ramionami.

- Wszystko - odparł.

- Dlaczego?! - warknął David Harker. - Na miłość boską, dlaczego?!

- Bo wiedziałem, że uprzykrzę ci tym życie - odparł z uśmiechem Albert.

W okamgnieniu David przebył dystans między nimi i jego pięść trafiła syna prosto w szczękę, posyłając go na podłogę. Albert poczuł eksplozję bólu. Miał rozciętą wargę, w ustach zaczęła się zbierać krew. W żołądku mu się przewracało. Oparł dłonie na podłodze, starając się złapać równowagę. Wypluł krew na drewnianą posadzkę, a potem zakołysał się w przód i w tył i spojrzał w górę na ojca. Zza niego z oddali rozległ się znajomy głos. Nawoływał, żeby się opanowali, ale Albert nie zwracał na niego uwagi. Skupił wzrok na szkarłatnej, wykrzywionej twarzy ojca, na której malowała się czysta nienawiść.

- Głupi chłopiec - rzucił David Harker z pogardą. - Jesteś głupim, żalonym chłopczykiem. On nigdy nie opublikuje ani

słowa z tego, co mu powiedziałaś. Jedyne, co osiągnęłaś, to ponowne upokorzenie rodziny. Nie mogłeś po prostu zostać w tej swojej szcurzej norze w Southwark razem z innymi ćpunami? Albo zdechnąć, jak większość śmieci twojego pokroju? Zaoszczędziłbyś nam kłopotów.

- Cieszę się - wyzna Albert z uśmiechem, prezentując ubrudzone krwią zęby - że cię zawiodłem, ojcze.

David Harker ponownie uniósł pięść, ale tym razem brat Alberta złapał go za ramię i przytrzymał.

- Dość - powiedział Robert, rzucając pełne odrazy spojrzenie na bliźniaka.

- Nie w ten sposób, tato. Nie tak załatwiamy podobne sprawy.

Przez dłuższą chwilę David przyglądał się Robertowi. Potem wyraz jego twarzy się zmienił - malowała się na niej duma. Albert poczuł, jakby serce przeszywał mu sople lodu.

- Masz rację - przyznał David. - Dziękuję. - Poklepał syna po plecach i obaj spojrzeli na Alberta.

Z jego ust płynęła duża ilość krwi, brudząc koszulę na czerwono. Patrzył na nich ze strachem i nienawiścią.

- Już dawno trzeba to było zrobić - powiedział wreszcie David. - Powinienem być to załatwić dziesięć lat temu. Matka przekonała mnie, że bym cię zostawił, przekonała mnie, że z czasem odkryjesz, co to znaczy być mężczyzną, co to znaczy być Harkerem. Pozwolenie jej na to było moim błędem, teraz to widzę. - Spojrzał w kierunku drzwi i kiwnął głową. - Zabierzcie go stąd. Nigdy więcej nie chcę widzieć jego twarzy.

Albertem zawładnęło przerażenie.

„Oni mnie zabiją - myślał. - Oni mnie zabiją, o Boże. Ja nie chciałem, nie myślałem, że to zrobią. O Boże, ja nie wiedziałem. Nie wiedziałem”.

Chwyciły go czyjeś ręce. Zaczął krzyczeć i się rzucać. Starał się uwolnić. Wrzeszczał, wzywając brata i ojca, wołał, że przeprasza, błagał o kolejną szansę, ostatnią. Ale Robert i

David tylko patrzyli, całkiem spokojnie, jak wyprowadzano go z pokoju.

Walczył całą drogę do drzwi, kopał, rzucał się i wył, a kiedy jeden z mężczyzn rozluźnił uchwyt na jego ramieniu, podwoił wysiłki. Potem coś dużego i ciężkiego uderzyło go w dolną partię pleców i przestał się opierać. Ból był ogromny, nie do opisanego. Zwymiotował, kiedy jego niemal bezwładne ciało ciągnięto w stronę zaparkowanego auta.

Mężczyzna w ciemnych okularach czekał już na niego, oparty o nadwozie. Trzymał coś w dłoni. Kiedy się zbliżyli, Albert dostrzegł, że to strzykawka do połowy wypełniona przezroczystym płynem. Próbował zmusić kończyny do jakiegoś ruchu, żeby uciec, ale mu się nie udało. Cios w twarz i ten w nerki całkiem go obezwładniły. Ciało przestało go słuchać. Został podniesiony, a wówczas mężczyzna ze strzykawką zbliżył się z cieniem uśmiechu na ustach.

- Nie... - wydusił Albert błagalnym głosem. - Proszę.. Nie...

Mężczyzna nie zareagował i kiedy cienka igła wsunęła się w żyłę na jego szyi, Albert uchwycił się jednej myśli: „To nie jest rzeczywistość. To się nie dzieje”.

Opadły mu powieki, a ciało zwiotczało. Został wrzucony na tył samochodu.

Kiedy się obudził, na zewnątrz było już ciemno.

Otworzył oczy i próbował unieść ramiona, ale nic się nie działo. Umysł wciąż miał splątany i nie wszystko rozumiał. Znał ten stan bardzo dobrze z powodu uzależnienia od heroiny. Ale to było coś innego. Coś nieznanego. Skupił się i z trudem udało mu się unieść drżące dłonie do twarzy. Usta miał spuchnięte i pokryte skrzepniętą krwią. Przetarł oczy wierzchem dłoni i się rozejrzał. Był sam na tylnym siedzeniu auta, które stało. Kierowca twardo patrzył do przodu, a miejsce pasażera obok niego było puste. Albert przesunął się

trochę na lewo i wyjrzał przez przednią szybę.

W oddali zobaczył duży budynek, podświetlony żółtymi światłami wmurowanymi w ceglane ściany. Mężczyzna w okularach stał przed maską obok zamkniętej na łańcuch bramy, rozmawiając z kobietą w białym fartuchu. Kobieta gestykulowała, machając dłońmi i energicznie kiwając głową. Mężczyzna pozwolił jej chyba dokończyć, a potem nachylił się i mówił przez minutę. Kiedy się odsunął, kobieta wyglądała na pozbawioną energii. Była blada i lekko przygarbiona. Mężczyzna wyjął plik papierów z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał go kobiecie. Prześledziła je szybko wzrokiem, wzięła długopis z kieszeni fartucha, po czym złożyła podpis na każdej stronie. Potem oddała plik mężczyźnie i odeszła, nie odwracając się ani razu. Mężczyzna w okularach patrzył za nią, a potem podszedł do auta. Otworzył drzwi pasażera, usiadł obok Alberta i się do niego uśmiechnął.

- Witamy w nowym domu, panie Harker - powiedział przebiegłym tonem.

- Kierowca, ruszamy

Jechali powoli. Albert zauważył, że brama się rozsuwa. Auto wjechało przez poszerzającą się szczelinę. Dostrzegł przez okno biały prostokąt. Odsunął się od mężczyzny w ciemnych okularach, czując narastający strach. Przycisnął twarz do szyby i przeczytał dwa słowa napisane dużą niebieską czcionką na białym szyldzie:

SZPITAL BROADMOOR

GOTOWI DO DZIAŁANIA

Tak jak Jamie się spodziewał, Morton i Ellison czekali na niego w hangarze.

„Są na czas - pomyślał. - Dobry początek”.

Dwójka świeżo upieczonych agentów stała za czarnym vanem przydzielonym grupie operacyjnej M-3. Podszedł do nich. Odgłos jego kroków odbijał się echem od betonowej posadzki. Chłopak szykował się, by powiedzieć to, co musiało zostać powiedziane. Jadąc na górę, zastanawiał się, czy wyjawić żółtodziobom, co się stało z zespołem Angeli Darcy. Nie był pewien, czy dodatkowa presja w czymś pomoże, ale nie chciał, by szli na pierwszą misję, nie mając pełnej świadomości, czemu muszą stawić czoła.

- Agenci - powiedział, stając przed nimi.

- Poruczniku - odpowiedzieli.

- Broń i sprzęt gotowe? - spytał, patrząc na ich uniformy. Widział, że były idealne. Bez wątplenia sprawdzili wszystko po kilka razy w dormitoriach na poziomie C, ale musieli się trzymać protokołu.

- Tak, sir.

- Analiza wywiadowcza zakończona?

- Tak, sir.

- Parametry operacji jasne?

- Tak, sir.

- Doskonale. Agencie Morton, kto jest naszym celem?

- Erie Bingham, sir.

- Agentko Ellison. - Jamie odwrócił się do niej. - Jakich

informacji dostarczył nam wywiad?

- Długa historia przemocy, sir - odparła Ellison. - Schizofrenia paranoidalna zdiagnozowana ponad dziesięć lat temu. Wyrok za próbę morderstwa, liczne napady.

- Co to oznacza?

- Najpierw strzelamy, sir. I nie przestajemy.

- Bardzo dobrze. Słuchajcie mnie, róbcie, co wam mówię, i nie traćcie czasu na rozmowę czy próbę pochwycenia go żywcem. Wytropimy go, zniszczymy i ruszamy dalej. Zrozumiano?

- Tak, sir.

- Dobrze. A teraz jeszcze jedno; słuchajcie mnie uważnie. Doświadczony zespół pod dowództwem najlepszego agenta w Departamencie wrócił rano do bazy z dwoma poważnie rannymi członkami. Obaj zostali zranieni przez jednego wampira, który uciekł z Broadmoor. Grupa, o której mowa, nie miała pełnych informacji i zapłaciła za to wysoką cenę. My nie popełnimy takiego błędu. Jasne?

Morton i Ellison nie odpowiedzieli. Wyraźnie pobladli i zacisnęli usta.

„To tyle - pomyślał Jamie. - Albo sobie z tym poradzą, albo nie.

- Dobra - powiedział, otwierając drzwi auta. - Ruszamy.

Van pędził przez gęsty las otaczający Pętlę. Potężny silnik mruczał pod stopami pasażerów.

Członkowie grupy operacyjnej M-3 siedzieli przypięci pasami na trzech siedzeniach z tyłu. Broń i plecaki z wyposażeniem ulokowali bezpiecznie między sobą. Jamie trzymał się prosto, stopy postawił płasko na ziemi. W takim położeniu znajdował się dziesiątki razy i w normalnych okolicznościach jego wiara w system namierzający i obronny sprawiała, że prawie potrafił się rozluźnić. Ale okoliczności daleko odbiegały od normy.

Skupiał się więc na pokazywaniu nowym agentom, że jest spokojny, chociaż czuł ucisk w żołądku. Jego umysł wciąż przepełniały wątpliwości na temat tego, co spotkało Aleksa Jacobsa i Johna Carlislea.

Kilka razy próbował nawiązać rozmowę z podwładnymi, ale otrzymywał tylko jednowyrazowe odpowiedzi. Ostatecznie zrezygnował, pozwalając im się zatopić we własnych myślach. W rezultacie atmosfera w vanie zrobiła się napięta, co na tak wczesnym etapie operacji wydawało się niebezpieczne. Jego nowi koledzy byli zbyt nakręceny, ale Jamie uznał, że uświadomienie im tego mogłoby jedynie pogorszyć sytuację. Opuścił więc system kontrolny vana i otworzył mapę wschodniej Anglii, na której oznaczono dwa poruszające się punkty. Stanowili czarną kropkę, która przyspieszała teraz w kierunku południowym.

Czerwoną był Erie Bingham, ich cel.

Nadal przebywał w Peterborough i wyglądało na to, że po ucieczce z Broadmoor zszedł pod ziemię. Poruszał się, ale tylko na niewielkim obszarze. Wydział inwigilacji znalazł go w magazynie na jednym z obszarów przemysłowych na skraju miasta. Nie opuścił go od sześciu godzin. To była pierwsza naprawdę dobra wiadomość, jaką Jamie usłyszał przez cały dzień.

Opuszczony magazyn oznaczał brak cywili, brak potencjalnych zakładników, niemal zerowe ryzyko przypadkowych ofiar. Jako dowódca oddziału podczas obecnej misji otrzymał zgodę na „piątkę”. Był to koncept, do którego nigdy nie przywyknie.

„Jeśli dorwiemy wampiry z naszej listy i zginie przy tym nie więcej niż pięć osób, to wszystko będzie w porządku. Tak wygląda równanie. Jeden z nich na jednego z naszych. Matematyka pisana krwią i ludzkim życiem”.

Zgoda na przypadkowe ofiary i zniszczenia poboczne była jedyną rzeczą, o jakiej Jamie nie powiedział swoim

towarzyszom, ale nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Uznał, że mają dość zmartwień. Zamiast tego obserwował ekran. Kiedy zbliżał się do celu, towarzyszyło mu niepokojące poczucie czegoś nieuniknionego.

Godzinę później z interkomu łączącego szoferkę z tyłem wozu rozległ się głos kierowcy.

- Jesteśmy półtora kilometra od celu, sir. Mam jechać dalej?

- Rozumiem - odparł Jamie. - Tryb cichy. Dowieź nas sto metrów od celu.

- Zrozumiałem - potwierdził kierowca.

Szum silnika ucichł. Brzmiało to tak, jakby w aucie odcięto prąd, chociaż światła i ekran wciąż się świeciły, a wóz posuwał się naprzód.

- Broń przygotowana - rzekł Jamie, patrząc na towarzyszy.

Wyglądali na spokojnych i bardzo pragnął, żeby tak rzeczywiście było. Miał nadzieję, że z dala od bazy, w prawdziwym świecie z bronią, misją do wypełnienia i celem do zniszczenia Morton i Ellison ponownie staną się kimś, kim byli - doskonale wyszkolonymi agentami, którzy już wiele razy wcześniej bywali w sytuacjach zagrożenia życia. Oto chwila prawdy, kiedy - miejmy nadzieję - trening i doświadczenie przeważą nad strachem i nowi zdadzą sobie sprawę, że mogą zrobić to, o co się ich prosiło.

Morton i Ellison jak jeden mąż zaczęli przygotowywać ekwipunek i broń. Jamie zrobił to samo, nie odrywając jednak od nich wzroku. Mieli zimne spojrzenia. Podobało mu się to. Gdy już byli gotowi, zmusił się do uśmiechu.

- No to jazda - powiedział. - Zachowujemy spokój, robimy to, czego się od nas oczekuje, i wracamy do domu. To proste. Zrozumiano?

- Zrozumiano, sir - odparli.

Grupa operacyjna M-3 przebiegła po popękany asfalcie w

odstępach co pięć metrów, z Jamiem pośrodku.

Van odjechał, gdy tylko ich stopy dotknęły ziemi. Nawet w tak opuszczonym miejscu auto mogłoby przyciągnąć niepożądaną uwagę, więc kierowca pojechał gdzieś, gdzie będzie mniej widoczny. Tam miał czekać na ich sygnał.

Zostali sami.

Obszar przemysłowy był równie martwy jak powierzchnia księżyca. Śmieci pokrywały drogi i chodniki, a wszędzie wokół znajdowały się puste biura, fabryki i magazyny. W wielu oknach powybijano szyby, ale budynki wciąż stały. Po prostu wyglądały na opuszczone. Jamie się zastanawiał, co spowodowało ten nagły odpływ ludzi, do którego ewidentnie tutaj doszło. Czy firmy, które kiedyś zajmowały te budynki, splajtowały? Nastąpiła redukcja zatrudnienia? Przeniosły produkcję za granicę? Całe to miejsce wydawało się żałosne, jakby nie było żadnego powodu, aby istniało. Kiedyś był, ale teraz znikł i nigdy nie powróci.

Tuż przed nimi stała dwupiętrowa fabryka. To właśnie do niej zmierzali. Znak przed nią głosił, że jest to ZAKŁAD MROZONEK MCM. Drzwi wejściowe, przez które kiedyś pracownicy napływali strumieniem, zamknięto na długi, gruby łańcuch i lśniącą kłódkę. Jedno i drugie leżało teraz na ziemi, powyginane i poskręcane. Kiedy agenci dotarli do drzwi, były lekko uchylone.

- Chryste - szepnął Morton. - Żeby zrobić coś takiego, potrzeba siły.

- Właśnie - przyznał Jamie. - Zachowajcie spokój.

- To mało subtelne - zauważyła Ellison. - Chyba nie przejmuję się tym, czy zostanie złapany.

- Wątpię, żeby tak jasno myślał - odparł Jamie. - Jeśli nie jadł, to głód doprowadził go do szaleństwa. Jeśli jadł i wciąż jest sobą, i tak ma długą historię choroby psychicznej. Nie oczekuję przewidywalnego i logicznego zachowania od żadnego z naszych celów. Wy też nie powinniście.

- Jaki jest plan? - spytał Morton.

- Znajdziemy go - odparł Jamie. - To nie powinno być trudne. Obrazowanie termiczne sprawi, że będzie wyglądał jak fajerwerki. Potem go zniszczymy.

- Okej - przytaknął Morton.

- Doskonale. Za mną.

Jamie pchnął drzwi, wsunął się do środka i zniknął w mroku. Morton i Ellison ruszyli za nim z megagnatami w dłoniach.

Recepcja, która kiedyś witała gości ZAKŁADU MROŻONEK MCM, nie wyglądała już przytulnie. Biurko było puste, została tylko garść kabli.

Jarzeniówki na suficie nie świeciły. Na prawo od biurka znajdowały się drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do magazynu. One również stały otworem.

Jamie podszedł do nich cicho i zajrzał do środka. Przed jego oczami rozciągała się ogromna czarna przestrzeń. Nic się nie poruszało, nie dochodziły do nich żadne dźwięki. Magazyn, który kiedyś był zastawiony od podłogi aż po sufit paletami mrożonego jedzenia oczekującymi na rozwieszenie, wyglądał na pusty.

- Ekrany na podczerwień - szepnął Jamie. - On jest gdzieś tutaj. Jedyńka gotowe.

Było to hasło oddziałów Czarnego Filtru zezwalające na użycie broni. Morton i Ellison wycelowali megagnaty. Jamie sięgnął po swój i wprowadził grupę do magazynu. W idealnym świecie to nie on wykończyłby Erica Bingham. Nowi członkowie jego ekipy musieli przywyknąć do zabijania wampirów najszybciej, jak to było możliwe. Ale światu dużo brakowało do ideału i Jamie nie chciał ryzykować. Nie po tym, co usłyszał na odprawie grupy operacyjnej Godzina Zero. Jeśli pojawi się okazja do strzału, nie zawaha się jej wykorzystać.

Włączył tarczę przy pasku, która kontrolowała funkcje wizjera jego kasku, i patrzył, jak zimne betonowe ściany magazynu nikną pośród błękitu i czerni. Chwilę później

przekonali się, że to, co powiedział Mortonowi, było prawdą.

Erie Bingham łatwo dał się znaleźć.

Na przeciwległym końcu magazynu, w rogu, gdzie ściany łączą się z sufitem, tkwiła zwinięta żółtopomarańczowa kulka.

- Tam! - Słowa Ellison rozbrzmiały bezpośrednio w uchu Jamiego i Mortona.

- Mam - potwierdził Jamie. - Ellison, kryj nas. Morton, obok mnie.

Ellison wyminęła go i ruszyła powoli w kierunku wampira. Morton zajął pozycję obok Jamiego i obydwaj podążyli za towarzyszką. W pustym budynku poruszali się powoli i cicho. Byli już pięć metrów od swego celu, kiedy głośniki w kasku Jamiego zaczęły odbierać jakiś niski, gardłowy dźwięk. Szybko go rozpoznał.

Erie Bingham warczał.

- Co, do licha? - spytała Ellison.

Jamie miał jej odpowiedzieć, ale żółtopomarańczowa kulka ruszyła w ich kierunku.

- Widzę was! - krzyknął Bingham, lecąc ku nim.

Ciepło jego ciała oślepiało agentów. Jamie odskoczył, sięgając do panelu przy pasku, i kazał agentom otworzyć ogień.

- Chryste! - krzyknęła Ellison i odpaliła megagnat. Pocisk minął przyspieszającego wampira i odbił się od ściany z metalowym hukiem. Morton nie zrobił nic. Jamie słyszał jego ciężki oddech i wiedział, że agent zmarł.

Jamie skierował lufę swojego megagnata w stronę, gdzie powinien być wampir, i nacisnął spust. Metalowy kołek znikł w ciemności. Jamie zaklął, sięgnął w górę i uniósł wizjer kasku. Ciemność panująca w magazynie napierała na niego, a wzrok wypełniły szaroczarne plamy. Metalowy kołek z głośnym warkotem wrócił do lufy jego megagnata.

- Gdzie on jest?! - krzyknęła Ellison. - Zgubiłam go.

- Przegrupować się! - zawołał Jamie i zacisnął oczy, starając

się oczyścić wizję. - Do mnie, natychmiast.

Twarze towarzyszy zdawały się przed nim materializować, kiedy młodzi agenci odsunęli wizjery. Stali obok niego z szeroko otwartymi oczami, bladzi.

- Gdzie on jest? - ponowiła pytanie Ellison. - Nie widzę go.

- Cisza - szepnął Jamie. - Oboje bądźcie cicho.

Opuścił wizjer i zaklął. Gorąco, które promieniowało od Bingham, znikło z radaru kasku. Wizjer powoli się oczyszczał, bardzo powoli. Jamie ponownie go odsunął i wyjął zza paska latarkę. Snop białego światła padł z żarówki LED. Chłopak przesunął nim szybko po przestrzeni magazynu.

Nic się nie poruszyło.

Ellison i Morton włączyli swoje latarki i pojawiły się dwa kolejne promienie. Okazjonalnie się krzyżując, oświetliły niewielkie kawałki ogromnej przestrzeni, Jamie wyczuwał strach w przyspieszonych oddechach swoich towarzyszy.

- Spokojnie - powiedział. - Uspokójcie się.

- Jest tu jeszcze? - spytał Morton. Starał się oświetlić latarką odległe kąty.

- Nie wiem - syknął Jamie. - Widzę nie lepiej od was. Opuścił wizjer, mając nadzieję, że już się wyczyścił. Zaklął i znów go otworzył. Światło jego latarki pochwyciło jakiś ruch. Coś uciekało od łuny, coś z długim różowym ogonem. Jamie powoli przesunął latarkę, starając się nie dopuścić do tego, by drżała mu ręka.

- Co robimy? - szepnęła Ellison. - Sir? Co...

Jamie poczuł ruch powietrza i ułamek sekundy później Erie Bingham przebił się przez sam środek ich grupy, rzucając ich na ziemię. Jamie upadł twardo, ale zdołał jeszcze dojrzeć sylwetkę wampira znikającą w mroku.

Podерwał się na nogi, ignorując ból, który uaktywnił się w jego ramionach, i zaświecił latarką w kierunku, gdzie znikł Bingham. Serce waliło mu w piersi, krew dudniła w uszach. Dostrzegł coś, co się poruszało. Starał się to oświetlić, ale nie

zdążył.

Ellison i Morton podnieśli się i stanęli obok Jamiego.

- Jesteśmy niczym kaczki na wodzie - syknął Morton. - On nas widzi, my jego nie. Musimy się wycofać.

- Uspokój się, agencie - powiedział Jamie. - Namierzcie cel.

- Musimy się wycofać - powtórzył Morton drżącym głosem.

- John, słyszałeś szefa - wtrąciła Ellison. - Róbmy swoje.

- Widzę was! - krzyknął Erie Bingham. Jego głos odbił się echem po magazynie tak, że zdawał się dochodzić zewsząd. - Świetnie was widzę!

Jamie próbował zignorować przyływ adrenaliny krążącej mu w żyłach, odsunąć myśli od skrzeczącego głosu wampira i skupić się na zadaniu. Zrobił krok w kierunku, w którym znikł Bingham. Kontrolując oddech, pozwolił, żeby ogarnęła go ciemność, by odkryła przed nim swoje sekrety.

- Musimy się wycofać - powtórzył Morton, ale Jamie go nie słuchał.

Czekał na ruch powietrza, który zdradzi pozycję wampira. Odpiął od paska pistolet maszynowy MP5, dosunął do niego latarkę i zatrzymał się, nasłuchując i wczuwając się w powietrze na swojej twarzy.

Ruch.

Za nim.

Jamie obrócił się na pięcie, unosząc MP5 i naciskając spust. Ogień liznął lufę, kiedy magazynem wstrząsnął huk wystrzałów. Jego latarka pochwyciła rzucających się na ziemię agentów i coś poruszającego się za nimi na wysokości głowy, skracającego się, zostawiającego za sobą ślady krwi. Usłyszał gardłowy krzyk, a potem ciszę.

Morton poderwał się pierwszy, z wściekłością w spojrzeniu. Skierował latarkę w twarz Jamiego.

- Co ty, do diabła...? Jamie odtrącił latarkę.

- Patrzcie - rzekł i poświecił na podłogę.

W snopie światła pojawiły się plamy krwi. Jamie poszedł za

nimi w kierunku ciemnego kąta. Dostrzegli, co leżało na podłodze.

- Chryste - mruknęła Ellison.

Erie Bingham leżał w szybko powiększającej się kałuży krwi i patrzył na nich szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Był w średnim wieku, pewnie bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki, i wyglądał na zadziwiająco drobnego w ogromnej hali. Pierś miał poharataną dziurami po kulach, a prawe ramię leżało rozszarpane z boku.

- Proszę - powiedział. Krew popłynęła mu po brodzie. - Ja nie wiem. Powiedziałem im. Proszę.

Światło latarek Mortona i Ellison dołączyło do latarki Jamiego, oświetlając żaloszny widok przed nimi.

- Spudłowałam - przyznała Ellison. - Kiedy nas minął, nie wykorzystałam szansy.

- Ja też - rzekł Jamie. - To stało się szybko. Niemal zawsze tak jest.

- Jamie... - Morton zaczął mówić.

- Nie przejmuj się tym - przerwał mu Jamie. - Już po sprawie. Ellison?

- Tak, sir?

- Zakończ to.

- Tak, sir - powtórzyła Ellison. Zrobiła krok do przodu, wyciągając kołek.

Bingham patrzył na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Proszę - powtórzył. - Powiedziałem im. Przysięgam. Proszę. Ellison zatrzymała się na chwilę poza zasięgiem ramienia wampira. Potem ruszyła naprzód i wbiła kołek w jego pierś. Rozległo się głośne chrupnięcie i po chwili Erie Bingham eksplodował, rozpryskując wszędzie krew. Ellison odskoczyła, dzięki czemu uniknęła największej porcji, i wsunęła kołek z powrotem do uchwytu przy pasku.

- To wszystko było nie tak - powiedział Morton.

Trzej agenci siedzieli w vanie, przypięci i gotowi do drogi. Jamie kazał kierowcy poczekać, a sam poprosił o aktualne dane z wydziału inwigilacji. Miał nadzieję, że od chwili, kiedy wyjechali z bazy, któryś z pozostałych celów został zidentyfikowany. Nawiązał połączenie i czekał na nowe informacje.

- Co takiego? - Patrzył na ekran dotykowy, ale coś w głosie towarzysza sprawiło, że oderwał od niego wzrok.

- To - odparł Morton. Jego twarz była tak blada, że niemal poszarzała. Oczy miał przeszkłone. - Ten wampir, Bingham. To nie było... w porządku.

- Zrobiliśmy to, co musieliśmy - skwitowała Ellison. - Wszystko poszło zgodnie z planem.

- Nie o tym mówię.

- Dlaczego masz wrażenie, że coś było nie tak? - spytał Jamie.

- Jestem żołnierzem - zaczął Morton. - Przynajmniej byłem. Walczyłem z wrogami w każdym miejscu na świecie, ale nic nie przypominało tego. To nie był człowiek.

- Był - rzekł Jamie. - Nie dopuść do siebie innych myśli. To był chory człowiek. Choroba dała mu nadnaturalne moce. Nie był potworem ani demonem. Niczym w tym stylu.

- To wszystko nie tak - powtórzył Morton. Patrzył na Jamiego, który nie odwrócił wzroku. Sądził, że wie, o czym mówi kolega.

„Bał się. Chyba zapomniał już, co to za uczucie”.

- Ja nie jestem żołnierzem - powiedziała Ellison. - Nigdy nim nie byłam. Ale założę się, że zabiłam więcej żyjących stworzeń niż wy dwaj razem wzięci. Czy Bingham był od nich szybszy i silniejszy? Tak. Bardziej przerażający? Zdecydowanie. Ale był tylko celem, który trzeba było zdjąć. John, myśl o tym w ten sposób. Uwierz mi, to pomaga.

Jamie spojrzał na agentkę, która skupiła uwagę na koleźce.

„Poszcęściło mi się - pomyślał. - Ona była strzałem w dziesiątkę”.

Na ekranie kontrolnym szary kwadrat pobierania zastąpiło okno zawierające dwie linijki tekstu. Odczytał je.

M-3/ODPO WIEDŹ BRAK NOWYCH INFORMACJI

Jamie ponownie spojrzął na Mortona i podjął decyzję.

- Kończę operację - powiedział. - Wracamy do bazy. Ellison zmarszczyła brwi.

- Mamy jeszcze pięć i pół godziny do zamknięcia okna, sir.

- Wiem o tym - odparł Jamie. - Ale nie zamierzam ruszać za niezidentyfikowanymi celami ze świeżo upieczonym agentem, który ma kłopoty. To nie byłoby bezpieczne.

- Poradzę sobie, sir - zapewnił Morton od razu. - Muszę to tylko ogarnąć.

- Wiem, przez co przechodzisz - rzekł Jamie. - I uwierz mi, kiedy mówię, że to nic wielkiego. Ale na dzisiaj skończyliśmy. Wracamy do domu.

- Nie rób tego - zaprotestował Morton. - Proszę. Staniemy się pośmiewiskiem jeszcze przed ukończeniem pierwszej misji.

- John, wystarczy - wtrąciła Ellison, rzucając mu ostre spojrzenie. - Skoro szef mówi, że skończyliśmy, to skończyliśmy.

- W porządku - dodał Jamie. - Biorę to na siebie, obiecuję. „Mam nadzieję, że zabrzmiałem przekonująco - pomyślał.

- Bo nie jestem pewien, czy jest w porządku”.

Kiedy tylko stanęli na betonowej podłodze hangaru, Jamie zwrócił się do swojej grupy:

- Dobra robota. Mówię szczerze. Na zewnątrz jest o jednego wampira mniej, a my wróciliśmy do domu w jednym kawałku. Tutaj to oznacza dobry dzień. Idźcie odpocząć. Wyślę do was

wiadomość, gdy tylko otrzymam jutrzejszy grafik. Odmaszerować.

Nowi towarzysze stanęli przed nim. Ellison była blada, ale miała bystre spojrzenie. Jamie już się nauczył ją podziwiać. Kobieta skinęła głową, lekko się do niego uśmiechnęła i ruszyła w kierunku wind. Morton się zawahał. Na jego twarzy odbijała się wściekłość - mocno zaciskał szczęki i usta.

- Masz coś do powiedzenia, agencie? - spytał Jamie. Morton wytrzymał jego spojrzenie, ale po chwili pokręcił głową.

- Nie, sir - odparł, odwrócił się i odszedł.

Jamie obserwował go przez moment. Czuł ucisk w żołądku.

Okłamał Mortona, okłamał obydwu swoich agentów. To, co zrobił jego zespół, za nic nie można było uznać za dobrą robotę. Zniszczyli pierwszy cel, ale przerwanie akcji w czasie jej trwania oznaczało pytania od przełożonych. W drodze do bazy wciąż nad tym myślał i już podważał zasadność swojej decyzji.

Może Morton miał rację i potrzebował jedynie trochę czasu, żeby przyswoić to, co się stało z Binghamem, stawić czoła lękowi i rozprawić się z nim. Może Jamie przesadził z reakcją, spanikował przy pierwszej oznace ewentualnych kłopotów. Lecz przez ten krótki czas, kiedy był agentem operacyjnym Czarnego Filtru, widział już zbyt wielu rannych i zabitych, żeby ryzykować. Stawka była zbyt wysoka.

W jednym nie skłamał. Cała wina za przerwana misję spadnie na niego. Nie pozwoli, żeby Morton i Ellison byli obwiniani za jego decyzję.

Jamie powiódł wzrokiem po hangarze w poszukiwaniu oficera dyżurnego i wezwał go do siebie.

- Jest odprawa?

- Nie, sir - odparł agent. - Tylko pisemne raporty, sir.

- Dobra, dzięki.

Mężczyzna skinął głową i wrócił do przerwanych zajęć. Jamie poszedł w przeciwnym kierunku, w stronę windy na

końcu korytarza na poziomie zero. Ulżyło mu, że nie musi zdawać ustnego raportu tymczasowemu dyrektorowi. Nie chciał teraz tłumaczyć, co się stało.

To mogło poczekać do rana.

Dwie minuty później stał przed drzwiami swojej kwatery, niemal dokładnie w połowie długiego, skracającego korytarza na poziomie B. Z kieszeni uniformu wyciągnął identyfikator i otworzył drzwi. Na blacie niewielkiego biurka leżał nowy plik raportów, ale nawet ich nie przekartkował. Ściągnął z siebie mundur, zawiesił go na kołku za drzwiami i opadł na łóżko. Zamknął oczy. Pół minuty później już spał.

Bum.

Powieki Jamiego zadrżały, a z jego ust wyrwał się jęk. Mózg powoli budził się do działania. Bum. Bum. Bum.

Dźwięk odbijał się w uszach. Próbował otworzyć oczy. Sięgnął po konsolę i spojrzał na białe cyfry na górze ekranu.
02.32.56

Bum, bum, bum, bum.

Głośno zaklął, wstał z łóżka i włożył mundur. Potem otworzył drzwi.

Na korytarzu stał Jacob Scott, australijski pułkownik. Za nim, z pobladłymi twarzami, inni członkowie Godziny Zero.

- Poruczniku Carpenter - odezwał się pułkownik Scott. Jego zwykle ciepły ton był ostry i konkretny. - Musi pan pójść z nami.

- Mam jakieś kłopoty? - spytał Jamie. Nie przychodziło mu do głowy nic, co zrobił, a co wymagałoby aż takiej uwagi zwierzchników, ale też nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego najbardziej doświadczeni agenci Departamentu mieliby pukać do jego drzwi w środku nocy.

- Nic z tych rzeczy - odparł Scott. - Doszło do sytuacji, nad którą musimy się zastanowić.

Jamie jęknął.

- I nie mogliście po prostu przysłać mi wiadomości?

- Nie w trakcie śledztwa wewnętrznego - odparł Scott. -

Dopóki nie skończą, musimy zakładać, że komunikacja elektroniczna nie jest bezpieczna.

Jamie spojrział na Paula Turnera.

- To poważna sprawa, prawda?

- Tak, poruczniku - potwierdził pułkownik. - To poważne.

PORTALE SPOŁECZNOŚCIOWE**STAVELEY, PÓŁNOCNE DERBYSHIRE
TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ**

Greg Browning założył zestaw słuchawkowy i przygotował się do rozmowy z człowiekiem, którego nigdy nie spotkał.

Siedział przy biurku należącym do jego syna, w pokoju, który Matt zajmował do chwili, kiedy został zabrany przez pracujących dla rządu mężczyzn w czerni. Minął prawie miesiąc, odkąd znikł po raz drugi, i trzy tygodnie od chwili, kiedy jego żona zabrała córkę i go opuściła. Gdyby ich syn wrócił, być może istniałaby szansa, że i ona wróci, ale tak czy inaczej, teraz go to nie obchodziło. Kiedy Matt ponownie znikł, w jego żonie coś pękło i już nie poznawał kobiety, z którą się ożenił. Prawdę powiedziawszy, Gregowi ulżyło, gdy wreszcie spakowała walizki. Po jej zniknięciu nareszcie nic nie odciągało jego uwagi od jedynej sprawy, na której jeszcze mu zależało - rząd musiał zapłacić za to, co zrobił jego rodzinie.

Szef próbował kilka razy rozmawiać z nim na temat tego, co nazwał obsesją, ale Greg odmówił. Nie zdziwił się, kiedy wreszcie wezwano go do gabinetu i poinformowano, że został zwolniony. Od miesiący, od czasu, gdy Matt znikł po raz pierwszy, był coraz gorszym pracownikiem, coraz słabiej przykładał się do wykonywania swoich obowiązków. Nie miał do szefa żalu - mężczyzna nie potrafił dostrzec prawdy na temat otaczającego go świata.

Kilka dni później odwiedziła go pracownica socjalna, aby ocenić jego stan psychiczny, zapewne w odpowiedzi na prośbę byłego szefa. Na każde pytanie odpowiadał bardzo uprzejmie. Niedługo potem dostał pierwszą rentę inwalidzką. Miesiąc później kolejną. Czeki były dowodem na to, że władze uznały go za niepczytalnego, ale nie czuł potrzeby wyprowadzania ich z błędu. Było coś przewrotnego w tym, że rząd finansuje jego antyrządową krucjatę.

Zupełnie jakby wąż dobrowolnie zjadał własny ogon.

Trzy dni po tym, jak pod osłoną nocy po raz drugi odebrano mu syna, Greg zignorował histeryczne protesty żony i zaczął przeglądać historię wyszukiwarki internetowej w komputerze chłopaka. Natychmiast znalazł długą listę stron o wampirach i istotach nadnaturalnych, ale nic uznawanego za niezwykle - ot, dziecinne baj durzenia: krew, kły i potwory czające się w mroku. Już miał wyłączyć komputer, kiedy w rogu ekranu pojawiła się wiadomość. Wypełnił podane w niej instrukcje, nie wiedząc, co właściwie robi, i trafił na stronę, która jako pierwsza wydawała się jak najbardziej prawdziwa.

Strona niemająca nazwy i o adresie URL wyglądającym na przypadkowy ciąg cyfr i liter była poświęcona tylko jednemu - temu, że wampiry są prawdziwe, a rząd wie o ich istnieniu i utrzymuje ściśle tajną jednostkę, która się z nimi rozprawia. Zawierała pisemne raporty i zeznania naocznych świadków, zamazane fotografie, fragmenty rozmów radiowych. W sumie nic, co mogłoby przekonać zwykłego obserwatora. Ale Greg Browning nie był zwykłym obserwatorem. Patrzył, jak nieoznakowany helikopter ląduje na środku jego cichej podmiejskiej ulicy, stał obok, kiedy ubrani na czarno mężczyźni wdarli się do jego domu, grożąc jemu i jego synowi. A w swoim ogrodzie widział dziewczynę, której ciało było tak poranione, że nie mogła być żywa, a która rzuciła się

na mężczyznę w białym kombinezonie i rozszarpała gardło Matta na jego oczach.

Na stronie nie było niezaprzecznego dowodu, jakiego Greg potrzebował, żeby zmusić rząd do wyjawienia prawdy, ale dostrzegł szansę. Wiedział, że jest blisko.

Bardzo blisko.

Bez zastanowienia otworzył nowy plik i zaczął pisać. Spisał każdy szczegół, który pamiętał z tej nocy, kiedy jego życie zmieniło się na zawsze. Palce uderzały w klawisze z zadziwiającą szybkością. Ignorował nawoływania żony, jej prośby o opuszczenie pokoju syna i zostawienie wszystkiego tak, jak było. Zajęło mu to prawie całą noc. Słońce wyłaniało się już ponad horyzont kiedy po raz ostatni kliknął ZAPISZ. Drżącą dłonią skopiował i wkleił tekst do podanego na stronie formularza. I zamarł. Przyszła mu do głowy przerażająca myśl.

A jeśli to nie było prawdziwe? Co, jeśli to pułapka? Wykonywał polecenia z wiadomości i wszedł na stronę przez serwer proxy, ale nie miał pojęcia, czy takie strony były bezpieczne. Co się stanie, jeśli strona to tylko wymyślna pułapka, zaplanowana po to, żeby podstępem nakłonić ludzi, którzy znali prawdę, do przyznania się do tego? Co, jeśli potem się ich pozbywano? Może właśnie nakreślił sobie na czole tarczę strzelniczą?

Greg zamknął przeglądarkę i wyłączył komputer. Usiadł i przez długi czas patrzył w ciemny monitor, czekając, aż z oddali rozlegnie się dźwięk syren oznaczający, że po niego jadą. Wreszcie położył się na łóżku syna i zapadł w lekki, niespokojny sen. Kiedy następnego ranka się obudził, wyłączył komputer, zamierzając wykasować adres strony z historii i może nawet zniszczyć sprzęt.

„To by był koniec - pomyślał. - Sprawa zamknięta”.

Ale szybko się przekonał, że nie może tego zrobić. Krzyknął, żeby żona przyniosła mu śniadanie, i usiadł, by przeczytać

wszystko, co było na stronie, od A do Z. Kiedy skończył, był innym człowiekiem, pełnym ognia, jakiego wcześniej nie zaznał. Pragnął zrobić coś z tym, co działo się wokół niego. Rozumiał, że to, co spotkało Matta, nie było odosobnionym przypadkiem. Były liczne doniesienia na temat zaginionych dzieci z całego świata, dzieci, które znikwały ze spokojnych ulic albo były wyciągane z własnych łóżek przez czarne postacie. Zaczął sprawdzać stronę co godzinę. Robił to, podczas gdy jego małżeństwo, praca i życie obracały się w pył.

Mijały dni i ogień, który rozgorzał tak gwałtownie w jego sercu, zaczął przygasać. Stronę nieczęsto aktualizowano. Warte opisanie incydenty były z samej definicji bardzo rzadkie. Greg przeczytał każdy post i każdy komentarz dziesiątki razy, szukając w nich czegoś nowego, w co mógłby się wgryźć. Jego relacja o wampirach i mężczyznach w czerni wypalała metaforyczną dziurę w twardym dysku jego syna, ale nie miał odwagi jej dodać. Zamiast tego obserwował, czekał i miał nadzieję. Post, który zmienił wszystko, pojawił się w nocy. Autor był anonimowy, ale twierdził, że przeżył atak na Lindisfarne przeprowadzony przez grupę religijną wierzącą w koniec świata, zwaną Dziećmi Boga. Greg pamiętał jak przez mgłę, że słyszał o tym w wiadomościach kilka miesięcy wcześniej. Relację otwierała seria akapitów, które sprawiły, że zachciało mu się płakać.

Atak na wyspie Lindisfarne nie został przeprowadzony przez Dzieci Boga, organizację, która - jak uważam - nigdy nie istniała.

Atak na Lindisfarne został przeprowadzony przez dużą, zorganizowaną grupę wampirów. Wiem, ponieważ tam byłem.

Tamtej nocy widziałem swoich przyjaciół i sąsiadów torturowanych i zabijanych. Tamtej nocy zginęła moja córka. Władze wielokrotnie powtarzały mi, że umarła. Nie

mogę sobie pozwolić na to, by w to uwierzyć.

W poście opisywano atak na niewielką wyspę z zadziwiającymi, przerażającymi szczegółami: czerwone oczy i lśniąca kły, rew i krzyki bezradności, pragnienie napastników, by krzywic i mordować. Autor wyjaśniał, w jaki sposób uciekł wraz z niewielką liczbą innych na łodzi należącej do jednego z sąsiadów, o tym, jak jego córka zatrzymała się na widok ciała swojej najlepszej przyjaciółki i jak łódź odpłynęła bez niej. Ostatnią rzeczą, jaką autor widział, kiedy oddalali się od brzegu, to jasne włosy swojego dziecka, kiedy dziewczyna biegła w głąb wyspy.

Autor pisał też o tym, co się stało po ataku, opisywał, że wielokrotnie odwiedzali go przedstawiciele miejscowej policji oraz kilka osób, które nie przedstawiły żadnych identyfikatorów. Powiedziano mu, że jego córka zaginęła, prawdopodobnie nie żyje, i został ostrzeżony, by nikomu nie mówić o tym, co naprawdę się stało z jego domem. Jemu i pozostałym, którzy przetrwali, przedstawiono historyjkę o Dzieciach Boga. Wszyscy usłyszeli, jakie czekają ich konsekwencje, jeśli nie będą się jej trzymać. Po miesiącu oficjalnie powiedziano mu, że jego córka nie żyje, chociaż nie odnaleziono jej ciała. Sprawa została zamknięta.

Dla Grega ten post był niczym Święty Graal.

Nie wspomniano o mężczyznach w czerni, ponieważ autor ich nie widział. Ale widział wampiry - co do tego Greg nie miał najmniejszych wątpliwości. Opisy zgadzały się z tym, czego sam był świadkiem we własnym ogródku, a nie sądził, by rząd pozwolił na umieszczenie na stronie pułapce tak szczegółowych informacji. Nie było powodu, żeby podejmowali takie ryzyko.

Natychmiast napisał odpowiedź, dziękując autorowi za odwagę i szczerść i informując go, że stał się dla niego

inspiracją. Potem zrobił to, co powinien był zrobić pierwszego dnia po zdobyciu adresu tajnej strony - wkleił swoją historię do formularza i kliknął WYŚLIJ.

Greg nie wiedział, jak wiele osób ma dostęp do tej strony, ale wyglądało na to, że w ciągu kolejnych czterdziestu ośmiu godzin każda z nich skomentowała dwa nowe wpisy. We dwóch mężczyźni dostarczyli opisów ukrytego przed innymi świata widzianego z obydwu stron barykady; świata, który ta strona chciała zdemaskować, pełnego wampirów i polujących na nie ludzi w czarnych mundurach. Ich relacje były o wiele bardziej szczegółowe niż pozostałe. Nie dostarczyli dowodów wizualnych, nie mieli zdjęć, ale ich słowa były wystarczająco przekonujące. Pochwały ich odwagi i zaangażowania w odkrycie prawdy napływały od różnych osób. Rozwinęła się też dyskusja na temat tego, co spotkało syna Grega i córkę mężczyzny z Lindisfame. Pośród tego zamieszania dwaj autorzy zaczęli ze sobą korespondować, z początku ostrożnie, w komentarzach pod postami, potem bardziej regularnie, za pomocą zaszyfrowanych wiadomości prywatnych dostępnych na stronie.

Teraz po raz pierwszy mieli ze sobą porozmawiać.

Greg włączył program pobrany z forum internetowego pełnego paranoików, na którym też zaczął regularnie bywać. Kiedy skończył, był bezpiecznie ukryty za labiryntem serwerów proxy i programów zmieniających IP komputera.

Rozszyfrowanie jego pozycji zajęłoby najlepszym analitykom z Centrali Łączności Rządowej kilka godzin. Zadowolony z wyników otworzył Skype'a, wyłączył kamerę internetową i czekał na telefon.

Niecałą minutę później rozległ się sygnał. Greg kliknął zielone okienko z napisem AKCEPTUJĘ. Połączenie nawiązano i licznik w okienku zaczął odmierzać czas,

wskazując, że rozmowa jest prowadzona na żywo. Chwilę później Grega dobiegł czyjś głos.

- Halo?

„Prawdziwy - pomyślał Greg. - Jest prawdziwy. Dzięki Bogu”.

- Witaj - odparł. - Dobrze cię słyszeć, stary. Naprawdę wspaniale.

- Ciebie też - odparł głos. Był ciepły i przyjazny, z mocnym północnym akcentem. - Szczerze powiem, że nie wiedziałem, czego się spodziewać. Byłem niemal pewien, że kiedy kliknę twoją nazwę użytkownika, moje drzwi zostaną wyważone.

Greg się zaśmiał.

- Ja też, stary. Jednym uchem wciąż nasłuchuję nadlatującego helikoptera.

Mężczyzna po drugiej stronie zaśmiał się szczerze.

- Jak mam cię nazywać? - spytał Greg. - Jestem gotów używać prawdziwych imion, jeśli chcesz.

- Jeszcze nie - odparł tamten. - Bez urazy.

- Spokojna głowa - rzekł Greg. - Zatem jak?

- Mów mi Północ. A ja będę cię nazywał Południe. Co ty na to?

- Mnie pasuje - przytaknął Greg. - Świetnie. Nie chcę rozmawiać dłużej niż pięć minut, jej nie masz nic przeciwko. Dobrze się zaszylem, ale uważam, że nie powinniśmy przeginać i testować swojego szczęścia. Proponuje więc przejść do rzeczy.

- Zgadzam się - odparł Greg, uśmiechając się w cichym i pustym pokoju syna.

- Przykro mi z powodu twojego chłopaka - powiedział Północ. - Nie mogę uwierzyć, że posadzili helikopter na środku ulicy To wręcz niewiarygodne.

- Dzięki - rzekł Greg. - Przykro mi z powodu twojej córki, naprawdę. A co do helikoptera, sam nie wierzyłem własnym oczom. Myślałem, że to sen. Potem długo o tym myślałem Kiedy moj syn nie wrócił, zapytałem o ten helikopter

wszystkich sąsiadów. Nikt nie miał nawet odwagi przyznać, że go widział.

- Dranie - skwitował Północ.

- Po prostu się bali. Rząd chce, żebyśmy wszyscy milczeli ze strachu. A co z innymi, którzy widzieli to co ty?

- To samo - odparł Północ. - Jeśli kogoś o to pytam, ci, którzy wciąż tu są, mówią to, co kazała im mówić policja. A wiesz co jest naprawdę powalone? Wierzą w to. Zupełnie jakby wymazali z pamięci to, co się naprawdę stało.

Greg doskonale wiedział, o czym mówi Północ. On i jego zona zrobili to samo, kiedy Matt do nich wrócił. Wymazali z pamięci mężczyzn w czerni, dziewczynę i helikopter.

- Wiem, o czym mówisz - przyznał. - Uwierz mi Zapanowała dłuższa chwila ciszy, ale nie była ona niezręczna.

Była to cisza, jaką swobodnie dzielą ze sobą ludzie, którzy zaczynają wierzyć, że oto odnaleźli bratnią duszę.

- To dziwne - powiedział Północ. - Ostatnio rozmawiam z niewidoma osobami. Szkoda zachodu, kiedy nie wierzę w ani jedno usłyszane słowo. Gliny, rząd, telewizja, gazety. To wszystko jakieś brednie. Nie mówię, że ci ufam, bo tak nie jest. Jeszcze nie. Ale nawet jeśli jesteś jednym z tych facetów w czarnych mundurach i zamierzasz mnie aresztować, jak tylko się przekonasz, ile wiem, to dobrze jest z kimś pogadać. Wiesz, o czym mówię?

- Tak - odparł Greg natychmiast. - W głębi duszy zawsze będę żałował, że dowiedziałem się tego wszystkiego. Nie chciałem tego. To po prostu zważyło mi się na głowę. Potem kazano mi się zamknąć i zapomnieć, że to się wydarzyło. Więc tak, rozmowa jest dobra, stary. Bardzo dobra.

- Raz w tygodniu płynę na ląd - powiedział Północ. - Wiesz, gdzie mieszkam, więc to nie powinno być dla ciebie zaskoczeniem. Jadę do Keswick albo do Alnwick, czasami aż do Berwick, i obserwuję ludzi. Patrę, jak robią zakupy, jak trzymają się za ręce, krzyczą na dzieci, biegną, żeby zdążyć na

autobus, i czuję zazdrość. Zazdroszczę im tego, że o niczym nie wiedzą, tego, jak beztrudnie wiodą życie, z dnia na dzień, nie mając świadomości, jak wielkie niebezpieczeństwa kryją się wszędzie wokół. Czasami chciałbym do tego powrócić, tak jak powiedziałeś. Ale wiem, że to niemożliwe.

- Ja też - przytaknął Greg. - Musimy grać tymi kartami, które mamy.

- Właśnie - zgodził się Północ. - Nie obchodzi mnie już, co się ze mną stanie. Moje życie skończyło się, kiedy zabrano mi córkę. Ale to nie oznacza, że chcę umrzeć, przynajmniej jeszcze nie teraz. Chcę wyrównać rachunki, znaleźć sposób, by zapłacili za to, co zrobili. I chcę ostrzec wszystkich, że to, co przytrafiło się nam, może spotkać także ich.

- Jak? - spytał Greg. - Też tego chcę, ale jak to zrobić? Jeśli zaczniemy mówić o tym ludziom, tamci sprawią, że znikniemy. Zresztą i tak nikt nam nie uwierzy.

- Wiem - przyznał Północ. - Potrzebujemy kogoś ważniejszego od nas, kogoś, kto nie pozwoli im się uciszyć.

- I potrzebujemy dowodów - dodał Greg, myśląc o pustych twarzach sąsiadów, przerażeniu policjanta, który mówił mu, że nic nie może poradzić na zniknięcie Matta, że rozkaz przyszedł z samej góry, by zamknął dochodzenie. - Gdybyśmy mieli dowody, moglibyśmy znaleźć dziennikarza, który by coś zrobił. To najważniejsza historia na świecie. Gdyby tylko udało nam się przekonać kogoś, żeby to opublikował.

- Jaki dowód możemy zdobyć? - pytał Północ. - Nie mam nic ponad to, co widziałem. A ty?

- Nie - odparł Greg. - Ja też nic.

Ponownie zapanowała chwila ciszy, dłuższa od wcześniejszej, lecz przerwał ją sygnał komórki Grega. Mężczyzna podniósł telefon z biurka i zobaczył, że od początku rozmowy minęły cztery minuty.

- Rozłączę się - powiedział. Słyszał we własnym głosie smutek i wiedział, że kiedy połączenie zostanie przerwane,

znów będzie sam. - Ale musimy wkrótce znów porozmawiać. Trzeba ustalić, co robimy.

- Zgoda - rzekł Północ. - Będziemy w kontakcie. Miło się gadało.

- Wzajemnie, stary - powiedział Greg, a następnie kliknął czerwoną ikonę z napisem ZAKOŃCZ. Drżącą ręką wyłączył komputer.

Zrobił pierwszy krok. Teraz nie było już odwrotu.

DZIEWCZYNY KONTRA CHŁOPAKI

BAZA SIŁ POWIETRZNYCH EDWARDS,
ODDZIAŁ JEZIORA GROOM NEVADA, USA
WCZORAJ

Kelnerka postawiła przed Larissą porcję sałatki z kurczaka, która wystarczyłaby dla pięcioosobowej rodziny. Wyrwała ją tym samym z zamyślenia i sprowadziła do oświetlonej jarzeniówkami knajpy Sams Diner. Larissa podziękowała kobiecie i zaczęła jeść.

Jak to się często zdarzało, jej myśli skupiły się na Jamiem. Z niecierpliwością czekała, aż będzie mogła do niego zadzwonić, kiedy tylko różnica czasu jej na to pozwoli. W Wielkiej Brytanii był teraz środek nocy i nie chciała chłopaka budzić. Ostatnio rozmawiali trzy dni temu i wszystko wydawało się w porządku, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Spytała o Kate i Matta, o mamę Jamiego, Frankensteina i Departament. Bycie jego członkiem od zawsze stanowiło jego przeznaczenie. Jamie odpowiadał jej ze swym zwyczajowym entuzjazmem, mówił o nowym projekcie Lazarus, bolesnej decyzji Kate o przystąpieniu do WZOB-u, wysiłkach mających na celu odbudowę Czarnego Filtru. Powiedział, że za nią tęskni, na co ona zrewanżowała się tym samym. I nie kłamała.

Ale między nimi wciąż istniała przepaść, z której oboje zdawali sobie sprawę, lecz żadne nie chciało o niej wspomnieć. Larissa wiedziała, że jej źródłem jest ona sama i kwestia, z którą zмага się od przybycia do Nevady. Ale nie

potrafiła się jeszcze zmusić, by porozmawiać o tym ze swoim chłopakiem. Ani z nikim innym.

Przełknęła ostatni kęs jedzenia i popiła korzennym piwem ciemnym, mocnym, stanowiącym tylko jedną z wielu przyjemności, które NS9 miało do zaoferowania.

- Larisso, jesteś tu jeszcze? - Głos był delikatny i żartobliwy, więc się uśmiechnęła. Kara, pilotka jednego z helikopterów szwadronu NS9, patrzyła na nią z zagadkowym wyrazem twarzy. Zielone, pełne rozbawienia oczy błyszczały jasno na tle ciemnobrązowej skóry i czarnych włosów.

- Wybaczcie - odparła Larissa z szerokim uśmiechem - Zastanawiałam się nad tym, jakie mam szanse na znalezienie ciekawszego towarzystwa na obiad.

Kara wybuchła śmiechem, a Danny i Kelly, młodzi agenci służący dla NS9 pierwszy rok, udali urazę. Kelly, wysoka i dość mocno zbudowana dziewczyna z Tennessee, która dorastała na brzegach Missisipi, uderzyła dłonią o blat, zakładając maskę oburzenia. Danny, głośny i bardzo towarzyski obywatel Wirginii, syn agentów CIA, których akcje pozostawały utajnione w najwyższym stopniu, udawał tak zdegustowanego uwagą Larissy, że zamierzał wstać i wyjść.

Aaron, blady, cichy analityk wywiadu z Izraela, przypominający bibliotekarza, ale odmawiający rozmowy na temat tego, czym się zajmował w Mosadzie, zanim przyjechał do Nevady, złapał Danny'ego za ramiona i pociągnął na miejsce, śmiejąc się serdecznie. Larissa obserwowała ten spektakl i poczuła rodzące się w jej piersi ciepło.

Oddelegowanie do NS9 było misją. Jej cel stanowiło zbudowanie mostu pomiędzy dwoma departamentami do spraw paranormalnych, zamierzającymi połączyć swoje zasoby i wiedzę. Była to umowa zawarta po ataku na Pętlę i porwaniu Henry'ego Sewarda. W Neyadzie miała spędzić dwa miesiące i wybrać sześciu amerykańskich agentów. Wypełnią luki kadrowe powstałe w wyniku ataku Valeriego Rusmanova.

Agenci z takimi samymi rozkazami zostali wysłani do wszystkich departamentów na świecie. Kiedy ich zadanie się zakończy i powrócą do domu, Czarny Filtr stanie się pierwszym wielonarodowym departamentem. Będą w nim służyć agenci każdej rasy i narodowości.

Kątem oka Larissa dostrzegła Tima Albertssona. Przyglądał się jej. Tim był drugą osobą, którą poznała po przybyciu na pustynię, i jej bezpośrednim przełożonym na czas pobytu. Lecz mężczyzna nigdy nie pozwolił jej odczuć, że traktuje ją inaczej niż jak równą sobie, a swoje pomysły na temat tego, jak Larissa powinna spędzać czas, przedstawiał raczej w formie próśb niż rozkazów. Agent specjalny był bardzo popularny w NS9: uprzejmy, towarzyski, czarujący.

I najwyraźniej bardzo nią zainteresowany.

Larissa nie była z natury arogancka, ale wiedziała, że właściwie odczytuje sygnały. Z jednej strony schlebiało jej to, z drugiej uważała to za niepokojące.

Albertsson miał dwadzieścia pięć lat i chociaż ona skończyła już dwadzieścia - miała prawie dwadzieścia jeden - wciąż wyglądała na siedemnastolatkę.

„I już zawsze będę nią dzięki Greyowi - pomyślała. - Utknęłam w wieku siedemnastu lat, podczas gdy wszyscy wokół mnie się starzeją. Genialnie”.

Jednak lubiła Tima. Był otwarty, pozytywnie nastawiony do innych i hojny. Nie potrafiła się oprzeć małemu flirtowi. Nie zachęcała go, by zrobił coś z uczuciami, które do niej żywił, przynajmniej nie świadomie. Kochała Jamiego i nie zrobiłaby nic, żeby go zranić. Ale Jamie został daleko, a ją cieszyło, że podobała się Timowi.

To, że spędzali razem większość czasu, nie ułatwiało sprawy. Tim poprosił ją o pomoc w przeszkoleniu nowych rekrutów NS9, co najwyraźniej należało do obowiązków powiązanych z jego tajemniczą rangą. Od tygodnia pracowali z tą samą grupą zdenerwowanych, ale pełnych zapału mężczyzn i kobiet i

dzisiaj nastąpił dzień, w którym Tim poprosił, żeby pokazała im, z czym naprawdę będą mieć do czynienia.

Dziewięć zdenerwowanych twarzy przyglądało się Timowi i Larissie.

Rekruci stali w linii na końcu sali treningowej - okrągłego pomieszczenia, które zainspirowało stworzenie Placu Zabaw w Pętli. Przez osiem dni trenowali pod czujnym okiem Tima, podczas gdy Larissa obserwowała ich zza weneckiego lustra, oferując uwagi i sugestie, kiedy wydało jej się to właściwe. Rekruci walczyli, biegali i znów walczyli. Odbyli czterdziestośmiogodzinną wędrówkę po pustyni White Sands, zmuszeni do obycia się bez snu i improwizowania, kiedy ich ciała i umysły domagały się odpoczynku. Trenowali bez końca ze swoimi nowymi najlepszymi przyjaciółmi: megagnatem, czyli pneumatycznym działkiem na kołki, półautomatyczną bronią firmy Heckler & Koch MP7, karabinem HK416, glockiem 17, działami na promienie UV i granatami. Uczono ich strategii i taktyki, działań na terenach zabudowanych, w mieście i na wsi, prowadzenia i mechaniki pojazdów oraz walki wręcz. Nie przejmowano się tym, jakie przeszli szkolenie, zanim trafili do tej jednostki. Każde z nich było posiniaczone i krwawiło na ciemnoniebieską podłogę pomieszczenia, w którym obecnie stali.

Nikt nie zrezygnował.

Larissa stała przed nimi po raz pierwszy, słuchając, jak Tim ją przedstawia.

- Panie i panowie, Larissa Kinley jest porucznikiem Departamentu 19. Jest też wampirem. Jeśli ktoś ma z tym problem, proszę unieść rękę, a z radością pokażę, jak wiele cierpliwości mam dla ignorancji wśród swoich rekrutów. Jest ktoś taki?

Nikt nie uniósł ręki, ale dziewięć par oczu skupiło się na

niej. Wiedziała, że po części działo się tak z powodu wspomnienia Departamentu 19. Czarny Filtr był pierwszym departamentem zajmującym się nadnaturalnymi zjawiskami i wciąż cieszył się niemal nabożnym szacunkiem wśród agentów wszystkich innych oddziałów na świecie. Ale głównie chodziło o słowo „wampir”. Zdawała sobie sprawę, że była pierwszym przedstawicielem gatunku, którego widzieli. Ciekawiło ich, jak wiele potrafi. Po ich minach zorientowała się, że kilku się bało. Nie sprawiało jej to przyjemności, chociaż ze względu na nich się cieszyła. Strach przed wampirem był według niej jedyną racjonalną reakcją.

- W porządku - powiedział Tim. - Larissa zgodziła się pomóc wam dzisiaj w treningu. Powiem szczerze, że nie sądzę, byście mieli wielkie szanse, ale może ze dwoje z was mnie zaskoczy. Larissa?

- Dziękuję. - Wampirzyca zrobiła krok naprzód. - Weźcie megagnaty.

Rekruci spojrzeli na siebie nawzajem. Mieli na sobie uniformy szkoleniowe, ale nie byli uzbrojeni. Według grafiku dzisiaj powinni odbyć trening walki bez broni.

- To sesja bez broni, Larisso - powiedział Tim. - Dzisiaj nie zabijamy.

- Nie martw się - odparła, patrząc na niego. - Powiedz im, żeby wzięli broń. Wszystko będzie w porządku.

Tim wzruszył ramionami i posłał jej spojrzenie mówiące: „Mam nadzieję, że wiesz, co robisz”. Potem odwrócił się do rekrutów, wciąż patrzących na siebie niepewnie.

- Słyszeliście agentkę!- krzyknął. - Broń i sprzęt, biegiem! Biegiem!

Rekruci pobiegli na drugi koniec sali i zaczęli się zbroić, zapinając pasy i przymocowując broń do mundurów. Zajęło im to sporo czasu. Jeszcze nie weszło im to w krew. Wreszcie wszyscy ponownie stanęli w rzędzie z megagnatami w dłoniach.

- Oto pierwsza lekcja - zaczęła Larissa, przechadzając się wzdłuż szeregu.

- Nigdy nie zbliżajcie się do wampira, jeśli została wam choćby jedna sztuka broni. Megagnaty, pistolety, promienie UV, granaty: wykorzystajcie wszystko, zanim choćby pomyślicie o walce wręcz. Zrozumiano?

Rekruci przytaknęli.

- W porządku. - Larissa uśmiechnęła się zachęcająco. - Spróbujcie mnie zastrzelić.

Rekruci znów zaczęli na siebie spoglądać.

- Do kogo pani mówi? - spytała dziewczyna z końca szeregu, zapewne zebrawszy całą odwagę, jaką miała, aby zadać to pytanie.

- Do wszystkich - odparła Larissa. Potem rozciągnęła te mięśnie, które ze wszystkich osób obecnych na sali miała tylko ona. Wysunęła kły, a jej oczy zaszyły szkarłatem.

Rekruci zrobili pół kroku w tył, wyraźnie zdumieni, i przesunęli się w kierunku Tima. Agent specjalny wzruszył ramionami, starając się nie okazać emocji. Martwił się, ponieważ nie miał zezwolenia na taki trening. Swoją drogą wiedział, że niepotrzebnie. Rekruci unieśli megagnaty i wycelowali w Larissę.

- Zróbcie to - warknęła, a oni otworzyli ogień.

Dziewięć kołków wystrzeliło w powietrze. Larissa doskoczyła do ziemi szybciej, niż mogło to zarejestrować ludzkie oko, i zrobiła piruet w tył, wyglądając jak ciemna plama z dwoma sunącymi czerwonymi punktami. Gdy skoczyła w kierunku ściany, wysunęła ręce i chwyciła dziewięć kabli z megagnatów. Pociągnęła je, wyrywając broń z dłoni rekrutów. Kilku z nich upadło na ziemię. Larissa przestała się kręcić i podleciała do nich. Patrzyła z góry z wyrazem zawodu na twarzy.

- Broń - warknęła. - Promienie (IV. No dalej, na miłość boską!

Rekruci podwoili wysiłki. Wyciągnęli broń UV i karabiny i otworzyli ogień. Dźwięk wystrzałów w zamkniętej przestrzeni był ogluszający. Larissa znów się poruszyła, pędząc z wdziękiem wokół pomieszczenia, z prędkością zdecydowanie mniejszą od swoich możliwości, i z łatwością wszystkiego unikała. Nic się do niej nawet nie zbliżyło - ani kula, ani fioletowy promień. Tańczyła, aż rekrutom skończyła się amunicja, a baterie broni UV się wyczerpały.

Wreszcie rekrutka, która zadała jej pytanie, chwyciła za granat UV i rzuciła go w kierunku wampirzycy. Larissa obróciła się w powietrzu, chwyciła go i rzuciła na podłogę. Potem skoczyła za nim i z całą siłą nadepnęła na szklaną kulę na kilka chwil przed tym, jak ta eksplodowała. Pojawiły się iskry.

- No dobra - rzuciła. - Kto pierwszy?

Mocno zbudowany chłopak przepchnął się na przód grupy. Na jego twarzy malowało się zadowolenie. Najwyraźniej walka wręcz była bardziej w jego stylu. Strzelił kłykciami i skierował się w stronę Larissy. Poruszał się lekko, ramiona zwiesił luźno po bokach. Kiedy był już prawie w zasięgu ciosu, udał, że rusza od lewej, i wyprowadził cios prawą. Zaatakował bliżej, niż Larissa się spodziewała, ale wciąż zbyt daleko. Zrobiła unik w lewo i zginając się w pół, chwyciła go za nadgarstek. Zadowolenie znikło z jego twarzy, gdy obróciła go i zacisnęła palce. Czują, jak pod jej uściskiem trzeszczą mu kości. Rekrut zbladł, uniósł głowę i zaczął krzyczeć.

Podniosła go jedną ręką - nadgarstek wciąż miał zgięty w połowie pleców - i rzuciła nim o ziemię chwilę przed tym, jak kości się połamały. Mężczyzna uderzyło podłogę, jęcząc z bólu. Inni rekruci patrzyli na nią z przerażeniem. Właśnie tego pragnął Tim - żeby jego koleżanka wampirzyca otworzyła drzwi i pokazała rekrutom, jak naprawdę wygląda ich nowy świat. Lecz w głębi serca Larissa nie

chciała, by stracili determinację i się zniechęcili.

- Pauza - powiedziała.

To słowo dziwnie zabrzmiało w jej ustach. Był to amerykański wyraz, który kilka razy słyszała wypowiedziany przez Tima. Ale odniosła pożądaną skuteczną. Rekruci powoli opadli na podłogę, nawet ten, który próbował ją uderzyć. Obrócił się i usiadł, trzymając się za szybko puchnący nadgarstek.

- Nie jestem zwyczajna - powiedziała i uśmiechnęła się do nich. - Mam wojskowe przeszkolenie i wykorzystuję swoje moce każdego dnia. Jestem szybsza i silniejsza od większości wampirów, które zdarzy wam się spotkać. Większość z nich będzie szybka i dzika. Ale oni nie potrafią walczyć, nie wiedzą, jak wykorzystywać otoczenie ani jak unikać waszej broni. Słuchajcie Tima, słuchajcie instruktorów, pilnujcie się nawzajem, kiedy już wyjdziecie do walki, a dacie sobie radę. W porządku?

Na dziewięciu twarzach powoli pojawiły się nieśmiałe uśmiechy. Kilku rekrutów przytaknęło.

- Świetnie - stwierdziła wampirzyca. - Przyjdźcie potem do baru. Stawiam pierwszą kolejkę. Rozejść się.

Teraz uśmiechy były już szerokie. Kiedy rekruci zaczęli rozmawiać między sobą z ożywieniem, podeszła do Tima Albertssona.

- I jak sobie poradziłam? - spytała.

- Przerażająco dobrze - odparł, uśmiechając się do niej. - Długo nie zapomnę tej lekcji. Możesz być tego pewna.

- Brytyjczycy są wredni - powiedział Aaron, wciąż trzymając Danny'ego za ramiona. - Nie wiedziałeś o tym?

- Wiedziałem - odparł Danny. - Widziałem jej kły. Wierz mi, że wiem.

Siedzący przy stoliku znów wybuchli śmiechem, a Larissa z

radością się do nich przyłączyła. Słuchając, jak Kara lamentuje nad końcem swojego niedawnego związku z pilotem marynarki o imieniu Bobby, ponownie zajęła się sałatką.

- Jak ty sobie z tym radzisz, Larisso? - spytała. - Wiem, że normalnie ty i Jamie jesteście w tym samym miejscu, ale to i tak musi być trudne.

- Czasami jest - odparła, odkładając nóż i widelec. - Jeśli miałabym być szczerą, musiałabym przyznać, że są chwile, kiedy to wydaje się niemożliwe. Dwa miesiące temu było naprawdę bardzo źle, przed atakiem na Pętlę, kiedy działo się to wszystko z Valentinem i z Frankensteinem. Nie sądziłam, że nasz związek to przetrwa. Naprawdę. To dziwne. Poznałam go ledwie pół roku temu, więc nie łączy nas długa historia, która sprawiłaby, że gdy jest ciężko, bardziej się staramy. Ale przetrwaliśmy. I jeśli nadejdzie taki dzień, kiedy to wszystko się skończy, myślę, że wciąż będziemy razem. Bo wątpię, by jakiegokolwiek inne dwie osoby musiały przejść przez takie gówno w pierwszych miesiącach związku co my dwoje.

- Uważam, że to fantastyczne - powiedziała Kara z szerokim uśmiechem.

Larissa zauważyła kątem oka, że z twarzy Tima uśmiech znikł.

- Masz szczęście, że zakochałaś się w kimś, kto robi to samo co my. W kimś, kogo nie musisz oszukiwać - kontynuowała Kara.

- Wiem - przyznała Larissa. - Naprawdę dobrze to wiem. Pierwsze dwa lata po tym, jak zostałam przemieniona, musiałam kłamać codziennie. Staralam się przetrwać. Nie chcę do tego wracać.

- A nie martwisz się o niego? - spytał Tim. - Z jednej strony to naprawdę komfortowa sytuacja nie musieć nikogo okłamywać. Ale z drugiej strony wiesz, jak niebezpieczne jest to, co robi, kiedy wychodzi z bazy. To chyba trudne?

- Oczywiście - przyznała, odwracając się do agenta specjalnego. - Wiem, że za każdym razem, kiedy idzie w teren, może to być ostatni raz, kiedy go widzę. Ale Jamie umie o sobie zadbać. Wielu mówiło, że przeżył sytuacje, z których nie miał prawa wyjść żywy. Poza tym oboje znaleźliśmy ryzyko, kiedy przystąpiliśmy do organizacji. Sprowadza się to do jednego: wiem, że jeśli będzie mógł do mnie wrócić, zrobi to.

Tim skinął głową i nic więcej na ten temat nie powiedział.

- A tak w ogóle - rzekła Kara, zerkając na Tima - o co chodzi z Dominikiem Saintem-Jacques'em? Widziałam jego zdjęcie w raporcie. Wygląda jak ktoś, kto pomógłby mi zapomnieć o Bobbym.

- Poznałem go - rzekł Tim z uśmiechem. - Dwa lata temu byliśmy razem na akcji w Somalii. Chyba powinnaś się ustawić w kolejce.

- Co to ma znaczyć? - Kara zażądała wyjaśnień. - Twierdzisz, że jest poza moim zasięgiem?

- Czy ja tak powiedziałem? - spytał Tim. - To twoje słowa. Ja tylko mówię, że powinnaś wziąć numerek. To bardzo rozchwytywany młody mężczyzna.

Podczas gdy Kara i Tim obgadywali faceta znajdującego się ponad osiem tysięcy kilometrów od nich, Larissa pozwoliła sobie odpłynąć myślami. Siedzący po drugiej stronie stolika Kelly, Danny i Aaron nachylili się do siebie i omawiali coś ściszonej głośnie. Ale dla Larissy i jej nadnaturalnie czułego słuchu nie miało to znaczenia. Szept słyszała równie głośno, jak ludzie słyszeli krzyki. I właśnie dlatego pochwyciła słowa Aarona.

- Gdybym wiedział, powiedziałbym ci. Ale nie wiem. Nikt nie wie, kim on jest.

- Jakaś plotka? - spytała Larissa, porzucając analizę atrakcyjności Kary. - Nikt nie wie, kim kto jest?

- Mężczyzna z celi - odrzekł Aaron. Wyraz lekkiego zdumienia na jego twarzy zdradził, że chłopak był przekonany,

iż Wszyscy o tym wiedzą. - Ten, którego nikt nie może zobaczyć. Nie słyszałaś o nim?

- Na to wygląda - odparła. - Kim on jest?

- Nie wiemy - odrzekł Danny. Mówił bardzo powoli i wyraźnie, jak do dziecka. A potem się uśmiechnął. - Właśnie w tym rzecz.

- Wal się - odgryzła się Larissa. - Wiadomo coś na jego temat?

- Bardzo niewiele - powiedziała Kelly. - Jakiś miesiąc temu na całym terenie rozległ się alarm. Ktoś naruszył granice bazy. Dziesięć sekund po tym, jak zabrzmiał, został wyłączony. Nie było żadnego ogłoszenia, nikogo nie wywołano, a potem...

- Potem mój departament wystosował notkę - kontynuował Aaron. - Całe skrzydło więzienne otrzymało status: NIE WCHODZIĆ Wejście bez bezpośredniej zgody generała Allena stało się karalne. Krąży plotka, że w jednej z cel znajduje się mężczyzna. Nikt nie wie, kim jest ani czy w ogóle ktoś tam przebywa. To czarna dziura.

- Dziwne - skwitował Danny. - Bardzo dziwne. Larissa przez chwilę to rozważała.

- Ale to normalna cela? - spytała. - Nie nadnaturalna?

- Normalna - potwierdził Aaron. - Standardowe pudełko z betonu.

- To rzeczywiście dziwne. Jakie mamy teorie?

- Słyszałam, że to brat Allena - powiedziała Kelly. - Ktoś w mesie mówił, że został zdemaskowany, więc generał sprowadził go tutaj, aż sprawa przycichnie.

- Ale dlaczego zamykałby własnego brata w celi? - zastanawiał się Aaron.

- Jaki byłby problem w tym, by zamieszkał w jednej z kwater?

- Kto to wie? - mruknął Danny. - Może to jakiś informator i generał nie chce, abyśmy wiedzieli?

- Ale dlaczego? - spytała Kelly.

Aaron spojrział na Larissę, która przytaknęła.

- Ponieważ nawet w takich miejscach trafiają się nieprzyjazne oczy i uszy - powiedziała cicho. - Coś o tym wiem. Możesz mi wierzyć.

We czworo siedzieli chwilę w ciszy, pozwalając, by słowa Larissy przebrzmiały. Zdrada dwóch członków Czarnego Filtru wywołała wielkie poruszenie w departamentach na całym świecie. W obliczu grożącego światu niebezpieczeństwa myśl, że wśród agentów o wysokich rangach mogą być zdrajcy, była zbyt niepokojąca, by ktokolwiek chciał ją przez dłuższy czas rozważać.

- Wielkie dzięki, Larisso. - Danny odsunął od siebie na wpół zjedzonego hamburgera. - Straciłem apetyt.

- To akurat ci nie zaszkodzi - rzekła Kelly, patrząc na brzuch przyjaciela w bardzo teatralny sposób. - Lada dzień będziesz potrzebował większego uniformu.

-Ty...

Jakakolwiek barwna miała być obelga, którą Danny chciał uraczyć Kelly, została zagłuszona przez śmiech Larissy i Aarona. Tim i Kara natychmiast przerwali rozmowę i zażądali wyjaśnienia, co było takie zabawne. Aaron wszystko im opowiedział. Larissa z uśmiechem obserwowała przyjaciół. Ale gdzieś w tle myślała o anonimowym mężczyźnie z celi i o tym, w jaki sposób mogłaby poznać jego tożsamość.

PIĘCDZIESIĄT JEDEN DNI DO GODZINY ZERO

JEDEN Z NASZYCH

Jamie szedł obok Jacka Williamsa. On i pozostali członkowie grupy specjalnej Godzina Zero podążali za Jacobem Scottem wzdłuż korytarza na poziomie B.

- Wiesz, co się dzieje? - spytał. Jack pokręcił głową.

- Wiem tyle co ty. Jacob ma nam coś do powiedzenia. Chyba nikt nie wie, co to takiego.

- Chodzi o Drakulę?

- Nie sądzę - odparł Jack. - Myślę, że to coś innego.

Przez kilka chwil maszerowali w ciszy. Potem Jamie znów się odezwał.

- Jak wam dzisiaj poszło?

- Nieźle - powiedział Jack. - Skreśliliśmy dwa cele z listy. Mieliśmy ruszać za trzecim, ale był w trasie, więc skończyliśmy na dzisiaj. A jak u was?

- Dorwaliśmy pierwszego - oświadczył Jamie.

- Nowicjusze sobie poradzili?

- Mniej więcej. Ellison będzie świetna, już to widzę. Była spokojna i opanowana. Ale Morton trochę spanikował. Chyba spotkanie twarzą w twarz z prawdziwym wampirem okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Ale biorąc pod uwagę, że nie ukończyli jeszcze szkolenia, dobrze sobie poradzili. A twoi?

- Lepiej niż oczekiwałem. Nie spanikowali, nie zamarli, robili, co im kazałem. Słyszałeś o Angeli?

- Po powrocie poszedłem prosto do siebie. Co z nią?

- Powiedziała Holmwoodowi, że chce nową drużynę. - Jack

się uśmiechnął. - Jej podkomendni są w szpitalu, ale ona chce wrócić do akcji. Cal musiał jej wydać bezpośredni rozkaz, żeby poszła do łóżka.

Jamie odwzajemnił uśmiech. Jeśli chodzi o Angelę Darcy, tę piękną, przerażającą była agentkę, już nic nie mogło go zaskoczyć. W Paryżu widział ją przy pracy. Zgłosiła się na ochotnika do misji ratunkowej. Chciała pomóc uwolnić Frankensteina. Pozostawał pod jej ogromnym wrażeniem, ale jednocześnie go onieśmiewała. Jediną inną osobą, która okazała się tak elegancko śmiertelna, była Larissa. Ale ona przeistoczyła się w wampira, więc miała wymówkę. A Angeli, równie miłej i kokieteryjnej, co zabójczej, tylko dodawało to uroku. Nie dało się ukryć, że co najmniej tuzin mężczyzn w Departamencie się w niej podkochiwał.

- Nawet nie jestem zaskoczony - mruknął.

- Ja też nie - przyznał Jack. - Ale zdumiało mnie to, że Cal miał jaja, żeby jej odmówić.

Jack zaśmiał się szczerze i Jamie do niego dołączył. Cieszyli się przyjaźnią, która połączyła ich od pierwszego spotkania. W ciągu sześciu miesięcy od przybycia Jamiego do bazy wiele razy walczyli ramię w ramię. Jack jako jeden z agentów zgłosił się na ochotnika do misji ratunkowej w Paryżu. Jamie niezmiernie się ucieszył, że przyłączył się do zespołu. Jack był nie tylko doskonałym agentem i liderem, ale też dobrym przyjacielem.

Grupa zatrzymała się na końcu korytarza i czekała na windę. Potem wszyscy wcisnęli się do metalowego pudełka i wjechali na poziom A. Jacob Scott poprowadził ich głównym korytarzem i zatrzymał się przed pokojami stanowiącymi kwatery tymczasowego dyrektora. Zastukał do drzwi i czekał. Po jakiejś minucie zaspany Cal Holmwood otworzył drzwi.

- Co się dzieje? - spytał. - Jacob, co to ma znaczyć?

- Muszę panu coś pokazać, sir - odparł pułkownik Scott. - Czy możemy wejść?

Cień irytacji przemknął po twarzy Holmwooda.

- Koniecznie teraz? To nie może poczekać do rana?

- Nie, sir - odparł Scott. - Obawiam się, że nie. Dyrektor westchnął.

- Dobrze. Wejdźcie. - Otworzył drzwi do swojej kwatery. Do środka wszedł Jacob Scott, a za nim grupa specjalna Godzina Zero. Kiedy ostatni z agentów znalazł się w środku, Holmwood zamknął drzwi i zażądał wyjaśnień.

- Będzie łatwiej, jeśli panu pokażę, sir - powiedział Jacob.

- Czy może pan odtworzyć nagranie z kamer ochrony z Broadmoor z dnia ucieczki?

- Po co? - spytał dyrektor. - Ten materiał wciąż jest analizowany. Nie mamy jeszcze wstępnego raportu.

- Jak już mówiłem, będzie łatwiej, jeśli panu pokażę - powtórzył Scott.

Holmwood spojrzał na pozostałych agentów.

- Paul - jego spojrzenie zatrzymało się na majorze Turnerze - wiesz, o co chodzi?

- Nie, sir - odparł oficer bezpieczeństwa. - To przedstawienie Jacoba.

Jamie spojrzał na Jacka, który szerzej otworzył oczy. Ta mina przekazała dokładnie to, co miała przekazać. „Cholera. To musi być coś poważnego”. Holmwood przez chwilę się zastanawiał, a potem westchnął.

- No dobrze - powiedział. - Odtworzę materiał. Zechcesz mi wyjaśnić, czego mam szukać?

- Proszę puścić materiał z kamery na dziedzińcu z chwili, kiedy nastąpiła ucieczka - odparł Scott. - Powiem panu, jak tylko to zobaczę.

Holmwood z jękiem opadł na fotel obok długiego drewnianego biurka. Włączył konsolę i wpisał serię poleceń. Na przeciwnej ścianie pojawił się szeroki ekran i zebrani agenci przesunęli się tak, aby każdy mógł go widzieć. Holmwood wszedł na serwer i w folderze zawierającym setki

gigabajtów nagrań z ucieczki z Broadmoor odnalazł plik podpisany ZEWN DZIEDZINIEC. Kliknął go dwukrotnie i na dużym ekranie pojawiło się czarno-białe nagranie.

Kamera była umiejscowiona z tyłu bramy wjazdowej, tuż nad łukiem. Pokazywała dziedziniec i główne wejście szpitala. Na początku nagrania pośrodku dziedzińca stał rangę rover. Obok otwartych drzwi od strony kierowcy znajdował się mężczyzna. Przed autem leżała postać w szpitalnej koszuli, która nagle poderwała się z miejsca. Kilku agentów głośno nabrało powietrza. Pacjent przebiegł dziedziniec i wskoczył na maskę samochodu, uderzając, drapiąc i waląc w przednią szybę. Udało mu się przebić ją pięścią. Potem auto wycofało się przez bramę i wyjechało poza kadr.

- Kto był w aucie? - spytał Brennan. Jego głos zdradzał, że materiał nim wstrząsnął.

- Benjamin Dawson - odpowiedział Paul Turner, nie odrywając wzroku od ekranu. - I Charles Walsh. Mieszkańcy Crowthorne, wioski leżącej nieopodal Broadmoor. Obydwaj nie żyją.

Jamie milczał. Wzrok utkwiał w ekranie, patrząc na okropne wypadki, które nagrała kamera. Wideo nie miało dźwięku, co jeszcze spotęgowało efekt. Horror wydawał się nierealny bez krzyku, który w rzeczywistości zawsze mu towarzyszył. Przez kilka chwil panował spokój, a potem z góry, z punktu, który znajdował się poza oknem kamery, spadła jakaś postać. Było widać, że złamała sobie nogę. Potem poczołgała się w tym samym kierunku, w którym odjechało auto. Kilka sekund później kolejny pacjent wskoczył w kadr. A potem kolejny i jeszcze jeden. Kilku pobiegło w kierunku bramy, inni stali na dziedzińcu, zupełnie jakby nie byli pewni, co powinni robić.

I nagle drzwi szpitala wystrzeliły na zewnątrz, pękając i rozrzucając drzazgi po kamiennym podjeździe. W przejściu pojawił się ogromny mężczyzna w białej koszuli fartuchu. Jego oczy świeciły. Na czarno-białym nagraniu wyglądały jak

migoczące białe plamki. Ruszył powoli przed siebie, potem odrzucił głowę do tyłu i krzyknął w nocne niebo. Dziedziniec ożył, kiedy znaleźli się na nim wszyscy nowo przemienieni pacjenci Broadmoor. Dziesiątki, a nawet setki wampirów biegły, skakały i przepychały się jeden przez drugiego. Strumień potworów cieszących się z odzyskanej wolności. Wszystkie zaczęły biec przez podwórze, znikając poza kadrem.

- Proszę zatrzymać! - zawołał Jacob Scott. - Teraz!

Jamie spojrział na australijskiego pułkownika. Jego wzrok był utkwiony w monitorze, a twarz pobladła. Cal Holmwood nacisnął klawisz i akcja na ekranie zamarła. Obrazek wyglądał teraz jak fotografia.

- Na co patrzymy? - zapytał.

Jacob Scott powoli się podniósł i podszedł do monitora. Wyciągnął drżącą dłoń i wskazał na mężczyznę idącego spokojnie środkiem dziedzińca.

- Na niego - rzekł Scott. - To jego chciałem wam pokazać.

- Kto to? - spytał Jamie.

- To jeden z nas - odparł pułkownik. - To Albert Harker.

TAJNE ZNACZY TAJNE

DWADZIEŚCIA MINUT PÓŹNIEJ

- Nie mogę w to uwierzyć - jęknął Cal Holmwood. - Znałem Davida Harkera. Nie mogę uwierzyć, że zrobił to własnemu synowi.

- A jednak - rzekł Jacob Scott drżącym głosem. - Byłem tam. Wszystko widziałem.

Jamie z powoli narastającym przerażeniem słuchał długiej i smutnej historii Alberta Harkera. Pułkownik Scott opowiedział bardzo dokładnie, niczego nie pomijając, w jaki sposób ojciec i brat umieścili Alberta w Broadmoor pod fałszywym nazwiskiem, aby spędził tam resztę życia. Pozwolił, żeby okrucieństwo czające się w sercu rodziny Harkerów zostało całkiem zdemaskowane.

„Jak oni mogli to zrobić? - myślał, próbując ogarnąć to rozumem. - Jak ktokolwiek mógłby tak postąpić?”

- Nie znam tych mężczyzn - powiedział. - Nie są już agentami, prawda?

- Obaj nie żyją - odparł Holmwood. - David zmarł ponad dziesięć lat temu, a Robert... Pewnie już ze dwa lata minęły.

Paul Turner przytaknął.

- Odszedł jakieś pół roku po swoich synach - dodał.

W myślach Jamiego pojawiła się brązowa płytką umieszczona w ogrodzie różanym na skraju Pętli.

- Bracia Harkerowie, którzy zmarli, kiedy spadł pierwszy odrzutowiec Mina - powiedział powoli. - John i George. Byli

synami Roberta?

- I wnukami Davida - przytaknął Holmwood. - I bratankami Alberta, chociaż wątpię, by kiedykolwiek dowiedzieli się o jego istnieniu. Nie podejrzewam, żeby ich ojciec często wspominał o bracie.

- Ale wiedzieliście o istnieniu Alberta. Znaliście Davida Harkera i na pewno wiedzieliście, że miał dwóch synów. Nigdy się nad tym nie zastanawialiście?

- Wiedzieliśmy, że Albert był... inny - odparł Holmwood. - Wszyscy to wiedzieli. To żadna tajemnica. Kiedy odmówił wstąpienia do Departamentu, wywołał skandal i David się wściekł. Ale o reszcie nie mieliśmy zielonego pojęcia.

- Nikt o tym nie wiedział, sir - rzekł Jacob Scott. - Tylko David i Robert. I ja. Nikt więcej.

- Skąd wiedziałeś? - spytał Turner. - Dlaczego w ogóle tam byłeś? Przecież to sprawa rodzinna.

- Robert poprosił mnie, żebym mu towarzyszył - odparł pułkownik. - Powiedział, że ojciec wezwał jego i kogoś, komu Robert ufał. Ufał mnie. Poszedłem.

- Nie rozumiem, dlaczego David chciał, żeby był tam ktoś poza Robertem. - Holmwood się zastanawiał.

- Też o tym myślałem, sir. - Wzrok Scotta momentalnie padł na podłogę. - Przez te lata często to rozważałem. Doszedłem do wniosku, że David sobie nie ufał. Bał się, że mógłby się posunąć za daleko, gdyby byli tam tylko on, Robert i Albert.

Znaczenie słów pułkownika zawisło w powietrzu, jasne dla wszystkich zebranych.

„Chryste - pomyślał Jamie. - Jezu Chryste”.

- Twierdzisz, że... - zaczął Jack Williams, ale dyrektor mu przerwał.

- Jack, wszyscy wiemy, co Jacob ma na myśli - powiedział. - Lecz zanim rzucimy w ogień piekielne reputację lojalnego członka Departamentu, pozwolę sobie przypomnieć, że to, co mówi Jacob, to jego opinia, a nie fakty. Czy to dla wszystkich

jasne?

- Tak, sir - rzekł Scott. - Zapytał pan o moje zdanie. Nie wiem, co tak naprawdę myślał David.

- Ale z radością ich wsparłeś? - rzekł Turner lodowatym tonem. - Pomogłeś umieścić Alberta w szpitalu dla psychicznie chorych na resztę życia bez żadnego powodu?

- Nie byłem z tego zadowolony! - krzyknął Scott. - Ani wtedy, ani teraz! Robert też tego nie chciał, ani David! Gdy zobaczyli, co się stało z Albertem, pękły im serca. Nienawidził ich, chciał ich skrzywdzić. Ale odłożyli emocje na bok i zrobili to, co musieli, dla dobra nas wszystkich. Dla dobra Departamentu.

- Dla dobra Departamentu - powtórzył Turner. - Właśnie tak się usprawiedliwiasz?

- Idź do diabła, Paul - rzucił Scott. - Nie waż się mnie oceniać, nie po tym, co sam robiłeś. Myślisz, że nie pamiętam Serbii? Albo Belfastu?

- Dostyc ! - krzyknął Cal Holmwood, waląc dłonią o blat biurka. - Jacobie, dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadujemy? Dlaczego nie powiedziałeś nam tego wczoraj podczas odprawy?

Scott spojrział w oczy dyrektora, a potem opuścił wzrok. - Ja wiem czemu - powiedział Paul Turner. - Chcesz im to wyjaśnić, czyja mam to zrobić?

Scott posłał oficerowi bezpieczeństwa jadowite spojrzenie.

- Mów. Widzę przecież, że aż cię skręca.

- Dobrze - odparł Turner. - Jakąś godzinę temu rozesłaliśmy rozkazy WZOB-u odnośnie do jutrzejszych przesłuchań. Nazwisko Jacoba jest trzecie na liście. Wieści się rozeszły i obecnie każdy z agentów operacyjnych zna przynajmniej część zadawanych przez nas pytań. Jedno z nich brzmi: Czy naraziłeś kiedyś bezpieczeństwo Departamentu, świadomie lub nie?

- Wiedziałeś, że zostaniesz nakryty - rzekł Holmwood, patrząc na pułkownika. - Dlatego postanowiłeś sam wszystko

wyznać. O to chodzi?

Jacob patrzył na dyrektora. Na jego twarzy malowała się udręka. Wreszcie przytaknął.

- Myślałem, że to nie ma znaczenia - tłumaczył się zachrypniętym głosem.

- Aż do wczoraj sądziłem, że to nie sprawa Czarnego Filtru, lecz kwestia rodzinna.

- To obrzydliwe - skwitował Williams.

- Jestem skłonny się z tobą zgodzić - przyznał Holmwood. - Ale niezależnie od tego, co sądzimy o decyzji Davida Harkera, faktem pozostaje, że postawił nas w sytuacji, z którą musimy się teraz zmierzyć. Po pierwsze, chcę, żeby zespół do badań terenowych ustalił, gdzie jest dziennikarz, z którym w 2002 roku rozmawiał Albert. Facet może być w niebezpieczeństwie. Andrews, zbierz ekipę i go tu przywieźcie.

- Tak, sir - odparła Amy Andrews.

- W porządku. Po drugie, chcę, aby ruszyła drużyna, która wyśledzi Alberta Harkera. Byłoby idealnie, gdyby dało się go tutaj sprowadzić i umieścić pod nadzorem, ale jeśli okaże się to niemożliwe, należy go potraktować jak każdego innego wampira.

- Proszę pozwolić mi się tym zająć - powiedział Jacob. Jego postawa wyrażała zdecydowanie, a głos był spokojny. - Mogę sprowadzić go do domu. Jestem tego pewien.

- Wykluczone - odparł Holmwood. - Nie masz prawa opuszczać swojej kwatery. Zawieszam cię w obowiązkach do czasu ukończenia śledztwa wydziału bezpieczeństwa. Rozumiesz, co mówię?

Scott ze zdumienia otworzył szeroko oczy. Wydawało się, że był na skraju płaczu.

- Tak, sir - odrzekł łamiącym się głosem.

- Dobrze - skwitował dyrektor. - Jack, chcę, żebyś zajął się Albertem. Przekażę wydziałowi inwigilacji, że znalezienie go jest priorytetem. Kiedy już to zrobią, umieścimy Harkera na

szczyście twojej listy pod fałszywym nazwiskiem. Jasne?

- Tak, sir - odparł Williams. - Dziękuję, sir.

- W porządku. Pozostali będą działać tak jak do tej pory. Z pewnością nie muszę wam mówić, że ani jedno słowo, które tutaj dziś padło, nie może wyjść poza ten gabinet. Jeśli choćby usłyszę nazwisko Alberta Harkera na terenie tej bazy, przysięgam na Boga, postawię każdego z was przed sądem wojskowym i będę miał w nosie konsekwencje. Zrozumieliście?

- Tak, sir - odpowiedzieli agenci chórem.

- Doskonale. - Holmwood westchnął. - W takich chwilach przypominam sobie, dlaczego nie chciałem tej cholernej roboty. Poruczniku Carpenter, muszę z tobą porozmawiać. Pozostali wynocha.

Jamie jęknął w duszy. Jack Williams spojrzał na niego z zagadkowym wyrazem twarzy i podniósł się z miejsca. Jamie niemal niezauważalnie pokręcił głową, Jack wskazał kciukiem na drzwi i skinął dłonią. Znaczenie obu gestów było jasne.

„Będę czekał na ciebie na zewnątrz”.

Kiedy Jack wyszedł, Jamie został sam z dyrektorem.

- Poruczniku, co się wczoraj stało? - spytał dyrektor, opierając się wygodnie w fotelu.

- Sir, jeszcze nie miałem czasu napisać...

- Daj spokój, Jamie - przerwał Holmwood. - Powiedz mi, co się stało.

Jamie głęboko odetchnął.

- Zakończyłem operację przed czasem, sir. Uznałem, że jej kontynuowanie nie byłoby bezpieczne dla mojej grupy.

- Tam nigdy nie jest bezpiecznie - rzekł dyrektor. - Czemu tym razem było inaczej?

- Jeden z moich ludzi źle zareagował na swoje pierwsze spotkanie z wampirem, sir. Zmarł, prawie został ranny. Nie znaleźliśmy tożsamości żadnego z kolejnych celów. Mieliśmy jedynie czerwone kropki na mapie. Dlatego postanowiłem

wrócić do bazy.

- Bez autoryzacji?

- Tak, sir. Przepraszam, sir.

Cal Holmwood pomasaował skronie i na moment zamknął oczy.

- Twój żółtodziób - zaczął po chwili - jak się nazywa.

- Morton, sir. John Morton.

- Morton - powtórzył Holmwood i jeszcze raz westchnął. - Nie każdy nadaje się na agenta. To, co robili wcześniej, niczego nie gwarantuje.

- Właśnie o tym mówię, sir. - Jamie starał się, by jego głos brzmiał spokojnie. - Nie skreślałbym go, sir. Ale uważam, że jeszcze nie nadszedł czas, żeby brał udział w misjach.

- Wróci na szkolenie, jak tylko zażegnamy ten kryzys - odparł Holmwood.

- On i pozostali rekruci. A gdy tak się stanie, polecę Terryemu, by miał na niego oko. Ale nie wiem, czego ode mnie oczekujesz do tego czasu.

- Chcę, żeby odebrał mu pan status czynnego agenta, sir - powiedział Jamie.

- Wykluczone. - Odpowiedź dyrektora była natychmiastowa. - Potrzebujemy wszystkich dostępnych ludzi. Przecież o tym wiesz.

- Sir, jeśli...

- Poruczniku Carpenter - przerwał mu Holmwood, wyraźnie znużony. - Czy rozumie pan, co się dzieje? Czemu musimy stawić czoła?

- Tak, sir - rzekł Jamie. - Oczywiście, że rozumiem. Ale uważam, że...

- Jamie, na wolności pozostaje ponad dwustu uciekinierów z Broadmoor. Widziałeś na własne oczy, do czego są zdolni. Normalne wampiry stają się coraz bardziej bezczelne, Drakula rośnie w siłę, a my nie mamy pojęcia, gdzie się ukrywa ani czy Henry Seward w ogóle jeszcze żyje. Mam nadzieję, że

rozumiesz, dlaczego nie mogę pozwolić, aby sprawny agent siedział beczynn timer w bazie z założonymi rękami.

Jamie spróbował po raz ostatni.

- Rozumiem, sir. Skoro nie chce pan zmienić jego statusu, to czy może go pan chociaż wysłać na ocenę psychologiczną? To powinno wystarczyć, sir.

- Dobrze. Rób, co musisz. Ale kiedy następnym razem pójdziecie w teren, on idzie z wami.

- Tak, sir - powiedział Jamie przez zaciśnięte zęby. - Dziękuję, sir.

Jamie zamknął za sobą drzwi gabinetu dyrektora i zobaczył, że Jack Williams opiera się o przeciwległą ścianę z wyrazem troski na twarzy.

- Wszystko w porządku? - spytał Jack.

- Tak. - Jamie zmusił się do uśmiechu i razem ruszyli korytarzem. - Nie przejmuj się tym, szczególnie teraz. Możesz uwierzyć w to, co zrobił Jacob? To aż niewiarygodne.

Jack przesadnie szeroko otworzył oczy.

- Bez jaj - odparł. - Coś takiego chyba jeszcze nigdy nie miało miejsca.

- Żeby potomek został przemieniony? - dopytał Jamie. Jack dołączył do Departamentu w spokojniejszych czasach i ukończył pełen trzynastomiesięczny program szkoleniowy, który mieli zaliczyć wszyscy agenci. W rezultacie jego wiedza na temat historii Czarnego Filtru była o wiele większa niż wiedza Jamiego.

- Jestem prawie pewien - przytaknął. - Żaden działający w organizacji potomek założycieli nigdy nie został przemieniony w wampira. Wielu zginęło, ale żadnemu nie wyrosły kły.

„Wielu zginęło - pomyślał Jamie, który sam był potomkiem założyciela. - Dzięki, Jack. Wielkie dzięki”.

- To poważna sprawa - powiedział. - Holmwood cię za nim

wysła. To coś wielkiego.

- Na to wygląda - odparł kolega. - Choć w zasadzie nie powinno się to różnić od innych akcji. To uciekinier jak wszyscy pozostali. Po prostu muszę milczeć na ten temat.

- Mimo wszystko - naciskał Jamie - ze wszystkich agentów w gabinecie Cal wybrał ciebie. Stary, powinieneś się czuć wyróżniony. Naprawdę.

Jack się uśmiechnął.

- Jestem zadowolony - przyznał. - To musi znaczyć, że w ostatnich miesiącach nieźle sobie radziłem.

Jamie, który dobrze wiedział, jak bardzo każdy z członków Departamentu cenił Jacka, nie zaszczylił komentacza kumpla odpowiedzią. Przechylił jedynie głowę na bok i uniósł brew.

- No dobra - Jack uśmiechnął się szeroko - moja grupa to świetni, niszczący wampiry ninja, więc Holmwood musiałby być szalony, żeby wybrać kogoś innego. Lepiej?

- Lepiej - potwierdził Jamie z uśmiechem.

Szli dalej, aż dotarli do windy na końcu korytarza na poziomie zero. Jack wcisnął przycisk i w ciszy czekali na dźwig.

- Rzadko się widzimy - powiedział Jamie zniechęca. - Nie jest to dziwne, biorąc pod uwagę, co tu się ostatnio dzieje. Ale szkoda.

- Owszem - przytaknął Jack. Przyjechała winda i agenci weszli do środka.

- Poza swoją grupą ostatnio właściwie z nikim się nie widuję. To trudne.

- Wiem. Gdy wracam po każdej misji, jedyne, czego chcę, to iść spać.

- Tęsknisz za Larissą? - spytał Jack.

- Oczywiście - przyznał Jamie. - Ale nawet kiedy tu była, mieliśmy coraz mniej czasu dla siebie. Teraz jest na drugim końcu świata. Rozumiem, czemu ją tam wysłano, i cieszę się, bo wydaje się zadowolona. Ale owszem, tęsknię za nią.

- Niedługo wróci do domu, prawda? - dopytywał Jack. - A w tym czasie my dwaj musimy znaleźć czas na spotkanie. Zjedzmy razem śniadanie, lunch czy coś tam. Może jutro?

Jamie przytaknął.

- Koniecznie. Jutro.

Winda zatrzymała się na poziomie B. Jamie rozważał uściskanie przyjaciela, ale się rozmyślił.

- Do zobaczenia później - powiedział i ruszył do swojej kwatery.

- Na razie! - zawołał Jack, kiedy drzwi windy zaczęły się zamykać.

Gdy członkowie oddziału specjalnego Godzina Zero skierowali się w stronę wind, które miały ich zabrać do kwater, Paul Turner ruszył w przeciwnym kierunku.

Kiedy Jacob Scott zastukał do jego drzwi, spał, ale już się rozbudził. Smutna sprawa Albera Harkera rozwiała resztki zmęczenia. Turnerowi trudno było zasnąć, kiedy sprawy szły według planu, szczególnie po śmierci syna. Wcześniej wykorzystywał każdą przepustkę, aby pojechać do domu i spędzić noc z Caroline. Teraz nie chciał opuszczać bazy w innych sprawach niż te dotyczące Czarnego Filtru. Zbyt wiele rzeczy wymagało jego uwagi, zbyt wiele było do zrobienia, aby mógł mieć pewność, że to, co przytrafiło się Shaunowi, nie spotka dziecka nikogo innego.

Caroline radziła sobie najlepiej, jak potrafiła, biorąc pod uwagę podwójną tragedię, jaka na nią spadła tej okropnej nocy, i zaczynała powoli przypominać dawną siebie. Była z Sewardów i знаła trud życia, chociaż utrata syna i brata stanowiła próbę jej siły i odporności. Paul wiedział, że żadne z nich tak naprawdę nie zaczęło jeszcze akceptować śmierci Shauna. Ich żal był wciąż zbyt świeży i zbyt ogromny. Ale jednoczyło ich poczucie obowiązku, które pozwalało

przetrwąć kolejny dzień.

Miał pracę do wykonania. Żałoba musiała poczekać. Paul Turner kochał swoją żonę bardziej, niż jakikolwiek agent w Departamencie był skłonny uwierzyć. I syna kochał dokładnie w ten sam sposób. Utrata Shauna pozostawiła w nim ogromną pustkę. Taką, która bez przerwy groziła wciągnięciem go w otchłań. Tylko niezwykle pokłady silnej woli sprawiły, że stawiał kolejny krok, tak jak teraz.

Oficer bezpieczeństwa przeszedł przez tętniący życiem wydział wywiadu i otworzył drzwi prowadzące do WZOB-u. Przy biurku w recepcji jak zawsze ktoś siedział, więc skinął głową do agenta. Mężczyzna wyprostował się i również odpowiedział skinieniem. Major minął recepcję i wszedł do niewielkiego saloniku. Zamierzał spędzić tam kilka cichych godzin, popijając kawę, czytając raporty z poprzedniego dnia i usilnie starając się nie myśleć o żonie i synu. Chciał poczekać, aż zacznie się poranna seria przesłuchań. Był zdumiony, kiedy zastał tam leżącą na kanapie Kate Randall. Agentka odłożyła teczkę i uśmiechnęła się do niego. Turner poczuł w piersi jakąś zmianę, ojcowskie uczucie, które od śmierci Shauna pozostawało skute lodem.

- Nie mogłeś spać? - spytała.

- Spałem - odparł. - Obudził mnie Jacob Scott.

Kate zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

Turner przez chwilę rozważał pytanie dziewczyny. Wiedział, że jeśli jej powie, że to tajna informacja, Kate zaakceptuje to bez szemrania. Natura organizacji była taka, że niektórzy agenci wiedzieli o sprawach, o których inni nie mieli pojęcia. Ale nie chciał jej okłamywać. Widział, jak wielkie podjęła ryzyko, zgłaszając się do wydziału wewnętrznego, i wiedział też, dlaczego to zrobiła - zależało jej na jego synu i w ten sposób chciała uczcić jego pamięć. Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że złamałby tym samym

jedną z podstawowych zasad Departamentu, którą on jako oficer bezpieczeństwa powinien uważać za świętą. Miał zamiar powiedzieć jej, co zaszło w gabinecie Cala Holmwooda podczas spotkania oddziału specjalnego - spotkania mającego najwyższy z możliwych w tej organizacji poziom utajnienia.

- Nie okłamujemy się - powiedział. - Mam rację?

- Tak - odparła natychmiast. - To prawda.

- Dobrze. Pamiętasz tę mowę, jaką wygłosił tymczasowy dyrektor Holmwood po ataku na bazę?

- Oczywiście.

- Pamiętasz, jak mówił, że powoła oddział specjalny, który opracuje strategię postępowania z Drakulą?

- Oddział specjalny Godzina Zero? - spytała. Turner mrugnął, a potem lekko się uśmiechnął.

- Powinienem się domyślić, że już o tym wiesz - odparł. - Czy mam zakładać, że powiedział ci o tym porucznik Carpenter?

Kate wyraźnie się zaniepokoiła.

- Spokojnie - rzekł major szybko. - Nie otrzyma ode mnie nagany za coś, co sam miałem zamiar zrobić. Jamie ci powiedział, prawda?

- Tak - przyznała. - Przed atakiem Valeriego, kiedy wszystko zaczęło się sypać, obiecaliśmy sobie, że nie będziemy mieć przed sobą tajemnic. Dlatego nam powiedział.

- Nam?

- Mattowi, Larissie i mnie.

Uśmiech Paula Turnera stał się jeszcze większy. Wiedział, że Jamie Carpenter sądzi, iż major go nienawidzi, jest wobec niego niesprawiedliwy i wciąż go do czegoś wyznacza. Cieszył się, że chłopak tak myślał. Ale prawda była zgoła inna. W całym Departamencie niewielu było agentów, których Turner podziwiałby bardziej. Jego upór, temperament i absolutna, bezgraniczna lojalność wobec przyjaciół tak bardzo przypominały mu samego siebie z czasów młodości, że było to niemal bolesne. To oczywiste, że Jamie powiedział

przyjaciołom o oddziale specjalnym. Zdawał sobie sprawę, jak chłopak myślał.

„Zdołał informacje, które w jego opinii powinni poznać także jego przyjaciele. Uznał, że dzięki temu będą bezpieczniejsi. Więc im powiedział. Proste”.

- Właśnie dlatego Jacob mnie obudził - rzekł major. - Jest w oddziale specjalnym, albo przynajmniej był jeszcze dziesięć minut temu. Chciał nam coś pokazać.

- Co takiego?

- Materiał ze szpitala Broadmoor. Okazało się, że Albert Harker, jeden z niewielu potomków założycieli Departamentu, który odrzucił zaproszenie do służby, został tam zamknięty na niemal dekadę. A teraz jest na wolności i przeistoczył się w wampira, jak wszyscy pozostali.

- Jezu - szepnęła Kate. - To okropne. Turner przytaknął.

- Znałem Roberta, brata Alberta. I uwielbiałem jego ojca. Kiedy wstąpiłem do Czarnego Filtru, David był takim agentem, jakim wszyscy chcieli być, łącznie ze mną. A jednak zgodnie z wersją Jacoba to David zamknął Alberta w Broadmoor, podczas gdy Robert stał z boku i patrzył.

- Dlaczego? - spytała Kate. - Co Albert zrobił? Turner wzruszył ramionami.

- Udzielił dziennikarzowi wywiadu na temat Departamentu. Chyba był zły na ojca albo na brata. Albo na obydwo. Nie wiem. Było to naruszenie protokołu bezpieczeństwa, z którym każdy agent wydziału bezpieczeństwa poradziłby sobie w dziesięć minut, i to pierwszego dnia służby. Ale ojciec Alberta najwyraźniej uznał to za poważne przewinienie.

Turner przeszedł na drugą stronę pokoju, usiadł na krześle przy niewielkim biurku i potarł twarz dłońmi. Czuł się pusty, jakby już nic mu nie zostało.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś - rzekła Kate.

- Proszę bardzo. - Turner zaczął się śmiać niskim, gardłowym głosem, w którym nie było radości. Dla Kate brzmiało to

bardziej jak początek szlochu.

- Proszę iść się przespać, sir - poradziła. - Jest jeszcze sporo czasu. Pierwsze przesłuchanie mamy dopiero za pięć godzin.

- To druga kwestia, którą chciałem z tobą poruszyć - rzekł Turner, opuszczając dłonie. - Widziałaś grafik, prawda?

- Owszem.

- Poradzisz sobie?

- Tak - odparła. - Wcześniej czy później musiało do tego dojść. To dziwne, że obaj zostali wytypowani na ten poranek, ale jeśli mam być szczerą, ucieszę się, kiedy już będziemy mieli ich z głowy.

- Dobrze - skwitował Turner. - Nie musisz przesłuchiwać ich sama. Będę tam z tobą.

- Wiem. Zobaczymy się tu o siódmej trzydzieści, tak? Jak już się prześpisz.

Turner się zaśmiał.

- To naprawdę nie jest konieczne.

Kate odłożyła teczkę i wstała z kanapy. Podeszła do drzwi i otworzyła je z szerokim uśmiechem.

- Nalegam, sir - powiedziała.

DAWNE PORACHUNKI

WCZORAJ

Albert Harker szedł ulicami Clerkenwell, ciesząc się mocą, którą czuł w swoim ciele. Mniej więcej co dziesięć kroków unosił się w powietrzu i przelatywał nad popękkanymi płytami chodnikowymi, pławiąc się w cudownym doznaniu - możliwości oderwania się od ziemi.

Ulice świeciły pustkami. Słońce wszędzie za niecałe dziewięćdziesiąt minut, więc mężczyźni i kobiety, którzy zapełniali okoliczne bary i restauracje, już dawno rozeszli się w poszukiwaniu taksówek lub nocnych autobusów. Nie byli świadomi obecności potwora. Jeśli plan Harkera się powiedzie, już niedługo zostaną wyrwani z błogiej nieświadomości. Nie podziękują mu za to, co zamierzał zrobić, ale wierzył, że z czasem dostrzegą, że chodziło mu tylko o ich dobro.

„Ostrzeżony znaczy przygotowany” - pomyślał, otwierając bramę, która prowadziła do frontowych drzwi domu Johnny'ego Supernovy.

Minęło prawie dziesięć lat, odkąd odwiedził to miejsce swego ostatniego wieczoru na wolności. W ciągu lat spędzonych w Broadmoor próbowano go przekonać, że to, co mówił, było jedynie wytworem jego wyobraźni, a kiedy nie zdradzał oznak, że im wierzy albo że chociaż się stara, próbowali złamać go wszelkimi dostępnymi sposobami. Uciekali się do hipnozy i oczywiście do elektrowstrząsów. Raz za razem starali się

wymazać z jego pamięci wspomnienia, ale kurczowo się ich trzymał, jak tonący chwyta się koła ratunkowego. Tylko one mu pozostały i niezależnie od tego, ile razy mu powtarzano, że się myli, wiedział, że są prawdziwe.

Znajdujący się przed nim dom był ciemny i cichy. Harker spojrzął na okno mieszkania na pierwszym piętrze i dostrzegł tylko pustą szybę. Nie miało zasłon ani żaluzji. Uniósł się, zachwycony tym, jak łatwo i całkowicie naturalnie mu to przyszło, i dosięgnął do okna.

Pokój był pusty. Meble, sterty książek i nagrań, które kiedyś zagracały tę przestrzeń, znikły. Ściany i podłoga były nagie, a na każdej powierzchni leżała gruba warstwa kurzu. Harker pozwolił grawitacji wygrać i powoli opadł na ziemię. W głowie mu się kotłowało. Dopuszczał do siebie możliwość, że Supernova nie mieszka już w tym samym miejscu. Dziennikarz był kapryśny i nieprzewidywalny nawet w najlepszych czasach. Ale Harker i tak czuł się zawiedziony, bo chciał, żeby ta część jego misji przebiegła bezproblemowo. Nie zniechęciło go to jednak. Po rozejrzeniu się, czy nikt nie zauważył jego obecności, zamachnął się nogą i kopnął drzwi tak, że wypadły z zawiasów. Pękły, lecąc przez ciemny korytarz, i rozpadły się na kawałki na zniszczonym dywanie. Albert wszedł do środka i spojrzął wokoło.

Korytarz był czysty i niemal całkiem pusty. Na półce obok drzwi, jak w przypadku większości domów, w których mieszkało więcej rodzin niż jedna, leżał stosik nieotwartej poczty. Albert przejrzał listy i od razu znalazł to, czego szukał - trzy grube kremowe koperty ze stemplem i logo kancelarii CHESNEY, CLARKE, ABEL & WATT, zaadresowane do wykonawcy testamentu pana J. Bathursta.

Albert Harker poczuł przyływ paniki. Przygotował się na to, że wytropienie dawnego znajomego może zająć mu trochę czasu, ale nawet nie przeszło mu przez myśl, że Johnny Supernova może już nie żyć. Dziennikarz był głównym

elementem planu, który Albert miał zamiar wprowadzić w życie, by osiągnąć to, czego pragnął. Aby mógł czynić dobro.

„Uspokój się - pomyślał. - Spokojnie. Mieszkanie jest puste, co oznacza, że jego własność została gdzieś przeniesiona. Na pewno ma jakichś krewnych. Ktoś będzie wiedział”.

Otworzył pierwszy list i powiódł wzrokiem po zawartości. Na jego twarzy pojawił się pełen ulgi uśmiech, kiedy na dole dostrzegł nazwisko, a na górze adres. Przeczytał go po raz drugi i wsunął do kieszeni płaszcza, który wziął z wystawy warsztatu krawieckiego nieopodal Liverpool Street po tym, jak wybił szybę. Potem odwrócił się i wyszedł.

Tom Ciarke zaparkował auto przed domem, który będzie spłacał przez następnych dwadzieścia lat, wyłączył silnik bmw i westchnął.

To był okropny dzień, więc chciał się jedynie zanurzyć na godzinę w gorącej wodzie, podczas gdy żona zajmie się ułożeniem dzieci do snu. Potem otworzy butelkę wina. Jego sekretarka zadzwoniła z informacją, że jest chora. Wiedział, że nie ma prawa się irytować, zwłaszcza biorąc pod uwagę nienaganny przebieg zatrudnienia Janet i jej niesamowitą wydajność i jakość pracy. Ale dziś był jeden z tych dni. Przed lunchem odbył dwie konferencje z klientami, a po nich miał spotkanie z partnerami. Bez Janet był rażąco nieprzygotowany do wszystkich trzech rozmów. Wiedział, że to nie jej wina, ale i tak miał do niej pretensję.

Wysiadł z auta, zamknął je i poszedł w stronę frontowych drzwi. Był to wymarzony dom Bonnie - duży, jednorodzinny, z czterema sypialniami, przy jednej z najlepszych ulic w Hampstead. Kupili go w zeszłym roku, kiedy został partnerem w kancelarii. Był odrobinę poza zasięgiem ich finansów, ale jakoś sobie radzili. Dopóki duże firmy będą kupować małe i potrzebować prawników, by sfinalizować transakcje, pewnie

dalej tak będzie. Ale pieniędzy ledwo starczało, dlatego zaczął postrzegać ten dom zupełnie inaczej niż Bonnie - ciążył mu niczym kamień u szyi, groził, że pociągnie go na dno.

Tom przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Od razu usłyszał to, co już stało się ścieżką dźwiękową jego życia: James i Alec przekrzykiwali się, a Bonnie starała się, choć raczej mało przekonująco, ich uspokoić.

Położył neseser na stoliku w szerokim korytarzu i wszedł do pokoju dziennego. Chaos był mu dobrze znany - kolorowy, jaskrawy film na DVD widoczny na ekranie telewizora zagłuszał niemal wszystko. James i Alec turlali się po dywanie, jakimś cudem omijając porozwalane wszędzie liczne zabawki. Bonnie siedziała na ulubionym fotelu i uśmiechała się do synów z tak wyraźną dumą, że Tomowi zebrało się na wymioty.

Już miał się przywitać, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Wrócił do przedpokoju, wdzięczny za taki obrót spraw. Zza matowego szkła przebijał zarys postaci. Tom obrócił gałkę i otworzył drzwi. Uznał, że rozmowa ze świadkami Jehowy lub chodzącymi od drzwi do drzwi pracownikami instytucji charytatywnych jest lepsza niż powrót do rodziny.

Drzwi były ledwie uchylone, kiedy przez szczelinę przedarła się czyjaś pięść i trafiła Toma w nos, który pękł z głośnym chrupnięciem. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, zostawiając wokół ślady krwi. Ból na chwilę go zamroczył, zachwiał się na nogach i wreszcie upadł na podłogę. Rękami trzymał nos, a spomiędzy palców sączyła mu się krew.

- Tom?! - zawołała Bonnie. - Wszystko w porządku?!

Gdy Tom z trudem łapał oddech, ciemna postać weszła cicho do środka, zamykając za sobą drzwi. Próbował się skoncentrować, przyjrzeć osobie, która wtargnęła do jego domu, ale w oczach miał pełno krwi i łez. Postać minęła go, nie patrząc nawet w dół. Tom spróbował chwycić intruza za kostkę, ale ten odtrącił jego słabą rękę i przeszedł do salonu.

Chwilę później rozległy się krzyki.

Wysoki pisk uderzył w Toma niczym wiadro zimnej wody. W jednej chwili wróciła mu zdolność logicznego myślenia, a ciało odzyskało siły. Obrócił się na brzuch i się podniósł. Na chwiejnych nogach poszedł do salonu, gdzie zobaczył scenę ze swych najgorszych koszmarów. Bonnie leżała na podłodze, krzycząc i piszcząc z przerażenia, podczas gdy mężczyzna z zatrważającym uśmiechem trzymał ich synów w górze za gardła. Twarze chłopców były wykrzywione ze strachu. Tom dostrzegł, że James się zmoczył. Ciemna plama na jego pizamie sięgała niemal do kolan.

- Nie rób im krzywdy! - krzyknął załamującym się głosem, stłumionym przez krew, która zalewała mu gardło. - Proszę! Mamy pieniądze i biżuterię! Proszę, nie krzywdź ich!

- Pan Ciarkę? - spytał mężczyzna zadziwiająco spokojnym głosem. - Thomas Ciarkę?

- To ja - rzekł Tom, patrząc na intruza.

Miał on na sobie drogi płaszcz, a pod nim elegancki garnitur i buty, które w kancelarii wyglądałyby nie na miejscu. Jego włosy były przeredzone, a skóra blada, ale w oczach tańczyła wyraźna wściekłość.

- Musimy omówić pewne interesy - powiedział. - Prywatne interesy. Zakładam, że w tak eleganckim domu jest piwniczka.

- Owszem - przytaknął Tom drżącym głosem.

Bonnie patrzyła na chłopców oczami pełnymi przerażenia. James i Alec przyglądali się Tomowi z wiarą i niepodważalnym przekonaniem, że tatuś wszystko naprawi.

- Czy jest w niej telefon? - spytał napastnik. - Albo inny środek komunikacji ze światem? I proszę nie kłamać.

- Nie - odparł Tom. - Jest tam wino i nasz sejf. Są pieniądze...

- Panie Ciarkę, nie interesuje mnie pańskie bogactwo - przerwał nieznajomy. - Mam ważniejszy powód niż zwykła

kradzież. Jeśli jeszcze raz zasugeruje pan coś podobnego, każę panu wybierać, którego z tych rozkosznych chłopców mam zabić. Może to sprawi, że zacznie pan słuchać, co do pana mówię.

Bonnie krzyknęła z przerażenia, a James i Alec zaczęli się miotać. Mężczyzna wyglądał na nieporuszonego reakcją, jaką wywołały jego słowa.

- W porządku - powiedział Tom, trzymając ręce szeroko w geście całkowitego poddania. - Cokolwiek pan powie. Czego pan chce?

- Czy piwniczka ma zamek?

-Tak.

- Od zewnątrz czy od wewnątrz? - spytał nieznajomy.

- Od zewnątrz.

- Doskonale. Gdzie są drzwi?

- W korytarzu.

- Panie Ciarke - zaczął intruz. - Pójdzie pan i otworzy te drzwi. Potem spokojnie, bez zbędnych hałasów zamkniemy tam pańską rodzinę i sobie porozmawiamy. Czy to jasne?

- Tak - zgodził się Tom. - To jasne.

Serce waliło mu jak szalone i czuł ucisk w żołądku. Ale myśl o zamknięciu żony i synów w piwniczce i odgradzeniu ich od napastnika obudziła w nim isierkę nadziei.

„Może wyjdą z tego cało - pomyślał. - Nawet jeśli mnie się nie uda”.

- Doskonale - rzekł obcy. - Zanim pójdziemy, chcę, żebyście pan i żona opróżnili kieszenie. Na wszelki wypadek, gdybyście mieli przy sobie jakieś telefony komórkowe, o których zapomnieliście mi powiedzieć. Zróbcie to teraz, proszę.

Tom natychmiast wyjął aparat z wewnętrznej kieszeni marynarki i rzucił go na kremową skórzaną sofę. Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął portfel i kartę wstępu do biura i cisnął je obok telefonu, błagając los w duchu, by jedyny pozostały w kieszeni przedmiot nie był widoczny przez materiał garnituru.

- Dziękuję - powiedział obcy i przeniósł uwagę na Bonnie. - Pani Ciarke?

Tom obserwował, jak jego płacząca żona opróżnia kieszenie dzinsów.

Wyjęła komórkę i gumę do żucia. Nic więcej nie miała.

- Znakomicie. Proszę prowadzić, panie Ciarke. I przez wzgląd na dobro rodziny niech pan nie robi nic głupiego.

Tom przytaknął i rzucając ostatnie, pełne desperacji spojrzenie na synów, wyszedł na korytarz. Drzwi piwniczki znajdowały się na jego końcu, tuż przed wejściem do kuchni. Wykonano je ze zwykłego drewna i zamykały się na pojedynczą zasuwę. Odsunął ją, otworzył drzwi i stanął przy nich sztywno. Chwilę później z salonu wyszła Bonnie i podeszła do męża. Miała taką minę, jakby utknęła w koszmarze i nie wiedziała, jak się obudzić. Niepewnym krokiem postąpiła kilka stopni w dół i odwróciła się, czekając na chłopców. Nieznajomy wyniósł ich do przedpokoju, jak gdyby nic nie ważyli, i postawił obok ojca.

- Idźcie z mamą, chłopcy - powiedział Tom stłumionym głosem. - Już.

James i Alec wbiegli przez drzwi piwniczki i doskoczyli do matki. Bonnie zachwiała się, ale utrzymała równowagę. Cała trójka zaczęła łkać i mocno się do siebie tulić, szepcząc coś niezrozumiale.

- Proszę zamknąć drzwi, panie Ciarke - rzekł nieznajomy. - Jeśli powiedział mi pan prawdę, będą tam całkiem bezpieczni.

Tom powoli zamknął drzwi. Ostatnie, co ujrzał, to twarze bliskich, patrzące na niego błagalnie pośród ciemności.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym usiadł? - spytał nieznajomy.

Tom zaprowadził go do salonu, jak tylko zasunął drzwi

piwniczki, i

zgodnie z poleceniem zajął miejsce na kanapie.

- Nie - powiedział powoli. - Proszę.

- Dziękuję - rzekł intruz, wybierając fotel, na którym Bonnie spędzała większość wieczorów.

Tom miał nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczy siedzącą na nim żonę. Ale patrząc na uśmiechniętą, bladą twarz intruza, wątpił, by były na to duże szanse.

- A teraz, panie Ciarke - zaczął obcy, zakładając nogę na nogę - interesuje mnie śmierć mężczyzny znanego wszystkim jako Johnny Supernova. W szczególności jej okoliczności oraz to, co po sobie pozostawił. Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie na ten temat.

Tom wpatrywał się w obcego ze zdumieniem. Po to włamał się do jego domu? Nie dla pieniędzy, klejnotów czy chociażby naprawdę wartościowych informacji na temat przyszłości rynku naftowego lub przepływu pieniędzy na zagraniczne konta? Żeby zapytać o Johnny'ego Supernovę?

- Przedawkował heroinę - powiedział. - Zmarł w Clerkenwell. Nie zostawił testamentu.

- Cóż za strata - mruknął obcy smutno, kręcąc głową. - Chociaż nie mogę powiedzieć, żebym był tym szczególnie zaskoczony. Co z rodziną? Zostawił tu kogoś?

- Jest siostra - rzekł Tom. - Nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Ostatni artykuł, jaki napisał, przynajmniej według zapisów na jego komputerze, był właśnie o niej. Powiedzieć, że był mało przyjemny, to ogromne niedopowiedzenie. Ponoć krótko przed śmiercią odmówiła mu pożyczki.

- Co z jego własnością i osobistymi przedmiotami?

- Wszystko zostało zajęte przez banki - odparł Tom. - W przyszłym miesiącu odbędzie się licytacja. To pokryje długi, jakie pan Supernova zaciągnął na kartach kredytowych. Zrobił tylko jeden zapis. Poprosił, abym przekazał coś staremu przyjacielowi.

- Co takiego? - spytał obcy, siadając prosto.

- Kopertę - wyjaśnił Tom. - Taśmę z nagraniem, transkrypt rozmowy i teczkę z notatkami.

- Czytał je pan?

-Tak.

- Co to było?

- Bzdury - prychnął Tom. - Brednie na temat wampirów i tajnej agencji rządowej.

- Z kim był ten wywiad?

- Nie pamiętam - powiedział Tom.

- Z Harkerem? - naciskał obcy. - Z Albertem Harkerem? Tom patrzył na nieznanego. Pamięć podpowiedziała mu odpowiedź.

- Skąd pan wie? - zapytał powoli. Nieznajomy się uśmiechnął.

- To był jedyny wywiad, jakiego udzieliłem, panie Ciarke. Czegoś takiego się nie zapomina.

- Mój Boże - rzekł Tom z szeroko otwartymi oczami. - Dobry...

Oczy Alberta Harkera zaszyły szkarłatem, po czym zsunął się z miejsca z prędkością, która przeczyła logice. Chwycił Toma Clarkea za gardło, zmuszając do milczenia, a potem uniósł go i cisnął w powietrze, jakby to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

- Komu zostawił kopertę? - spytał wampir, przyciągając do siebie Toma, aż ich twarze dzieliły ledwie milimetry. - Kto ma taśmę?

- McKenna - wydukał Tom. W głowie zaczynało mu dudnić. Palce Harkera odcięły dopływ tlenu do jego mózgu. - Kevin... McKenna... to... dziennikarz... z „The Globe”.

Jego ciałem zawładnęła panika, napełniając je strachem, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. Wsunął dłoń do kieszeni spodni z przerażeniem w oczach.

- Dziękuję - rzekł Albert Harker, oddychając ciężko. - Bardzo panu dziękuję, panie Ciarke. Był pan bardzo pomocny.

Miał rzucić adwokata na sofę, kiedy Tom Ciarke wyjął kluczyk do auta i wcisnął go w jego oko.

Ból był ogromny i rozchodził się wokół niczym grzyb po wybuchu bomby atomowej. Harker odrzucił głowę do tyłu, czując, że oko zostało całkiem zniszczone, kiedy kluczyk rozorał jego miękką powierzchnię. Zawył z bólu. Jego pole widzenia zmalowało o połowę, zastąpiła je czerwona chmura. Harker puścił adwokata i przycisnął dłonie do twarzy, jakby chciał wycisnąć z głowy to doznanie. Jego umysł krzyczał z bólu i złości. Kiedy próbował się otrząsnąć, usłyszał szuranie i zmusił się do otwarcia oka.

Zobaczył, że Tom Ciarke próbuje się wyczołgać z salonu. Harker krzyknął z furii i rzucił się przez pokój. Żółty płyn wyciekał ze zniszczonego oka, chlapiąc dywan. Albert sięgnął w dół i chwycił Ciarke'a za kark. Adwokat krzyknął, próbując się uwolnić ze szponów wampira. Harker uniósł go wysoko, kopiącego i rzucającego się, ściskając obiema rękami za szyję. Zatopił palce w ciele mężczyzny. Krew poleciała po jego ramionach. Ciarke szerzej otworzył oczy. Zaraz potem rozwarł usta i wydał z siebie niemy krzyk bólu i przerażenia. Palce potwora zatapiały się coraz głębiej, aż wreszcie wampir machnął rękami w górę ze straszliwym krzykiem wściekłości.

Głowa Toma Clarkea oderwała się od ciała z okropnym dźwiękiem, niczym kartka papieru przerywana na pół. Krew wytrysnęła na cały salon, chlapiąc sufit, ściany i dywan, opadając na skórzane meble. Harker odrzucił głowę na bok, zatrzymał się na dłuższy moment, a potem przywarł ustami do szyi mężczyzny. Pił długo i łapczywie, czując odurzającą przyjemność wypełniającą całe ciało palącym doznaniem. Miał wrażenie, że jego ciało liżę płomienie sprawiedliwości. Poczul, że jego oko się regeneruje, i po chwili widzenie

wróciło z zaskakującą wyrazistością. Zupełnie jakby ktoś otworzył okno w ciemnym pokoju.

Kiedy zaspokoił już głód, pozwolił, by truchło spadło na podłogę, a sam uniósł się w powietrze. Odrzucił głowę do tyłu. W gardle czuł konwulsje, a jego ciało drżało niekontrolowanie. Czekał, aż to wspaniałe wrażenie minie. Po kilku minutach rzeczywiście zaczęło słabnąć - serce zwolniło, czucie powróciło do rąk. Oddychał głęboko, jak człowiek na krawędzi ataku paniki. Potem opadł na przesiąknięty krwią dywan. Już wszystko rozumiał.

To dlatego wampiry zabijały. Dla tej cudownej, boskiej ekstazy.

Drżąc, wyszedł z salonu, omijając największy bałagan. W korytarzu skierował się do drzwi piwniczki. Nogi same go tam powiodły, a oczy lśniły przerażającą czerwienią, kiedy odsuwał zasuwę. Patrzył w dół ciemnej klatki schodowej, oddychając głęboko i powoli. Zrobił krok naprzód, lecz zatrzymał się na dźwięk szepczącego kobiecego głosu.

- Nie bójcie się - mówiła Bonnie. - Nie pozwolę mu was skrzywdzić. Obiecuję.

„O Boże. Dobry Boże”.

Blask w oczach Alberta Harkera zgasł, kiedy dotarło do niego, zamierzał zrobić. Gdy ponownie zamknął i zaryglował drzwi piwniczki, żołądku czuł ucisk, a w głowie mu się kręciło. Pobiegnął korytarzem chwiejnych nogach, rozwalił wejściowe drzwi i znikł w ciemności.

NAJWAŻNIEJSZY POSIŁEK DNIA

Kate Randall patrzyła na rozpiskę przesłuchań WZOB-u i próbowała ignorować napięcie.

„Wiedziałaś, że ta chwila nadejdzie - powtarzała. - Wcześniej czy później wszyscy tutaj trafią. To takie samo przesłuchanie jak każde inne”.

Po kiepskim początku pierwszy dzień przesłuchań okazał się udany. Nie znaleźli żadnych dowodów na zdradę pośród agentów Departamentu i żadnych znaczących prób oszukania ich. Wyznanie Stephena Marshalla, że wykorzystywał swoją pozycję w wydziale inwigilacji do podsłuchiwania dziewczyny, zostało przekazane zwierzchnikowi, aby mógł przedsięwziąć odpowiednie działania dyscyplinarne. Ale wydział wewnętrzny się tym nie martwił. Martwiło ich to, czego dotąd nie odkryli.

Kate przeczytała pierwszą linijkę grafiku i znów poczuła ucisk w żołądku.

8.00. Matt Browning.

Za nią otworzyły się drzwi do salonu WZOB-u.

- Dzień dobry - powiedziała, obracając się na krześle.

Paul Turner wyglądał o wiele lepiej po kilku godzinach snu. To Kate nalegała, żeby się przespał, więc teraz się do niej uśmiechnął.

- Dzień dobry - odparł. - Jesteś gotowa?

- Oczywiście - zapewniła bez zwłoki. - Jeśli nie potraktujemy wszystkich tak samo, te przesłuchania nie będą miały

najmniejszego sensu. Prawda?

- Najprawdziwsza - przytaknął Turner. Patrzył na nią z taką dumą, że Kate zaczęła się rumienić. - Całkowita prawda.

- Wiem. Dlatego to powiedziałam.

Nastąpiła chwila swobodnej ciszy, przerwana przez dźwięk radia Turnera. Major odpiął je od paska i podniósł do ucha. Po dwóch sekundach powiedział: „Zrozumiałem” i ponownie przypiął radio.

- Przyszedł - oznajmił. - Podłączę go do maszyny, a ty przejrzyj akta. Przyjdź do nas za pięć minut, okej?

- Jasne.

Turner skinął głową i wyszedł. Kate obserwowała go, a potem podeszła do stojącej pod ścianą obok biurka szafki z aktami. Zawierała dokumenty wszystkich agentów Departamentu - od żółtodziobów, którzy właśnie przechodzili szkolenie, aż po tymczasowego dyrektora Cala Holmwooda. Położyła dłoń na czarnym panelu z przodu szafki i na górze, na plastikowej podpórce, wysunęło się szkło. Kate schyliła się i przystawiła oko, pozwalając, by czerwone światło lasera przesunęło się po jej gałce. Nastąpiła seria kliknięć i zamek szafki się otworzył. Kate wysunęła drugą szufladę i przejrzała teczki. Odnalazła dokumenty Matta i usiadła na sofie, żeby je przeczytać.

Pięć minut później odłożyła akta i weszła do pokoju przesłuchań. Uśmiechała się. Dobrze знаła historię o tym, jak Matt trafił do projektu Lazarus. Była tego świadkiem. Ale wciąż chciało jej się śmiać na myśl o takiej zuchwałości. Matt wystawił się na większe niebezpieczeństwo, niż zapewne sądził, tylko po to, żeby mieć szansę powrotu do Pętli, do miejsca, gdzie znalazł przyjaciół i wierzył, że robi coś pożytecznego. Wiedział, że nie będzie nawet w połowie tak dobrym agentem operacyjnym jak ona czy Jamie, ani w ćwierci taką siłą natury, jaką stawała się Larissa, ale na swój

sposób był równie odważny i odporny jak inni w Departamencie. Zaprzeczyłby takiej sugestii. Wrodzona skromność to jedna z cech, które najbardziej w nim lubiła.

Kate otworzyła drzwi pokoju przesłuchań i zobaczyła, że technicy właśnie kończą przygotowania. Matt siedział na krześle pod ścianą, podłączony do sprzętu monitorującego serią sensorów umocowanych na skórze na jego piersi, ramionach i szyi. Uśmiechnęła się do niego i zajęła miejsce obok Paula Turnera. Matt odpowiedział na jej uśmiech, ale z niewielkim przekonaniem. Turner spojrział na nią, a ona skinęła głową.

„Miejmy to z głowy”.

- Poruczniku Browning - zaczął Paul Turner uprzejmie. - Czy rozumie pan, dlaczego porucznik Randall i ja przeprowadzamy przesłuchania?

- Tak, sir - odparł Matt. - Szukacie zdrajców. Turner się uśmiechnął.

- Dokładnie tak, poruczniku. Proszę odpowiadać szczerze, a nie będzie miał się pan czego obawiać.

Matt przytaknął. Kate dała mu chwilę, potem odchrząknęła i rozpoczęła przesłuchanie.

- Przesłuchanie WZOB-u numer 057. Oficer prowadzący: porucznik Kate Randall, NS303, 78-J, w obecności majora Paula Turnera, NS303, 36-A. Proszę się przedstawić.

- Matt Browning.

Kate spojrzała na wbudowany w blat stołu ekran. Obydwa okienka zaświeciły się na zielono.

- Proszę błędnie odpowiedzieć na następne pytanie - rzekła. - Pańska płeć?

Matt uśmiechnął się szczerze.

- Kobieta.

Obydwa okienka rozbłysły na czerwono.

- W porządku. Panie Browning, czy jest pan porucznikiem w Departamencie 19?

- Tak.

Zielone.

- Czy pracuje pan obecnie nad ściśle tajnym projektem wydziału naukowego zwanym projektem Lazarus?

- Tak.

Zielone.

- Co należy do pańskich obowiązków?

- To tajne - odparł Matt.

Zielone.

- Nie dla nas, poruczniku - wtrącił Paul Turner. - Proszę odpowiedzieć.

- Lazarus jest projektem utajnionym przed wszystkimi, sir - odparł Matt niemal przeprasającym tonem. - Chyba że sprowadzi pan tu tymczasowego dyrektora Holmwooda i on powie mi, że jest inaczej.

Zielone.

Kate się uśmiechnęła. Była dumna z Matta. Zdawała sobie sprawę z tego, jak przytłaczające są warunki, w których WZOB przeprowadza przesłuchania. Jako druga przeszła całą procedurę. Wiedziała też, że Matt boi się Paula Turnera, jak większość ludzi w bazie, a być może nawet bardziej. Lecz jego lojalność wobec projektu Lazarus i tego, co próbowali osiągnąć, wygrała z lękiem. Kontynuowała przesłuchanie, które minęło bez kłopotów.

Kiedy technicy uwolnili Matta od sensorów, wstał i rozmasował miejsca, do których były przyłożone. Uśmiechnął się do Kate. Zostali w pokoju przesłuchań sami. Paul znikł w salonie, lecz wcześniej wydał Kate rozkaz, żeby przed kolejnym przesłuchaniem coś zjadła.

- Nie było najgorzej - powiedział Matt. - Mam nadzieję, że dobrze mi poszło?

- Jasne - odpowiedziała z uśmiechem. - Nie miałam co do tego wątpliwości.

- Cieszę się - odparł tylko odrobinę zbyt entuzjastycznie. -

Naprawdę. Byłem zdenerwowany. Nawet mimo że wiesz...

- Nawet mimo że nie masz nic do ukrycia - dokończyła. - W porządku, Matt. Każdy, kto tu przychodzi, jest zdenerwowany. Właśnie o to chodzi.

Matt przytaknął.

- Tak, pewnie tak.

Kate zerknęła na zegarek, a potem na Matta z radosnym wyrazem twarzy.

- Umieram z głodu - oświadczyła. - Idę na śniadanie, a ty pójdziesz ze mną. Od wieków ze sobą nie rozmawialiśmy.

- Powinienem wracać do pracy - rzekł Matt. - Jesteśmy blisko wyizolowania...

- Jeśli w ciągu najbliższej pół godziny uleczą wampiryzm profesor Karlsson z pewnością cię zawiadomi - przerwała *mu* Kate. - A teraz chodź. Potrzebuję kawy.

Matt poddał się z uśmiechem.

- W porządku - powiedział. - Chodźmy. Od tygodni nie jadłem śniadania, które nie pochodzi z automatu.

Kate postawiła tacę na jednym ze stolików w odległym kącie stołówki, z daleka od kolejki agentów czekających na ciepłe dama, owoce i kawę. Wzięła grejpfruta i razowy tost z dwoma kiepsko przygotowanymi sadzonymi jajkami. Do tego sok pomarańczowy i dwa kubki gorącej kawy. Nie okłamała Matta - obecnie wypijała w ciągu dnia pewnie z tuzin kubków kawy tylko po to żeby mózg pracował, a kończyny się ruszały. Pustka po Shaunie którą wciąż czuła, w każdej sekundzie groziła wciągnięciem jej w otchłań. Kofeina była jednym ze sposobów, by sobie z tym poradzić.

Matt postawił swoją tacę z hukiem. Kate zaczęła się śmiać widząc jej zawartość. Chłopak uśmiechnął się z zakłopotaniem i usiadł za całą chwiejącą się górą bekonu, jaj, kiełbasek, grzybów, pieczonej fasoli i tostów. Wziął też kubek

herbaty i szklanę wody, aby pomóc sobie przełknąć wielką porcję jedzenia. Rzucił się na me z pośpiechem głodującego, który właśnie wydostał się z pustyni.

- Czy ty jadłeś cokolwiek przez te tygodnie? - spytała Kate pół żartem, pół serio. - Karmią was tam na dole, prawda?

Matt przytaknął, próbując połknąć ogromny kęs.

- Spokojna głowa - odparł, sięgając po herbatę. - Karmią nas całkiem nieźle. Niezależnie od godziny zawsze jest kucharz, który coś przygotuje.

- Nie dziwne, że rzadko stamtąd wychodzisz. Dwadzieścia cztery na dobę?

- Tak. Na dole jest dość intensywnie. Wszyscy pracują naprawdę długo.

- Ile godzin?

- Wiele - odparł i wrócił do jedzenia.

Kate obserwowała go przez chwilę. Nie wyglądał, jakby stracił zbyt dużo na wadze, więc nie martwiła się o jego zdrowie fizyczne. Ale jej przyjaciel wydawał się wyczerpany. Miał bladą cerę, a pod oczami ciemną i opuchniętą skórę.

- Jak wam idzie? - spytała. - Pytam o Lazarusa. Są jakieś wieści?

Matt spojrzał na nią i uśmiechnął się pomimo pełnych ust. Siedziałyby na przesłuchaniu WZOB-u do końca świata i nie powiedziałyby Paulowi Turnerowi ani słowa, ale Kate to co innego. Kiedy wszystko się sypało, zanim Jamie ruszył do Paryża i baza została zaatakowana, ich czwórka: Kate, Jamie, Larissa i on, przysięgli, że od tej pory nie będą mieć przed sobą tajemnic. Sekrety, kłamstwa i ukryte motywy niemal ich podzieliły, dlatego obiecali sobie, że nie pozwolą, aby taka sytuacja się powtórzyła.

- Właściwie nie mam wiele do powiedzenia - zaczął. - Robimy postępy w mapowaniu wampirzego DNA. Wyizolowaliśmy pewne elementy białek, które zapoczątkowują przemianę. Teoretycznie we wczesnej fazie badań jest już

tworzenie enzymu nośnika. No i kontynuujemy analizę danych, które Jamie odzyskał od Christophera Reynoldsa.

Kate przytaknęła. Ledwie rozumiała, o czym mówił Matt, ale nie chciała, żeby o tym wiedział. Podchwyciła więc temat, o którym wspomniał, a ona czuła się pewnie, rozmawiając o nim.

- Dane Reynoldsa są pomocne? - spytała. - Przecież pracował nad przeciwieństwem tego, co wy chcecie osiągnąć?

- Są bardzo pomocne - rzekł Matt. - Uwierz mi. Procesy nie są takie same, ale poczynione przez niego kroki pozwoliły nam stworzyć mapę, którą możemy wykorzystać. Profesor Karlsson sądzi, że dzięki dostępowi do jego pracy zyskaliśmy przynajmniej rok.

„Jego praca? - pomyślała Kate z odrazą. - To były zwykłe tortury. I morderstwo”.

- Był geniuszem - ciągnął Matt. - Złym, ale jednak geniuszem.

- Możliwe - zgodziła się Kate. - Ale i tak się cieszę, że Jamie go zastrzelił.

Matt uśmiechnął się szeroko.

- Ja też - przytaknął. - Jestem bardzo zadowolony.

- Więc wszystko jakoś się toczy? - dopytywała Kate, przecinając żółtko i rozsmarowując je po toście. - Żadnych wielkich przełomów, żadnych chwil z rodzaju „eureka”?

Matt pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. Prawda jest taka, że codziennie posuwamy się o ułamek kroku do przodu. Ale jeśli nie odnajdziemy jakiegoś magicznego skrótu albo ktoś nie wykaże się przebłyskiem genialnej dedukcji, która doprowadzi nas do właściwej odpowiedzi, prace potrwać jeszcze bardzo długo. Może nawet lata.

- Mimo że codziennie się tam zabijacie - powiedziała Kate. - Widać, jaka ze mnie ignorantka. Nie rozumiem, jak wydedukowanie czegoś może trwać latami.

- Najmądrzejsi ludzie świata starają się wyjaśnić teorię strun od pół wieku - wyjaśnił, popijając herbatę. - Jestem pewien, że ciężko pracują.

- Mówiłeś o tym Jamiemu? Matt znów pokręcił głową.

- Nie. Ostatnio rzadko się z nim widuję. Ale on wie, że to długo potrwa. Reynolds mu to wyjaśnił, gdy jeszcze udawał Talbota. Pewnie była to jedna z niewielu sytuacji, kiedy powiedział komuś prawdę.

- To go musi dobijać - stwierdziła Kate. - Jego mama i dziewczyna.

- Pewnie tak - przyznał Matt. - Emocjonalnie jest bardziej zaangażowany w Lazarusa niż większość z nas, którzy tam pracujemy. Gdybym mógł coś zrobić i przyspieszyć proces, żeby znaleźć lekarstwo dla Larissy i Marie, wiesz, że bym to zrobił, prawda?

- Oczywiście - przytaknęła Kate. - On też to wie.

Matt uśmiechnął się z wdzięcznością i zajął się pozostałością swojego śniadania. Kate zrobiła to samo. Kiedy ich talerze były puste, usiadła wygodniej i wzięła się do drugiej kawy. Matt dopił herbatę i patrzył na nią wyczekująco.

- Co? - spytała niepewnie. - Mam jajko na twarzy?

- Nie - odparł. - Powiedziałem ci o Lazarusie. Twoja kolej.

- WZOB? Chłopak przytaknął.

- Też nie mam wiele do powiedzenia - zaczęła, odstawivszy kubek. - Przesłuchania prowadzimy dopiero drugi dzień. Jeszcze nie ma o czym mówić.

-Nic?

Kate rozważała, czy powiedzieć mu o agencji podsłuchującym dziewczynę, ale odepchnęła od siebie tę myśl. Nie sądziła, żeby ich obietnica mówienia sobie wszystkiego dotyczyła prywatnych spraw innych agentów.

- Nic - potwierdziła. - Co oczywiście jest dobre.

- Kiedy rozmawiasz z Jamiem?

- Nie wiem - skłamała. - Lista jest tworzona losowo co noc.

- Więc Reynolds był ostatnim przeciekiem?
- Tego jeszcze nie wiemy - przyznała. - Ale dotąd nie odkryliśmy nic, co sugerowałoby zagrożenie bezpieczeństwa.

- A co z majorem Turnerem?

- To znaczy?

- Praca z nim - wyjaśnił Matt. - Jak to jest?

Kate upiła duży łyk kawy i przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- To... niezwykle - przyznała wreszcie. - Nigdy nie widziałam nikogo bardziej oddanego pracy niż Paul. Jeśli mam być szczerą, to inspirujące.

- A to nie z powodu... no, wiesz, z powodu...

- Shauna? - dokończyła Kate, oszczędzając przyjacielowi kłopotu. - To z pewnością jeden z powodów. Stracił syna, ponieważ Departament nie był dobrze zabezpieczony, ponieważ przestaliśmy się sobie przyglądać. Żadne z nas nie chce, żeby to, co spotkało Shauna, przydarzyło się komuś innemu. Ale to nie jest osobista kruczata, niezależnie od tego, co myślą inni. Nam obojgu chodzi o Departament.

- Cóż, lepiej ty, niż ja - odparł Matt z uśmiechem. - Na jego widok wciąż leję po nogach ze strachu.

- Nie przejmuj się. On tak działa na ludzi.

- Ale na ciebie nie?

- Już nie - przyznała. - My... W sumie staliśmy się sobie bardzo bliscy. Powierzyłabym Paulowi swoje życie.

- Ja też, ale i tak się go boję.

Kate zaczęła się śmiać, a po chwili Matt się do niej przyłączył. W tym śmiechu były ciepło i radość oraz zadowolenie z wzajemnej obecności. Kate przyszła do głowy znajoma myśl.

„Musimy to robić częściej. Z Jamiem i Larissą też, kiedy już wróci”.

Matt przestał się śmiać. Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Kate miała doskonały zmysł obserwacji i rzadko

cokolwiek jej umykało, szczególnie coś tak rzucającego się w oczy, jak przerwany gest Matta. Szybko się do niego nachyliła.

- Co jest?

- Nic - powiedział, rumieniąc się. - Chciałem tylko... Zresztą nieważne.

- Najwyraźniej jednak ważne - odparła delikatnym głosem. - Powiedz.

Matt głośno przełknął. Jego twarz wyglądała tak, jakby za chwilę miała stanąć w płomieniach.

- Jest taka... dziewczyna - wyznał wreszcie. - Pracuje na dole. Ma na imię Natalia.

„Dziewczyna - pomyślała Kate, śmiejąc się w duchu. - No oczywiście, że chodzi o dziewczynę. Kimkolwiek jest, lepiej, żeby była lepsza od poprzedniej, w której Matt się zadurzył. Angela Darcy rozszarpałaby go na kawałki. Niewykluczone, że dosłownie”.

- Dobrze - odezwała się. - Więc jest dziewczyna o imieniu Natalia. Chyba jej nie znam.

- Nie znasz - potwierdził. - Mieszka w kwaterach Lazarusa. Rzadko wychodzi z laboratorium.

- Skąd pochodzi?

- Jest Rosjanką - odparł, a Kate dostrzegła, że w jego oczach pojawiły się iskierki. - Została zwerbowana na uniwersytecie dwa lata temu i przeniesiona do nas, kiedy odbudowywaliśmy zespół. Ma jedynie osiemnaście lat, ale jest mądrzejsza od niemal wszystkich, którzy pracują przy projekcie. Chyba tylko profesor Karlsson... - Matt znów odpłynął myślami i zarumienił się, kiedy zdał sobie sprawę, jak dużo powiedział.

- Rozmawiałeś z nią? - spytała Kate, próbując się nie uśmiechać.

Matt był taki uroczy, pełen entuzjazmu, zawstydzony i niepewny siebie.

- Rozmawiam z nią codziennie. Pracuje pięć biurek ode mnie.

- Nie - odparła Kate cierpliwie. - Pytam, czy z nią rozmawiałeś.

- Och... - Matt wbił wzrok w blat stolika. - Nie.

- Może powinieneś? - zasugerowała.

Przez dłuższą chwilę chłopak nie podnosił wzroku. Kiedy wreszcie spojrział w górę, na zarumienionej twarzy widniał nieśmiały uśmiech.

- Zmieńmy temat - zaproponował. - Jak myślisz, jak sobie radzi Larissa w NS9? Nie rozmawiałem z nią, odkąd wyjechała. Sądysz, że trzyma się z dala od kłopotów?

WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZESC 1

NUEVO LAREDO, MEKSYK
WCZORAJ

Larissa schyliła głowę pod gradem kul, dopadła do niskiego, zdobionego muru i uśmiechnęła się do Tima Albertssona. Agent specjalny patrzył na nią. Usta miał otwarte, a oczy roziskrzzone.

- Ilu? - spytał.

Larissa wystawiła głowę ponad mur, ale prędko znów ją schowała. Tim ledwie to dostrzegł. Była tak szybka, że nie wystrzelono ani jednej kuli.

- Czterech - odpowiedziała spokojnie.

Tim spojrział na sporą połąć trawy, która jeszcze do niedawna była trawnikiem bez skazy. Na dole łagodnego spadku, za niskimi murkami i budynkami gospodarczymi, które stały na posesji tuż za otwartą bramą, widział sylwetki czterech swoich agentów. Znajdowali się może pięćdziesiąt metrów od nich - zbyt daleko, by pomóc, gdyby wampiry zaatakowały. Lecz Larissa nie wydawała się w najmniejszym stopniu zaniepokojona. Wampirzyca uśmiechała się od ucha do ucha, oczy zaszyły jej szkarłatem, a pod wargami pojawiły się kły. Jej zazwyczaj blada cera się zaróżowiła.

„Żądza krwi - pomyślał Tim. - Nigdy nie widziałem jej z bliska, ale to ona. Do głosu doszła wampirza natura Larissy”.

- Jesteś gotów? - spytała, patrząc na niego błyszczącymi oczami.

Tim przytaknął.

- Wezwę do nas pozostałych - postanowił. Sięgnął po radio, ale Larissa chwyciła go za nadgarstek i przytrzymała. Jej dotyk był delikatny, lecz Tim wiedział, że jeśli ona tego nie zechce, nawet o milimetr nie ruszy ręką.

- Pójdą za nami - skwitowała. - Mówię o tobie i o mnie.
Jesteś gotowy?

Tim patrzył na nią urzeczony. Potem skinął głową.

- Do dzieła – odparł.

Byli w sali, trenując kolejną grupę rekrutów, kiedy sesję przerwało przybycie generała Allena.

Od czasu obowiązkowej odprawy kilka godzin wcześniej w Krainie Marzeń panowała napięta atmosfera. Podczas niej dyrektor bazy NS9 poinformował cały departament, że więzienie Supermax w Kolorado, uznawane za niemożliwe do sforsowania, nie tylko zostało sforsowane, ale też uciekli zeń wszyscy więźniowie, którzy uprzednio zostali przemienieni. Determinacja, jaką Larissa dostrzegła na twarzach nowych kolegów, kiedy odprawa się rozpoczęła, szybko zmieniła się w coś innego, gdy generał puścił im film z kamer przemysłowych, nagrany na obrzeżach Denver.

Kamera była skierowana na dół, ukazując skutki kolizji, do której doszło na szerokiej, czteropasmowej autostradzie.

Kilka aut - osiem, może nawet dziewięć - leżało rozrzuconych po asfalcie, zbitych razem w kule metalu. Przynajmniej jedno z nich dachowało. Wozy, które zdołały wyhamować, nim same zostały zmiażdżone, wycofano kilka kilometrów w obydwu kierunkach, więc przyczyna zderzenia była wyraźnie widoczna - stała na środku drogi w więziennym kombinezonie zsuniętym do pasa.

Mężczyzna przechadzał się tam i z powrotem, wybijając okna zmiażdżonych aut, krzycząc bezdźwięcznie na coś, czego

prawdopodobnie tam nie było. Miał ogoloną głowę i usiane tatuażami dobrze zbudowane ciało. Mięśnie lśniły pod oślepiającym reflektorem policyjnego helikoptera, z którego obecności nagle zdał sobie sprawę. Więzień zatrzymał się na środku drogi i spojrzał prosto w kamerę. Potem, całkiem nonszalancko, skoczył w powietrze unosząc się w stronę ekranu niczym rekin wyłaniający się z głębin.

Gdy znikł za kadrem, nastąpił huk, a obraz zaczął się trząść. Dało się słyszeć krzyki pilota i pasażerów helikoptera. Agenci patrzyli z narastającym przerażeniem, jak ludzki kształt oddala się od oka kamery i rozbija na asfalcie. Drzenie się nasilało, aż wreszcie film został przerwany. Ostatnie, co można było usłyszeć, to pełen desperacji głos krzyczący: „*Mayday!*”

Kiedy materiał filmowy się skończył i na ekranie ponownie pojawiło się godło NS9, Larissa rozejrzała się po twarzach zebranych. Jej nowi koledzy byli bladzi, a w ich oczach czaił się lęk. Tim Aibertsson pierwszy przełamał ciszę.

- Nie powinien być tak silny - powiedział. - Nie, jeśli jest nowy.

- Nie - potwierdził generał, stojąc na podium z przodu sali - Nie powinien.

- Zatem co się dzieje? - spytał agent, którego Larissa nie знаła.

- Nie mamy pojęcia - przyznał generał. - Ale podobne raporty dochodzą z departamentów na całym świecie. Odkryjemy co się wydarzyło w Kolorado, ale nim to się stanie, chcę, żebyście byli świadomi tego, co tam na nas czeka. Te wampiry wydają się potężniejsze niż większość z tych, jakim kiedykolwiek stawiliście czoła więc macie się odpowiednio przygotować. Czy to rozumiale?

Rozległ się szmer. Agenci przytakiwali. Generał Allen przez dłuższą chwilę wodził wzrokiem po pracownikach swojego departamentu. Potem skinął głową i kontynuował odprawę

Larissa wyszła z sali, czując ucisk w dołku. Ale chciała wziąć udział w misji chciała pomóc departamentowi, którego była tymczasowym członkiem. Oczekiwała, że dostanie okresowy przydział do jednego z zespołów, z którymi współpracowała w ostatnich tygodniach. Czuła się zawiedziona, kiedy wiadomość odebrana na konsoli brzmiała tak samo, jak niemal każdego dnia od jej przylotu do Nevady - miała się stawić w ośrodku szkoleniowym i kontynuować pracę z nowymi rekrutami. Tim Aibertsson nic nie powiedział, ale było dla niej jasne, że jest równie poirytowany tą sytuacją. Dlatego kiedy generał Allen wszedł do sali treningowej i poinformował, że musi z nimi porozmawiać, zobaczyła na twarzy Tima tę samą ekscytację, którą czuła w sercu.

- Słyszałem o tej grupie dobre opinie - powiedział generał, zerkając na rekrutów. - Wyprzedzają program. To prawda?

- Tak, sir - odparł Tim. - Dobrze reagują, sir.

- Dobrze reagują na co? - spytał z uśmiechem Allen. - Na to, że nastolatka skopuje im tyłki?

- Tak, sir. - Tim starał się opanować śmiech. - To zrobiło na nich wrażenie.

- Z pewnością. - Allen odwrócił się do Larissy. - Byłaś dla nich łagodna, poruczniku Kinley? Bądź ze mną szczerą.

- Tak, sir - odparła, niezbyt pewna, czy udzieliła właściwej odpowiedzi. - Nie chciałam ich zranić, sir. W każdym razie nie bardzo mocno.

Generał Allen zaczął się śmiać. Po chwili dołączył do niego Tim. Larissa nie, ponieważ nie miała w zwyczaju śmiać się z własnych dowcipów. Ale się uśmiechnęła.

- W porządku. - Generał się uspokoił. - Przyjdźcie za kwadrans do sali odpraw numer trzy. Mamy nowe wiadomości, które wymagają natychmiastowego działania. Znajdźcie kogoś na zastępstwo do końca zajęć i przyjdźcie do

mnie. Jasne?

- Tak, sir - potwierdziła Larissa.

- Tak, sir - rzekł Tim sekundę później. - Ale mógł pan nam po prostu wysłać wiadomość, sir.

- Lubię tu przychodzić od czasu do czasu - rzekł Allen, rozglądając się po okrągłej sali. - Wracają wspomnienia. Piętnaście minut, agenci.

Dyrektor odwrócił się i wyszedł z sali. Chwilę za nim patrzyli, lecz gdy tylko zamknęły się drzwi, Tim klasnął w dłonie.

- Dobrze! - zawołał. - Czas, żebyśmy się przekonali, co naprawdę potrafisz!

- Może - odparła. - Jeszcze nie wiemy, na czym będzie polegać misja?

- Prawie cały departament ruszył dziś w teren, żeby schwycić uciekinierów z Supermaksą. To najgorsi, najbrutalniejsi, najniebezpieczniejsi antyspołeczni więźniowie, jakich mamy, a ty i ja siedzieliśmy tutaj i szkoliliśmy dzieci. Więc jeśli wreszcie wyruszamy, to musi być grubsza sprawa.

Larissa przytaknęła. Słowa Tima miały sens. Jego drużyna składała się z samych agentów specjalnych - ten dość mglisty termin słyszała wielokrotnie od przylotu do Nevady. Prawdę powiedziawszy, była bardziej ciekawa, co sprawiło, że zasłużyli na miano „specjalnych”.

- Pewnie tak - powiedziała. - Spotkamy się na miejscu za dziesięć minut?

- Na razie - odparł Tim z szerokim uśmiechem.

Osiem minut później Larissa otworzyła drzwi sali odpraw numer trzy i kompletnie niezaskoczona spostrzegła, że Tim zajął już jedno z miejsc przed drewnianym podestem. Odwrócił się i skinął jej głową. Usta miał zaciśnięte w cienką linię.

„Teraz praca - pomyślała Larissa. - Żadnych dowcipnych

uwag, żadnego flirtowania. Tylko misja. Dobrze" Generał Allen nie kazał im długo na siebie czekać. Po minucie wszedł do sali bocznym wejściem, kiwnął na powitanie i podszedł do mównicy. Nacisnął przycisk na konsoli, którą trzymał w dłoni, i włączył zamontowany na ścianie za plecami ekran. Wyświetlił się na nim obraz satelitarny mapowania termicznego dużego budynku, otoczonego ogrodami i murami. Po terenie poruszało się kilka postaci, a w wielu pokojach znajdowała się żółta kropka.

- Agenci - zaczął generał. - Patrzycie na leżącą w Nuevo Laredo rezydencję Garcii Rej ona, byłego generała meksykańskiej armii i obecnego szefa Pustynnego Kartelu. Porzucił armię sześć lat temu, po tym jak odkryto, że jego jednostka chroniła dostawy Kartelu i zapewniała ochronę jego najważniejszym członkom. Pięć lat temu były przywódca Kartelu, jego żona, kochanka, dzieci, służba i ochroniarze zostali zamordowani w ciągu jednej nocy przez ludzi Rej ona. Jednym z mężczyzn, który popełnił te morderstwa, okazał się były kapitan Roberto Alavés. Jego żona jest bardzo entuzjastyczną konsumentką sztandarowego towaru Pustynnego Kartelu. Trzy lata temu złapaliśmy ją z ośmioma gramami tego cuda podczas weekendowego wypadu do San Diego, zgarnęliśmy Alavesa i przekonaliśmy go, żeby zeznawał przeciwko Rejonowi. DEA wniosło sprawę i doprowadziło ją do końca, mimo że połowa ze wskazanych przez Alavesa świadków została zabita. Rejon dostał cztery kolejne wyroki dożywocia w więzieniu federalnym. Władze Meksyku pomachały mu na do widzenia i odesłały do Kolorado. Koniec historii.

- Aż do wczorajszej nocy - rzekła Larissa. - Mam rację, sir?

- Tak - potwierdził generał. - Rejon nie został pojmany w pierwszej akcji po ucieczce, tak samo jak żaden z jego poruczników. Obserwowaliśmy granicę, na wypadek gdyby próbowali się przedostać do domu, ale nie możemy obstawić

każdego centymetra, szczególnie w przypadku tych, którzy potrafią latać. Dzisiaj rano mieszkańcy Nuevo Laredo obudzili się i obejrzeni w telewizji ten materiał.

Allen nacisnął przycisk i obraz na ekranie się zmienił. Larissa zachłysnęła się powietrzem, a Tim głęboko westchnął. Zdjęcie przedstawiało coś, co dziewczyna uznała za dzielnicę biznesową Nuevo Laredo. Droga miała cztery pasy szerokości, a biegnący nad nią wiadukt wyglądał na nowy. W tle ku niebu unosiły się wysokie budynki ze stali i szkła.

Z mostu zwisały ciała dwunastu mężczyzn, nagich i mocno okaleczonych.

Wisielec na zamocowanych do barierki drutach, owiniętych wokół ich szyj. Pod nimi na szarym asfalcie zebrała się kałuża krwi naznaczona różowymi i fioletowymi grudami. Zdjęcie w wysokiej rozdzielczości pokazywało z przerażającą wyrazistością wszystkie rany zadane mężczyznom. Larissa dostrzegła też coś, na widok czego zrobiło jej się niedobrze. Wokół kałuży krwi odznaczały się wyraźne ślady psich łap. Było widać rozsmarowaną krew tam, gdzie zwierzęta ją zlizywały.

Za wisielcami, pod mostem stały zaparkowane trzy duże vany. Ich tylne drzwi otwarto na oścież. W środku, zrzucone na stertę i związane, leżały kolejne ciała - więcej niż Larissa była w stanie policzyć. Krew poplamiała wnętrza wozów, pokrywała ramiona, nogi i twarze ofiar. Kilka zwłok wypadło na drogę („Raczej zostały wyciągnięte przez psy” - pomyślała Larissa) i leżało teraz w dziwnych pozycjach na asfalcie. Na twarzach wciąż malowała się agonía.

- Sześćdziesiąt osiem osób - powiedział generał Allen. - Wszyscy z Pustynnego Kartelu, łącznie z największymi szychami. Wydłubane oczy, odcięte palce u rąk i nóg, wyrwane języki, genitalia w ustach. Wszelkie rany zadano im przed śmiercią.

- Chryste - szepnął Tim. - Przyczyna zgonu?

- Utrata krwi - odparł generał. - Torturowano ich i pozostawiono na śmierć. Żadnych ran postrzałowych ani innych oczywistych ran śmiertelnych.

- Zero litości - skwitowała Larissa. - Nie chodziło tylko o usunięcie tych ludzi z drogi. To wiadomość.

- Jaka? - Tim spojrzał na nią z uwagą.

- „Wróciłem - odpowiedziała wampirzyca. - Lepiej niech wszyscy to zaakceptują”. Właśnie taka.

- Informacje, jakie otrzymujemy z meksykańskiej granicy, sugerują, że masz rację - przyznał generał. - Sytuacja jest dość chaotyczna, jak zapewne podejrzewacie. Wiemy jednak, że sześćdziesięciu ośmiu zabitych członków Kartelu wywleczono z domów około czwartej nad ranem i porzucono przed świtem. Jeden z agentów DEA wewnątrz Kartelu, który na szczęście dla niego i dla nas jest zbyt nisko w hierarchii, żeby groziło mu tej nocy niebezpieczeństwo, doniósł nam, że został wezwany razem z innymi do domu Garcii Rej ona, aby tam usłyszeć o zmianie na stanowisku przywódcy. Widział Rej ona na własne oczy. Potem jego, pozostałych żołnierzy i ulicznych dilerów odesłano do domów. Kazano im pracować tak jak zwykle. - Dyrektor na chwilę umilkł i spojrzał na agentów, którzy chłonęli każde jego słowo. - Na pewno nie muszę wam tłumaczyć, że grupa wampirów na czele jednego z największych i najbrutalniej szych karteli narkotykowych w Meksyku stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Szczególnie jeśli te wampiry mają wyjątkowe moce, tak jak ten uwięziony w materiale z helikoptera z Denver. I właśnie tutaj zaczyna się wasza rola. Timie, ty i twój oddział przekroczycie granicę dzisiaj po południu razem z porucznik Kinley, która otrzymuje tymczasowy przydział. Wejście na teren Rej ona jest planowane na 20.48, dziesięć minut po zachodzie słońca. Brak specjalnego protokołu operacyjnego, żadnych ograniczeń. Zniszczcie każdego wampira, na jakiego się

natkniecie. Jasne?

- Tak jest, sir - odparł Tim. - Zastanawiam się jednak, sir, czy nie rozsądniej będzie zainicjować akcję za dnia. - Posłał Larissie przepaszające spojrzenie, a ona bardzo się starała, żeby oczy nie zaszły jej szkarłatem ze złości.

- Wywiad potwierdził, że wszystkie okna w rezydencji Rej ona zamalowano - odparł generał. - Co więcej, sugerują też, że część ochroniarzy nie została przemieniona. Możliwość skorzystania z umiejętności porucznik Kinley jest ważniejsza od wad wynikających z przeprowadzenia akcji po zmroku.

- Zrozumiałem, sir - rzekł Tim. Ponownie spojrzał na Larissę z przepaszającą miną.

Wampirzyca wiedziała, co chciał jej przekazać. „To nic osobistego. Musiałem spytać”.

- Doskonale - podsumował generał Allen i ponownie kliknął coś na konsoli.

Na ekranie pojawiła się piramida z fotografii. Każde zdjęcie było podpisane nazwiskiem. Na samej górze znajdował się generał Garcia Rejon, przystojny mężczyzna o szczupłej twarzy z ciemnym zarostem i przeszywającym spojrzeniem ciemnobrązowych oczu. Pod nim widniały fotografie trzech pułkowników, a jeszcze niżej coraz liczniejsze rzędy poruczników i szeregowych żołnierzy.

- Podejrzewamy, że właśnie tak wygląda nowa hierarchia w Pustynnym Kartelu - wyjaśnił Allen. - Wywiad sugeruje, że większość z tych mężczyzn przebywa obecnie w rezydencji Rejona. Sądzymy, że wszyscy zostali przemienieni. Generał i jego pułkownicy to cele o priorytecie pierwszego stopnia, pozostali - drugiego stopnia. Preferowany wynik misji jest taki, że żaden z nich nie przeżyje.

- Przypadkowe ofiary? - spytał Tim. - Mówił pan o nieprzemienionych strażnikach.

- Nie należy się nimi przejmować - odparł Allen i Larissa poczuła na plecach ciarki. - Wasze cele są najważniejsze,

jasne?

- Tak, sir - przytaknął Tim stanowczo.

- Porucznik Kinley? - zwrócił się do niej dyrektor. - To priorytetowa misja. Została zaaprobowana przez prezydenta. Poradzisz sobie?

„Nie wiem - pomyślała Larissa. - Jestem żołnierzem, nie mordercą. Ale za nic na świecie ci tego nie powiem”.

- Tak, sir - rzekła. - Poradzę sobie.

- Doskonale - skwitował generał i uśmiechnął się do niej.

- Cieszę się, że idziesz na tę misję, Larisso. Chciałbym tam być i to zobaczyć.

- Dziękuję, sir.

- Proszę bardzo. Startujecie o dziewiętnastej. Odprawa została wysłana na wasze konsole.

Przeczytajcie wszystko, przygotujcie zespół i załatwcie sprawę. Jak tylko wrócicie, chcę mieć zdany pełny raport. Rozejść się.

Tim napiął mięśnie nóg. Miał zamiar przeskoczyć przez niski mur, za którym się kryli, kiedy Larissa znikła pośród wieczornego nieba.

Zaskoczony jej niesamowitą prędkością zachłysnął się powietrzem. Nie minęła sekunda, a ona utonęła w mroku nad głowami. Do uszu Tima dobiegły nerwowe rozmowy po hiszpańsku, co potwierdzało, że ludzie Rej ona coś zauważyli, chociaż wyglądało na to, że nie byli pewni, co to jest. Tim kucnął za murem. Adrenalina krążyła mu w żyłach, a on nie był pewien, co powinien zrobić. Podniósł się i wyjrzał. Ogród miał może dwieście metrów kwadratowych, z dwiema rabatami kwiatów i okrągłym stawem pośrodku. Za nim, na szczycie łagodnego wzgórza, stał dom Garcii Rej ona - ogromna rezydencja z zamalowanymi czarną farbą oknami i odpornymi na wybuchy betonowymi ścianami. Jej sylwetka majaczyła na

tle szybko ciemniejącego nieba. Po przeciwległej stronie ogrodu niewielki murek oddzielał Tima od żwirowego podjazdu biegnącego aż do frontu domu. Za tą ścianą, z AR-15 w dłoniach, czaiły się cztery nowo przemienione wampiry Rejona.

Tim się przygotował. Nie miał pojęcia, co robiła Larissa, ale wiedział, że nie może w nieskończoność czekać, aż dziewczyna zdradzi mu swoje intencje. Napiął mięśnie nóg i przygotował się do wyjścia z za muru. Nabral powietrza, a wówczas wysoki, gwizdzący dźwięk wypełnił jego uszy. Uniósł głowę w samą porę, aby dostrzec czarną plamę opadającą z nieba na przeciwną stronę ogrodu.

Zza ściany, która popękała i runęła ciężko na rabaty z kwiatami, wystrzeliła warstwa żwiru i krwi. Kiedy Tim się przyglądał niemal z niedowierzaniem, dwa duże kształty wzbily się w powietrze i spadły na trawnik. Wampiry tarzały się po nim i wykopywały brązową ziemię łokciami i piętami. Obydwa krwawiły z tak wielu miejsc, że wyglądało, jakby obok nich wybuchł granat.

Widok krwi sprawił, że Tim się ocknął i przeskoczył przez mur. Jęki wysiłku i krzyki przemocy przetaczały się po ogrodzie, ale on je ignorował, skupiając się jedynie na dwóch rannych wampirach. Wyjął kolec i wbił go w pierś pierwszego z mężczyzn. Ten eksplodował z głośnym hukiem, ochlapując Tima krwią i resztkami ciała. Ale agent specjalny nie zwracał na to uwagi. Już się ruszał, już unosił kolec i wbijał go w drugiego wampira. On też eksplodował z przytłumionym hukiem. Tim pędził trawnikiem w kierunku muru, za którym ukryli się ludzie Rejona.

Zza zawałonej ścianki wzbil się tuman kurzu. Agent chwycił megagnat i opuścił wizjer, włączając jednocześnie tarczę przy pasku. Filtr termiczny został uaktywniony i scena przed nim zmieniła się w jedną wielką żółtą plamę - wynik unoszącego się gorącego piasku. Pośrodku stała jedna postać,

ciemnoczerwona, pulsująca bielą. Tim odsunął wizjer i podszedł kawałek bliżej z palcem na spuście megagnata.

- Larisso! - zawołał. - To ty?!

- To ja! - krzyknęła dziewczyna. - Łap!

Coś wyleciało z chmury kurzu i poszybowało w jego kierunku. Tim zdjął dłoń z broni i złapał przedmiot. Poczul coś śliskiego i spojrział w dół, aby się przekonać, co takiego rzuciła mu Larissa. To była urwana głowa chłopaka w wieku kilkunastu lat. Błyszczące oczy tkwiły rozwarte szeroko, a usta wciąż się otwierały i zamykały, jakby chciały coś powiedzieć. Tim przyglądał się temu z obrzydzeniem.

„Czy ona wie? - zastanawiał się. - Czy wie, że się taka staje? .

Dźwięk przebijającego kości metalu wyrwał go z zadumy. Odrzucił głowę na chwilę przed tym, jak eksplodowała niczym przepompowany balon, obryzgując jego mundur krwią od kostek po kolana.

- Niezły chwyt! - zawołała Larissa, wyłaniając się spokojnie z pyłu. Jej oczy lśniły czerwienią, a kły błysnęły, gdy się uśmiechnęła.

- Dzięki - powiedział. Słyszał za plecami, że zbliża się reszta jego oddziału. - Mogłaś poczekać, aż ją odłożę, zanim przebiłaś kołkiem resztę.

Larissa nachyliła się tak blisko niego, że czuł na uchu jej gorący oddech.

- Nie bądź mazgajem - szepnęła. Potem odsunęła się i wyszła pozostającym na spotkanie.

Oddział zatrzymał się na środku ozdobnego ogrodu. Tim przez dłuższy moment pozostał na miejscu. Jego myśli chwilowo wypełniała tylko wampirzyca - był nią całkowicie oczarowany i wiedział o tym już od kilku tygodni. Jeśli miał być ze sobą szczery, to od dnia, kiedy przyjechała do bazy. Ale teraz poczuł coś nowego. Strach.

Bał się jej. Z zaskoczeniem jednak stwierdził, że to nie zmienia tego, co do niej czuje. A jeśli nawet, tylko to

wzmacnia.

„Ocknij się, na miłość boską - pomyślał i energicznie potrząsnął głową. - Jesteś w trakcie wykonywania priorytetowej misji! Weź się w garść i to natychmiast!”.

Tim głęboko odetchnął i odwrócił się, żeby powiedzieć coś do swojego zespołu. Ale słowa zamarły mu na ustach, kiedy dłoń, opalona, szczupła i niesamowicie silna, zacisnęła mu się na gardle.

SEN SPRAWIEDLIWEGO

Jamie Carpenter szedł dobrze znanym mu korytarzem poziomemu B. Kręciło mu się w głowie. „Potomek założycieli. Jezu!”.

Przysunął kartę identyfikacyjną do panelu przed swoją kwaterą, otworzył drzwi i wszedł do środka. Napad na Broadmoor i podobne ataki na więzienia i szpitale na całym świecie zostały zaplanowane tak, by zająć wszystkie departamenty do spraw paranormalnych i odwrócić ich uwagę od ważniejszej kwestii - znalezienia Drakuli, nim będzie za późno. Ale teraz wyglądało na to, że plan przyniósł bonus, którego nie mógł przewidzieć ani Valeri, ani nawet jego mistrz - otwarcie rany, która sięgała samego serca Czarnego Filtru.

„Ciekawe, czego on chce - zastanawiał się Jamie, zdejmując mundur i wkładając szorty i koszulkę. - Czego ja bym chciał, gdybym przez dziesięć lat był zamknięty w szpitalu dla psychicznie chorych bez żadnego powodu?”.

Jamie zastanawiał się nad tym pytaniem, myjąc zęby nad niewielką umywalką w rogu pokoju i patrząc jednocześnie na swoje odbicie. Miał przekrwione oczy, a worki pod nimi nabrały już ciemnoszarej barwy. Blizna na szyi zbladła w ciągu kilku miesięcy po tym, jak został poparzony kwasem w laboratorium chemicznym, ale wciąż była widoczna - jako różowy kawałek szorstkiej skóry i błyszczącej tkanki bliznowatej. Zaakceptował ją już jako część siebie. Wypił dwie szklanki wody i kładąc się do łóżka, zrozumiał, że zna odpowiedź na swoje pytanie. Było nim pojedyncze słowo.

„Zemsta. Gdybym był na miejscu Alberta Harkera, chciałbym zemsty”.

Ta myśl go zmroziła, a kiedy jego konsola rozbłysła w ciemności, lekko podskoczył. Wziął ją ze stolika zadowolony, że Larissa nie widziała, jak łatwo go przestraszyć. Na wyświetlaczu konsoli dostrzegł starą wiadomość. Otworzył ją, przeczytał i jęknął.

„Genialne wyczucie czasu. Cholernie fantastyczne. Wielkie dzięki”.

Pięć godzin później Jamie otworzył oczy.

Gęsta mgła zmęczenia, z którą zazwyczaj musiał nad ranem walczyć, dzisiaj się nie pojawiła. Jego umysł był czysty, a ciało wypoczęte bardziej niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Zerknął na cyfrowy zegar, który stał na stoliku przy łóżku, i ze zdziwieniem stwierdził, że jest 8.45. Jemu i każdemu innemu agentowi niezwykle rzadko zdarzało się wstać tak późno. Alarmy, wiadomości na konsolach, nieplanowane odprawy - każda z tych spraw przerywała sen w Pętli niemal co noc.

Jamie podniósł się z łóżka i włączył mały czajnik. Zrobił sobie kubek gorącej kawy, postawił na biurku, żeby przestygła, i poszedł do łazienki. W szerokim pomieszczeniu na środku korytarza poziomym B wszedł pod prysznic, pozwalając, by ciepła woda zmyła z niego ból, który w końcu zawsze się pojawiał, niezależnie od tego, jak długo spał. Myślał o Johnie Mortonie.

Większość agentów Departamentu 19 była doświadczona, kiedy przybywali do Pętli, aby rozpocząć szkolenie, czy to w oddziałach wojskowych, w wywiadzie, czy w elitarnych jednostkach policji. Jednak nie liczyło się ono za bardzo, kiedy po raz pierwszy stawali twarzą w twarz z wampirem. Tak też było z Mortonem - rzeczywistość nim wstrząsnęła i sprawiła, że zaczął wszystko kwestionować. Doświadczenie

podpowiadało Jamiemu, że to naturalne, może nawet zdrowe, ale stanowiło dla niego problem. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, z setkami nowych, szczególnie niebezpiecznych wampirów na wolności, nie dawała żółtodziobom czasu na naukę. Oznaczało to, że musi odbyć z Mortonem rozmowę, na którą wcale się nie cieszył.

Wytańrł się do sucha i wrócił do kwatery. Kiedy był pod prysznicem, przysłała do niego wiadomość. Kliknął na konsoli przycisk CZYTAJ.

M-3/OCZEK_DALSZ_INSTRUKCJIZACHOWAC_GOTOWOSC

Odetchnął z ulgą.

„To mi daje trochę czasu. Oby wystarczająco dużo. Morton i Ellison już nie śpią. Pewnie są w dormitoriach na poziomie A, tam, gdzie wszyscy nowi agenci”.

Przez chwilę rozważał, by dać im wolny poranek, ale ostatecznie się na to nie zdecydował. Dawanie im forów nie przysłużyłoby się nikomu, zwłaszcza im. Dwie godziny na Placu Zabaw z Terrym powinny ich trochę obudzić. Wysłał im wiadomość z rozkazem, a potem wziął ze sterty teczek leżących na biurku najbardziej spóźniony z raportów, usiadł i zaczął czytać.

Jakąs godzinę później konsola znów ożyła, odrywając go od raportu. Przetarł oczy wierzchem dłoni i otworzył wiadomość, chociaż wiedział, czego się spodziewać.

NS303,67-J/WZOB_PRZESLUCHANIE/WYDZ. INWIG/1100

Spojrzał na zegarek. 10.36.

„Na miłość boską. Jakby nie było teraz ważniejszych spraw”.

Ta sama wiadomość oczekiwała na niego o wczesnych godzinach rannych, kiedy wrócił z kwatery tymczasowego dyrektora. W głębi serca miał nadzieję, że Kate lub nawet sam Paul Turner przeniosą jego przesłuchanie, biorąc pod uwagę

żądania Ruchomych Cieni i konsekwencje rewelacji Jacoba Scotta.

„Najwyraźniej prosiłbym o zbyt wiele”.

Jamie zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie odpowiadanie na pytania Kate. Potem wstał i szybko potrząsnął głową. Włożył uniform, zasunął go i posprządał kieszenie. Potem założył buty, które kiedyś były tak twarde, że krwawiły mu palce. Dziś jednak miał wrażenie, że są z jedwabiu. Zawiązał je mocno. Nie miał w planach opuszczać dzisiaj Pętli, ale i tak jego glock 17 trafił do kabury na prawym biodrze. Pasek zacisnął mocno wokół bioder. Sprawdził odbicie w lustrze i opuścił kwaterę. Skierował się do windy na końcu zakrzywionego korytarza. Kiedy nadjechała, wcisnął guzik z literą G, jeszcze raz sprawdzając godzinę.

„Dwadzieścia minut. Wystarczająco dużo czasu, żeby coś zjeść, nim pójdę na przesłuchanie”.

Winda zatrzymała się gładko i Jamie ruszył do stołówki. Jego buty uderzały szybko o podłogę korytarza.

„Nie zamierzam robić tego na pusty żołądek - myślał. - Możliwe, że to nie Kate będzie mi zadawać pytania. Jeśli to Paul Turner, muszę być w dobrej formie”.

WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZĘŚĆ 2

NUEVO LAREDO, MEKSYK WCZORAJ

Larissa obróciła się, wyciągając kołek zza paska szybciej, niż ludzkie oko było to w stanie zarejestrować, i rzuciła. Przyspieszył w powietrzu, zmieniając się w srebrną smugę, i trafił w głowę wampira, który pochwycił Tima. Wampir zatoczył się w tył, krew tryskała mu z dziury w czole, lśniące oczy rozszerzyły się z niedowierzania. Larissa doskoczyła w chwili, kiedy Tim uniósł ręce do poranionej szyi, wyciągnęła kołek z czaszki i wbiła w serce. Krew wystrzeliła w górę i opadając, utworzyła na ziemi szkarłatne wzory.

Tim powoli opuścił ręce i spojrzał na Larissę. W głowie jej dudniło od zapachu świeżo rozlanej krwi. Słyszała jej buzowanie w swoich żyłach, czuła palący żar promieniujący z jej oczu i policzków. Oddychała ciężko, ale nie z wysiłku. To było coś prymitywnego, dyszenie zwierzęcia w trakcie łowów. Nadal była zdolna do racjonalnego myślenia, pamiętała, kim jest, gdzie się znajduje i co robi. Ale te informacje wydawały się nudne i bardzo odległe wobec palącej bliskości przemocy.

Dowódca oddziału spojrzał na szczątki wampira, który go chwycił, a potem skierował spojrzenie na Larissę.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie ma sprawy - odparła. - Następnym razem nie daj się tak łatwo podejść.

Tim zmrużył oczy i przez dłuższą chwilę się jej przyglądał.

Wytrzymała jego spojrzenie, aż odwrócił wzrok i powiedział cicho do grupy:

- Wchodzimy od frontu. Opróżnimy dom pokój po pokoju. Formacja zachodząca. Zabezpieczcie flanki. Wszystko, co się rusza, ma zostać zniszczone.

- Tak jest, sir - warknęła Larissa, kiedy pozostali wyrazili gotowość.

- Doskonale - powiedział Tim. - Za mną.

Zgiął się i szybkim krokiem ruszył podjazdem w kierunku frontowych drzwi domu. Reszta zespołu zrobiła to samo. Po strzelaninie i krzykach zapanowała złowroga cisza. Tim uniósł prawą dłoń i dwoma palcami wskazał na wejście. Anna Frost, cicha, poważna kanadyjska agentka specjalna, której imię idealnie do niej pasowało, i Jose Rios, przystojny, czarujący Dominikanin będący snajperem, zanim został zwerbowany do NS9, pobiegli do drzwi i stanęli po obydwu ich stronach plecami do ściany ze swoimi HK416 uniesionymi i gotowymi do strzału.

- Larisso - szepnął Tim. - Sprawdź, czy ktoś jest w domu.

Wampirzyca uśmiechnęła się i wzbiła w powietrze. Bezdźwięcznie wylądowała na posadzce przed zdobionymi drewnianymi drzwiami. Czowała kły naciskające na dolną wargę. Wzięła głęboki oddech i uderzyła otwartymi dłońmi w drzwi. Ekspłodowały do środka, roztrzaskując się w drobny mak i rozrzucając wokół drzazgi. Zupełnie jakby ktoś detonował przy nich bombę.

Ze środka domu dobiegły krzyki przerażenia i paniki. Ktoś mówił po hiszpańsku. Larissa odskoczyła do tyłu i wylądowała za Timem. Po jego bokach znajdowali się Jill Flaherty, wysoka i potężna była agentka NSA, zastępca Tima, oraz Pete Rushton, głośny i niezmordowanie optymistyczny Kalifornijczyk, który służył w oddziałach Delta Force przez niemal dekadę, zanim został wezwany do Nevady. Frost i Rios wbiegli przez roztrzaskane drzwi i znikli w domu z

karabinami na ramionach.

- Czysto! - zawołał Rios.

- Ruszamy! - krzyknął Tim.

Flaherty i Rushton wbiegli przez puste drzwi z bronią gotową do strzału, mijając Frost i Riosa, którzy zdążyli już sprawdzić kąty i wyjścia. Tim pobiegł do przodu z Larissą tuż za plecami. Chwilę później oddział się przegrupował na środku dużego holu. Stanowili zbitą czarną grupę z bronią gotową do użycia.

- Żadnego przyjęcia powitalnego - powiedział Rushton. - To niegrzeczne.

Larissa uśmiechnęła się do niego z oczami pełnymi żaru.

- Szybka kontrola tego piętra - rzekł Tim, ignorując komentarz kolegi. - Pomieszczenie po pomieszczeniu. Nie chcemy żadnych niespodzianek.

- Tak jest, sir - rzekła Flaherty. Zrobiła krok do przodu z MP 7 w jednej ręce i konsolą w drugiej.

Na ekranie widniał plan architektoniczny rezydencji, w której się znajdowali.

- Trzy pokoje na środku tego poziomu. Osiemnaście wokół zewnętrznego muru, sir.

- Nie mamy nad głowami satelity? - spytała Larissa - Nie ma czasu na sprawdzanie dwudziestu jeden pomieszczeń.

- Poprosiłem o dane z satelity - powiedział Tim. - Wywiad podaje, że lada chwila będziemy mieli do nich dostęp. Do tego czasu jesteśmy zdani na siebie.

- Ale dwadzieścia jeden...

- Słyszałaś mnie, poruczniku Kinley - rzucił Tim. - Musimy być szybcy. Frost, ruszaj.

Anna Frost skinęła głową i bezgłośnie przeszła przez pusty hol do ciemnych drewnianych zamkniętych drzwi. Poprawiła HK416 na ramieniu, kiedy reszta oddziału zajęła pozycje tuż za nią. Odetchnęła głęboko i kopniakiem otworzyła drzwi, odskakując natychmiast za ścianę. Drzwi chygotały się na

zawiasach. W środku nic się nie poruszało, nie rozległy się wystrzały. Frost spojrzała przez ramię, czekając na potwierdzenie, i zobaczyła, że 1 im bezgłośnie wskazuje palcem na drzwi. Przytaknęła i po cichu weszła do pomieszczenia. Kiedy to zrobiła, Larissa usłyszała coś tak cichego, że jedynie ktoś z nadnaturalnie czułym słuchem mógłby to wychwycić.

Cichutki oddech.

- Czekaj! - krzyknęła, lecz zbyt późno.

Kiedy Frost weszła do pokoju, coś srebrnego wyleciało zza drzwi i uderzyło w bok jej kasku, wysyłając iskry i rzucając agentkę na kolana. Kobieta obróciła się i instynktownie pociągnęła spust karabinu. Ogień strzelił z lufy. Huk w zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający.

- Ruszamy! - krzyknął Tim Albertsson i wbiegł do pokoju.

Larissa go wyprzedziła. Jednym susem pokonała dystans pomiędzy miejscem, w którym stała, a tym, gdzie Frost leżała na podłodze. Chwyciła agentkę i uniosła ją jedną ręką, drugą wyciągając swój megagnat. Pchnęła Frost za siebie, wycelowała broń w przestrzeń za drzwiami i zamarła.

Na podłodze leżała kobieta. Miała nie więcej niż dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat. Była ubrana w pomarańczowe bikini i krwawiła z co najmniej tuzina ran po kulach. Krew spływała po jej ciele i zbierała się w kałużę na podłodze. W jednej z dłoni wciąż trzymała maczetę. Oczy miała otwarte i pozbawione życia.

Pozostali członkowie grupy specjalnej wbiegli do pokoju z bronią gotową do użycia. Zatrzymali się i powiedli wzrokiem za Larissą.

- Chryste - szepnęła Flaherty. - Co to, do diabła, ma być?

- Anno. - Tim złapał Kanadyjkę za ramiona. - Jesteś ranna? Larissa zwolniła uścisk. Frost lekko się zatoczyła, ale udało jej się nie upaść.

- Wszystko gra - powiedziała. - Zachowałam się głupio.

Przepraszam, sir.

- W porządku - odparł Tim. - Najważniejsze, że jesteś cała.

- Sir. - Flaherty przykuła uwagę Tima. - Ta dziewczyna nie jest wampirem. To człowiek.

Anna Frost odsłoniła wizjer.

- Człowiek? - spytała niepewnym głosem.

- Człowiek - potwierdziła Flaherty. Kucnęła obok martwej i oświetlała promieniem UV jej skórę.

- Nie żyje? - dopytywała Frost. - Zabiłam ją?

Tim natychmiast się do niej odwrócił.

- Zaatakowała cię, agentko. Pamiętaj o tym. Zrobiłaś, co do ciebie należało.

Frost przytaknęła, ale zielonoszary odcień jej twarzy sugerował, że raczej jej to nie przekonało. Larissa przyglądała jej się bezsilnie, a potem usłyszała coś innego zza zamkniętych drzwi na końcu pokoju. Był to cichutki odgłos drapania, jaki wydają bose stopy szurające o posadzkę.

- Zaraz będziemy mieli towarzystwo - szepnęła.

Tim spojrzał na wyraz jej twarzy i nakazał grupie się kryć. Rushton pociągnął Frost i Flaherty za ogromną skórzaną kanapę, ustawioną na środku pokoju. Tim i Rios wybrali miejsce za ciężkim drewnianym biurkiem pod oknem. Larissa uniosła się po prostu bez słowa w powietrze i wycelowała megagnat w zamknięte drzwi.

Nastąpiła długa, pełna oczekiwania cisza. Nic się nie poruszyło, nic nie wydało dźwięku, aż Larissa usłyszała, że ktoś gwałtownie nabiera powietrza, dosłownie ułamek sekundy przed tym, jak drzwi zostały wyważone kopniakiem.

Trzasnęły o ścianę z ogłuszającym hukiem. Do środka wpadła grupa, krzycząc, wrzeszcząc i machając rękami nad głowami. W dłoniach błyszczały metalowe przedmioty

- Stać! - krzyknął Tim Albertsson, wstając zza biurka z karabinem opartym twardo o ramię.

Reszta grupy również wstała, lufy ich broni były wycelowane

w krzyczącą masę, która widząc przed sobą ubrane na czarno postacie, zatrzymała się w pół kroku.

W środku stało siedem kobiet, każda ubrana w bikini. Najstarsza miała najwyżej trochę ponad dwadzieścia lat, parę nie wyglądało na więcej niż kilkanaście. Każda trzymała jakiś metalowy przedmiot, jedna z dziewcząt miała ogrodową łopatkę.

- Rzućcie broń! - krzyknął Tim. - Natychmiast!

Kobiety od razu wypuściły to, co trzymały w dłoniach. Przypadkowa broń upadła na podłogę z łoskotem. Jeden z noży wbił się ostrzem w panel podłogowy i teraz się trząsł. Kobiety były wyraźnie przerażone i nieszczęśliwe. Kilka z nich obejmowało się, jakby chciało zasłonić swoje niemal całkiem nagie ciała. Z przodu stała wysoka ciemnoskóra kobieta, która przyglądała się czarnym postaciom. Ramiona trzymała wzdłuż tułowia. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, kiedy jej wzrok padł na to, co leżało w kącie pokoju. Zasłoniła usta dłońmi i krzyknęła przez palce. Potknęła się, idąc do przodu, aż Rios krzyknął, żeby się zatrzymała.

- *Bastardo!* - krzyczała. - *Asesino! Olivia, mi pobrecita, mi querida ángel...* - Jej głos umilkł, gdy zanosła się szlochem.

- Tim - poprosiła Larissa przez system komunikacyjny, tak że słyszeli ją tylko członkowie zespołu. - Zrób coś z tym. Sytuacja zaraz wymknie się spod kontroli.

Tim przytaknął i skierował uwagę na kobiety. Wszystkie płakały, drżały i wskazywały na martwą dziewczynę.

- Panie - powiedział. - Kim jesteście?

Dziewczyna, która krzyczała, spojrzała na niego z nieskrywaną nienawiścią.

- Jestem Eva - rzekła i splunęła.

- Evo, czy możemy porozmawiać? Na spokojnie?

- Nie rozmawiam z mordercami - odparła. - Z tchórzami.

- Zaatakowała mnie - wtrąciła Frost cicho. - Broniłam się. - Swoją bronią, kaskiem i zbroją - rzekła Eva, patrząc na

Frost z pogardą. - Ona miała kawałek metalu, który nawet nie był ostry. Jakże stanowiła dla ciebie zagrożenie?

- Evo, patrz na mnie - powiedział Tim.

Stojące za nią pozostałe kobiety zaczęły coś mamrotać między sobą po hiszpańsku, więc chciał szybko uspokoić sytuację. Gdyby zaatakowały, nie zagroziłyby co prawda jego zespołowi, ale wiedział, że nie wyszłyby bez szwanku, jeśli jego grupa musiałaby się bronić. Możliwe, że zginęłyby wszystkie.

- Evo, dlaczego tu jesteście? - spytał. - Dlaczego jesteście w tym domu?

Przypatrywała mu się przez dłuższą chwilę.

- Tniemy - odrzekła wreszcie.

- Tniecie co?

- Towar - odparła. - W piwnicy. Tniemy, owijamy i robimy paczki.

- Dlaczego jesteście tak ubrane? - zapytała Larissa. Jedna z młodszych dziewcząt włączyła się do rozmowy.

- Żeby my nie kraść - odpowiedziała załamującym się głosem. - Oni nam nie ufać.

„Chryste - pomyślała wampirzyca. - Jakże to upokarzające”. - I lubią patrzeć - dodała Eva. - To mężczyźni. Lubią patrzeć.

Reszta kobiet przytaknęła.

- Co robicie same tu, na górze? - spytał Tim. - Gdzie jest generał Rejon?

- Na dole - odparła Eva. - Kiedy zaczęło się strzelanie, wysłał nas tu. Kazał walczyć.

- Wie, kim jesteśmy? - spytał Tim. - I dlaczego tu jesteśmy? Eva pokręciła głową.

- Generał myśli, że wy z innego kartelu. - Uważnie popatrzyła na ich uniformy. - Aleja myślę, że nie.

- Więc wysłał was na górę z tymi kawałkami metalu, żebyście walczyły? - spytała Larissa głosem przepelnionym furją. - Nieubrane? Po tym, jak na własne uszy słyszał, że ktokolwiek

jest tu, na górze, ma broń?

Eva wzruszyła ramionami.

- To nieważne, czy my umrzemy. Nas, pakowaczek, jest osiem. Siedem, bez Olivii. My umieramy, jutro sto dziewczyn przychodzi i prosi o pracę. Jeśli powiemy „nie”, jeśli nie walczymy, generał nas zabije. Więc walczymy.

- Nie, nie walczycie - odparł Tim. - Weźcie ciało przyjaciółki, znajdźcie jakieś ubrania i wynoście się stąd najszybciej, jak to możliwe. Rozumiesz mnie, Evo?

- A co jutro mówimy generałowi? - wtrąciła inna z kobiet, wyraźnie zmartwiona. - Jak my wyjaśnimy?

- Nie musicie się tym przejmować - odparł Tim. - Evo, mówiłaś, że generał Rejon jest na dole?

Przytaknęła.

- To głupie - zauważyła Flaherty, marszcząc brwi. - Na dolny poziom jest tylko jedno wejście. Następne drzwi, w bibliotece.

- Generał nie będzie uciekać - rzekła Eva. - Powiedział nam, że nie wróci do więzienia. Woli zginąć.

- Zatem dajmy mu to, czego pragnie. - Larissa splunęła. - Dlaczego stoimy tu, na górze, skoro oni są na dole?

- Ilu ich tam jest? - spytał Tim, posyłając Larissie ostrzegawcze spojrzenie.

- Jedenaście z generałem.

- Evo, mówisz prawdę?

-Tak.

- Nie kłamie, sir - rzekła Flaherty. - Mamy obraz z satelity. Dwunastu ludzi i jeden wampir na tym poziomie, jedenaście wampirów niżej.

- Dobrze - rzekł Tim. - Dziękuję.

- Tak, super - rzuciła Larissa. - Szkoda, że nie mieliśmy tej informacji wcześniej, zanim zabiliśmy niewinną dziewczynę.

- Larisso. - Głos Tima był cichy.

-Co?

- Zamknij się. To rozkaz.

Wampirzyca przez dłuższą chwilę patrzyła na dowódcę oddziału.

„To nie jego wina - powtarzała sobie. - To niczyja wina. Takie rzeczy się zdarzają. Złe rzeczy się zdarzają”.

- Tak, sir - odparła, nie spuszczać wzroku.

- Dziękuję - rzekł Tim i znów skierował swoją uwagę na Evę.

- Generał i jego ludzie. Jaką mają broń?

- Noże - powiedziała dziewczyna. -I pistolety. Dużo pistoletów.

Oddział specjalny stał w bibliotece generała Rej ona, patrząc na drzwi, które miały zaprowadzić ich na dół, na poziom piwnicy. Pokój był ciemny, z drewnianą podłogą i sięgającymi aż po sufit półkami na książki ustawionymi pod trzema ścianami. Czwartą zdominowało ogromne okno, wychodzące na ogród i tereny położone bliżej bram. Taki obraz w normalnych okolicznościach byłby idylliczny, ale teraz ziemię znaczyły plamy krwi, wciąż widoczne w ostatnim wieczornym świetle

Eva wyprowadziła z domu przerażone dziewczyny. Dwie z ruch niosły ciało kobiety o imieniu Olivia. Odeszły bez słowa Frost nie potrafiła spojrzeć żadnej z nich w oczy. Jej twarz była blada i ściągnięta.

- Anno - zaczął Tim. - Chcę, żebyś pilnowała tych drzwi. Jeśli przejdzie przez nie coś, co nie jest jednym z nas, zabij to.

- Nic mi nie jest, sir - powiedziała. - Nie musi mnie pan tu zostawiać.

- Wiem - odparł. - Ale ktoś musi obstawiać to wejście i chcę żebyś to była ty. Czy to jasne?

- Tak, sir - rzekła agentka. Na jej twarzy pojawił się wyraz męki.

- Pozostali idą na dół. - Tim skinął głową w kierunku wejścia.

- Czeka tam na nas jedenaście wampirów. Świat nie zatęskni za żadnym z nich. Wizjery opuszczone, broń gotowa. Załatwmy to i wracajmy do domu. Jose, ruszaj.

Rios przytaknął i podszedł do drzwi. Otworzył je kopniakiem i odskoczył do tyłu, tworząc dystans między sobą a pustą przestrzenią. Obraz satelitarny pokazywał, że wszystkie wampiry znajdowały się w jednym miejscu - w długim pokoju na środku piwnicy. Ale w postępowaniu z wampirami ostrożności nigdy za wiele.

- Czysto - zawołał Rios. Wszedł za drzwi i zaczął powoli schodzić po schodach do piwnicy.

Larissa patrzyła, jak Flaherty i Rushton idą tuż za nim, i poczuła w żołądku palącą żołąć. Oczy płonęły jej żarem, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwała.

Była bardziej wściekła niż w całym swoim życiu Bogactwo domu i terenów, sztuka, samochody, piękne dekoracje - wszystko to stanowiło obrazę dla ogromnej większości ludzi, którzy walczyli o godne życie i o to, by mieć co jeść. Ten dom był pałacem wybudowanym na śmierci i nieszczęściu, na wymienności ludzi, kobiet takich jak Olivia, ta biedna dziewczyna, która rzuciła się na żołnierza, mając na sobie jedynie bikini, a w ręku stępioną maczetę, ponieważ jej pracodawca przysiągł ją zabić, jeśli tego nie zrobi.

„Żadne pieniądze ani żadna broń im teraz nie pomogą - myślała. Jej umysł zalała tak ogromna, słodko-gorzka żądza przemocy, że ledwie formułowała słowa. - Nic już im nie pomoże”.

Weszli bezgłośnie, schodząc po schodach po jednym agencie naraz. Na dole stanęli w wyłożonym drewnianymi panelami korytarzu.

Długą ścianę po ich lewej stronie zdobiły plakaty ze starych hollywoodzkich filmów: z *Tarzana*, *Przygód Robin Hooda*,

King Konga, Siedmiu wspaniałych. Na ścianie po prawej wisiały czarno-białe fotografie gwiazd filmowych ubiegłych dekad, polityków, muzyków i modelek. Przystojny mężczyzna w wojskowym mundurze i z gęstymi wąsami uśmiechał się z każdego ze zdjęć. Nie był już człowiekiem, był wampirem, którego miał zniszczyć oddział specjalny

- Flaherty - powiedział Tim do ich radia. - Nadal mamy satelitę?

- Tak, sir - potwierdziła.

- Powiedz nam, jak wygląda ten poziom.

- Jedno pomieszczenie po lewej. - Flaherty wskazała drzwi pomiędzy dwoma plakatami. - Po prawej duże pomieszczenie za tą ścianą. Małe pomieszczenia pod zewnętrznymi murami, ale środek jest otwarty. Wampiry zebrały się pod odległą ścianą.

- Okej. Pilnuj ich. Daj znać, jeśli się poruszają.

- Tak, sir.

Dowódca oddziału uniósł rękę i wskazał na drzwi w ścianie po lewej. Rios i Rushton podeszli po cichu i zajęli miejsca po ich obu stronach. Tim i Flaherty stanęli za nimi, z uniesionymi wysoko megagnatami. Larissa zabezpieczała tyły. Nastąpiła chwila ciszy, zanim Rios sięgnął w dół, nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Tim poprowadził zespół do środka, Flaherty niemal deptała mu po piętach, Rios, Rushton i Larissa weszli na końcu.

Pomieszczenie było długie i szerokie, pełne metalowych ław, przy których stały stołki. Na ławach leżały plastikowe zbiorniki wypełnione białym proszkiem, metalowe łyżki, drewniane patyki i kilka starych wag. Na półkach pod ścianą leżały rzędy prostokątnych paczek owinięte w brązowy papier i kilka warstw przezroczystej folii. Cyfrowe radio podłączono do gniazdka. Było jedyną normalną rzeczą w tym sterylnym, pozbawionym wszelkiej przytulności pomieszczeniu.

- Tutaj pracowały te kobiety - powiedziała Larissa. -

Kroczynie.

Tim przytaknął.

- Połóżcie granat UV na ławie - rozkazał. - Jest bardzo czuły. Nie chcę tutaj żadnych niespodzianek.

- Tak, sir. - Larissa odpięła granat UV od paska, umieściła na środku jednej ze stert prochu i trzykrotnie przekreśliła tarczę w prawo.

Gdy zespół opuścił pomieszczenie, dioda na tarczy granatu zaczęła jednostajnie błyskać. Zamykając drzwi, Larissa po raz ostatni spojrzała na pomieszczenie. Czuła narastającą w piersi wściekłość, gorącą, ostrą i w jakiś sposób kojącą.

„Czas prawie minął, generale - pomyślała. - Wyryję imię Olivii na twoim sercu, zanim rozgniotę je gołymi rękami”.

Na korytarzu się przegrupowali. Szli z uniesioną bronią.

- Satelita? - spytał Tim.

- Bez zmian - rzekła Flaherty.

- Okej. Jak wyjdziemy z za tej ściany, będzie nas coś jeszcze od nich dzieliło?

- Filary nośne - rzekła Flaherty. - Meble. Stoły i sofy, jeśli dobrze to odczytuję.

- W porządku. Zachowajcie między sobą równe odstępy. Jak ruszymy, Jill i Larissa idą prawą flanką, Pete i Jose lewą ze mną. Jasne?

Rushton i Rios przytaknęli.

- Załatwmy to szybko i czysto - powiedział Tim. - Pamiętajcie, to nie są takie wampiry, do jakich przywykliśmy. Te są silniejsze, szybsze i większość z nich ma doświadczenie wojskowe. Gdy tylko je zobaczycie, unicestwiajcie. Nie pozwólcie im odciąć się od grupy i wycofajcie się, jeśli zauważycie, że sytuacja się zmienia. To nie czas na zabawę w bohaterów. Słuchasz mnie, Larisso?

Wampirzyca jęknęła, ale skinęła głową. Ogień płonął w jej żyłach, domagając się przemocy, nalegając, by przelewała krew i rozrywała ciała.

- W porządku - rzekł Tim. - Ruszamy.

Larissa podążyła z towarzyszami. Kiedy wyszli z za rogu na końcu korytarza, spodziewała się strzelaniny. Pewnie trzymała w dłoni MP5.

Nic się nie poruszyło. Nie dobiegł ich żaden dźwięk.

Pokój, do którego weszli, był długi i szeroki, jak sugerowała Flaherty. Ściany pokrywały drewniane panele, drewniana podłoga była wypolerowana. Filary, które najprawdopodobniej podtrzymywały sufit, wzniesiono w sporych odstępach. Pomiędzy nimi znajdowały się stoliki, sofy i krzesła. Wszystkie płaskie powierzchnie pokrywał biały proszek, wszędzie plątały się brudne kieliszki do wina i butelki po piwie, pełne popielniczki, z których wysypywały się papierosowe filtry i cygara. Zapach tytoniu i whiskey mieszał się w powietrzu z czymś kwaśnym, czymś, co śmierdziało niemal tak samo, jak benzyna. Na przeciwległej ścianie, gdzie według Flaherty miał czekać generał Rejon i jego żołnierze, stały długi drewniany bar z kieliszkami i butelkami oraz ustawione w półkole puste kanapy skierowane w stronę telewizora. Na barze znajdowała się mała lodówka. Larissa mogłaby się założyć, że była pełna krwi.

- Co, do diabła? - spytał Tim. - Flaherty?

- Nie wiem, sir - odparła. - Satelita pokazuje jedenaście wampirów pod poziomem gruntu. Powinny być tuż przed nami.

- Widzisz tu jakieś wampiry? - spytał Tim. - Boja nie.

- Nie, sir - odparła lodowatym tonem.

- Świetnie - rzekł Tim. - Więc to nie tylko kwestia moich oczu. Ruszamy.

Oddział specjalny wyszedł po cichu na otwartą przestrzeń na końcu pomieszczenia. Duży dywan zasłaniał większą część podłogi. Miał skomplikowany wzór kół i zygzaków. Na

drewnianym blacie baru stały trzy szklanki z przezroczystym płynem. Po ściankach spływały krople wody. Z ledwie co zagaszzonego w popielniczce cygara leniwie unosił się dym.

- Byli tu - powiedziała Larissa. - Przed chwilą. Tim podniósł wizjer i spojrzał na nią ze złością.

- To bardzo pomocna uwaga - rzekł. Na policzki wypływał mu rumieniec.

- Czy poczyniłaś jeszcze jakieś obserwacje?

Larissa nie odpowiedziała. Uniosła tylko wizjer i posłała dowódcy długie beznamienne spojrzenie. Po sekundzie lub dwóch nim odwrócił wzrok.

- Dobra - zaczęła Flaherty unosząc wizjer swojego kasku - Spróbujmy...

Ogłuszający huk wystrzałów wypełnił pomieszczenie, odbijając się echem od drewnianych ścian. Szeroki dywan uniósł się i zwinął, kiedy przeszył go grad kul wypełniających powietrze gorącym ołowiem. Jeden z pocisków trafił w bok kasku Larissy, posyłając ją w tył. Jej towarzysze rzucili się, by znaleźć schronienie. Wampirzyca opuściła wizjer i poczuła, że kły znów wysuwają jej się z dziąseł, a w oczach rozpała się ogień.

- Pod ścianę! - krzyknął Tim.

Larissa się uniosła. Zapach prochu zaczął ją przytłaczać. Zignorowała rozkaz Tima i rzuciła się do przodu. Z niezwykłą siłą przefrunęła ponad dywanem i pochwyciła go. Pod nim znajdował się właz, teraz już niemal całkowicie zniszczony przez grad

- Są pod podłogą! - krzyknęła.

Jej głos rozległ się bezpośrednio w uszach towarzyszy. Wykręciła do góry, unosząc się w gęstym, zadymionym powietrzu, i odrzuciła dywan. Potem odpięła MP5 od paska i opróżniła magazynek, posyłając całą serię w to, co zostało z drewnianego

Reszta drużyny poszła za jej przykładem. Strzały odbijały się

echem, a sama strzelanina zdawała się nie mieć końca. Nagle wszystko umilkło i w gryzącym, zadymionym powietrzu pozostała już tylko cisza.

- Witajcie, przyjaciele! - krzyknął z oddali głęboki głos. - Jestem generał Garcia Rejon, a wy jesteście mile widziani w moim domu. Może zejście na dół i się przedstawicie?

Larissa warknęła.

- Dlaczego, do diaska, nie wiedzieliśmy, że pod piwnicą jest pomieszczenie? - spytała.

- Nie ma go na planach - powiedziała Flaherty. - Przepraszam.

- Widzę was, moi przyjaciele! - krzyczał generał Rejon. - Ale was nie słyszę! Nie chcecie ze mną porozmawiać?! Czy nie po to tu przyszliście?!

Tim przekreślił tarczę przy pasku.

- Ja z panem pomówię, generale - powiedział. Jego głos niósł się echem po piwnicy. - O czym chce pan rozmawiać? - Wyjął z pasa dwa granaty UV.

- O wtargnięciu na teren prywatny?! - krzyknął Rejon. - O bezprawnym wtargnięciu?! O morderstwie?!

- Chce pan mówić o morderstwie? - spytał Tim. - Doskonale. Pomówmy o tym.

Przykucnął i rzucił granaty w stronę wjazdu. Przetoczyły się po nierównej powierzchni i znikły im z oczu. Nastąpiła chwila absolutnego bezruchu, a potem granaty eksplodowały w cichym, oślepiającym wybuchu fioletowego światła, które przecisnęło się przez setki dziur po kulach.

Chór ogłuszających krzyków agonii wypełnił powietrze. Wjazd wyleciał w górę, posyłając wokół drzazgi. Do pomieszczenia wpadły krzyczące wampiry. Fioletowe światło znikło, a na twarzy Larissy pojawił się uśmiech. Rzuciła się do walki.

Generał Raj on i jego ludzie uciekali w popłochu we wszystkich kierunkach. Fioletowe płomienie pochłaniały ich ciała, a twarze wykrzywiały ból i zaskoczenie.

„Tego się nie spodziewaliście, prawda?” - myślała Larissa dziko.

Dwa płonące kształty skierowały się do wyjścia, sunąc przez piwnicę niepewnym krokiem. Larissa z łatwością przemknęła przez dym i rzeź, która rozpełtała się, kiedy jej towarzysze otoczyli przerażone wampiry. Pędząc przez gęste powietrze, sięgnęła po megagnat i strzeliła w plecy jednemu z uciekających wampirów. Metalowy kołek wbił się między jego łopatki i wyszedł z drugiej strony, przebijając mostek. Poleciał dalej, ku przeciwległej ścianie. Wampir się zachwiał, złapał za pierś, a potem eksplodował w chmurze czerni i szkarłatu.

Druga uciekająca postać krzyknęła, kiedy krew schlapała jej twarz. Larissa dostrzegła w jej oczach panikę, zobaczyła jak mimowolnie zlizwała krew przyjaciela ze swoich warg. Potwór odwrócił się w jej stronę z przerażeniem odbijającym się na twarzy. Podleciała leniwie i wyciągnęła kołek zza paska. Wampir uniósł spalone ramię w daremnym geście poddania. Kopnęła je i zatopiła kołek w sercu przeciwnika. Jego oczy momentalnie stały się wylupiaste, a po chwili wampir wybuchł, brudząc jej uniform i kask swoją krwią.

Kiedy kołek powrócił do megagnata, Larissa usłyszała satysfakcjonujący łoskot. Odwróciła się w stronę baru, gdzie jej towarzysze walczyli z pozostałymi wampirami, zachowując bezpieczny dystans, niszcząc je kulami i kołkami megagnatów. Jej uśmiech stał się szerszy. Uciekinierzy mogą być silniejsi i szybsi od przeciętnych nowo przemienionych krwiopijców, ale nie mogli się równać z grupą specjalną.

Kiedy podleciała, żeby pomóc, Flaherty właśnie wbijała kołek w wampira, którego seria z karabinu Tima zagnała pod ścianę. Wampir został unicestwiony, na ścianie pozostała tylko cieknąca plama. Zapach spalonego ciała i kipiącej krwi wypełnił nozdrza Larissy, odurzając ją i przyzywając. Właśnie miała dołączyć do walki, kiedy z umieszczonych pod sufitem zraszaczy przeciwpożarowych poleciała woda i zalała całe

pomieszczenie. Ostatnie z fioletowych płomieni zagasły, a wielka chmura pary wzniosła się ze spalonych ciał.

- Stop - rozległ się głos Tima w słuchawce w jej uchu. - To koniec.

Para się rozwiała, odsłaniając scenę jak z horroru. Siedem jeszcze żywych wampirów próbowało przeciągnąć swoje zmasakrowane ciała po zniszczonej podłodze. Byli spaleni na węgiel i czołgali się bez celu. Nie mieli oczu - kończyny poruszały się pchane jedynie siłą instynktu. Niektórzy byli na czworakach, pozostali ciągnęli ciężar ciała na łokciach. Obracali głowy na dźwięk zbliżających się agentów, ale poza okazyjnym warknięciem nie wydawali żadnych dźwięków.

Larissa nie potrafiła im współczuć. Wręcz przeciwnie, uważała, że łatwo się wywinęli. Podleciała do Tima Albertssona, który wyciągnął kołek i zatopił go kolejno w sercach dwóch najbliższych wampirów - odeszli w żałośnie małych rozpryskach krwi. Larissa obserwowała to bez żadnych emocji. Rios dobił dwa wampiry po przeciwnej stronie pomieszczenia, a potem wrócił do oddziału. Stali w miejscu, gdzie był właz. Na podłodze ostatni z trzech wampirów bez celu czołgał się wkoło.

- Czysto - powiedziała Flaherty. - Dobra robota.

- Wykończcie je - rozkazał Tim, wskazując głową wampiry. Rushton podszedł i szybkim ruchem kolejno wbijał im kołek w serce. Wybuchły, zostawiając na podłodze krew i skrawki ciała. Larissa odetchnęła, zdjęła kask i obejrzała miejsce, w które trafiła kula. Jej towarzysze spojrzeli po sobie. Na ich twarzach kolejno pojawiały się uśmiechy. W miejscu, gdzie pocisk trafił w kask, była głęboka bruzda.

„Co za szczęście” - pomyślała.

Kiedy Tim otworzył usta, żeby coś powiedzieć, usłyszała w dole ciche kliknięcie.

Poruszyła się w tej samej chwili, gdy Garcia Rejon wyskoczył przez to, co zostało z włazu, z wielkim karabinem w dłoniach. Jego oczy lśniły czerwienią. Kiedy nacisnął spust, na jego ustach pojawił się przerażający drwiący uśmiech. Rozległ się ogłuszający huk i Larissa poczuła uderzenie gorącego strumienia obok głowy, a natychmiast po tym ból. Odwróciła się i przyłożyła dłoń do rany. Gdy jej palce dotknęły boku głowy, odkryła, że nie ma ucha. Opuściła dłoń w rękawiczce i spostrzegła, że jest cała we krwi.

Gardłowy krzyk dobył się z jej ust, kiedy członkowie oddziału specjalnego otworzyli ogień do generała. Przyparli go do ściany. Broń wypadła mu z rąk. Larissa podbiegła, nachyliła się i zabrała karabin. Tymczasem Rejon wyskoczył i przebił się przez sklepienie piwnicy z głośnym, rozdzierającym hukiem. Larissa ponownie jęknęła. Jej wampirza natura niemal w całości przejęła nad nią kontrolę. Dziewczyna zignorowała rozkaz Tima, który kazał jej się zatrzymać, i rzuciła się w pościg.

Larissa przeleciała przez dziurę, którą przebił generał niczym zwłoki wychodzące z grobu.

Powietrze wokół niej było gęste i gorące. Jej nozdrza podrażniła mieszanka zapachów: krwi, spalonych ciał i przewodów. Unosiła się nad trawnikiem na tyłach potężnej rezydencji, otoczonej z trzech stron murem. Z przodu dostrzegła ciemne sylwetki drzew. Rosły w znacznych odległościach od siebie. Ciemność między nimi była niezmacona. Gdzieś spomiędzy nich rozległ się przyjemny, ciepły głos.

- Gdzie są twoi przyjaciele, suko? Boją się stawić mi czoła na otwartej przestrzeni?

Larissa zaczęła się śmiać pomimo bólu głowy.

- Boją się - powiedziała. - Ale nie ciebie. Tym razem to Rejon

się zaśmiał.

- Sądzisz, że ciebie? Dziewczynki w mundurku?

- Owszem. I sądzę, że nie tylko oni. Między drzewami przetoczyło się warczenie.

- Uważaj na to, co mówisz, suko.

- Na nic nie będę uważać - warknęła. - Nie będę słuchać poleceń od kogoś, kto wysyła bezbronne dziewczyny do walki z żołnierzami, a sam w tym czasie chowa się pod ziemią jak zwierzę.

- Ladaczniczki przychodzą i odchodzą - skwitował. Wrócił przyjacielski ton. - Czasami umierają, a ja następnego dnia wybieram sobie nowe. Błagają mnie o zajęcie. Zrobią dla mnie wszystko. Ty też byś zrobiła.

- Jesteś śmieciem. - Larissa splunęła. W jej oczach rozgorzał ogień. - Jesteś zwierzęciem, które ucieka przed małą dziewczynką. To żałosne.

- Myślisz, suko, że się ukrywam? Ja ciebie widzę. A czy ty widzisz mnie?

Wyteńczyła wzrok, spoglądając w ciemność. Pomimo nadnaturalnego

wzroku nie dostrzegła nic poza pniami drzew i zielenią.

- Jestem tutaj - powiedział generał niemal radosnym tonem.

- Podejdź bliżej.

Larissa wiedziała, że powinna zachować ostrożność. Garcia Rejon był o wiele potężniejszy niż jakikolwiek wampir nowego typu. Już na długo przed przemianą stał się brutalnym, sadystycznym człowiekiem. Ale miała to w nosie. Jej wampirza natura domagała się przemocy, a to, co pozostało w niej z racjonalnej, ludzkiej Larissy, domagało się sprawiedliwości. Podleciała bliżej linii drzew, gotowa na atak, czekając na sposobność.

Garcia Rejon nie zwlekał.

Zza jednego z grubych pni wystrzeliła pięść i trafiła Larissę w brodę, posyłając przez jej czaszkę falę bólu i odrzucając do

tyłu. Uśmiech na jej twarzy nie drgnął nawet wówczas, gdy krew poleciała z jej dolnej wargi. Ale zimny dreszcz przeszedł po plecach.

„Silny - pomyślała. - Taki silny. Tylko dwa razy zostałam uderzona mocniej, przez Alexandru i Valeriego Rusmanovów. Chryste”.

Larissa się nie bała. Była pewna, że w niczym nie ustępuje generałowi. Ale surowa moc wampira zaskoczyła ją, a myśl o tym, że takich jak on są setki - zmroziła. Ale na zamartwianie się jeszcze przyjdzie czas. Generał wysunął się z uśmiechem zza drzewa. Jego mundur pokrywała krew, ale ramiona wisiały swobodnie. Buty unosiły się ponad trawnikiem, a oczy lśniły w mroku.

- Wygląda na to, że brakuje ci ucha - zauważył Rejon przyjacielskim tonem. - To musi boleć.

- To nic - rzekła Larissa. - Ty też jesteś niczym. Rejon przechylił głowę.

- Możliwe - powiedział. - Ale to, co ci zrobię, to nie będzie nic.

Larissa obserwowała go z coraz szerszym uśmiechem, po czym odrzuciła broń. Uniosła blade, delikatne ramię, wysunęła palec i go przywołała.

Rejon uśmiechnął się i rzucił się do przodu z szeroko rozłożonymi ramionami. Larissa odskoczyła w górę, czując wokół siebie napór powietrza, i kopnęła generała w twarz. Kość chrupnęła, a echo rozeszło się po ogrodzie. Uśmiech znikł z jego twarzy. Padł na ziemię, trzymając nos, i zawył:

- Złamałaś mi nos, ty SUKO!

- To musi boleć - orzekła Larissa, opadając z wdziękiem na trawnik.

Wątpiła, by był to wielki ból, szczególnie w porównaniu z obrażeniami, których generał doznawał jako żołnierz i jako szef kartelu. Ale coś jej mówiło, że ból fizyczny nie był tutaj problemem. Bardziej chodziło o to, że zraniła go nastolatka.

„To dopiero boli - pomyślała. - Jestem pewna”.

Rejon puścił krwawiący nos i patrzył na nią z nieskrywaną nienawiścią. Warknął i znów na nią natarł, atakując pięściami. Jego ramiona wyglądały jak bezkształtna plama. Larissa zrobiła unik, ale był szybszy, niż się spodziewała, szybszy niż niemal każdy wampir, z jakim miała styczność. Jedną pięścią trafił tam, gdzie jeszcze niedawno było ucho. Krzyknęła, kiedy bolesny impuls rzucił ją na kolano. Krzyk, który dalej dochodził z jej gardła, urwał się, kiedy druga pięść Reja ona pomknęła przez mrok i uderzyła w gardło, odrzucając ją o kilka metrów do tyłu na trawnik. Ból był wszechogarniający. Kiedy próbowała nabrać powietrza, z przerażeniem coś odkryła.

„Nie mogę oddychać”.

Leżała na plecach z szeroko otwartymi oczami, czując skurcze w okolicach piersi. Walczyła z paniką, która chciała opanować jej ciało. Garcia Rejon podszedł do niej z okropnym uśmiechem na ustach, spojrział z miną mającą wyrażać litość, prowokując w Larissie wściekłość, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie czuła. Otworzyła usta, ale wydobyło się z nich ledwie słyszalne charczenie. W głowie jej dudniło, a płuca domagały się tlenu. Dłonie łapały uszkodzone gardło, starając się je wymasować i zmusić do pracy.

Generał stanął nad nią w rozkroku, a po chwili usiadł okrakiem na jej udach i przygniótł ją do ziemi.

- Żałosny? - powiedział. - Jestem zwierzęciem? Zaraz ci pokażę, co robią zwierzęta.

Sięgnął do jej twarzy. W mroku jego dłonie wydawały się ogromne i ciemne. Patrzyła, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Zobaczyła zgrubienia na jego kciukach, kiedy przesunął je w stronę jej oczu. Otworzyła usta, złapała prawdopodobnie ostatni oddech i poczuła, że w jej gardle coś się przemieściło. Powietrze popłynęło do jej płuc i poczuła uderzenie mocy. Panika znikła. Przesunęła rękę wzdłuż ciała i

chwyciła generała między nogami. Rejon zdążył się jeszcze zdziwić, zanim zacisnęła dłoń z całą siłą i coś pod jej naciskiem pękło. Krzyk, który dobył się z ust Rejona, pochodził nie z tego świata. Był to ogłuszający skowyt, mający swoje źródło w najmroczniejszych zakamarkach jego duszy. Próbował się odsunąć, ale trzymała go mocno. Wzdrygnęła się, gdy usłyszała, jak coś się odrywa. Krzyk Rejona osiągnął całkiem nowe poziomy, a potem się urwał, kiedy jego struny dźwiękowe się rozdarły. Larissa rozluźniła uścisk, a drugą ręką zamachnęła się i wbiła pięść w złamany nos przeciwnika, rozsmarowując go na całej przystojnej twarzy i odrzucając w tył. Zatoczył się i padł na ziemię. Dziewczyna poderwała się na nogi, kipiąc z nienawiści. Podeszła do generała.

Gdy Rejon patrzył na wampirzycę, dostrzegła w jego oczach strach, wyraźny i niezmacony. Przeczłogał się po trawie do tyłu. Twarz miał pokrytą krwią, a ciało drżało z bólu. Zrobiła kolejny krok, bez pośpiechu, pozwalając mu doświadczyć każdej chwili przerażenia, bezbronności. Chciała, żeby je czuł. Potem generał się zatrzymał, zmrużył oczy, a na jego ustach pojawił się triumfalny uśmiech.

Larissa rzuciła się na niego, zdeterminowana skończyć z nim, zanim to, co spowodowało ten uśmiech, mogłoby zostać wykorzystane. Znajdowała się metr od niego, kiedy generał uniósł broń, którą odrzuciła na trawę, i nacisnął spust.

Huk wystrzału był ogłuszający nawet na otwartej przestrzeni. Coś wielkiego uderzyło Larissę w żołądek, coś szerokiego i być może wykonanego z ognia. Ból przepłynął przez nią, gdy wylądowała na piersi Garcii Rejona i wyrwała mu broń z rąk. Zamachnęła się nią i uderzyła generała w głowę. Drewniana rękojeść popękała i krew popłynęła z rany, którą po sobie zostawiła. Oczy Rejona uciekły do tyłu, a kończyny zaczęły drgać. Larissa przeturlała się na trawę, odsunęła od przeciwnika i wstała. W oczach płonął jej ogień sprawiedliwości.

Chwyciła karabin. W umyśle pozostała już tylko myśl o przemocy.

- Spójrz na mnie! - krzyknęła. - Patrz na mnie, ty potworze!

Rejon niepewnie skupił wzrok na jej twarzy. Oparł się powoli na łokciach. Z boku głowy tryskała mu krew, a usta poruszały się powoli. Larissa pociągnęła za spust. Kula zniszczyła mu ramię i pchnęła ponownie na trawę, gdzie skręcał się i krzyczał, zachrypniętym, ledwie słyszalnym głosem. Druga kula zniszczyła lewą nogę generała, niemal całkiem odrywając ją od ciała. Jego oczy stały się tak wielkie, że wyglądały, jakby miały mu wypaść z twarzy. Trzecia kula zniszczyła prawe kolano, a czwarta i piąta unicestwiły ramiona. To, co pozostało z generała, leżało w spazmach i charczało na przesiąkniętej krwią ziemi i trawie. Larissa postawiła nogę na jego piersi.

Pomimo katastrofalnych obrażeń ciała Garcia Rejon wbił w nią spojrzenie. Odrobina tłącego się w nim życia gasła. Otworzył usta, uwalniając kolejną porcję krwi, i próbował splunąć na Larissę. Nie udało mu się. Jedyne, co osiągnął, to niewielka czerwona bańka na ustach. Larissa uniosła stopę, aby po chwili wbić ją w niego z całej siły. But przebił się przez mostek generała i zmiażdżył serce. Rejon wybuchł, a jego krew rozprysła się wokół, chlapiąc na trawę i mocząc nogi wampirzycy.

Odetchnęła głęboko, uniosła głowę i zamknęła oczy. Jej wampirza natura była usatysfakcjonowana; pozostały tylko ból i smutek. Pozwoliła, by ją ogarnęły, witając ich jak starych przyjaciół. Najbardziej bała się tego, że nadejdzie dzień, kiedy przemoc już nie będzie się jej wydawała zła.

- Jezu Chryste. - Znajomy głos Tima Albertssona wyrwał ją z zamyślenia.

Odwróciła się, otwierając oczy, żeby na niego spojrzeć. Tim stał na trawniku obok Flaherty. Obserwowała ich przez chwilę. Dostrzegła, że Rushton pomagał Riosowi przejść

trawnik.

- Wyświadczyć mi przysługę - zaczęła Larissa. - Następnym razem policzmy ofiary, zanim się odprężymy. Co wy na to?

Towarzysze patrzyli na nią szeroko otwartymi oczami.

- Larisso... - Tim próbował coś powiedzieć. - Twój...

- Co? - spytała.

- Twój brzuch - wydukał wreszcie.

Larissa zmarszczyła brwi i spojrzała w dół. Nad pasem dostrzegła ranę postrzałową wielkości dużego talerza, otwartą dziurę, z której krew wypływała obfitym strumieniem. Widok rany spowodował, że wreszcie poczuła ból.

- Ach - powiedziała jakby nieobecna. - To.

Oczy uciekły jej do tyłu, kolana się pod nią ugięły i wszystko opanowała chłodna i pusta ciemność.

NA SZLAKU UMARŁYCH

GRUPA ŚLEDICZA D9

RAPORT 6931/H:

PRZEDŁOŻONY: 0745

PRZEZ: MAJOR ALAN HARDY/NS303, 41-C

DO: TYMCZASOWY DYREKTOR CAL HOLMWOOD/NS303, 34-D

STATUS: STOPIEŃ TAJNOŚCI GODZINA ZERO

POCZĄTEK

Zgodnie z rozkazem zebrałem grupę dochodzeniową złożoną z siebie i agentów Andrew Johnsona (NS303, 55-R) i Katherine Elliot (NS303, 62-J). Naszym zadaniem było zlokalizowanie Johna Bathursta znanego pod pseudonimem Johnny Supernova i otoczenie go ochroną.

Opuściliśmy Pętłę o 2.50 i skierowaliśmy się na 162B Clerkenwell Road w Londynie pod ostatni znany adres pana Bathursta. W drodze otrzymaliśmy informację, że pan Bathurst zmarł (załączony raport koronera), poprosiłem więc o zrewidowanie celu misji.

Otrzymałem nowe rozkazy. Mielśmy sprawdzić, czy Albert Harker usiłował nawiązać kontakt z panem Bathurstem od czasu ucieczki ze szpitala w Broadmoor. Zakładaliśmy, że pan Harker nie wie o śmierci pana Bathursta. Postępowaliśmy zgodnie z rozkazem.

Dotarliśmy na 162B Clerkenwell Road i zastaliśmy tam wyważone drzwi. Zostały wyrwane z zawiasów przez cios o znacznej sile. Wstępna analiza sugeruje, że zadała go ludzka

stopa w skórzanym bucie.

W korytarzu znaleźliśmy dwa listy adresowane do wykonawcy testamentu pana Bathursta z kancelarii Chesney, Ciarke, Abel & Watt oraz pustą kopertę zaadresowaną w ten sam sposób. Jej zawartość znikła, prawdopodobnie została zabrana. Otworzyliśmy dwa pozostałe listy. Były to dwa identyczne pisma. Prośby o wyjaśnienia w sprawie konkretnego zapisu, podpisane przez pana Thomasa Ciarke'a. Poprosiliśmy wydział o domowy adres pana Ciarke'a i kontynuowaliśmy misję.

O 4.10 przyjechaliśmy na 67 Frogmal Lane. Zastaliśmy kilka pomieszczeń oświetlonych i otwarte frontowe drzwi. Nie otrzymawszy odpowiedzi na kilkukrotne pukanie, weszliśmy do budynku i w salonie znaleźliśmy ciało Thomasa Ciarke'a. Został pozbawiony głowy. Brakowało też sporej ilości krwi, która prawdopodobnie została spożyta. Wydałem rozkaz agentowi Johnsonowi udokumentowania zdarzenia, a sam przeszukałem rezydencję z agentką Elliot.

Pozostałe pokoje na parterze i pierwszym piętrze były puste, bez śladów włamania. Agent Johnson dołączył do nas i szukaliśmy dowodów na istnienie poziomego podziemnego. Na tyłach głównego korytarza odkryliśmy drzwi prowadzące do piwnicy. Tam znaleźliśmy Bonnie Ciarke, Jamesa Clarke'a i Aleca Ciarke'a. Cała trójka była w szoku, ale fizycznie zdrowa. Poinstruowaliśmy ich, aby zostali na miejscu, zawiadomiliśmy miejscową policję, zakończyliśmy dokumentację i oględziny miejsca.

Opuszczając rezydencję, otrzymaliśmy listę współpracowników pana Bathursta. Było na niej jedno nazwisko - dziennikarza Kevina McKenny. Udaliśmy się pod ostatni znany adres pana McKenny przy 62A Kilburn Lane. Byliśmy na miejscu o 7.00 i nawiązaliśmy kontakt.

Poinformowaliśmy go, zgodnie z ustaloną wersją, że niedawno zwolniony więzień, żywiący urazę do pana

Bathursta, może próbować się z nim porozumieć. Nakazaliśmy mu w takiej sytuacji natychmiastowy kontakt z policją. Oczekujemy na dalsze instrukcje.

KONIEC.

PRAWDA LUB KONSEKWENCJE

Jamie wszedł do wydziału inwigilacji i zastał oczekującą na niego Kate Randall. Stała przy drzwiach prowadzących do siedziby WZOB. Uśmiechnęła się, kiedy podszedł, a on z trudem oparł się chęci uściskania jej.

- Jesteś gotów? - spytała.

- Pora mogłaby być odpowiedniejsza - odparł. - Ale przynajmniej będziemy mieli to już z głowy.

- To rutynowe przesłuchanie - zapewniła Kate. - Odpowiadaj szczerze, a wyjdiesz stamtąd w okamgnieniu.

- Nie widzę problemu - odparł. - Prowadź.

Kate skinęła głową i wcisnęła sekwencję cyfr na panelu kontrolnym przy drzwiach. Te otworzyły się w serii ciężkich stuków i Jamie wszedł za przyjaciółką do środka. W recepcji siedział agent za niewielkim biurkiem. Spojrzał na Jamiego i skinął głową. Jamie odpowiedział mu tym samym, po czym wszedł do pokoju przesłuchań. Kate zamknęła drzwi i gestem wskazała na krzesło po przeciwnej stronie pokoju. Usiadł na nim i poczuł się nieswojo, podczas gdy jego przyjaciółka mówiła coś cicho do swojego radia.

Kilka chwil później drzwi znów się otworzyły i do środka weszło dwóch agentów. Nie odzywając się, zaczęli umieszczać sensory na piersi i szyi Jamiego. Wydawało się, że nawet nie chcieli na niego patrzeć.

- Co to? - spytał Jamie.

- Standardowy wykrywacz kłamstw - odparła. - Nie ma się czym przejmować. Wrócę za kilka minut i zaczniemy.

- Nie spiesz się. Poczekał tutaj. - Uśmiechnął się. Wychodząca z pokoju Kate odpowiedziała mu tym samym.

Kate wyszła do salonu WZOB. Paul Turner spojrzał na nią znad kopii dokumentów Jamiego. Jak na kogoś, kto był agentem od niecałego roku, akta wydawały się zadziwiająco grube.

- Trzy minuty - powiedziała Kate. - Przynajmniej to powinno nam pójść szybko.

- Zobaczymy - rzekł Turner i powrócił do czytania akt.

Technicy przytwierdzili ostatni sensor do skóry Jamiego i wyszli z pokoju, zostawiając go samego. Próbował wygodnie usadowić się na krześle, ale szybko porzucił starania. Meble w pokoju najwyraźniej nie zostały wybrane z myślą o relaksie. Serce mu waliło, więc skupił się na tym, by zachować spokój. Oddychał powoli i głęboko. Wzrok utkwiał w podłogę i myślał o tym, o co może zapytać go Kate.

Paul Turner zamknął teczkę i zaprowadził Kate do małego przedpokoju WZOB. Otworzył drzwi do pokoju przesłuchań i przytrzymał je dla dziewczyny. Odetchnęła głęboko i weszła do środka. Jamie uśmiechnął się, chociaż nie wyglądało to całkiem szczerze. Ona również posłała mu uśmiech w nadziei, że to go trochę uspokoi. Zajęła miejsce przy biurku. Paul Turner zamknął za nimi drzwi i zajął miejsce obok Kate.

„Dziesięć minut - myślała. - Tak, to dziwne i krępujące. Bądź zawodowcem i załatw to najszybciej, jak to możliwe”.

- Poruczniku Carpenter - zaczął Paul Turner. - Czy rozumie pan wagę procesu, który porucznik Randall i ja przeprowadzamy?

- Tak, sir - odparł Jamie i spojrzał na Kate z dumą. - Rozumiem.

- Doskonale. Bądź szczerzy, a szybko to skończymy.

Jamie przytaknął. Kate odczekała chwilę, odchrząknęła i

rozpoczęła przesłuchanie.

- Przesłuchanie WZOB numer 068. Oficer prowadzący: porucznik Kate Randall, NS303, 78-J, w obecności majora Paula Turnera, NS303, 36-A. Proszę się przedstawić.

- Jamie Carpenter.

Zielone.

- Proszę błędnie odpowiedzieć na następne polecenie - rzekła Kate. - Proszę podać swoją płęć.

Jamie się uśmiechnął.

- Jestem kobietą.

Czerwone.

- W porządku. Zaczynajmy. Panie Carpenter, czy jest pan obecnie porucznikiem Departamentu 19?

-Tak.

Zielone.

- Czy rozumie pan, że każdy aspekt pańskiej działalności w Departamencie 19 jest utajniony na poziomie „tajne” lub wyższym?

-Tak.

Zielone.

- Czy rozumie pan, dlaczego opinia publiczna nie powinna wiedzieć o naszym istnieniu?

-Tak.

Zielone.

- Czy zrobił pan kiedyś coś, by zagrozić takiemu stanowi rzeczy?

Jamie zamilkł na dłuższą chwilę.

- Tak - powiedział wreszcie.

Zielone.

- Proszę wyjaśnić poprzednią odpowiedź.

- Zezwoliłem, aby helikopter Departamentu wylądował na ulicy mieszkalnej w Paryżu.

Zielone.

- Dlaczego podjął pan taką decyzję, poruczniku?

- Pułkownik Frankenstein był ranny i w stanie, który przyciągnąłby uwagę. Nie mieliśmy czasu na dotarcie do wyznaczonego punktu zbornego.

Zielone.

- Czy rozważył pan ewentualne następstwa tej decyzji?

-Tak.

Zielone.

- Do jakich wniosków pan doszedł?

- Że życie pułkownika Frankensteina jest warte takiego ryzyka.

Zielone.

Kate uśmiechnęła się w duchu. To był pierwszy incydent w aktach Jamiego zaznaczony przez wydział inwigilacji, chociaż Jamie opisał to szczegółowo w swoim raporcie. Ucieszyła się, słysząc, że postanowił wziąć wszystko na klatę.

- Poruczniku Carpenter - kontynuowała - czy brał pan udział w akcjach mających na celu zniszczenie Departamentu lub utrudnianie jego działania?

- Nie.

Zielone.

- Czy przekazał pan kiedyś informacje dotyczące Departamentu osobie, która nie była jego członkiem?

-Tak.

Zielone.

- Komu?

- Mattowi Browningowi.

Zielone.

- Proszę wyjaśnić. Jamie odchrząknął.

- Kiedy Matt obudził się ze śpiączki, powiedziałem mu, gdzie był, i trochę na temat tego, co tu robimy. Stwierdził, że chce pomóc, a ja odparłem, że jeśli mówi poważnie, powinien spróbować ponownie się tu dostać.

Zielone.

Kate czuła, że napięcie powoli ją opuszcza. Incydent

dotyczący Matta był drugim najpoważniejszym zarzutem w aktach przyjaciela. Cieszyła się, że bez oporów wszystko wyjaśnił.

- Dlaczego przekazał pan tajne informacje cywilowi? - spytała.

- Nie wiem. - Na twarzy chłopaka pojawił się rumieniec. Kate uznała to za zakłopotanie na myśl o tym, jak postąpił.

Albo była to złość. Jeśli tak, miała nadzieję, że nie była jej przyczyną.

- W Matcie dostrzegłem coś, co sprawiło, że mu ufałem. Wierzyłem, że udaje amnezję, co oznaczało, że był już świadom istnienia wampirów i na własne oczy widział agentów. Ale przede wszystkim wierzyłem w to, że jego chęć pomocy jest szczerą.

Zielone.

- Czy był pan świadom tego, że przekazując Mattowi Browningowi tajne informacje, złamał pan kilka zakazów Departamentu?

-Tak.

Zielone.

- Poruczniku Carpenter, czy kiedykolwiek planował pan zaszkodzić Departamentowi ?

- Nie.

Zielone.

- Czy rozmawiał pan na temat Departamentu z istotami nadnaturalnymi poza granicami wyznaczonymi przez rozkazy zwierzchników?

- Nie.

Zielone.

- Czy zawiódłby pan kiedykolwiek zaufanie Departamentu?

- Nie.

Zielone.

- Czy zdarzyły się sytuacje, kiedy mógł pan narazić bezpieczeństwo Departamentu, umyślnie lub nie?

-Tak.

Zielone.

- Proszę wyjaśnić.

- Matt mógł powtórzyć innym to, co mu zdradziłem - rzekł Jamie. - Dzięki informacjom, które mu przekazałem, mógł zniszczyć Departament. Ale mógł też zadawać kłopotliwe pytania.

Zielone.

- Jeszcze jakieś incydenty?

- Nie.

Zielone.

Kate odetchnęła.

- Dziękujemy, poruczniku Carpenter - powiedziała. - To już...

- Poruczniku - wszedł jej w słowo Paul Turner. Spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Tak, sir? - odparł Jamie. Przenosząc wzrok na oficera bezpieczeństwa, nieznacznie zmrużył oczy.

- Czy uważa się pan za potomka założycieli? - spytał Turner.

Jamie się zdziwił.

- Nie rozumiem, co to ma do...

- Proszę odpowiedzieć, poruczniku.

- Tak - odparł chłopak po dłuższej chwili. - Uważam się za potomka założyciela.

Zielone.

- Czy uważa pan, że jest lepszy od reszty agentów Departamentu?

- Oczywiście, że nie - powiedział Jamie. Zaczynał się gotować ze złości.

Zielone.

- Czy jest pan dumny z bycia potomkiem założycieli?

-Tak.

Zielone.

- Dlaczego?

- Kate. - Jamie spojrział na przyjaciółkę. - Czy to naprawdę...?
- Poruczniku Carpenter - napomniał Paul Turner niskim głosem - proszę skupić swoją uwagę na mnie, gdy do pana mówię. I proszę odpowiedzieć na pytanie.

Jamie patrzył na oficera bezpieczeństwa z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Niech będzie - powiedział wreszcie. - Jak brzmi pytanie?

- Dlaczego czuje pan dumę, że jest pan potomkiem założycieli, poruczniku Carpenter?

- Ponieważ jestem dumny z tego, jakimi ludźmi byli moi przodkowie - rzekł Jamie. - Jestem dumny z tego, co robili. Dzięki nim czuję, że jestem częścią czegoś wyjątkowego.

Zielone.

- Czuje się pan wyjątkowy?

- Nie to powiedziałem.

Zielone.

- Słyszałem, co pan powiedział. Czy czuje się pan wyjątkowy?

- Nie.

Zielone.

- Czy wini się pan za stan pułkownika Frankensteina?

-Tak.

Zielone.

- Proszę wyjaśnić.

- Gdybym zaufał mu, zanim poleciałem na Lindisfame, nie zostałby zaatakowany przez wilkołaka.

Zielone.

- Nie wie pan tego na pewno - odparł major Turner. - Nie uważa pan za aroganckie sądzić, że wszystko dzieje się z pańskiego powodu?

- Nie uważam, że wszystko dzieje się z mojego powodu.

Zielone.

- Czy chciałby pan, żeby pana matka nie była wampirem?
Długa, pełna napięcia cisza wypełniła pomieszczenie. Jamie

patrzył na Paula Turnera z palącą furią.

- Oczywiście, że tak - powiedział. Miał wrażenie, że ktoś wyrywa mu zęby.

Zielone.

- Chciałby pan, żeby pułkownik Frankenstein nie był likantropem?

-Tak.

Zielone.

- Czy kocha pan matkę?

- Paul - wtrąciła ostro Kate. - Przerwij to. - Była blada i miała szeroko otwarte oczy, ale Turner nawet na nią nie spojrział.

- Czy kocha pan matkę, poruczniku Carpenter?

- Tak - odparł Jamie z jadem. - Bardzo.

Zielone.

- I zrobiłby pan wszystko, żeby znów była człowiekiem, prawda?

- Nie.

Zielone.

-Nie?

- Nie - powtórzył Jamie.

Zielone.

- Dlaczego nie? Właśnie powiedział pan, że ją kocha. I to bardzo.

- Wiem, co próbujesz zrobić - warknął Jamie. - Masz się za sprytnego, prawda? Ale mylisz się. Kocham matkę bardziej niż kogokolwiek na świecie i codziennie żałuję, że pułkownikowi Frankensteinowi przydarzyło się to, co się przydarzyło. Ale nie zdradziłbym dla nich Departamentu, nieważne, co ktokolwiek by mi proponował.

Zielone.

- Dlaczego nie, poruczniku?

- Bo żadne z nich by tego nie chciało.

- Czy to jedyny powód?

- Nie.

Zielone.

- Co jeszcze?

- Ponieważ nie jestem zdrajcą, majorze Turner. To proste.

Zielone.

Przez kilka sekund można było odnieść wrażenie, że wszyscy w pokoju przesłuchań wstrzymali oddech. Powietrze zdawało się toksyczne i ciężkie od napięcia. Kiedy owo napięcie sięgnęło punktu, w którym wszystkim wydawało się, że nastąpi eksplozja, odezwał się Turner:

- Dziękujemy, poruczniku Carpenter. - Jego ton był całkiem spokojny. - To wszystko.

Jamie patrzył na oficera bezpieczeństwa, a potem powoli obrócił głowę i spojrzał na Kate. Czowała, że ze wstydu i złości płonie jej twarz. Nie potrafiła spojrzeć Jamiemu w oczy. Zawstydzona spuściła wzrok.

- W porządku - powiedział Jamie. - Dziękuję.

Paul Turner wstał i otworzył drzwi. Ponownie pojawili się technicy i zaczęli odłączać chłopaka od aparatury. Turner trzymał drzwi, czekając na Kate. Agentka powoli wstała i wyszła z pokoju, uważając, żeby nie spojrzeć na przyjaciela. Major Turner wyszedł za nią, otworzył drzwi do salonu i wszedł do środka.

- Jest czysty - zawyrokował, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły. - Kto następny? - Jego spokojny, konkretny ton był wkurzający.

- Co to miało znaczyć? - spytała Kate głosem pełnym złości.

Turner się odwrócił.

- Co takiego?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. - Zaczęła podnosić głos. - To! To wszystko o jego matce i o Frankensteinie. Dlaczego, do licha, o tym mówiłeś?

Turner spojrzał na nią i zdawało się, że dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej gniewu. Wyraz jego twarzy złagodniał.

- To nie było nic osobistego, Kate - powiedział. - Wiem, że porucznik Carpenter i ja nie zawsze się we wszystkim zgadzaliśmy, ale nie odczuwam pragnienia, żeby go dręczyć. Wiem, że on w to nie wierzy, ale taka jest prawda.

Major nalał sobie do kubka kawy ze stojącego na biurku dzbanka. Potem napełnił drugi dla Kate. Wzięła go bez słowa i czekała na dalsze wyjaśnienia.

- Zadaniem WZOB jest nie tylko znalezienie osób, które mogły już coś zrobić - rzekł, siadając na sofie i popijając kawę. - Chodzi też o przyszłość. Jednym z celów tego projektu jest ocena, czy którykolwiek z agentów może stanowić potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa. Każde z pytań, jakie zadałem Jamiemu, miało na celu ustalenie właśnie tego. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że był albo że mógłby zostać zdrajcą. Nie miałem wątpliwości, że przejdzie to przesłuchanie. Ale jego sytuacja daje okazję do szantażu lub zaproponowania układu, więc musiałem to zbadać. Tom Morris zdradził nas, ponieważ Alexandru był w stanie zaproponować mu coś, co było dla niego ważniejsze niż Czarny Filtr. Nie miało znaczenia, że nie mógł się wywiązać z tej obietnicy. Są rzeczy, które nasi wrogowie mogliby zaproponować Jamiemu, a których on mógłby desperacko pragnąć, dlatego musiałem się upewnić, że wiemy, co to takiego.

- Rozumiem, sir - odparła Kate. - Ale to mi się nie podoba.

- Mnie też nie - przyznał Turner. - Uprzedzałem cię, że nas za to zniechęcą. Myślałaś, że żartowałem?

- Nie - westchnęła. - Wiedziałam, że nie. Turner uważniej się jej przypatrywał.

- Przed lunchem mamy jeszcze trzy przesłuchania - powiedział. - I osiem po południu. Jak z nimi skończymy, masz sobie zrobić wolny wieczór. Naprawdę wolny, rozumiesz? Idź do mesy pobiegaj, wyśpij się. Rób, co chcesz, pod warunkiem że nie będzie to miało nic wspólnego z pracą. A teraz idź się przygotować. Za dwadzieścia minut zaczynamy

następne przesłuchanie

Kate skinęła głową i podeszła do drzwi. Zamierzała pojechać na poziom zero i odetchnąć świeżym powietrzem, może nawet przejść się chwilę. Dlatego jęknęła, kiedy recepcjonista zawołał ją w chwili, gdy kładła dłoń na klamce.

- Tak? - Odwróciła się.

- Ktoś chciał się z tobą zobaczyć - oznajmił agent z przeproszającą miną. - Powiedziałem jej, że jesteś zajęta, ale chciała poczekać. Przepraszam.

- W porządku. - Kate zmusiła się do uśmiechu. - Pójdę do niej. I tak potrzebuję przerwy.

Na poziomie niżej ciemna postać czaiła się w kwaterze 261.

Na podłodze leżała plastikowa rura wypełniona dokładnie odmierzoną mieszanką etanolu i nawozu dla roślin. Była to kombinacja znana grupom terrorystycznym na całym świecie. Z metalowego statywu zwisały ładunki wybuchowe z sześciu ręcznych granatów, ostrożnie rozłożone w przezroczystym płynie. Kable biegły z nich do prostego zapalnika - kawałka miedzi na zawiasie, który zamknie obwód elektryczny, pozwoli elektryczności przepłynąć i odpali zapalniki. Spust był przytwierdzony do słuchawki radia. Kiedy wykryje konkretny ładunek w atmosferze, odczeka trzy sekundy i zamknie obwód.

Ciemna postać uzbroiła urządzenie i włączyła odbiornik. Potem wysunęła się cicho z pokoju i umknęła długim korytarzem.

Dziewięćdziesiąt minut później drzwi windy na poziomie B się otworzyły.

Korytarz przed nią był długi i zakręcał. Dotarcie do drzwi zajęło jej kilka minut. Dosunęła plastikową kartę

identyfikacyjną do wbudowanego w ścianę panelu i usłyszała długie piknięcie, które oznaczało, że drzwi zostały otwarte. Zatrzymała się na chwilę, rozważając, nie po raz pierwszy, jak dziwne w ostatnich miesiącach stało się jej życie.

Pchnęła drzwi. Oślepiające białe światło zalało jej oczy, a fala gorąca i huk rzuciły ją na przeciwległą ścianę korytarza. Wszystko pochłonęła ciemność.

WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZĘŚĆ 3

NUEVO LAREDO, MEKSYK
WCZORAJ

- Larisso. - Głos dobiegał z oddali. Płynął w jej kierunku z otaczającej ją pustki.

Poczuła na języku smak miedzi i wróciła do siebie. Pod sobą miała twardy grunt. Zmusiła się do otwarcia oczu. Ciemny kształt wypełniał jej pole widzenia. Dopiero po chwili wzrok nabrał ostrości. Tim Albertsson patrzył na nią ze zmartwioną miną.

- Tim?

- Jesteś cała. - Ulga zmiękczyła rysy jego twarzy. - Nic ci nie będzie, nie martw się. Już w porządku.

Za nim dostrzegła resztę członków oddziału specjalnego. Zebrali się przy swoim dowódcy i przyglądali wampirzycy. Oparła się na łokciach i rozejrzała. Leżała na ciepłej trawie w otoczonym murem ogrodzie. Nad nią wisiało nocne niebo. W powietrzu unosił się gęsty, miedziany zapach krwi. W jednej chwili wszystko do niej wróciło.

„Dziewczęta. Rejon. Karabin”.

Poczuła narastającą w sercu panikę. Spojrzała w dół. Jej uniform był poszarpany, rozdarty przez strzał z karabinu. Ale pod skrawkami materiału dostrzegła jedynie skórę na brzuchu, bladym i płaskim. Dotknęła go niepewnie i wyczuła pod palcami twardą powierzchnię.

- Co się stało? - spytała. Miała ochotę zapłakać z ulgi.

- Zemdląłeś - powiedział Tim z uśmiechem. - Miałeś w ciele wielką dziurę, Larisso. Nigdy niczego takiego nie widziałem... Nikt z nas nie widział. Mogliśmy spojrzeć przez ciebie na wylot.

- Uroczko - skwitowała cicho.

- Na szczęście Rejon zostawił na barze lodówkę pełną krwi - wyjaśnił Tim, unosząc dwie puste plastikowe butelki. - Wlałem ci ją do ust. Byłaś nieprzytomna, ale połknęłaś. To pewnie odruch. A potem...

- Dziura po prostu zarosła - dokończyła Flaherty z zadumą.

- Wszystko odrosło. Kości, organy, mięśnie i skóra. Zupełnie jakby nic się nie stało.

- Tak - rzekła Larissa. - Tak to się dzieje.

- Ten strzał powinien był cię zabić - zauważył Tim.

- Ale nie zabił. - Larissa stanęła niepewnie na nogach i uśmiechnęła się do kolegów. - Wierście lub nie, ale miewałam gorsze urazy. - Przypomniała sobie wrażenie płonienia żywcem, kiedy ultrafioletowe bomby eksplodowały w Pętli w chwili, gdy wydawało się, że atak Valeriego Rusmanova zakończy się jego zwycięstwem.

- Chryste - jęknął Rushton. Patrzył na nią z miną zdradzającą niemal adorację. - Nie chciałbym tego widzieć.

Larissa uśmiechnęła się szerzej.

- To nie był ładny widok.

Tim też się uśmiechnął i zespół wyraźnie się rozluźnił. Teraz, kiedy już minął niepokój ojej stan, mogli świętować sukces misji.

- Wynośmy się stąd - powiedział Tim. - Flaherty, weź Rushtona i Riosa, idźcie na dół i posprzątajcie. Nie chcę, żeby został choćby jeden ślad naszej obecności. Potem udajcie się na górę drogą, którą przyszliliśmy, i zwolnijcie Frost z posterunku. Widzimy się w holu za cztery minuty.

- Tak jest, sir. - Flaherty poprowadziła Rushtona i Riosa na dół przez improwizowany tunel ewakuacyjny Rej ona.

W chwili, kiedy znikli, Tim podszedł do Larissy, ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

Przez moment była zbyt zdumiona, żeby zareagować. Jego usta napierały na jej wargi i poczuła, jak w kącikach oczu znów wzbiera gorąco. Potem rozsądek wziął górę i odepchnęła go mocniej, niż to było konieczne. Tim zatoczył się do tyłu, ale szybko odzyskał równowagę. Spojrzał na nią z zaróżowionymi policzkami.

- Nie rób tego - ostrzegła go niskim głosem.

- Przepraszam, przykro mi - odparł, przyglądając jej się głodnym spojrzeniem. Oddychał szybko i nieregularnie, a w oczach miał iskry. - Właściwie to nie. Nie jest mi przykro. Ani trochę.

- A powinno być - rzekła Larissa. - Ale mam to w nosie. Po prostu więcej tego nie rób.

- Dobrze - obiecał, ale nie odwrócił wzroku. Intensywność jego spojrzenia sprawiła, że wampirzyca poczuła w żołądku narastające ciepło. Szybko je zdławiła.

„Chryste. O czym ty w ogóle myślisz, Larisso?”.

- Czy to będzie stanowiło problem? - spytała najspokojniej, jak tylko umiała.

- Nie dla mnie - odparł Tim. - Ale za ciebie się nie wypowiadam. „Arogancki palant”.

- Świetnie. - Z trudem trzymała emocje na wodzy. - W takim razie pora wracać do domu.

- Ruszajmy - zgodził się Tim z szerokim uśmiechem.

ZZA GROBU

WAPPING LONDYN

Schodząc do garażu pod siedzibą „The Globe”, Kevin McKenna był w okropnym nastroju.

Dzień zaczął się od wizyty w jego domu policji, która ostrzegła go, że więzień, uciekinier z zakładu, może próbować się z nim skontaktować. A zakończył się wezwaniem tuż po piątej do gabinetu redaktora - typowa zasadzka na koniec dnia. Wyczuł ją na kilometr. Usłyszał, że chociaż dwa artykuły, które złożył dzień wcześniej, były równie ostre i prymitywne jak zawsze - dwa przymiotniki uważane przez Colina Burtona za komplementy - to naczelny nie mógł ich przyjąć. McKenna spytał czemu, chociaż znał odpowiedź.

- Bo twoja gwiazda przygasła, Kev - odparł Colin. - Wiem, że kiedyś byłeś wielki i że znów chciałbyś taki być, ale nie jesteś. Już nie pracujesz dla „The Gutter”, tylko dla mnie. A moi czytelnicy mają w nosie takie brednie. - Podniósł jeden z artykułów zatytułowany *Chałupnicza sztuka zalewa Moskwę* i pomachał nim przed nosem dziennikarza. - Celebryci, gołe cycki, plotki, zbrodnia, piłka nożna. To na nich zarabiamy. Zrozumiano?

- Tak - odparł Kevin. - Wybacz, szefie.

- W porządku - powiedział redaktor i westchnął. - Warsztat masz świetny, temu nie przeczę. Ale nasi czytelnicy mają w nosie dobre pisarstwo i już pod koniec pierwszego akapitu będą ziewać ze znużenia. Podrasuj to trochę. Pokaż blond

artystki Bez bluzek, przemoc rosyjskich gangów czy coś w tym stylu. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparł McKenna. Zaczynał czuć obrzydzenie do samego siebie. - Zajmę się tym. Na razie, Col.

Kiedy pisał te artykuły, wiedział, że nie nadają się do „The Globe”. Za bardzo przypominały jego wcześniejsze dokonania. Już dawno zrezygnował z próby przepchnięcia tego typu materiałów przez biurko naczelnego. W pierwszym roku pracy za redaktora miał sympatycznego starego alkoholika Boba Hetheringtona. To on wziął Kevina na bok i poradził mu, żeby przestał zawracać sobie głowę.

- Nie potrzebuję nikogo, kto chce na nowo odkryć koło - powiedział. - Pilnuj tylko, żeby twoja zębátka się obracała. To twoja robota.

W następnych latach od czasu do czasu podrzucał jakiś materiał o modzie czy muzyce, ale nie walczył o nie i nie protestował, kiedy je odrzucano. Wiedział, że tak naprawdę pisał je dla siebie, w nadziei że ta resztká talentu, która mu jeszcze pozostała, szybko się rozwieje.

Kiedy McKenna wyszedł z windy do garażu, panowała w nim cisza. Podeszwy jego butów uderzały o betonową posadzkę. Filary, auta i słupki oddzielające miejsca parkingowe rzucały długie cienie w jaskrawym, żółtym świetle lamp. Był w połowie drogi do czarnego bmw, które kupił sobie po tym, jak dostał awans na stanowisko asystenta redaktora, kiedy zawładnęło nim przedziwne uczucie. Był pewien, że nie jest w garażu sam.

Zatrzymał się i nasłuchiwał.

Nic.

W garażu na sto dwadzieścia aut zaparkowano ich nie więcej niż tuzin. Ogromna przestrzeń prawie świeciła pustką. Ale mimo to można było tu znaleźć wiele kryjówek, w których sprytny złodziej lub zdesperowany ćpun mogliby się schować, gdyby chcieli zniknąć. Choćby w cieniu za filarami. Albo

kucając za samochodem.

- Halo! - zawołał. - Kto tutaj jest?! Cisza.

McKenna poczuł na plecach ciarki. Bał się. Wrażenie, że nie jest sam, było coraz silniejsze i nie odpuszczało.

Poczuł się odsłonięty i bezbronny. Rzucił się biegiem do auta. Dźwięk jego spanikowanych kroków odbijał się echem od ścian. Racjonalna część jego mózgu krzyczała, że jest tchórzem, ale ją ignorował. Skupił się na dotarciu do auta i zamknięciu się w środku. Chciał się odciąć od osoby, która kuciała za jednym z samochodów albo czaiła się za filarem, obserwując go uważnie i czekając.

McKenna wyjął kluczyki z kieszeni i nacisnął przycisk automatycznego zamka. Drzwi bmw otworzyły się z charakterystycznym pstryknięciem, głośnym i bardzo swojskim, ogłaszającym wszem i wobec jego pozycję i intencje. Chwycił za klamkę i już miał otworzyć drzwi i rzucić się do środka, kiedy poczuł na karku czyjeś zimne palce, które go uniosły.

Krzyknął długo i przeraźliwie, kopiąc nogami. Pęcherz nie wytrzymał i na spodniach Kevina pojawiła się ciepła plama wstydu i przerażenia. Potem był w powietrzu. Miał wrażenie, że jego ciało unosi się po tym, jak to coś, co go pochwyciło, rzuciło nim przez całą szerokość garażu. Obserwował zbliżającą się z dużą prędkością betonową posadzkę. Umysł sparaliżował strach. Zobaczył białe kulki porzuconej gumy do żucia, plamę oleju i leżący papierowy kubek po kawie. Potem uderzył o ziemię i poczuł w ramieniu przejmujący ból. Przesunął się po betonie jeszcze kilka metrów. Podeszwy jego butów piszczwały na podłożu.

McKenna zatrzymał się w stercie śmieci przy wyjściu awaryjnym, które wiodło schodami. Ramię zdawało się płonąć, a płuca były pozbawione powietrza. Pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jego panikującym umyśle, to przeczołgać się do schodów i uciec do biura. Ale popełnił błąd i spojrzał za

siebie. To, co zobaczył, sprawiło, że zmarł.

W jego kierunku, dobre dziesięć centymetrów nad ziemią sunął mężczyzna w eleganckim granatowym garniturze. Miał Wadą twarz i przerzedzone włosy, ale oczy lśniły mu niczym rozżarzone węgle, a jego usta były rozwarte w pełnym przyjemności uśmiechu.

„To nie jest prawdziwe! - krzyczał w duchu. - To nie może być prawdziwe! Nie może być!”.

Mężczyzna lekko przechylił głowę, a potem wyskoczył do przodu z prędkością, której McKenna nie potrafił ogarnąć. W jednej chwili był pięć metrów od niego, a w następnej jego ręce zaciskały się na połach marynarki dziennikarza i unosiły go bez wysiłku w powietrze. Próbował odwrócić głowę od okropnego czerwonego spojrzenia, które miał teraz kilka milimetrów przed twarzą, a potem krzyknął, gdy został przyszpilony do betonowej ściany garażu. Tyłem głowy walnął w nią mocno i jego wzrok się zmącił. Gdy mu przeszło, spostrzegł, że mężczyzna przygląda mu się niemal z ciekawością, w taki sposób, w jaki pająk mógłby obserwować złapaną w sieć muchę. Okropne oczy płonęły przerażającym blaskiem i McKenna poczuł, że świadomość znów go opuszcza. Jego rozum nie był w stanie przyswoić tego, co się działo, i postanowił się wyłączyć.

Dłoń mężczyzny pojawiła się znikąd i zdzieliła go w policzek. Uderzenie zabrzmiało jak wystrzał z broni palnej i rozeszło się echem po garażu. McKenna otworzył oczy, a jego usta utworzyły idealne „o”.

- Jesteś Kevin McKenna? - spytał mężczyzna. Dziennikarz patrzył na napastnika, czując, że w kącikach oczu wzbierają mu łzy. Nie był w stanie nic powiedzieć. Mężczyzna spoliczkował go po raz drugi, tak że krew wypłynęła z kącika ust, budząc mózg do działania.

- Tak - przyznał. - Jestem Kevin McKenna.

- Miło mi pana poznać - rzekł napastnik. - Czy otrzymał pan

kopertę od prawnika działającego w imieniu zmarłego Johna Bathursta?

„Boże. Dobry Boże”.

- Johnny? - spytał McKenna, uśmiechając się jak po spożyciu zbyt dużej ilości alkoholu. - Johnny... nie żyje?

Mężczyzna z czerwonymi oczami warknął. Dźwięk był gardłowy i zdawał się mieć swoje źródło gdzieś w jego głębi. Obnażył zęby. Dwa długie, ostre kły wysunęły się z dziąseł i zasłoniły zwykłe kły.

- Spytam ponownie, panie McKenna - powiedział. - A potem oderwę pańską twarz od czaszki. Czy otrzymał pan list?

Kevin McKenna z trudem zapanował nad strachem, większym niż jakikolwiek, który poznał w życiu. „To prawda - szeptał jakiś głos w jego głowie. - To, co Johnny ci przysłał. To prawda”.

- Tak - powiedział łamiącym się głosem. - Dostałem list... od Johnny’ego.

Mężczyzna uśmiechnął się wesoło.

- Znakomicie - rzekł lekkim, niemal beztroskim tonem prezentera telewizji śniadaniowej.

Puścił McKennę, który osunął się na stertę śmieci i rozplakał. Mężczyzna odsunął się i zaczął się mu przyglądać.

- Koniec kłamstw, panie McKenna - stwierdził. - Pomiedzy przyjaciółmi nie powinno ich być, a jestem pewien, że my dwaj się zaprzyjaźnimy. Pomóc panu wstać?

Kevin starał się odzyskać panowanie nad sobą i powstrzymać płacz, który zaczynał się przeradzać w histerię. Nie udało mu się, ale zdołał skinąć głową. Mężczyzna zbliżył się i z uśmiechem podał mu szczupłą, bladą dłoń. Po dłuższej chwili Kevin ją ujął. W głowie słyszał alarm i ostrzeżenie. Ale mężczyzna pociągnął go lekko i pomógł złapać równowagę. Stał na niepewnych nogach, oddychając gwałtownie z powodu szlochu wciąż wstrząsającego jego ciałem, i spoglądał w oczy, których żar znacznie przygasł.

- Doskonale - powiedział mężczyzna. - Żadnych złamań, co? Jestem Albert Harker. Ustaliliśmy już, że pan nazywa się Kevin McKenna. Czyli już się znamy.

McKenna ponownie przytaknął. Łzy powoli schły, a ból ramienia znacznie zelżał. Jego wstrząśnięty umysł wciąż starał się pozbierać, ale zdołał ustalić najlepszy sposób postępowania.

„Rób, co ci to coś każe. Nie złość go. Rób, czego to coś zażąda”.

- Widzę, że nieco pana przestraszyłem - powiedział Albert Harker. - Za to mogę jedynie przeprosić. Może drink by pomógł?

- W porządku - przytaknął McKenna drżącym głosem.

- Znakomicie. Zatem jedziemy do pana.

ZA BLISKO DOMU

Matt Browning siedział przy biurku w laboratorium projektu Lazarus, kiedy głuchy łomot wstrząsnął Pętlą. Nastąpiła chwila pełnej zdumienia ciszy, a po sekundzie rozległ się alarm. Jego ogłuszający ryk rozchodził się echem pośród betonu i stali.

Matt zasłonił uszy dłońmi i skoczył na równe nogi. Pozostali członkowie projektu uczynili to samo. Na ich twarzach było strapienie. Rozglądali się, szukając kogoś, kto powie im, co mają robić. Matt rozumiał - jego koleżanki i koledzy byli naukowcami, doktorami, nie do końca rozumieli, jak niebezpieczna zrobiła się sytuacja poza murami laboratorium. On nie miał złudzeń. Prawie zginął z rąk wampirzycy, którą teraz nazywał przyjaciółką, pierwszy kierownik projektu Lazarus zamierzał go zabić, w czym przeszkodził mu Jamie, a z opowiadań przyjaciół wiedział, jak źle jest poza Pętlą. Kiedy jego współpracownicy zaczęli przekrzykiwać syrenę alarmową, zastanawiając się, czy poszedł generator, czy może ktoś niepowołany wszedł na teren bazy, Matt zachował dla siebie to, o czym wiedział, że było prawdą.

„To był wybuch. I to duży”.

Rozejrzał się po twarzach przestraszonych mężczyzn i kobiet, zastanawiając się, jak pomóc, lecz zamarł. Nigdzie nie dostrzegł Natalii Lenski.

Poczuł lęk i przeszył go chłód. Nie było powodu do paniki. Natalia mogła nie przebywać w laboratorium w danej chwili z wielu powodów. Ale coś w jego podświadomości, jakiś

pierwotny instynkt, podpowiadało mu, że to niepokojące.

Podbiegł do drzwi, ignorując zdenerwowane spojrzenia kolegów, i nacisnął klamkę.

Nic się nie stało. Zamek cyfrowy z boku nadal migał na czerwono.

Krzyknął z wściekłości i ponownie szarpnął klamkę, przekręcając ją, ciągnąc i uderzając w drzwi drugą pięścią. Czyjeś ręce złapały go za ramiona i obróciły. Matt stał twarzą w twarz i patrzył w zmartwione oczy profesora Karlssona.

- Uspokój się! - zawołał kierownik projektu, starając się przekrzyczeć hałas, tak by każdy go usłyszał. - Drzwi blokują się automatycznie! Już w porządku!

Matt odepchnął profesora.

- Gdzie jest Natalia?

Profesor odwrócił się i powiódł wzrokiem po zespole. Kiedy ponownie spojrzął na Matta, miał marsową minę.

- Nie wiem! - krzyknął. - Gdzie ona jest?!

- Nie wiem! - Matt wyjął radio zza paska.

Martwił się o dziewczynę, która w razie ataku byłaby kompletnie nieprzygotowana.

Jedna jedyna myśl przedostała się do jego świadomości: „Dzwoń do Jamiego. On będzie wiedział, co robić”.

Matt podniósł radio i spojrzął na wyświetlacz.

Był pusty.

Przekręcił włącznik kilka razy, ale sprzęt nie reagował. Znów krzyknął i rzucił nim o ścianę. Karlsson zdołał zasłonić twarz, kiedy odłamki popękanego plastiku wystrzeliły w powietrze. Potem chwycił Matta.

- Musisz się uspokoić! - krzyknął. - Jesteśmy tu bezpieczni!

- Fantastycznie! - zawołał Matt. - Ale co z Natalią?! Co z moimi przyjaciółmi?! Oni są tam, a my nie mamy pojęcia, co się, u licha, dzieje!

Cztery poziomy nad projektem Lazarus Jamie Carpenter leżał w swojej kwaterze, kiedy poziomem B wstrząsnął wybuch. Ściany jego niewielkiego pokoju zdrząły tak gwałtownie, że biurko się przewróciło, a teczki z raportami rozsypały się po podłodze.

Leżał na łóżku, wciąż wściekły po upokarzającym przesłuchaniu WZOB. Jego nienawiść do Paula Turnera, która zawsze kryła się gdzieś pod powierzchnią, zapłonęła mocniej niż kiedykolwiek. I chociaż wiedział, że druga seria pytań, ta niesprawiedliwa, wredna, mająca go rozzłościć, była dziełem oficera bezpieczeństwa, trudno mu było nie myśleć teraz o Kate z urazą i rozczarowaniem, które chwilowo przejęły nad nim kontrolę.

Wiedział, że to nie jej wina, ale stanowiła część tego przedsięwzięcia. Stanowiła połowę zespołu WZOB i nawet jeśli nie odpowiadała za to, co mu zgotowano w sali przesłuchań, jej próba powstrzymania Turnera była mało przekonująca. Kiedy powiedziała mu, że zgłosi się do wydziału wewnętrznego, kazał jej to przemyśleć. Wiedział, że ta decyzja nie przysporzy jej popularności. Teraz, kiedy miał za sobą ten urągający godności proces, uznał, że był zbyt łagodny.

„Oni nie tylko nie będą jej lubić - myślał z mieszanką niepokoju i złości. - Będzie o wiele gorzej. Wszyscy ją znienawidzą”.

Ta myśl wypełniała jego umysł, kiedy ogłuszający huk przedarł się przez poziom B. Jamie wyskoczył z łóżka. Pokój drżał, a jego dłoń instynktownie sięgnęła do glocka. Sekundę później, kiedy rozległ się alarm, krzyknął z irytacji, ale paraliż, który obezwładnił Matta i jego kolegów, jego nie dotknął. Nim pierwszy huk przeminął, Jamie był już na nogach i chwycił za klamkę drzwi.

Nic się nie stało.

Odwrócił się twarzą w stronę pokoju i opadł na kolana. Przeglądał rozrzucone papiery w poszukiwaniu kodu do

ominięcia zabezpieczeń, który Henry Seward dał jemu i Paulowi Turnerowi tej nocy, gdy Shaun Turner zginął, a sam Seward został porwany przez Valeriego Rusmanova. Znalazł laminowaną kartkę, podbiegł do drzwi, otworzył panel, który zawierał kontrolkę na wypadek nagłych sytuacji, i wstukał kod. Przez dłuższy moment pasek na dole panelu świecił na żółto i Jamie uwierzył, że uda mu się wyjść. Lecz po chwili panel znów zmienił się na czerwony. Chłopak z frustracją walnął pięścią w drzwi.

Bez sprawdzania wiedział, że radio i konsola nie będą działać. Protokół na wypadek jakiegokolwiek wewnętrznego ataku na Pętlę przewidywał kompletne odcięcie. Jedynie Paul Turner jako oficer bezpieczeństwa, oraz niektórzy członkowie wydziału bezpieczeństwa byli z tego zwolnieni. Niemniej sprawdził sprzęt i tak jak się spodziewał, zobaczył puste, martwe ekrany.

Przeszedł przez kwaterę z walącym sercem. Przecież baza nie mogła znów zostać zaatakowana. Bezpośredni atak Valenego i jego wampirów udał się tylko dlatego, że Rusmanov dysponował wiadomościami od Christophera Reynoldsa, pierwszego kierownika projektu Lazarus, który współpracował z najstarszym z braci Rusmanovów przez całe życie. To jego informacje umożliwiły wampirom przeniknięcie do bazy bez zagrożenia, że zostaną spostrzeżone. Lecz wszystkie systemy zostały zresetowane i wzbogacone o nowe funkcje. Dostęp do ich danych stanowił obecnie jedną z najbardziej strzeżonych tajemnic Czarnego Filtru. Gdyby ponownie ich zinfiltrowano, skutki byłyby niewyobrażalne.

Alarm ucichł. Zamiast syreny rozległ się znajomy głos, wzmocniony i nadawany przez głośniki umieszczone nad każdymi drzwiami w bazie.

- Uwaga - mówił Paul Turner. - Doszło do incydentu z naruszeniem bezpieczeństwa. Baza jest obecnie zamknięta. Proszę nie próbować opuszczać pomieszczeń, w których się

znajdujecie. Wydział bezpieczeństwa bada sprawę. Blokady zostaną zdjęte najszybciej, jak to będzie możliwe. Dziękuję.

Tamie czekał, aż znów rozlegnie się wycie syreny alarmowej. Gdyby tak się stało, włożyłby kask i ustawił dźwięki zewnętrzne na zero. Ale pół minuty później cisza w Pętli pozostała niezmacona, więc nalał sobie szklankę wody i usiadł na brzegu łóżka. Serce waliło mu jak oszalałe. Starał się ignorować głos, który pojawił się gdzieś na peryferiach świadomości.

Powtarzał mu, że wybuch brzmiał tak jakby rozległ się na tym poziomie, jakby odgłosy docierały z dalekiego końca korytarza.

Tam mieszkała Kate.

Paul Turner siedział sam w salonie WZOB, kiedy eksplozja wstrząsnęła podłogą pod jego stopami. Dziesięć minut wcześniej wysłał Kate na lunch, a sam czytał dokumenty agenta, którego przesłuchanie miało rozpocząć popołudniową rundę. Natychmiast poderwał się na nogi, odrzucił teczkę i chwycił za gałkę drzwi, która oczywiście się nie poruszyła.

Zaklął, wyjął kartę identyfikacyjną i przysunął ją do panelu obok drzwi. Jego pozycja oficera bezpieczeństwa pozwalała mu ominąć niemal każdą blokadę w Pętli. Plastikowy kwadrat zaświecił się na zielono w chwili, kiedy zawył ogłuszający alarm. Turner wyszedł z salonu i wszedł do recepcji. Siedzący za biurkiem agent patrzył na niego w zdumieniu, gdy przebiegł półokrągłą przestrzeń.

- Zostań tu - warknął.

Przesunął kartą przed panelem i z niecierpliwością czekał, aż ciężkie zamki ustąpią. Potem wszedł w chaos, który zapanował w wydziale wywiadu.

Agenci stali obok swoich biurów, krzycząc, gestykulując i próbując zagłuszyć syrenę alarmową. Monitory komputerów

były czarne. Turner z ulgą stwierdził, że w razie naruszenia zabezpieczeń w Pętli system komputerowy był automatycznie odcinany wszystkim oprócz agentów wydziału bezpieczeństwa, aby chronić terabajty ważnych informacji. Wziął swoją konsolę i zobaczył, że jej ekran się włączył.

„Dobrze. Doskonale”.

Idąc, zalogował się do systemu i zlecił ustalenie lokalizacji wybuchu i sporządzenie wstępnego raportu. Starał się ignorować wykrzykiwane pytania agentów wywiadu.

- Zostańcie na miejscach! - zawołał, sięgając do drzwi. - I, na miłość boską, zachowajcie spokój!

Jego konsola piknęła, kiedy wyszedł na korytarz poziomu A. Kliknął ekran i otworzył informacje, na które czekał.

WSTĘPNY RAPORT ZDARZENIA

WSTĘPNE WNIOSKI: Wybuch materiałów chemicznych (analiza spektralna w toku).

CHARAKTERYSTYKA: Wzrost temperatury wybuchu. Najwyższa zanotowana temperatura: 287 stopni Celsjusza. Silna fala uderzeniowa. Czas trwania: 1,09 sekundy. Zasięg: 112,2 metra.

ZNISZCZENIA: Powierzchowe uszkodzenie korytarza na poziomie B. Systemy zasilające na poziomie B: wyłączone (włączone zasilanie awaryjne). Kontrola atmosferyczna poziomu B: wyłączona (program awaryjny: awaria). System monitorujący poziom B: wyłączony (program awaryjny: awaria). Częstotliwość radiowa na poziomie ^A przerwana. System awaryjny działający na poziomie 46%.

OPANOWANIE SYTUACJI: Pożar ugaszony przez system halonowy.

LOKALIZACJA: Poziom B, kwatera 261.

Turner przeczytał raport i poczuł, jak narasta w nim furia. Bomba. Bomba w Pętli. Jak oni śmieli!? . Wpisał nowe polecenie, aby sprawdzić, kto zajmuje kwaterę 261 na poziomie B. System od razu wyświetlił informację.

MIESZKANIEC: Kate Randall (porucznik)/NS303, 78-J.

ZBYT DŁUGO W UŚPIENIU

KILBURN, LONDYN

McKenna przeszedł krótkim korytarzem łączącym jego kuchnię z salonem z czteropakami piwa w ręku. Opadł na fotel obok okna i otworzył kolejną puszkę.

- Więc ci, którzy odwiedzili mnie dzisiaj rano - powiedział, upijając długi łyk - nie byli z policji? To o nich opowiadałeś Johnny'emu. Tajny departament?

Albert Harker przytaknął. Siedział na sofie po przeciwnej stronie pokoju.

- Departament 19. Albo Czarny Filtr, jak o sobie mówią.

- Dlaczego przyszli do mnie?

- Na pewno byli w ostatnim miejscu zamieszkania pana Bathursta, znaleźli tę samą korespondencję i popytali, tak jak ja. A ponieważ jest pan jedynym spadkobiercą majątku pana Bathursta, założyli zapewne, że spróbuję się z panem skontaktować.

- Powiedzieli mi, że zwolniony więzień może próbować się ze mną skontaktować. I że powinienem zadzwonić po policję.

Harker się uśmiechnął.

- No oczywiście. Właśnie tak postępują, panie McKenna. Kłamią.

- Dlaczego?

- Żeby trzymać pana i wszystkich innych w niewiedzy pod pretekstem zapewniania wam bezpieczeństwa.

McKenna pił łąpczywie, patrząc wampirovi w oczy.

- Czego pan chce, panie Harker? - spytał. - Ma pan taśmę i transkrypt. A ja dam panu słowo, że nikomu o panu nie powiem. Nic innego nie mogę zaproponować.

Albert Harker uśmiechnął się szeroko.

- Panie McKenna, to jest dokładne przeciwieństwo tego, czego od pana oczekuję. Chcę, żeby świat dowiedział się o mnie i o takich jak ja. Chcę zdemaskować Czarny Filtr, wszystkie jego kłamstwa i morderstwa, i chcę, żeby to pan napisał artykuł, który raz na zawsze ujawni tajemnicę. Co pan na to?

- To obłąd - powiedział Kevin. - To najbardziej szalona rzecz, jaką w życiu słyszałem.

Po twarzy Harkera przemknął cień, a w kącikach oczu pojawił się szkarłat.

- To największy sekret w historii człowieka - powiedział niskim głosem. - Najwspanialszy materiał na wyłączność w dziejach dziennikarstwa, a ja go panu dam na srebrnej tacy. Oczekiwałbym większej wdzięczności.

„Wdzięczności? - pomyślał McKenna. - Jasne. W moim pokoju siedzi wampir. Prawdziwy, chodzący, gadający i oddychający wampir, który niecałą godzinę temu groził, że oderwie mi twarz od czaszki. I ja mam być wdzięczny? - Zmrużył oczy. - Wampir. Prawdziwy wampir. Bo one istnieją. Prawdziwy wampir. - Wbrew wszelkiej logice jego umysł zaczął dostrzegać możliwości. - Zapomnij o cyckach i zdradzających na potęgę celebrytach. Jest szalony, ale ma rację. To największy sekret w historii. A ty możesz być tym, który ujawni go światu”.

- To duży temat - przyznał ostrożnie. - W tym się z panem zgadzam. Ale musi pan wiedzieć, że nie ma żadnych szans, by ktokolwiek to opublikował. Siedzi pan na mojej kanapie, a sam ledwie wierzę w to, co widzę. Mój redaktor zabije mnie śmiechem, a potem zwolni moje zwłoki. I już nigdy nie dostanę poważniejszego stanowiska.

- Rozumiem pańskie wątpliwości - rzekł Harker. - I ma pan rację. Będziemy potrzebować czegoś więcej niż tylko słowa jednego człowieka, żeby przekonać opinię publiczną. Potrzebujemy dowodów, zeznań osób, które przeżyły spotkania z osobnikami mojego rodzaju albo z ludźmi chcącymi was przed nami chronić.

- Jak je zdobędziemy? - spytał McKenna. - Gdzie mielibyśmy znaleźć takie osoby?

Harker się uśmiechnął.

- Nie będziemy ich szukać, Keyinie. Sami do nas przyjdą, i to z własnej woli. Prowadzisz blog, prawda?

- Wiesz, czym jest blog?

- Byłem w szpitalu, Kevinie, a nie na Księżycu. Idea internetu jest mi znana. Masz blog czy nie?

-Tak.

- Doskonale. Opublikujesz post i napiszesz w nim, że poszukujesz ludzi, którzy stracili krewnych i przyjaciół, a którym grożono, żeby nigdy nie mówili o tym, co zaszło. Poprosisz o ich relacje o postaciach w czerni lub ludziach z czerwonymi oczami i ostrymi zębami. Zagwarantujesz anonimowość.

- Kiedy mam to zrobić?

- Natychmiast. Szkoda czasu.

McKenna przez chwilę rozważał plan wampira. Przede wszystkim stwierdził, że gdyby napisał post w taki sposób, jak radził Albert Harker, wszyscy by go wyśmiali. A ci, którzy by się nie śmiali, współczuliby mu. I wówczas, po raz pierwszy od dawna, odepchnął pogardę dla samego siebie i spojrzął prawdzie w oczy.

„Czym ty się, u licha, przejmujesz? Ludzie i tak już się z ciebie śmieją za twoimi plecami. Stałeś się pośmiewiskiem. A co gorsza, udajesz, że tak nie jest. Jesteś niczym. Nikim. Więc czemu przynajmniej nie odejdiesz z hukiem?”

Dopił piwo, otworzył kolejną puszkę i sięgnął po laptopa.

Leżał na stoliku, gdzie zostawił go rano, kiedy świat był zupełnie innym miejscem, mniejszym i bezpieczniejszym niż teraz.

Lecz przysłała mu do głowy okropna myśl.

- No więc napiszę ten post - zaczął powoli. - Powiedzmy, że osiągniesz to, czego chciałeś, i usadzimy drani. Co potem? Zabijesz mnie?

- Oczywiście, że nie - rzekł Harker, kładąc dłoń na piersi. - Nie jestem potworem, Kevinie. Nie mam zamiaru nikogo krzywdzić.

McKenna zaczął się śmiać, ale dźwięk bardziej przypominał chrząknięcie.

- Nie odniosłem takiego wrażenia, kiedy rzucałeś mną po garażu.

- Musiałem przykuć twoją uwagę - powiedział Harker. - A na wypadek, gdybyś odmówił, musiałem mieć pewność, że będziesz zbyt przerażony, by iść z tym na policję. Zapewniam, że nie chciałem cię skrzywdzić.

- Oczekujesz, że w to uwierzę?

- Mogę dać ci tylko swoje słowo. To, czy w nie uwierzysz, zależy wyłącznie od ciebie.

- A co by się stało, gdybym postanowił teraz stąd wyjść?

- Spróbowałbym cię przekonać, żebyś tego nie robił.

- A gdybym nalegał.

- Uniemożliwiłbym ci to.

- Jak?

- Przyjacielu. - Harker rozłożył dłonie w geście, który zapewne miał obrazować szczerłość. - Nie skupiajmy się na takich sprawach. Powiedzmy po prostu, że jesteśmy tutaj razem i mamy zadanie. Ważne zadanie, za którego wykonanie przyszłe pokolenia nam podziękują.

McKenna przypatrywał się Albertowi Harkerowi przez dłuższą chwilę. Starał się otrząsnąć ze strachu, który zagościł w jego sercu.

„Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - pomyślał. - Bywałem w towarzystwie brutalnych ludzi. Roztaczają wokół siebie specyficzną aurę. Taką samą, jaką roztaczasz ty”.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Zatem publikuję post. A co potem?

Harker się uśmiechnął.

- Potem czekamy.

- A jeśli nikt nie odpisze?

- Nie martw się - odparł wampir. - Jeśli będziemy musieli zrobić to sami, też mam plan. Ale sądzę, że to mało prawdopodobne, byśmy byli do tego zmuszeni. Wierzę, że nasze wołanie zostanie usłyszane.

McKenna otworzył laptopa, zalogował się i wszedł w panel administratora bloga. Już miał zacząć pisać, lecz zawahał się i zamarł z palcami nad klawiaturą.

- To dla ciebie ważne, prawda? - powiedział, patrząc na wampira. - Nie chodzi tylko o zemstę za to, co ci zrobili, ani o odegranie się na rodzinie? Naprawdę chcesz, żeby opinia publiczna wiedziała, co się dzieje.

Albert Harker patrzył na niego z wyrazem bezbrzeżnej determinacji.

- Nie mylisz się, przyjacielu - odparł miękko. - Zostałem uwięziony na prawie dekadę, bez jakiegokolwiek nadziei na odzyskanie wolności, przez ludzi, którzy działają niezależnie od prawa. Ale nie, nie chodzi mi o zemstę. To moja krucjata przeciwko wszystkiemu, co Czarny Filtr robił pod osłoną nocy, prowadzona w imieniu mężczyzn i kobiet, którzy zginęli, ponieważ nie wolno im było znać prawdy mogącej ich uratować. I obiecuję ci, Kevinie, tu i teraz, że nadejdzie dzień, kiedy z dumą będziesz mówił ludziom, że byłeś tu, gdy to się zaczęło.

McKenna skinął głową i zaczął pisać. Po raz pierwszy od bardzo dawna bez problemu znajdował słowa. Strach, który towarzyszył mu bez przerwy od chwili, kiedy wszedł do garażu

pod siedzibą „The Globe”, minimalnie zmalał. W jego miejsce pojawiło się coś innego, coś, co było mu już właściwie obce.
Ekscytacja.

TAM, GDZIE ZABOLI

Przez okropny moment Paul Turner nie mógł oddychać. Jego wzrok pozostawał utkwiony w ekran konsoli. Serce mu zamarło, a nogi zamieniły się w galaretę. A potem do głosu doszło wieloletnie doświadczenie. Wpisał kolejne polecenie, nakazując zlokalizować chip Kate Randall. Konsola przetwarzała dane, a Turner krzyczał w myślach, aby się pospieszyła. Po chwili otrzymał wynik.

Kate Randall (porucznik)/NS303, 78-J/CHIP
LOKALIZACYJNY NIEZNALEZIONY

Turner wsunął konsolę do paska i sprintem ruszył w kierunku klatki schodowej prowadzącej na poziom A.

„To nic nie znaczy - powtarzał sobie w myślach. - Monitoring na B nie działa. Jeśli tam jest, jej chip nie będzie widoczny. To nic nie znaczy”.

Biegł korytarzem. Jego buty uderzały o posadzkę, a dźwięk odbijał się echem od betonowych ścian. Paul Turner wyciągnął radio zza paska i wprowadził kod. Gdy zaświecił się mały kwadrat, major wpisał serię komend. Aktywował osłonę wydziału bezpieczeństwa. Dzięki temu mikrofony wszystkich jego agentów będą działały jako głośniki, nadając jego głos niezależnie od tego, czy są włączone, czy nie.

- Naruszenie bezpieczeństwa na poziomie B - powiedział. Nawet kiedy biegł, jego głos był spokojny. - Sekcje A, B i D, proszę wprowadzić protokół bezpieczeństwa Alfa 7. Sekcja C

stawi się na poziomie B przy kwaterze 261. Pełne wyposażenie medyczne i techniczne. Koniec przekazu.

Protokół Alfa 7 oznaczał, że trzy czwarte agentów wydziału bezpieczeństwa dzieliło się na dwuosobowe zespoły i obsta-
wiało najbardziej narażone miejsca w Pętli: halę przylotów,
laboratorium projektu Lazarus, kwatery tymczasowego
dyrektora i długą listę innych. Pozostała, czwarta część
agentów spotka się z dowódcą na miejscu eksplozji.

„W pokoju Kate. Tam, gdzie wybuchła bomba. W pokoju
Kate”.

Turner wiedział, że nie powinien myśleć w ten sposób. Cały
Departament może być w niebezpieczeństwie. Ta bomba
mogła stanowić jedynie początek większego ataku, więc los
jednego agenta nie powinien być w takim wypadku
priorytetem. Ale kiedy zatrzymał się przed drzwiami na klatkę
schodową i przyłożył identyfikator do panelu, nie potrafił
postrzegać sytuacji w tak obiektywny sposób.

„Nie ona. Każdy inny, tylko nie ona”.

Drzwi się otworzyły i major wbiegł na ewakuacyjną klatkę
schodową. Schody prowadziły wzdłuż zewnętrznego muru
przepastnej budowli w - jakby się mogło wydawać -
niekończącej się kolumnie betonowych stopni i zakreślały
pomiędzy każdym poziomem. Przeskakiwał trzy stopnie
naraz. Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy przyłożył
identyfikator do panelu i otworzył drzwi na poziomie B. Od
razu wyczuł dym oraz gorzki chemiczny zapach, który sprawił,
że w oczach pojawiły się łzy.

Syrena nadal wylał ogłuszającym dwutonowym dźwiękiem.
Turner zatrzymał się, zalogował się na konsoli do panelu
ochrony i ją wyłączył. Potem wziął radio i zalogował się na
ogólną częstotliwość bazy. Szedł powoli do północnego
korytarza poziomu B, mówiąc do radia, informując wszystkich

w Pętli, że mają pozostać na miejscach i czekać na dalsze instrukcje. Oficer bezpieczeństwa wiedział, że w niektórych sekcjach wybuchnie panika, ale to był nieunikniony skutek zamknięcia bazy. Musiał zatrzymać wszystkich tam, gdzie się znajdowali. Tylko wówczas on i jego zespół będą mogli robić, co do nich należy, i uniemożliwić ucieczkę potencjalnym wrogim agentom lub podejrzanym.

Raport ze zniszczeń mówił prawdę. Ogień wywołany przez eksplozję został ugaszony, ale dym, który się unosił, wciąż wisiał w powietrzu, paląc go w nosie i gardle. Kask zostawił w kwaterze na poziomie C, więc wyciągnął z paska terenowy zestaw przetrwania, wyjął maskę z filtrem powietrza i plastikowe gogle i je założył. Gogle nie rozwiały zalegającego dymu, ale chroniły jego oczy przed gryzącymi oparami, a maska odfiltrowywała wszelkie toksyny uwolnione podczas wybuchu.

Paul Turner szedł pośród dymu z glockiem w dłoni. Wątpił, by osoba odpowiedzialna za eksplozję znajdowała się w pobliżu. Miał pewność, że śledztwo wykaże, że bombę aktywowano automatycznie lub zdalnie. Ale nie chciał być nieprzygotowany, gdyby jego założenie okazało się jednak błędne.

Numery na drzwiach po lewej stronie były coraz wyższe: 235, 237, 239, 241. W miarę zbliżania się do numeru 261 dym gęstniał. Turner szedł cicho, płytko oddychając i wyostrając zmysły. Gdy usłyszał za sobą kroki, przywarł do ściany i wycelował glocka w stronę źródła dźwięku. Kilka chwil później grupa czarnych postaci stała się widoczna pośród dymu. Z każdym krokiem były coraz wyraźniejsze. Fioletowe wizjery kasków nadawały im znajomy anonimowy wygląd. Turner opuścił broń i stanął na środku korytarza.

- Melduje się sekcja C, sir - powiedział najbliższy agent. Głos tłumili filtry jego kasku.

- Bennett, to ty?

- Tak, sir - potwierdził agent.

- Świetnie - powiedział Turner. - Za mną. Pełna gotowość na wypadek obecności istot nadnaturalnych. Wszystkich innych chcę żywcem. Chcę natychmiast wiedzieć, jeśli coś się poruszy lub jeśli traficie na ślad termiczny. Jasne?

- Jasne, sir.

- Za mną.

Niecałą minutę później Turner zaczął dostrzegać zniszczenia opisane we wstępnym raporcie. Korytarz był poplamiony na biało w miejscach, gdzie system tłumienia ognia uwolnił chmury dwutlenku węgla. Poczerniały kawałek drewna leżał na środku przejścia, otoczony odłamkami gipsu i wygiętymi kawałkami metalu. Gruzu było coraz więcej, kiedy wraz z sekcją C minął kwatery 257 i 259. A potem się zatrzymali. Wejście do pokoju 261 przestało istnieć. Drzwi zostały wyrzucone na przeciwległą ścianę korytarza i leżały pod stertą gruzu. Większość ich drewnianej powierzchni rozpadła się w drobny mak, odsłaniając metalowy szkielet. Framuga została zniszczona, w ścianie pozostała dziura o bardzo nieregularnych kształtach. Z pokoju wydobywał się dym wraz z białą pianą, która zalewała korytarz.

- Chryste - powiedział Bennett. - Mam nadzieję, że w środku nikogo nie było.

Oficer bezpieczeństwa odwrócił się i spojrzał na niego. Miał ochotę zmiążyć mu gardło gołymi rękami, za karę, bo wymówił na głos to, z czego Turner zdał już sobie sprawę: jeśli Kate była w pokoju, kiedy bomba wybuchła, nie mieli szans na znalezienie jej żywej.

- Bennett, za mną - rozkazał, przywołując wszelkie pokłady opanowania, jakie jeszcze miał. - Pozostali sprawdzą resztę korytarza i wrócą. Odetnijcie obszar w odległości dziesięciu metrów od źródła eksplozji i sprawdźcie, co można zrobić z tym przeklętym dymem.

- Tak jest, sir - powiedział jeden z agentów sekcji C i

poprowadził kolegów korytarzem.

Bennett stał w milczeniu u boku przełożonego, twarzą do tego, co pozostało z wejścia do kwatery 261. Wyglądało na to, że uznał, iż najlepiej będzie trzymać głowę na kłódkę.

Paul Turner wziął głęboki oddech. Powietrze w korytarzu powoli się oczyszczało, ale ciemne wnętrza pokoju wciąż zasnuwały kłęby dymu i użytych chemikaliów. Sięgnął po latarkę i ją włączył. Żarówka roz błysła białym światłem.

- Ostrożnie - rzekł. - Niczego nie dotykaj.

- Tak, sir - odparł Bennett.

Turner skinął głową i wszedł do pokoju Kate Randall.

Mały pokoik został całkowicie zdewastowany.

Z szafy, biurka i stolika zostały drzazgi, które wystrzeliły w kierunku ścian i sufitu, pozostawiając w tynku zarysowania i dziury. Łóżko było połamane, rozerwane na strzępy i nadpalone zarówno przez wybuch, jak i przez pożar, który po nim rozgorzał i trwał, aż włączył się system halonowy. Czarny krater na samym środku podłogi sugerował, że właśnie tam umieszczono ładunek wybuchowy. Z samej bomby na pierwszy rzut oka nic nie zostało.

„Była doczepiona do drzwi - pomyślał Turner. - Dałbym sobie rękę uciąć. Ich otwarcie spowodowało uzbrojenie się bomby, a wybuch nastąpił sekundę lub dwie później. Chcieli mieć pewność, że znajdzie się w środku”.

Rozejrzał się po zdewastowanym pokoju. Ściany były spalone, podobnie jak podłogi i sufit. Miał wrażenie, że stoi w wielkim piecu. Pozostałości, które zatrzymały się na ścianach, były gęste, grudkowate i niemożliwe do zidentyfikowania. Mogły być organiczne albo nieorganiczne. Turner nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy to, na co patrzył, to zwęglone pozostałości Kate Randall.

- Sir, tutaj nikogo nie ma - zauważył Bennett. - Musimy

zabezpieczyć miejsce dla ekipy śledczej.

- Zaczekaj - powiedział. Nie był jeszcze gotów wychodzić.

Jeśli Kate znajdowała się w pokoju, kiedy bomba eksplodowała, i teraz rzeczywiście jest wszędzie wokół - na ścianach, podłodze i suficie - to będzie to ostatni raz, kiedy mają tak blisko. Technicy zbadają pokój, potem rozłożą go na części i kawałek po kawałku przeniosą do laboratorium, żeby poddać analizom chemicznym i spektralnym. To, co zostało po Kate, skończyłoby na płytkach Petriego i w słojach z różnymi okazami.

- Sir! - zawołał ktoś z korytarza, odrywając go od mrocznych myśli.

Odwrócił się w kierunku wielkiej dziury w ścianie. Sekcja C wróciła z rekonesansu i jej członkowie klęczeli teraz przy tym, co zostało z drzwi.

- O co chodzi? - spytał, podchodząc bliżej.

- Sir, ktoś tutaj jest - odparł agent. - Pod drzwiami.

Serce Turnera na moment zamarło. Przez chwilę patrzył na stertę gruzu przygniatającą poniszczone drzwi. Nie bardzo wiedział, co widzą jego oczy. Paraliż minął i major podbiegł, padając na kolana obok swoich ludzi.

- Oddycha? - spytał, zerkając na drzwi.

Pod nimi, przez szparę pomiędzy framugą a kawałem gipsu, dostrzegł bladą ludzką skórę.

- Wyczuwam puls, sir - potwierdził agent.

- Zdejmijmy to - polecił Turner i chwycił brzeg drzwi obiema rękami.

Jeden z agentów sekcji C złapał je z drugiej strony. We dwóch unieśli ciężką ramę i rzucili na podłogę. Chmura pyłu wzbiła się w powietrze. Turner gorączkowo rozgonił ją dłonią.

„Niech to będzie ona. Proszę, niech to będzie ona”.

Pył opadł i agenci stłoczyli się, by spojrzeć na ofiarę.

Na podłodze, pośród pokruszonego tynku i kawałków drewna, leżała drobna dziewczyna o jasnych włosach i bladej

skórze. Miała zamknięte oczy, a po ścianie tuż za nią spływała struga ciemnej krwi. Ale jej pierś unosiła się i opadała.

- Kto to jest? - spytał Turner.

Ogarnęło go przemożne uczucie rozczarowania, którego nigdy sobie nie wybaczy. Tak bardzo chciał zobaczyć Kate, że ujrzanie kogoś innego zabolowało go. To oznaczało, że Kate mogła być w pokoju, rozsmarowana po ścianach.

To oznaczało, że mogła nie żyć.

Jeden z agentów przyłożył konsolę do przedramienia dziewczyny i wpisał polecenie. Chip lokalizujący, który chirurgicznie umieszczano pod warstwą mięśni przedramienia każdego agenta, został zeskanowany. Na ekranie pojawiło się nazwisko.

- Nazywa się Natalia Lenski - powiedział agent. - Jest z Lazarusa.

- Co ona, u diabła, robiła na poziomie B? Agent pokręcił głową.

- Nie wiem, sir.

ZAGŁUSZANIE

HRABSTWO LINCOLN, NEVADA, USA
WCZORAJ

Larissa Kinley patrzyła na dziurę w ścianie i zastanawiała się, przed kim będzie musiała się tłumaczyć.

Przyszła do siłowni zaraz po powrocie oddziału specjalnego z Nuevo Laredo. Podróż helikopterem powinna się odbywać w atmosferze triumfu i dla większości grupy tak właśnie było. Pławili się w chwale dobrze wykonanej pracy, śmiali się i żartowali. Tim Albertsson przyłączył się do nich, ale Larissa ani przez moment nie wierzyła, że skupiał uwagę na kolegach z grupy i na tym co osiągnęli. Nie, jego uwaga kierowała się tam, gdzie była przez ostatnich kilka tygodni, tylko ona zbyt późno się zorientowała.

Skupiała się na niej.

Poprosiła o zgodę na samodzielny powrót do domu, choć wiedziała, że jej nie uzyska. Miała jednak nadzieję, że jej prośba wzmocni to, co już mu powiedziała na tyłach rezydencji Garcen Rej ona po tym, jak ją pocałował.

„Pocałował mnie. Oto, co się stało. Pocałował mnie, ale ja nie pocałowałam jego.

Tim nie wyraził zgody co było do przewidzenia, więc zajęła miejsce jak na dalej od niego i zapięła pasy. Nie wiać bo nie potrafiła przewidzieć z dostateczną dokładnością, jakie słowa padłyby z jej ust. Tim był albo bardzo przenikliwy, albo kompletnie nieświadomy, ale zostawił ją w spokoju. Kilka

razy złapała go na tym, że się jej przygląda. Były to drobne, szybkie spojrzenia, ledwie mrugnięcia, ale teraz, kiedy zdawała sobie z nich sprawę, wciąż je zauważała.

„Od jak dawna patrzy na mnie w ten sposób? Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegłam?”

W chwili, kiedy helikopter usiadł na asfalcie przed hangarem NS9, Larissa przeprosiła wszystkich i ruszyła do swojej kwatery. Gdy drzwi się za nią zamknęły, włączyła monitor, który wisiał na ścianie naprzeciwko jej łóżka, i załadowała aplikację z bezpiecznym łączem wideo. Usiadła z palcem nad guzikiem, który wysłałby na konsolę Jamiego informację, że od prawie pięciu minut próbuje się z nim skontaktować. W głowie kotłowały jej się setki myśli, a uczucia nakładały się jedno na drugie. A pośród tego wszystkiego, gdzieś z tyłu, słyszała głos, ten, którego nienawidziła, który mówił jej, że jest brzydka, głupia i wcale nie taka dobra. I ten głos szeptał:

„Może jednak zauważyłaś, jak Tim na ciebie patrzy? Może nic nie powiedziałaś, bo ci to nie przeszkadzało? Może lubisz, kiedy ktoś tak na ciebie spogląda?”

Odepchnęła od siebie te słowa najdalej, jak tylko mogła, i zamknęła aplikację. Potem zdjęła uniform, włożyła szorty i koszulkę i sunąc nad ziemią, udała się na siłownię.

„To nieprawda - powtarzała sobie, uderzając w ciężki worek treningowy. Hamowała się, ale i tak zaczął się gwałtownie kołysać. Jej kłykcie uderzały w niego z dźwiękiem przypominającym strzelanie z bicia. - Nie wiedziałam, że mu się podobam. Przysięgam. Nie zachęcałam go. Naprawdę”.

Ale uporczywy głos nie chciał zostawić jej w spokoju. Sącył truciznę do jej uszu, a ona coraz mocniej uderzała w worek.

„Dlaczego nie rozmawiasz z Timem o Jamie? Wszystkim innym wciąż o nim opowiadasz, nie potrafisz się zamknąć. Dlaczego z Timem jest inaczej?”

Worek kiwał się coraz bardziej, a łańcuch, na którym był podwieszony u sufitu, szczykał coraz głośniejsze.

„Nie zauważyłaś, że podczas obiadu zawsze siada obok ciebie? Oczywiście, że zauważyłaś, jesteś bystrą dziewczynką. Zauważyłaś i podobało ci się to, prawda?”.

Kłęby pyłu zaczęły przenikać przez szwy, kiedy jej pięść po raz kolejny trafiła w worek. Teraz stanowił niewiele więcej ponad czerwoną plamę przierzucaną w tę i we w tę przez nadnaturalną siłę.

„Dlaczego nie wspomniałaś Jamiemu o Timie? Pracujesz z nim prawie codziennie, odkąd tu przyjechałaś. Ale nigdy nie uznałaś, że warto wspomnieć o tym swojemu chłopakowi? Dlaczego nie chciałaś, żeby o sobie wiedzieli?”.

- Zamknij się - szepnęła, czując znajomy żar w kącikach oczu.

Ciężki worek przeskakiwał z jednej strony na drugą z ogromną prędkością. Czowała, jak mięśnie jej ramion napinają się z każdym mocniejszym ciosem.

„Może dlatego nie chcesz wracać do Czarnego Filtru? Może to nie ma nic wspólnego z tym, jak cię traktują i w jaki sposób na ciebie patrzą? Może dlatego zapytałaś generała Allena o możliwość przeniesienia tutaj Jamiego? Ponieważ wiesz, że on nigdy by się na to nie zgodził. Może właśnie na to liczysz, żebyś mogła zostać z Timem?”.

- Zamknij się! - krzyknęła gardłowo.

Dźwięk zdawał się dochodzić z głębi żołądka i wystrzeliwać ustami. Oczy błysnęły czerwienią w jarzeniowych światłach sali i poczuła, że kły poraniły jej dolną wargę. Zamachnęła się pięścią z siłą kuli wyburzeniowej. Łańcuch pękł i worek przeleciał przez całą długość sali, wybijając dziurę w ścianie i pękając w chmurze pyłu.

Gniew natychmiast ją opuścił. Patrzyła na dziurę, czując narastające zawstydyzenie. Na wierzch wypłynęło wspomnienie dawnych lat, z czasów, kiedy jeszcze nie musiała pić krwi. Zobaczyła czternastoletnią siebie, rzucającą szklanką o ścianę sypialni w przesadnej reakcji na jakąś

sprzeczkę z rodzicami. Nawet nie pamiętała jej powodu. Matka nie powiedziała wtedy nic, tylko patrzyła na nią z wyrazem tak wielkiego zawodu, że Larissa wybuchła płaczem i krzyząc, kazała jej wyjść ze swojego pokoju i zostawić w spokoju. Potem rzuciła się na łóżko i zasłoniła głowę poduszką. Nie mogła znieść spojrzenia mamy. Teraz czuła podobny wstyd, chociaż była jedna istotna różnica pomiędzy terażniejszością a tym, co zaszło, kiedy miała czternaście lat.

„Nie zrobiłam nic złego - myślała buńczucznie. - Kocham Jamiego i nigdy go nie zdradzę, ale to nie oznacza, że muszę mu wszystko mówić. Mam prawo do własnego życia i własnych przyjaciół. I niech szlag trafi tych, którzy myślą inaczej”.

Poczuła, że żar znika z jej oczu, i ciężko westchnęła. Pokrywała ją delikatna warstwa potu i nagle poczuła się zmęczona. Jej kości były ciężkie, skóra cienka i popękana. Idąc pod prysznic, zrozumiała, że musi coś zrobić. Musiała porozmawiać z Timem. Czuła się zobligowana powiedzieć Jamiemu, co zaszło, choćby z jednego prostego powodu. Widziała w spojrzeniu Tima, jasno i wyraźnie, że nadejdzie dzień, kiedy znów spróbuje ją pocałować. Chciała uniknąć takiej sytuacji z tego samego powodu, dla którego unikała wszystkich niebezpiecznych okoliczności - ponieważ nigdy nie możesz mieć pewności, co zajdzie w chwili zapomnienia.

Ponieważ pomimo najlepszych intencji złe rzeczy czasami po prostu się zdarzały.

WSTĘPNE WNIOSKI

Paul Turner z pośpiechem klikał ekran dotykowy swojej konsoli. Stał na środku korytarza na poziomie B. Wyglądem nie zdradzał nawet w najmniejszym stopniu wewnętrznych rozterek.

„No, dalej. Dalej”.

Ekran zamigotał, kiedy konsola wyświetliła wynik zapytania.

Jamie Carpenter/NS303, 67-J/B171

Matthew Browning/NS303, 83-C/B173

Kiedy unoszono drzwi, Turner poczuł, że zacznie panikować. Myśl o utracie Kate Randall, dziewczyny na które, zaczął polegać bardziej, niż miał nadzieję, że wiedziała, była niewyobrażalna. Ona stanowiła jego jedyny łącznik z Shaunem.

Widok Natalii Lenski, rannej, ale żywej, przepędził narastającą panikę, pozwolił mu odzyskać chłodny osąd i zmusić mózg do mniej więcej normalnej lub przypominającej normalną pracy. Emocje zostały zepchnięte na bok i zastąpię problemami, które trzeba było rozwiązać, i sytuacjami do opanowania. Najważniejsze było teraz złożenie raportu Calowi Holmwoodowi, ale oficer bezpieczeństwa nie na tym skupił swoją uwagę.

Kate Randall zaginęła. To uważał za swój priorytet.

Miał już pewność, że bombę zdetonowało otwarcie drzwi je, kwatery co oznaczało, że jej śmierć była wysoce

nieprawdopodobna. Drzwi zostały wypchnięte od środka i uderzyły w Lenski, która stała przed nimi właśnie w tym momencie. Nawet gdyby Kate stała za nią w chwili, gdy wybuch zniszczył jej pokój, szanse na to, że nie pozostał po niej najdrobniejszy ślad, zdawały się nikłe.

„Nie, dziewczyna z Lazarusa poszła do pokoju sama i aktywowała bombę. Bombę, która była przeznaczona dla Kate”.

To, dlaczego Natalia Lenski miała zamiar wejść do pokoju Kate, stanowiło pytanie na inną chwilę. Teraz odpowiedzi wymagało bardziej palące pytanie:

„Gdzie ona, do diabła, jest?”.

Jej chip nie pokazywał się na planie. Zakładając, że miał rację i nie zginęła, musiała być gdzieś na poziomie B, gdzie wybuch wyłączył systemy monitorujące. Poziom B był niemal w całości piętrem mieszkalnym i zwykle kwaterowano na nim ponad siedemdziesięciu agentów, chociaż po ataku Valeriego na Pętlę zostało ich tam mniej niż czterdziestu. Ale dwóch z tych, którzy pozostali, było najlepszymi przyjaciółmi Kate. Dwóch nastoletnich chłopców, o których numery pokoi właśnie poprosił.

„171 i 173. No właśnie. Mieszkają obok siebie”.

Turner ruszył korytarzem, powstrzymując się przed biegiem. Agenci sekcji C nie powinni widzieć, jak bardzo był zdenerwowany. Mijał identyczne drzwi po obu stronach korytarza, aż znalazł się przed tymi z numerem 173. Podsunął identyfikator do czarnego panelu na ścianie i usłyszał, że zamki się otwierają. W ostatniej chwili, kiedy właściwie już było za późno, zaczął się zastanawiać, czy sprawca podłożył bomby także w kwaterach przyjaciół Kate. Nie mógł się nadziwić, że popełnił tak podstawowy błąd. Ale drzwi stanęły otworem, ukazując nie kulę ognia, lecz niewielki pokoik zawałony teczkami i aktami. Łóżko okazało się jedyną powierzchnią niezasłaną chyboczącymi się stertami papierów

i było puste. Turner zamknął drzwi i poszedł do pokoju 171.

Pokój Jamiego Carpentera.

Otworzył zamek i tym razem dla bezpieczeństwa szybko zrobił trzy kroki w bok. Drzwi stanęły otworem i ze środka dobiegł go znajomy głos.

- Kto tam jest? Pokaż się.

Turner zdusił nieznaczny śmiech i pojawił się w otwartych drzwiach. Jamie stał pośrodku w rozkroku z pistoletem maszynowym MP5 opartym o ramię.

„Nastoletni chłopiec, który tu przybył, znikł. Na dobre lub na złe, ale już go nie ma”.

- Opuścić broń, poruczniku Carpenter - powiedział spokojnym głosem.

Jamie posłuchał rozkazu i major wszedł do niewielkiego pokoju. Od razu

sposzregł, że Kate Randall tutaj nie ma.

- Co się dzieje, sir? - spytał Jamie.

- Nic, czym powinienes się przejmować, poruczniku - odparł Turner. - Szukam porucznik Randall. Wiesz, gdzie może być?

Jamie zmarszczył brwi.

- Kate? Nie ma jej w wewnętrznym?

- Gdyby tam była, nie pytałbym cię, czy wiesz, gdzie może być.

- Nie wiem. - Jamie zmrużył oczy. - Sprawdzal pan jej chip?

- Oczywiście. Proszę zostać tutaj, dopóki nie otrzyma pan innego rozkazu, poruczniku Carpenter. - Po tych słowach skierował się do wyjścia.

- Hej! - krzyknął Jamie. Turner zatrzymał się i spojrzał na niego.

- O co chodzi, poruczniku?

- Dlaczego pan nie wie, gdzie jest Kate, sir? - Nie przejmuj się tym. Zostań tutaj. Postaramy się szybko zdjąć blokady.

- O nie, tym się nie zadowolę - rzucił Jamie ostro. - Odgłos wybuchu brzmiał tak, jakby to się stało na tym poziomie. Jeśli

coś przydarzyło się Kate, lepiej, żeby mi pan natychmiast powiedział, albo...

- Albo co, poruczniku Carpenter? - przerwał oficer bezpieczeństwa. - Co zamierzasz z tym zrobić?

Jamie przyglądał mu się i Turner poczuł zwyczajową mieszankę podziwu i irytacji, która wypełniała jego wnętrze za każdym razem, kiedy patrzył na syna Juliana Carpentera. I wtedy spojrzenie Jamiego złagodniało.

- Czy Kate jest cała i zdrowa, sir? - spytał. - Proszę mi powiedzieć. Czy coś się jej stało?

Na twarzy chłopaka malowała się taka troska, że Turner zaczął mu współczuć.

- Nie wiem, Jamie - odparł. - Ktoś umieścił bombę w jej pokoju, ale nie sądzę, żeby Kate była w środku, kiedy doszło do wybuchu. System nie odnajduje jej chipa, ale wybuch dezaktywował monitoring na tym poziomie, więc to jeszcze nic nie znaczy. Zakładam, że jest gdzie indziej.

Z każdym słowem majora Jamie coraz szerzej otwierał oczy.

- Bomba? - dopytywał. - W pokoju Kate? Turner przytaknął.

- Czy ktoś został ranny?

- Dziewczyna z projektu Lazarus.

- Co robiła w pokoju Kate? - pytał Jamie.

- Nie wiem, Jamie. Mogła podkładać bombę. Została zdetonowana około dziewięciu minut temu, więc nie mam jeszcze odpowiedzi na żadne z twoich pytań.

- Kate musi być na tym poziomie?

- To najprawdopodobniejsze wyjaśnienie.

- Sprawdzał pan obok, w pokoju Matta?

- Tak. Nie ma jej tam - odparł Turner.

Przez dłuższą chwilę Jamie wpatrywał się, jak się zdawało, w nic. Z jakiegoś powodu Paul Turner pozwolił mu dokończyć, chociaż wiedział, że powinien być już w drodze do Cala Holmwooda.

Potem Jamie uśmiechnął się smutno.

- Wiem, gdzie ona jest - powiedział.
- Gdzie? - spytał major. - Powiedz mi. Młody agent pokręcił głową.
- Pokażę panu.

Dwaj mężczyźni szli korytarzem poziomym B w całkowitej ciszy, aż Jamie zatrzymał się przed jednymi z setki identycznych drzwi. Turner odczytał numer wydrukowany na płaskiej powierzchni. 059.

Wydawał się taki znajomy. Patrząc na niego, zmarszczył brwi. Widział już kiedyś tę kombinację trzech cyfr, ale nie pamiętał gdzie. Narastało w nim wrażenie, że to ważne. Zrozumienie przyszło nagle i walnęło go jak cios w brzuch.

„To był pokój Shauna. 059. To był pokój mojego syna”.

Bez słowa przesunął identyfikator przed panelem. W żołądku poczuł ucisk, czuł krew tętniącą w żyłach, ale zapanował nad sobą i nie pozwolił, by zadrżała mu dłoń. Zamki odblokowały się i drzwi się uchyliły. Jamie stał nieruchomo, więc Turner pchnął je z sercem pełnym przerażenia i tęsknoty. Drzwi odbiły się od ściany niewielkiego pokoju i po chwili Paul Turner patrzył już na Kate Randall siedzącą na brzegu łóżka, które należało do jego syna.

Łóżko stało bez pościeli. Poza materacem niewiele już zostało. Reszta pokoju była równie pusta. Szafkę nocną i biurko opróżniono, podobnie szafę, a ściany odmalowano białą farbą. Kiedy wydział bezpieczeństwa zakończył obowiązkowe po śmierci każdego agenta dochodzenie, wszystko, co należało do Shauna, zwrócono jemu w jednym kartonowym pudełku. Zabrał je do domu do żony, postawił na stole i pozwolił jej obejrzeć zawartość. Nie był w stanie nic powiedzieć, aby złagodzić ten cios.

- Paul? Jamie? - rzekła Kate. - Co tutaj robicie? Co się dzieje? Słyszałam coś, co brzmiało jak eksplozja.

Przez chwilę Turner po prostu na nią patrzył. Potem podszedł do niej szybkim krokiem, podciągnął w górę i zamknął w niedźwiedzim uścisku. Kate odruchowo się zaśmiała, chociaż na jej twarzy malowała się niepewność.

- Hej - rzekła. - Już w porządku. Co się stało?

- Kate, podłożono bombę - powiedział Jamie łagodnie. Wciąż stał w drzwiach i obserwował scenę, która działała się na jego oczach, z mieszaniną szczęścia i zakłopotania. - Ktoś podłożył bombę w twoim pokoju.

- Co takiego? - Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. - Na miłość boską, Paul, puść mnie. Co się stało?

Turner wypuścił Kate z objęć z wyraźną niechęcią i zrobił krok do tyłu.

- Jamie mówi prawdę - wyjaśnił. - W twoim pokoju umieszczono ładunek wybuchowy. Ekspłodował, kiedy otwarto drzwi.

- Czy ktoś został ranny? - spytała.

- Dziewczyna z Lazarusza - powiedział Turner. - Nazywa się...

- Natalia Lenski - dokończyła Kate. - Chryste. Nic jej się nie stało?

- Wyjdzie z tego - stwierdził Turner i uśmiechnął się na widok ulgi na twarzy Kate. - Była na zewnątrz, kiedy doszło do wybuchu. Drzwi osłoniły ją przed główną falą uderzeniową.

- Dlaczego szła do twojego pokoju? - spytał Jamie. - Myślałem, że poza Mattem nie znasz nikogo z Lazarusza.

- Bo nie znam - odparła dziewczyna, ponownie siadając na łóżku. - Dzisiaj rano rozmawiałam z nią po raz pierwszy.

- Poruczniku Carpenter - rzekł Turner. - Poproszę cię o wyjście na chwilę na korytarz. To trwające śledztwo wydziału bezpieczeństwa. Przykro mi.

Jamie patrzył się na niego z niedowierzaniem.

- Pan żartuje?

- Nie, poruczniku - zapewnił major, wyjmując swój identyfikator. - Nie żartuję. Proszę wyjść.

Jamie przyglądał się oficerowi bezpieczeństwa przez dłuższą chwilę. Potem wstał i wziął z dłoni Turnera plastikową kartę. Przyniósł ją do panelu na ścianie i wyszedł na korytarz. Nim drzwi się zamknęły, rzucił Kate nieodgadnione spojrzenie.

- Co się stało? - spytał Turner, jak tylko usłyszał odgłos zamka.

Kate odetchnęła i zaczęła mówić.

Kate odetchnęła i otworzyła drzwi do WZOB.

Na zewnątrz, oparta o jedno z biurk wydziału wywiadowczego, stała drobna blondynka w białym fartuchu laboratoryjnym. Jej blada twarz była ściągnięta, a oczy szeroko otwarte i rozbiegane.

- Witam - powiedziała Kate, podchodząc do niej z wyciągniętą dłonią. - Jestem Kate Randall. Powiedziano mi, że chciałaś się ze mną widzieć.

Blondynka przytaknęła.

- Nazywam się Natalia Lenski - rzekła. - Pracuję na dole w... no wiesz.

- Wiem, o czym mówisz. - Kate się uśmiechnęła. - Miło cię poznać.

- Wzajemnie - odparła Natalia. - Słyszałam o tobie wiele dobrego.

- To miłe - przyznała Kate. - Chyba. Zatem w czym mogę ci pomóc, Natalio?

- Możemy pójść gdzie indziej? Gdzieś, gdzie jest cicho?

- Oczywiście. Pojedźmy na kilka minut na górę.

„Nie wiem, co to ma być, ale przynajmniej się przewietrzę” – pomyślała Kate.

Dwie minuty później wyszły przez duże podwójne drzwi hangaru na tereny należące do Pętli. Kate poprowadziła Natalię przez pas startowy na leżące za nim pole i różany ogród założony, aby uczcić pamięć Johna i George'a Harkerów, braci, którzy zginęli w katastrofie Miny,

pierwszego jęta Czarnego Filtru. Na tyłach pięknego, wonnego ogrodu stała drewniana ławka. Kate zajęła miejsce i wskazała Natalii, by zrobiła to samo. Potem czekała. Wreszcie blondynka zdecydowała się mówić.

- Czuję się głupio, przychodząc do ciebie - zaczęła. - Wiem, że jesteś bardzo zajęta. Ale nie mogę udawać, że się o niego nie martwię.

- O kogo? - spytała Kate.

- O Matta Browninga - odparła Natalia. - Sporo o tobie mówi. Powiedział mi, że jesteście przyjaciółmi, tak?

- To prawda - przytaknęła Kate. - Ty też jesteś jego przyjaciółką?

- Chyba tak. - Lekko zmarszczyła brwi. - To trudne. Dlatego chciałam z tobą porozmawiać.

- Czy coś się stało? - Kate się zaniepokoiła. - Z Mattem wszystko w porządku?

- Nie jestem pewna. - Blondynka spuściła wzrok i zaczęła nerwowo dłubać przy paznokciach. - Tak ciężko pracuje. Zupełnie jakby wszystko dźwigał na swoich barkach, ten cały projekt. Tak bardzo mu zależy i z taką desperacją pragnie pomóc przyjaciołom.

- Powiedział mi, że znalezienie tego, czego szukacie, może potrwać kilka lat.

- To prawda - przyznała Natalia. - Myślę, że jeśli tak będzie, Matttego nie przetrwa. Robert próbował z nim rozmawiać, przekonać go, żeby zwolnił, ale on nie słucha.

- Kim jest Robert?

- Profesor Karlsson. Nasz kierownik.

- A, no tak. Mów dalej.

- To wszystko - odparta Natalia. - Zastanawiam się, czy mogłabyś z nim pomówić, przekonać go, że jest dla siebie zbyt surowy. Może cię posłucha, bo jesteś jego przyjaciółką. A ja... nie.

„ Tutaj chodzi o coś więcej - pomyślała Kate. - Coś się tutaj

dzieje .

- Natalio - zaczęła delikatnie. - Lubisz Matta?

- Oczywiście - odparła Natalia, unosząc głowę i szeroko się uśmiechając.

- Wszyscy go lubią. Jest bardzo popularny.

- Nie, pytam, czy ty go lubisz, czy ci się podoba.

Natalia nie odpowiedziała, ale się zarumieniła. Delikatna czerwień wypłynęła na jej piękną bladą twarz.

„No i proszę. Wow! To w ogóle nie będzie skomplikowane. Ani trochę”.

- Dobrze. - Kate sprawdziła godzinę na konsoli. - Porozmawiamy o tym. Muszę wracać do WZOB, ale za godzinę, podczas lunchu, powinnam mieć wolną chwilę. Uda ci się wyrwać?

Natalia przytaknęła.

- Świetnie. W takim razie przyjdź do mojej kwatery za godzinę. Jeśli jeszcze mnie nie będzie, wejdź i się rozgość. Przyjdę najszybciej, jak tylko będę mogła. Porozmawiamy o Matcie. - Te ostatnie słowa specjalnie sformułowała niejednoznacznie. Nie chciała zawstydząć dziewczyny, którą już zaczęła lubić.

- Tak, chętnie - odparła Natalia. - To bardzo miłe z twojej strony.

- To żaden kłopot - zapewniła Kate. - Moja kwatera znajduje się na poziomie B, pokój 261. Kod do drzwi to 2TG687B33. Zapamiętasz?

- Tak - odrzekła Natalia.

„No, oczywiście - pomyślała Kate. - Przecież pracuje przy projekcie Lazarus. Pewnie ma certyfikat geniusza”.

- W porządku - powiedziała. - Jeśli mnie nie będzie, zaczekaj. A teraz naprawdę muszę wracać do WZOB. Idziesz do środka?

Natalia pokręciła głową.

- Zostanę tu przez chwilę.

- Dobrze - zgodziła się Kate. - Do zobaczenia na dole. 261.
Po tych słowach wstała i pobiegła w stronę hangaru.

- Powinna już być w ambulatorium - powiedział oficer bezpieczeństwa. Wstał i uderzył dłonią w drzwi. Natychmiast rozległ się zgrzyt otwieranych zamków. - Puls miała silny, tętno regularne. Ma kilka otarć i siniaków, straciła trochę krwi i nie zdziwiłoby mnie też złamane żebro lub dwa. Ale wydobrzeje. Nie mówiłbym tak, gdybym uważał inaczej.

- To dobrze - mruknęła Kate. Była tak blada, że niemal przezroczysta, jakby odsączono jej krew z twarzy. - Nie chciałabym myśleć, że... coś, co było przeznaczone dla mnie...

Wybuchła płaczem w chwili, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Jamie. Chłopak zmarszczył brwi. Turner się cofnął i przepuścił go do Kate. Jamie usiadł obok niej na łóżku i objął ramieniem.

- Hej - powiedział, ściskając ją. - W porządku. Nie ma nic złego w tym, że się boisz. Wszyscy się boimy.

- Jamie, ja się nie boję - odparła, uwalniając się z jego ramion i patrząc na niego oczami pełnymi ognia. - Ja jestem wściekła. Jak oni śmiają!? Za kogo oni się uważają?!

Turner poczuł coś w sercu.

„Nie mógłbym bardziej kochać tej dziewczyny - pomyślał. - Nawet gdybym się starał”.

Jamie uśmiechnął się i wstał. Major wziął od niego swój identyfikator. Ostatnia podniosła się Kate.

- Co możemy zrobić? - spytała ze lśniącoymi oczami. - Paul, powiedz nam, jak możemy pomóc.

- Możecie mi pomóc, nic nie robiąc - rzekł major. - To śledztwo wydziału bezpieczeństwa. Odprowadzę was do kwatery porucznika Carpentera. Zostaniesz tam, aż odwołamy blokadę. Nikomu nie powiecie, że odbyliśmy tę rozmowę. Wszyscy mają wierzyć, że przez cały czas byłaś w pokoju

Jamiego. Czy to jasne?

Dwaj agenci otworzyli usta, żeby zaprotestować, ale Tuner to uciął.

- Powiedziałem, co musicie zrobić - zauważył. - Naprawdę chcecie pomóc czy po prostu, jak zawsze, chcecie być w centrum uwagi?

Kate i Jamie spojrzeli po sobie. Milcząco przekazali sobie jakąś wiadomość, której Turner nie potrafił odczytać.

- W porządku - powiedział Jamie. - Pójdziemy do mojej kwatery.

- Doskonale. Jestem taki wdzięczny, że postanowiłeś posłuchać mojego bezpośredniego rozkazu. To bardzo miłe z twojej strony.

Jamie poczerwieniał ze złości, ale nic nie powiedział, kiedy oficer bezpieczeństwa odsunął się i gestem wskazał im otwarte drzwi. Wyszedł bez słowa, a Kate wyszła tuż za nim. Turner po raz ostatni rozejrzał się po pokoju, który należał do jego syna, a w którym spędzał zdecydowanie zbyt mało czasu, kiedy jeszcze był on zajęty. Wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Gdy trzech agenci szli w kierunku kwatery Jamiego, Paul Turner zadał pytanie, które zżerało go od środka.

- Kate - powiedział cicho, a dziewczyna spojrzała na niego. - W jaki sposób weszłaś do pokoju Shauna?

Na jej twarzy pojawił się szkarłatny rumieniec. Jamie nawet nie drgnął. Po prostu szedł ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt przed sobą. Turner był mu za to wdzięczny.

- Podał mi kod do drzwi - odparła. - Myślałam, że może już został zmieniony, ale nie. Czasami tam chodzę, by mieć chwilę ciszy i spokoju. I ponieważ... no wiesz. - Uśmiechnęła się sztucznie. - Mam wrażenie, jakby jego cząstka wciąż tam była. Ostatnia, jaka po nim pozostała. Wiesz, co mam na myśli?

Turner przytaknął.

„Bardzo dobrze to wiem”.

Kate wyglądała, jakby jej ulżyło. Odwróciła się w kierunku, w którym szli. Przez chwilę Paul się jej przypatrywał, dumając, czy powiedzieć jej o tych kilku okropnych sekundach, kiedy nie rozpoznał numeru kwatery własnego syna. Wiedział, że by go nie oceniała, a przyznanie się komuś do tego, co w głębi serca wiedział od dawna, mogłoby być oczyszczające - nie zawsze był takim ojcem, jakim być powinien. Ale zrezygnował. Kate nie pomogłoby, gdyby zrzucił na nią własne wątpliwości i poczucie winy, które zżera go co noc, kiedy sen nie nadchodzi.

- Czy ktoś sprawdził twoją kwaterę? - spytał Cal Holmwood.

Tymczasowy dyrektor Departamentu 19 siedział za biurkiem. Palce dłoni splótł ze sobą i oparł o nie brodę. Wyglądał na zmęczonego nie tylko z powodu braku snu, ale tak ogólnie. Znużenie zaległo się już w jego kościach i w duszy. Turner zdawał mu właśnie wstępny raport z zamachu i jego skutków i doszedł do miejsca eksplozji, kiedy Holmwood mu przerwał.

- Nie, sir - odparł. - Dlaczego pan pyta?

- Paul, a jeśli chodzi o przesłuchania WZOB? Co, jeżeli to nie ma nic wspólnego z Drakulą czy z Godziną Zero? Jeśli tak, Kate mogła nie być jedynym celem.

Turner przyglądał się Holmwoodowi z zadumą. Tego nie rozważył. Dlaczego, do diabła, nie wziął tego pod uwagę? Tak się skupił na próbach odnalezienia Kate Randall, że nie przyszło mu do głowy, żeby zastanowić się nad motywem podłożenia bomby. Chwycił radio i nakazał sekcji B wydziału bezpieczeństwa natychmiastowe sprawdzenie swojej kwatery z zachowaniem najwyższych środków ostrożności.

- Przepraszam, sir - powiedział. - To powinno być oczywiste. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Nic się nie dzieje, Paul - odparł Holmwood twardo. -

Pracujesz za pięciu i starasz się utrzymać nas na powierzchni, dopóki jakoś się nie pozbieramy. Daj sobie odrobinę luzu. Mów dalej.

- Tak, sir - odparł major. - Większość systemów monitorujących na poziomie B wciąż nie działa, ale mamy już wstępny raport z wydziału inwigilacji. Ich kamery nie pokazują, aby ktoś wchodził do pokoju 261 lub z niego wychodził od chwili, kiedy agentka Randall opuściła go dzisiejszego ranka. Jednak wydaje się, że drzwi zostały dwa razy otwarte. Samą bombę skonstruowano z łatwo dostępnych materiałów i detonowano z wykorzystaniem ładunków z granatów będących w podstawowym wyposażeniu. Odpalono ją zapalnikiem wykonanym z części radia, również znajdującego się w podstawowym wyposażeniu. Obawiam się, że na razie to wszystko, sir.

Holmwood westchnął głęboko.

- Rzeczywiście niewiele. Jesteś gotów wysunąć na tej podstawie jakieś wnioski?

- Nic, co mógłbym poprzeć dowodami, sir - odparł Turner. - Ale jedno wyjaśnienie nasuwa się samo.

- Mianowicie?

Turner otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale uniemożliwił mu to głośny sygnał jego radia. Spojrzał pytająco na dyrektora, który skinął. Oficer bezpieczeństwa kliknął ODBIERZ.

- Mów - powiedział Paul.

- Melduje się agent Grant, Sekcja B wydziału bezpieczeństwa, sir. - Z radia dobiegł ich chrząszczący głos. - Ładunek wybuchowy został podłączony do drzwi w pańskiej kwaterze, sir. Rozbroiliśmy go i wysłaliśmy do laboratorium do analizy.

- Dobra robota, agencie - rzekł Turner. Znajoma wściekłość zagościła w jego piersi niczym dawno niewidziany przyjaciel. - Kontynuujcie.

- Tak jest, sir. Odmeldowuję się.

Turner wyłączył radio i położył je na biurku Cala Holmwooda. Tymczasowy dyrektor nachylił się z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Jakie wytyczne, Paul? Powiedz mi, czego ci potrzeba.

- Chcę autoryzacji, aby utrzymać blokadę bazy przez noc - rzekł Turner. - Chcę wiedzieć, gdzie są wszyscy, podczas gdy mój zespół będzie robił swoje. Grupy przebywające w terenie mogą zostać po powrocie ulokowane w dormitoriach. Wiem, że to oznacza odwołanie kilku misji, ale...

- Zatwierdzone - powiedział Holmwood. - Nie możemy walczyć z wampirami na zewnątrz, jeśli jesteśmy atakowani we własnej bazie.

- To samo pomyślałem, sir. Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Powiedziałeś, że odpowiedź nasuwa się sama - rzekł dyrektor. - Powiedz mi, chociaż sędzę, że już wiem, o czym mówisz. I co by to oznaczało?

Turner skinął głową.

- Będziemy wiedzieć więcej, jeśli uda nam się odzyskać dane z systemu monitorującego - rzekł. - Ale nagrania z kamer są i tak dość przekonujące. Jeśli o mnie chodzi, sędzę, że szukamy wampira.

„DO NOWEJ ZBRODNI PCHAJĄ ZŁOŚCI DAWNE”**DWANAŚCIE DNI WCZEŚNIEJ**

- Więc to tutaj cię trzymają?

Valentin Rusmanoy oderwał wzrok od książki, którą czytał, i szeroko się uśmiechnął. Po drugiej stronie bariery z ultrafioletu która tworzyła przednią ścianę jego celi, ujrzał Frankensteina. Potwór patrzył na niego z nienawiścią.

- W rzeczy samej - odparł, podnosząc się z gracją z miejsca.

- Akceptujesz to?

- Nie bardzo - rzekł Frankenstein głosem odbijającym się od betonowych ścian. - Gdyby to ode mnie zależało, byłbyś jedynie rozmazaną plamą krwi na podłodze.

- Zaiste bardzo to obrazowe - skomentował Valentin - Mogę panu w czymś pomóc, panie Frankenstein, czy też przyszedł pan, żeby mi grozić?

Przez kilka dłuższych chwil Frankenstein nie odpowiadał. Jego duża szarzielona twarz pozostawała nieruchoma, zdeformowane oczy były przymrużone, a duże, zaciśnięte w pięści dłonie trzymał po bokach. Miał długie włosy i brodę. Na rozpiętą pod szyją koszulę narzucił marynarkę, a do paska przytroczył metalowy kołek, który przy jego potężnej sylwetce wydawał się maleńki.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedział wreszcie. - O tym, czemu tutaj jesteś.

- Tutaj, w tej celi, czy tutaj, w budynku?

- W tym budynku - rzekł Frankenstein. - Chcę wiedzieć,

dlaczego nadal udajesz, że jesteś po naszej stronie. Osobiście uważam, że cię to po prostu bawi.

- To interesujące - odparł Valentin. - Mógłbym wymienić kilka tysięcy rzeczy, które wolałbym robić, zamiast rozmawiać z tchórzem z odzysku. Ale ponieważ żadna z nich nie jest obecnie dla mnie dostępna, muszę się zadowolić alternatywą. Zatem proszę, wejdź i się rozgość.

Frankenstein na chwilę obnażył zęby, ale przeszedł przez lśniący ultrafiolet i wszedł do celi z marsową miną.

- Proszę usiąść - zachęcił Valentin. - Czy mogę coś ci podać? Herbatę? Wino? Krew? Och, przepraszam. Ty już jej nie pijasz, czyż nie?

- Wampirze, moja cierpliwość ma granice - warknął potwór, siadając na jednym z dwóch krzeseł stojących obok wąskiego łóżka. - Daleko jej do bycia niewyczerpaną.

- Z pewnością jest to prawda - rzekł Valentin. Bez wysiłku podfrunął do pustego krzesła, usiadł i założył nogę na nogę, opierając kostkę o drugie kolano.

- Chociaż podejrzewam, że jakoś opanujesz temperament niezależnie od tego, ile cię to będzie kosztować. Wątpię, by cieszyła cię perspektywa ewentualnego wyjaśniania przełożonym, dlaczego bez zezwolenia zszedłeś na poziom więzienny i wylądowałeś w ambulatorium.

Frankenstein nic nie powiedział, przyglądał się tylko staremu wampirowi. Jedną dłoń położył na swojej piersi.

- Muszę przyznać, że to bardzo krzepiące - rzekł Valentin po minucie ciszy. - Lubię ożywione debaty. Wygląda jednak na to, że to na mnie spadł obowiązek podtrzymywania tej farsy, więc pozwól, że zaproponuję nowy temat rozmowy. Może omówimy efekty, jakie wywołuje opium na ledwie co ludzkim ciele? Albo wystrój wnętrz i muzykę Nowego Jorku w epoce jazzu? Albo...

- Chcę, żebyś trzymał się od niego z daleka - przerwał Frankenstein. Jego głos brzmiał jak huk trzęsienia ziemi, w

oczach płonęła nienawiść.

Valentin się uśmiechnął.

- O kim mówisz?

- Doskonale wiesz, o kim - odparł potwór. - O Jamiem Carpenterze. I o jego przyjaciółach. Trzymaj się od nich wszystkich z daleka.

- Czemuż, u licha, miałbym to zrobić?

- Bo ja tak mówię - powiedział Frankenstein. Na jego twarzy widać było odrazę. - Być może nie sprawię, żeby przejrżeli tę twoją szaradę, ale nie pozwolę, by wpadli w pułapkę, którą zastawiasz, o czym obydwaj wiemy.

- Rozumiem - rzekł Valentin. - Wyobraźmy sobie przez chwilę, że zdecyduję się całkowicie cię zignorować. Jakie byłyby tego konsekwencje?

- Zniszczenie cię - ostrzegł Frankenstein. - I twojego sługi

- Interesujące. A jak wyjaśniłbyś to panu Holmwoodowi?

- Wyjaśnienia nie byłyby konieczne. Cał podziela moją opinię.

- A jak ona brzmi? - spytał Valentin spokojnym, uprzejmym tonem.

- Ze jesteś zwierzęciem - odparł Frankenstein.

- Rozumiem. - Valentin rozparł się, splótł ze sobą palce dłoni z kciukami podparł brodę. - Pozwól więc, że zapytam jeszcze o coś. Odłóżmy na chwilę twoją opinię o mnie i tę irytującą manierę grożenia mi. Oboje wiemy, że to puste groźby. Skąd pomyśl, że to właśnie ty powinienes mieć jakikolwiek wpływ na to, z kim zadaje się pan Carpenter?

- Złożyłem jego dziadkowi obietnicę - rzekł Frankenstein. - będę chronił jego rodzinę. A z niej został już tylko Jamie

- Ciekawe - rzekł Valentin. - Wygląda na to, że John Carpenter był człowiekiem, który lubił zawierać umowy. Ze mną też zawarł porozumienie. Umówiliśmy się, że nie będziemy wzajemnie ingerować w swoje życie. Ja objąłem tym również jego potomków.

Frankenstein zmrużył oczy.

- Kłamiesz.

- Wierz, w co zechcesz - odparł Valentin. - Nie mam zamiaru cię przekonywać. Kiedy przybyłem do tego urokliwego miejsca, opowiedziałem o tym ze szczegółami majorowi Turnerowi. Jestem pewien, że mają zapis tej rozmowy, zakładając oczywiście, że masz uprawnienia, aby go przeczytać.

- Nie martw się o moje uprawnienia - rzucił Frankenstein.

- Ach tak? - dopytywał Valentin, przechylając głowę na bok. - Powiedziano mi, że odrzuciłeś propozycję dołączenia do oddziału specjalnego, który ma się rozprawić z moim bratem i jego mistrzem. I że rzadko opuszczasz swoją kwaterę. Jeśli wprowadzono mnie w błąd i jesteś aktywnym członkiem sił Czarnego Filtru, to przyjmij moje przeprosiny.

Frankenstein nie odpowiedział, ale zbladł. Jego twarz nabrała brzydkiej, zielonej barwy.

„ Trafiałem w dziesiątkę - pomyślał Valentin. - Domki ze szkła, mój przyjacielu. Domki ze szkła".

- Czy z twojego milczenia mogę wnioskować, że informacje były jednak prawdziwe? - spytał.

- Tak - warknął Frankenstein. - To prawda, choć Bóg jeden wie, kto ci o tym wszystkim doniósł. Ale to nie zmienia tego, co przyszedłem ci powiedzieć.

- Niech i tak będzie - odparł Valentin. Ta rozmowa zaczynała go nudzić. Drażnienie i męczenie potwora było zbyt łatwe i szybko stało się nużące. - Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia. Wysłuchałem cię, chociaż nie musiałem. Teraz moja kolej.

- Nie zamierzam...

- Milcz - rzekł Valentin. Poczul żar w kącikach oczu i w myślach nakazał sobie spokój. - Jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, zamkniesz się i będziesz słuchał. Powiedzenie mi, żebym trzymał się z daleka od Jamiego Carpentera, to nie to

samo, co chronienie go. Rozumiem, że nie potrafisz tego zaakceptować, ale taka jest prawda. Chronienie go oznaczałoby wyjście ze swojej kwatery, wzięcie broni i trwanie przy nim, kiedy ryzykuje życie, walcząc z wampirami. Najwyraźniej nie jesteś w stanie lub po prostu nie chcesz tego zrobić. Jestem pewien, że masz swoje powody, które zapewne sięgają swoimi korzeniami pewnej europejskiej stolicy. Ale to nie powód, byś się na mnie wściekał za to, że nie możesz już dłużej wypełniać złożonego zobowiązania. Zrozum więc to: będę się zadawał, z kim zechcę i kiedy zechcę. Tkwię zamknięty w tym betonowym pudełku. Lepiej zadaj sobie pytanie, kto inicjuje te kontakty między mną a Jamiem, które tak bardzo cię martwią. Czy wyraziłem się dość jasno? Może wolałbyś, żebym powtórzył to prostszymi słowami?

- Bardzo jasno - warknął Frankenstein. - Bardzo dziękuję za tę ocenę spraw, o których nie masz bladego pojęcia.

Valentin wzruszył ramionami i uśmiechnął się do potwora

- Zatem mnie oświeć - rzekł. - Powiedz mi, czemu tak się boisz być przydatny Jamiemu i jego przyjaciółom.

Powoli, niczym lawina w odwrocie, Frankenstein podniósł się z krzesła. Valentin się nie poruszył. Na jego twarzy wciąż malował się uśmiech, ale napiął mięśnie, by być gotowy na reakcję, gdyby potwór był dość głupi, żeby go zaatakować.

- Jeśli Jamie będzie mnie potrzebował - zapewnił Frankenstein niskim głosem - stanę przy nim. Tak jak obiecałem.

- A skąd będziesz wiedział, czy cię potrzebuje?

- Powie mi.

Valentin uśmiechnął się szerzej.

- Jesteś tego całkowicie pewien?

Frankenstein powoli podszedł do ultrafioletowej bariery. Tam się odwrócił i spojrzał na wampira.

- Nie chcę, żeby Jamie dowiedział się o tej rozmowie - rzekł - jeśli naprawdę nie pragniesz wyrządzić mu krzywdy,

zrozumiesz dlaczego.

- Milczę jak grób - odparł Valentin. - Wpadaj do mnie częściej. Już zapomniałem, jaka to frajda, kiedy ktoś rzuca mi w twarz puste groźby.

Frankenstein przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem przeszedł przez barierę, nie oglądając się za siebie. Valentin słuchał echa ciężkich kroków potwora, kierującego się do wyjścia. Gdy umilkły, głęboko odetchnął.

Próby, które podejmował Frankenstein, aby go zastraszyć, były śmieszne. Nie miał wątpliwości, że pomimo imponujących rozmiarów potwora i jego doświadczenia mógłby go rozerwać z jedną ręką za plecami. Ale ulżyło mu, że do tego nie doszło. Fizyczna potyczka z Frankensteinem przyciągnęłaby uwagę Lambertona, nie mówiąc już o Wydziale Ochrony Czarnego Filtru. A on nie miał ochoty walczyć o życie z dobrze wytrenowanymi żołnierzami w długiej betonowej rurze. Chyba że sam by o tym zdecydował.

Valentin wleciał piruetem, ciesząc się chłodnym powiewem na twarzy, a potem powoli opuścił się na łóżko.

„Rzadko jest tu nudno - pomyślał, podnosząc książkę. - To muszę im przyznać”.

PIĘCDZIESIĄT DNI DO GODZINY ZERO

ZACIEŚNIAJĄC SIEĆ

Kiedy Cal Holmwood rozpoczął naradę, Jamie Carpenter rozejrzał się po sali odpraw. Znajome twarze, które widywał tu dziesiątki razy, wyglądały inaczej - były starsze i ściągnięte. Zmęczone.

Blokada bazy została odwołana przed godziną i od tamtej chwili w Pętli zapanował paranoiczny nastrój. Agenci, naukowcy, pracownicy wywiadu i cywile skupiali się w niewielkich grupkach na terenie całej bazy. Na ich twarzach malowały się wyraźna troska i zmartwienie. Nie była to jeszcze panika, ale Departament opanowała niepewność. Mężczyźni i kobiety patrzyli na siebie nerwowo, zastanawiając się, komu mogą ufać, kto naprawdę jest po ich stronie. Jeśli zamiarem zamachowca było sianie strachu i zwątpienia w Czarnym Filtrze, to odniósł spektakularny sukces. Chociaż pomiędzy oficerami wyższej rangi zaczynało panować przekonanie, że powód był zgoła inny.

- Zaczynamy specjalną naradę oddziału Godzina Zero - powiedział Cal Holmwood. - Wszyscy członkowie są obecni. Jak zapewne wiecie, wczorajszego popołudnia Pętla została całkowicie zamknięta. Nastąpiło to po tym, jak na poziomie B doszło do eksplozji ładunku wybuchowego. Proszę majora Turnera o wprowadzenie nas w temat. Paul?

- Tak sir - rzekł Turner. - Śledztwo trwa, ale część informacji mogę wam zdradzić. Urządzenie zbudowano z materiałów dostępnych w Pętli, włącznie z zapalnikiem i jądrem. Nie mamy żadnych wizualnych dowodów na to, by ktokolwiek

wchodził do kwatery 261 po tym, jak rankiem opuściła ją porucznik Randall. Badania nad dowodami trwają, więc jak na razie daleko do wyciągania wniosków.

- Ależ oczywiście, że tak - rzekł Patrick Williams. - Bombę w pokoju Kate podłożył wampir. Poruszał się zbyt szybko, by nasze kamery mogły go zarejestrować. To według mnie zawęża krąg podejrzanych do jednego.

- Śledztwo trwa - powtórzył Paul Turner. W jego głosie pobrzmiwało ostrzeżenie. - Wszystkie możliwości, dotyczące zarówno ludzi, jak i wampirów, zostaną dokładnie zbadane. Kolejna kwestia...

- Dlaczego prowadzimy tę grę? - spytał Andrew Jarvis. Jego twarz pobiadła z furii. - Wszyscy wiedzą, że bombę podłożył Valentin Rusmanov. Ale zamiast zejść tam i go zniszczyć, jak powinniśmy to byli zrobić wiele tygodni temu, prowadzimy śledztwo i sprawdzamy samych siebie. Szukamy jakiejś skomplikowanej odpowiedzi, podczas gdy prawdę mamy przed nosem. Robimy dokładnie to, czego on chce.

- Agencie - powiedział Turner ściszym głosem. - Proszę mi więcej nie przerywać. - Patrzył na Jarvisa oczami szarymi niczym powierzchnia Księżyca. Po sekundzie lub dwóch agent spuścił wzrok. - Valentin Rusmanov jest oczywiście jednym z podejrzanych - kontynuował, rozglądając się po zebranych, jakby rzucał im wyzwanie i sprawdzał, czy jeszcze ktoś ośmielił się mu przerwać. - Jestem przekonany, że połowa mężczyzn i kobiet w tej bazie jest już pewna jego winy. Jeśli okaże się, że rzeczywiście za tym stoi, osobiście wystrzelę mu kulek w serce. Ale w grę wchodzi też inne czynniki, które sugerują, że atak miał na celu coś więcej niż tylko wywołanie popłochu.

- Ale właśnie tak się stało - zauważyła Amy Andrews cicho. - Wszyscy, z którymi rozmawiałam od czasu cofnięcia blokady, są przerażeni. Chcą wiedzieć, jak zamierzamy zatrzymać Drakulę, skoro nie potrafimy nawet zabezpieczyć własnej bazy. Słyszałam plotki o dezercji. Czy może je pan

potwierdzić, majorze Turner?

Turner na nią spojrzał.

- Trzech agentów złapano niecałe siedemnaście kilometrów za terenem Pętli. Zostali zatrzymani. Więcej nie mogę wyjawiać.

- Chryste - mruknął Brennan. - Dezerterzy. Nigdy wcześniej nie słyszałem o czymś takim.

- Jakie są te inne czynniki? - spytał Jamie. Nie odrywał wzroku od Turnera, który teraz na niego spojrzał.

- Słucham, poruczniku Carpenter?

- Czynniki sugerujące, że nie chodziło o wywołanie popłochu.

Przez ułamek sekundy na twarzy Turnera pojawiło się coś, co Jamie rozpoznał dopiero po dłuższej chwili. „Wdzięczność - pomyślał. - No proszę”.

- Po pierwsze, poruczniku - zaczął major - mamy umiejscowienie ładunku, który został zdetonowany. Skoro nasze kamery nie są w stanie zarejestrować sprawcy, to dlaczego umieścił on ładunek w kwaterze porucznik Randall? Dlaczego nie w sali odpraw, na stołówce czy choćby pod Miną II? Każdy z tych celów spowodowałby większe straty. Cóż takiego jest w porucznik Randall, że ktoś chciałby uczynić z niej cel?

- Wydział wewnętrzny - odparła Angela. - Twierdzi pan, że chodzi o to?

- Oj, dajcie spokój - prychnął Brennan. - Jarvis ma rację. Gołym okiem widać, że to sprawka Valentina. Nie wiem, czy wypełnia rozkazy swojego pana, czy działa na własną rękę, ale tu na sto procent chodzi o Drakulę.

- Kate nie ma nic wspólnego z Drakulą - rzekł Jamie. - Ani z Valentinem.

- Była obecna, kiedy przeszedł na naszą stronę. Lub przynajmniej twierdził, że przeszedł. Oboje z nim rozmawialiście. Może powiedziała coś, co mu się nie

spodobało. A może po prostu wybrał pokój na chybił trafił i Randall miała pecha.

- W takim razie, agencie Brennan - rzekł Paul Turner - może wyjaśnisz nam, dlaczego identyczny ładunek wybuchowy znaleziono w mojej kwaterze?

Ze wszystkich stron dobiegło westchnienie, ale Jamie dostrzegł, że Calowi Holmwoodowi nawet nie drgnęła powieka.

„Oni już wiedzą, o co chodzi - pomyślał. - Turner i Holmwood. Wiedza. Po prostu pozwalają nam samym do tego dojść”.

- Nie mam pojęcia - odparł Brennan. - Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Porucznik Darcy już to zrobiła - rzekł Cal Holmwood - Nie powiem, że ten atak nie miał nic wspólnego z Drakulą ponieważ ten, kto go przeprowadził, może być z nim powiązany. To zostanie ustalone w toku śledztwa. I zapewniam was, że nikt nie wykreśla nazwiska Valentina Rusmanova z listy podejrzanych. Ale dochodzenie WZOB, czas i lokalizacja ładunków wybuchowych dają dość jednoznaczne wnioski. Nie był to bezpośredni atak wampirów. Chodziło o WZOB. Ktoś, kto ma coś do ukrycia, próbuje się chronić.

- Zatem co robimy? - spytała Angela Darcy.

- Wydział wewnętrzny dokończy swoje śledztwo - odparł Paul Turner. - Jesteśmy już niemal w jednej czwartej listy. Ten kto to zrobił, musi być w pozostałej grupie, której jeszcze nie przesłuchiwaliśmy.

- Zgoda - rzekł Holmwood. - Chcę, żebyście zakończyli dochodzenie WZOB najszybciej, jak to możliwe. W bazie jest ktoś niezmiernie niebezpieczny i musimy go znaleźć, nim znów coś zrobi.

- Mam prośbę - powiedział Jarvis. - Chcę, żeby Valentin Rusmanov trafił na samą górę listy przesłuchań WZOB.

Rozumiem wasze racje i przyjmuję argumenty, ale szczerze mówiąc, mam to w nosie. Nie ufam wampirowi.

- Jeśli o mnie chodzi, nie ma problemu - odparł Holmwood. - Majorze Turner?

- Żaden problem, sir - powiedział Turner, rzucając Jarvisowi mordercze spojrzenie. - Przesłuchania zostaną wznowione dzisiaj po południu i z radością zajmę się w pierwszej kolejności Valentinem. Może potem przestaniemy biegać za cieniami

- A co z nami? - spytał Jack Williams. - Co mamy robić?

- Róbcie swoje - odparł Holmwood. - W ciągu dwóch godzin wszystkie jednostki znów będą aktywne. Macie listy celów. Nic się nie zmieniło.

- Żaden z członków mojego oddziału nie był jeszcze przesłuchiwany przez WZOB - powiedział Brennan. - Ja też nie. Mamy ruszać w teren?

- Oczywiście - odpowiedział Holmwood. - Nie możemy dezaktywować wszystkich, którzy jeszcze nie byli przesłuchiwani, nie przy tym, co się teraz dzieje. Bądźcie czujni. Zgłaszajcie wszelkie odstępstwa od normy. Zrozumiano?

Brennan przytaknął.

- Dobrze. Coś jeszcze? - spytał Holmwood.

- Tak, sir - rzekła Angela Darcy. - Co z Albertem Harkerem, sir?

- Sądzymy, że Harker może być winny dokonania morderstwa prawnika Thomasa Clarkea. Popełniono je wczorajszej nocy w północnym Londynie - odparł tymczasowy dyrektor. - Ciarękę był wykonawcą testamentu Johna Bathursta znanego też jako Johnny Supernova. To dziennikarz, któremu Albert udzielił wywiadu, zanim został zamknięty w szpitalu. Staramy się ustalić, czy pośród własności Bathursta było coś, co Harker chciałby mieć.

- Może wini dziennikarza za to, co go spotkało? -

zapropował Patrick Williams. - Bathurst już nie żyje, więc Harker może się mścić na ludziach, którzy mieli z nim coś wspólnego.

- Przyszło nam to do głowy - rzekł Turner. - Na szczęście lista znajomych Bathursta zawierała tylko jedno nazwisko. To jego dawny kolega Kevin McKenna. Został poinformowany, że niedawno wypuszczony więzień, który żywi urazę do Bathursta, może chcieć nawiązać z nim kontakt. W takim wypadku ma zadzwonić na policję. Monitorujemy jego telefon komórkowy, tak na wszelki wypadek.

- Dobrze - powiedział Patrick. - Zatem nie mamy pojęcia, gdzie przebywa Harker.

- Jest wielce prawdopodobne, że się gdzieś zaszyl - odparł Turner. - Wie, że będziemy go szukać.

- Też się ku temu skłaniam - powiedział Holmwood. - Niemniej jest on naszym priorytetem. Będę was informował o postępach w poszukiwaniach. Co do reszty uciekinierów z Broadmoor, robimy konkretne postępy. Potwierdziliśmy likwidację siedemdziesięciu dwóch wampirów. Do namierzenia wciąż pozostaje dwieście sześć. Wszystkie listy celów zostały zaktualizowane.

Specjalny protokół operacyjny obowiązuje do czasu zażegnania obecnego kryzysu.

- A admirał Seward? - spytał Jamie cicho.

- Major Landis zgłosił brak postępów na tym polu, poruczniku Carpenter. Jeszcze jakieś pytania?

Przy stole zapadła cisza.

- Zatem to koniec - rzekł tymczasowy dyrektor. - Jak zawsze, wszystko, co zostało tu powiedziane, jest tajne. Spróbujcie jednak w jakiś sposób uspokoić swoje oddziały. Wszyscy mamy zadania i to nie jest czas na panikę. Ani na to, by ludzie ze strachu popełniali błędy. Rozejść się.

Jamie przeszedł korytarzem poziomym B i przysunął identyfikator do panelu przy drzwiach swojej kwatery. Uśmiechnął się, słysząc w środku znajome głosy.

Wiedział, do kogo należały. Po tym, jak otrzymał informację o naradzie oddziału Godzina Zero, sam wysłał wiadomość.

„Żadnych sekretów” - pomyślał i otworzył drzwi.

Na jego łóżku siedzieli Kate Randall i Matt Browning. Skorzystali z kodu otwierającego drzwi, który znali na pamięć. Kiedy wszedł do środka, spojrzeli na niego z lekkim uśmiechem.

- Hej - przywitał się. - Co się dzieje?

- Niewiele - odparł Matt wesoło. - Poza tym, że koleżanka po fachu została wysadzona w powietrze przez bombę, która była przeznaczona dla mojej przyjaciółki. A ty jak się miewasz?

Jamie się zaśmiał.

- Lepiej niż kiedykolwiek - powiedział, siadając na krześle obok biurka. - Kamery nie zarejestrowały nikogo wchodzącego do pokoju Kate ani wychodzącego z niego wczorajszego ranka. W pokoju Paula Turnera także znaleziono bombę, więc on i Cal są przekonani, że chodzi o WZOB. Reszta Godziny Zero uważa że winny jest Valentin. A, no i jeszcze nikt nie ma pojęcia, gdzie jest Albert Harker. Zatem wszystko układa się fantastycznie.

- Chryste - jęknęła Kate. - W pokoju Paula była bomba? Jamie przytaknął.

- W nocy ją rozbroili.

- To chyba przesądza sprawę - powiedział Matt, patrząc na Kate. - Ty i major Turner? Jeśli nie chodzi o WZOB, to jest to jakiś kosmiczny przypadek.

- Chyba tak - odparła Kate. - Czy ktoś ma jakąś teorię? Jamie pokręcił głową.

- Tylko tyle, że ktoś ma coś do ukrycia i jest skłonny zabić dwóch agentów, żeby to nie wyszło na jaw.

- Jezus... - Kate westchnęła. - Wciąż myślę o Natalii. Gdyby

została ciężko ranna albo...

- Ale nie została - przerwał Jamie. - Nic jej nie będzie.

- Wiem - przytaknęła Kate. - Ale ta bomba nie była przeznaczona dla niej, Jamie. Ona nie miała z tym nic wspólnego.

- No właśnie - powiedział Matt. - Dlaczego tam była, kiedy ta bomba wybuchła? Szła do ciebie?

- Nie wiem - stwierdziła Kate.

- No dobrze - ciągnął Matt. - Ale jeśli bomba wybuchła, kiedy otworzono drzwi, to ona musiała je otworzyć. Jak?

- A skąd mam wiedzieć? - rzuciła dziewczyna. - Spytaj o to ją, kiedy się obudzi.

„Spokojnie - pomyślał Jamie. - Nie odgryź mu głowy”.

- Zatem - wtrącił - to tyle, jeśli chodzi o naradę Godziny Zero.

- Muszę wracać do Lazarusza - powiedział Matt. - Natalia leży w szpitalu, więc brakuje nam ludzi.

- Tak myślałem - zgodził się Jamie. - Kate, a ty?

- WZOB - odparła. - Paul wysłał mi wiadomość. Po południu wznawiamy przesłuchania. Ale nie wspomniał o bombie w swojej kwaterze, chociaż to mnie nie dziwi. To będzie długi dzień. A co z tobą?

- Muszę odbyć pewną rozmowę, której bardzo nie chcę przeprowadzać - poinformował Jamie.

- Z kim? - spytał Matt.

- Z jednym z moich żółtodziobów - odpowiedział. - Z Johnem Mortonem.

- Słyszałam, że wróciłeś ze swoją drużyną szybciej - rzekła Kate. - Wszystko w porządku?

- Nie wiem - odparł Jamie. - Nie wykorzystał okazji do strzału, kiedy likwidowaliśmy pierwszy cel, potem zaczął mówić o wampirach, że coś jest nie tak, że to, co zrobiliśmy, jest nie w porządku. Poprosiłem Holmwooda, żeby nie posyłał go w teren, ale się nie zgodził. Udało mi się wyprosić ocenę

psychologiczną. Muszę teraz powiedzieć o tym Mortonowi. Powinno być wesoło.

- Nie wątpię - skwitowała Kate.

- A skoro o zabawie mowa - powiedział, uśmiechając się szeroko - czeka cię dzisiaj po południu nie lada gratka, ciebie i majora Turnera.

Kate zmarszczyła brwi.

- O czym mówisz?

- Wkrótce się przekonasz - stwierdził Jamie.

ZABAWA Z OGNIEM

HRABSTWO LINCOLN, NEVADA, USA
WCZORAJ

Larissa zastukała do drzwi kwatery Tima Albertssona i czekała na pojawienie się agenta specjalnego.

O dziwo, dobrze spała tej nocy. Najwyraźniej zmęczenie wzięło górę nad uczuciem niepokoju, które ogarnęło ją po tym, jak Tim próbował ją pocałować. Po wyjściu spod prysznic patrzyła na swoje ciało w lustrze. Widziała na brzuchu okrągły, jaśniejszy fragment nowej skóry i wybaczyła sobie wyczerpanie, które czuła na siłowni. Niekiedy zapominała, że jej ciało było regularnie poddawane urazom, które zabijały normalnych ludzi. Jej zaczęły się już wydawać dziwnie normalne.

Nikt nie odpowiedział na jej pukanie, z wewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki, więc się poddała. Na konsoli nie czekały na nią żadne nowe rozkazy i nie miała zaplanowanej sesji treningowej. Zamierzała oczyścić atmosferę z Timem, a potem zebrać pozostałych i cieszyć się zasłużonymi kilkoma godzinami wolnego. Idąc korytarzem poziomu trzeciego, pisała wiadomość. Pytała przyjaciół, gdzie są. Kiedy czekała na windę, na ekranie pojawiła się pierwsza odpowiedź.

Dzień dobry, Moja Piękna. W San Diego aż do wczesnego popołudnia. Sprawdzam nowych rekrutów oddziałów specjalnych SEAL. Kara i Danny też tu są.

Bądź beze mnie grzeczna. Tim

Czytając to, Larissa się wzdrygnęła. Z jednej strony wiadomość nie różniła się od dziesiątek innych, które jej wysyłał. To sugerowało, że nie był na nią zły, a właśnie tego się obawiała. Z drugiej strony otwarcie z nią flirtował, więc była na siebie wściekła, że tak długo zajęło jej zrozumienie sytuacji.

„Muszę z nim porozmawiać, jak wróci - pomyślała. - Od razu po powrocie”.

Jej konsola ponownie zabrzęczała, więc Larissa aktywowała ekran. Pojawiły się dwie wiadomości, jedna nad drugą.

Na szkoleniu wywiadu. Może zobaczymy się potem.

Aaron

Wciąż w Kolorado. Jak Bóg da, niedługo wyjeżdżam.

Kelly

Larissa się uśmiechnęła i wsunęła konsolę za pasek.

Kelly była członkiem grupy reagującej, wysłanej do Kolorado, aby zająć się następstwami ucieczki z Supermaksą. Miała wrócić do bazy poprzedniego dnia, ale w ostatniej chwili zmieniono jej rozkazy. Nie była w stanie powiedzieć im dlaczego - wszystko, co wiązało się z ucieczką z więzienia, zastrzeżono dla Godziny Zero. Była to klasyfikacja, którą przyjęły wszystkie departamenty do spraw nadprzyrodzonych na świecie. Zachowanie Kelly sugerowało, że wcale jej to nie cieszyło.

Larissa wysłała wiadomość do całej grupy, prosząc, by na siebie uważali. Potem weszła do windy i nacisnęła guzik z cyfrą zero. Chwilę później weszła do szerokiego, półokrągłego hangaru i spojrzała na długi obszar wyschniętego jeziora Papoose. Ledwie minęła 8.30 rano, ale temperatura na

zewnątrz dochodziła już do trzydziestu pięciu stopni i dalej rosła. W porze lunchu przekroczy zapewne trzydzieści osiem stopni. Słońce prażyło z taką siłą, że zwykła skóra spaliłaby się w ciągu kilku minut, nie mówiąc już o jej delikatnej tkance, która stanęłaby w fioletowym płomieniu, gdyby padł na nią pojedynczy promień pustynnego słońca.

Cień sięgał metr lub dwa poza ścianę hangaru. Jego migocząca krawędź wyznaczała granicę bezpiecznego świata Larissy. Patrzyła na nią boleśnie świadoma ograniczeń, które zostały jej narzucone. Pogodziła się ze swoim stanem. Znalazła nawet sposoby na to, by cieszyć się niektórymi jego stronami, ale racjonalna część wciąż postrzegała go jako klątwę, więzienną celę, od której nie było ucieczki. Jej wampirza natura, ta część jej samej, o której coraz częściej myślała jak o innej osobie, nie przejmowała się takimi sprawami. Interesowały ją tylko krew i przemoc. Starła się nie myśleć o tym zbyt wiele i ucieszyła się, kiedy nagle zaświtała jej w głowie pewna myśl, radując serce i poprawiając nastrój.

„Mam wolny dzień - przypomniała sobie. - Po raz pierwszy od chyba wieczności nie muszę niczego robić”.

Ta świadomość spadła na nią niespodziewanie i obmyła ją niczym chłodna woda. Wiedziała, że jest spora szansa na to, że za chwilę na jej konsoli pojawią się nowe rozkazy, ale stwierdziła, że zajmie się nimi, gdy tak się stanie. Na razie była wolna. Przyglądając się białej soli, która została z jeziora Papoose, zdała sobie sprawę, że jest coś, co chciała zrobić.

Dziesięć minut później siedziała w swojej kwaterze i logowała się do sieci NS9. Dostała do niej dostęp tego samego dnia, kiedy przyjechała. Był to gest, który uznała za dość zaskakujący wyraz zaufania, nawet traktując go jako nowy przejaw jedności łączący wszystkie departamenty. Spodziewała się, że jej dostęp będzie ograniczony, jak to zwykle bywa w przypadku gości - nie mieli dostępu do

pewnych obszarów systemu. Ale z zadowoleniem odkryła, że może przeglądać całą sieć NS9. Rzadko z niej korzystała, ponieważ większość czasu spędzała albo w salach treningowych, albo z przyjaciółmi. Ale teraz chciała znaleźć informacje na temat więźnia w celi, o którego istnieniu oficjalnie nie było nic wiadomo.

Larissa rozmawiała z agentem z wydziału ochrony NS9. Siedzieli w barze w kręgielni, znajdującej się po drugiej stronie góry. Wprost spytała o więźnia. Mężczyzna szeroko otworzył oczy, ale prędko zaprzeczył, by ktoś taki istniał. Larissa nie odpuszczała, serwując swój brytyjski akcent z kilkoma szklaneczkami whiskey coraz bardziej bezradnemu agentowi. Zapewniła go, że nie oczekuje, że powie jej, kim jest więzień, i podsunęła krzesło tak, że jej noga opierała się o jego. Nie zamierzała przysparzać nikomu kłopotów. Chciała się tylko dowiedzieć, kiedy przywieziono więźnia do Krainy Marzeń. Wreszcie agent się poddał. Podziękowała mu pocałowała w policzek i zostawiła, wgapiającego się w pustą szklankę z wyrazem kompletnego zagubienia na twarzy.

Larissa otworzyła logi i wpisała podaną przez agenta datę. Więzień musiał w jakiś sposób trafić do bazy. Raczej nie był oczekiwany, jeśli wziąć pod uwagę alarm, który rozbrzmiał na krótko tamtego dnia, o czym powiedziała jej Kelly. Miała więc nadzieję, że jakieś raporty z tego niezapowiedzianego przybycia jeszcze gdzieś się zachowały.

System wyświetlił wyniki dla środy sprzed czternastu tygodni. Były dwie główne kolumny dla przyjazdów do bazy i wyjazdów z niej. Każda zawierała wpisy. Większość powtarzała się w obydwu kolumnach - oddziały ruszały na misje i wracały do domu po ich zakończeniu. Było kilka wpisów w kolumnie wyjazdów, które nie powtarzały się w przyjazdach. Larissa założyła, że chodziło o agentów wyruszających na długoterminowe misje takie jak ta, którą Kelly pełniła właśnie w Kolorado. Zapewne gdyby sprawdziła

kolejne dni, okazałoby się, że wpisy pojawiły się w kolumnie „przyjazdy”.

W dniu, który ją interesował, widniały tylko dwa wpisy o przyjeździe, które nie miały swoich odpowiedników w kolumnie „wyjazdy”. Jeden wyglądał identycznie jak niemal wszystkie inne - ciąg numerów identyfikacyjnych agentów, kod operacji, kod dostępu i trasa samolotu, który wleciał do zamkniętej strefy powietrznej wokół Krainy Marzeń. Była to zapewne powracająca misja, która wyruszyła poprzedniego dnia. Jednak drugi wpis był zupełnie inny.

Tam, gdzie powinien się znajdować przynajmniej jeden numer identyfikacyjny, pozostała pusta rubryka. Tam, gdzie powinni byli wpisać kod operacji, również nic nie było. A zamiast wektora lotu wpisano: BRAMA 1. Wpisany kod dostępu także był inny od wszystkich pozostałych wpisanych tego dnia.

„To on - pomyślała. - Kimkolwiek jest, to właśnie on. Wtedy przyleciał”.

Larissa zapisała kod dostępu na kartce, zamknęła logi i otworzyła harmonogram bezpieczeństwa. Na dużej karcie rozpisano wszystkie punkty bezpieczeństwa i pozycje ochrony na całym terenie Krainy Marzeń. Był to ogromny dokument, ponieważ zawierał informacje nie tylko o NS9, ale też o bazie lotniczej przy jeziorze Groom i terenach w zasięgu pocisków w White Sands. Obejmował przeszło sto pozycji, od tradycyjnych barier i stróżówek aż po podziemne wartownie, które pilnowały znajdujących się pod powierzchnią ziemi instalacji, gdzie wykonywano naprawdę nieprzyjemną robotę: tworzono broń biologiczną i chemiczną, przeprowadzano badania nad bronią atomową niewielkiego zasięgu, bronią rozszczepiającą atomy, a wszystko to z pogwałceniem kilkudziesięciu międzynarodowych traktatów i o wiele bardziej zaawansowane nawet od najnowocześniejszego satelity.

Szukała harmonogramu dla Bramy 1, budki stróża i szlabanu, który bronił dostępu z drogi wiodącej na zachód od autostrady 375 nazywanej przez miłośników teorii spiskowych Strefy 51 Bramą Frontową. Leżała ona na terenie rządowym, schowana przed ludnością cywilną, i ostrzegała ciekawskich, by się dalej nie zapuszczali.

„Przyjechał tędy? - zastanawiała się. - Droga lądową? To dziwne”.

Odnalazła właściwą kolumnę i zjechała aż do interesującej ją daty. Tego dnia służbę na Bramie Frontowej pełnił kapral Lee Ashworth. Larissa zamknęła dokument i wpisała nazwisko Ashwortha do wyszukiwarki. Od razu pojawiły się jego akta. Szybko przesunęła wzrokiem w poszukiwaniu interesującej ją informacji - obecnego miejsca służby kaprala Ashwortha.

„Proszę. Oby nie został przeniesiony. Proszę”.

**SŁUŻBA: Edwards AFB, oddelegowany 559.
ZŁOTY SZWADRON. Jezioro Groom.**

Larissa przyjrzała się zdjęciu, zapamiętała twarz kaprala i wylogowała się z systemu. Chwilę później stała na końcu korytarza na poziomie trzecim, unosząc się i opadając niecierpliwie w oczekiwaniu na windę.

Wysiadła na poziomie pierwszym i poszła pospiesznie do głównych drzwi. Cel jej wędrówki znajdował się po przeciwnej stronie bazy, za ciężkimi, metalowymi drzwiami.

Tim Albertsson pokazał jej tunel drugiego dnia pobytu na pustyni.

Dostał rozkaz od generała Allena, aby ją oprowadzić i pomóc się rozeznać w tym miejscu. Praktycznie nie zajęło to nawet połowy dnia: stołówka, sala gimnastyczna, jej kwatery, sale odpraw i hangar. Po zakończeniu oficjalnej wycieczki Tim zaczął jej pokazywać to, co nazwał „tym fajnym”: strzelnice, dziwaczne zamknięte laboratorium na jednym z najniższych

poziomów. I tunel.

Tunel miał prawie kilometr długości i biegł prosto pod pasmem górskim oddzielającym jeziora Groom i Papoose. Kończył się w kompleksie budynków, które świat zewnętrzny nazywał Strefą 51. Była to tylko część rozległej sieci tuneli, krytych przejść i sklepień, które zaprojektowano tak, by chroniły pracowników przed coraz bardziej zaawansowanymi satelitami szpiegowskimi, orbitującymi ponad ich głowami. Teraz służyły czemuś, czego ich projektanci nigdy nie przewidzieli - pozwalały Larissie przemieszczać się pomiędzy bazami w środku dnia.

Dotarła do ciężkich drzwi i przyłożyła identyfikator do panelu obok. Zamki elektromagnetyczne puściły i drzwi otworzyły się na swoich dobrze naoliwionych zawiasach. Larissa weszła do tunelu i zamknęła je za sobą. Potem uniosła się i się rozpędziła. Wystrzeliła do przodu z prędkością, która niejednego patrzącego człowieka przyprawiłaby o zawroty głowy. W jednej chwili unosiła się nieruchomo, a już w następnej była jedynie rozmazaną plamą czerni i lśniącej czerwieni. Prawie kilometrowy tunel pokonała w niecałe pięć sekund. Zatrzymała się z gracją przed drzwiami identycznymi z tymi, przez które przed chwilą przeszła, otworzyła je swoim identyfikatorem i wyszła na okrągłą płaszczyznę wykonaną ze lśniącego metalu.

- Nie ruszaj się - powiedział elektroniczny głos.

Larissa zrobiła, co jej nakazano. Umieszczone w ścianach i suficie maszyny skanowały jej identyfikacyjny chip, robiły zdjęcia i notowały godzinę jej przybycia.

- Możesz iść dalej - powiedział po chwili głos.

Larissa zwalczyła nedorzeczną chęć powiedzenia „dziękuję” i wyszła przez drzwi, które się przed nią rozsunęły.

Znalazła się w centrum kontroli jeziora Groom - dużym, okrągłym pomieszczeniu pełnym radarów, sprzętu monitorującego, odczytów sejsmograficznych i ekranów

przedstawiających odczyty z satelitów. Jedna z oficerów na służbie spojrzała na nią i skinęła głową. Pracownicy centrum przywykli już do tego, że pojawia się w ten sposób. Larissa odpowiedziała jej tym samym i spytała, gdzie znajdzie złoty szwadron.

- Budynek B12 - poinformowała dyżurna. - Wiesz, gdzie to jest?

- Znajdę - odparła.

B12 był niskim, prostokątnym budynkiem w pobliżu centrum kompleksu. Wejście do środka nie stanowiło dla Larissy żadnego problemu. Trasa aż do samych drzwi była zasłonięta szerokim baldachimem, który chronił ją przed palącym słońcem późnego poranka. Złoty szwadron zajmował nieobudowane biurka oraz rząd biur ulokowanych pod tylną ścianą budynku. Kiedy Larissa otworzyła drzwi, usłyszała szum głosów przebywających w środku ludzi, ciągły hałas i rozmowy przez radio, jednostajne brzęczenie z wielu ekranów radarów. Podeszła do najbliższego biurka i przywitała się z siedzącą przy nim kobietą.

- O, witaj. - Kobieta przez chwilę wydawała się zaskoczona, ale potem wysunęła dłoń. - Ty jesteś Larissa, prawda? Nazywam się Carla Monroe.

Wampirzyca uścisnęła jej dłoń i przytaknęła.

- Larissa Kinley - odparła.

Miło cię poznać - rzekła Carla. - Mogę ci w czymś pomóc? Nie chcę być niegrzeczna, ale jesteśmy zawałeni robotą. Dzisiaj przeprowadzamy testy.

- Czym latacie? - spytała Larissa.

- Prototypami F-71 - poinformowała Carla. - Rozpędzamy je do około pięćdziesięciu procent, więc wszyscy są nieco podenerwowani.

- Pięćdziesiąt procent to jak szybko?

- Jakieś pięć i trzy dziesiąte macha.
- Wow.
- No właśnie.
- W takim razie - powiedziała Larissa z szerokim uśmiechem
- nie będę zabierała ci więcej czasu. Szukam kaprala Ashwortha.
- Drugie biuro od lewej. Na tyłach. - Monroe wskazała na drewniane drzwi w przeciwnym końcu pomieszczenia. - To nasz oficer łącznikowy z centrum testowego lotnictwa, więc raczej nie przeszkadzałabym mu, jeśli to nie jest pilna sprawa. Kiedy przeprowadzamy testy, bywa dość wybuchowy.
- Zapamiętam. - Larissa po raz ostatni uśmiechnęła się do Carli Monroe i ruszyła przez długie pomieszczenie. Kiedy dotarła do drzwi, zastukała w nie energicznie i otworzyła. Nie chciała dać kapralowi Ashworthowi okazji, by odmówił jej wejścia.
- Kim ty, do diabła, jesteś? - Ktoś zażądał odpowiedzi, zanim zdążyła zamknąć drzwi.
- Lee Ashworth siedział za biurkiem pod wąskim oknem. Był to szczupły mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu lat z czupryną nieokiełzanych czarnych włosów, zarumienioną twarzą i oczami, które zdawały się pełne niezadowolenia.
- Według Larissy wyglądał na skrajnie zestresowanego człowieka.
- Jestem Larissa Kinley - przedstawiła się. - Z NS9.
- To miało zrobić na mnie wrażenie? - prychnął Ashworth.
- Nie - odparła. - Spytał pan, więc powiedziałam. Ashworth przyglądał jej się przez chwilę, a potem warknął:
- Kinley, czego chcesz? Jesteśmy w trakcie testu, a moja zmiana kończy się dokładnie za dwieście cztery minuty. Wybaczysz więc, ale nie jestem w nastroju do pogaduszek.
- To nie potrwa długo, obiecuję. Chcę jedynie spytać o człowieka, który dotarł tu 22 stycznia przez Bramę 1. Jak tylko mi pan odpowie, zniknę.

Ashworth otworzył szeroko oczy, a rumieńce na jego policzkach niebezpiecznie pociemniały.

- Skąd o nim wiesz? - spytał.

- Nie wiem - odparła. - Dlatego chcę, żeby mi pan powiedział

- To jakiś żart? Masz pojęcie, co mi zrobią, jeśli się dowiedzą, że o tym rozmawiałem?

- Nie dowiedzą się - zapewniła Larissa. - Nie próbuję przysparzać kłopotów. Po prostu muszę wiedzieć, kim on jest. Sądzę, że to może być ważne.

- Nie wiem, kim on jest - skwitował Ashworth. - Taka jest prawda.

- Wierzę panu - stwierdziła Larissa. - Chcę tylko, żeby powiedział mi pan to, co wie. Reszty dowiem się sama.

- Z pewnością - rzekł mężczyzna. - Ale ode mnie nie uzyskasz pomocy. A teraz wynoś się z mojego biura.

Larissa ani drgnęła. Po prostu patrzyła na kaprała, pozwalając, by narosła między nimi atmosfera niepokoju. Biurko Ashwortha było uporządkowane niemal w obsesyjny sposób. Akta, teczki i kartki papieru leżały porozdzielane równiutkimi przerwami, z krawędziami ułożonymi idealnie równoległe. Jedynym osobistym drobiazgiem była fotografia ładnej blondynki obejmującej dwójkę uśmiechniętych dzieci.

- W porządku - powiedziała wreszcie. - Wkrótce porozmawiamy.

- Nie, jeśli będę miał na to jakikolwiek wpływ - rzucił Ashworth.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, potem odwróciła się i wyszła z małego biura.

„Jestem coraz bliżej - pomyślała, wychodząc z budynku BI2. - Namierzę cię, kimkolwiek jesteś”.

Tak bardzo pogрузzyła się w myślach, że nie usłyszała chóru głosów wołających jej imię z głównego placu bazy. Dopiero czując na ramieniu czyjąś dłoń, zorientowała się, że ktoś się do niej zbliżył. Jej wampirza natura zareagowała natychmiast.

Oczy zalała jej czerwień, kły wskoczyły na miejsce, a ona chwyciła rękę i wyrzuciła w powietrze jej właściciela. Nim ten ktoś upadł, zdążyła się obrócić z płonącymi czerwienią oczami i obnażonymi kłami. Stała twarzą w twarz z trojgiem swoich przyjaciół.

- Chryste, Larisso - powiedziała Kara z wyrazem zdumienia na twarzy.

Larissa spojrzała na Kelly i Danny'ego, którzy stali obok, i dostrzegła w ich oczach taki sam szok. A potem usłyszała z tyłu niskie jęknięcie. Poczowała, że z jej oczu znika czerwień, a kły się chowają. Obróciła się, by spojrzeć, co zrobiła, kogo skrzywdziła tym razem.

- Masz niezły chwyt - powiedział Tim Albertsson z uśmiechem. Siedział na asfalcie i obracał jednym ramieniem, sprawdzając zakres ruchów. Jego mundur pokrywał kurz, ale patrzył na nią z rozbawieniem, a nie ze złością, której oczekiwała.

- Jezus - szepnęła, czując narastający wstyd. - Tim, tak mi przykro. Myślami byłam w innym świecie, a potem ty... Naprawdę przepraszam.

- W porządku - odparł, powoli się podnosząc. - Nic się nie stało. To moja wina. Nie powinienem był cię tak zaskakiwać. Zupełnie nie wziąłem tego pod uwagę.

„Jestem niczym dzikie zwierzę - pomyślała Larissa, czując narastającą czarną mgłę nienawiści do samej siebie. - Trzeba wiedzieć, jak ze mną postępować”.

Tim podszedł o krok, zarzucił rękę na jej ramiona i spojrzał na resztę przyjaciół. Z oczu Kary znikł szok, a Kelly i Danny zaczęli się uśmiechać, ale w powietrzu wciąż unosiło się niemal namacalne poczucie zakłopotania.

- Nic się nie stało - powtórzył Tim. - Nie zakradajcie się do niej od tyłu, to moja rada dla waszej trójki. Ryzykowałibyscie życie. - Uśmiechnął się, a Larissa poczuła wdzięczność.

Kara zaczęła się śmiać, Danny i Kelly uśmiechnęli się jeszcze

szerzej i wszystko znów było w porządku.

„Dziękuję” - pomyślała, zerkając na Tima.

Wciąż obejmował ją ramieniem, ale uznała, że może to jeszcze przez chwilę tolerować.

- Jak Kolorado? - spytała.

- Zimne - odparła Kelly, kręcąc głową. - I pełne wampirów.

- San Diego jest słoneczne i pełne skąpo ubranych komandosów - rzuciła Kara. - Czy to poprawiło ci humor?

Kelly pokazała przyjaciółce środkowy palec i się uśmiechnęła.

- A zatem - powiedział Tim, nie odwracając wzroku od Larissy - skoro cię znaleźliśmy, musimy cię natychmiast przetransportować do Krainy Marzeń.

- Rozkazy? - spytała. Kara pokręciła głową.

- Dostaliśmy czterdzieści osiem godzin przepustki.

- Przepustka?

- Czterdzieści osiem godzin wolności, Larisso - powiedział Tim i spojrzał na zegarek. - Oficjalnie mamy wolne od siedemdziesięciu trzech minut. Musimy się spieszyć. Do Vegas jedzie się prawie dwie godziny.

- Vegas? - powtórzyła Larissa. - Jedziemy do Las Vegas?

- My na pewno - powiedziała Kelly, patrząc na przyjaciół. - Ale mieliśmy nadzieję, że zechcesz się do nas przyłączyć. Co ty na to?

Larissa zmarszczyła brwi.

- Dlaczego generał Allen dał nam dwa dni wolnego? Wciąż nie złapaliśmy wampirów z Supermaksą, poza tym jesteśmy w trakcie szkolenia nowych rekrutów i...

- Kogo to obchodzi? - przerwała Kara. - Po prostu się stąd wynośmy, zanim zmieni zdanie.

- Ale to nie ma sensu. - Larissa nie dawała za wygraną. - Nawet nie pracujecie razem. Dlaczego nasza piątka miałaby dostać przepustki w tym samym czasie?

- Przecież wiesz - odparł Tim, uśmiechając się do niej

łagodnie. - Po prostu tego nie mówisz.

Larissa się zastanowiła. Gdyby Allen dał Timowi i jego jednostce specjalnej wolne po Nuevo Laredo, byłaby zaskoczona, ale przynajmniej miałyby to jakiś sens. Jednak tych czterech stojących przed nią osób nie łączyło nic, oprócz...

- To dlatego, że się przyjaźnimy - powiedziała powoli. - Prawda?

- Oczywiście - przytaknął Tim. - Wiesz, że dyrektor cię uwielbia, a przecież nie zostaniesz tutaj na długo. To prezent od niego dla ciebie. My załapaliśmy się przy okazji. Więc chyba rozumiesz, że bardzo nam zależy na tym, żebyś zaakceptowała nasz plan.

- Ale jest tyle do zrobienia - powiedziała Larissa. - Nie wiem, czy możemy...

- Słuchaj, to proste - przerwała jej Kelly. - Gdyby dyrektor uważał, że departament nie przetrwa bez nas tych dwóch dni, nie puściłby nas. Więc przyjmij, że on wie, co robi, jedź z nami do Vegas i podziękuj mu po powrocie. Co ty na to?

Na twarzy Larissy pojawił się szeroki, pełen szczęścia uśmiech.

- Zgadzam się.

SUMA NASZYCH CZĘŚCI

- Uziemiasz mnie? - spytał John Morton. - Mam rację, tak? Jamie pokręcił głową, chcąc zyskać trochę czasu. Nie sądził, że jego rekrut tak szybko domyśli się, dlaczego przyszedł na poziom A do dormitoriów, żeby z nim porozmawiać.

- Nie - odparł. - Nie zrobię tego. Ale powinieneś wiedzieć, a nie chcę, żebyś usłyszał to od kogoś innego, że poprosiłem tymczasowego dyrektora o to, by cofnął ci status czynnego agenta. Nie zgodził się.

Morton mu się przyglądał.

- Nie chcesz mnie w swoim oddziale?

- To nie tak - rzekł Jamie. - Chcę, żebyś był w jak najlepszej formie, gotów stawić czoła temu, co tam na nas czeka. A nie sądzę, byś był przygotowany.

- Nic mi nie jest - zapewnił rekrut. Odsunął krzesło od biurka i odwrócił się, żeby spojrzeć na swojego dowódcę. - Naprawdę, sir. Wszystko w porządku.

- Ja tak nie uważam - powiedział Jamie łagodnie. - Sądzę, że się boisz. - Zobaczył, jak na policzki Mortona wypływa rumieniec, i postanowił od razu rozładować sytuację. - To nie krytyka, Johnie. Każdy przystosowuje się do bycia członkiem Czarnego Filtru w swoim tempie i zaakceptowania rzeczywistości, którą widzi. Nie ma powodu do wstydu.

- Nieraz się bałem, Jamie - powiedział Morton. - Wiem, co to strach. To jest coś innego.

„Ale przyznajesz, że coś jest nie tak - pomyślał Jamie. - To jakiś początek”.

- Co takiego? - spytał. - To zostanie między nami. Przez dłuższą chwilę Morton patrzył na swoje dłonie.

- Afganistan - powiedział wreszcie. - Zeszłe lato. Zostałem przydzielony do batalionu zwiadowczego piechoty morskiej. Działaliśmy na terenie gór w prowincji Helmand. Widziałem wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, i jeszcze parę rzeczy, które są poza zasięgiem wyobraźni. Martwe dzieci, ludzi torturowanych z powodu plotki, kobiety gwałcone przez całe grupy mężczyzn, dlatego że uczyły dziewczynki czytać. Któregoś ranka przyjechaliśmy do wioski, w której ponoć zaszyli się trzej talibscy bojownicy. Przez całą noc bombardowaliśmy okolicę. Drony uderzały z odległości trzydziestu kilometrów. Nie wiem, ile spadło rakiet. Może pięćdziesiąt, a może sto. Nie wiem. Po obu stronach doliny mieliśmy zwiad lotniczy. Potwierdzili, że z żadnej strony nikt nie uciekł.

Kiedy nastał świt, wysłali nas sześciu. Wyszliśmy z za wzgórza po jednej stronie doliny. W miejscu, gdzie znajdowała się wioska, zastaliśmy jedynie gruzy i pył. Nie został kamień na kamieniu, nic się nie poruszało. Szliśmy po prostu środkiem, bo nie było mowy o tym, żeby ktoś to przeżył. Pierwsze ciało znaleźliśmy jakieś dwadzieścia metrów od wioski. To była stara kobieta. Od pasa w dół nie było nic, tylko plama krwi. Leżała twarzą do dołu, w piachu. W centrum znajdował się plac. Ot, wydeptany kawałek ziemi, nie większy od tego pokoju. Dwoje martwych dzieci leżało pośrodku, trzymając się za ręce. W ruinach budynków znaleźliśmy więcej ciał, właściwie ich fragmentów. Prawie wszystkie to były dzieci, było też trochę kobiet. Może dwóch lub trzech mężczyzn, starych i siwych, z brodami aż do kolan.

Dokończyliśmy obchód po drugiej stronie wioski. Znaleźliśmy tam zwłoki nastoletniego chłopaka. Jedyne, co przetrwało, był jakiś wyliniały pies. Jadł ciało chłopaka. Wyjadał wnętrzności z jego brzucha. Jeden z żołnierzy, Brody,

zastrzelił kundla i wróciliśmy na miejsce spotkania. Doliczyliśmy się trzydziestu czterech ofiar. Trzydzieści kobiet, czterech mężczyzn, licząc nastolatka, i siedemnaścioro dzieci. Ani śladu bojowników. A kiedy wróciliśmy do Bastionu, nikt nie był w stanie pokazać nam danych wskazujących na to, że kiedykolwiek tam byli. Wszystko zostało spisane, ale CIA zredukowała większą część raportów, a resztę zamiotła pod dywan. Dwa dni później dali mi medal, a tydzień później wróciłem do domu. To stało się siedem miesięcy temu.

- Jezus - powiedział Jamie. - To okropne. - Właśnie - przytaknął Morton. - Widziałem jeszcze inne rzeczy, niemal tak samo okropne, ale ta okazała się najgorsza. Zupełnie jakby to już nie byli ludzie i to nie tylko dlatego że nie żyli. Nie byli cali. Zostali zniszczeni. Rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

Jamie pomyślał o sterroryzowanych, zbezczeszczonych mnichach z zakonu Lindisfame, o mężczyznach i kobietach torturowanych dla rozrywki przez członków Bractwa Nocy i skinał głową.

- Wiem - przyznał cicho. - Wierz mi.

Morton przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem uśmiechnął się z bólem.

- Wierzę - odparł. - Można poznać, kiedy ludzie widzieli rzeczy, o których nie mogą zapomnieć. To odbija się w ich oczach. Widzę to w twoich. Bałem się w Afganistanie i wcześniej w Iraku. Jeśli się nie bałeś, to albo byłeś idiotą, albo kłaniałeś. Ale wczoraj nie chodziło o strach. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Spróbuj - powiedział Jamie.

- Wampiry - zaczął Morton powoli. - One są... niewłaściwe. Lepiej nie potrafię tego ująć. Stawałem twarzą w twarz z ludźmi, którzy chcieli mnie zabić, byłem w sytuacjach, kiedy mogłem zginąć, częściej, niż mógłbym zliczyć. Nie boję się śmierci Ale one... jakby nie były prawdziwe. Albo nie powinny być. Ale są, i to nie jest w porządku. To wszystko jest

niewłaściwe, sir

- Po prostu potrzebujesz więcej czasu - powiedział Jamie. - Przywykniesz, jestem tego pewien.

- Ellison już doszła z tym do ładu - powiedział Morton. - Urodziła się, żeby to robić, tak jak ty. Może ja nie. Może taka jest prawda.

- Nikt nie urodził się po to, żeby to robić - odparł Jamie. - Jesteś dla siebie zbyt surowy, Johnie. Przegapiłeś szansę na strzał, zacząłeś to sobie wyrzucać i nadmiernie wszystko zanalizowałeś. Tak się czasem zdarza. To nie był ostatni strzał, którego nie wykorzystałeś. Nie to mnie martwi. Martwi mnie to, co mówiłeś potem. Nie mogę mieć w oddziale kogoś, kto ma wątpliwości, czy niszczenie wampirów to dobry pomysł.

Morton przytaknął.

- Rozumiem - powiedział cicho.

Dwaj agenci przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy. Wreszcie Jamie ją przerwał.

- Czy sądzisz, że powinieneś być w czynnej służbie? Bądź szczerzy.

Morton spojrzał na niego.

- Nie wiem. A ty jak uważasz?

- Znasz moje zdanie.

- Chcę pomóc - zapewnił Morton. - Nie chcę tu siedzieć, podczas gdy wszyscy inni są w terenie i walczą. Nie mam czegoś takiego we krwi, sir.

- Nie pomagasz, jeśli przez cały czas muszę się o ciebie martwić - odparł Jamie. - Rozumiesz to, prawda?

- Tak - przyznał Morton.

Jamie patrzył na swojego rekruta. Potem potarł oczy i westchnął.

- Dyrektor zdecydował, że pozostaniesz w czynnej służbie - wyjaśnił - więc tak się stanie. Ale to nie oznacza, że jeśli uznam to za konieczne, nie zostawię cię w vanie.

- Rozumiem, sir.

- Wyślę cię na dół do wydziału naukowego na ocenę psychologiczną. To nie podlega negocjacom.

- Kiedy?

- Teraz. Jak skończymy. Czekają na ciebie.

- Okej - przytaknął Morton. - Coś jeszcze?

- Nie - rzekł Jamie. - Porozmawiamy, kiedy wyniki twojej oceny będą gotowe. Na razie pozostajesz w moim oddziale. Tego chcesz?

- Tak, sir - zapewnił Morton. - Dziękuję, sir.

Jamie czekał przed windą na poziomie A, kiedy konsola zawibrowała mu w kieszeni. Wyjął ją, wdzięczny za powód, by oderwać się od swoich myśli. Oczekiwał, że Morton wpadnie w złość, że będzie mu groził, może nawet go zaatakuje. Ciche, pełne niepewności zachowanie rekruta było bardziej niepokojące.

Zobaczył na wyświetlaczu konsoli migającą ikonę wiadomości, więc uaktywnił ekran.

W SZ Y SC Y/GRUP YOPERACYJNEAKTYWNE/ HARMONOGRAMDZIAŁAŃWKRÓTCE

„Najwyższa pora - pomyślał. - Zamknięcie bazy kosztowało nas już całą noc”.

Konsola ponownie zabrzęczała i na ekranie pojawiła się nowa wiadomość. Był to zaktualizowany harmonogram misji jego oddziału. Jamie szybko go przeczytał. Wydział inwigilacji zidentyfikował drugiego wampira z ich listy jako uciekiniera w średnim wieku, Alastaira Dempseya. Ustalili też, że prawdopodobnie przebywa w centrum Londynu. Grupa operacyjna M-3 miała wyruszyć o szesnastej, żeby kontynuować misję.

Jamie spojrział na zegarek. Miał prawie pięć godzin. Wysłał

harmonogram do swoich agentów wraz z notatką, że mają na niego czekać w hangarze o 15.45. Myślał o przypomnieniu Mortonowi, że jego udział jest warunkowy, ale z tego zrezygnował. Pewność siebie rekruta i tak była już podkopana, więc wątpił, by takie nachalne drażnienie tematu przyniosło pożądany skutek. Kiedy nadjechała winda, nacisnął guzik z literą H, oparł się o ścianę i zamknął oczy.

Chwilę później wyszedł ze służby, która kontrolowała dostęp do bloku więziennego Czarnego Filtru. Skinął głową agentowi siedzącemu za panelem kontrolnym i mszył długim korytarzem. Podeszwy jego butów stuknęły o gładką powierzchnię podłogi.

Mijając cele, które zajmowali Valentin i jego lokaj Lambertson, utkwiał wzrok w ścianę na końcu korytarza. Kątem oka dostrzegł, że najmłodszy z Rusmanovów mu się przygląda, ale zmusił się, żeby iść dalej.

„Nie dzisiaj. Idź do mamy, na miłość boską”. Kiedy zbliżył się do ostatniej celi po lewej stronie, przez ultrafioletową barierę poczuł słodki zapach malinowej herbaty, co obudziło w nim tak głęboką tęsknotę, że było to niemal bolesne. Niósł ze sobą wspomnienia o kuchni w ich starym domu, o stole, przy którym odrabiał prace domowe, podczas gdy jego mama czekała, aż tata wróci z pracy w Ministerstwie Obrony, choć ta praca nigdy nie istniała. Prawda wyglądała zupełnie inaczej, ale jak wyglądała, odkryli długo po śmierci Juliana Carpentera.

Jamie stanął przed barierą z ultrafioletowego światła i się uśmiechnął. Jego mama siedziała na kanapie i popijała herbatę z filiżanki, którą kupił jej pod choinkę, kiedy miał dwanaście lat, i rozwiązywała krzyżówkę. Spojrzała na niego, zanim cokolwiek powiedział, i się uśmiechnęła.

- Witaj, skarbie - rzekła. - Wejdz.

Jamie przeszedł przez barierę, czując przy tym znajome mrowienie na skórze.

- Jak się masz, mamó? - spytał. Nachylił się i uściskał ją. Objęła go w typowy, ostrożny sposób. - Wszystko w porządku?

- Tak. - Puściła go i przesunęła się, aby zrobić mu miejsce na kanapie. - A co u ciebie? Na górze wszystko w porządku?

- Mniej więcej - odparł, opadając na siedzenie obok niej. - Nie mogę ci powiedzieć, co się stało, ale nic mi nie jest. Z Kate i Mattem też wszystko w porządku.

- Ściany zadrżały - powiedziała Marie. Pobladła ze zmartwienia. - Brzmiało to tak, jakby wybuchła bomba.

- Mamó, nie mogę ci nic powiedzieć - powtórzył trochę ostrzej, niż zamierzał. - Przecież wiesz.

- Wiem - rzekła Marie. - Sądziłam, że dasz mi znać, że wszystko z tobą w porządku. Martwiłam się.

Jamie poczuł, że palą go policzki. Wstyd i poczucie winy walczyły w nim o pierwszeństwo.

„Wybuch wstrząsnął całą bazą - pomyślał. - A ona była tu, na dole, całkiem sama i zastanawiała się, co się stało. Przecież równie dobrze mogłem być martwy”.

- Przepraszam - powiedział. - Nie pomyślałem.

- Nigdy tego nie robisz - odparła Marie chłodnym tonem, lecz nie było w nim złości. Przepęniało go rozczarowanie. - Kocham cię, Jamie, bardziej niż cokolwiek na świecie. Wiem, że jesteś zajęty, i wiem, jak ważne jest to, co robisz. Ale jestem twoją mamą i martwię się o ciebie. Przepraszam, jeśli to dla ciebie ciężar.

Jamie poczuł zbierające się w kącikach oczu łzy.

- Nie - zripostował ze ściśniętym gardłem. - Mamó, naprawdę cię przepraszam. Zamknęli bazę na noc, ale powinienem był zejść do ciebie z samego rana. Naprawdę nie chciałem cię martwić.

Uśmiechnęła się do niego z taką miłością, że chłopak miał wrażenie, że rozsadzi mu serce w piersi.

- Wiem, Jamie - rzekła. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że

ci nie zależy. Przysięgam. I jestem z ciebie bardzo dumna. Ale pomyśl i o mnie od czasu do czasu, dobrze?

- Dobrze - odparł. Czuł, jakby jego wnętrze trawiły płomienie wstydu, nienawiści do samego siebie i bezwarunkowej miłości. - Postaram się bardziej, mamó. Obiecuję.

SCHODZĄC POD ZIEMIĘ

CZTERY GODZINY PÓŹNIEJ

- Jezus. - Lizzy Ellison westchnęła. - Żałuję, że to przeczytałam.

Van z grupą operacyjną M-3 w środku kierował się na południe, przemierzając kolejne kilometry dzielące go od stolicy. Ellison i Morton skończyli przeglądanie kartoteki z Broadmoor ich kolejnego celu. Z każdym następnym słowem robili się coraz bledsi. Jamie wciąż nie ochłonął po rozmowie z matką i po przeczytaniu oceny psychologicznej Mortona, więc cieszył się, że ma się czym zająć, choćby nawet było to coś tak makabrycznego jak historia Alastaira Dempsey a.

Osiemnaście lat wcześniej siostra Dempseya wraz z mężem wybrali się na dwutygodniowe wakacje na wyspę Fuerte ventura, zostawiając pod jego opieką ośmioletnią córkę. Sharon i Nick często wyjeżdżali, więc uważali się za szczęściarzy, że mają krewnego, który nie tylko chciał się opiekować Beth, ale na dodatek był nauczycielem szkoły podstawowej i wolontariuszem w Szpitalu Świętego Jana. Wrócili do domu wypoczęci i zrelaksowani i odebrali córkę. Była jakaś przygaszona, ale Sharon pomyślała, że to smutek spowodowany powrotem do domu. Alastair zawsze był jej ulubionym wujkiem.

Następnego ranka Beth powiedziała Sharon, że w ścianach

domu wujka mieszka pewna pani, która jest duchem, i jest smutna, bo płakała w nocy, kiedy Beth leżała w łóżku. Sharon spytała, czy córka kłamie, ale dziewczynka przysięgła na życie swojego chomika, że nie. Kobieta zapytała więc córkę, czy powiedziała wujkowi o tej pani, na co Beth zaprzeczyła. Słyszała ją tylko przez szparę w podłodze pod łóżkiem i myślała, że wujek Alastair jej nie uwierzy.

Kiedy Nick wrócił tego wieczoru do domu, a Sharon opowiedziała mu o wszystkim, tylko się zaśmiał. Beth miała bujną wyobraźnię, czasami aż do przesady, więc Nick uważał, że to po prostu kolejna z jej bajek. Sharon przyznała mężowi rację, ale nie potrafiła o tym zapomnieć. Myśl o kobiecie uwięzionej w ścianach niewielkiego jednorodzinnego domu jej brata była okropna. Dwa dni później jadła lunch z Alastairem i powiedziała mu, co usłyszała od córki. Oboje się z tego śmiali i doszli do wniosku, że w przyszłości

Beth powinna zostać pisarką. Sharon nie myślała o duchu aż do następnej niedzieli, kiedy pojechała po Alastaira, żeby razem z nim odbyć comiesięczną wizytę w ośrodku opieki, gdzie mieszkała ich matka. Dom był pusty.

Po dwudziestu czterech godzinach, kiedy pełne narastającego niepokoju telefony do brata pozostawały nieodebrane, a sąsiedzi, z którymi był na przyjaznej stopie, potwierdzili, że nie mówił nic o wyjeździe, Sharon zadzwoniła na policję. Funkcjonariusze wyważyli drzwi domu, w którym Alastair żył od prawie dwudziestu lat. W środku znaleźli ukryte drzwi prowadzące do piwnicy, o której istnieniu nie wiedzieli ani Sharon, ani Nick. Niewielkie pomieszczenie pod ziemią pomalowano na czarno, wypełniono kamerami i sprzętem nagrywającym. Znajdowały się w nim instrumenty medyczne i stoły z narzędziami. Na samym środku, zawieszoną na rusztowaniu z upręży i bloków, zobaczyli młodą dziewczynę.

Martwą i to od dłuższego czasu.

W ciągu następnych sześciu godzin Alastair Dempsey stał się najbardziej poszukiwanym mężczyzną w kraju. Jego zdjęcie było w wieczornych wydaniach wszystkich gazet i programów informacyjnych, a następnego ranka brukowce zapoczątkowały falę oburzenia i wściekłości. Żądały złapania winnego i raz za razem ostrzegały obywateli, że na wolności grasuje potwór, który szuka kolejnej ofiary.

Sześć dni po odkryciu sekretnej piwnicy i jej zawartości Dempseya złapano w Dover. Próbował wejść na prom płynący do Francji. Gdy zobaczył uzbrojonych policjantów, zaczął uciekać, lecz zagoniony pod kontener, z lufami wymierzonymi w pierś poddał się bez walki.

Proces odbył się rok później i był medialnym cyrkiem. Dempsey został dwukrotnie zaatakowany, kiedy siedział na ławie oskarżonych, więc sędzia musiał zakazać gapiom obecności na sali rozpraw. Alastaira Dempseya oskarżono o jedno morderstwo. Kobietę z piwnicy zidentyfikowano jako prostytutkę Annę Bailey. Lecz dochodzenie w sprawie Dempseya uwzględniało też trzydzieści pięć innych zaginięć kobiet. Wszystkie w ciągu piętnastu lat przed jego aresztowaniem. I chociaż żadnego nie powiązano z Dempseyem, śledczy prowadzący sprawę wyraźnie napisał w kilku tajnych notatkach, że jest przekonany, iż Alastair był winny aż dwudziestu z nich.

Sam oskarżony odezwał się podczas procesu tylko dwa razy - żeby potwierdzić swoje nazwisko i adres. Odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania oskarżyciela i obrońcy, a kiedy został skazany na pobyt na zamkniętym oddziale psychiatrycznym do końca swojego życia, zakończony teraz przez nadnaturalne moce, nie okazał żadnych emocji. Wyrok stał się źródłem słynnego nagłówka *Wyrzucicie klucz*, który pojawił się następnego ranka na głównej stronie „The Globe”.

Trzech agentów siedziało w vanie, obserwując przez cztery zamontowane na karoserii wozu kamery, jak nad stolicą zapada wieczór.

Przed nimi stał zbudowany z kamienia i szkła King's College. Przez zewnętrzne mikrofony Jamie słyszał śmiech i rozmowy studentów opuszczających budynek i idących Strand oraz muzykę dobiegającą z klubu studenckiego na końcu Surrey Street.

- Nie mogę tu dłużej stać, sir - powiedział kierowca przez interkom. - Nie dłużej niż dwie minuty. Przepraszam, sir.

- Żaden problem - odparł Jamie. - Czekamy tylko na odpowiednią chwilę, żeby wyjść.

Rozumiał kierowcę. Duży czarny van za bardzo rzucał się w oczy, żeby parkować na ruchliwej londyńskiej ulicy. Gdy tylko wysiądą, kierowca pojedzie do mniej tłocznej części miasta i będzie czekał na rozkaz, by po nich przyjechać. Problem Jamiego polegał na tym, że on i jego grupa również bardzo rzucaли się w oczy, więc nie chciał stać z nimi na ulicy ani chwili dłużej, niż to było konieczne. Ponownie sprawdził monitory, czekając na przerwę w ruchu, którą mogliby wykorzystać, aby dotrzeć do celu.

Stacja Aldwych, która wciąż nosiła swoje pierwotne miano Strand, stanowiła część linii Piccadilly zamkniętej w 1994 roku. Budynek stacji był teraz zabytkiem, a znajdujące się pod nim tunele i perony wykorzystywano dość regularnie jako tło filmów i programów telewizyjnych. Planowano liczne remonty i renowacje, ale żaden z planów nie zdołał się przedrzeć przez biurokrację, która hamowała wiele projektów w stolicy.

- Wywiad ma pewność, że nasz obiekt tam jest? - upewniała się Ellison.

- Tak twierdzą - odparł Jamie.

- Skąd wiedzą? - spytała. - Wiem, że nasze satelity mogą namierzyć wampiry cieplnym podpisem, ale z Broadmoor w

ciągu pół godziny uciekło ich prawie trzysta. Przecież nie mamy tylu satelitów.

- Nie mamy - przyznał Jamie. - Inwigilacja oznaczyła każdego uciekiniera, ale nie da się wyśledzić wszystkich. Będą namierzać tak wiele, jak zdołają, przynajmniej jednego z listy każdego z oddziałów. Potem porównają to z pozostałymi grupami i sprawdzą na nagraniach z kamer przemysłowych z całego kraju. Kiedy zespół zniszczy namierzony cel, inwigilacja poszuka kolejnego z ich listy na podstawie ostatnich danych, tego, gdzie był widziany i w którym kierunku wtedy zmierzał. Gdy tylko je znajdą, zaczynają śledzić.

- Śledzili Dempseya od Broadmoor aż tutaj? - spytała Ellison.

Jamie pokręcił głową.

- Śledzili Erica Bingham'a aż do Peterborough - odparł - Kiedy go zlikwidowaliśmy, próbowali zidentyfikować jednego z wampirów z naszej listy. Wczoraj w nocy Alastair Dempsey pojawił się na nagraniach z kamer jakieś półtora kilometra stąd. Baza była zamknięta, więc śledzili go aż tutaj. Zgubili go, kiedy zszedł pod ziemię, ale plany pokazały, że to zamknięty system tuneli. To jedyne wejście. Zauważyliby, gdyby wyszedł na powierzchnię.

- Nie ma czegoś takiego, jak zamknięty system - zaprotestowała Morton. - Będą tu włązy awaryjne, kanały wentylacyjne i klatki schodowe na wypadek nagłego zdarzenia. On może być wszędzie.

Jamie przez dłuższą chwilę patrzył na swojego podwładnego

- Możesz mieć rację, agencie - rzekł. - Ale inwigilacja obserwuje teren w promieniu piętnastu kilometrów, a sam tunel ma długość półtora kilometra. Więc.

- Te tunele wiodą do innych tuneli - przerwał Morton - A tamte do jeszcze następnych i tak dalej. Dobrze wiesz, że on może być teraz gdziekolwiek w Londynie.

- Jeśli uważasz, że schodzenie tam nie ma sensu - zaczął Jamie spokojnym tonem - możesz zostać w vanie.

Rekrut przyglądał mu się chwilę, a potem powoli pokręcił głową.

Morton dostał zielone światło od psychiatry z wydziału naukowego niewiele ponad godzinę przed wyruszeniem w teren Ocena, którą Jamie otrzymał na swoją konsolę, była irytująco krótka i skupiała się bardziej na tym, by fizycznie sprawny agent brał udział w akcji, niż na jego psychicznym zdrowiu. Poprosił o więcej szczegółów i koniec końców przez radio odezwał się do mego psychiatra, który upierał się, że rekrutowi nic nie jest. Morton był najwyraźniej myślicielem z niezwykle silnie rozwiniętym sumieniem. To cechy, które - jak powiedział psychiatra wkurzające protekcyjnym tonem - Jamie powinien nauczyć się wykorzystywać, a nie na nie narzekać.

Sam badany pozostał ponury od chwili wejścia do hangaru i podczas drogi z Pętli do Londynu mówił niewiele. Nie był niegrzeczny ani niezdyscyplinowany. Odpowiadał na pytania, chociaż na większość pojedynczymi słowami, a podczas odprawy sprawiał wrażenie, że słucha. Jamie uznał, że ocena psychologiczna stanowiła cios dla jego dumy, co może mu wyjść na dobre. Jeśli zdeterminuje go to do udowodnienia Jamiemu, że się myli, może się to przysłużyć zespołowi. Ale kiedy teraz patrzył na Mortona siedzącego sztywno z tyłu wozu, nie był już tego taki pewny.

- Działamy na podstawie otrzymanych informacji - powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił. - Inwigilacja mówi, że cel jest na dole. Dopóki nie sprawdzimy każdego centymetra kwadratowego tych tuneli i niczego nie znajdziemy, dopóty będziemy zakładać, że mają rację. Czy to jasne?

- Tak, sir - odparł Morton.

- Dobrze - rzekł Jamie. - Jesteś gotowy?

- Tak, sir.

- Ellison?

Członkini oddziału M-3 przysłuchiwała się rozmowie Mortona i Jamiego z narastającym poczuciem zakłopotania malującym się na twarzy.

- Jestem gotowa, sir. Jaki jest plan?

- Wchodzimy frontowymi drzwiami - poinformował Jamie. Ponownie skupił uwagę na ekranach i spostrzegł to, na co czekał: chodnik przed ich wozem opustoszał. - Ruszamy.

Otworzył drzwi vana. Chłodne powietrze napłynęło do środka, kiedy Morton wyskoczył na chwilowo pusty chodnik. Za nim podążyła Ellison z cieniem uśmiechu na ustach. Jamie wysiadł ostatni, zatrzasnął za sobą drzwi i przebiegł w pośpiechu ku jasnej, kamiennej fasadzie budynku stacji, gdzie towarzysze już na niego czekali.

Dwie kłódki wisiały na kracie przed czerwonymi metalowymi drzwiami stacji nienaruszone i pokryte cienką warstwą kurzu. Było oczywiste, że nikt nie dostał się do stacji w konwencjonalny sposób, przynajmniej nie w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jamie spojrział w górę i od razu zobaczył to, czego szukał - rozbite okno na trzecim piętrze.

„To tędy wszedł. Był tutaj, nawet jeśli Morton ma rację”.

Ellison wyjęła z kieszeni niewielki sprej i opryskała kłódkę ciekłym azotem. Rozległ się dźwięk pęknięcia, coś jak mleko lane na płatki kukurydziane. Potem agentka obróciła sprej i zaostrzonym końcem uderzyła w sam środek kłódki. Metal pękł i opadł na chodnik w setkach drobnych kawałków. Morton sięgnął za kraty, rozplątał łańcuch i pchnął jedno ze skrzydeł drzwi.

Część wspaniałości tej wielkiej niegdyś hali biletowej wciąż było widać w zielono-kremowych płytkach, rzeźbionym drewnie wokół kas, wysokich sufitach i łukowatych przejściach. Ale teraz wszystko pokrywał kurz. W świetle latarek widzieli jednak dowody ciągłego użytkowania

budynku: zwoje kabli, przedłużacze, żółte wydruki stron scenariuszy i harmonogramy dni zdjęciowych.

Jamie zwołał towarzyszy, nakazał Mortonowi poprowadzić ich wzdłuż pustych kas i w kierunku długich ruchomych schodów, którymi mieli zejść pod ziemię. Jedna winda jeszcze działała. Służyła do transportowania sprzętu oraz leniwych aktorów i reżyserów na perony, ale teraz była zatrzaśnięta na głucho. Jamie i tak by jej nie użył. Chciał przez cały czas widzieć otoczenie.

Ruszył za Mortonem, a Ellison za nim z pistoletem maszynowym MP5 w dłoniach. Jamie nie wyjął broni, ale jego palce znalazły się bardzo blisko megagnata. Skręcili za róg. Światło ich latarek przesunęło się z boku na bok, oświetlając zielone kafelki na ścianach starej stacji. Nagle Morton podniósł zaciśniętą w pięść dłoń, nakazując grupie się zatrzymać.

- Co jest? - zapytał Jamie cicho.

- Drzwi - odparł Morton. - Wyważone.

Jamie zrobił krok naprzód, dając Ellison znać, by została na miejscu. Korytarz rozszerzał się, żeby pomieścić trzy rzędy ruchomych schodów. Po obu stronach znajdowały się pomalowane na biało drzwi. Jedne z nich zostały wyważone, a zamek trzymał się jedynie na kilku pozostałych cienkich drzazgach.

- Sprawdź to - polecił Jamie.

Morton skinął głową, wyciągnął megagnat i po cichu ruszył naprzód. Sięgnął do drzwi i uchylił je lufą broni. Zaskrzypiały, a potem uchyliły się na ostatnim trzymającym się zawiasie. Był to składzik pełen pustych metalowych klatek. Jamie podszedł do drzwi z megagnatem opartym o ramię. Morton wszedł do środka, obracając się i kucając, żeby oświetlić latarką sufit i odległe kąty pomieszczenia.

- Drzwi - szepnął.

Jamie przytaknął i wszedł do środka. Na końcu składziku

znajdowały się drugie drzwi i też były otwarte. W grubej warstwie kurzu przed nimi zostały ślady stóp prowadzące do miejsca, w którym Jamie właśnie stał. Morton wychylił się do przodu i wsunął głowę do środka.

- Spiralna klatka schodowa - powiedział. - Idzie na górę. Zapewne prowadzi na jedno z pięter nad stacją.

Jamie przytaknął.

- Tędy wszedł - wyjaśnił. - Przez okno, potem po schodach na dół i...

- Jakie okno? - spytała Ellison z korytarza.

- Na trzecim piętrze jest rozbite okno - odrzekł Jamie. - Widziałem je, kiedy wchodziliśmy.

- Dzięki za informację - zauważył z przekąsem Morton.

- Wybaczcie - odparł Jamie. - Sądziłem, że je zauważyliście.

Poświecił latarką po śladach na podłodze. Kończyły się przy wyłamanych drzwiach, ale to wystarczyło. Wiedzieli, dokąd udał się Alastair Dempsey.

- Ruchome schody mają dwadzieścia jeden metrów - poinstruował ich Jamie, wychodząc do korytarza. - Są dwa perony, po jednym z każdej strony. Jeśli nie będzie żadnych śladów, najpierw sprawdzimy wschodni peron. Tunel zamknięto w 1917 roku. Jest zablokowany z obydwu stron.

- A zachodni? - spytał Morton.

- Zamknięty w 1994 roku - rzekł Jamie. - Wciąż leżą tam tory, więc jest przejezdny. Prowadzi prawie kilometr na północ.

- Prawie kilometr? - powtórzył Morton. - Nie sądzisz, że w takim tunelu może się znaleźć kilka kryjówek?

- Więc zaczynamy - rzekła Ellison, patrząc na kolegę ze złością.

Jamie posłał jej krótki uśmiech.

- Racja - powiedział. - Morton, idź przodem.

- Tak, sir - odparł rekrut i ruszył w dół środkowymi schodami. Podeszwy jego butów uderzały o metalowe

stopnie.

Promień z latarki Mortona zatrzymał się na podłodze daleko z przodu. Ellison i Jamie oświetlali okolicę, idąc w dół za nim.

Na dole Jamie od razu zorientował się, że nie było potrzeby sprawdzania wschodniego peronu. Płytki na podłodze pokrywała gruba warstwa pyłu i kurzu. Ślady stóp Dempseya były doskonale widoczne - stawał długie, równomierne kroki. Trop zniknął za łukowatym przejściem na zachodni peron. Na dole było ciemniej. Światła na stacji wciąż działały, ale Jamie nie prosił o ich włączenie. Nie chciał, żeby Alastair Dempsey zorientował się, że ktoś nadchodzi.

Trzej agenci weszli przez łukowate przejście i znaleźli się na doskonale zachowanym peronie. Kafelki na ścianach i suficie były nienaruszone, a wagon metra stał w ciszy tuż przed nimi. Drzwi było otwarte, a siedzenia puste.

- Co, do licha? - spytał Morton cicho.

- Pewnie wykorzystują go podczas kręcenia filmów - odparła Ellison.

- Dostałem gęziej skórki.

- Coś o tym wiem - odparła Ellison i uśmiechnęła się do towarzysza.

Ślady prowadziły na północ, a potem zniknęły na końcu peronu. Jamie poprowadził oddział w tym samym kierunku. Przygotowali megagnaty do strzału, a latarkami rzucali przed sobą jasne, białe światło. Na peronie było ciepło i wilgotno. W gęstym powietrzu unosił się zapach mchu i zgnilizny. Kiedy dotarli na koniec peronu, Jamie zmarszczył nos z lekką odrazą. Opuścił wizjer, przekręcił tarczę przy pasku i włączył filtr termalny. Spojrzał do tunelu. Wyglądał jak czerwona spłaszczona rura bez jakichkolwiek charakterystycznych szczegółów.

„Wilgotność zakłóca działanie czujników - pomyślał, podnosząc wizjer. - Doskonale. Brak filtrów temperatury, brak podglądu satelitarnego i brak zasięgu konsoli. Witamy w

średniowieczu".

Betonowe przejście ciągnęło się jeszcze przez jakieś trzy metry. Potem cztery szerokie stopnie prowadziły na dół, na podłoże tunelu. Wagon górował nad nimi. Obserwowany z poziomu kół wyglądał na niezwykle wysoki. Było w nim też coś przerażającego, jakby jedynie spał. Jamie wyobraził sobie, że jego silnik nagle ożywa, że płaski metalowy przód zmierza w ich kierunku, podczas gdy oni starają się uciekać wzdłuż torów. Zadrżał. Odwrócił się plecami do wagonu i poczuł lekkie napięcie w ramionach. Skierował latarkę w ciemną otchłań tunelu.

Tory zaśniły z światła. Pomiedzy nimi i po bokach podłogę zasypywały pył i ziemia. Pod ścianami leżały uformowane w kopce cegły i foliowe worki pełne Bóg wie czego. Szczury uciekały przed światłem, drapiąc pazurami o podłogę i zostawiając ślady ogonów na kurzu i sadzy.

- Tędy - powiedział Jamie. Jego głos nie brzmiał tak pewnie, jak by tego chciał. Nagle stał się bardzo świadomy tego, gdzie się znajdują, kogo szukają i jak daleko jest ktokolwiek, kto mógłby im pomóc, gdyby coś w tym starym, zapomnianym przez wszystkich miejscu poszło nie tak.

- Do dzieła - rzekła Ellison.

Jamie skinął głową i poprowadził oddział w ciemną otchłań tunelu.

Oświetlali przestrzeń latarkami, których światła co rusz krzyżowały się w oddali. Z góry kapiała woda, tworząc ciemne kałuże pokryte cienką oleistą warstwą. Kable, które doprowadzały zasilanie do oświetlenia, biegły w grubych zwojach po suficie ponad ich głowami. Specjalnie poruszali się powoli - tory były śliskie, a podłoże niestabilne, pełne pęknięć i dziur. Któreś z nich z łatwością mogłoby skrócić sobie kostkę, a od powierzchni dzielił ich kawał drogi.

- Pytanie - szepnął Morton.

- O co chodzi? - odparł Jamie.

- Czy ktoś w ogóle pomyślał, dlaczego Dempsey miałby tu przyjść?

- Co masz na myśli? - spytała Ellison.

- Dokładnie to, co powiedziałem - syknął Morton. - Dempsey nie pracował w metrze, nie był inżynierem ani nawet planistą miasta. Przecież nawet nie mieszkał w Londynie. Więc skąd wiedział o tym miejscu?

- Zapytasz, gdy go znajdziemy - odparował Jamie. - Koniec gadania. Idziemy dalej.

Minęli kilka wyjść awaryjnych, co znaczyło, że Morton dobrze przewidywał. Ale wszystkie były zamknięte i wyglądały na nieotwierane, jak się mogło zdawać, od stu lat. Oddział przemieszczał się stopniowo. Wszyscy troje byli świadomi, że wkrótce dotrą do końca tunelu. Jamie czuł narastające napięcie, które umiejscowiło się w dołku. Sądził, że do tej chwili dojdzie już do konfrontacji z Alastaiem Dempseyem, że nowo przemieniony wampir jedynie chował się w tunelach przed słońcem i szybko go znajda.

Z pewnością go nie przegapili - tunel nie był dość szeroki. Jamie zaczął wierzyć, że Dempsey wrócił po własnych śladach do wschodniego tunelu w nadziei, że jeśli ktokolwiek przyjdzie go szukać, pójdzie ślepo za śladami prawie kilometr w niewłaściwym kierunku. Jamie nie wypowiedział na głos tej okropnej hipotezy. To upewniłoby go tylko, że się pomylił, i musiałby tłumaczyć, dlaczego poprowadził oddział nie w tę stronę, co trzeba. Starał się stłumić w sobie gniew.

„Arogancki, głupi, bezużyteczny” - powtarzał sobie w duchu.

Wtedy dotarli do końca tunelu i zobaczyli, co się tam znajduje.

Okrągłe przejście zamknięto betonowym czopem, który wypełniał je aż po same krańce. Szara ściana była umazana na czarno ziemią i pyłem, zaplamiona zielenią kapiącej wody. Jej powierzchnia wciąż była gładka, poza jednym niewielkim obazarem obok prawej ściany tunelu. Ciemna dziura

pochłaniała tam światło latarek - na tyle duża, by przedostał się przez nią dorosły mężczyzna.

- Okej - zaczęła Ellison powoli. - Tego się nie spodziewałam.

Jamie nic nie powiedział. Ostrożnie stąpając po betonowym gruzie, podszedł do ściany i się schylił. Zaświecił do dziury latarką. Biały promień ujawnił jedynie kilka metrów identycznej ściany, ale wychwycił też jakiś kolor na poszarpanej krawędzi otworu. Jamie podsunął się bliżej i dotknął palmy dłonią w rękawiczce. Spojrzał na swoje palce - były czerwone.

- Tutaj jest krew - szepnął. - Tędy się przedostał.

- Tą dziurą? - odparł Morton. - Chyba żartujesz. Jamie wstał i spojrzał na towarzyszy.

- Nie - odparł. - Nie żartuję.

- Co jest po drugiej stronie? - spytała Ellison. - Dostrzegłeś coś?

Jamie pokręcił głową.

- Wygląda na to, że tunel ciągnie się dalej. Morton zaczął się śmiać dziwnym piskliwym głosem.

- Tunel? Po drugiej stronie tego czopu jest cała sieć metra. Wampir przepadł.

- Możliwe - rzekł Jamie. - Ale chcę wiedzieć, dokąd on prowadzi.

- Przepadł - powtórzył Morton. - Nie możecie tego zrozumieć?

- Dlaczego się buntujesz? - spytała Ellison ze złością. - Coś z tobą nie tak?

- Ze mną?! - krzyknął Morton. W cichym tunelu jego głos wydawał się ogłuszający, a w szeroko otwartych oczach pojawiło się niedowierzanie. - Nie chcę marnować czasu, biegając pod Połową Londynu, ale to ze mną jest coś nie tak?! To z wami jest coś nie w porządku! Przecież to niedorzeczne!

Jamie wpatrywał się w towarzysza. Rekrut miał szeroko otwarte oczy, a skórę bladą niczym płótno. W ostrym świetle

latarki przypominał ducha.

- Agencie Morton - powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił. - Jeśli się nie uspokoisz, odeślę cię na powierzchnię. Tego chcesz?

Morton przyglądał mu się z urazą.

- Oczywiście, że nie. - Po chwili z pogardą dodał: - Sir. Jamie zrobił krok w jego kierunku.

- Mów prawdę, John. Teraz. Dasz sobie radę?

- Nic mi nie jest - powiedział Morton. - Po prostu uważam, że to zły pomysł.

„Nie wyglądasz, jakby nic ci nie było - pomyślał Jamie. - Wyglądasz, jakbyś ledwie się trzymał. Prawie zostawiłem cię w vanie. Teraz żałuję, że tego nie zrobiłem”.

- To już wiemy - odparł. - Ale i tak to zrobimy, więc muszę wiedzieć, czy możemy na ciebie liczyć? W tej chwili tylko to mnie interesuje.

Morton odetchnął głęboko i spojrzał na Ellison. Agentka patrzyła na niego ze zmartwieniem odmalowanym na twarzy.

- Tak, sir - stwierdził, przenosząc wzrok na dowódcę oddziału. - Możecie na mnie liczyć.

Było ciasno, ale trójka agentów przecisnęła się przez otwór, nie rozrywając mundurów i nie niszcząc sprzętu.

Tunel za betonową ścianą miał identyczną strukturę, ale wystarczyło dziesięć kroków, by Jamie zorientował się, że to zupełnie inne miejsce od tego, z którego przyszli. Ściany tego odcinka pomazano farbą - od podłogi aż po sufit pokrywały je graffiti, dzikie różowe, zielone i białe wzory, żółte i złote okręgi. Z półokrągłych ścian spoglądały na nich twarze, groteskowe postacie z wielkimi otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami. Spod wielu warstw farby przebijały litery, tworząc słowa, które wcale nie były słowami. Trzej agenci ostrożnie powiedli latarkami po chaotycznych malunkach.

- To jakieś chore - powiedziała Ellison. - Kto to zrobił? Jamie

pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale to musiało trwać latami.

Morton się nie odezwał. Patrzył na graffiti szeroko otwartymi oczami i z rozdziawionymi ustami.

- Chodźcie - powiedział Jamie. - Idziemy dalej. Szli w niewielkim rozproszeniu na całej szerokości tunelu. Tory skończyły się około stu metrów za betonową ścianą. Ellison zauważyła, że to nie może być fragment głównego systemu tuneli. Jej komentarz zawisł złowroźnie w powietrzu. Jamie nie potrafił powiedzieć nic krzepiącego. Szli więc w ciszy, kiedy światło jego latarki padło na jakiś cylindryczny kształt oparty o ścianę. Zatrzymał się, żeby go obejrzeć.

Był to duży metalowy pojemnik spalony wewnątrz. Na czarnym dnie leżały kawałki przypalonego drewna, a podłogę wokół pokrywały popiół i strzępy gazet. Jamie schylił się, uniósł całą garść i pozwolił, by zawartość wypadła mu przez palce. Ellison i Morton szli dalej. Światła ich latarek lśniły ponad nimi. Jamie obserwował ich, myśląc gorączkowo, a potem zaświecił do pojemnika. Światło padło na coś białego, więc nachylił się, żeby lepiej się przyjrzeć.

Była to niewielka sterta kości kurczaka, dokładnie ogryzionych z resztek mięsa. Jamie przyglądał się im przez dłuższą chwilę, zanim zrozumiał, na co właściwie patrzy. Były to resztki czyjegoś obiadu.

Szerzej otworzył oczy. Potem ruszył biegiem za towarzyszami. Podeszwy jego butów uderzały o podłogę, a promień latarki drgał chaotycznie. Ellison i Morton usłyszeli, że się zbliża, i odwrócili się, by na niego spojrzeć. Na ich twarzach było widać zdziwienie.

- Przygotować się! - krzyknął Jamie. - Tu są ludzie! Przygotować się!

Zatrzymał się i zaświecił w głąb ciemnego tunelu. Na końcu strumienia światła zobaczył poruszające się kształty. Bardzo wiele kształtów.

MIASTO GRZECHU

LAS VEGAS, NEVADA, USA

Larissa była w Las Vegas od nieco ponad osiemnastu godzin. Po tym, jak przyjaciele przekazali jej wspaniałe wieści o przepustce, pobiegła do swojej kwatery, wrzuciła do torby niewielką ilość cywilnych ubrań, które ze sobą przywiozła zza Atlantyku, i zjawiała się w hangarze prawie pięć minut przed czasem. Tim przyszedł kilka chwil później z szerokim uśmiechem na opalonej twarzy. Za nim weszli pozostali przyjaciele. Załadowali się do jednego z SUV-ów, które stały zaparkowane pod ścianą hangaru. Tim zajął miejsce kierowcy, Kelly usiadła obok niego, a Larissa trafiła na tylne siedzenie pomiędzy Karę i Danny'ego.

- Muzyka - zażądała Kara, nim Tim uruchomił silnik.
 - Zajmę się tym - odparła Kelly. Wysunęła kabelek z konsoli auta i podłączyła do swojego telefonu. Nacisnęła odtwarzanie losowe i kiedy Tim przekręcił kluczyk, w aucie rozległy się rytmiczne dźwięki bębnów i gitar basowych.
 - Gdzie Aaron? - spytała Larissa. - Nie jedzie z nami?
 - Nie dostał przepustki - odparł Tim. - Spytałem o to dyrektora, ale powiedział, że jest im teraz potrzebny.
 - W przeciwieństwie do nas. - Kara się zaśmiała. - Najwyraźniej jesteśmy tutaj całkowicie zbędni.
 - Ty z pewnością - odparował Tim, oglądając się za siebie i szczerząc zęby w uśmiechu.
- Dziewczyna wymierzyła w jego kierunku lekki cios, ale

uchylił się, wrzucił bieg i wyjechał z hangaru. Piętnaście minut później minęli Bramę Frontową, a dziesięć minut po tym pędzili na wschód autostradą 375. Duży wóz miarowo pożerał kilometry dzielące ich od Las Vegas.

Przez pierwszą godzinę drogi Larissa czuła takie wyrzuty sumienia, że niemal fizycznie ją to bolało. Zgodziła się z wyjaśnieniem Kelly, że skoro generał Allen chciał zrobić dla niej coś miłego, to powinna być mu wdzięczna i to przyjąć. Ale tę akceptację szybko przesłoniły jej wyrzuty sumienia, jakie odczuwała, gdy pomyślała, co sądziliby Jamie, Kate i Matt o tym, co robiła.

Miała nadzieję, że cieszyliby się przez wzgląd na nią i nie mieliby jej za złe, że skorzystała z okazji, by się trochę zabawić. Ale nie potrafiła siebie o tym przekonać. Oni pracują i walczą, podczas gdy ona będzie piła, tańczyła i grała w kasynie. Kiedy na tle nieba pojawiły się kształty miasta, głęboko pogrzebała te wątpliwości, ale wciąż się w niej czaiły i zdawały się nie do rozwiania.

Zameldowali się w dużym hotelu z trzema wieżami i własną plażą. Kara zadzwoniła do nich zawczasu i Larissa szybko znalazła się w ekspresowej windzie z torbą w jednej dłoni i kartą magnetyczną do drzwi w drugiej. Wysiadła na dwudziestym siódmym piętrze i ruszyła długim, wijącym się korytarzem, aż znalazła swój pokój. Otworzyła drzwi i sięgnęła do włącznika światła, chociaż jej nadnaturalny wzrok pozwalał doskonale widzieć w ciemności. Wtedy zobaczyła widok z okna i zamarła.

„*Wow* - pomyślała. - To niesamowite. Naprawdę całkiem nieźle”.

Przed jej oczami rozciągał się bulwar Las Vegas Strip, otoczony z dwóch stron groteskowymi kopiami najważniejszych budowli świata: wieżą Eiffla, Statuą Wolności, egipskim sfinksem.auta sunęły po ośmiu pasach asfaltu, grube promienie wielokolorowych świateł

wystrzeliwały w nocne niebo, a wszystko było głośnie, jasne i pełne życia.

Larissa oderwała wzrok od panoramy, która była tak bardzo amerykańska, że na twarzy wampirzycy pojawił się szeroki uśmiech, i skupiła uwagę na włączniku światła. Znalazła go na ścianie obok drzwi i przez kilka długich minut zastanawiała się, dlaczego światła nie chciały się włączyć. Już miała rozwalić go na kawałki, kiedy odkryła otwór na kartę otwierającą drzwi jej pokoju. Wsunęła ją i pokój zalało ciepłe, żółte światło. Rozpakowała się, wieszając ubrania w obszernej garderobie i ustawiając kosmetyki na granitowej umywalce w łazience. Potem wyciągnęła telefon z kieszeni i zadzwoniła do Kary. Pilotka helikopterów powiedziała jej, że spotykają się za pięć minut w holu przed zakładami sportowymi. Larissa nie miała bladego pojęcia, gdzie są, ale zapewniła przyjaciółkę, że się tam zjawi.

Od tamtej chwili wszystko zaczęło jej się zlewać.

Znalazła zakłady sportowe, które okazały się jedynie o wiele większą wersją kolektur, jakie można było zobaczyć przy każdej większej angielskiej ulicy, i spotkała się tam z przyjaciółmi. Byli roześmiani i szczęśliwi, na moment mogli zapomnieć o ciężarze NS9 i bawić się bez poczucia winy. Tim poprowadził ich prosto do najbliższego baru i pojawiły się drinki. Nie znikły nawet wtedy, kiedy usiedli przy stole do gry w kości, kiedy Kara zagoniła ich do taksówki, a potem do restauracji w hotelu, który miał przypominać Wielki Kanał w Wenecji. Kolejny alkohol, krótkie wprowadzenie do świata gry w oczko i następna taksówka do ich hotelu, a potem do klubu, który był w zasadzie wielkim czarnym pudełkiem. I taniec.

Tak wiele tańca.

Na tym etapie Larissa dokonała też zdumiewającego, wspaniałego odkrycia. Napięcie mięśnia, który uwidaczniał jej kły i sprawiał, że oczy zachodziły czerwienią, powodowało

natychmiastowe wytrzeźwienie. Jej przyjaciele nie mieli tyle szczęścia. Danny odpadł pierwszy, idąc w noc chwiejnym krokiem i obiecując, że spotkają się na śniadaniu. Kelly była druga. W jednej chwili siedziała na skórzanej sofie w kącie klubu i zagadywała przyjacielsko każdego, kto był skłonny jej słuchać, a w następnej miała zamknięte oczy i cicho pochrapywała.

- Musi iść do łóżka - powiedziała Kara.

- Racja - rzekł Tim i spojrzał przeciągle na Larissę.

„No właśnie - pomyślała wampirzyca. - Kara odprowadzi Kelly do pokoju i zostaniesz z Timem sama. On zasugeruje kolejne drinki, a ty nie będziesz miała powodu, by odmówić. Potem zaproponuje taniec. I wiesz, co potem będzie próbował zrobić. Znowu”.

Przyglądała mu się przez chwilę i ich spojrzenia się spotkały. Tim spuścił wzrok i przeniósł go na Karę.

- Odprowadzę ją - powiedział. - Bawcie się dalej. Zobaczymy się rano.

Kara uśmiechnęła się radośnie i cmoknęła Tima w policzek, kiedy

podniósł zasnąłą, protestującą Kelly na nogi. Poprowadził ją w stronę wyjścia z klubu. Wychodząc, skinął głową do Larissy z nieświadomym uśmiechem na twarzy. Obserwowała go, niepewna tego, co czuła - ulgę, ale też chłód czegoś, co rozpoznała dopiero po chwili.

Odrzucenie.

„Może więcej nie będzie próbował - pomyślała. - Może już mnie nie chce”.

Potem Kara podała jej przerażająco zielonego shota i kiedy Larissa wlała go sobie do gardła, Tim Albertsson znikł z jej myśli. Kilka chwil później razem z Karą wróciły na parkiet, gdzie pozostały tak długo, aż żadna z nich nie była już w stanie stać prosto. Wtedy poszły do łóżek.

Osiem godzin później wszyscy pojawili się na śniadaniu w jednej z wielu hotelowych restauracji.

Cztery pary zmęczonych, przekrwionych oczu patrzyły z zazdrością na Larissę, która czuła się znakomicie. Oczywiście wszyscy poinformowali ją, że jej za to nienawidzą z głęboką, nieustającą zaciekłością. Wampirzyca uśmiechnęła się tylko i radośnie popijała kawę.

Czuła zadowolenie, którego od dawna nie doświadczała. Ciężar, jaki w sobie nosiła - ta przytłaczająca mieszanka nienawiści do swej wampirzej natury, niepokoju o Jamiego i przyjaciół, ciekawości odrzucającej jej rodziny i przyczajonej obecności Drakuli - znikł. Nie była tak głupia, by uważać, że nie pojawi się już nigdy, ale czuła wdzięczność za chwilę oddechu.

Jadła z apetytem, obserwując, jak przyjaciele przesuwają tylko jedzenie po talerzach. Wreszcie skapitowali i Tim poprosił o rachunek.

- Jaki mamy plan na dzisiaj? - spytała, gdy każdy rzucał banknot na środek stołu. - Co chcecie robić?

- Ja chcę umrzeć - jęknęła Kelly. Była blada, a na jej czole pojawiła się cienka warstwa potu. - Możecie mi to załatwić

- Spać - powiedział Danny. Wielkie przeciwsłoneczne okulary zakrywały jego przekrwione oczy

- Spać - powtórzyła Kara niczym echo. - Chcę leżeć przy basenie i spać, aż poczuję się lepiej. Myślę, że zajmie mi to nie więcej niż trzy, cztery dni.

Larissa zaczęła się śmiać. Kara zmarszczyła brwi, ale nie była w stanie utrzymać tej miny. Na jej twarzy ponownie pojawił się szeroki uśmiech, ale szybko znów jęknęła, i to głośno

- A ty co chcesz robić? - spytał Tim, patrząc na Larissę.

- Obawiam się, że przy basenie nie poleżę - powiedziała - Żadne z was raczej nie jest teraz na siłach, by widzieć, jak staję w płomieniach.

- Hej! - Kara natychmiast się wyprostowała i zmarszczyła brwi. - Kompletnie nie pomyślałam. Nie musimy iść na basen, Lanso. Możemy pójść gdzieś.

- Nie bądź niemądra. - Larissa weszła jej w słowo. - Wszystko w porządku. Idźcie na basen. Ja znajdę sobie coś tutaj, w środku.

- Jesteś pewna? - spytał Danny, opuszczając okulary i zerkając na nią. - Kara ma rację, to naprawdę żaden problem

- Jestem pewna - uspokoiła go wampirzyca. - Przez kilka godzin niech każdy robi swoje. A potem możemy się spotkać na wczesną kolację. Może być szósta?

- Brzmi dobrze - powiedziała Kelly. - Jest szansa, że do tego czasu poczuję się jak człowiek.

- W porządku - skwitowała Larissa. - Zatem widzimy się o szóstej przy zakładach sportowych.

- Zgoda - przytaknął Tim. - Widzimy się za kilka godzin.

- Tak - rzekła, wstając od stołu. - Bawcie się dobrze. Może wypijcie jakiś koktajl lub dwa?

Z ust jej przyjaciół dobył się chór protestów. Larissa uśmiechnęła się pod nosem, odchodząc od stolika. Wyszła z restauracji i skierowała się na dół, na piętro z kasynem. Temperatura nieznacznie spadła i poczuła w powietrzu zapach tytoniu i potu, których ogromne zamontowane na sufitach wiatraki nie były w stanie zlikwidować. Szła przez salę kasyna, mijając gromadki studentów i gości wieczorów kawalerskich, rodziny na wakacjach, starych mężczyzn i kobiety spędzających całe dnie na karmieniu jednorękich bandytów i mężczyzn w garniturach ze słuchawkami w uszach, którzy sprawowali nad tym wszystkim pieczę.

Larissa znalazła stolik do gry w oczko z wolnym miejscem, zamówiła kawę u kelnerki, która pojawiła się przy niej w okamgnieniu, i położyła na zielonym filcu pięćdziesięciodolarowy banknot. Nie miała pojęcia, jak długo grała, kiedy przyszedł Tim Albertsson i zajął miejsce obok

niej.

- Jak ci idzie? - spytał.
- Nieźle - odparła z uśmiechem. - Jak było na plaży?
- Gorąco - powiedział. - Dla mnie aż za gorąco.
- Więc dlaczego poszedłeś?
- Bo nie chciałem dać reszcie kolejnych powodów do plotek.

Uśmiech znikł z twarzy Larissy.

- Rozmawiają o tobie i o mnie?
- Oczywiście - przyznał Tim.
- Co mówią?
- Nic złego - zapewnił ją. Zaczynał żałować, że zaczął ten temat, bo w głosie Larissy pojawił się chłód. - Wiedzą, że mi się podobasz. I to w zasadzie wszystko. I może myślą, że ja podobam się tobie. Tak troszeczkę.

„Jezus. Ale się narobiło”.

- Skąd to wiedzą? - zapytała.
- Skąd wiedzą co?
- Że ci się podobam.

Tim wzruszył ramionami.

- Bo im powiedziałem.

Larissa otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Powiedziałem im, bo taka jest prawda, a oni są moimi przyjaciółmi. Wiem, że jesteś z Jamiem i możesz mi wierzyć lub nie, ale szanuję to. Jednak wydaje mi się, że też ci się podobam, i to bardziej, niż chcesz przyznać. Może byłoby inaczej, gdybyś nie miała chłopaka albo gdybyś miała tu zostać na stałe. Ale tak nie jest, a ja nie chcę, żeby między nami było dziwnie, kiedy w przyszłym miesiącu pojedę z tobą do Czarnego Filtru. Dlatego cię znalazłem. Larisso, jesteś moją przyjaciółką i nie chcę między nami żadnych nieporozumień.

- Mówisz poważnie? - spytała. - Bo jeśli nie, powiedz mi to od razu. Bardzo się wkurzę, jeśli uznam, że wszystko jest w

porządku, a ty znów będziesz próbował mnie pocałować, gdy tylko nadarzy się okazja. Swoją drogą, to było paskudne zagranie.

Tim przytaknął.

- Masz rację - odparł. - Naprawdę taki nie jestem. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Dałem się porwać chwili.

- Wierzę ci - powiedziała. - I już jest w porządku. Pod warunkiem że to się nie powtórzy.

- Nie - zapewnił ją Tim. - Nie mam zamiaru ci podpadać. Widziałem, co potrafisz. Pamiętasz?

Zaśmiała się i poczuła, że opada z niej część napięcia.

- Więc między nami wszystko dobrze? - spytał. - Nie zrobię nic równie głupiego lub nie na miejscu, a ty zabierzesz mnie ze sobą do Czarnego Filtru. Umowa stoi? - Wyciągnął dłoń.

Larissa przewróciła oczami, widząc tę udawaną formalność, ale uściśnęła mu rękę.

- Umowa stoi - odparła. - A teraz zamknij się i graj.

Grali przez następne dwie godziny, aż Larissa oświadczyła, że idzie się szykować do kolacji.

Tim przytaknął i stwierdził, że rozegra jeszcze kilka partii. Zostawiła go przy stoliku, przeszła przez kasyno i weszła do windy. W pokoju wypłała dwa litry krwi, które przywiozła ze sobą z Krainy Marzeń, rozebrała się i weszła pod ogromny prysznic zajmujący połowę łazienki. Pozwoliła, by gorąca woda oczyściła jej myśli; miała nadzieję, że zmyje też obietnicę, której złożenia już zaczęła żałować.

Tim Albertsson miał obsesję na punkcie Czarnego Filtru. Jego dziadek był żołnierzem w szwedzkiej armii i przez ponad dwie dekady członkiem FTB, niemieckiego biura do spraw paranormalnych. Kiedy Tim został zwerbowany do NS9, jego dziadek nabił mu głowę opowieściami o europejskich departamentach - ich historia i lokalizacja w pobliżu miejsca

narodzin wampirów przydawały im aury, z którą departamenty z innych kontynentów nigdy nie mogły się równać. Lecz przede wszystkim opowiadał wnukowi o Departamencie 19, o miejscu, przez które przewinęły się legendy: Van Helsing, Harker, Seward, Holmwood.

Tim złożył wniosek o przeniesienie do Czarnego Filtru trzykrotnie w ciągu pięciu lat, ale za każdym razem uznawano go za zbyt cennego dla NS9, by pozwolić mu odejść. Teraz generał Allen zagwarantował Larissie całkowitą swobodę w wyborze sześciu agentów, których miała zabrać ze sobą do Anglii, zakładając, że będą mieli stopień niższy od majora. To wydawało się jak najbardziej w porządku. Nie mogła przecież oczekiwać, że dyrektor NS9 pozwoli jej przetrzebić kadrę dowodzącą departamentem, nieważne jak bardzo chciał pomóc Czarnemu Filtrowi stanąć na nogi. Ta gwarancja, o której powiedziała Timowi któregoś wieczoru w Jadłodajni Sama, stanowiła odpowiedź na jego modlitwy, szansę na to, by spełnił swoją wielką ambicję.

„Nie mogę go ze sobą zabrać - myślała. - Miałby spędzać czas ze mną, z Jamiem, Kate i Mattem? Nie, po prostu nie mogę. To nikomu nie przyniosłoby nic dobrego. Mam nadzieję, że to zrozumie”.

Larissa zakręciła wodę, wytarła się i włożyła ładną szarą sukienkę, kupioną jej przez mamę na Gwiazdkę, zanim została przemieniona. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie zapakowała do małej torby, podczas gdy jej matka stała na parterze i krzyczała do słuchawki, że policja ma przyjechać i zabrać jej córkę. Sukienka wciąż na nią pasowała, ponieważ w chwili. Gdy Grey zatopi kły w jej szyi, Larissa przestała rosnąć. Poprawiła się przed lustrem, czując napływ bolesnej tęsknoty. Myślała o tym świątecznym poranku, kiedy włożyła ją po raz pierwszy. Była pełną marzeń szesnastolatką, mającą przed sobą całe życie „Już jej nie ma - myślała. - Znikła dawno temu”.

Wysuszyła włosy, pozwalając, by opadały jej wokół twarzy i na ramiona, delikatnie się umalowała i zeszła na dół na spotkanie z przyjaciółmi. Zastanawiała się, co szykuje dla nich ta noc.

Klub był najbardziej absurdalnie wyglądającym miejscem, jakie Larissa w życiu widziała.

Znajdował się w dużym półokrągłym pomieszczeniu, wypełnionym po brzegi skąpo odzianymi postaciami wijącymi się i wirującymi w rytm muzyki house, która wprawiała podłogę w wibracje i przenikała ją na wskroś. Pierścień stolików z czerwonymi skórzanymi ławami i rurami dla striptizerek otaczał obniżony parkiet. Daleko po lewej, przy długim barze wydawano drinki każdego rozmiaru, kształtu i koloru

Tim zawołał coś, próbując przekrzyczeć muzykę, ale nawet supersłuch Larissy nie był w stanie tego wychwycić. Spróbował ponownie, ale ona tylko wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Wreszcie ułożył dłoń tak, jakby trzymał w niej szklankę, i uniósł ją do ust. Wskazał na resztę przyjaciół, którzy przytaknęli i unieśli w górę kciuki. Potem precyzyjnie skierował się do baru z Kelly depczącą mu po piętach, a Danny wskazał na parkiet i uniósł brwi. Kara i Larissa pokiwały z aprobatą głowami i we trójkę zaczęli schodzić po schodach. Larissa mocno trzymała w ręku swój płaszcz.

Niemal natychmiast się rozdzielili.

W jednej chwili była tuż za przyjaciółmi, a już w następnej stała całkiem sama. Rozejrzała się po masie wijących się ciał szukając Kary lub Danny'ego, ale nie znalazła żadnego z nich. Postanowiła spróbować z innego kąta. Powoli ruszyła w kierunku szerokiego basenu, który znajdował się tuż za otwartymi drzwiami, na skraju głównej sali klubu.

Wyszła na zewnątrz, na ciepłe, wieczorne powietrze, i zaczęła

się rozglądać. Basen miał szeroką krawędź i ledwie piętnaście centymetrów głębokości. W płytkiej wodzie z zapalem tańczyli mężczyźni i kobiety. Chlapali, tupali i od czasu do czasu się przewracali. Wiele kobiet rozebrało się do góry od bikini, czym zyskały podziw widzowi. Larissa zostawiła ich w spokoju i obeszła basen. Pierścień dwupiętrowych chatek był pełen ludzi pijących piwo i palących cygara. Znajdującą się po lewej wysepkę pośrodku akwenu wypełniały automaty i stoliki do gry. Larissa uśmiechnęła się wesoło. W Las Vegas szansa na hazard zawsze była zaledwie kilka sekund od ciebie.

Już miała pójść w kierunku gier, chcąc rozegrać partię lub dwie w oczekiwaniu na to, aż przyjaciele ją znajdą, kiedy do jej nozdrzy doleciał znajomy zapach. Z trudem utrzymała normalny kolor oczu i zahamowała wysunięcie się kłów. Ten intensywny aromat czuła jedynie w tych chwilach, kiedy miała na sobie mundur i broń w ręku. Zapach innego wampira.

Larissa zatrzymała się i rozejrzała po tłumie. Przy basenie było mniej osób niż w środku, ale i tak panował tłok. Ludzie chodzili po wilgotnych kamieniach i tłoczyli się przy przebieralniach, śmiali się, gawędzili i krzyczeli. W ogóle nie zwracała na nich uwagi, szukała czegoś innego. I wtedy - zupełnie jakby z dachu budynku ktoś włączył i nakierował światło reflektora - Larissa ją zauważyła.

Wampirem okazała się kobieta w wieku dwudziestu kilku lat, ubrana w niebieską letnią sukienkę i z drinkiem w kształcie próbówki w dłoni. Wizerunku dopełniały włosy w kolorze miodu i gładka blada skóra. Kobieta szła powoli wzdłuż krawędzi basenu, mocząc bose stopy w płytkiej wodzie. Nie było w niej nic, co by ją wyróżniało spośród wszystkich pięknych kobiet w klubie, ale Larissa nie miała wątpliwości. Po prostu wiedziała.

Szybko podeszła do kobiety, nie odrywając od niej oczu. Okamgnieniu była przy niej. Odezwała się cicho:

- Jesteś taka jak ja.

Kobieta się odwróciła z wyrazem irytacji na twarzy. Przez ułamek sekundy Larissa dostrzegła czerwień w kącikach jej zielonych oczu.

- Znamy się? - spytała. Larissa pokręciła głową.

- Nie - odparła. - Ale wiesz, czym jestem. Jesteśmy takie same.

Kobieta zmrużyła oczy i wyglądało na to, że zamierza zaprotestować, lecz

zamiast tego na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Skąd wiedziałaś? - spytała.

- Nie jestem pewna - przyznała Larissa. - Poczułam zapach innego wampira, ale nie mam pojęcia, skąd wiedziałam, że to ty. Po prostu to wyczułam.

- Czujesz mój zapach? - spytała kobieta. Uśmiech zamarł na jej twarzy. -

O czym ty mówisz?

- To nie jest przykra woń - sprostowała szybko Larissa. - Właściwie... cóż. Ty tego nie czujesz? Kiedy w pobliżu jest inny wampir?

Kobieta odchyliła głowę i głęboko nabrała powietrza.

- Coś czuję - powiedziała wreszcie. - Jakby na krawędziach, jeśli to ma sens. Czy to ty? Larissa przytaknęła.

- To dziwne. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie czułam?

- Nie wiem - rzekła dziewczyna. - Może nigdy nie byłaś w towarzystwie innego wampira? - Sam pomysł wydawał jej się niedorzeczny. Nie potrafiła sobie wyobrazić świata, którego wampiry nie byłyby stałym elementem.

- Z jednym się umawiałam - odparła kobieta. - To był facet w LA. Jedyne, jakiego poznałam, przynajmniej z tego, co mi wiadomo.

- Wow. - Larissa nie wiedziała, co innego powiedzieć.

- O co chodzi? - spytała tamta. - Poznałaś wiele wampirów?

Larissa się uśmiechnęła.

- To spore niedopowiedzenie.

- Naprawdę? - Kobieta się zdziwiła. - Jestem Chloe. Napijesz się ze mną drinka? Wydaje mi się, że mamy o czym rozmawiać.

- Sądzę, że masz rację. Jestem Larissa. I zdecydowanie przyda mi się piwo.

Chloe się uśmiechnęła i wzięła Larissę za rękę. To było dziwne uczucie, ale pozwoliła kobiecie zaprowadzić się do baru na wysepce hazardowej, gdzie Chloe zamówiła piwo i dolewkę swojego ogromnego koktajlu. Kiedy podano ich napoje, Larissa poszła za wampirzycą pomiędzy stolikami do gry w kości na skraj wysepki. Tam Chloe usiadła, zanurzając nogi w wodzie. Po chwili Larissa zdjęła buty i również usiadła, kładąc obok swój płaszcz.

- Kiedy zostałaś przemieniona? - zapytała.

- Przemieniona? - powtórzyła Chloe, jakby kosztowała tego słowa. - Więc tak to się oficjalnie nazywa?

- Nie ma oficjalnej nazwy - odparła Larissa. - Ale tak to niektórzy nazywają.

- To było jakiś rok temu - odpowiedziała Chloe. - Ktoś ugryzł mnie w klubie w Nowym Orleanie. W weekend Super Bowl. Nie myślałam o tym do następnego ranka, kiedy rozsunęłam zasłony i moja ręka stanęła w ogniu. - Dziewczyna się uśmiechnęła, a Larissa odpowiedziała jej tym samym.

- Jak przerwałaś pierwszy głód? - spytała.

- Zabiłam psa - powiedziała Chloe bez emocji. - Należał do homoseksualnej pary mieszkającej w domu nieopodal nas. To był mały, wiecznie szczekający psiak, ale wystarczył. A ty? Kiedy zostałaś przemieniona?

- Prawie trzy lata temu - wyjaśniła Larissa. - Stary facet ugryzł mnie na jarmarku w Anglii. Stamtąd pochodzę. Chyba chciał, żebym umarła, choć nie jestem pewna. Jeden z jego ludzi zlitował się nade mną, dał mi trochę krwi i powiedział, że jest miejsce, gdzie mogę pójść, ale odmówiłam. Myślałam,

że rodzice mi pomogą.

- Nie pomogli?

- Nie - przyznała Larissa ze smutnym uśmiechem. - Przez pół roku mieszkałam na ulicy.

- To dziwne - rzekła Chloe. - Dopóki nie spotkałam Dereka, to ten facet, o którym wspominałam, sama musiałam wszystko rozgryźć. Krew, słońce, unoszenie się w powietrzu... Ale przetrwałam.

„Unoszenie się - pomyślała Larissa. - Powiedziała »unoszenie się«, nie »latanie«".

- Przykro mi - rzekła. - Trudno być samemu.

Przez jakąś minutę siedziały w ciszy. Larissa powoli machała nogami w wodzie, czując, jak drobne fale na powierzchni obmywają jej skórę.

- Miałaś kiedyś jakieś problemy? - spytała wreszcie. - Odkąd zostałaś przemieniona?

- Jakie problemy? - Chloe nie bardzo wiedziała, o co chodzi.

- Czy ktoś próbował cię zabić? O tego typu kłopotach mówię.

Chloe zaczęła się śmiać.

- Nikomu nie robię krzywdy, więc dlaczego ktoś miałby mieć ze mną jakiś problem? Poza tym kto by to miał być? Gliny?

- Tak jakby - rzekła Larissa. - Istnieją ludzie, którzy niszczą wampiry. To organizacje wojskowe, ściśle tajne. Nie słyszałaś o nich?

- Nie - odparła Chloe. - Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Skąd o nich wiesz?

„Zakładałam, że wszystkie wampiry wiedzą".

- Ktoś mi powiedział - skłamała. - Mężczyzna, którego poznałam w Rzymie. Taki jak my.

Chloe się uśmiechnęła.

- Wydaje mi się, że chyba próbował zrobić na tobie wrażenie. Opowiedział ci nieprawdopodobną historyjkę i ubarwił ją, żeby była seksowna i niebezpieczna.

- Pewnie masz rację - odpowiedziała Larissa z uśmiechem. -

Powiedział mi też, że Drakula jest prawdziwy.

Tym razem Chloe wybuchła śmiechem.

- Drakula? - dopytała. - Ten wapniak ze starych filmów? W pelerynie?

- Ten sam. Chyba przemieniał się w nietoperza.

- Chciałabym to umieć. - Chloe zachichotała. - To mogłoby być superprzydatne.

Larissa się zaśmiała i dokończyła piwo. Odstawiła pustą butelkę i spojrzała na kobietę.

- Miło mi się z tobą rozmawiało, Chloe - powiedziała. - Ale lepiej pójdę poszukać swoich przyjaciół.

- Spoko - odparła tamta. - Ja tu jeszcze przez chwilę zostanę. Uważaj na siebie.

„Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - pomyślała Larissa. - Ale się postaram”.

Zostawiła Chloe siedzącą ze stopami w wodzie i skierowała się do głównej sali klubu. Wcisnęła się przez otwarte drzwi i wpadła prosto na Tima Albertssona, który niósł dwa piwa. Uśmiechnął się, krzyknął jej imię na tyle głośno, że zdołała je usłyszeć, i podał jedną z butelek. Zawołała w podziękowaniu i nie protestowała, kiedy wziął ją pod ramię i ponownie wyprowadził na zewnątrz.

- Przepraszam - powiedział, kiedy już oddalili się od drzwi. - Nic tam nie słyszałem. Pojawiła się połowa bazy lotniczej, wszyscy zalani w trupa. Z pół godziny się przez nich przeciskałem. Gdzie pozostali?

- Kiedy ostatnio widziałam Danny'ego i Karę, zmierzali na parkiet - odparła. - Myślałam, że Kelly była z tobą.

- Zgubiłem ją, zanim dotarłem do baru - wyjaśnił. - Wygląda na to, że jesteśmy sami.

Uśmiechnął się, a Larissa pociągnęła długi łyk z butelki, odchylając się tak, że jej wzrok padł na sufit. Gdy opuściła

głowę, Tim był już blisko, jego twarz znajdowała się ledwie pięć centymetrów od jej. Wbił w nią spojrzenie i Larissa poczuła ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa.

- Nie - ostrzegła. - Obiecałeś.

- Nie pocałuję cię - powiedział, ledwo łapiąc oddech. - Ale chcę tego. I wiem, że jakaś częśćka ciebie pragnie, żebym to zrobił.

Stali nieruchomo, jakby zawieszeni w nicos'ci. Czas zdawał się nie płynąć, a każda sekunda trwała całą wieczność. Nagle w kieszeni płaszcza Larissy rozdzwonił się telefon, przełamując czar zabójczej, niebezpiecznej chwili. Zarumieniła się i szybko wyłowiła aparat z kieszeni, robiąc przy tym krok w tył i tworząc dystans między sobą i Timem. Na ekranie pojawiło się tylko jedno słowo:

JAMIE

Gdy patrzyła na imię swojego chłopaka, załapała ją gorąca fala gorzkiego wstydu.

„Nic nie zrobiłam. Nic nie zrobiłam”.

Nacisnęła ODRZUĆ i włożyła telefon z powrotem do kieszeni płaszcza. Potem podeszła do Tima, czując w kącikach oczu znajomy żar.

- Wystarczy - powiedziała, starając się nie dopuścić, by jej głos brzmiał jak warczenie. - Dość tego.

Tim przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

- Przepraszam - odparł. - Znajdźmy pozostałych, dobrze? Larissa kazała mu czekać na odpowiedź.

- Okej - odezwała się wreszcie. - Chodźmy.

Tim ruszył w kierunku parkietu. Poszła za nim, patrząc na krzykliwe bogactwo klubu z palącą odrazą. Zupełnie jakby po raz pierwszy tak naprawdę widziała to miejsce. Jej telefon znów ożył. Miała ochotę zawyć z frustracji. Zobaczyła na

ekranie imię Jamiego i ponownie nacisnęła ODRZUĆ.

„Co jest ze mną nie tak? - myślała. Słowa były ostre i palące. - Dlaczego jestem w tym okropnym miejscu, kiedy moi przyjaciele starają się ratować świat? Co ja, u diabła, robię?”.

Przepchnęła się przez tłum, nie zważając na to, że jej łokcie i ramiona wbijały się w innych ludzi. Cieszyły ją okrzyki bólu i zniewagi słane pod jej adresem. Lotnicy, o których wspominał Tim, zajęli pół tuzina stolików po jednej stronie parkietu. Wyglądało na to, że jest ich kilkudziesięciu, większość miała na sobie galowe mundury. Krzyczeli i pili shoty jednego po drugim. Przyciągnęli uwagę całej grupy zachwyconych dziewcząt, a te wspinały się na stoliki, żeby się do nich przyłączyć. Ich obnażone brzuchy i uda lśniły w świetle obracających się klubowych reflektorów. Larissa zatrzymała się i obserwowała to z narastającą odrazą. A potem morze granatowych mundurów rozstało się, a ona aż gwałtownie nabrała powietrza.

Na samym środku jednej z czerwonych kanap, trzymając w jednej dłoni do połowy opróżnioną butelkę wódki, a drugą obejmując brunetkę, która ledwie wyglądała na taką, co może już pić, siedział Lee Ashworth. Kapral gawędził wesoło z jednym z kolegów, podczas gdy dziewczyna całowała go w szyję. Mężczyzna pociągał od czasu do czasu z butelki, kompletnie niepomny tego, co się wokół niego dzieje.

W pamięci Larissy pojawił się pewien obrazek - stojące na biurku kaprała zdjęcie blondynki z dwoma uśmiechniętymi dziećmi.

Wyjęła telefon z kieszeni, kliknęła ikonę aparatu, zrobiła zbliżenie na Lee Ashwortha i wykonała serię kilku zdjęć. „Mam cię” - pomyślała.

Odwróciła się i dogoniła Tima, który wciąż przeciskał się przez tłum. W głowie miała tylko jedno. Wiedziała, że w ostatnich tygodniach ta myśl zbyt rzadko świeciła jej w głowie.

„Jamie, tęsknię za tobą. Chciałabym, żebyś tu był”.

...WISI NA WŁOSKU

Jamie Carpenter zatrzymał się przed towarzyszami, chwycił swój MP5 i jednocześnie zatrzasnął wizjer. Młodzi agenci patrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Co, do... - zaczął Morton, ale Jamie mu przerwał.

- Zamknij się - syknął. - Wizjery. Broń. Nie jesteśmy tutaj sami.

Oczy Mortona stały się jeszcze większe, ale potem górę wzięły szkolenie i instynkt. Opuścił wizjer kasku, wyjął zza pasa MP5, uniósł do ramienia i mocno przycisnął latarkę do magazynku pistoletu maszynowego. Ellison zrobiła to samo. Trzej agenci przemieszczali się razem, odwrócenie do siebie plecami tworząc zwarty trójkąt. Trzy promienie ostrego światła przesywały ciemność.

Jamie powoli przesunął latarkę w lewo i w prawo, ale w świetle nie ujrzał nic poza graffiti pokrywającym ściany tunelu. Wydawało się, że w mroku coś się porusza, ale kiedy kierował na to promień, zniknęło.

- Tutaj nic nie ma - szepnął Morton. - Masz przywidzenia.

- Wiem, co widziałem - rzekł Jamie, wpatrując się w ciemność. - Coś się poruszyło.

- Już tego nie robi - odparł Morton.

Jamie go zignorował. Widział, że coś tam jest, był tego pewien i nie chodziło o szczury ani bezdomne psy, ani nawet miejskie lisy. To było zbyt duże.

- Sir, co robimy? - szepnęła Ellison. - Nie możemy tak tutaj stać.

Jamie zaklął siarczyście.

- Wiem - powiedział. - Dajcie mi pomysleć.

„Coś widziałem - powtarzał do siebie. - Jestem tego pewien”.

Gdzieś przed nimi - w ciemnym tunelu trudno było ocenić odległość - rozległo się ciężkie metaliczne uderzenie, a zaraz po nim niski szum. Po chwili światła się zapaliły i Jamie zobaczył, że się nie mylił.

Jego oddział został otoczony przez tłum mężczyzn i kobiet, razem około trzydziestu osób. Kilka było uzbrojonych - miały kłody drewna, metalowe rurki, a jedna trzymała coś, co wyglądało jak szkielet parasolki - ale nie były tym, co Jamie zauważył, gdy jego oczy przyzwyczajały się do światła. Jego uwagę przyciągnęła prosta, niezaprzeczalna prawda - ci ludzie, którzy wyłonili się z mroku, stanowili najdziwniejsze zbiorowisko, jakie kiedykolwiek widział.

Większość z nich była brudna, z rękami i twarzami ciemnymi od kurzu i ziemi. Ich ubrania przypominały szmaty, ale kolorowa farba lśniła na ich skórze i poszarpanym ubraniu. Koła i zawijasy wyglądały na namalowane bardzo ostrożnie. Włosy, u większości z nich długie, mieli poskręcane w szpikulce i fale i przyozdobione kwiatami, piórami i kawałkami aluminiowej folii, która wyglądała jak papierki po cukierkach. Kilka osób było nagich, ale ich ciała pokrywała farba. Jeden mężczyzna, z twarzą pomalowaną jaskrawą czerwienią i zielenią, nosił ciemnoniebieski garnitur i trzymał teczkę. Miał rozczochrane wielobarwne włosy, ale jego wzrok zdawał się nieobecny. Wyglądał na zagubionego, jakby któregoś dnia w 1986 roku wyszedł na lunch i obudził się pod ziemią ćwierć wieku później.

- Opuśćcie broń - polecił Jamie przez system mikrofonów, tak że słyszeli go tylko członkowie oddziału. - Nie róbcie nic, chyba że wydam wam polecenie.

Ellison i Morton nie odpowiedzieli, ale zrobili, co im kazał, pozwalając, by broń zawisała im po bokach z lufami

skierowanymi do ziemi.

Z grupy wyłoniła się kobieta z drewnianym kijem i zrobiła krok do przodu. Kiedyś musiała mieć ładną twarz - to było oczywiste, choć teraz powlekały ją warstwy brudu i odpadającej farby. Nosiła krótką powiewną sukienkę, która dawno temu mogła być żółta, ale teraz miała barwę ciemnej szarości z brązowymi i czarnymi plamami. Stojąc na jednej bosej stopie, a drugiej w starym brązowym sandale, spoglądała na trójkę agentów z wyraźną nieufnością.

- Jesteście z policji? - spytała. - I nie kłamcie. Potrafię rozpoznać łgarzy.

- Nie - odparł Jamie. - Nie jesteśmy z policji.

- Żołnierze?

- Tak jakby - powiedział.

- Masz tam pod spodem jakąś twarz?

Jamie się zawahał, ale sięgnął w górę i odsłonił wizjer. Po chwili usłyszał, że Morton i Ellison zrobili to samo.

- Młodzi - powiedziała kobieta. - Co was tu sprowadza?

- Szukamy kogoś - poinformował Jamie. - Prawdopodobnie przyszedł tu ubiegłej nocy.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Wiele osób przychodzi tutaj w nocy.

- Jego wcześniej nie widzieliście. Na pewno by się wyróżniał. Ruszałby się szybciej niż większość ludzi. Może miałyby coś nie tak z oczami.

- Wampir? - spytała kobieta. - Od czasu do czasu tu przychodzą. Ale nie pozwalamy im zostać. Nie można mieć pewności, że będą w stanie się kontrolować.

Mina Jamiego sprawiła, że kobieta zaczęła się śmiać.

- Mnóstwo ludzi wie o wampirach, młody żołnierzu. Jeśli dość długo żyjesz w cieniu, dowiadujesz się pewnych rzeczy.

- Mieszkacie tutaj? - spytała Ellison.

- Coś w tym złego? - odparowała kobieta.

- Nie - odpowiedziała Ellison pospiesznie. - Byłam ciekawa.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, panienko. Pamiętaj o tym.

- Nie chcemy sprawiać problemów - powiedział Jamie, rzucając Ellison ostrzegawcze spojrzenie. - Wampir, którego szukamy, to skazaniec. Jeśli nas do niego zaprowadzicie, szybko stąd znikniemy.

- Nie obchodzi mnie, co zrobił - powiedziała kobieta. - Większość z nas ma na koncie postępkę, których żałuje. Dlaczego mielibyśmy was do niego zabierać? Oczywiście o ile w ogóle tutaj jest.

„Ponieważ nasza trójka mogłaby was zabić i nawet się przy tym nie zasapać - pomyślał. - I nic nie potrafilibyście na to poradzić”.

- Ponieważ on jest niebezpieczny - odpowiedział. - Uwierzcie mi, nie chcecie go w swoim domu. Ile macie tutaj kobiet?

- Trochę - odparła wymijająco. - A o co chodzi?

Jamie nic nie powiedział. Pozwolił, żeby sama dodała dwa do dwóch. Ucieszył się, kiedy zobaczył na jej twarzy niepokój, gdy powiązała ze sobą pewne fakty.

- Może będę mogła wam pomóc - odparła powoli. - Jak się pan nazywa, panie żołnierzu?

- Jamie.

- Jamie jak?

- Obawiam się, że Jamie musi ci wystarczyć.

- Tak sądziłam. Ja jestem Aggie. Gdybyś powiedział, że to ja tu rządę, nie miałbyś racji, ale też byś się nie pomylił. Jackie?

Dziewczyna, która wyglądała na mniej więcej dwadzieścia lat, wystąpiła do przodu. Miała na sobie znoszone džinsy i wielkie futro z lisa, w które wkręciła setki kawałków metalu.

- Widziałas tego, co przyszedł tu wcześniej rano, nie? - spytała Aggie.

- Widziałam - przyznała Jackie.

- Nadal tu jest?

- Nie zauważyłam, żeby wychodził - odparła dziewczyna. - Ostatnio był na dole z pozostałymi.

- Ilu was tu w sumie jest? - spytał Jamie.

- Zależy od dnia, panie żołnierzu - powiedziała Aggie. - Czasem jest nas setka, czasem pięcioro. Nie prowadzimy rejestru.

- Wszyscy wchodzą i wychodzą przez stację? - zadała pytanie Ellison. - I nikt tego nie zauważył?

Aggie zaczęła się śmiać.

- Nikt tamtędy nie chodzi. To ostatnia droga wyjścia, na wypadek kłopotów. W całym mieście są wejścia, jest ich więcej, niż mogę spamiętać.

- Dlaczego macie takie ubrania? - odezwał się niespodziewanie Morton. - Wszyscy tu na dole muszą tak wyglądać?

- Jakie ubrania, żołnierzu?

- Farba, pióra, kawałki folii...

Aggie spojrzała po sobie i znów się zaśmiała.

- To czarne to twój mundur, prawda? Cóż, to jest nasz mundur. Chronimy to miejsce. Nazywają nas Strażnikami.

- Strażnikami czego? - spytał Jamie.

- Wszystkiego, co musi być strzeżone - powiedziała Aggie. - A czegoż by innego?

Jamie zwalczył chęć roześmiania się. Ci ludzie byli czymś najdziwniejszym, co zobaczył po wstąpieniu do Czarnego Filtru, a to o czymś świadczyło. Już zaczynał lubić Aggie. Była bezpośrednia do tego stopnia, że prawie chamska. Ale pod jej brudnym wizerunkiem kryła się inteligencja, która mu się podobała.

- Zabierzecie nas do niego? - spytał Jamie. - Proszę. Aggie przechyliła głowę i zmrużyła oczy. Wyraźnie rozważyła jego prośbę. Wreszcie przytaknęła.

- Zabierzemy was tam, żołnierzu. Nie jestem pewna, czy wierzę w to, że jest tak zły, jak twierdzicie, ale skoro

przyszliście tutaj po niego, musi za to odpowiedzieć. Każdy, kto sprowadza nam na głowę prawo, sam jest sobie winien. Idźcie za mną, żołnierzu. Tylko powiedz kolegom, żeby broń celowali w ziemię. Nie chcę tu słyszeć żadnej strzelaniny.

- Ja też nie - skwitował Jamie.

Grupa, która podążała opuszczonym tunelem pod centrum Londynu, wydałaby się ewentualnym gapiom niedorzecznie śmieszna.

Z przodu, ramię przy ramieniu, równomiernym tempem szli Aggie z Jamiem. Podążający za dowódcą w ciemnym tunelu Ellison i Morton wyglądali na kompletnie otumanionych. Za rekrutami ciągnęła się reszta Strażników - dwa szerokie rzędy niezwykle prezentujących się mężczyzn i kobiet, którzy z łatwością pokonywali nierówną powierzchnię. Kawałki folii i metalu połyskiwały, gdy przechodzili pod światłami.

Jamie bacznie się rozglądał. Misja przybrała niespodziewany obrót, a on był zdeterminowany, żeby się nie zdekoncentrować w tej zmieniającej się sytuacji. Uważał, że szansa na to, by Alastair Dempsey poddał się bez walki, była minimalna, ale żywił nadzieję, że kiedy wtopi się w towarzystwo Aggie i jej dziwnej bandy malowanych Strażników, wezmą go z zaskoczenia i zniszczą, zanim będzie miał okazję uciec lub skrzywdzić któregoś z tutejszych mieszkańców.

Spytał Aggie o światła, ale mruknęła tylko, że taki duży chłopak powinien wiedzieć, co sprawia, że lampy się świecą, więc porzucił temat. Założył, że na powierzchni ktoś podłączył kabel do źródła prądu. To wymagało sporej odwagi i pewnej wiedzy technicznej. Pragnął dowiedzieć się więcej o tym dziwnym miejscu, ale nie chciał irytować Aggie bardziej, niż już to zrobił, przyprawiając swój oddział do jej domu.

„Nie winię jej, że nie chce mi nic powiedzieć - myślał. -

Pewnie i tak sądzi, że sprowadzę tutaj setkę funkcjonariuszy policji, żeby ich stąd przepędzili".

Jeśli tak uważała, to się myliła. Jamie już zdecydował, że nie uwzględni opisu tego miejsca w swoim raporcie. Nikt nie musiał o nim wiedzieć. Nie było to siedlisko wampirów ani żadnych innych nadnaturalnych stworzeń, więc nie leżało w sferze zainteresowań Departamentu. Był to po prostu dom dla grupy ludzi, która zapewne nie miała się gdzie podziać.

- Daleko jeszcze? - spytał.

Tunel wydawał się ciągnąć bez końca, a żółte światła oświetlały niewiele więcej niż dziesięć metrów drogi przed nimi.

- Nie bardzo - mruknęła Aggie. - Niedługo tam dotrzemy. Będziecie mogli zabrać tego swojego wampira i zostawić nas w spokoju.

„Wątpię, żeby było to takie proste - myślał. - Ale mam nadzieję, że się mylę. Naprawdę".

- Chyba byłoby lepiej - zaczął ostrożnie - gdybyście pozwolili nam skonfrontować się z nim sam na sam. Jeśli powiesz nam, kiedy będziemy prawie na miejscu, będziecie mogli zostać z tyłu.

- Łać na to - powiedziała Aggie łagodnie. - To my jesteśmy strażnikami tego miejsca, a nie ty i twoi mali przyjaciele. Robicie, co mówimy, a nie na odwrót.

„Niech i tak będzie - pomyślał Jamie. - Na razie".

Jamie nie potrafił ustalić, po jakim czasie, chociaż oceniał, że nie więcej niż po kwadransie, może nawet dziesięciu minutach, tunel nagle zrobił się dwukrotnie szerszy i Aggie się zatrzymała.

- To węzeł kolejowy - poinformowała. - Przecinają się tutaj dwie linie, ale obydwie już nie kursują. Tam na wprost, gdzie palą się ogniska, znajdziecie swojego wampira.

„Ma niesamowity wzrok - stwierdził Jamie. - Chyba nawet Larissa nie widzi tak dobrze".

- Co tam jest? - spytał.

- To ślepy zaułek - powiedziała Aggie. - Coś w rodzaju koła, chociaż teraz to już nie całkiem. Pobudowano tam trochę szalazów, schronień i innych tego typu rzeczy.

- Ile jest wyjść?

- Jeśli ucieknie, zanim miniemy węzeł, to zbyt wiele - odparła. - Jeśli nie, to dwa. W ścianie po lewej są drzwi prowadzące do starej stacji przekaźnikowej. To jedno z głównych wejść i wyjść. Kiedy je miniemy, reszta zostanie z tyłu. Jeśli nie pozwolicie mu się wyminąć i nie dopuścicie go do drzwi, nie będzie miał dokąd uciec.

„Ślepy zaułek. Doskonale”.

- Słyszeliście? - spytał, odwracając się do pozostałych agentów. Obydwoje przytaknęli. - Ellison, jak tylko przejdziemy węzeł, zabezpieczysz drzwi. Morton, zostajesz ze mną. Skończymy to tutaj. Jasne?

- Jasne - potwierdziła Ellison.

Morton ledwie kiwnął głową, patrząc bezpośrednio na Jamiego.

- W porządku. Aggie, wprowadzisz nas? Jeśli zmieszamy się z twoimi ludźmi, będzie miał mniejsze szanse na zauważenie nas.

- Dobra - zgodziła się kobieta. - To brzmi sensownie.

Jamie skinął głową i cofnął się, by zniknąć pośród kolorowego tłumu. Ellison i Morton zrobili to samo, chowając w kaburze MP5 i wyciągając megagnaty. Trzymali broń nisko, by nie rzucać się w oczy nikomu, kto mógłby obserwować zbliżającą się grupę.

- Do dzieła - rzekł Jamie.

Aggie przytaknęła i poprowadziła ludzi przez węzeł kolejowy. Przestrzeń była ogromna. Tory już dawno znikły, ale miejsce, w którym się przecinały, wyraźnie się odznaczało - podłoga było jaśniejsze niż wokół. Jamie stał na samym środku, mając wokoło cztery otwarte przejścia do tuneli. Z tyłu znajdowało

się to, którym weszli, z przodu - cel ich wędrówki, gdzie, jak Jamie miał nadzieję, Alastair Dempsey odpoczywał, nieświadomy ich obecności. Po lewej i prawej tunele niknęły w mroku. Nie wiadomo, dokąd prowadziły.

„Aggie ma rację - pomyślał. - Jeśli nas wyminie, to ucieknie”.

Serce zaczęło mu szybciej bić. Nie próbował go uspokoić. Wolał, by rytmiczne dudnienie w uszach pomogło mu się skupić na tym, co go czekało. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, sprawa zakończy się w ciągu kilku sekund. Ale doświadczenie nauczyło go, że gdy w grę wchodzi wampiry, sprawy rzadko idą jak po maśle, szczególnie w przypadku tak potężnych osobników jak Alastair Dempsey.

Jamie się rozejrzył. Zobaczył, że jego agenci idą powoli pomiędzy kolorowymi Strażnikami. Oboje wyglądali na spokojnych, mieli skupione spojrzenie, nisko trzymali ramiona, poruszali się miarowo i cicho.

„Dobrze - pomyślał. - Morton nareszcie się opanował. Najwyższa pora”.

Spojrzał przed siebie w chwili, gdy wchodził do tunelu, który był ich celem. Teraz wyraźnie widział ogniska. Były dwa, ulokowane po przeciwległych stronach szerokiej przestrzeni. Wokół nich gromadziły się postacie, niektóre krążyły pomiędzy nimi. Zaczął dostrzegać pojedyncze osoby, kiedy czyjś głos odbił się echem od ścian tunelu.

- Kto tam?! - krzyknął. - Aggie, to ty?!

- Tak! - zawołała kobieta. - I moi ludzie!

- Znaleźliście coś?!

- Nic! - krzyknęła. - Wygląda, jakby ktoś tamtędy przeszedł, ale już go nie ma!

- Aggie, to niedobrze! Głos umilkł.

- Wizjery - szepnął Jamie przez mikrofon w kasku i opuścił swój.

Zerknął przez ramię, zobaczył, że jego agenci wykonali polecenie, i ponownie spojrzął przed siebie akurat w chwili,

kiedy zbliżali się do ognisk.

Płomienie dawały piękną pomarańczową poświatę i Jamie ze zdumienia coraz szerzej otwierał oczy, widząc, co znajdowało się w tunelu - było tam około stu pięćdziesięciu osób. Zaczął się zastanawiać, jak namierzyć cel, nie zdradzając przy tym swojej obecności, kiedy jego wzrok padł na poszukiwanego.

Alastair Dempsey opierał się o ścianę naprzeciwko ognisk. Miał na sobie ciemną koszulę i czarne dżinsy. Stał sam, skupiony na nadchodzącej grupie mężczyzn i kobiet. W wyrazie jego twarzy było coś, co nie spodobało się Jamiemu.

„To dzikie zwierzę - pomyślał. - Wyczuwa, że coś jest nie tak, chociaż jeszcze nie wie co”.

Już miał szepnąć członkom oddziału lokalizację celu, kiedy wzmocniony przez głośnik w kasku głos Mortona rozniósł się ogłuszającym echem po tunelu.

- Alastairze Dempseyu! - krzyknął Morton. - Wyjdź z rękami w górze!

Dempsey był wciąż ponad dziesięć metrów od nich, ale Jamie dostrzegł, że jego oczy zasły czerwienią, a na ustach pojawił się morderczy uśmiech.

- Ty... - zaczęła Ellison, ale przekleństwo, które miała zaserwować Mortonowi, utonęło pośród nagłego chaosu.

Jamie uniósł megagnat ze wzrokiem skupionym na Dempseyu. Nie zamierzał tracić go z oczu. Jednocześnie starał się zignorować narastającą furję, która zawładnęła nim, kiedy Morton zdradził ich obecność i zaprzepaścił element zaskoczenia. Ale nie mógł oddać czystego strzału.

Ludzie biegali na ślepo, co rusz na siebie wpadając i rozrzucając w górę iskry z ogniska, kiedy przez nie przeskakiwali. Mężczyźni i kobiety upadali na ziemię. Pośród krzyków dorosłych Jamie wyraźnie słyszał pełen przerażenia płacz dzieci. Aggie odwróciła się i spojrzała na niego z

wyrzutem, ale zignorował ją. Próbował skupić się na Dempseyu i utrzymać cel przed sobą, ale ze zgrozą stwierdził, że już nie widzi wampira.

-Sir?

- Co jest, Ellison? - rzucił, ogarniając wzrokiem wirujący przed sobą tłum.

- Dorwał mnie, sir.

Jamiego zmroziło. Powoli odwrócił się w stronę Ellison, która stała nieruchomo jak posąg. Nad jej prawym ramieniem zobaczył twarz mężczyzny w średnim wieku z rozszerzonymi w złośliwym uśmiechu ustami i żarzącymi się czerwonymi oczami.

- Nie ruszaj się - warknął Dempsey. - Jeśli się ruszysz, zabiją.

Jamie wypuścił megagnat z rąk, wyciągnął glocka i wycelował w wampira. Zobaczył jedynie rozmazaną ruchomą plamę, kiedy Dempsey odchylił głowę Ellison do tyłu i przycisnął paznokcie do jej bladej skóry na szyi. Lekko pokręcił głową z ostrzeżeniem. Jamie się nie poruszył, ale też nie opuścił broni. Trzymał ją wycelowaną w odsłoniętą część twarzy Dempseya.

- Zachowaj spokój - powiedział przez mikrofon w kasku. - Wszystko będzie w porządku. Bądź spokojna.

- Tak, sir - odparła Ellison. Jej słowa słyszeli jedynie członkowie oddziału. - Jaki jest plan?

- Daj mi chwilę - odparł. - Morton, gdzie ty, u diabła, jesteś'?
Brak odpowiedzi.

Klnąc w duchu, Jamie zaryzykował rzut oka w prawo. Morton stał przodem do wampira. Broń spoczywała mu bezużytecznie w dłoniach. Wokół niego przepychali się ludzie, ale on zdawał się ich w ogóle nie zauważać. Wyglądał, jakby zmarł.

- Morton! - krzyknął Jamie.

Jego głos trafił prosto do ucha rekruta, który zawył z bólu,

odsunął wizjer kasku i zatoczył się do tyłu z mocno zaciśniętymi powiekami. Kiedy je otworzył, było widać, że odzyskał panowanie. Spojrzał na dowódcę z rumieńcem wstydu na twarzy.

- Idź, pilnuj drzwi - powiedział Jamie, starając się kontrolować gniew. - Nie mów ani słowa z podniesionym wizjerem. Natychmiast.

Morton przytaknął i po łuku ruszył w kierunku ściany. Oczy wciąż miał szeroko otwarte, a megagnat przyciskał do ramienia.

Alastair Dempsey zmarszczył brwi. Ciężko oddychał, co chwila zerkając w prawo i w lewo. Miał wzrok zapędzonego w ślepy zaułek zwierzęcia.

Jamie szybko rozejrzał się po ogromnej przestrzeni i spostrzegł, że w tunelu zostało jeszcze około czterdziestu osób. Obserwowały ich z przerażeniem na twarzach. Przekręcił tarczę przy swoim pasie, tak by jego głos było słychać na zewnątrz.

- Niech nikt się nie rusza! - krzyknął. - To nie ma nic wspólnego z wami! Nie jesteście w niebezpieczeństwie, chyba że się poruszycie, mimo że wam zabroniłem! - Ponownie skupił uwagę na wampirze. - Alastairze Dempseyu - powiedział. - Poddaj się. Nie masz dokąd uciec.

Przez chwilę na twarzy wampira odmalowało się zaskoczenie, które znikło, kiedy zaczął się śmiać.

- Wykluczone - rzucił. - Nie wrócę tam. Za żadne skarby.

- Poddaj się - powtórzył Jamie. - Nie masz dokąd uciec. Wampir pokręcił głową.

- Kim jesteście? - warknął. - Oddziałem specjalnym?

- Nieważne.

- Dla mnie owszem - powiedział Dempsey, ciągnąc Ellison do tyłu. - Lekarze tak za mną tęsknią czy pojawiliście się tutaj, żeby mnie zabić?

- Przyszliśmy cię zabić - odezwał się stojący pod drzwiami

Morton.

- Zamknij się, do diabła! - krzyknął Jamie. Jego głos odbił się echem od ścian tunelu, kiedy wściekłość na podwładnego wreszcie wzięła górę.

- Dlaczego? - spytał Dempsey, patrząc na Mortona z wyrazem szczerego zaciekawienia. - Co takiego zrobiłem, za co jeszcze nie zapłaciłem?

- Jesteś wampirem - odparł Morton. Dempsey się zaśmiał.

- I to daje wam prawo mnie zabić? Morton nie odpowiedział. Jamie ponownie przełączył mikrofon, tak by słyszeli go jedynie koledzy z oddziału, i odezwał się do Ellison:

- Kiedy powiem Już", odchył głowę jak najbardziej w lewo. Jasne?

- Tak, sir - odparła agentka.

Dempsey zrobił kolejny krok do tyłu, ciągnąc ze sobą Ellison. Jego wzrok padał na zmianę na dwie ciemne postacie. Jamie celował do niego z broni, po cichu i bez emocji.

- Już - powiedział.

Ellison odchyliła głowę w lewo. Dempsey był kompletnie zaskoczony. Uścisk na jej szyi zelżał, a palce zsunęły się po skórze, kiedy agentka mu się wyrwała. Upadając, z całej siły uderzyła ramieniem o ziemię. Głowa Dempseya została całkowicie odsłonięta i Jamie opróżnił magazynek swojego glocka.

W zamkniętej przestrzeni strzały były ogłuszające. Ludzie, którym nakazał pozostać na miejscu, krzyczeli z przerażenia, zasłaniając uszy rękami i padając na ziemię. Dempsey, którego instynkt przetrwania rozwinął się na długo przed tym, jak został przemieniony, odskoczył w tył, jednocześnie się obracając. Pierwsze dwie kule trafiły go prosto w twarz, rozerwały lewe ucho i zmiażdżyły lewe oko, które eksplodowało żółtym płynem. Reszta pocisków trafiła go w ramię. Iglica broni Jamiego trzasnęła głucho. Magazynek był pusty.

Jamie ruszył przed siebie, chwytając z ziemi megagnat, ale Dempsey podniósł się, nim agent zdołał wycelować. Z krzykiem wściekłości i bólu, zaplamiony krwią tryskającą pod wysokim ciśnieniem z dziesięciu ran postrzałowych ruszył w kierunku drzwi na przeciwległej ścianie.

- Nadchodzi! - krzyknął Jamie, ruszając w pościg. - Morton!

Morton zrobił krok naprzód, dociskając palec do spustu megagnata. Zakrwawione monstrum szło na niego, powłócząc nogami. Krzyczało, krwawiło i wyło. Pozostałe oko lśniło czerwienią, a w szeroko otwartych ustach było widać kły. Morton instynktownie cofnął się o pół kroku i nacisnął spust.

Metalowy kołek wyskoczył z lufy w akompaniamencie wybuchającego gazu i pofrunął przez tunel.

Ale pół kroku wystarczyło, by spudłować. Kołek przebił ramię Dempseya, odrywając fragment ciała wielkości grejpfruta. Wampir ponownie wrzasnął z bólu. Morton chwycił za kołek, ale nie był dość szybki. Dempsey wyminął go, odpychając na ścianę, jeszcze nim agent zdołał wyjąć kołek zza paska.

Jamie przebiegł przez szeroki tunel i dopadł drzwi. Znikł za nimi, celując megagnatem w górę, gdzie znajdowały się schody. Wykrzyczał za znikającym wampirem stek wyzwisk, a potem znów wsunął głowę przez drzwi.

- Muszę to zgłosić! - krzyknął. - Ruszajcie za mną!

Znikł, a echo jego kroków rozchodziło się po klatce schodowej.

Ellison patrzyła, jak jej dowódca się oddala, a potem odwróciła się, żeby znaleźć kolegę z oddziału.

Morton siedział na ziemi ze wzrokiem utkwionym w głąb tunelu. Nie ruszał się, miał szeroko otwarte oczy. Zupełnie jakby nie pojmował tego, co się wokół działo. Ellison podniosła się z ziemi. Ból ramienia sprawił, że aż się

skrzywiła, ale spojrzała w kierunku, w którym patrzył Morton.

Wstrzymała powietrze.

- Cholera jasna! - zaklęła.

Na ziemi leżała Jackie, dziewczyna, którą Aggie spytała o Alastaira Dempseya. Jej gardło było przeszyte kolkiem z megagnata Mortona. Pomarańczowy blask z ognisk oświetlał jej twarz. Oczy wciąż patrzyły w sufit, a usta poruszały się bezgłośnie. Krew ciekła z jej gardła, plamiąc futro na czarno. Co chwila zaciskała i rozluźniała dłonie. Szkarłatna kałuża pod nią stawała się coraz większa.

Ellison przebiegła na drugą stronę tunelu, całkiem zapominając o Mortonie. Opadła na ziemię obok trafionej dziewczyny, ściągając jednocześnie kask, i obejrzała obrażenia. Rana była głęboka i szeroka. Metalowy kołek stracił impet, przeszywając ramię wampira, ale i tak niemal całkiem przebił szyję dziewczyny i zatrzymał się dopiero, kiedy trafił w kręgi szyjne. Ellison patrzyła na nią bezradnie. Wiedziała, że nie może pomóc. Gdyby znajdowali się w odległości kilku minut od szpitala ze światowej klasy ostrym dyżurem, może, może coś dałoby się poradzić. Ale tutaj na dole, w tunelach pod miastem, nie było żadnych szans.

Jackie spojrzała jej w oczy. Ellison patrzyła na umierającą dziewczynę. Nie mogła odwrócić wzroku. Jedyne, co mogła zrobić, to pokazać Jackie, że nie umiera w samotności. Wzięła ją za rękę, wytrzymała spojrzenie i patrzyła, jak wydaje ostatnie tchnienie. Jej pierś podniosła się jeszcze raz, drugi, a potem znieruchomiała. Na dolnej wardze utworzył się bąbel krwi. Po sekundzie czy dwóch pękł i Ellison poczuła spływające po policzkach łzy.

- Zostaw ją - powiedział ktoś.

Ellison odwróciła się i zobaczyła stojącego nad sobą mężczyznę. Ręce zacisnął na piersi, jakby w modlitwie, i spoglądał na ciało Jackie z przerażeniem i niedowierzaniem.

- Zostaw ją - powtórzył niepewnym głosem. - Proszę. Ja się

nią zajmę.

Ellison patrzyła na niego przez chwilę, a potem skinęła głową. Odwróciła się od martwej dziewczyny i delikatnie wyjęła metalowy kulek z jej gardła, a potem się odsunęła. Mężczyzna klęknął i położył głowę na piersi Jackie. Zaczął płakać. Agentka patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, potem z wysiłkiem wstała i poszła do kolegi z oddziału.

Morton się nie poruszył. Wciąż nieprzytomnym wzrokiem ogarniał tragedię, która się przed nim rozegrała. Ellison kucnęła i złapała go za ramiona.

- Popatrz na mnie - powiedziała tak stanowczo, jak tylko była w stanie. - John, spójrz na mnie. To był wypadek. Wypadek. To mogło spotkać każdego z nas. Słyszysz mnie?

Morton utkwiał w nią nierozumiejący wzrok. Złapała go pod ramiona i próbowała podnieść, ale jej się nie udało. Nie dało się go ruszyć.

- John - odezwała się. - Wstawaj. No dalej, John.

Nagle zdała sobie sprawę z jakiegoś poruszenia za sobą. Odwróciła się. Mieszkańcy tunelu zbliżali się do nich powoli. Na twarzach większości malowała się rozpacz. Z przodu szła Aggie. Miała przymrużone oczy.

- Wynoście się stąd - rzuciła. - Zostawcie naszych zmarłych. Nie wracajcie tutaj.

Ellison spojrzała na kobietę. Chciała przekazać bez słów choćby ułamek tego smutku, jaki czuła. Jackie nie zasłużyła na taki los. Po prostu wpadła w tornado krwi i śmierci, które kroczyło za Czarnym Filtrem. Aggie patrzyła na nią z niezmiennym wyrazem twarzy. Ellison wreszcie skinęła głową.

- Dobrze - zgodziła się. - John, pora na nas. Wstawaj, do diabła. Natychmiast.

Morton nic nie powiedział. Powoli podniósł się z ziemi i spojrzał na koleżankę z wyrazem załamania na bladej twarzy.

- Już drugi raz rozmawiamy o Mortonie, sir - powiedział

Jamie. Stał przed biurkiem Cala Holmwooda i trzymał kask pod pachą. Jeszcze zanim van wyjechał z Londynu, Carpenter wysłał do tymczasowego dyrektora wiadomość, że musi się z nim zobaczyć natychmiast po powrocie do Pętli. - Tym razem zginęła niewinna dziewczyna. To był wypadek, ale zdarzył się, ponieważ Morton spanikował. Mówię panu po raz drugi, sir, że on nie da sobie z tym rady. Jeszcze nie teraz.

Holmwood na dłuższą chwilę zamknął oczy, a potem spojrzał na Jamiego zmęczonym wzrokiem.

- Czy inwigilacja namierzyła Dempseya, kiedy im to zgłosiłeś?

- Tak, sir - odparł. - Wciąż go mają.

- Dobrze - rzekł Holmwood. - Przynajmniej tyle.

- To już coś - zgodził się Jamie. - Co z Mortonem, sir? Dyrektor westchnął.

- Nadal chcesz mu odebrać status czynnego agenta?

- Tak, sir. Bardziej niż kiedykolwiek.

Holmwood przez dłuższą chwilę milczał. Wyglądał, jakby nie zdołał się jeszcze obudzić, jakby działał na wolnych obrotach.

- Dobrze - odrzekł wreszcie. - Rób, co uważasz za stosowne. Jeśli to oznacza wyłączenie go z czynnej służby, to masz moją zgodę.

- Dziękuję, sir. - Jamie poczuł ulgę.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Nie, sir. To już wszystko.

- Dzięki Bogu. - Holmwood westchnął z uśmiechem. Był to najśłabszy uśmiech, jaki Jamie widział w życiu. - Idź się wyspać.

ŁĄCZĄC KROPKI

LINDISFARNE, NORTHUMBERLAND

Pete Randall szedł nad krawędzią klifu po północnej stronie wyspy, którą przez całe życie nazywał domem. Zatopił się w myślach.

W oddali na tle popołudniowego nieba, wznosiły się budynki klasztoru Lmdisfame. To starożytne miejsce kultu religijnego przetrwało dwie inwazje wikingów, ale zostało zniszczone w ciągu jednej nocy przez potwory. Peteowi Randallowi zakazano o nich mówić. Wielokrotnie powtarzano mu, że ich nie widział chociaż przecież wiedział, że było inaczej

Niewielka liczba zakonników, którzy przetrwali tę noc, gdy zaginęła jego córka, wyjechała z wyspy w ciągu kilku dni po ataku. Teraz starożytna budowla stała opuszczona. Zapewne wciąż tam będzie, kiedy już ostatnie z portowych zabudowań zamienią się w ruinę. Pete podsunął się do klifu i usiadł, zwieszając nogi nad przepaścią. Na dole fale Morza Północnego rozbijały się o skały. Krople, zimne i słone, wyrzucane w górę z ogromną siłą moczyły nogawki jego dżinsów. Ledwie to zauważył Myślami cofnął się do przeszłości.

Kiedy Kate miała sześć lat, przyprowadził ją tutaj w pewną zimną styczniową noc, aby obserwować płomień unoszące się nad odległymi platformami naftowymi. Lesterowie niedawno przeprowadzili się na wyspę i Kate od razu zaprzyjaźniła się z ich córką Julie. Ta przyjaźń trwała do

chwili, kiedy Julie zostawiono leżącą w porcie Lindisfarne z ustami pełnymi krwi i głową przekręconą niemal o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Andy Lester pracował na platformie. Co jakieś trzy miesiące latał helikopterem do Aberdeen, po czym jechał do Lindisfarne, żeby spędzić dwa cudowne tygodnie z rodziną. Potem znów wracał na morze. Pete wiedział, że takie życie było trudne, ale dla Kate, dziewczynki, która do tamtej chwili tylko kilka razy wyjeżdżała poza Lindisfarne, wydawało się niezwykle pociągające. Kiedy jej powiedział, że w pogodne dni można z klifów dostrzec ognie pochłaniające gazy odpadowe z platform, nie uwierzyła mu i zażądała, żeby jej to pokazał. Czekał na pogodną noc, taką, kiedy ciemna woda zdawała się nie mieć końca. Poprosił o zgodę żonę. Już wtedy nie czuła się dobrze, a jak się później okazało, cierpiała na nowotwór, który zakończył jej życie. Ubrał córkę ciepło i poprowadził na kraniec wyspy.

Siedzieli mniej więcej w tym miejscu, w którym się teraz znajdował, z plastikowych kubków pili przyniesioną w termosie gorącą czekoladę i obserwowali horyzont. Przez jakieś dziesięć minut nic się nie wydarzyło. A potem pomarańczowy wybuch uniósł się ponad horyzontem. Nawet z odległości wielu kilometrów ogień wydawał się niemożliwie wielki. Kate pisnęła z zachwytem. Pete złapał ją za tył kurtki, na wypadek gdyby z ekscytacji podeszła zbyt blisko zdradliwej, sypiącej się krawędzi klifu. Zostali tam przez ponad godzinę. Pete czekał, aż urok nowości przeminie, ale stopniowo docierało do niego, że tak się nie stanie. Kate witała każdy rozbłysk z radością, którą okazywała jedynie w gwiazdkowe poranki.

Nigdy nie zrozumiał, dlaczego odległy ogień wywoływał w niej taki zachwyt, a teraz już nigdy nie będzie miał okazji, żeby się tego dowiedzieć. Doszedł do wniosku, że dla Kate był on dowodem na to, że poza tą niewielką wyspą coś się dzieje,

coś innego i większego niż to, co ją tu otaczało. Przepelniało ją pragnienie wędrówki i poznawania świata. Z dumą patrzył, jak jej marzenie się rozwija, ale jednocześnie trapił go smutek.

Zawsze wiedział, że jego córka kiedyś odejdzie, że Lindisfarne nigdy nie będzie dla niej dość duże. On i jego żona pogodzili się z tą straszną myślą - Kate będzie przyjeżdżała w odwiedziny, no, wciąż mieli siebie. Ale potem Annie zmarła, a on i Kate zostali sami. Zdał sobie sprawę, że odłożyła na bok swoje plany, swoje pragnienie lepszego, pełnego przygód życia, być może nieodwołalnie. Wiedział, że córka nie zostawi go samego, i ta świadomość nappełniła go o wiele większym smutkiem niż myśl ze odejdzie.

Ale już jej nie było, a on został sam.

Zadzwoił telefon, więc Pete wyjął go z kieszeni. Na ekranie zobaczył wiadomość od Południa i poczuł ekscytację. Przez cały tydzień po kilka razy dziennie pisali do siebie e-maile i wreszcie nabrali odwagi, żeby wymienić się numerami telefonów

Otworzył wiadomość.

Zerknij na to jak najszybciej.

<http://www.kevinmckenna.wordpress.com/blog/news/032154>

Pete przeczytał wiadomość dwa razy, szukając w niej ukrytego znaczenia. Potem wsunął telefon do kieszeni i wrócił do domu. Nie spieszył się. Wątpił, żeby pod linkiem znalazł coś, co zmieni jego życie.

Nie mógł wiedzieć, jak bardzo się myli.

KEVINMCKENNA.COM - oficjalna strona internetowa
nagradzanego dziennikarza Kevina McKenny.

CZERWONE OCZY I CZARNE MUNDURY Post

zamieszczony przez KEVINA

Długo się namyślałem, zanim postanowiłem to napisać. Wierście mi, naprawdę długo.

Myślałem o ryzyku, o tym, czy pisząc to, mogę się narazić na niebezpieczeństwo. Myślałem o mężczyznach i kobietach, którzy mogą to przeczytać, o tym, czy nie będzie lepiej, jeśli pozostaną w niewiedzy. Myślałem o rządzie i o bezpieczeństwie narodowym, chociaż zrozumieć, jeśli mi nie uwierzycie. Rozważałem to wszystko i doszedłem do najbardziej niepodważalnej konkluzji w swoim życiu. Warto zaryzykować. To zbyt ważne.

Teraz nie wyjaśnię wam więcej, niż jest napisane w tytule tego posta - jeśli nie wiecie, o czym piszę, bądźcie wdzięczni, żyćcie dalej i więcej się nad tym nie zastanawiajcie. Ale jeśli wiecie...

Jeśli wiecie, to chcę, żebyście dali mi znać. Chcę poznać wasze historie. Chcę wiedzieć, jak wielu was jest.

Skorzystajcie z serwerów proxy i opiszcie swoje doświadczenia w komentarzach - gwarantuję wam anonimowość. Nikt więcej nie musi się wychylać, przynajmniej jeszcze nie teraz. Jeśli uzyskam odpowiedzi, których oczekuję, jeśli ludzie są dość odważni, żeby mówić o tym, co widzieli, to wkrótce sprawa ruszy z kopyta. Ale zaczekajmy.

Czerwone oczy. Czarne mundury.

Opowiedzcie mi. Ja wam uwierzę.

Kevin McKenna

GLÓWNY PODEJRZANY

Pojawienie się Valentina Rusmanova w siedzibie WZOB-u wywołało dokładnie taką reakcję wśród agentów wywiadu, dla jakiej wampir żył.

Mimo obstawy z wyposażonych w megagnaty agentów wydziału ochrony mijał biurka, zupełnie jakby odbywał poranny spacer. Valentín był gwiazdą, jednym z najstarszych wampirów na świecie, przemienionym przez samego Drakulę. Okazja, żeby go zobaczyć, nie nadarzała się zbyt często.

Jak zwykle wyglądał nienagannie. To efekt umiejętności Lambertona, jego lokaja. Błada, przystojna twarz była ogolona, grafitowa marynarka elegancko leżała na śnieżnobiałej koszuli, a w butach można się było przejrzeć. Wszyscy członkowie wydziału wywiadu przerwali swoje czynności i otwarcie się na niego patrzyli. Valentín uśmiechał się do nich szeroko, kiwając głową agentom zajmującym mijane przez niego biurka. Niewiele istniało na świecie rzeczy, które lubił bardziej od bycia w centrum uwagi, dlatego pełne urzeczenia miny mężczyzn i kobiet zajmujących niewielką szarą przestrzeń pracowniczą sprawiały mu prawdziwą radość.

Kate Randall czekała na niego przed drzwiami zabezpieczającymi dostęp do siedziby WZOB-u. Patrzyła, jak wampir idzie w jej kierunku, zdegustowana reakcją swoich kolegów.

„Jest jak gwiazda rocka - pomyślała. - Mimo że zabił tysiące ludzi, są nim zachwyceni”.

Valentín minął ostatnie biurka i uraczył ją szerokim, przyprawiającym o zawroty głowy uśmiechem.

- Panna Randall - rzekł, wyciągając przed siebie dłoń. - Jak miło znów cię widzieć. Wierzę, że masz się dobrze.

Kate szybko uścisnęła podaną jej rękę.

- Jak najbardziej. Dziękuję, panie Rusmanov. Zechce pan pójść za mną. Miejmy to z głowy najszybciej, jak to możliwe.

- Jakaż z ciebie profesjonalistka - odparł, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- I to mimo że jeden z kolegów próbował cię wczoraj zabić. Brawo, panno Randall. Brawo.

„Nie unosź się - powiedziała sobie w myślach. - Nie dawaj mu tego, czego chce”.

- Jak już mówiłam, panie Rusmanov, proszę za mną - powtórzyła, zmuszając się do lekkiego uśmiechu.

Wstukała kod na panelu otwierającym drzwi, które po serii kliknięć i uderzeń się odblokowały. Uchyliła je i Valentín wszedł do środka, wciąż eskortowany przez strażników.

Kate zamknęła oczy, nabrała powietrza i przygotowała się na to, co miała zrobić. Gdy je znów otworzyła, zobaczyła przyglądających się jej agentów wywiadu.

- Nie macie czegoś do zrobienia? - rzuciła ostro i weszła do WZOB-u, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Kate wprowadziła Valentina i jego eskortę do pokoju przesłuchań i zostawiła technikom podpięcie kabli. Wampir przyjmował wszystko z uśmiechem, traktując całą sprawę jak coś na kształt rozrywki, ale Kate nie była do końca przekonana, że tak jest naprawdę. Wierzyła, że w głębi serca Valentín musi uważać to za uwłaczające jego godności, a przynajmniej irytujące.

„Mam taką nadzieję - myślała. - Mam nadzieję, że go to wkurza”.

Otworzyła drzwi do salonu i skinęła głową na Paula Turnera. Agent bezpieczeństwa siedział na sofie i czytał akta Valentina Rusmanova. Dokument stworzono na podstawie przesłuchania przeprowadzonego, kiedy wampir zgłosił się do Czarnego Filtru. Akta były niemal tak grube jak książka telefoniczna.

- Dwie minuty - powiedziała Kate. Turner zamknął akta i uśmiechnął się do niej.

- Dobrze - powiedział. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym ja poprowadził to przesłuchanie, prawda? Uważam, że tak będzie najlepiej.

- W porządku - odparła. - Jak głęboko zamierzasz kopać?

- W zasadzie omówiliśmy z nim już wszystko, co mogłoby być dla nas przydatne - rzekł Turner, stukając palcem w folder. - Sprawdzanie tego zajęłoby tydzień. Jest kilka rzeczy, o które chcę go ponownie spytać teraz, kiedy jest już nasz. Ale głównie będę sprawdzał, co wie o wczorajszych wydarzeniach.

- Sądzisz, że to jego sprawka? - spytała Kate.

- Nie - odparł Turner. - A ty? Kate pokręciła głową.

- Bardzo bym chciała - przyznała. - Dla wszystkich byłoby łatwiej, gdyby jego zdrada była tylko fortelem, a on wciąż pracował dla Drakuli. Ale wątpię, żeby tak było.

- Ja też - powiedział major. - Jeśli wciąż pracuje dla Drakuli, to nie sądzę, by tracił czas na próbę zabicia ciebie i mnie. Ale wielu agentów tak uważa, przynajmniej na razie. Dlatego musimy to załatwić i ruszać dalej z robotą. Ktoś coś ukrywa i musimy się dowiedzieć, kto to jest.

„Zanim zaatakują kogoś innego” - pomyślała Kate i zadrżała.

- No dobrze - rzekła. - Zabierajmy się do roboty.

- Przed wejściem do środka - zaczął Turner, podnosząc się z sofy - chcę, żebyś mi coś obiecała.

- Co takiego?

- Ze nie pozwolisz mu mieszać sobie w głowie - odparł. - Nieważne, co powie ani o co poprosi. Nie dawaj mu tego,

czego chce.

- Nie ma się pan o co martwić - powiedziała z nieznacznym uśmiechem. - Nie pozwolę mu na to.

Kiedy weszli do pokoju przesłuchań, Valentin siedział na krześle. Jedną stopę opierał na kolanie. Strażnicy stali po jego obu stronach z megagnatami gotowymi do strzału.

- Major Turner - powiedział wampir z promiennym uśmiechem. - Muszę szczerze przyznać, że nie licząc Lambertona, to z panem konwersowałem więcej niż z kimkolwiek innym w ciągu ostatniego wieku. Chyba nie ma już nic, o co mógłby mnie pan spytać? Może o moje preferencje seksualne? Lub o wypróżnienia?

- Panie Rusmanov - powiedział Tuner. - Dziękujemy za przyście.

- Proszę bardzo - odparł Valentin. - Chociaż pańskie podziękowanie sugeruje, że miałem w tej kwestii jakiś wybór. Jeśli tak, to nie zostało mi to jasno powiedziane.

- Obaj wiemy, że gdyby odmówił pan opuszczenia celi, niewiele moglibyśmy na to poradzić - przyznał Turner. - Po prostu staram się być uprzejmy. Jeśli pan woli, mogę przestać.

Valentin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Uprzejmość nie jest częsta w obecnych czasach, majorze Turner. Szanuję to, że podtrzymuje pan tradycję.

- Dziękuję - odparł oficer bezpieczeństwa.

Zajął jedno z miejsc przy biurku, podczas gdy Kate usiadła na drugim krześle.

Dziewczyna spojrzała w dół na ekran, by upewnić się, że system działa.

- Przesłuchanie WZOB-u numer 072 - zaczął Turner pozbawionym emocji, spokojnym głosem. - Oficer prowadzący: major Paul Turner, NS303, 36-A. Obecna jest też

porucznik Kate Randall, NS303, 78-J. Proszę się przedstawić.

- To już? - spytał Valentin. - Oficjalnie zaczęliśmy?

- Tak - potwierdził Turner. - Proszę podać swoje nazwisko.

- Valentin Rusmanov. Zielone.

- Proszę błędnie odpowiedzieć na następne pytanie - rzekł Turner. - Pańska płęć?

- Jestem kobietą - powiedział Valentin. Czerwone.

Kate głęboko nabrała powietrza.

„Do dzieła - pomyślała. - Zaczynamy”.

- Panie Rusmanov - rzekł Turner. - Wczoraj po południu w dwóch pokojach na terenie bazy podłożono materiały wybuchowe. Wyraźną intencją sprawcy było zranienie członków Departamentu. Czy podłożył pan wspomniane materiały?

- Naprawdę sądzicie, że to ja? - spytał Valentin, marszcząc brwi. - Czy naprawdę ma pan o mnie tak złe zdanie, majorze Turner? Przecież spędziliśmy ze sobą tyle czasu.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy podłożył pan materiały?

- Oczywiście, że nie.

Zielone.

- Wie pan, kto to zrobił?

- Nie.

Zielone.

- Czy jest pan w posiadaniu informacji, które byłyby zasadnicze dla zidentyfikowania sprawcy zamachu?

- Obawiam się, że nie.

Zielone.

Kate odetchnęła głęboko. Wyniki były dokładnie takie, jakich się spodziewała, ale i tak odczuła ulgę, widząc na ekranach zielone światło. Od czasu spotkania grupy specjalnej Godzina Zero, które odbyło się wczoraj, miała wrażenie, że w pokoju siedzi wielki słoń, ale wszyscy starają się go ignorować.

„Gdyby to był on, co, u licha, mielibyśmy z tym zrobić?”.

- Dziękujemy, panie Rusmanov - powiedział Turner. - Teraz chcę spytać o...

- Nie sądziliście, że to ja, prawda? - spytał Valentin, rozprostowując nogi i krzyżując je na wysokości kostek.

- Panie Rusmanov, ja nie...

- Jestem przekonany, że wielu waszych kolegów tak uważa - ciągnął Valentin. - I to tylko dlatego, że to oczywisty wniosek, a większość agentów nie jest szczególnie bystra. Rozumiem, dlaczego zostałem wezwany, żeby odpowiedzieć na wasze pytania. Ale muszę przyznać, że troszeczkę intryguje mnie, dlaczego już wcześniej zawyrokowaliście, że jestem niewinny. Czy zechcecie mi to wyjaśnić? Chociażby przez wzgląd na uprzejmość?

- Panie Rusmanov - zaczął major Turner. - Nie przyszliśmy tutaj, żeby zaspokoić pańską ciekawość. Jesteśmy tutaj, żeby.

- Przepraszam, majorze Turner. - Valentin wszedł mu w słowo. - Ale obawiam się, że nie mówiłem do pana, lecz do panny Randall.

Kate zmarszczyła brwi.

- Do mnie? - zdumiała się. - Dlaczego interesuje pana, co myślę?

- Ponieważ wiem, że major Turner nie uważał mnie za sprawcę - odrzekł Valentin. - To człowiek, który musi mieć dowody, poszlaki i przyczynę. Nie wątpię, że uznał mnie za niewinnego, stosując zdrową, choć nieco nudną logikę. Ale z ciebie to szare miejsce jeszcze nie wyssało życia. Dlatego interesujesz mnie równie mocno, jak twój kolega mnie nudzi.

- Mądrze byłoby, gdyby pamiętał pan, że jest pan tutaj gościem - zaczął Turner niskim głosem. - A moja cierpliwość nie jest niewyczerpana.

- Więc proszę, niech mnie pan zniszczy - zaproponował Valentin, rozkładając ramiona i wypinając klatkę. - A potem proszę iść do staruszka Holmwooda i wyjaśnić, że zrobił pan to, bo paskudny wampir był nieuprzejmy. Jestem pewien, że

zrozumie.

Turner nie odpowiedział, ale na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. Nie spuścił z Valentina wzroku.

„ Jeśli nadejdzie chwila, kiedy nie będziemy już go potrzebować - myślała Kate - Valentin pożałuje pewnych rzeczy, które mówił. Wiem, że Paul ich nie zapomni”.

- Nie wydaje mi się, by mógł pan to zrobić - odparła. - Dlatego nie uważam, że to pańska sprawa.

- Wyjaśnij - poprosił Valentin.

- Myślałam dokładnie tak samo jak major Turner. Gdyby był pan szpiegiem Drakuli i miał ukryte motywy, to pewnie zrobiłby pan coś poważniejszego niż podłożenie dwóch bomb. I...

- Mów dalej - zachęcił ją Valentin z szerokim, niepokojącym uśmiechem.

- Proszę.

- Wydaje mi się, że to nie w pańskim stylu - powiedziała Kate. - Pułapki i domowej roboty bomby? Sądzę, że to poniżej pańskiej godności.

Uśmiech Valentina zrobił się jeszcze szerszy.

- Doskonale, panno Randall - odrzekł. - W rzeczy samej, bardzo dobrze. Jesteś spostrzegawczą istotką, czyż nie?

- Nie wiem - odparła. - Nigdy o tym nie myślałam. - Oczywiście, że myślałaś - rzekł wampir. - Każdy bez ustanku myśli o sobie. Myślmy o tym, w czym jesteśmy dobrzy, a w czym źli. Bez końca porównujemy się do tych, którzy nas otaczają. Na przykład ty. Czy uważasz się za wspaniałą i wierną pomocnicę Jamiego Carpentera? Oczywiście, że nie, i nieistotne, że reszta świata właśnie tak cię postrzega. Uważasz się za inteligentną, spostrzegawczą dziewczynę, bystrzejszą od innych, i nienawidzisz tego, że jesteś zmuszona żyć w cieniu pana Carpentera. A może się mylę?

- Wystarczy - wtrącił Turner. Rzucił w stronę Kate spojrzenie, które natychmiast zrozumiała.

„Nie dawaj mu tego, co chce”.

- Czy cię obraziłem? - spytał nieszczerym głosem. - Jeśli tak, to proszę o wybaczenie. Nie było to moim zamiarem.

- Oczywiście, że było - odparła. - Ale to nic. W pewnych kwestiach ma pan rację, panie Rusmanov. Podejrzewam, że kiedy żyje się tak długo jak pan, jest się niezłym w odczytywaniu ludzkich myśli. Ale myli się pan co do Jamiego. Nie mam do niego żalu i jestem dumna z tego, że mogę być jego przyjaciółką. I nie obchodzi mnie to, czy mi pan wierzy, czy nie.

- Wierzę - powiedział wampir łagodnie. - I wiem, że on czuje tak samo.

Kate zdawała sobie sprawę, że robi dokładnie to, czego nie powinna - pozwala Valentinowi wciągnąć się w rozmowę o niej i jej przyjaciółkach. Chciał jedynie sprawdzić, co ją irytuje, i sprowokować reakcję. Dla niego to była jedynie gra, zwykła, okrutna rozrywka.

- Powiedział to panu? - spytała, nie umiejąc się powstrzymać.

- Niebezpośrednio - odparł Valentin. - Jego matka była na tyle miła, żeby mi to przekazać.

Kate zmarszczyła brwi.

- Kiedy rozmawiał pan z Marie?

- Och, od czasu do czasu do niej zaglądam - wyjaśnił. - Na dole brakuje mi towarzystwa, a okazało się, że pani Carpenter uwielbia herbatę i uprzejmą rozmowę. W wyniku tego ona i ja staliśmy się sobie bliscy.

- Jeśli zrobisz jej krzywdę - powiedział Turner lodowatym tonem - jeśli ją zdenerwujesz, przestraszysz czy w jakikolwiek sposób spróbujesz zmanipulować, zabiję cię. I przysięgam, że Cal Holmwood nie powie ani słowa. Ona nie jest częścią tego.

- Czego? - spytał Valentin ciszej.

- Tego, co robimy. Jest cywilem. Jest niewinna.

- Pańska opinia o mojej osobie się nie zmieni, prawda? -

rzekł Valentin. - Majorze Turner, zdaje pan sobie sprawę, że dawno temu złożyłem przysięgę, iż nigdy nie skrzywdzę żadnego członka rodziny Carpenterów. Chociaż czuję się w obowiązku przypomnieć, że gdybym zmienił zdanie, nic by pan me mógł zrobić, żeby mnie powstrzymać. Lubię towarzystwo Marie i wiem, że to uczucie jest odwzajemnione. Nie zrobiłem nic ponad nauczenie jej o tym, kim się stała. Od czasu do czasu ofiarowuję jej ramię, w które może się wyplakać, kiedy martwi się o syna. Jestem zdolny do odczuwania emocji, majorze Turner Mogę utrzymywać kontakty z ludźmi, nie chcąc ich zabić i torturować. Nie jestem potworem, za jakiego mnie pan uważa.

- Nie - przyznał Turner. - Jest pan gorszy, bo ukrywa okrucieństwo pod maską przyjaźni. To bardzo przekonująca maska, ale nic więcej.

- Nie zamierzam na siłę zmieniać pańskiego zdania - rzekł Valentin. - Będzie pan wierzył w to, w co zechce.

- Owszem - powiedział Turner. - Tak będzie.

- Doskonale. W takim razie zostawmy przekonania majora lumera w spokoju i wróćmy do omawianych kwestii - rzekł Valentin, uśmiechając się do Kate. - Wiem, że Jamie jest dumny z tego, że jesteście przyjaciółmi, ponieważ rozmowa o tobie sprawia Marie wiele radości. Ona wychodzi z siebie, żeby mi wyjaśnić, jak bardzo cię polubiła. Ma też tendencję do mówienia mi o rzeczach, o których nie mówi Jamiemu. Takich, które...

- Nie - przerwała Kate.

- „Nie” co? - dopytał Valentin.

- Proszę ze mną nie pogrywać. Nie muszę wiedzieć, co Marie panu mówiła.

- Gdybym próbował z tobą pogrywać - odparł wampir uprzejmie - powiedziałbym, jak bardzo Marie nienawidzi twojej przyjaciółki Larissy. I jak ogromną żywi nadzieję, że jej syn się opamięta i na zabój zakocha się w tobie. Ale tego nie

powiedziałem, prawda? - Po tych słowach uśmiech znikł z twarzy wampira i przez ułamek sekundy w kącikach jego oczu zamigotała czerwień. - Och, jej - dodał cicho - ależ jestem nieostrożny.

Po plecach Kate przebiegł dreszcz i rozszedł się po całym ciele.

„Nie chciałam tego wiedzieć. Naprawdę”.

- Panie Rusmanov - zdecydował Paul Turner - kończymy przesłuchanie. Dziękujemy, że poświęcił nam pan swój czas.

- Tak szybko? - Valentin westchnął. - Właśnie zaczynałem się dobrze bawić.

- Nie zna pan Jamiego - rzuciła Kate. - Nic pan nie wie o nim, o mnie ani o Larissie. Nic pan nie wie.

- Porucznik Randall - powiedział Turner, patrząc na nią groźnie.

- Na niczym panu nie zależy - ciągnęła. - Jest pan tutaj, ponieważ nie podoba się panu myśli, że miałby pan słuchać poleceń Drakuli, ale za bardzo się pan boi, by stawić mu czoła. Jest pan zwykłym tchórzem.

- Kate...

- Jest pan bystry, chodzi po świecie od zawsze i uważa, że zabawnie jest pogrywać z ludźmi, mówić im coś, co nigdy nie miało miejsca. Ale to nie jest zabawne. To żałosne. Jamie wychodzi codziennie w teren, próbując powstrzymać mrok przed przejściem kontroli, a pan co robi? Siedzi pan w swojej celi i wymyśla intrygi i podstępny, a potem gratuluje sam siebie, że jest taki sprytny. Jest pan niczym. Ja to wiem, pan to wie i Jamie to wie.

Valentin zmarszczył brwi, lecz po chwili szerzej otworzył oczy i wybuchł śmiechem. Był to wysoki, kobiecy głos, który sprawił, że włosy na karku Kate stanęły dęba.

- O rany - powiedział. - Naprawdę sądziłem, że wiecie. Ale nie, prawda? Żadne z was?

- Nie wiemy o czym? - spytał Paul Turner.

- Pan Carpenter ma w zwyczaju spędzać czas w mojej celi - poinformował Valentin. - Zakładałem, że ma na to pozwolenie, ale teraz widzę, że się myliłem. Niezręcznie mi w tej sytuacji.

Kate przyglądała się staremu wampirowi.

- Pan kłamie - powiedziała.

- Zapewne tak sądzisz - odparł. - Ale, jak mniemam, taka bystra dziewczyna zdaje sobie sprawę z tego, że łatwo to można sprawdzić. Spytaj go, kiedy go następnym razem zobaczysz. Zapytaj przyjaciela, którego tak dobrze znasz. Ale nie bądź zaskoczona, jeśli nie spodoba ci się to, co powie.

Major Turner wstał. Nogi jego krzesła zaszurały o podłogę niczym gwoździe na szkolnej tablicy.

- Po raz ostatni mówię - jego głos kipiał z wściekłości - to przesłuchanie jest zakończone. Agenci, odprowadźcie pana Rusmanova do celi. Jeśli powie coś albo chociaż odetchnie w sposób, który wam się nie spodoba, macie moje pozwolenie, żeby zniszczyć go na miejscu. A teraz zabierzcie go z moich oczu.

WYBRUKOWANE DOBRYMI CHEĆCIAMI

Pete Randall przeczytał wpis Kevina McKenny, potem znowu i jeszcze raz. Serce waliło mu w piersi, ale rozum podpowiadał ostrożność, nakazał przemyślenie sprawy i niewchodzenie na ślepo w pułapkę.

Wygooglował nazwisko McKenny i od razu odetchnął. Dziennikarz istniał naprawdę. Liczba artykułów napisanych przez niego i o nim była zbyt duża, aby mógł nie istnieć. Ale też nic nie dowodziło że napisał taki post. Nie był dziennikarzem śledczym z typu tych którzy łapią w pułapki i demaskują skorumpowanych polityków i oszustów finansowych. Poza tym od wielu lat nie opublikował nic znaczącego.

„Ale wie jakoś się dowiedział. I mówi o tym publicznie”.

Pete siedział z laptopem na kolanach. Paraliżowała go myśl o tym, co powinien teraz zrobić. Chciał kliknąć okienko komentarza pod informacją McKenny i napisać, co leży mu na wątrobie. Ale tego nie zrobił.

„Południe będzie wiedział. Spytałem go, co powinienem zrobić”.

Zaczął pisać esemesy, ale przerwał, kiedy na ekranie pojawił się numer mężczyzny. Długo się w niego wpatrywał, a potem nacisnął przycisk. Telefon dzwonił i dzwonił, a Pete był coraz bardziej zniechęcony.

„Oczywiście, że nie odpowie. Nie jest taki głupi. Na pewno nie ma nawet poczty głosowej”.

- Północ?

Pete niemal wypuścił telefon.

- Tak - powiedział. - To ja.

- W co ty pogrywasz, stary? - spytał Południe. Brzmiał, jakby był rozłoszczony. - Przecież się umówiliśmy. Komórki to najłatwiejsza do namierzenia rzecz pod słońcem. Wiesz o tym.

- Wiem - rzekł Pete. - Przepraszam. Ja tylko... Nie mogę uwierzyć w to, co przeczytałem w tym poście. Nie wiem, co z tym zrobić. Muszę z kimś pogadać.

Nastąpiła chwila ciszy.

- W porządku - powiedział Południe tonem tylko odrobinę spokojniejszym. - Nie przejmuj się. Zatem przeczytałeś?

- Tak - odparł Pete. - Trudno mi w to uwierzyć. Myślisz, że to prawdziwe?

- Tak sądzę - rzekł Południe. - Nie wiem, nie jestem pewien, ale tak mi się wydaje. Wciąż się nad tym zastanawiam i nie widzę powodu, dla którego miałyby coś takiego zrobić. Zakładam, że mają nas i takich jak my pod obserwacją, więc jaki byłby tego cel? Mieliby nas podpuścić i namówić do rozmowy o tym, co wiemy? Żeby wywabić nas z kryjówek? Ale po co? Jeśli uznali, że stanowimy potencjalny problem, to dlaczego po prostu nas nie zlikwidują?

Po plecach Pete'a przeszły ciarki.

- Myślałem dokładnie to samo - powiedział.

- Jeśli to prawda - rzekł Południe - to facet ma jaja. Znow nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- Zatem co robimy? - spytał wreszcie Pete. - W pierwszym odruchu chciałem mu napisać, co przytrafiło się Kate i mnie. Co o tym sądzisz?

- To samo - odpowiedział Południe. - Właśnie sprawdzam, co napisałem na tę drugą stronę. Wyślę to, jak tylko skończę.

- Jesteś pewien? - spytał Pete. - To właściwa decyzja? - Nie wiem - przyznał Południe. W jego głosie znow pojawił się zapal. - I jeśli mam być szczery, stary, mam to gdzieś. Jeżeli to

wyślę i mnie złapią, a potem wtrąca do jakiejś celi albo dostanę kulkę w łeb, to niech tak będzie. Nie mam już nic, co mogliby mi odebrać. Więc jeśli ten facet chce coś zrobić, to przynajmniej spróbuję mu pomóc. A ty nie?

Dwie godziny później, daleko od Lindisfarne, Kevin McKenna popijał piwo z puszki, podczas gdy Albert Harker czytał mu przez ramię. Kły wyraźnie rysowały się pod górną wargą, uniesioną w szerokim uśmiechu.

Dziennikarz i wampir pochylali się nad laptopem McKenny w anonimowym pokoju w hotelu jednej z sieci na przedmieściach Londynu. Niecałą godzinę po zamieszczeniu wpisu opuścili dom McKenny - Harker w tym, co miał na sobie, McKenna ze sportową torbą pełną pospiesznie spakowanych ubrań, notesów, długopisów i przyborów toaletowych. Nie miał jak sprawdzić, czy wampir się nie mylił i czy po ujrzeniu błoga Czarny Filtr po niego przyjdzie, ale nie chciał ryzykować.

- Cudownie - rzekł Harker. - Po prostu cudownie. Minęło niecałe sześć godzin, a my już mamy dwie bardzo szczegółowe relacje naocznych świadków, którzy widzieli zarówno wampiry, jak i agentów Czarnego Filtru. Nie mógłbym liczyć na nic lepszego.

McKenna przytaknął, a Harker prze frunął na drugą stronę pokoju i wziął kubek parującej kawy. Dziennikarz był zdumiony, widząc, że pod wpisem pojawiły się dwie historie. Roilo się w nich od helikopterów i żołnierzy, śmierci i krwi, ale i tak były niezwykle przekonujące. Starał się zachować spokój i nie dać się ponieść emocjom, ale nie do końca mu się to udawało. „Jeśli to wszystko prawda - myślał - to on ma rację. To historia stulecia”.

- Co teraz? - spytał ostrożnie. - Mamy dwie osoby twierdzące, że widziały wampiry, a dodatkowo jedna z nich także ludzi, o

których mi opowiadałeś. Dobry początek, ale to tylko dwie osoby.

Harker powoli pił kawę.

- Pojawi się więcej - odparł. - Podejrzewam, że o wiele więcej. A jeśli chodzi o to, co teraz robimy, musisz się zabrać do pracy.

- Nad czym?

Harker uśmiechnął się ironicznie.

- Nad swoją najlepszą chwilą w życiu, mój drogi McKenno.

POMRUKI NIEZADOWOLENIA

- Przepraszam - powiedziała Kate. - Zawiodłam cię.
- Bzdura - odparł Paul Turner. - Zostałaś sprowokowana przez kogoś, kto manipuluje ludźmi od ponad czterech stuleci. Postawiłaś mu się i walczyłaś o przyjaciół.
- Właśnie tego chciał - zauważyła.
- To nieważne - zapewnił Paul. - Powinnaś być z siebie dumna.

Siedzieli w salonie WZOB-u, Kate na sofie, a Paul na plastikowym

krześle biurowym. Kate była tak rozczarowana, że złapała się na przynętę Valentina, że trzęsła się ze złości. Próbowwała wypić szklankę wody, ale większość rozlała na dywan. Oczekiwała, że jej szef będzie na nią co najmniej tak zły jak ona sama. W rezultacie niemal rozczarowała ją jego reakcja.

- Powiedziałeś mi, żebym nie pozwoliła mu mieszać sobie w głowie - odparła. - To twoje słowa.

- Wiem, co mówiłem - przyznał Turner. - Chciałbym, żebyś mu na to nie pozwoliła. Ale wątpię, by mógł wykorzystać przeciwko tobie lub nam cokolwiek z tego, co mu powiedziałaś. Wydaje mi się, że próby wyprowadzenia cię z równowagi zwyczajnie go bawiły.

- Udało mu się - skwitowała Kate.

- Widziałem - powiedział Turner. Widok koleżanki po fachu krzyczącej na jednego z najstarszych wampirów na świecie sprawił, że zrobiło mu się ciepło na sercu. Ledwie się powstrzymał, by nie szczerzyć się jak głupi.

Kate zdołała się lekko uśmiechnąć.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała. - Z tym, co powiedział o Jamiem i Marie?

- Nie wiem - odparł. - Jamie jest już sprawdzony, więc wątpię, żeby łamał jakieś zasady, odwiedzając Valentina. Ale jeśli był u niego więcej niż raz, jeśli weszło mu to w nawyk, będzie musiał przestać. Co do Marie, nie wiem, co mógłbym z tym zrobić. Nie możemy umieścić jej nigdzie indziej, a Valentin przedostaje się przez ultrafioletowe bariery, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

- Sądysz, że mógłby ją skrzywdzić? - spytała Kate.

- Nie wiem - przyznał Turner. - Mam nadzieję, że nie. Ale sądzę, że jest niewiele rzeczy, których by nie zrobił, gdyby miał odpowiedni nastrój.

- Nie mów tego Jamiemu - powiedziała Kate. - Dość ma już zmartwień.

- Jak my wszyscy - skwitował Turner. - Ale nie będę niepokoił go czymś, na co i tak nie mamy wpływu.

- Nie mogę uwierzyć, że chodził w odwiedziny do Valentina - mruknęła Kate z irytacją. - Jeśli potrzebował z kimś pogadać, dlaczego nie zwrócił się do mnie lub Matta? Albo do mamy? Albo chociażby do pułkownika Frankensteina?

- Chciałbym to wiedzieć - odparł major. - Może myślał, że dowie się więcej o swojej rodzinie? Valentin znał jego dziadka. Może o tym rozmawiali?

- Frankenstein znał Johna - zauważyła Kate. - Dlaczego to jego nie wypytał?

Oficer bezpieczeństwa nie odpowiedział, a Kate poczuła narastającą złość. Pomimo obietnicy, którą ona, Larissa, Matt i Jamie złożyli sobie kilka miesięcy temu, świat wciąż był pełen sekretów, kłamstw i ukrytych motywów.

Konsola Paula Turnera zadźwięczała. Wysunął z paska plastikowy kwadrat i sprawdził. Kate patrzyła, jak jego oczy momentalnie stają się duże, a na ustach pojawia się uśmiech.

- Natalia Lenski się obudziła - powiedział. - Nie ma trwałych obrażeń fizycznych i nie utraciła pamięci. Doskonale.

- To dobre wieści - rzekła Kate, czując, że jej złość słabnie. Poczucie winy z powodu tego, co spotkało młodą Rosjankę, bardzo jej doskwierało. Teraz miała wrażenie, że ktoś zdjął ciężar z jej ramion. - Naprawdę świetne.

- No to zgoda - skwitował Turner, podnosząc się z miejsca. - Muszę wysłać zespół z wydziału bezpieczeństwa, żeby ją przesłuchał. Przełożymy kolejne przesłuchanie o godzinę. Idź się napić kawy, zapomnij o Valentinie Rusmanovie i wróć gotowa do pracy. W porządku?

- Paul - powiedziała.

Agent zatrzymał się z dłonią na klamce i spojrzał na Kate

-Tak?

- Czy mógłbyś wyświadczyć mi drobną przysługę?

Kate i Matt szli szybkim krokiem przez korytarz na poziomie C w kierunku ambulatorium.

Paul Turner nie był zachwycony jej prośbą, żeby pozwolił Mattowi zobaczyć się z Natalią, zanim zostanie przesłuchana, ale zgodził się po krótkich namowach. Rozumiał, dlaczego było to dla Kate i jej przyjaciela takie ważne.

Podziękowała mu i natychmiast napisała wiadomość do Matta. Zazwyczaj nie oczekiwała na odpowiedź. Jamie, Larissa i ona sama przywykli do tego, że Matta trudno było złapać. Ale w tym wypadku nie zaskoczyło jej, że niecałą minutę po tym, jak nacisnęła WYŚLIJ, otrzymała odpowiedź. Chłopak zgodził się spotkać z nią w windzie na poziomie C.

- Naprawdę nic jej nie będzie? - spytał. - To ci powiedział major Turner?

- Po raz piąty - rzekła, uśmiechając się do przyjaciela - Paul powiedział, że Natalia wyzdrowieje.

- To dobrze - odparł Matt. - To bardzo dobrze.

„Mocno cię trafiło, przyjacielu - pomyślała z radością. - Gdybyś tylko wiedział to, co ja”.

Dotarli do szpitala i weszli przez podwójne drzwi. W długim białym pokoju było zajęte tylko jedno łóżko, stojące w połowie długości sali po lewej stronie. Natalia Lenski uniosła bladą twarz i przyglądała im się, kiedy szli w jej kierunku. Gdy ich rozpoznała, na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Matt - powiedziała. - Kate. Miło was widzieć.

Kiedy wypowiedziała jego imię, Matt lekko się zarumienił. Przyspieszył, gdy zbliżali się do Natalii, więc pierwszy znalazł się obok niej. Kate odrobinę zwolniła, aby dać im chociaż chwilę sam na sam.

- Jesteś cała? - spytał. - Jak się czujesz?

Natalia Lenski wyglądała żałośnie. Jej twarz była posiniaczona, pokryta drobnymi zadrapaniami i skaleczeniami. Cienki prostokąt bandaża zakrywał skórę tuż nad uchem, a lewe oko tak spuchło, że się nie otwierało. Niemniej słysząc pytania Matta, uśmiechnęła się, a jej twarz pięknie się rozpromieniła.

- Nie jest tak źle - oznajmiła. - Myślę, że miałam szczęście. Dużo szczęścia.

- Cześć, Natalio. - Kate zatrzymała się obok Matta. - Miło znów cię widzieć.

Matt zmarszczył brwi.

- Znacie się? - spytał.

- Właściwie to nie - rzuciła Kate. - Prawda?

- Właśnie - potwierdziła Natalia i znów się uśmiechnęła. Patrząc na jej obrażenia, Kate bolało serce, ale miło było zobaczyć jej uśmiech.

- Pamiętasz, co się stało? - spytał Matt. - Wybuch?

- Pamiętam huk - odparła Natalia, marszcząc brwi. - Bardzo głośny. A potem nic, aż do chwili, gdy się tutaj obudziłam i lekarze powiedzieli, że uderzyły mnie drzwi. Mówią, że zablokowały ogień.

- Jejku - szepnął Matt. - Nie mogę uwierzyć, że przeżyłaś wybuch bomby tuż obok siebie. Jesteś jak superbohater.

Natalia się uśmiechnęła, a Matt znów się zarumienił, tym razem wyraźniej.

„Powinnam iść - pomyślała Kate. - Tylko im tutaj zawadzam”.

- Muszę wracać do WZOB-u - oznajmiła. - Chciałam sprawdzić, czy jesteś w jednym kawałku, Natalio. Cieszę się, że tak. Matt, możesz tu zostać dziesięć minut, do przyścia ochrony. To znaczy, jeżeli chcesz.

- Zostanę - powiedział Matt i spojrzał na Natalię. - Jeśli nie masz nic przeciwko.

- Zostań - poprosiła. - Będzie mi miło.

- Dobrze. Zobaczymy się później. - Kate odwróciła się, żeby odejść, ale Matt zawołał ją, więc przystanęła.

- Chciałem spytać o coś Natalię - rzekł. - Chyba będzie lepiej, jeśli zostaniesz.

- Dobrze - odparła. - O co chodzi?

Matt zwrócił swoją bladą, szczerą twarz w stronę leżącej na łóżku dziewczyny.

- Natalio, dlaczego szłaś do pokoju Kate? Wtedy, kiedy bomba wybuchła. Co się dzieje?

Natalia oblała się rumieńcem.

- Nie mogę ci powiedzieć - stwierdziła. - To sprawa osobista.

- Sprawa osobista? - powtórzył Matt, zerkając na Kate. - Między wami dwiema? Co jest?

- Matt, słyszałeś - rzekła Kate łagodnie. - Powiedziała, że to sprawa osobista.

Matt zmarszczył brwi i wyglądał tak, jakby miał zaprotestować, ale w spojrzeniu przyjaciółki dostrzegł ostrzeżenie. Przez chwilę się jej przyglądał, a potem znów skupił uwagę na Natalii.

- Muszę iść - kontynuowała Kate. - Lunch. Jutro o pierwszej trzydziści. Żadnych wymówek.

Matt przytaknął.

- Dobrze - zgodził się, a potem zaczął mówić Natalii o postępach w projekcie Lazarus, które nastąpiły w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin.

Na usta Natalii powoli powrócił uśmiech. Kate wyszła, gdy dziewczyna z radością słuchała pełnej entuzjazmu opowieści Matta. Zamknęła za sobą drzwi szpitala. Wiedziała, że następnego popołudnia nie spotka przyjaciela w stołówce, ale z góry mu to wybaczyła. Szła korytarzem, mając nadzieję, że pośród ciemności, która ich wszystkich otacza, tych dwoje wykorzysta kruchą szansę i znajdzie szczęście.

„Chryste, mam nadzieję, że Matt się domyśli, co się dzieje. - Nacisnęła guzik wzywający windę. - Nie ma mowy, żeby Natalia mu powiedziała, a ja obiecałam jej, że będę milczeć. Ale to przecież oczywiste, więc na pewno sam to dostrzeże. Przecież jest geniuszem”.

Winda nadjechała i Kate weszła do środka z szerokim uśmiechem.

„Chociaż jak na geniusza - przypomniała sobie - czasami nie jest zbyt bystry”.

Kiedy Kate Randall i Matt Browning otwierali drzwi szpitala, major Paul Turner wychodził ze służby na końcu skrzydła na poziomie G. Był tak wściekły, że miał wrażenie, jakby jego żołądek zawiązano na supeł.

„Zachowaj spokój - powtarzał w myślach. - Ze względu na nią, jeśli nie dla siebie samego. Bądź spokojny”.

Miejsce strażnika po lewej stronie zajmował agent z wydziału bezpieczeństwa, którym Turner dowodził. Protokół nakazywał każdemu odwiedzającemu blok wpisanie się na listę przy wchodzeniu i wychodzeniu, ale oficer nawet nie zerknął w kierunku podwładnego. Ruszył korytarzem, chociaż agent żałośnie zawołał go po nazwisku. Szedł przed siebie,

stukając obcasami o posadzkę. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie biec.

„Zachowaj spokój. Zachowaj spokój”.

Powiedział Kate Randall, że nie jest na nią zły ani rozczarowany, i to była prawda. Nie był zły na nią.

Turner dotarł do celi Rusmanova, głęboko odetchnął i stanął przed ultrafioletową barierą, która powinna zatrzymywać wampira w środku.

Cela była pusta.

Mężczyzna stał przez dłuższą chwilę i wpatrywał się w pustkę. Gdy miał sięgnąć po radio, z sufitu przesunął się rozmazany kształt. Ramię wystrzeliło z nadludzką szybkością, przeciągnęło go przez ultrafioletową barierę i przycisnęło z całej siły do betonowej ściany. Turner szybko łapał powietrze, jednocześnie okładając ramię pięściami. Rozmazany kształt nabrał ostrości, zamieniając się w znajomą sylwetkę Valentina Rusmanova. Wampir miał wysunięte kły i świecące czerwienią oczy.

- Jeśli planuje mnie pan zabić, majorze Turner - odezwał się Rusmanov - to sugeruję, żeby nauczył się pan chodzić ciszej.

- Nie przyszedłem... walczyć - wychrypiał Turner. - Gdybym tego chciał... nie przyszedłbym... sam.

- Niech będzie - skwitował Valentin i zwolnił uścisk. Turner opadł na podłogę, trzymając się za szyję. - W takim razie co mogę dla pana zrobić, majorze Turner? Ledwie godzinę temu mieliśmy okazję cieszyć się wzajemnym towarzystwem.

Oficer bezpieczeństwa zmusił się do wstania z podłogi.

- Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś - powiedział niskim głosem. Całą siłą woli hamował nerwy. Nie mógł pozwolić, żeby upokorzenie, jakiego przed chwilą doświadczył, zmieszało się z wściekłością, która już rozgorzała w jego wnętrzu. - Chcę wiedzieć, dlaczego zrobiłeś to Kate.

- A cóż takiego jej uczyniłem? - spytał Valentin, frunąc bez żadnego wysiłku i opadając na jedno z dwóch krzesel.

- Dobrze wiesz co - odparł Turner. Wziął drugie krzesło, postawił naprzeciwko wampira i usiadł. - Ona nic dla ciebie nie znaczy. Dopiero przed trzema miesiącami dowiedziała się, że istniejesz. Dlaczego ją gnębisz?

- Majorze Turner - zaczął Valentin, splatając palce za głową. - Czy naprawdę rozumie pan, przed jaką perspektywą stoimy?

- Tak - odparł Turner.

- Gdyby naprawdę tak było, nie zadawałby mi pan tego pytania.

- Posłuchaj mnie...

- Nie, to ty posłuchaj mnie - przerwał mu Valentin. Oczy zaszyły mu przerażającą oleistą czerwień. - Jeśli Drakula powróci, wszystko, czemu ten Departament stawiał dotąd czoła, będzie jedynie radosnym wspomnieniem. A te dzieci, w których ty i Holmwood pokładacie takie nadzieje? Ani trochę nie są gotowe na to, co nadchodzi. Traktujecie Jamiego, jakby był wcieleniem Quinceya Harkera, Kate jak ukochaną córeczkę, a młodego Matta, jakby był magicznym kluczem do odkrycia lekarstwa. Obaj wiemy, że prawdopodobnie lek nigdy nie powstanie. Wiem. Uważasz, że im pomagasz. Ale to nieprawda. Zawodzi ich pan, majorze Turner. Ten cały Departament ich zawodzi i już wkrótce będzie za późno.

Turner poczuł, jakby ktoś przyłożył mu w brzuch. Próbował sobie wmawiać, że to, co Valentin mówi, to bzdury, że wampir nie ma racji, ale nie umiał siebie przekonać. Słowa Valentina brzmiały przerażająco prawdziwie.

- Zatem co pan twierdzi? - spytał powoli. - Co...?

- Gdy tu przyjechałem, powiedziałem wam, że nie chcę, aby Drakula powrócił - odparł Valentin. - To była i wciąż jest prawda. Jestem po waszej stronie, majorze Turner, niezależnie od tego, czy mi pan wierzy, czy nie. Ale jeśli wasza strona składa się z młodych mężczyzn i kobiet, którzy załamują się, kiedy ktoś mówi im coś, czego nie chcieli usłyszeć, i których wyprowadzają z równowagi sekreciki i

drobna zazdrość, to jakie mamy szanse?

Przez dłuższą chwilę Turner milczał.

- Zrobił pan to, żeby jej pomóc? - zapytał powoli. - Właśnie to chce mi pan powiedzieć?

Valentin się uśmiechnął.

- Oczywiście, że nie - odparł. - Przecież jestem potworem, pamięta pan?

OJCOWIE .DLA.PRAWDY

Od: kevinjmckenna@googlemail.co.uk

Do: polnoc3571@hotmail.co.uk; 6589poludnie@gmail.com

Wysłane: 21.06.54

Temat: Wasze komentarze pod moim wpisem na blogu Witajcie!

Bardzo dziękuję Wam obu za komentarze pod najnowszym postem na moim blogu. Jestem wdzięczny, że podzieliliście się ze mną swoimi historiami, i bardzo współczuję straty, jaką obaj ponieśliście.

Piszę, żeby prosić Was o pozwolenie wykorzystania Waszych relacji w artykule, nad którym obecnie pracuję. Jestem pewien, że będzie bliski Waszym sercom. Zostaniecie podpisani jako anonimowi informatorzy, a Wasze adresy e-mailowe pozostaną utajnione.

Proszę, dajcie mi znać, czy to Wam odpowiada i czy zgadzacie się, żebym kontynuował. Z pozdrowieniami Kevin

Od: polnoc3571@hotmail.co.ukHYPERLINK

"mailto:polnoc3571@hotmail.co.uk"

polnoc3571@hotmail.co.uk

Do: kevinjmckenna@googlemail.co.ukHYPERLINK

"mailto:kevinjmckenna@googlemail.co.uk"

kevinjmckenna@googlemail.co.uk

Kopia do: 6589poludnie@gmail.comHYPERLINK

"mailto:6589poludnie@gmail.com"

6589poludnie@gmail.com_ **Wysłane:** 21.23.07

Temat: Re: Wasze komentarze pod moim wpisem na blogu Drogi Kevinie, dziękuję Ci za e-maila. Ucieszę się, jeśli wykorzystasz to, co napisałem, w swoim artykule, pod warunkiem że zagwarantujesz mi anonimowość.

Proszę, informuj mnie na bieżąco, jak rozwija się sytuacja. Podejrzewam, że masz rację; kiedy artykuł się ukaże, przeczytam go z zainteresowaniem. Pozdrawiam Północ3571

Od: 6589poludnie@gmail.com

Do: kevinjmckenna@googlemail.co.uk

Kopia do: polnoc3571@hotmail.co.uk

Wysłane: 21.29.41

Temat: Re: Wasze komentarze pod moim wpisem na blogu

Drogi Kevinie,
ja także zgadzam się, abyś wykorzystał w swoim artykule opowieść o tym, co przydarzyło się mojej rodzinie. Ucieszy mnie, że pomogłem, choćby w tak niewielki sposób, zapobiec temu, by innych spotkało to, co mnie i Północ3571.

Z pozdrowieniami

6589Południe

- I co ci mówiłem? - powiedział Albert Harker z uśmiechem na bladej twarzy. - To proste.

- W porządku - odparł McKenna. - Zgodzili się, żebym wykorzystał to, co napisali. Ale wciąż nie rozumiem, czemu jesteś taki podekscytowany.

- To proste, przyjacielu - zaczął Harker. - To kruczata, ruch społeczny. Bardzo możliwe, że ty, ja lub my obaj już dawno

zejdziemy z tego świata, zanim sprawa się zakończy. Jak sądzisz, jeśli nam się uda, to jaki będzie rezultat tego, że uprzedziliśmy ludzi, że pośród nich chodzą potwory? Czarny Filtr jest brutalny, mściwy i długo pamięta. Jestem tego żywym dowodem. Gdyby teraz nas znaleźli i zabili, to byłby koniec. Historia umarłaby razem z nami. Będziemy potrzebowali pomocy, a sądzę, że ci dwaj mężczyźni z radością odegrają wyznaczoną im rolę.

- No dobrze - powiedział McKenna. - Ale dlaczego ci dwaj? Mamy na blogu już ponad trzydzieści komentarzy. Czemu ci są wyjątkowi?

- Byli pierwsi - odparł Harker, spoglądając na ekran laptopa.
- Zobacz, jak szybko napisali. Gwarantuję ci, że czekali na coś takiego. Zobacz, jak szczegółowe są ich opowieści, jak pełne wściekłości. Oni chcą coś z tym zrobić, ale czekali na kogoś, kto powie im co. Potrzebują tylko delikatnego pchnięcia w dobrym kierunku.

- Pchnięcia? - powtórzył McKenna.

- Odpisz im - rzekł Harker. - Poinformuj, że potrzebujemy pomocy. Założę się, o co tylko zechcesz, że przyjadą.

- A potem co?

- Zagonimy ich do pracy - odparł Harker z uśmiechem. - Jeśli twój wydawca odrzuci artykuł, a chyba obaj podejrzewamy, że tak się może stać, będziemy musieli działać bardziej bezpośrednio. A wówczas lepiej, żeby było nas czterech niż dwóch.

„Bardziej bezpośrednio działanie? - zastanawiał się McKenna. - Co to, u diabła, znaczy?”

- Dobra - skwitował. - Napiszę do nich e-maila. Ale nie zdziw się, jeśli uznają to za pułapkę. Ja bym tak pomyślał.

Harker otworzył butelkę czerwonego wina i nalał sobie lampkę.

- Nie martw się - powiedział. - Przyjadą. Jak ci idzie pisanie artykułu?

Dziennikarz otworzył odpowiednie okno na ekranie laptopa.

- Skończyłem - oświadczył.

- Pokaż.

Wskazał na monitor. Harker podszedł do biurka, a McKenna odsunął się wraz z krzesłem, robiąc wampirovi miejsce. Otworzył kolejną puszkę piwa, a gdy Harker zaczął czytać, zapalił papierosa.

Historia była szalona, co do tego nie miał wątpliwości. Ale było to coś wielkiego, a pod względem literackim napisał najlepszy artykuł od lat. Zaskoczyło go, jak bardzo zależało mu na tym, by tekst spodobał się Albertowi Harkerowi.

Wampir go przerażał, nie było sensu udawać, że jest inaczej. Ale jego pojawienie się i szalona misja, którą na niego zwał, wznieciły w McKennie ogień, jakiego nie czuł od dawna. To tylko niewielki płomyk, ale się pojawił - czuł go. I to mu się podobało. Pozwalał sobie wierzyć, że być może na dobre pożegna bezrozumną, miażdżącą duszę pracę wypełniającą jego dni i na powrót stanie się człowiekiem, który coś znaczy i który może spojrzeć sobie w oczy. Nie wiedział, jaki będzie finał tego wszystkiego, ale do chwili, gdy to nastąpi, będzie grał swoją rolę najlepiej, jak potrafi.

Misja Harkera nie zakończy się przez niego fiaskiem.

Coś jednak wiedział na pewno. Jakość nie będzie miała dla Colina Burtona żadnego znaczenia. Nastąpiłby cud, gdyby jego redaktor przeczytał więcej niż akapit lub dwa pod nagłówkiem. Jeśli dopisze mu szczęście, Burton uzna to za kawał. Jeśli nie, w odpowiedzi przeczyta, że ma wolną rękę, by szukać innej pracy.

- Jest dobre - skwitował Harker, odwracając się do niego z miłym uśmiechem. - Nawet bardzo dobrze. Właśnie tego nam trzeba.

- Cieszę się - odparł. - Ale i tak tego nie opublikują, Albercie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Może - powiedział Harker. - A może nie. Wyślijmy to i się

przekonajmy.

McKenna podsunął się do krzesła i kliknął ikonę programu e-mailowego. Potem otworzył nowe okno, dodał załącznik i napisał krótką wiadomość do wydawcy. Nacisnął WYŚLIJ i oparł się, czując, jak krew tętni mu w żyłach. Zastanawiał się, jak niewielkie są szanse na to, że Colin dostrzeże, czym jest dla niego ten artykuł, i go opublikuje. I wtedy w jego myślach pojawiło się nieproszone słowo.

„Ocalenie - pomyślał. - To może być mój ratunek”.

- Dobra robota - rzekł Harker, ściskając ramię McKenny. - Miejmy nadzieję, że facet ma więcej rozsądku, niż sądzisz. A jeśli nie... Cóż, przynajmniej jesteśmy przygotowani. Napisz do naszych dwóch rekrutów, a potem spróbuj się przespać. Coś mi mówi, że będziemy mieć dużo pracy.

Wampir zabrał rękę i wrócił na sofę. McKenna siedział przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad możliwościami, o których nie myślał od lat.

„Szacunek. Uznanie. Zaszczyty. Sława”.

Gdy siedział w „The Globe” przy swoim biurku zawalonym zdjęciami sław w bikini i sportowców zażywających narkotyki w klubowych łazienkach, wydawały mu się one równie odległe i nieosiągalne jak księżyc. Ale teraz, mając przed sobą historię tak wybuchową, że naprawdę mogła zmienić świat, umysł dręczył go, co to oznacza dla jego kariery.

I dla jego życia.

McKenna dopił piwo, zgasił niedopałek papierosa i zabrał się do pisania drugiego e-maila, o który prosił Harker.

Od: kevinjmckenna@googlemail. co. uk

Do: polnoc3571@hotmail.co.ukHYPERLINK

"mailto:polnoc3571@hotmail.co.uk"

polnoc3571@hotmail.co.uk ; 6589poludnie@gmail.com

Wysłane: 23.19.02

Temat: Re: Re: Wasze komentarze pod moim wpisem na blogu

Witajcie!

To wspaniałe wieści. Jestem zaszczycony, że pozwoliliście mi wykorzystać Wasze historie, abym mógł opowiedzieć swoją. (Wiem, że tak naprawdę to nasza opowieść, po prostu wychodzi ze mnie dziennikarz). Możecie mi wierzyć - potraktuję je z godnością i szacunkiem, na jaki zasługują.

Tak naprawdę odkąd otrzymałem Wasze odpowiedzi, myślałem o czymś dość drastycznym. Jak wcześniej: nie obawiajcie się powiedzieć „nie”, jeśli nie jesteście zainteresowani. Ale oto, co proponuję:

Chciałbym, żebyście rozważyli przyjazd do Londynu, żeby pomóc mi otworzyć tę ogromną puszkę Pandory. Już wkrótce może nadejść chwila, kiedy nieliczni odważni będą musieli stanąć do walki o to, w co wierzą. Dajcie znać, jeśli rozmawiam z niewłaściwymi osobami.

Z pozdrowieniami Kevin

Od: 6589poludnie@gmail.com [HYPERLINK](mailto:6589poludnie@gmail.com)
"mailto:6589poludnie@gmail.com"

6589poludnie@gmail.com__

Do: kevinjmckenna@googlemail.co.uk [HYPERLINK](mailto:kevinjmckenna@googlemail.co.uk)
"mailto:kevinjmckenna@googlemail.co.uk"

kevinjmckenna@googlemail.co.uk _

Kopia do: polnoc3571@hotmail.co.uk [HYPERLINK](mailto:polnoc3571@hotmail.co.uk)
"mailto:polnoc3571@hotmail.co.uk"

polnoc3571@hotmail.co.uk _

Wysłane: 23.52.33

Temat: Re: Re: Re: Wasze komentarze pod moim wpisem na blogu Drogi Kevinie, przedyskutowaliśmy Twoją propozycję i ją przyjmujemy.

Jutro wyruszymy do Londynu - na tym etapie nie podamy więcej szczegółów. Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

Daj proszę znać, gdzie się spotkamy.

Z pozdrowieniami 6589Południe

Kevin McKenna obrócił laptop i pokazał wiadomość Albertowi Harkerowi. Wampir się uśmiechnął, a w kącikach oczu zamigotała czerwień.

- Wszystko idzie zgodnie z planem - powiedział. - Mówiłem ci, że tak będzie. Dobra robota, przyjacielu. Naprawdę doskonała.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ DNI DO GODZINY ZERO

MRO CZNY HORYZONT**CHATEAU DAUNCY AKWITANIA,
POŁUDNIOWO-ZACHODNIA FRANCJA**

Henry Seward wypluł gruby skrzep krwi do umywalki i spojrzął na swoje odbicie w lustrze.

Rano miał złamany i ponownie nastawiony nos, przez co do gardła napływała mu krew, a gorąca kula bólu ulokowała się pośrodku jego zmęczonej, ściągniętej twarzy. Ale nie sądził, że właśnie to wypluł przed chwilą na porcelanę. Krew była niemal czarna; miał pewność, że pochodziła z głębszych partii ciała, które powoli zaczynało go zawodzić. Może z żołądka albo z płuc? Kaszlał teraz głośno, a każdy spazm uderzał w jego klatkę piersiową. Krzyż bolał go nieustannie - to właśnie w to miejsce otrzymywał najsilniejsze ciosy od Valeriego. Jego skóra miała żółtawy odcień, a oczy były zapadnięte i małe.

„Umieram” - pomyślał. Zaskoczyło go, że nic w związku z tym nie czuł.

Zawsze wierzył, że umrze w ogniu bitwy albo jako starzec we własnym łóżku. Nigdy nawet nie przeszło mu przez myśl, że będzie torturowany na śmierć z polecenia samego Drakuli.

Seward ostrożnie się ubrał. W ostatnich dniach palce i kończyny niespiesznie wykonywały polecenia, zupełnie jakby komunikacja między nimi a mózgiem zanikała. Zapiął guziki koszuli i powoli wsunął marynarkę na ramiona. Został zaproszony na drinka z Drakulą w gabinecie wampira, a z

bolesnego doświadczenia wiedział, że kary za spóźnienie były surowe.

Po włożeniu marynarki Seward spojrział w lustro i wygładził włosy. Stały się jeszcze bardziej siwe i było ich zdecydowanie mniej. Całe kępki wypadły mu po jednej z najgorszych sesji tortur, kiedy jego ciało wciąż drżało od porażenia prądem, który przepływał po jego wilgotnej skórze. Wyglądał tak, jakby w ciągu trzech miesięcy, które spędził jako gość Drakuli, postarzał się o dziesięć lat. Był pewien, że kolejnych trzech miesięcy nie przetrwa, że zostało mu o wiele mniej czasu.

„Cał, jeśli macie po mnie przyjść - mówił sobie w duchu - to mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce. W przeciwnym razie stracie tylko czas”.

Dziesięć minut później Seward zastukał do drzwi na najwyższym piętrze zamku.

Po schodach prowadziła go strażniczka - wampirzyca, której mąż został zabity przez agenta Czarnego Filtru pięć lat wcześniej. Wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała chęć rozerwania więźniowi gardła własnymi rękami. Zostawiła go na końcu korytarza, więc kilka ostatnich kroków przeszedł sam. Wampiry z zamku bały się Drakuli i pomimo deklarowanej miłości unikały przebywania w jego obecności.

- Wejdz! - zawołał głęboki, delikatny głos, który stał mu się bardzo znajomy.

Seward głęboko odetchnął i otworzył drzwi.

Pokój był pięknym, szerokim pomieszczeniem o ścianach wyłożonych boazerią. Znajdował się w południowo-zachodnim krańcu najwyższego piętra wielkiego budynku, prywatnego sanktuarium Valeriego w latach po zgładzeniu jego żony, teraz zagarniętego przez dochodzącego do siebie Drakulę. Stały tu półki na książki, na ścianach wisiały obrazy, a pomiędzy dwiema ogromnymi zielonymi sofami ustawiono stolik do kawy. W rogu pokoju znajdowały się drewniane drzwi, teraz otwarte, aby wpuścić chłodne nocne powietrze.

- Tutaj! - zawołał głos. - Proszę się do mnie przyłączyć, drogi admirał!

Seward powoli przeszedł przez gabinet i wyszedł z za drzwi. Całe górne piętro okalał kamienny balkon. Niegdyś było z niego widać nadciągających Hiszpanów, kiedy znajdowali się o pół dnia drogi stąd. Admirał spojrzął w lewo i dostrzegł Drakulę. Wampir siedział na eleganckim drewnianym krześle z rozprostowanymi przed sobą nogami. Ażurowy stolik z kutego żelaza stał obok, a na nim kubełek z lodem oraz dwa kieliszki bladego płynu z bąbelkami. Wampir uniósł jeden i podał Sewardowi z uśmiechem. Ten wziął szkło z dłoni swego oprawcy. Starał się powstrzymać drżenie ręki.

- Dziękuję - powiedział.

Drakula ponownie się uśmiechnął i kiwnął głową w kierunku pustego krzesła.

- Proszę bardzo, Henry. Usiądź. Wyglądasz, jakbyś miał się za chwilę przewrócić.

Seward przełknął wstyd, który zdawał się podchodzić mu do gardła z żołądka, i zajął miejsce. Sącył wyborny szampan i obserwował rozległy ciemny las, rozciągający się na zachód. Powietrze było chłodne i czyste. Miał wrażenie, że uśmierzało ból, który w ostatnim czasie stał się jego stałym kompanem.

- Jak się miewasz? - spytał Drakula. - Słyszałem, że miałeś ciężką noc.

„Na twój rozkaz, cholerny potworze”.

- Dobrze słyszałeś - odpowiedział. - Wiesz, że byłoby dla ciebie prościej, gdybyś po prostu mnie zabił?

Drakula upił łyk z kieliszka.

- W rzeczy samej - przyznał. - Ale przecież tego właśnie chcesz, czyż nie? A ja nie mogę dać ci tego, czego pragniesz.

- Dlaczego? - spytał Seward. Czuł, że jest na skraju płaczu. - Dlaczego po prostu z tym nie skończysz?

- Dlatego że jesteś oficerem dowodzącym organizacją, która postawiła sobie za cel zniszczyć mój gatunek - odparł wampir.

- Jak by to wyglądało, gdybym okazał ci łaskę albo pozwolił zaznać ulgi szybkiej śmierci? To, co ci robią, nie sprawia mi żadnej przyjemności, ale nawet ty rozumiesz, że to konieczne. Z przykrością to mówię, ale musimy dać innym przykład.

Seward doskonale wiedział, że jego cierpienie sprawia staremu wampirovi wielką radość, ale zignorował to kłamstwo i ponownie spojrzął na kamienną ścianę zamku i na horyzont. Gdzieś w najciemniejszych zakamarkach jego umysłu zaczęła się formować pewna myśl.

- Jak to się skończy? - spytał. - Już po rozlewie krwi, krzykach i walce. Co wówczas?

Drakula ponownie napełnił kieliszki.

- Kiedy byłem człowiekiem - powiedział po dłuższej chwili - nie pragnąłem rządzić światem, niezależnie od tego, co mówi historia. Byłem księciem Wołoszczyzny, kraju, w którym się urodziłem, i to było jedyną rzeczą, do jakiej dążyłem. Walczyłem, by zapewnić mu pokój, przegnać tych, którzy chcieliby odebrać mi tron, i czyniłem to z olbrzymim zacięciem. Ale nigdy nie pragnąłem zostać Aleksandrem, którego imperium rozciągało się na cały świat. Mój kraj mi wystarczał.

- Najechałeś Transylwanię - powiedział Seward łagodnie.

- I Węgry. Drakula zaczął się śmiać.

- Transylwania była w kieszeni Turków. Zasłużyli dokładnie na to, co dostali. Najazd na Węgry nie sprawił mi radości, ten na Serbię także. Nie były to posunięcia podyktowane ambicją. Nie uważam ich za inwazję. Chodziło mi o to, by utrzymać Turków na wodzy. Podczas swoich rządów nie uczyniłem nic, co nie miałooby na celu zapewnienia bezpieczeństwa i wolności mojemu krajowi.

Seward milczał. Upił spory łyk szampana, jeszcze raz rzucił okiem na kamienny mur, a potem skupił uwagę na wampirze.

- Kiedy stałem się tym, kim jestem - kontynuował gospodarz - i gdy po raz ostatni skradziono mój tron, wycofałem się z

życia publicznego. Przez długi czas, w zasadzie przez wiele dekad, mieszkałem w niemal całkowitej izolacji. Towarzystwa dotrzymywali mi jedynie moi generałowie z żonami. Mój apetyt na wojnę i rozlew krwi umarł wraz z człowieczą wersją mnie. Z radością pozwoliłem ludzkości walczyć między sobą.

- Zatem co się zmieniło? - spytał Seward, dopijając szampana.

- Mężczyźni z twojego kraju zagonili mnie do mojego zamku i wbili ostrza w moje ciało. Właśnie to się zmieniło.

Seward nie odpowiedział.

- Chcesz wiedzieć, jak to się skończy? - spytał Drakula. - To proste. Każdy człowiek na tej planecie dostanie szansę przyrzeczenia mi nieskończonej lojalności i całkowitego poddaństwa. Ci, którzy to uczynią, zostaną oszczędzeni. Pozostali umrą.

- A gdyby wszyscy odmówili? - spytał Seward cicho. - Co wtedy?

- Sądzę, że wyraziłem się jasno, Henry. To, co sugerujesz, nie będzie miało miejsca. Kiedy ludzie zaczną umierać, tchórze będą błagali o szansę klęknienia przede mną. Ale gdyby jednak do tego doszło? Zabiłbym każdego, kto żyje na tym świecie.

Seward przyglądał się wampirovi. Kąciki jego oczu znaczyła czerwień.

„Szaleństwo - pomyślał. - Nic, tylko szaleństwo”.

- Ci, którzy ukłęką... - zaczął ostrożnie. - W jakim świecie będą mieli przywilej dalej żyć?

- W o wiele lepszym niż ten - odparł wampir. - Bez wojen, bez granic czy religii. W świecie, w którym jedynym prawem jest moje słowo, a jedynym wymogiem to, żeby byli posłuszni.

- Brzmi rozkosznie - rzekł Seward z szerokim uśmiechem. Miał nadzieję, że rozbawi wampira, i tak się stało. Drakula odchylił głowę i z uciechą zaczął się śmiać głośno i gardłowo. Na chwilę zamknął oczy i wówczas Seward przystąpił do

działania.

Mężczyzna wyskoczył z krzesła, dwoma niepewnymi krokami dotarł do muru i rzucił się w dół. Spadając ku odległej ziemi, czuł wokół siebie falujące chłodne powietrze.

Henry Seward spadał, obserwując z całkowitą obojętnością, jak szczyt zamku robi się coraz mniejszy. Miał chwilę, żeby się zastanowić, czy uderzenie o ziemię będzie bolało, zanim ciemna postać skoczyła z balkonu i pomknęła w jego kierunku.

Drakula wpadł na niego w locie. Twarz wykrzywiła mu nieludzka furia, miał obnażone kły i żarzące się czerwono-czarne oczy. Chwycił Sewarda za ramiona, zatapiając paznokcie w ciele pod marynarką, a ten krzyknął, odczuwając falę nowego bólu. Wampir uśmiechnął się triumfalnie, chociaż uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił. Seward wpatrywał się w prastarą, nienawistną twarz i zrozumiał, co się dzieje.

Zatrzymali się, kiedy Drakula go złapał, lecz teraz znów spadali. Obrócił głowę i uświadomił sobie dwie rzeczy: byli co najmniej sześć lub siedem pięter nad ziemią i przyspieszali. Ponownie popatrzył na Drakulę ze słodko-gorzkim uśmiechem i dostrzegł w rysach starego potwora niepewność.

- Nie możesz mnie utrzymać, prawda? - rzucił. - Nie jesteś dość silny. Puść mnie albo pociągnę cię ze sobą i przeko-namy się, co dziedziniec zrobi z tym twoim nowym ciałem.

Drakula zacisnął zęby i Seward wyczuł, że ponownie zwalniają. Ale to była tylko krótka chwila wytchnienia. Z nosa Drakuli pociekła krew, spadając równomiernie na pierś i zwróconą w górę twarz Sewarda. Wypełniła go dzika radość.

„Nie jest dość silny. Jeszcze mu do tego daleko. Jesteś o krok od tego, by się rozpaść”.

- Puszczaj mnie! - wrzasnął, waląc pięściami w ramię

wampira. - Puść!

Drakula zdwoił wysiłki i podciągnął ich kilka metrów w stronę oddalającego się dachu zamku. Krew zaczęła się pojawiać na linii włosów i spływać po czole, zostawiając plamy na jego śnieżnobiałej koszuli. Seward obserwował, jak potwór się męczy, mając nadzieję, że jednak spadnie, że ego Drakuli powstrzyma go przed wezwaniem pomocy. Ale w tej samej chwili wampir spojrział w górę i krzyknął imię Valeriego, miażdżąc nadzieję Sewarda.

Wiele niżej pod szamoczącymi się postaciami okno roztrzaskało się w drobny mak, a chwilę później Valeri Rusmanov pojawił się tuż obok nich z oczami gorejącymi czerwienią. Zamachnął się pięścią i trafił Henry'ego Sewarda prosto w szczękę. Admirał poczuł przeszywający ból i wszystko stało się szare. Potem pochwyciły go inne dłonie, niemożliwie silne. Kiedy wzrok mu się przejaśnił, usłyszał, jak Valeri pyta swojego mistrza o to, co się stało.

- Tchórz skoczył z dachu - wyjaśnił Drakula. Unosił się o własnych siłach, umazany krwią, i patrzył na gościa z wściekłością, która zdawała się palić mu skórę. - Złapałem go, zanim skorzystał z tej prostej drogi ucieczki.

- Powinieneś pozwolić mu spaść, mistrzu - powiedział Valeri, patrząc na Sewarda z jawną nienawiścią. - Nie jest wart wysiłków.

- Nie waż się mówić mi, co powinienem robić, Valeri - rzekł Drakula głosem pełnym ognia. - Umrze, kiedy ja tak zadecyduję, ani sekundy wcześniej, ani sekundy później. Czy to jasne?

- Oczywiście, mistrzu - odparł Valeri.

Seward walczył z chęcią zaśmiania się w twarz temu tchórzliwemu, służalczemu wampirowi.

„Mógłbyś wyrwać mu serce z piersi, zanim w ogóle zauważyłby, że się ruszył - myślał. - Ale ty wolisz słuchać rozkazów i obelg. Jakiż ty jesteś żaloszny”.

- Co mam z nim zrobić? - spytał Valeri.

- Odprowadź go do jego pokoju - odpowiedział Drakula. - Straciłem apetyt na jego towarzystwo. Potem przyprowadź do mojego gabinetu dziewczynę. A właściwie dwie. Na wypadek gdybym poczuł potrzebę odreagowania na kimś swojego zawodu.

- Jak pan sobie życzy, mistrzu - odparł Valeri.

Drakula zaczął się unosić, boleśnie powoli, w stronę odległego dachu. Gdy znikł w mroku, krew wciąż jeszcze wypływała spod jego ubrań. „Podejrzewam, że to cofnęło jego rekonwalescencję o kilka dni - myślał Seward, wisząc w uścisku Valeriego. - Może to ci pomoże, Cal. Mam taką nadzieję. To niewiele, ale więcej nie byłem w stanie zrobić. Mam nadzieję, że pewnego dnia się o tym dowiesz. Mam nadzieję, że będziesz wiedział, że próbowałem”.

TRZEJ MUSZKIETEROWIE

Jamie obudził się we własnym łóżku i z czystym sumieniem. Zrobił tak, jak kazał mu Cal Holmwood - poszedł wprost do swojej kwatery i spróbował zasnąć. Przez długi czas leżał całkiem przytomny ze wzrokiem utkwionym w szarym suficie niewielkiego pokoju. Wciąż rozważał problem Mortona.

Mężczyzna był znakomitym żołnierzem i Jamie wierzył, że z czasem może się stać równie dobrym agentem. Ale nie mieli czasu - sytuacja wymagała, żeby każdy agent wziął się w gars'c i działał. Jamie stracił już niezwykle niebezpiecznego wampira z powodu działań nowicjusza. Gdyby tylko dlatego, że unika podjęcia trudnej decyzji, pozwolił, by to się powtórzyło, nie byłoby to w porządku ani wobec Ellison, ani wobec innych agentów, którzy narażali życie, goniąc za zbiegami z Broadmoor. Chociaż teraz, leżąc na łóżku, zdał sobie sprawę, że decyzja wcale nie była taka trudna. Właściwie to w ogóle trudno to określić decyzją.

Musiał tylko pomyśleć, jak powiedzieć o tym Mortonowi.

Wstał z łóżka i poszedł pod prysznic. Gorąca woda działała kojąco, więc długo stał pod mocnym strumieniem. Czuł, jak mięśnie mu się rozluźniają, a skurcze ramion i ud ustępują. Kiedy jego skóra się zaróżowiła i mrowiła, wrócił do swojej kwatery. Szybko się ubrał, wziął z biurka telefon i zrobił kilka szybkich obliczeń.

„Nevada jest osiem godzin do tyłu. Więc u nich jest wczoraj trochę po północy”.

Przez chwilę się zastanawiał, potem zjechał na dół listy,

znalazł numer Larissy i wcisnął POŁĄCZ. Gdy czekał, w słuchawce zapadła cisza. Potem telefon zaczął się łączyć z wybranym numerem. Po dwóch sygnałach ucichł. Sekundę później usłyszał głos Larissy, zapraszający go, żeby nagrał wiadomość.

Jamie zmarszczył brwi. Gdyby jego dziewczyna spała albo była na misji, telefon albo zostawiłaby wyłączony i od razu włączyłaby się poczta głosowa, albo by go wyciszyła. Wówczas sygnał rozległby się jakiś tuzin razy, zanim połączenie zostałoby przerwane. Odsunął słuchawkę od ucha i ponownie wcisnął POŁĄCZ. Tym razem telefon dzwonił nieco dłużej, bo prawie cztery razy, zanim znów włączyła się poczta głosowa. Rozwazał nagranie wiadomości, ale zrezygnował. Wsunął aparat do kieszeni i wziął konsolę. Kciukiem aktywował ekran, a kolejnym kliknięciem aplikację do wysyłania wiadomości. Napisał krótką notatkę do Ellison i Mortona, w której nakazał im stawić się, jak zawsze, na trening na Placu Zabaw. Potem spojrział z wyrzutem na stertę dokumentów i raportów zalegających na biurku. Z głębokim westchnieniem usiadł i wziął pierwszą leżącą na wierzchu teczkę.

Pięć godzin później Jamie otworzył drzwi stołówki i zamarł.

W porze lunchu długa, szeroka sala była prawie pełna - agenci, naukowcy, lekarze i personel cywilny zajmowali stoliki i tłoczyli się w kolejce do wydawanych posiłków. Wszyscy się śmiali i rozmawiali niemal ogłuszającym tonem.

Stał w wejściu i zastanawiał się, co zrobić. W głowie dudniło mu od uzupełniania zaległych raportów, a myśl o rozmowie, którą musiał przeprowadzić z Johnem Mortonem, powoli zaczynała go dręczyć. Skoro jednak już tu przyszedł, głupio byłoby nic nie zjeść. Rozkazy dla jego oddziału jeszcze nie nadeszły, ale zakładał, że za kilka godzin znów ruszą w teren. Musi być w pełni sił, szczególnie biorąc pod uwagę, że z Pętli

wyjedzie ich tylko dwoje.

- Szukasz kogoś? - spytał znajomy głos.

Jamie odwrócił się i zobaczył Kate Randall. Stała przed drzwiami z szerokim uśmiechem na ustach. Zbliżył się i uściskał ją mocno, niemal podnosząc z ziemi. W pierwszej chwili dziewczyna szybko złapała powietrze, ale już po chwili zaczęła się śmiać i uderzać go w plecy, żądając, żeby ją puścił. Jamie zrobił, o co prosiła. Gdy Kate się cofnęła, jej twarz wyrażała radość.

- Ciebie też miło widzieć, Jamie - zapewniła. - Jadłeś już?

- Nie - odpowiedział. - Zastanawiałem się właśnie, czy warto robić sobie kłopot.

- Mam się spotkać z Mattem - oznajmiła Kate. - Ale oboje wiemy, jak duże jest prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie.

Jamie się zaśmiał.

- Racja - przyznał. - Mieszka obok mnie, a i tak widuję go raz w tygodniu, i to jeśli dopisze mi szczęście.

- Cóż, skoro zakładamy, że Matt nie przyjdzie - zaczęła - to myślę, że nadasz się na zastępcę. Co ty na to?

- Z chęcią - odparł.

Dwójka agentów przeszła przez stołówkę i stanęła na końcu kolejki do lady, z której wydawano posiłki. Jamie oglądał wrapy i napełnione po brzegi miski z sałatkami, a potem zamówił ogromnego burgera z bekonem, serem i stertą frytek. Kate pokręciła głową i wybrała bagietkę z tuńczykiem. Jamie pokazał jej środkowy palec i pchnął tacę dalej, zostawiając ją z wyrazem udawanego oburzenia na twarzy.

Znaleźli w rogu wolny stolik i usiedli. Jamie już miał wziąć pierwszy kęs burgera, kiedy dostrzegł stojącą w drzwiach stołówki szczupłą postać w cywilnym ubraniu.

- *Wow* - powiedział. - Kto by w to uwierzył?

Kate zmarszczyła brwi i obejrzała się w kierunku, w którym patrzył Jamie. Chwilę później machała ramionami i krzyczała

przez całą salę:

- Matt! Tutaj!

Matt się wzdrygnął, słysząc swoje imię, ale uśmiechnął się, kiedy zobaczył dwójkę najlepszych przyjaciół. Uniósł dłoń, dając znać, że ich widzi, i ruszył w ich kierunku przez labirynt stolików i krzeseł. W ostatniej chwili zaczepił stopą o czyjąś wyprostowaną nogę, potknął się, szaleńczo zamachał ramionami, by złapać równowagę, a potem obrócił się i opadł na puste krzesło obok Kate.

- To miejsce to śmiertelna pułapka - powiedział. - Na zewnątrz jest bezpieczniej niż tutaj.

- Bezpieczniej jest wszędzie, gdzie cię nie ma - skwitował Jamie z uśmiechem.

- Naprawdę? Czy to moja wina, że wszyscy wciąż decydują się kłaść mi na drodze różne rzeczy? Gdybym potrafił latać jak Larissa, nie byłoby problemu.

- Może gdy wróci, przekonamy ją, żeby cię ugryzła - podsunęła Kate. - Myślę, że dla dobra ogółu się zgodzi.

- Oboje jesteście okropni - skwitował Matt z uśmiechem. - Dobrze was widzieć.

- Ciebie też - odparł Jamie. - Jak się mają sprawy na dole?

- W porządku - rzekł Matt. - Robimy postępy.

- Ekipa już się zadomowiła? - spytał Jamie. Wreszcie mógł ugryźć swojego burgera.

- Zespół jest wspaniały - powiedział Matt. - Wszyscy są bardzo zaangażowani, chociaż starają się znaleźć lekarstwo na chorobę, o której istnieniu przed trzema miesiącami nawet nie wiedzieli. To bardzo inspirujące.

- Jasne - przyznała Kate z uśmiechem. - Założę się, że wiem, kto inspiruje cię najbardziej.

Matt w jednej chwili przybrał jaskrawoczerwony odcień.

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdził.

- Co się dzieje? - Jamie zażądał wyjaśnień. - Kate?

- Spytaj Matta. - Dziewczyna zaczęła się śmiać. - Spytaj o

śliczną Rosjankę o imieniu Natalia. Na pewno będzie miał ci wiele do powiedzenia na ten temat.

- Kate, już nie żyjesz - mruknął Matt, uśmiechając się złowrogo. - Zabiję cię twoim widelcem.

- To ta dziewczyna, która ucierpiała w wybuchu? - dopytywał Jamie. - Ta, która szła do twojego pokoju, Kate?

- Właśnie ta - potwierdziła. - Matt?

- To tylko dziewczyna, która siedzi obok mnie w laboratorium - powiedział młody naukowiec. - Jest genetykiem z Leningradu. Przysłało ją UZZP.

- A ty ją kochasz - rzekła Kate, udając ogromną powagę. - Kochasz ją, chcesz ją poślubić i mieć z nią mnóstwo genialnych dzieci.

Jamie wybuchł śmiechem, a Matt spojrzał na niego tak, że gdyby wzrok mógł zabijać, to torturowałby go jeszcze kilka dni przed pocięciem na kawałki.

- Wcale jej nie kocham - zaprotestował. - Ledwie ją znam. Po prostu ją lubię, to wszystko.

- A ona lubi ciebie? - spytał Jamie.

- Nie wiem - odparł Matt. - Nie wydaje mi się. Kate aż jęknęła.

- Jesteś najgłupszym geniuszem, jakiego znam - rzuciła. - Obiecałam jej, że nic nie powiem, ale chyba nasz pakt jest ważniejszy od wszystkiego innego. Gdy wybuchła bomba, szła do mnie do pokoju, ponieważ ja ją o to prosiłam. Przyszła do WZOB-u, żeby zapytać o ciebie, więc poprosiłam, żeby czekała w moim pokoju, gdzie mogłybyśmy spokojnie porozmawiać.

Matt ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

- Przyszła spytać cię o mnie? Co chciała wiedzieć?

- Martwiła się - wyjaśniła Kate. - Uznała, że zbyt ciężko pracujesz, co najwyraźniej jest prawdą. Ale o tym mogła pomówić z profesorem Karlssonem. Przyszła do mnie, ponieważ cię lubi i chciała spytać kogoś, kto cię zna, co

powinna zrobić.

- Co jej powiedziałaś? - Jamie całkiem już zapomniał o swoim burgerze.

- Że powinna porozmawiać z Mattem - odparła Kate. - Ale potem wybuchła bomba, a ona trafiła do szpitala.

- Jezu Chryste - rzekł Jamie. - Dopiero teraz skojarzyłem fakty. To o tym powiedziałaś majorowi Turnerowi, kiedy wczoraj kazaliście mi wyjść z pokoju?

Kate przytaknęła.

- Byliśmy u niej wczoraj. Na szczęście wygląda na to, że wydobrzeje. - Ponownie spojrzała na Matta. - Myślisz, że dlaczego tak szybko stamtąd wyszłam? Chciałam zostawić was samych.

Matt się jej przyglądał.

- Nie wiedziałem - powiedział. - O niczym nie miałem pojęcia. Lubi mnie? Powiedziała ci to?

- Tak - potwierdziła Kate. - Więc jeśli bomba nie uszkodziła jej mózgu, można chyba bezpiecznie założyć, że wciąż tak jest.

- Powiedz jej, że ci się podoba - rzekł Jamie stanowczo. - Jak tylko wyjdzie ze szpitala. Czekanie nie ma sensu.

- Zgadzam się z Jamiem - przyznała Kate. - Musiała zebrać całą swoją odwagę, żeby mnie spytać, co powinna zrobić. Więc weź się w garść i ulżyj jej w cierpieniu.

Matt wpatrywał się w przyjaciół. Miał wrażenie, że jego potężny mózg coś przytłoczyło.

- Okej - obiecał po dłuższej chwili. - Przemyślę to. I pogadam z nią, jak już ją wypiszą. Zadowoleni?

- Bardzo - odparła Kate. - Jamie, Natalia to słodka dziewczyna. Polubisz ją - Chłopak się uśmiechnął.

- Nie wątpię. To oczywiste, że ma dobry gust.

Matt wyszczerzył zęby w uśmiechu jak niegrzeczny uczeń.

„Dobrze widzieć, że się uśmiecha - pomyślał Jamie. - Że obydwójce się uśmiechają, śmieją i rozmawiają o czymś innym

niż o wampirach i zdrajcach".

- Dobra - rzuciła Kate. - Zmieńmy temat, zanim nasz przyjaciel wybuchnie ze wstydu. Jamie, co u ciebie?

Agent jęknął.

- Nic choćby w połowie tak fajnego - odparł. - Wszyscy wciąż ścigają uciekinierów z Broadmoor, a my zajmujemy się dopiero drugim z listy. Wczoraj go nie trafiliśmy.

- Nie trafiliście? - dopytywała Kate. - Słyszałam coś innego.

- Nie ja strzelałem, lecz jeden z moich rekrutów. Morton.

- To ta dziewczyna? - spytał Matt.

- Nie, to chłopak - poprawił Jamie. - John Morton. Podczas pierwszej akcji w terenie nie wykorzystał okazji do strzału. Było bardzo ciemno i warunki nie sprzyjały, ale i tak zaczął kwestionować pewne rzeczy. Wczoraj zginął cywil i Morton wini się za tę śmierć. Najgorsze jest to, że częściowo ma rację. Gdyby się nie zawahał, dziewczyna wciąż by żyła.

- Na pewno powinien być w czynnej służbie? - spytała Kate, mocno marszcząc brwi. Jamie pokręcił głową.

- Nie - przyznał. - Uziemię go, aż rozprawimy się z tą całą sytuacją z Broadmoor. Nie stawiam na nim krzyżyka, ale w tej chwili nie mogę go mieć w oddziale. To zbyt niebezpieczne.

- Przykro mi - rzekła Kate. - To trudne. Jamie wzruszył ramionami.

- A co z tą drugą? - spytał Matt. - Jak się nazywa?

- Ellison - odpowiedział Jamie z szerokim uśmiechem. - Lizzy Ellison. Jest niesamowita. Nie mógłbym prosić o lepszego rekruta. To już coś.

- Bądź ostrożny - poprosiła Kate cicho. - Mama nie jest jedyną osobą, która się martwi, kiedy wychodzisz na misję. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem - odparł Jamie. - Ale to niepotrzebne. Zawsze jestem uważny.

- A jak się czuje twoja mama? - spytał Matt. - Wszystko u niej w porządku?

- Tak - zapewnił Jamie. - Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie odwiedzam jej tak często, jak powinienem, i dobrze o tym wiem. Ona nic nie mówi, ale myśli tak samo. Najważniejsze, że na dole jest bezpieczna.

- Sądysz, że wie, kto zajmuje celę po drugiej stronie korytarza? - zainteresował się Matt. - Ma jakieś pojęcie?

- Żadnego - odpowiedział Jamie, kręcąc głową. - Nie zna historii wampirów, a nawet gdyby znała, i tak by ją to nie interesowało. Ujmę to tak: nie jest ich fanką.

Znaczenie słów Jamiego nie umknęło żadnemu z nich; w jednej chwili krzesło obok Jamiego wydawało się boleśnie puste. Kate wiedziała, że Marie Carpenter dobrze poznała wampira, który mieszkał naprzeciwko niej, i co dokładnie myślała o ich nieobecnej przyjaciółce, ale postanowiła zachować to dla siebie.

- No dobrze - kontynuował Jamie. - Skończmy ten jakże radosny temat. Pomówmy o czymś wesołym i uroczym. Kate, co słyhać we WZOB-ie?

Jego przyjaciele zaczęli się śmiać. Dołączył do nich, napawając się tym dźwiękiem.

- Wszystko w porządku - odparła Kate, gdy się uspokoiła. - Robimy postępy, wszyscy nas nienawidzą za to, czym się zajmujemy. Miejmy nadzieję, że niczego nie wykryjemy. Ale biorąc pod uwagę bombę, jest to raczej mało prawdopodobne.

- Ponieważ była w twoim pokoju? - spytał Matt.

- I ponieważ identyczną znaleziono w pokoju majora Turnera - dodał Jamie. - Prawda?

- Tak - przyznała Kate. - Za nami jakaś jedna czwarta przesłuchań. Jeśli jest coś do znalezienia i ktoś, z kim jeszcze nie rozmawialiśmy, coś ukrywa, wkrótce się tego dowiemy. Oczywiście podejrzany był Valentin, ale wczoraj go przesłuchiwaaliśmy i zaliczył.

- I jak to było? - spytał Jamie.

-Co?

- Przesłuchiwać Valentina.

- To było bardzo... pouczające - odrzekła Kate, patrząc na Jamiego w sposób, który raczej mu się nie spodobał.

Rozważał kontynuowanie tematu, ale intuicja podpowiedziała mu, żeby odpuścić. Odsunął więc talerz na bok i oparł się wygodniej.

- Słuchajcie - zauważył. - Wszyscy wiemy, że powinniśmy się częściej spotykać, ale jest to trudne. Dlatego sugeruję, żebyśmy postarali się trochę bardziej. Co wy na to?

- Brzmi dobrze - rzekła Kate. - Tęsknię za wami.

- Ja też - przyznał Matt. - Wiem, że teraz rzadko jestem w pobliżu, bo mam mnóstwo roboty w Lazarusie, ale postaram się bardziej. Obiecuję.

- W porządku - powiedział Jamie. - Wszyscy wiedzą, jak ważne jest to, co robisz, i nikt nie bierze tego do siebie. Po prostu byłoby miło móc cię częściej widywać.

Matt skinął głową.

- Rzeczywiście - stwierdził. - Jak najbardziej.

Przez dłuższą chwilę Jamie spoglądał na dwójkę przyjaciół. Podjął pewną decyzję.

- Mam wam coś do powiedzenia - rzekł. - To nic wielkiego, ale nie wspomniałem wam o tym, chociaż przyrzekliśmy sobie, że nie będziemy mieć przed sobą tajemnic. No więc mówię. Odwiedzałem Valentina w jego celi, chociaż obiecałem Frankensteinowi, że nie będę tego robił.

Kate się uśmiechnęła i Jamie zrozumiał, że już o tym wiedziała. Zapewne to była ta pouczająca część rozmowy z wampirem.

Nic nie powiedziała - pomyślał. - Nie robiła mi wyrzutów ani nie próbowała zmusić mnie podstępem, żebym się przyznał.

- Na pewno powinieneś? - spytał Matt wyraźnie zaniepokojony. - Czy to bezpieczne?

Jamie wzruszył ramionami.

- Właściwie nie jest możliwe, by powstrzymać Valentina -

powiedział. - Gdyby chciał mnie skrzywdzić, zrobiłby to. Przebywanie w jego celi nie jest bardziej niebezpieczne od bycia gdziekolwiek indziej.

- O czym z nim rozmawiasz? - spytała Kate z uśmiechem. „To już też wiesz, prawda? Ale dobrze, mogę zagrać w tę grę”

- O rodzinie - odparł. - Valentin znał mojego dziadka lepiej, niż ktokolwiek w Departamencie podejrzewa. Opowiada mi o nim.

- Brzmi interesująco - rzekła Kate. - Pod warunkiem że jesteś ostrożny.

- Jak już mówiłem - powiedział Jamie i się uśmiechnął - zawsze jestem.

Matt zaczął opowiadać Kate o czymś, czego dowiedział się od profesora

Karlssona poprzedniego dnia. Jamie słuchał go jednym uchem, kiedy do stołówki weszła Lizzy Ellison. Była bardzo skoncentrowana.

Jamie wyprostował się i pomachał do niej. Nie odpowiedziała, ale od razu skierowała się prosto w ich stronę, w przeciwieństwie do nieporadnej, okrężnej drogi Matta. Cokolwiek rzekł kierownik projektu Lazarus, musiało to być bardzo zabawne, ponieważ przyjaciele skręcali się ze śmiechu. Ale Jamie już ich nie słuchał. Skupił uwagę na zbliżającej się koleżance.

Kiedy Ellison podeszła do stolika, Jamie spostrzegł, że jest bardzo blada. Kate i Matt wreszcie się uspokoili i z wyraźnym zainteresowaniem patrzyli teraz na nowo przybyłą.

- Ellison - zaczął Jamie. - Znasz Matta Browninga i...
- Przepraszam, sir - przerwała mu, patrząc na jego przyjaciół.
- Muszę z panem porozmawiać. Na osobności.
- Cokolwiek masz mi do powiedzenia - odparł Jamie - możesz to zrobić tutaj. Nie mam tajemnic przed Mattem i Kate.

- Tak, sir - odparła Ellison.

- Chcesz usiąść? - zaproponował. - Wyglądasz, jakby cię roznosiło od środka.

- Nic mi nie jest, sir - rzuciła, ale po chwili spojrzała na niego z miną wyrażającą tak wielkie zmartwienie, że Jamiemu przeszły po plecach ciarki.

- Widzę, że jednak coś się dzieje - stwierdził. - O co chodzi? Powiedz.

Ellison jeszcze raz spojrzała na Kate i Matta.

- Chodzi o Johna, sir.

- O Mortona? - dopytał Jamie. - Co z nim?

- Znikł, sir.

Ciarki rozeszły się Jamiemu po ramionach.

- Jak to znikł? Gdzie?

Ellison wyjęła swoją konsolę, uruchomiła ją dotknięciem kciuka i podała przelozonemu. Jamie wziął od niej urządzenie i przeczytał krótką wiadomość, która wyświetliła się na ekranie. Z każdym słowem coraz szerzej otwierał oczy.

Od: John Morton/NS304,07-B

Do: Elizabeth Ellison/NS304,07-C

Ruszyłem za Dempseyem. Nie idźcie za mną. Muszę to załatwić sam.

„Chryste - pomyślał Jamie. - Jezu Chryste, coja zrobiłem?”.

OSTATNIE WYDANIE

Kiedy pociąg wjeżdżał na stację Darlington, Pete Randall niemal wpadł w panikę.

Gdy jechał po grobli z Lindisfame, świeciło blade słońce. Podróż do Berwick przebiegła spokojnie. Drogi były puste tego orzeźwiającego, czystego poranka, jednego z tych, kiedy świat wydaje się całkiem nowy. Miał wrażenie, że rozpoczyna wielką przygodę i kroczy niezbadanymi ścieżkami ku nieznanemu celowi.

Pete zaparkował wóz na stacji Berwick, zastanawiając się, zupełnie bez sensu, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Kupił bilet. Jakimś cudem pociąg podjechał na peron o czasie, skrzypiąc i piszcząc. Mężczyzna wsiadł na niepewnych z ekscytacji nogach do wagonu D. Pod pachą miał egzemplarz „The Globe”. Jaskrawa, kolorowa pierwsza strona biła po oczach nagłówkiem o piłkarzu, który został sfotografowany, kiedy wychodził z klubu z kobietą zdecydowanie niebędącą jego ciężarną żoną. Znalazł wolne miejsce, kupił z wózka herbatę i ostrożnie zamalował białe logo brukowca czarnym flamastrem. Potem usiadł wygodniej, patrzył przez okno na znikające z tyłu Morze Północne i czekał.

Kiedy pociąg dojechał na stację Darlington, w przejściu wagonu D stało niewiele osób. Pasażerowie wyciągali torby i walizki ze schowków nad głowami, wkładali płaszcze i szaliki i kierowali się do drzwi. Pete obserwował, jak wychodzą, klnąc po cichu, że głupio usiadł po niewłaściwej stronie pociągu, przez co nie miał szansy rzucić okiem na ludzi czekających na

peronie. Nigdy nie spotkał człowieka, którego znał jedynie pod pseudonimem Południe, ale miał dziwne przeczucie, że by go rozpoznał. Z pewnością dostrzegłby mundury policjantów. Jakaś jego cząstka przeczuwała, że funkcjonariusze będą na niego czekać.

Kiedy przejście opustoszało, do środka zaczęli wchodzić nowi pasażerowie. Pete oparł się i uniósł gazetę drżącymi dłońmi. Udawał, że czyta, ale obserwował nowo przybyłych.

Przez cały wagon przeszła kobieta z płaczącym dzieckiem na rękach. Na jej twarzy malowało się całkowite zmęczenie. Potem wsiedli dwaj nastoletni chłopcy z zawieszonymi wokół szyi ogromnymi słuchawkami. Za nimi do wagonu wsiadła starsza kobieta. Z trudem, ponieważ miała tak wielką walizkę, że uprzejmy mężczyzna siedzący obok drzwi natychmiast wstał i pomógł jej wepchnąć ją do schowka. & Nikt więcej się nie pojawił.

Serce waliło Peteowi w piersi. Zawładnęła nim nieodparta chęć, aby pobiec na koniec wagonu i nacisnąć hamulec bezpieczeństwa - zatrzymać pociąg, nim ruszy. Mógłby wysiąść i uciec, a potem biec aż do chwili, kiedy wymyśli, co dalej. Ale nie zrobił tego. Był sparaliżowany ze strachu i skamieniał na swoim miejscu.

Podejrzliwie spojrzął na innych pasażerów wagonu D. Czy któryś z nich był funkcjonariuszem policji? A może wszyscy nimi byli. A jeśli nie policja, to może coś gorszego? Może to ludzie, którzy nawet by się nie zawahali, aby go uciszyć?

- Północ? - Mężczyzna nagle usłyszał niski głos. Zaciśnął zęby, żeby nie krzyknąć. Odwrócił się i zauważył faceta w średnim wieku, który był wyraźnie zdenerwowany.

- Południe? - spytał Pete wysokim, niepewnym głosem.

- Tak. - Nieznajomy nieśmiało się uśmiechnął. - Dobrze cię wreszcie poznać, stary. Naprawdę dobrze.

- Ciebie też - odparł Pete. Serce wciąż waliło mu w piersi, kiedy podał mężczyźnie dłoń. - Chyba czas skończyć z Północą.

i Południem, prawda? Jestem Pete Randall.
Południe energicznie uściskał mu dłoń.
- Greg Browning – powiedział.

Od: colin.burton@mailserver.theglobe.co.uk

Do: kevinjmckenna@googlemail.co.uk

Wysłane: 11.05.42

Temat: Re: Ważny artykuł

Kevin,
jeśli to żart, to całkiem dobry. Jeśli nie, to znaczy, że potrzebujesz pomocy psychiatry.

Colin

- Mówiłem ci, że tego nie kupi - powiedział Kevin McKenna. Patrzył, jak Albert Harker czyta e-mail, i czekał na wybuch złości, który ta przeszkoda z pewnością spowoduje.

- Wiem, co mi mówiłeś, Kevinie - odparł Harker cicho. - Mam dobrą pamięć. Należało oczekiwać takiej reakcji, jak sam sugerowałeś. Odpisz mu, że piszesz poważnie. Dodaj, że chcesz pierwszą stronę i drugą jutrzejszego wydania i że artykuł ma pójść w nieskróconej formie.

McKenna odetchnął z ulgą.

- Coś jeszcze? - spytał. - Czy mam go poprosić, żeby przysłał nam walizkę pieniędzy i skrzynkę szampana, żebyśmy mieli czym uczcić sukces?

Harker odwrócił się do niego z uśmiechem.

- Myślę, że trochę byś przegiął, Kevinie. Nie sądzisz?

Od: kevinjmckenna@googlemail.co.uk [HYPERLINK](mailto:kevinjmckenna@googlemail.co.uk)

"mailto:kevinjmckenna@googlemail.co.uk"

kevinjmckenna@googlemail.co.uk

Do: colin.burton@mailserver.theglobe.co.uk [HYPERLINK](mailto:colin.burton@mailserver.theglobe.co.uk)

"mailto:colin.burton@mailserver.theglobe.co.uk"

colin.burton@mailserver.theglobe.co.uk

Wysłane: 11.09.16 Temat: Re: Re: Ważny artykuł

Drogi Colinie,

to nie żart. To najważniejsza historia w życiu nas obu. Kiedy już otrzymasz tytuł szlachecki, podziękujesz mi za to. Chcę, żeby artykuł został umieszczony jutro na stronach pierwszej i drugiej i żeby poszedł w niezmienionej formie. Przyślij mi projekty stron, jak będą już gotowe.

Zdrówko

Kevin

Od: colin.burton@mailserver.theglobe.co.ukHYPERLINK

"mailto:colin.burton@mailserver.theglobe.co.uk"

colin.burton@mailserver.theglobe.co.uk

Do: kevinjmckenna@googlemail.co.ukHYPERLINK

"mailto:kevinjmckenna@googlemail.co.uk"

kevinjmckenna@googlemail.co.uk

Wysłane: 11.12.13 Temat: Re: Re: Re: Ważny artykuł

Kevin,

potrafię żartować i przez te lata znosiłem mnóstwo Twoich wybryków, ale to zajmuje pierwsze miejsce. Naprawdę.

Weź dwa tygodnie wolnego i przemyśl swoją przyszłość. Urlop bezpłatny, zaznaczam, zanim zapytasz. W tym czasie nie chcę Cię widzieć w biurze.

Dobrze się sobie przyjrzyj, a potem daj mi znać, czy nadal chcesz być dziennikarzem. Piszę to jako Twój przyjaciel. Bo poważni ludzie się tak nie zachowują.

Colin

- Co teraz? - spytał Kevin.

Odpowiedź redaktora przyszła szybko i była o wiele gorsza, niż oczekiwał. Starał się, żeby jego głos miał beztroski ton. Nie chciał rozjuszyć Alberta Harkera.

- Jak już ci mówiłem - odparł wampir - zawsze byłem gotów na tę ewentualność. To troszeczkę utrudni nam zadanie, ale nic więcej.

- Podzielisz się ze mną tym swoim wielkim planem? Harker pokręcił głową.

- W swoim czasie. Chociaż, tak hipotetycznie, wyobraź sobie, że składamy twojemu redaktorowi wizytę w domu i zrywamy mu paznokcie jeden za drugim, aż zgodzi się opublikować historię. Widzisz w tym planie jakieś większe wady?

- Chciałbym ich nie dostrzegać - skwitował McKenna. - Ponieważ zapłaciłbym, żeby to zobaczyć. Naprawdę.

- Ale widzisz wadę? McKenna przytaknął.

- Co wieczór Colin odbywa wideokonferencję z Nowym Jorkiem, podczas której ustalają zawartość kolejnego numeru. Dorwanie go w domu nic by nie dało. Musielibyśmy przetrzymać go w gabinecie podczas rozmowy z jego szefem.

- Ile osób byłoby wtedy w biurze? - spytał Harker. McKenna wzruszył ramionami.

- Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Może więcej.

- Tak podejrzewałem - rzekł wampir. - Nieważne. Będziemy postępować zgodnie z moim planem.

- Okej - mruknął McKenna. - Wierzę w to, co robimy, więc się nie martwię.

- Bo nie powinienes - zapewnił go Harker z uśmiechem. - Wszystko będzie w porządku.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Greg Browning stał w słabo oświetlonym korytarzu z Peteem Randallem. Kotłowało mu się w żołądku. To był adres, który zeszłej nocy podał im Kevin McKenna, i ostatnie miejsce,

gdzie wszystko mogło się jeszcze posypać.

Podróż pociągiem minęła szybko i bez przygód. Nogi ledwie go niosły, kiedy wsiadał do wagonu F stojącego na peronie pociągu. Gdy dotarł do wagonu D i znalazł tam wyglądającego na zdenerwowanego mężczyznę z egzemplarzem „The Globe”, którego ten wyraźnie nie czytał, poczuł taką ulgę, że niemal się rozplakał.

To samo poczuł, kiedy się okazało, że od razu polubił Pete a Randalla. Przyjaźń, która zaczęła się między nimi tworzyć, kiedy rozmawiali anonimowo w sieci, rozkwitła, gdy spotkali się twarzą w twarz. Przez całą drogę gawędzili, jakby znali się od lat. Rozmawiali głównie o rodzinach i dzieciach, chociaż ten temat sprawiał im obydwu ból.

Greg usłyszał czyjeś głosy po drugiej stronie drzwi i podświadomie napiął mięśnie.

„To już - pomyślał. - To tutaj się dowiemy, czy to wszystko prawda”.

Drzwi się otworzyły, ukazując stojącego za nimi mężczyznę. Nie rozpoznawali go, lecz on uśmiechał się do nich ciepło.

- Panowie - powiedział nieznajomy. - Nazywam się Albert Harker. Proszę, wejdźcie. Z niecierpliwością czekaliśmy na wasz przyjazd.

Harker się odsunął, zapraszając ich do środka. Greg zerknął na Petea, który niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

„Nie przebyliśmy takiego szmatu drogi po to, żeby się teraz wycofać”.

Odetchnął głęboko, mając nadzieję, że to nie było zbyt oczywiste, i powoli wszedł do pokoju hotelowego. Kątem oka zobaczył, że Pete Randall wszedł za nim.

Pokój był taki, jakiego oczekiwał. Stanowił niewielkie pudełko z kremowymi ścianami i przyprawiającym o ból głowy zielono-żółtym dywanem. Stół na środku zarzucono całą stertą papierów i notatników. Obok jedyne w pokoju niewielkiego okna stał mężczyzna.

Greg rozpoznał Kevina McKennę ze zdjęć wyszukanych w internecie, kiedy zawieszono blogowy wpis, który to zapoczątkował. Wyglądał tak, jak na ekranie komputera Matta, może trochę zeszczupłał, ale uśmiech na jego twarzy był szeroki i zachęcający.

„Musi żyć w ogromnym stresie - myślał Greg z podziwem. - Potrzeba prawdziwej odwagi, żeby robić to, co on”. Mężczyzna podszedł i wyciągnął dłoń.

- Kevin McKenna - przedstawił się.

- Wiem, kim pan jest - odparł, ściskając dłoń dziennikarza i żywiłowo nią potrząsając. - Nazywam się Greg Browning, a to Pete Randall. Cieszymy się, że tu jesteście.

- Dzięki za przyjazd - odparł McKenna. - Nie byliśmy pewni, czy się zgodzicie.

- Niewiele brakowało - rzekł Pete, podchodząc bliżej i podając McKennie dłoń. - W zasadzie oczekiwałem, że zastanę tu pokój pełen facetów w czerni, gotowych, by mnie stąd zabrać.

- Wiem, co masz na myśli - odparł dziennikarz. - Czułem się tak samo. Ale nadal tu jesteście. A teraz wy do nas dołączyliście.

- Właśnie - powiedział Albert Harker. Zamknął drzwi i wszedł do pokoju.

- Panowie - zaczął z uśmiechem. - Nasza czwórka reprezentuje początek ruchu społecznego. Kevin i ja wierzymy, że pewnego dnia będą nas tysiące. Mężczyźni i kobiety zmęczeni tym, że są okłamywani, zmęczeni patrzeniem, jak rząd naraża ich na niebezpieczeństwo, nie przyznając otwarcie, że potwory istnieją i chodzą pomiędzy nimi.

Greg czuł, jak serce rośnie mu w piersi. Właśnie to miał nadzieję usłyszeć.

- Kevin jest z nas najodważniejszy - kontynuował Harker. - Stał po stronie tego, w co wierzy, kiedy nikt inny nie miał odwagi. To przyniosło mu jedynie szyderstwa i drwiny.

Chcieliśmy wyjawic opinii publicznej wszystko to, co wiemy, tradycyjna droga, ale gazeta Kevina odmowila publikacji artykulu. To bylo dla nas rozczarowanie, ale w sumie tego sie spodziewalismy. Teraz jestesmy zmuszeni siegnac po inne metody, ktore ja nazwalbym obywatelskim nieposluszenstwem, ale sady na pewno spojrzalyby na to jak na przemyslowy sabotaz. Dlatego nie bede mia wam za zle, jezeli zdecydujecie sie odejsc, bo nie jest to cos, w co wierzycie czy na co sie pisaliscie. Niemniej jezeli wciaz chcecie nam pomoc, to my i rodzice kazdego zaginione go dziecka bedziemy waszymi dluznikami.

- A ty? - spytal Pete. - Dlaczego ty tu jestes?

- Z powodu tego, co mi zrobiono - odparl Harker. - Proszę, przygotujcie się, panowie, i spróbujcie nie panikować.

Greg zmarszczył brwi i już otwierał usta, żeby zapytać, co Harker ma na myśli, kiedy oczy mężczyzny zasły ciemną, lśniącą czerwienią. Serce Grega zatrzymało się na chwilę, kiedy zalała go fala okropnych wspomnień, niosąc ze sobą wszystkie te emocje, które starał się zagłuszyć: strach, panikę i przerażającą bezsilność. Jego nogi same zaczęły się poruszać - pobiegł do drzwi. Miał szeroko otwarte oczy i rozdziawione w niemym krzyku usta. Już sięgał do klamki, gdy poczuł nad sobą powiew powietrza. Nagle pojawił się przed nim Albert Harker, blokując dostęp do drzwi.

- Kevin nie mógł wam powiedzieć - rzekł z płonącymi oczami. - Nie przyjechalibyście. Ale wierzę, że między nami nie powinno być tajemnic. Tak, jestem wampirem. Nigdy nie chciałem się nim stać, ale do tego doszło. Jestem ofiarą przestępstwa, które nigdy nie zostanie sprawiedliwie ukarane. A kiedy wypełnimy nasze zadanie, będę niepodważalnym dowodem, jakiego potrzebuje opinia publiczna. Czy zostanieie, żeby nam pomóc? Przysięgam, że nie ma już niczego, czego byście nie wiedzieli. Proszę.

Greg przyglądał się wampirovi, drugiemu przedstawicielowi

gatunku, którego widział na własne oczy. Pierwszym była dziewczyna - kilka miesięcy temu wylądowała w jego ogrodzie, zapoczątkowując rozpad życia uważanego przez niego za oczywiste. Strach aż w nim krzyczał, ale coś jeszcze dawało o sobie znać, coś, co kryło się głębiej - palące oburzenie.

„To jest to coś we własnej osobie. Przeciwno temu walczymy. Chcemy się upewnić, że coś takiego nie spotka nikogo innego”.

- Nie wycofuję się. - Mężczyzna usłyszał własne słowa i spojrzał na Pete'a Randalla.

Jego towarzysz wyglądał tak, jakby od nowa przeżywał swój najgorszy koszmar. Oczy miał szeroko otwarte i gwałtownie przełykał ślinę. Ale zdołał zmusić się do powiedzenia, że także zostaje.

- Dziękuję wam - rzekł wampir. Czerwień znikła z jego oczu, pozostawiając jedynie różowy blask w kącikach. - Obiecuję, że żaden z was nie pożałuje tej decyzji. Kevin wprowadzi was we wszystko, co się stało. Sugeruję, żebyście obaj odpoczęli. Przed nami pracowita noc.

NIGDY NIE PADA...

- Jamie? - zaczęła Kate głosem pełnym niepokoju. - Co tam jest napisane?

- Pokaż im - poprosił Jamie, oddając konsolę Ellison i wyciągając swoją zza paska.

Odblokował ekran kciukiem i otworzył program namierzający. Wpisując nazwisko Mortona do okienka wyszukiwarki, usłyszał, jak Kate zachłysnęła się powietrzem. Ellison pokazała jej wiadomość.

- No nie - szepnął Matt. - To okropne.

Jamie nie odpowiedział. Myślał tylko o jednym - muszą pomóc Mortonowi, iść i ocalić go przed sobą samym. Konsola zadzwieczała, a ekran się rozświetlił, ukazując lokalizację chipa młodego agenta.

Był na północnych obrzeżach Londynu i przemieszczał się na południe.

Jamie otworzył menu wydziału inwigilacji, suwając palcami po ekranie dotykowym, i wyświetlił satelitarne śledzenie Alastaira Dempseya. Urządzenia rejestrowały jego ślad termiczny od podstacji nieopodal Holbom, gdzie poprzedniego dnia uciekł jego oddziałowi, do opuszczonego magazynu w samym centrum Soho. Dempsey wszedł do środka godzinę przed świtem i nic nie wskazywało na to, aby stamtąd wychodził.

- Prawie dotarł do Londynu - powiedział Jamie, spoglądając na Ellison. - Nie zdążymy tam dojechać, zanim on znajdzie Dempseya.

Ellison wyglądała na załamana.

- Sir, co robimy? - spytała łamiącym się głosem. - Nie możemy zostawić go tam samego.

- Oczywiście, że nie - zapewnił Jamie.

- Pojadę z wami - rzekła Kate, wstając od stołu.

- Ja też - zawtórował Matt.

- Nie - zaproponował Jamie. - Dziękuję wam obojgu. Wiecie, jak wiele to dla mnie znaczy. Ale załatwimy to sami.

- A co z naszym trzymaniem się razem? - spytała Kate.

Na jej twarzy majaczył cień uśmiechu. Delikatny, ale dość wyraźny, by Jamie wiedział, że nie mówiła poważnie.

- Poradzimy sobie - odparł, zerkając na Ellison, która przytaknęła. - Wy jesteście potrzebni tutaj. Dam wam znać, gdy tylko go znajdziemy.

- Ale na pewno - powiedziała Kate. - I oboje bądźcie ostrożni.

- Będziemy - zapewnił Jamie, a potem odwrócił się do koleżanki z oddziału. - Gotowa?

- Tak, sir.

- Dobrze. Ruszamy.

Matt obserwował, jak przyjaciel pospiesznie wychodzi ze stołówki. Na jego twarzy malowała się troska.

- Chryste - szepnęła Kate. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział Matt, starając się, żeby w jego głosie było więcej pewności, niż naprawdę miał.

- Jamie da sobie radę.

- Paul pokazał mi materiał wideo z uciekinierami - wyznała.

- Matt, oni są brutalni. Silni, szybcy i okrutni.

- Przecież o tym wiem - rzucił Matt ze złością. - Ja też widziałem nagranie. Ale to wciąż tylko wampiry, a Jamie wie, co robi.

- Przepraszam. - Kate uśmiechnęła się do niego słabo. - Po

prostu się o niego martwię. Te nowe wampiry są niebezpieczne. Naprawdę.

- Wiem - odparł Matt. - Ja też przepraszam. Nie chciałem na ciebie naskoczyć. - Chłopak głęboko odetchnął. - Dlaczego wydział naukowy jeszcze niczego nie ustalił? Od prawie czterech dni mają złapanych uciekinierów, a wciąż nie wiedzą, dlaczego te nowe wampiry wyglądają, jakby wszystkie zostały przemienione przez...

Przerwał w pół słowa.

Coś zaświtało mu w głowie i wiedział, że musi się odciąć od wszystkiego i poczekać, żeby się przekonać, czyjego rozum zdoła odsiać istotne informacje. Przez kilka bolesnych chwil pomysł czaił się gdzieś poza zasięgiem, śliski i ulotny, ale potem przedarł się do jego świadomości i ożył.

- Mój Boże - szepnął Matt i wstał z miejsca.

- Co się dzieje? - spytała Kate. - Matt? Gdzie ty, u licha, idziesz?

- Muszę coś sprawdzić - powiedział, a potem odwrócił się i wybiegł ze stołówki, już się nie odwracając.

CZAS NA NIKOGO NIE CZEKA

BAZA LOTNICZA EDWARDS,
ODDZIAŁ GROOM LAKE NEVADA, USA
PIĘĆ GODZIN PÓŹNIEJ

Larissa siedziała na stołku przy barze w mesie oficerskiej w Groom Lake od prawie czterdziestu minut, kiedy do środka wreszcie wszedł Lee Ashworth. Drżała z ekscytacji. Zamierzała uzyskać odpowiedzi na swoje pytania.

Mesa znajdowała się w kwadratowym budynku z lat pięćdziesiątych, który w kolejnych dekadach rozbudowywano. Na samym środku stał drewniany bar ze zdobionego ciemnego drewna, takiego jak podłogi, dodatkowo pokryte bezbarwnym lakierem. Zestaw skórzanych krzeseł i kanap otaczał porozstawiane wokół niskie stoliki, na których grano w karty. A wszystko udekorowano tym, co zdawało się wygrzebane w okolicznych miasteczkach i bazach: neonowym znakiem z napisem WITAJCIE W TRINITY, maszyną do pinballa z promocyjnymi nadrukami z filmu *Mroczne cienie*, herbem drużyny futbolowej Liceum Mercury, zdjęciami z testów bomb atomowych, fotografiami samolotów myśliwskich F-117A i bombowców B-2. Znajdowało się tam jeszcze wiele innych ciekawych pamiątek.

Kapral Ashworth podszedł do baru, kiwając głową do dwójki kolegów. Zamówił kawę i śniadaniowe burrito, a potem wdrapał się na stołek, ledwie zerkając w kierunku wampirzycy.

- Masz tupet - syknął. - Ogromny tupet.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła.

Godzinę wcześniej przy dybała Ashwortha w jego gabinecie i pokazała mu zdjęcia, które zrobiła w Las Vegas dwie noce wcześniej. Położyła telefon obok zdjęcia jego żony i dzieci, aby mieć pewność, że jej intencje są w pełni zrozumiałe. Potem zasugerowała, że być może teraz będzie bardziej skłonny opowiedzieć jej o dniu, w którym do Strefy 51 przybył obcy, niż był podczas ich poprzedniego spotkania.

Rzucił w jej kierunku stek przekleństw i zniewag tak kreatywnych i głośnych, że nawet Larissa, która spędziła ponad rok w towarzystwie Alexandru Rusmanova, jednego z najniebezpieczniejszych i najbardziej wulgarnych stworzeń chodzących po tej ziemi, była pod sporym wrażeniem. Potem powiedział jej, żeby czekała na niego za godzinę w mesie, i kazał jej się wynosić z gabinetu, nim zawoła strażników.

- Dobrze wiesz, o czym mówię - prychnął Ashworth czerwony ze złości. - Więc skończmy z tym raz na zawsze. Siedz tam, milcz i słuchaj. Jasne?

Larissa się uśmiechnęła.

- Mnie to pasuje, sir.

Ashworth po raz ostatni spojrział na nią z wściekłością, upił łyk kawy i zaczął mówić.

- W tamtym tygodniu trafiłem na służbę strażniczą, ponieważ ośmiu naszych chłopaków było w Edwardsie i przeprowadzało symulacje na modelach, a przypadała akurat kolej złotego szwadronu. Tak wylądowałem na Bramie Frontowej. Nie jest to złe miejsce, tylko nudne. Naprawdę bardzo nudne. Dostajesz rozpiskę przyjazdów i wyjazdów na dany dzień i zazwyczaj to jedyne, co się widzi. Chyba że jakiś maniak minie niechcący znaki, ale tych zazwyczaj wyłapują naziemni, zanim dotrą do bramy.

- Naziemni? - przerwała Larissa.

- Ochrona cywilna - wyjaśnił Ashworth. - Patrolują teren w

pikapach z okularami przeciwsłonecznymi na nosach i zachowują się jak najwięksi twardziele. Tak naprawdę jedyne, co robią, to picie kawy i oglądanie kanału sportowego. Może raz w miesiącu zdarzy się, że jakiś wędrowiec zboczy ze szlaku. Wtedy zgarniają go, pozując na nie wiadomo jak ważnych, i przetrzymują do przyjazdu policji, która odwozi nieszczęśnika. Ale większość ciekawskich, powiedziałbym, że jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent, podjeżdża do znaku, robi kilka zdjęć, czeka, żeby naziemni zaparkowali wóz na szczycie wzgórza, a potem wraca do domu zadowolona ze swego doświadczenia w Strefie 51 W dniu który cię interesuje, zakładałem, że działo się właśnie coś takiego. Namierzyliśmy małego rozpadającego się jeepa, gdy tylko skręcił na trzysta siedemdziesiątą piątą. System śledził go przez całą drogę. Nie działo się nic niezwykłego, jechał z normalną prędkością, nie było w nim substancji wybuchowych ani broni

Dojechał do znaków i się zatrzymał, tak jak inni. Obserwowałem go na ekranach w strażnicy, a naziemni zajęli zwyczajowe miejsce na szczycie wzgórza. Nie było powodu, żeby sądzić że coś jest nie tak, prawda? Tak się zawsze dzieje. Zawsze. Ale minęła jakaś minuta, jeep wciąż tam stał, a kierowca nie wysiadł Nie widziałem błysków flesza i miałem dziwne przeczucie Nic poważnego, ale odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak

Zamierzałem skontaktować się przez radio z naziemnymi i kazać im tam podjechać, przywitać się z tym kolesiem, kiedy kierowca docisnął gaz do dechy. Przez chwilę stałem, gapiąc się w monitor, bo co, u licha, robił ten facet? Zamierza najechać Strefę 51 jeepem? Zobaczyłem, że naziemni wykręcają i zjeżdżają ze wzgórza. Wtedy się ocknąłem. Wziąłem ze ściany swój karabinek M4, zgłosiłem przez radio, że mamy intruza, pobiegłem do szlabanu i czekałem, kto dotrze pierwszy.

Naziemni zwieźli tyłki ze wzgórza i próbowali odciąć mu

drogę, ale facet naprawdę ostro zasuwał. Sądziłem, że dachuje na ostatnim zakręcie, ale tak się nie stało. Wyjechał zza zakrętu i pędził na złamanie karku. Za nim unosił się ogromny tuman kurzu. Zobaczyłem w nim wóz naziemnych i pomyślałem, że chcę poznać tego kolesia. Ma jaja. I bez wątpienia potrafi prowadzić. Podniosłem kolczatkę i odsunąłem się na bok, bo przy prędkości, z jaką jechał, wyrzuciłoby go na co najmniej dziesięć metrów.

Ale on się tym nie przejmował. W ostatniej chwili, i mówię całkiem serio, dosłownie w ostatniej chwili wcisnął hamulec. Rozległ się pisk opon i jeepem zaczęło rzucać na boki, bo zbyt szybko tracił prędkość. A potem się zatrzymał, jakiś metr przed bramą i kolczatką. Wóz naziemnych zatrzymał się z piskiem opon tuż obok, a ja wybiegłem z uniesionym M4. Wtedy drzwi jeepa się otworzyły i z auta wysiadł facet z uniesionymi rękami.

- Jak wyglądał? - spytała Larissa. Serce waliło jej w piersi. Więzień, kimkolwiek był, naprawdę istniał. Mężczyzna siedzący teraz obok niej widział go na własne oczy.

- Wysoki, w średnim wieku. Blady, chociaż przyjechał od strony pustyni. W dobrej kondycji. Miał twarde spojrzenie, jak żołnierz. Wycelowane w niego karabinek i kazałem mu się położyć, ale się nie ruszył. Trzymał ręce w górze i wykrzykiwał

- Jaki?

- F-357-X. To oznacza, że miał najwyższy stopień uprawnień. Kod jest stary, ale wciąż aktywny. Potem krzyknął, że musi się zobaczyć z generałem Allenem, i to już kompletnie mnie rozwalilo. Facet podjechał do Bramy Frontowej, wyprzedził naziemnych, podał mi kod i powiedział, że chce się widzieć z dyrektorem NS9? I znał jego nazwisko? Bez jaj, co to miało znaczyć?

- Jak mówił? - spytała Larissa. - Miał akcent? Coś niezwykłego?

- Angielski - odparł Ashworth.

- Tyle sama zgadłam.

- Nie, miał angielski akcent. Był Anglikiem.

Larissa wpatrywała się w kaprala, starając się przetworzyć to, co usłyszała. W najgłębszych zakamarkach umysłu zaświtała jej pewna myśl, tak niedorzeczna i niemożliwa, że szybko ją od siebie odepchnęła.

- Rozumiem - powiedziała powoli.

- Dobrze - mruknął Ashworth. - W każdym razie facet patrzył na mnie, a ja na niego. I wtedy dojechali naziemni i go złapali. Rzucili go na maskę jeepa i już mieli go skuć, kiedy uświadomiłem sobie, że muszę to zgłosić. Niezależnie od tego, w jaki sposób tu dotarł, użył kodu. Kazałem więc naziemnym go puścić, wracać na posterunek i zapomnieć, że coś takiego się wydarzyło.

Anglik obserwował, jak odjeżdżają. Potem podziękował mi i zaczął mówić, czego potrzebuje, ale kazałem mu się zamknąć i zagroziłem, że jeśli się ruszy, to go zabiję. Wzruszył tylko ramionami i dalej stał z rękami w górze. Wtedy przyszło mi do głowy, że ten facet może nie być zwykłym zołnierzem. Może być z SAS czy czegoś takiego, bo nawet nie wyglądał na zdenerwowanego. Dopiero co pędził przez pustynię, a teraz stał przed najbardziej tajną bazą w kraju z lufą wycelowaną w swoją głowę. Wyglądał, jakby wyszedł na popołudniowy spacer.

Złapałem za radio i przekazałem centrum kontroli kod, który mi podał. Nastąpiła cisza, bardzo długa, co zazwyczaj oznacza, że jesteś przełączany po całej bazie. Wreszcie odezwał się jakiś głos, którego nie rozpoznałem. Powiedział, że wysyłają pojazd i że nie wolno mi wchodzić z więźniem w żadną interakcję. Nie wolno mi nawet z nim rozmawiać, ale mam go nie spuszczać z oka, aż zostanie odebrany. Dlatego wciąż celowałem w faceta i przez kilka minut na siebie patrzyliśmy.

Wreszcie z NS9 podjechał hummer. Jeden z waszych wysiadł

i kazał mi się oddalić. Żaden problem, nie chciałem brać w tym udziału, więc poszedłem do strażnicy. Anglik wsiadł do auta i odjechali w kierunku jezior. Od tamtej pory go nie widziałem i nadal nie znam jego tożsamości. Powiedziałem ci wszystko, co wiem, chociaż nie powinienem był tego robić. Dlatego teraz wyjmiesz telefon z kieszeni i skasujesz te zdjęcia. Potem ja zjem śniadanie, a ty się stąd zabierzesz i zostawisz mnie w spokoju. Skończyłem.

Larissa zamknęła za sobą drzwi mesy. Od usłyszanych informacji kręciło jej się w głowie.

Nie oczekiwała, że Lee Ashworth będzie w stanie powiedzieć jej, kim jest więzień, i uwierzyła mu, kiedy mówił, że tego nie wie. Ale dostała od niego to, czego chciała, a nawet więcej. Mężczyzna naprawdę istniał, to było już pewne. Przyjechał z pustyni i znał kod o najwyższym stopniu uprawnień, co oznaczało, że był pośrednio lub bezpośrednio powiązany z tajną jednostką armii Stanów Zjednoczonych. Poprosił o spotkanie z generałem Allenem podając jego nazwisko, co z kolei znaczyło, że wiedział o istnieniu NS9. I był Anglikiem, co samo w sobie nic nie oznaczało, ale sugerowało, że miał jakieś powiązania z Czarnym Filtrem.

Larissa szła powoli w stronę centrum kontroli i tunelu prowadzącego do Krainy Marzeń. Zaczynała myśleć, że mogłaby zjechać windą na poziom ósmy i przekonać się, czy jest jakiś sposób, żeby mogła na własne oczy zobaczyć więźnia. Gdyby została złapana, wpadłaby w poważne tarapaty, ale w tej chwili się tym nie przejmowała.

„Muszę się dowiedzieć, kim on jest - myślała. - Nie mam pojęcia, czemu jest to dla mnie takie ważne, ale muszę wiedzieć”.

Półtora kilometra dalej na wschód i niemal tyle samo pod ziemią więzień, którego Larissa tak desperacko chciała zidentyfikować, właśnie kończył wieczorne golenie. W normalnych warunkach więźniom nie pozwalano mieć niczego, czym mogliby zrobić sobie krzywdę, szczególnie czegoś tak niebezpiecznego jak brzytwa. Ale okoliczności, w jakich znalazł się Julian Carpenter, odbiegały od normy.

Bob Allen mógł nie mieć innego wyjścia, jak tylko go zamknąć, ale przyniósł zawartość jeepa Juliana do jego celi i osobiście mu ją oddał. Carpenter przypuszczał, że wszystko zostało uprzednio przeszukane - jego stary przyjaciel nie był głupi - ale i tak czuł wdzięczność.

Codziennie miał czyste ubranie, rano golił twarz, wieczorem mył zęby - to drobne sprawy, ale dzięki nim czuł, że wciąż był człowiekiem, wciąż pozostał sobą. Położył brzytwę na krawędzi umywalki i przejrzał się w wypolerowanym arkuszu metalu, który służył mu jako lustro. Twarz miał bardziej bladą niż kiedykolwiek wcześniej. Rezultat niewychodzenia na słońce przez ponad trzy miesiące. Skóra wydawała się luźna, zwisała mu na policzkach i pod brodą.

Wyglądał jak starzec.

Sytuacja, w której się obecnie znajdował, była niemal ironiczna. Zlekceważył odbyte w życiu treningi, lata, a nawet dekady podejmowania decyzji na podstawie logiki, a nie emocji, i oddał się NS9, ponieważ desperacko bał się o syna. Wizja z pustynnej jaskini, z wyleczonym wampirem o imieniu Adam, wydawała się przerażająco realistyczna: jego syn jako wampir, z czerwonymi oczami i lśniącego kłami, mówiący mu, że przybył za późno.

Pomimo błagań Adama i ostrzeżeń, że nie można polegać na wizjach, Julian natychmiast podjął decyzję. Musiał się przekonać, że Jamiemu nic nie zagraża, a poddanie się NS9 było jedynym sposobem, na jaki wpadł, który mógłby mu to umożliwić. Jego ostatni kontakt w Czarnym Filtrze, z czasów

zanim został zmuszony do sfigowania własnej śmierci, zaginął i zakładano, że nie żył. I miał rację - Bob Allen zdołał przekonać Henry'ego Sewarda, by powiedział mu, że jego syn jest cały i zdrowy.

Ulga, jaką Julian odczuł, była ogromna, ale krótkotrwała. Nie wystarczyła mu świadomość, że Jamie jest zdrowy. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął pomóc synowi, a postawił się w sytuacji, w której było to niemożliwe.

„Głupi - myślał, patrząc na swoje odbicie. - Słaby. Głupi. Stary”.

Na końcu szerokiego korytarza, biegnącego przez cały blok więzienny, ciężkie metalowe drzwi stuknęły i na betonowej posadzce rozległy się kroki. Z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze. Julian osuszył twarz cienkim ręcznikiem, będącym w standardowym wyposażeniu więźniów NS9, i czekał na pojawienie się Boba Allena. To nie mógł być nikt inny. Oficer dyżurny bloku więziennego przynosił posiłek trzy razy dziennie, ale nigdy nie mówił ani słowa. Julian mógłby próbować wciągnąć go w dyskusję, ale dobrze wiedział, że mężczyźnie zakazano rozmów z więźniem. Nie chciał jeszcze bardziej utrudniać mu życia. To nie była jego wina, że Julian znalazł się tutaj. To nie była niczyja wina, tylko samego Juliana.

Kroki ucichły przed jego celą. Julian usłyszał serię cichych kliknięć, kiedy do panelu kontrolnego wprowadzono kod, a potem drzwi się otworzyły i do środka wszedł dyrektor NS9 z półuśmiechem na ustach.

- Dobry wieczór, Bob - powitał go Julian. - Miło cię widzieć.
- Ciebie też - odparł generał Allen. - Jak się miewasz?
- Jestem w więzieniu - powiedział. - To prawdziwa frajda. A ty?

Allan chrząknął ze śmiechem, a potem opadł na plastikowe krzesło, będące jednym z trzech mebli w celi. Julian usiadł na łóżku i oparł się o ścianę.

- Jestem zmęczony, Julianie - przyznał Allen. - Zniszczyliśmy lub zatrzymaliśmy jakieś czterdzieści procent uciekinierów z Supermaks. Kolejne piętnaście procent jest pod obserwacją. Reszty nie udało nam się namierzyć. Znikli.

- To dobrze - odparł Julian.

Allen opowiedział mu o skoordynowanych ucieczkach z więzień i przerażającej sile i prędkości nowo przemienionych wampirów. Łamał tym samym tuzin przepisów. Julian był pełen niechętnego podziwu dla taktyki wampirów. Chaos, który wywołały, wciągnął wszystkie departamenty do spraw paranormalnych i nic nie wskazywało, by miał się wkrótce zakończyć. To był wielki, odważny ruch, mający na celu zająć agentów czymś innym niż poszukiwania wciąż dochodzącego do siebie Drakuli.

- Kiedy to wszystko dobiegnie końca, będziesz miał ponad połowę z nich, a to niezły wynik. Nie dostałeś żadnego ostrzeżenia i nie mogłeś znikąd wezwać posiłków. Połowa to dobry rezultat, Bob. Nie zadreńczaj się.

- Dzięki - odparł Allen. - Doceniam, że to mówisz. No i dorwaliśmy niektóre z tych najgorszych. Mój zespół specjalny zniszczył całe dowództwo Pustynnego Kartelu w Nuevo Laredo. Mieli pomoc od naszego wampirzego gościa.

- Larissa - powiedział Julian.

Rewelacje o tym, że w NS9 pracuje wampirzyca, to jedno. To, że była członkiem Czarnego Filtru oddelegowanym do Stanów, to drugie. Ale informacja potwierdzona przez jego przyjaciela, że była dziewczyną jego syna, stanowiła wisienkę na torcie. Desperacko pragnął ją poznać. Błagał Allena o szansę, o pięć minut, żeby mógł spytać o syna, o to, na jakiego wyrósł człowieka, ale dyrektor odmówił. Julian widział, że robił to z bólem, więc nie naciskał.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Porucznik Kinley - potwierdził Allen. - Tim Albertsson, dowódca oddziału specjalnego, powiedział, że nigdy czegoś

takiego nie widział. Boss kartelu strzelił jej z bliska w brzuch z karabinu, a ona nawet tego nie zauważyła. Jeśli mam być szczery, chyba trochę się jej bał.

- Któryś z twoich ludzi został ranny? - zapytał Julian. Allen pokręcił głową.

- Podczas postrzału Kinley straciła ucho, ale podali jej krew i minutę później znów stała na nogach. Nie odnieśli żadnych innych obrażeń i była tylko jedna ofiara wśród cywili.

- Po nocnym ataku na siedzibę kartelu - powiedział Julian. - Musisz być z tego bardzo zadowolony.

- Jestem - przyznał Allen. - Szczerze powiem, że chciałbym ją tu zatrzymać, i nie tylko ja tak myślę. Sądzę, że zdołałbym przekonać Cala, by mi ją zostawił, ale ona nie przeniesie się tutaj bez przyjaciół, a nie ma mowy, żeby oddał mi twojego chłopaka. Nie po tym wszystkim, co zrobił.

Julian się uśmiechnął. Rozpierała go duma z syna. Stwierdził, że nigdy nie będzie w stanie wybaczyć ani Thomasowi Morrisowi, ani sobie samemu uniemożliwienia mu dzielenia triumfów Jamiego. Był człowiekiem, który żałował wielu rzeczy. Tak wielu, że już dawno zakazał sobie myślenia o nich, chyba że było to absolutnie nieuniknione. Ale żadna z nich nie okazała się większa od tej, że syn musiał dbać sam o siebie i że musiał walczyć o przetrwanie bez pomocy ojca.

- Właśnie dlatego tu przyszedłem, Julianie - kontynuował Allen. - Rano rozmawiałem z Calem. W nocy przyśle tutaj zespół. Rano zabiorą ciebie i Larissę do domu.

- Dlaczego?

- Nie mogę ci tego powiedzieć. Pracują nad czymś wielkim i Cal mówi, że potrzebują pomocy Larissy. Szczerze? Wydaje mi się, że chce pozamykać pewne sprawy.

Mina Juliana się nie zmieniła.

- Przywróci mnie do czynnej służby?

- Nie wiem - odparł Allen. - Ale jeśli chcesz mojej rady, to

sugeruję, żebyś przygotował się na rozczarowanie.

- Nie zrobiłem nic złego - powiedział Julian, podnosząc głos.

- Nikogo nie zdradziłem. To nie przeze mnie zginęli Harkerowie.

- Wydano nakaz aresztowania cię, a ty wolałeś upozorować własną śmierć, niż wyjaśnić sprawę - zauważył Allen spokojnie.

- Rozumiem, dlaczego to zrobiłeś, i jestem pewien, że Cal też to rozumie. Ale, Julianie, umarłeś. A przynajmniej pozwoliłeś wszystkim wierzyć, że tak jest. Jeśli oczekujesz, że Cal cię uściska i poda ci nowy uniform, to się łudisz. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

Julian osunął się na łóżku. Patrzył w dół, a w kącikach oczu migotała mu czerwień.

- I co z tego, Bob? - spytał niewiele głośniejszym głosem od szeptu. - Myślisz, że co się ze mną stanie?

- W najlepszym wypadku? Oczyszczą cię z wszelkich podejrzeń i odeślą. Pozwolą ci żyć, Julianie, ale raczej niejako członek Czarnego Filtru.

- A moja rodzina? Allen odwrócił wzrok.

- Bob, co z moją rodziną?

- Nie potrafię powiedzieć, co zrobi Cal - rzekł Allen, patrząc wprost na przyjaciela. - Ale wiem, co ja bym zrobił.

- Co takiego?

- Zabroniłbym ci się kiedykolwiek kontaktować z którymkolwiek z twoich bliskich - powiedział. - Jamie jest agentem, a Marie znajduje się pod nadzorem Czarnego Filtru. Oboje myślą, że nie żyjesz. Nie pozwoliłbym ci się zbliżyć do żadnego z nich, przynajmniej do chwili, kiedy sytuacja z Drakulą zostanie rozwiązana. O ile w ogóle to nastąpi.

Nastąpiła niezręczna cisza, ciężka od posępnej hipotezy opisanej przez Boba Allena. Julian nie chciał uwierzyć w to, że Cal Holmwood mógłby mu to zrobić. Nie po tych wszystkich latach gdy walczyli ramię w ramię. Ale wiedział, że jego

przyjaciel przedstawił realną możliwość. Gdyby chcieli trzymać go z daleka od rodziny, z łatwością by to uczynili. Uzasadnienie tego również nie byłoby trudne - jego powrót rozproszyłby uwagę agenta w czynnej służbie w momencie, kiedy nadchodził najprawdopodobniej najmroczniejszy okres w ich długiej historii. Był pewien, że Marie i Jamiego ogarnęłaby wściekłość, gdyby się o tym dowiedzieli, ale w tym właśnie tkwił największy problem. Poinformowanie syna i żony, że żyje, w czasie kiedy oboje mieszkają w Pętli, byłoby prawie niemożliwe.

- Bob, mam nadzieję, że się mylisz - powiedział po dłuższej chwili.

- Ja także, Julianie - odparł Allen. - Nawet nie wiesz jak wielką.

Dwaj mężczyźni siedzieli przez dłuższą chwilę w ciszy. Obaj wyglądali na starych i zmęczonych. Wiele lat zagłębiania się w mroczne zakamarki odcisnęło piętno na ich pooranych zmarszczkami twarzach.

- Czy to jest tego warte? - spytał nagle Julian.

- Czy co jest warte czego?

- To co robimy - wyjaśnił. - Wszystko, co zrobiliśmy i co z siebie daliśmy. Czy było tego warte? Czy kiedykolwiek zrobiliśmy coś dobrego?

Nastąpiła długa przerwa.

- Nie wiem - odparł Allen. - Są na świecie ludzie, którzy dzięki temu żyją. To musi coś znaczyć.

- Ale równie wielu, o ile nie więcej, zginęło - rzekł Julian. - Mężczyźni i kobiety, których zabiliśmy, ponieważ byli wampirami, a nie z powodu tego, co robili. Myślę o niektórych swoich uczynkach i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób usprawiedliwiałem je przed samym sobą.

- Rozkazy - skwitował Allen. - Słuchałeś rozkazów.

Julian jęknął.

- Jasne - powiedział. - Bob, słyszałem już wcześniej tę

wymówkę. Słyszałem ją, gdy usprawiedliwiano dokładnie to samo: niszczenie ludzi za to, kim są, a nie za ich czyny.

- Chryste, Julianie - rzekł Allen. - Rozumiem, że jesteś zamknięty i wszystko widzisz w czarnych barwach, ale nie rób sobie tego.

- Bob, pamiętasz Kosowo? - spytał. - I Prisztinę?

- Pamiętam.

- Który to był rok? 1999? 2000? Jezu, nawet nie pamiętam.

- 1999 - odparł Bob cicho.

- Na placu była młoda Albanka. Pamiętasz ją? To, co wampiry z nią zrobiły?

- Tak - powiedział Allen. - Pamiętam.

- Znaleźliśmy je w stodole za kościołem - rzekł Julian. - Wampiry, ich kobiety i dzieci.

- Julianie... - odezwał się Allen bezradnie.

- Zaczęliśmy strzelać, a potem chwyciłem swój kołek. Kiedy było po wszystkim, przez dwa dni nie mogłem unieść ręki nad głowę. Pamiętam to, Bob. Próbowałem zapomnieć, ale nie mogę. Nie potrafię.

- Zrobiliśmy to, co musieliśmy - rzekł Allen. - To, co nam rozkazano. To byli zabójcy, Julianie. Na własne oczy widzieliśmy, czego się dopuścili.

- Mężczyźni tak - przyznał Julian. - Ale kobiety? Dzieci? Co one zrobiły, żeby zasłużyć na kołek?

Allen nie odpowiedział.

- Jeśli Drakula powróci - kontynuował Julian - to dla nas wszystkich i takich jak my nastąpi koniec. Ale nawet jeśli nie powróci, nawet jeśli zdołacie go powstrzymać, to myślę, że i tak wszystko może się skończyć. Nic nie trwa wiecznie. Strzeżemy największego sekretu na świecie i zabijaliśmy, zabijaliśmy i jeszcze raz zabijaliśmy, żeby nie wyszedł na jaw. Ale ile jeszcze minie czasu, nim ktoś odkryje tajemnicę, którą chronimy? Albo gdy dowie się o niej więcej ludzi, niż będziemy w stanie zabić lub zamknąć? Co będzie, kiedy świat

dowie się o wszystkim, co zrobiliśmy?

- Nie wiem, Julianie - przyznał Allen. - Ty też tego nie wiesz.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie, czując na ramionach ciężar historii. Minęło wiele czasu, nim znów się odezwali.

ZA KOTARĄ

Matt Browning przebiegł przez poziom D i zatrzymał się przed wejściem do Wydziału Naukowego Czarnego Filtru. Przysunął identyfikator do czarnego panelu na ścianie i niecierpliwie czekał, aż otworzy się seria zamków. Kiedy zapaliła się zielona lampka, pchnął ciężkie drzwi i wszedł do środka.

Znalazł się w obszernym kwadratowym pomieszczeniu, w którym znajdowały się duże biurko recepcji oraz stanowiska pracy zajęte teraz przez ekipę administracyjną wydziału. Kobieta siedząca za biurkiem ściągnęła brwi, kiedy Matt się do niej zbliżył. Jego pojawienie się nie było zaplanowane, a oczy miał niepokojąco szeroko otwarte.

- W czym mogę pomóc? - spytała.

- Jestem Matt Browning - odparł, kładąc identyfikator na biurku. - Kto jest oficerem dyżurnym? Muszę z nim porozmawiać.

- Przykro mi - powiedziała recepcjonistka. - Doktor Cooper jest teraz w laboratorium. Czy mam zapisać wiadomość?

- Nie - odparł Matt. - To mnie jest przykro, ale czy może mu pani powiedzieć, że muszę z nim natychmiast rozmawiać w sprawie oddziału specjalnego Godzina Zero? Nie chciałbym angażować w to tymczasowego dyrektora, ale jeśli mnie pani zmusi, zrobię to. Pani wybór.

Recepcjonistka zmrużyła oczy i przez chwilę Matt sądził, że przejrzała jego bluff. Podejrzewał, że Cal Holmwood poparłby jego nagłe żądanie rozmowy z wyższym rangą oficerem

Departamentu, ale nie byłby szczęśliwy, że go do tego zmuszają. Recepcjonistka przyglądała się Mattowi przez dłuższą chwilę, a potem wzięła telefon i wybrała numer. Mówiła cicho, odwracając głowę od Matta i zasłaniając usta dłonią. Po chwili odłożyła słuchawkę.

- Doktor Cooper cię przyjmie - powiedziała. - Mam cię do niego zaprowadzić.

Wstała zza biurka. Mowa jej ciała wyraźnie dawała do zrozumienia, że pomoc chłopakowi była ostatnią rzeczą, jaką chciała zrobić. Matt z trudem opanował swój temperament, który i tak rzadko się ujawniał. Kiedy recepcjonistka machnęła dłonią, jakby dawała mu znać, żeby za nią poszedł, ugryzł się też w język.

W ścianie za biurkami administracyjnymi znajdowały się trzy pary ciężkich, białych, metalowych drzwi. Za nimi mieścił się wydział naukowy złożony z trzech dużych laboratoriów badawczych rozmieszczonych w półkolu. Każde analizowało dwa zagadnienia z sześciu głównych, którymi zajmował się wydział: Obliczenia i Informacja, Sensory i Urządzenia Elektroniczne, Badania i Inżynieria Ludzka i Nadnaturalna, Analizy Przeżywalności/Smiercioności, Technologia Pojazdów, Badania nad Bronią i Materiałami. Na południowym krańcu terenów Pętli znajdował się obszar doświadczalny, a na wszystkich podziemnych poziomach mieściły się strzelnice oraz sale doświadczalne wszelkich rozmiarów i specjalizacji. Wszystkie były ściśle tajne. Dostępu do laboratoriów broniły podwójne śluzy, a cały wydział monitorowano na poziomie mikroskopowym. Kompleks w pełni zautomatyzowano i w razie wypadku lub naruszenia procedur mógł być automatycznie odcięty.

Recepcjonistka otworzyła środkowe drzwi i wprowadziła Matta do krótkiego korytarza. Po jego drugiej stronie znajdowało się wejście do szarej śluzy, identycznej z tą, która strzegła wejścia do skrzydła więziennego cztery poziomy

nizej. Kobieta wskazała Mattowi, żeby wszedł do środka, i jeszcze nim drzwi śluzę się za nim zamknęły, odwróciła się i ruszyła z powrotem do recepcji.

Kiedy światło w ciasnej przestrzeni zrobiło się najpierw czerwone, a po chwili fioletowe, Matt z trudem walczył z klaustrofobią. Z wentylatorów w podłodze wyleciały chmury gazów. Chłopak zamknął oczy i czekał, aż to się skończy. Kiedy ryk ucichł, otworzył oczy w chwili, kiedy światło zmieniło się na zielone i rozsunięły się wewnętrzne drzwi. Za nimi stał drobny mężczyzna z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Matt? - spytał. - Matt Browning?

- Witam - powiedział młody naukowiec.

Ujął wyciągniętą dłoń, a mężczyzna w białym kitlu energicznie potrząsnął nią w górę i w dół.

- Nazywam się Mark Cooper. Jestem kierownikiem wydziału naukowego. Wspaniale cię poznać.

- Naprawdę? - mruknął Matt przytłoczony ciepłym powitaniem.

- Oczywiście - zapewnił Cooper. - Cal Holmwood pokazuje mi niektóre z raportów projektu Lazarus. Wspaniałe rzeczy, naprawdę. To niesamowite, co tam, na dole, robicie.

- Dzięki - rzekł Matt. Nagle trudno było mu powstrzymać śmiech.

- Nie ma za co - odparł Cooper. - Kilka lat temu w Genewie poznałem Roberta Karlssona. Wspaniały człowiek.

- W rzeczy samej - przytaknął Matt. - Mamy szczęście, że z nami pracuje.

- Bez wątpienia. Ale w czym mogę pomóc, panie Browning? Zgaduję, że to ma coś wspólnego z naszymi nowymi nabytkami.

- Tak - przyznał Matt. - Mogę ich zobaczyć?

- Oczywiście - powiedział Cooper. - Proszę za mną.

Kierownik wydziału naukowego odwrócił się i ruszył

korytarzem w tempie, które zaskoczyło Matta. Mężczyzna miał tak krótkie nogi, że chłopak nie sądził, iż taka prędkość jest dla niego osiągalna. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi z okrągłymi szybami na wysokości głowy. Na ścianie obok widniała tabliczka:

LABORATORIUM NAUKOWE 2 BADANIA I INŻYNIERIA
LUDZKA I NADNATURALNA ANALIZA PRZEŻYWALNOŚCI/
ŚMIERCIONOŚNOŚCI

Matt wszedł za doktorem Cooperem do laboratorium.

Było to ogromne prostokątne pomieszczenie z wysokim, płaskim sufitem i wykładaną płytkami podłogą, całe pomalowane na biało. Ściany i sufit połyskiwały niemal tak jasno, jak ustawione pod ścianami metalowe stoły i ekrany stojących na nich komputerów. Co najmniej tuzin mężczyzn i kobiet w białych fartuchach krzątał się pomiędzy licznymi biurkami, ścianą dokumentów i teczek i rzędami maszyn, które Matt rozpoznawał: sekwencerami DNA, projektorami hologramów, szafkami z superkomputerem, półkami z wirtualnymi danymi 3D. Na tyłach pomieszczenia w ścianie znajdował się rząd sześciu cel, lśniących takimi samymi ultrafioletowymi barierami, jakie zatrzymywały mieszkańców cel w bloku więziennym.

- Witamy - powiedział doktor Cooper. - W porównaniu z laboratorium projektu Lazarus z pewnością nie jest tu imponująco, ale to nasz dom.

- Jest wspaniały - pochwalił Matt. - Jakie są wasze priorytetowe projekty?

- Obecnie badamy ulepszone cechy fizyczne uciekinierów z Broadmoor - odparł Cooper. - A poza tym to samo, co zawsze. Analiza taktyczna siły wampirów i ich słabości oraz analiza samego wirusa. Współpracujemy z Laboratorium 3. Wykorzystują nasze ustalenia w tworzeniu broni i systemów

obronnych.

- Pracujecie na żywych obiektach? - spytał Matt. Po plecach przeszły mu ciarki. - To znaczy na kimś innym poza uciekinierami z Broadmoor?

- Tak - odparł doktor Cooper. - Wiem, co myślisz, ale nie musisz się martwić. To, co tutaj robimy, nie ma nic wspólnego z tym, co robił profesor Reynolds.

Matt widział wewnątrz laboratorium pierwszego projektu Lazarus. To była po prostu wysoce wyspecjalizowana sala tortur, gdzie wampiry patroszono, niszczone i przywracano do życia, traktowano jak zwierzęta. Wszystko w imię bezmyślnego poszukiwania lekarstwa na ich słabość, które prowadził profesor Reynolds. Cały Czarny Filtr wierzył, że pracuje nad czymś całkiem przeciwnym.

- Mam nadzieję - powiedział Matt. - To, co robił, było nieludzkie.

- Widziałem - odparł doktor Cooper. - Przewodziłem zespołowi, który oczyszczał laboratorium, kiedy Reynolds został zabity. Do dzisiaj miewam koszmary. - Mężczyzna się uśmiechnął, ale Matt nie sądził, by doktor żartował. Przynajmniej nie do końca.

- Dwa wampiry przetrwały - rzekł Matt. - Mężczyzna i jego córka. Reynolds miał je zniszczyć, ale Jamie mu przeszkodził. Wie pan, co się z nimi stało?

- Patrick i Maggie Connorsowie. - Cooper kiwnął głową. - Zostali zwolnieni, kiedy zakończono dochodzenie w sprawie Reynoldsa.

- Naprawdę? - dopytał Matt. - Wypuściliśmy dwa wampiry? Doktor Cooper przytaknął.

- Tymczasowy dyrektor osobiście nakazał ich zwolnienie. Inwigilacja zapewne powie ci, gdzie są, jeśli cię to interesuje.

Matt pokręcił głową.

- Nie, dzięki. Po prostu zdziwiło mnie, że zostali wypuszczeni teraz, kiedy cały Departament ma rozkaz zlikwidować

uciekinierów z Broadmoor. Żaden z tych mężczyzn nie chciał być wampirem. To trochę... niekonsekwentne.

- To szara strefa - przyznał Cooper. - Cał robi, co może.

- Nie wątpię - odparł Matt. Jego umysł chciał odpłynąć, kopać głębiej w kwestiach moralnych leżących w sercu Czarnego Filtru. Skupił się jednak na tym, po co tu przyszedł.

- Czy mogę zobaczyć uciekinierów, których tu macie?

- Oczywiście - rzekł doktor Cooper. - Chodź za mną. Matt podążył za doktorem, lawirując pomiędzy rzędami biurek i ław. Kilku pracowników skinęło mu głową, gdy ich mijał, ale większość była zatopiona w swojej pracy. Panowała tu podobna atmosfera jak w laboratorium projektu Lazarus, gdzie spędzał większość czasu. Doktor Cooper poprowadził go do celi na końcu rzędu po lewej stronie i zatrzymał się przed barierą UV. Matt dołączył do niego i spojrzał w głąb zamkniętego pomieszczenia.

Było niewielkie, ale i tak o niebo lepsze od przezroczystych klitek, w których trzymano nieszczęsne ofiary profesora Reynoldsa. Tutaj znajdowało się łóżko z prześcieradłem i poduszkami, krzesło i niewielki stolik, umywalka i odgradzona przestrzeń, zapewne z toaletą. Kamery przemysłowe umieszczono w każdym rogu pokoju, tak żeby kontrolować, jak jest traktowany mieszkaniec celi. W tym wypadku był to mężczyzna po pięćdziesiątce. Leżał na łóżku i czytał książkę w miękkiej okładce. Nie spojrzał na Matta ani na doktora Coopera, nawet kiedy ci zaczęli o nim rozmawiać.

- Christian Bellows - powiedział doktor Cooper. - Został złapany na terenie Broadmoor. Gdy go przywieźli, nie stawiał oporu i od tamtej pory nie sprawiał żadnych kłopotów. Po prostu chce mieć spokój.

- Co zrobił? - spytał Matt. - Dlaczego trafił do Broadmoor?

- Prawie zabił listonosza - wyjaśnił Cooper. - Był przekonany, że mężczyzna planuje go zamordować, więc zaatakował go kuchennym nożem.

- Jezus.

- Cierpi na schizofrenię paranoidalną - kontynuował doktor Cooper. - Mamy jego akta i rozpisaną kurację farmakologiczną. Nie martw się. Opiekujemy się nim.

- Rozumie, co mu się przytrafiło? - spytał Matt.

Bellows wyglądał na spokojnego i rozluźnionego, niczym mężczyzna leżący na kanapie we własnym pokoju.

- Tak - rzekł Cooper. - Musieliśmy powiedzieć mu prawdę. Od wielu lat miewa halucynacje. Nowe otoczenie mogło je niebezpiecznie nasilić. Rozumie, że cierpi na bardzo rzadką chorobę i że go leczymy. Dość szybko się z tym pogodził.

- Zatem współpracuje?

- Tak - potwierdził doktor Cooper. - A to więcej, niż mogę powiedzieć o tym drugim. Chodź.

Matt ruszył za kierownikiem wydziału do następnej celi. Zaopatrzone ją w takie same meble i udogodnienia jak tę, w której leżał Christian Bellows. Ale podczas gdy u niego panował porządek, tutaj był bałagan. Łóżko leżało przewrócone pod ścianą, stolik rozwalono na kawałki, a kotara zasłaniająca toaletę została zerwana i porwana na kawałki. W odległym rogu celi siedziała skulona postać. Ramionami oplatała kolana i miała spuszczoną głowę.

- Alex Masterson - rzekł doktor Cooper. - Został zgarnięty, kiedy włamywał się do apteki w mieście oddalonym o ponad dwadzieścia kilometrów od szpitala. Walczył, ale udało się go obezwładnić. Od chwili przywiezienia jest na środkach uspokajających.

Matt ogarnął wzrokiem bałagan w celi.

- To mu się nie podoba - powiedział.

- Nie było łatwo - potwierdził Cooper. - Zwyczajowe dawki nie działają, a przynajmniej nie konsekwentnie. Jeszcze nigdy nie przetrzymywaliśmy wampirów tak potężnych jak ci dwaj. Podejrzewam, że nie mamy nic, co podziałałoby na Valentina Rusmanova.

- Pewnie nie - przyznał Matt. - Zbadaliście ich obu? Doktor Cooper skinął głową. .

- Nie znaleźliśmy fizycznych różnic między nimi a innymi wampirami. Myślimy, że przyczyna może tkwić w samym wirusie.

- Co on zrobił? - spytał Matt ciszej. Obserwował ciemną kulę wciśniętą w róg celi.

Wampir się nie poruszał. Nie było sposobu, by dowiedzieć się, czy nie śpi.

- Masterson? - dopytał Cooper. - Dopuścił się serii gwałtów w domu opieki, gdzie pracował. Krótko i na temat? To socjopata. Nie rozumie, dlaczego to, co zrobił, było niewłaściwe.

- Dobrze, że został złapany - orzekł Matt. Zaczynało mu się przewracać w żołądku.

- Pewnie tak - skwitował Cooper. - Chociaż prawdopo-dobnie byłoby lepiej, gdyby po prostu go zniszczyli. Ale będąc tutaj przynajmniej nie skrzywdzi nikogo innego.

Matt gwałtownie potrząsnął głową. Chciał odegnać niechciane myśli. Chociaż to miejsce w niczym nie przypominało skąpanego we krwi koszmaru, którym stało się pierwsze laboratorium projektu Lazarus, poczucie beznadziei i strachu było równie namacalne.

- Powiedział pan, że nie ma fizycznych różnic? - spytał. Doktor Cooper przytaknął.

- Jak już mówiłem, wydaje nam się, że różnica tkwi w wirusie. Istnieje korelacja pomiędzy wiekiem i siłą. Istnieje teoria że po przemianie wirus dalej mutuje we krwi nosiciela, z czasem zwiększając jego siłę i szybkość.

- Tak - przytaknął Matt. - Ale to nie wyjaśnia wszystkiego „I umiejętności Larissy - myślał. - Jest przerażająco silna. I szybka. A została wampirem zaledwie trzy lata temu”

- Wiem - przyznał doktor Cooper. - Ma pan jakąś teorię, panie Browning?

- Tak - odparł. - I obawiam się, że to coś bardzo, bardzo złego.

- Jak mogę pomóc?

- Powiedział pan, że ich zbadaliście - rzekł Matt. Mówił powoli, jakby rozważał każde słowo. - Zakładam, że także ich przesłuchaliście.

- Owszem.

- Co pamiętają? Z tej nocy, kiedy zostali wypuszczeni? Doktor Cooper wzruszył ramionami.

- Bardzo mało. Lekarzy, pielęgniarki, igły. Przemoc. Czerwone oczy Żaden nie był w stanie podać szczegółów

- A co z ugryzieniami? - spytał Matt. - Tymi, które ich przemieniły? Czy były jeszcze widoczne, kiedy ich przywieziono?

- Nie - odpowiedział doktor Cooper. - Ale prawie nigdy nie są. jeśli nowo przemieniony napije się krwi, ugryzienie zazwyczaj się goi.

- Dobrze - powiedział Matt. - Macie tu stanowisko, z którego mógłbym skorzystać?

- Jasne - przytaknął doktor Cooper. - Tutaj.

Zaprowadził Matta do jednego z długich stołów, włączył monitor i wysunął klawiaturę. Matt usiadł na stołku i zalogował się do sieci Czarnego Filtru. Doktor Cooper obserwował w ciszy, jak chłopak wchodzi do zastrzeżonej sekcji Godziny Zero i znajduje folder zawierający nagranie z ataku na Broadmoor.

- Wie pan, w których skrzydłach byli trzymani? - spytał Matt.

- Bellows znajdował się w skrzydle D - odparł doktor Cooper.

- Czego szukasz?

Pokażę panu - rzekł Matt i otworzył plik nazwany SKRZYDŁO_D_GŁÓWNY_KORYTARZ.

Obserwowali, jak na ekranie pojawia się czarno-białe nagranie. Kamerę umieszczono nad korytarzem. Na środku

dwaj pacjenci rozrywali szyję i pierś pielęgniarza przyszpilonego do ściany. Kiedy został powalony na podłogę, krew tryskała wokół, koszmarne ciemna we fluorescencyjnym świetle. Jakiś lekarz uciekał z wyrazem przerażenia na twarzy, goniony przez pacjenta ze skalpelem w dłoni. Oczy pacjenta lśniły niemal na biało, a usta wykrzywiały uśmiech czystej radości.

- Chryste - szepnął doktor Cooper. - To okropne.

Matt nie odpowiedział. Uważnie oglądał zapis z kamery, czekając na to, czego szukał. Korytarzem przebiegło dwóch nagich pacjentów. Minęli drgające zwłoki pielęgniarza. Ich oczy świeciły, a ciała lśniły od potu. Matt wcisnął pauzę, zatrzymując obraz.

- Jest. Proszę spojrzeć.

- Na co patrzę? - spytał doktor Cooper, przybliżając się do monitora.

- To działo się kilka minut po ataku - rzekł. - Ci pacjenci dopiero co zostali przemienieni. Zatem gdzie są ugryzienia?

Doktor Cooper zmrużył oczy i jeszcze bardziej się nachylił.

- Nie wiem - przyznał po chwili. - Żadnych nie widzę.

- Ja też nie - odparł Matt drżącym głosem. - I chyba wiem czemu.

Doktor się wyprostował i spojrział na niego.

- Dlaczego?

Matt odwrócił wzrok od ekranu i popatrzył na Coopera.

- Bo żadnych nie ma - wyjaśnił. - Pacjenci z Broadmoor nie zostali ugryzieni.

Doktor Cooper przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Nie zostali... ugryzieni? Matt pokręcił głową.

- Wiem, że to nie samo ugryzienie zmienia ludzi. Plazma, która pokrywa kły, inicjuje zmiany genetyczne. Ugryzienie jest po prostu sposobem, w jaki zazwyczaj dostaje się ona do krwiobiegu. Sądzę, że ma pan rację co do wirusa. Że on ewoluuje, zwiększając siłę i prędkość wampira. Ale sądzą też,

że jest w tym coś więcej. Myślę, że jeśli starsze wersje wirusa zostaną wprowadzone do krwi, przemiana rozpoczyna się z bardziej zaawansowanego poziomu. Moja przyjaciółka Larissa została ugryziona przez najstarszego wampira w Wielkiej Brytanii. I chociaż przemieniono ją zaledwie kilka lat temu, już jest silniejsza i szybsza od jakiegokolwiek innego wampira, którego widziałem. Sądzę, że istnieje bezpośrednia zależność pomiędzy wiekiem atakującego wampira a szybkością, z jaką ofiara się rozwija.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał doktor Cooper. Miał szeroko otwarte oczy i wyraźnie zbladł. - Jeśli nie zostali ukąszeni, to co, u licha, się stało?

- Nie wiem tego na pewno - odparł Matt. - Wydaje mi się, że wstrzyknięto im plazmę od bardzo starego wampira, który ewoluował do punktu, w którym może czynić nowe wampiry tak potężnymi.

- Valeri Rusmanov? - spytał doktor Cooper, wyraźnie drżąc, zupełnie jakby miał za chwilę zemdleć.

- Nie - odpowiedział Matt niewiele głośniej od szeptu. - Obawiam się, że nie.

ELEMENTY UKŁADANKI

Kiedy ktoś zastukał do drzwi, Cal Holmwood podniósł wzrok znad raportu, który czytał, i westchnął. Często wydawało mu się, że doba ma zbyt mało godzin, żeby mógł się zająć wszystkim, czym powinien. Znów złapał się na tym, jak bardzo podziwiał Henry'ego Sewarda, kierującego Departamentem z niezwykłą płynnością.

- Proszę wejść! - zawołał, odkładając raport.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Andrew Jarvis. Był blady i wyglądał na zmartwionego.

„Co znowu? - zastanawiał się Holmwood. - To nie będą dobre wieści. Nigdy nie są”.

Jarvis reprezentował wydział inwigilacji w oddziale specjalnym Godzina Zero i cieszył się w Departamencie ogromnym szacunkiem. Został zrekrutowany z GCHQ, agencji, która monitorowała komunikację i dostarczała służbom bezpieczeństwa analizy informacji. W wydziale szybko awansował do drugiej najwyższej rangą osoby. Dowódca wydziału major Vicker nieraz żartował, że niemal czuje oddech Jarvisa na karku.

- Kapitanie Jarvis - powiedział Cal, zmuszając usta do uśmiechu. - Co mogę dla pana zrobić?

- Przepraszam, że przychodzę niezapowiedziany. - Jarvis stanął przed szefem. - Ale uznałem, że powinien pan zobaczyć, co pojawiło się na moim biurku.

Holmwood westchnął.

- Co to takiego?

Jarvis podał mu teczkę. Cal wziął ją i położył na blacie.

- Po prostu powiedz - rzekł. - Przeczytałem dzisiaj tyle raportów, że starczy mi to na całe życie.

- Tak, sir - odparł Jarvis. - Wczoraj po południu Kevin McKenna opublikował na swoim blogu wpis, w którym napisał o czerwonych oczach i mężczyznach w czerni. Zwrócił się do ludzi, którzy wiedzą, o czym mówi, i poprosił, żeby opowiedzieli mu swoje historie.

- Chryste... - powiedział Holmwood. - Gdzie jest teraz McKenna?

- Nie wiemy, sir. Nie ma go w domu, a od wczoraj nie korzystał ani z komórki, ani z kart kredytowych.

- Albert Harker go ma - stwierdził Holmwood. - Jarvis, znajdź ich. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Po prostu ich znajdź.

- Staramy się, sir - odparł kapitan. - Niestety, to nie wszystko, sir.

- Mów dalej.

- Pierwsze dwa komentarze na blogu McKenny były długimi i bardzo szczegółowymi sprawozdaniami, które uruchomiły około tuzina alertów sieci Echelon. Jeden opisuje chyba zeszłoroczny incydent z Lindisfame, a drugi odnosi się do dziewczyny, która spadła z nieba do ogrodu, i lądującego na podmiejskiej ulicy helikoptera.

Holmwood przez chwilę patrzył na Janasa.

- Ojciec Kate Randall? I Matta Browninga?

- Tak, sir. Namierzyliśmy adresy IP komputerów, z których wysłano komentarze. Były zamaskowane w gąszczu serwerów proxy i pseudonimów, ale się nam udało. Lindisfarne w Northumberland i Staveley w Derbyshire.

- Gdzie są Randall i Browning?

- Znikli, sir. Dzisiaj rano znaleźliśmy auto Randalla na stacji w Berwick. Na jego nazwisko nie kupiono żadnego biletu. Zakładamy, że obydwaj są z Kevinem McKenną i Albertem

Harkerem albo zmierzają na spotkanie z nimi.

Holmwood przypatrywał mu się przez chwilę.

- Kapitanie Jarvis, dlaczego dopiero teraz o tym słyszę? - spytał cicho pełnym złości głosem. - Był pan na odprawie Godziny Zero. Wie pan, że Albert Harker jest naszym priorytetem.

- Przepraszam, sir - odparł Jarvis. - Namierzaliśmy ponad trzydziestu uciekinierów z Broadmoor i śledziliśmy pozostałych najlepiej, jak potrafimy. Brakuje nam ludzi, a ta sprawa nie wydała się ważna nikomu, kto nie ma związku z Godziną Zero. Zawieruszyło się pośród raportów, sir.

Holmwood patrzył na kapitana przez dłuższy czas.

- No dobrze - powiedział wreszcie. - Jest, jak jest. Przekażę informacje Jackowi Williamsowi. Nikt inny nie musi o tym wiedzieć. Jasne?

- Tak, sir - przytaknął Jarvis.

Kate Randall czekała, aż elektroniczne zamki się otworzą, a potem pchnęła drzwi do WZOB-u.

Martwiła się o Mortona, o Jamiego i Ellison, i o Matta. Ale nie była zła, jak kilka miesięcy temu, kiedy Jamie odrzucił jej ofertę pomocy w podobnej sytuacji. Była z siebie dumna, ponieważ nie podejrzewała już przyjaciela o najgorsze i nie uważała, że jego decyzje miały na celu podkopanie jej autorytetu lub zaszkodzenie jej. W rzeczywistości chodziło o coś przeciwnego - Jamie chciał ją chronić, chociaż robił to w nieco protekcyjny sposób.

Skierowała się do salonu, gdzie miała nadzieję znaleźć Paula Turnera. Chciała mu powiedzieć, co się stało z oddziałem Jamiego. Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła stojącej w recepcji podenerwowanej kobiety i na nią wpadła.

- O Boże - powiedziała, potykając się i chwytając za biurko, żeby złapać równowagę. - Bardzo przepraszam. - Obróciła się i

spojrzała prosto w roziskrzone czerwone oczy.

- Och, Kate. - Oczy Marie Carpenter natychmiast odzyskały swój zwyczajowy bladozielony kolor. - Bardzo przepraszam. Przestraszyłam cię?

- Nie, pani Carpenter - odparła Kate z uśmiechem. - Nic mi nie jest. A pani?

Typowe podenerwowanie znów malowało się na jej twarzy.

- Wszystko w porządku - zapewniła. - Przepraszam za swoje oczy. Ja nie mogę... Tak się po prostu dzieje. Przepraszam.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła Kate. - Proszę mi wierzyć, widziałam straszniejsze rzeczy od pani.

Marie się uśmiechnęła.

- Nie wątpię.

Kate popatrzyła na matkę przyjaciela, czując rosnącą w sercu sympatię. Marie miała na sobie ciemne spodnie i jasnoniebieską koszulę. Wyglądała jak typowa pani domu z klasy średniej, którą kiedyś była. To sprawiało, że w Pętli, miejscu niekończących się czerni i szarości, wydawała się bardzo nie na miejscu.

- To tutaj pracujesz? - Marie rozejrzała się po niewielkiej recepcji WZOB- u. - Jamie powiedział, że robisz coś ważnego, ale nie mógł mi wyjawiać co.

- To właśnie tutaj - rzekła Kate. - Nazywamy to WZOB. To... coś w stylu wydziału wewnętrznego.

- Czy to niebezpieczne? - spytała Marie. - Przepraszam, niemądre pytanie. Oczywiście, że tak. Tutaj wszystko jest niebezpieczne.

- Nie sądziłam, że będzie - przyznała Kate szczerze. - Że nie będę się cieszyła popularnością, to owszem. Ale okazało się to bardziej niebezpieczne, niż podejrzewałam. Pewnie nie powinnam być tym zaskoczona.

- Nie - przyznała Marie. Dłonie miała splecione na wysokości brzucha i lekko je wykręcała. - Pewnie nie.

- Co pani tutaj robi, pani Carpenter? - spytała delikatnie

Kate. - Czy ktoś tu panią przysłał?

- Och. - Marie się rozpromieniła. - Młody mężczyzna zszedł do mnie na dół i powiedział, że chcą ze mną porozmawiać. Był bardzo uprzejmy.

- Cieszy mnie to - odparła Kate z uśmiechem. - Przepraszam. Grafik często się tu zmienia. Gdybym wiedziała, sama bym po panią poszła. Nie musi się pani obawiać przesłuchania, daję słowo. Zostaję w środku, więc nie będzie pani sama. Proszę tu poczekać. Zaraz po panią przyjdę.

- Dobrze - rzekła Marie. Uśmiechnęła się z otwartością, która ogrzała serce Kate. - Zaczekam tutaj.

- W porządku. Za chwilę wrócę.

Zostawiła mamę Jamiego obok biurka w recepcji i weszła do salonu. Miała nadzieję, że Paul Turner już tam jest. Siedział na kanapie i trzymał w dłoni kartkę. Kiedy weszła, spojrzał na nią. Wyraz jego twarzy nappełnił Kate niepokojem.

„Wygląda, jakby zobaczył ducha”.

- Paul? - zaczęła. - Wszystko w porządku? Skinął głową.

-Tak.

- Co to? - rzekła, wskazując na dokument, który trzymał.

- Wydział bezpieczeństwa zakończył dochodzenie - powiedział. - W sprawie zamachu bombowego. To ich wnioski.

- Coś, o czym wcześniej nie wiedzieliśmy?

- Tak - odparł. - Usiądź.

Kate zmarszczyła brwi, ale wysunęła plastikowe krzesło spod biurka i usiadła.

- Kate, w twojej kwaterze był wampir - powiedział Turner, patrząc jej w oczy. - Potwierdzili to. Przez cztery minuty jakieś dwie godziny przed wybuchem. To wystarczająco długo.

Kate poczuła, że ogarniają chłód.

- Skąd wiesz? - spytała. - Myślałam, że kamery niczego nie uchwyciły.

- To prawda - odparł Turner. - I to powiedziało nam wiele,

choć nie mieliśmy pewności. Ale kamery to niejedyne sposoby monitoringu. Mamy system, który kontroluje temperaturę każdego pomieszczenia w Pętli i zapisuje nawet najmniejsze odchylenia od normy. Stąd wiemy.

- Nigdy nie słyszałam o tym systemie - powiedziała Kate. - Jest nowy?

Turner przytaknął.

- Zainstalowaliśmy go po przybyciu Valentina. Gdy stało się jasne, że może opuszczać swoją celę, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota, potrzebowaliśmy sposobu, żeby go śledzić. W razie takiej sytuacji jak ta.

- Kto o tym wiedział? - spytała.

- Tymczasowy dyrektor, Sekcja Bezpieczeństwa Cija - odparł Turner. - Zdecydowano, że będzie najlepiej, jeśli dowie się o tym jak najmniej osób. Łatwiej obserwować ludzi, kiedy nie wiedzą, że są obserwowani.

„Jaka urocza myśl”.

- Więc system wykazał wzrost temperatury w moim pokoju? - upewniła się Kate.

- Tak - przyznał Turner. - Nagły wzrost temperatury pomieszczenia, wiele stopni powyżej tego, co jest w stanie wyprodukować człowiek. To niepodważalny dowód.

- Dlaczego od razu tego nie pokazało? Dlaczego dowiedziałeś się o tym dopiero teraz?

- Systemy monitorujące na poziomie B zostały uszkodzone w czasie eksplozji - wyjaśnił. - Nie wiedzieliśmy, czy odzyskamy dane. Wiele przepadło, ale udało się uzyskać odczyty z twojego pokoju. No i wtedy to zobaczyliśmy.

- Zatem się myliliśmy - rzekła Kate powoli. - To był atak wampirów. Nie miał nic wspólnego ze WZOB-em.

- Nie wiem - powiedział major. - Nadal nie kupuję tego, że wampir zaatakował ciebie i mnie przez przypadek, choć nie mam jeszcze wyjaśnienia. Ale przynajmniej zawężaliśmy listę podejrzanych.

Kate dopasowała do siebie elementy układanki.

- Mama Jamiego jest w recepcji. To przez to?

- Tak - potwierdził Turner. - Ale będę szczerze zdumiony, jeśli okaże się winna. Zaczynam podejrzewać, że jedną z wielu umiejętności, które w ciągu stuleci nabył nasz przyjaciel Valentin, jest ta, jak pozytywnie przejść test na wykrywaczu kłamstw, nawet tak dokładnym jak nasz. Jak tylko skończymy z Marie, chcę go tu znowu widzieć. Podejrzewam, że wtedy uzyskamy wreszcie jakieś odpowiedzi.

- Zajmę się tym - powiedziała Kate. - Ja też mam ci coś do powiedzenia.

- Co takiego?

- Znasz Johna Mortona? Rekruta Jamiego?

- Znam - odparł Turner. - Widziałem, że Jamie wysłał go na ocenę psychologiczną. Popęłnił w terenie kilka błędów?

- To on - rzekła Kate. - Gonili wampira Alastaira Dempseya. Paskudny typ. Wczoraj im uciekł i zginęła młoda dziewczyna. To wina Mortona.

- No i? - dopytywał Turner. - Jamie wie, co robi. Jakie są wieści?

- Morton sam ruszył za Dempseyem - poinformowała go Kate. - Zostawił wiadomość Ellison; to drugi rekrut w oddziale Jamiego. Wyjechał trzy godziny temu.

- Chryste - szepnął Turner. - Jamie pojechał za nim?

- Tak. On i Ellison wyruszyli przed piętnastoma minutami. Dziewczyna szaleje ze zmartwienia. Jest pewna, że Morton zginie.

Turner przez chwilę rozważał słowa Kate.

- Jamie dobrze robi - stwierdził wreszcie. - Kiedy ktoś z twojego oddziału wpada w tarapaty, to robisz, co możesz, żeby go z nich wydobyć. To wszystko.

- Wiem. Pomyślałam, że chciałbyś, żebym ci o tym powiedziała.

- Cieszę się, że to zrobiłaś - przyznał Turner. - Nie możemy

sobie pozwolić na stratę kolejnych agentów, nie teraz, kiedy Departament jest tak osłabiony. Jamie sprowadzi go do domu, mógłbym się o to założyć.

- Ja także.

- Zatem w porządku - rzekł Turner. - Wracamy do roboty. Zobaczmy, co pani Carpenter ma nam do powiedzenia. Szybko.

- Przesłuchanie WZOB-u numer 086. Oficer prowadzący: major Paul Turner, NS303, 36-A, w obecności porucznik Kate Randall, NS303, 78-J. Proszę się przedstawić.

- Marie Carpenter.

Zielone.

- Proszę błędnie odpowiedzieć na następne pytanie - rzekł Turner. - Płec?

- Męska - odparła Marie.

Czerwone.

Matka Jamiego wyglądała na zdenerwowaną, dlatego Kate było jej bardzo szkoda. Marie Carpenter została wmieszana w Czarny Filtr przypadkiem, w wyniku kłamstw podtrzymywanych przez jej męża przez całe ich małżeństwo. Teraz była istotą nadnaturalną, uwięzioną na zawsze w bazie wojskowej i stawianą w takich przykrych i przerażających sytuacjach jak ta, w której się obecnie znalazła.

- Dziękuję - odparł Turner spokojnie. - Mamy kilka pytań, na które musi nam pani odpowiedzieć. Ale obiecuję, że nie będziemy pani tu trzymać ani minuty dłużej, niż to konieczne.

- Nie szkodzi - odparła Marie, zmuszając się do uśmiechu. - Chcę pomóc.

Zielone.

- Dwa dni temu na jednym z poziomów mieszkalnych zdetonowano ładunek wybuchowy. Wiedziałaś o tym?

- Czulaam, jak zatrzęsło budynkiem - odparła Marie. - Wiedziałam, że coś się stało, ale nie wiedziałam, że to bomba.

Zielone.

- Dziękuję - odparł Turner. - Czy...?

- Czy ktoś został ranny? - Marie pobladła.

- Słucham?

- Kiedy bomba wybuchła - odparła. - Czy ktoś został ranny?

- Obawiam się, że to tajna informacja.

- To oznacza, że tak - wywnioskowała kobieta.

- Pani Carpenter, to w tej chwili nieistotne. Ważne jest...

- To o panu mówi mój syn. - W głosie Marie pojawiła się pewna ostrość, gładka i zimna. - Ten zimnokrwisty. Jak może pan mówić, że to nieważne, że ktoś został ranny?

- Nie to miałem na myśli - odparł Turner. - Chodzi o to, że to nieistotne w tym procesie. Nie chciałem pani zdenerwować.

- Aha - rzekła Marie. Jej głos znów był łagodny. - Przepraszam. Nie lubię myśleć o tym, że ludziom dzieje się krzywda.

„Nic dziwnego - pomyślała Kate - jeśli weźmiemy pod uwagę, kim jest jej syn”.

- Ja też nie - powiedziała Kate. - Możemy kontynuować? Marie przytaknęła.

- Dobrze - rzekł Turner, posyłając Kate pełne wdzięczności spojrzenie. - Pani Carpenter, czy jest pani odpowiedzialna za umieszczenie ładunku wybuchowego na poziomie B tego kompleksu?

- Nie - odpowiedziała natychmiast. - Oczywiście, że nie.

Zielone.

- Wie pani, kto za to odpowiada?

- Nie.

Zielone.

- Czy znajduje się pani w posiadaniu informacji, które mogą być istotne w ustaleniu tożsamości winnego tego ataku?

- Nic nie przychodzi mi do głowy. Przykro mi.

Zielone.

- Pani Carpenter, wczoraj rozmawialiśmy z Valentinem

Rusmanovem. Powiedział nam, że odbył z panią wiele rozmów w pani celi. Czy to prawda?

- Tak - przyznała. - Czy mam kłopoty?

Zielone.

- Skądże znowu - odparł Turner. - Czy pan Rusmanov powiedział kiedykolwiek coś, co mogłoby mieć coś wspólnego z planowaniem ataku na Departament?

- Nie - odparła. - Jestem pewna, że nic takiego nie mówił.

Zielone.

- O czym rozmawiacie?

- Nie sądzę, żeby to był pański interes, majorze Turner - powiedziała Marie uprzejmie.

Zielone.

Kate się uśmiechnęła.

- Zapewne ma pani rację - rzekła. - Ale to naprawdę może nam pomóc. Wszystko, co nam pani powie, pozostanie w tym pokoju.

Marie spojrzała na nią z wyrazem twarzy, który Kate się nie spodobał. „Rozczarowałam ją - pomyślała. - Bo jestem częścią tego”.

Ze zdumieniem odkryła, jak bardzo nie podoba jej się ta myśl. Było to uczucie podobne do tego, jakie ogarniało ją, ilekroć ojciec złapał ją na robieniu czegoś, czego nie powinna była robić, albo na zabawie w niedozwolonym miejscu.

- Jamie - powiedziała Marie po dłuższej chwili. - Głównie rozmawiamy o Jamiem.

Zielone.

- Czy Valentina interesuje pani syn? - spytał Turner.

- Bardzo - rzekła Marie z dumą. - Wyznał mi, że przyszedł do niego, ponieważ był pod wrażeniem tego, co Jamie zrobił jego bratu.

- Jamie zabił jego brata - zauważył Turner cicho.

- Dobrze wiem, co zrobił - rzuciła Marie ostro. - Byłam tam. Kate także, skoro już o tym mowa. A pan gdzie był, majorze

Turner?

„Wow - pomyślała Kate. - W całej bazie są może ze trzy osoby, które miałyby jaja, żeby powiedzieć coś takiego. Wow”. Turner się uśmiechnął.

- Byłem w Rosji - odparł. - Sprzątałem po innej masakrze. Przeprowadzonej przez najstarszego z Rusmanovów.

- Aha. - Na policzkach Marie pojawił się rumieniec. - Nie wiedziałam o tym.

- W porządku - skwitował Turner. - Nie ma powodu, by pani wiedziała.

- Przepraszam - powiedziała Marie. - Kiedy chodzi o mojego syna, przyjmuję postawę defensywną.

- To całkowicie zrozumiałe - zapewnił major. - Miałem syna. Zrobił wiele głupstw, ale zawsze brałem jego stronę. Rodzice chyba inaczej nie potrafią.

Kate poczuła, jak po plecach przechodzą jej ciarki.

„Nie mów o nim - prosiła w duchu. - Nie teraz. Błagam”.

- Miał pan syna? - dopytała Marie.

- Miał na imię Shaun.

- Co się z nim stało?

- Zginął - odpowiedział Turner. - Kilka miesięcy temu. Zabił go brat Valentina.

- Tak mi przykro. - Głos Marie łamał się od łez.

- Dziękuję - odparł Turner.

Kate spojrzała na niego bezradnie. Chciała położyć mu dłoń na ramieniu, ale wiedziała, że nie może.

- Więc tylko o tym rozmawiacie z Valentinem? - spytała, chcąc dać Paulowi chwilę. - O Jamiem?

- Nie - przyznała Marie. - Czasami opowiada mi o rodzinie męża. Znał dziadka Jamiego.

- Johna - powiedział major.

- Właśnie jego - przytaknęła Marie. - Wygląda na to, że był niezwykłym człowiekiem.

- Nigdy go nie poznałem - stwierdził Turner. - Przeszedł na

emeryturę, zanim tu przybyłem. Ale po tym, co kiedykolwiek o nim słyszałem, wydaje mi się, że ma pani rację.

- Poprosił Valentina, żeby opowiedział o nim Jamiemu. Myślę, że chciałby się dowiedzieć czegoś o dziadku.

- Może się dowie - powiedział Turner. - Rozumiem, że często ze sobą rozmawiają.

Kate uważnie przyglądała się Marie. Na jej twarzy nie dostrzegła zaskoczenia, ale coś się na niej odmalowało.

- To prawda - przyznała Marie. - Słyszę go, jak tylko wychodzi z tej śluzu. Nie wiem, czy on o tym wie, ale tak jest. Więc słyszę, że rozmawiają.

„Ale nie zawsze przychodzi do ciebie, prawda? - Kate zdała sobie z tego sprawę. - Czasami odwiedza Valentina, ale ciebie nie. Chryste, Jamie!\".

- Słyszała pani coś z innych cel? - spytał Turner. - Coś odbiegającego od normy?

- Nie. - Marie pokręciła głową. - Ludzie rozmawiają, śmieją się albo piszą coś na tych waszych wielkich telefonach, które ze sobą nosicie. Nic dziwnego.

Kate i Turner zamarli.

Musiało to być bardzo wyraźne, bo po kilku sekundach Marie zaśmiała się nerwowo.

- Co takiego powiedziałam?

- Co pani słyszała, pani Carpenter? - spytał Turner, otrząsając się trochę szybciej od Kate. - Dokładnie. Proszę mi wyjaśnić.

- Palce stukające o plastikowy ekran - powiedziała Marie, marszcząc brwi. - I ten dźwięk, który wydają. Jamie zawsze bawi się swoim telefonem, kiedy do mnie przychodzi.

Turner wyjął swoją konsolę.

- Wyślij mi wiadomość - poprosił, patrząc na Kate. - Szybko.

- Jaką? - spytała, aktywując ekran.

- Jakąkolwiek - rzekł Turner. - Nic. To nie ma znaczenia. Kate kliknęła ikonę WIADOMOŚCI i wybrała NOWA.

Znalazła nazwisko Paula Turnera, szybko napisała słowo TEST w tytule i kliknęła WYŚLIJ. Nastąpiła długa, pełna napięcia chwila oczekiwania, po której ekran konsoli majora ożył i w cichym pomieszczeniu rozległ się krótki dwutonowy dźwięk.

- Czy to był taki sygnał? - spytał Turner, przenosząc spojrzenie na mamę Jamiego. - Ten, który pani słyszała. Czy to było to?

-Tak.

Zielone.

Turner rzucił spojrzenie w stronę Kate. Miał szeroko otwarte oczy, a kąski ust unosiły mu się lekko w górę w czymś, co wyglądało na załazek uśmiechu.

- Podsumujmy - powiedział. - Mówi pani, że słyszała, jak Valentin Rusmanov używa konsoli takiej jak te, które nosimy, i jakiej używa pani syn? I słyszała pani, jak dzwoniła dokładnie tak, jak moja? To pani mówi?

- Nie - odparła Marie, marszcząc brwi. - Nic takiego nie twierdzę.

- Co ma pani na myśli? - dociekał Turner.

- To nie był Valentin. To był ten drugi.

Turner przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu. - Jego lokaj? - spytał.

- Lambertson? Marie Carpenter przytaknęła.

- Właśnie on.

DEADLINE**PARK PRZEMYSŁOWY DUCH INNOWACJI READING**

Słońce nareszcie zsunęło się za horyzont, zatapiając osiedle przemysłowe w smutnej szarości zmierzchu.

Cztery pary oczu patrzyły z wnętrza wynajętego vana, jak mężczyźni i kobiety pracujący w przepastnych betonowych pudełkach zaczynają z nich wychodzić, po czym kierują się na stację kolejową albo na ogromne parkingi. Szli w ciszy, nie zwracając uwagi na niewielki biały pojazd zaparkowany przed przeszkloną recepcją jednego z największych budynków w okolicy - drukarnią, która produkowała ponad pół miliona kopii „The Globe” każdej nocy w roku.

Siedzący w vanie Peter Randall się denerwował.

Przez całe długie, pełne napięcia popołudnie Albert Harker odmawiał ujawnienia im swoich planów. Uważał za najważniejsze to, by jako jedyny znał szczegóły, przynajmniej do chwili, gdy niezbędne stanie się ich zdradzenie. Jego ostrożność była aż przesadna, na granicy paranoi. Przepraszał, ale nie zmienił zdania.

Pete i Greg zostali wreszcie wysłani z garścią pieniędzy Harkera i instrukcją, żeby wypożyczyć auto - vana bez okien po bokach lub z tyłu, tak by w środku można było bezpiecznie przetransportować wampira. Wypożyczalnię znaleźli dziesięć minut drogi piechotą od hotelu. Z początku Pete był niechętny, by podać prawo jazdy, ale Greg powiedział mu, że na tym etapie to już nie ma znaczenia. Weszli w to zbyt

głęboko, żeby martwić się o dowody na papierze czy elektroniczne ślady.

We czterech wsiedli do vana, a wampir podał im adres, pod który Pete miał ich zawieźć. Z początku nic dla Petea nie znaczył - ot, kolejna dzielnica przemysłowa w zakątku świata, który był ich pełen. Ale kiedy tam wjechał i zobaczył znajome logo na wysokiej tablicy, na której wypisano mające tu siedzibę firmy, poczuł ucisk w dołku.

- To tutaj drukują „The Globe”, prawda? - spytał.

- W rzeczy samej - potwierdził Harker. - To prasy drukarskie, które co noc publikowały teksty Kevina. To tutaj zadamy pierwszy cios prawdy.

Nachylił się i objaśnił swój plan.

Boczne drzwi vana się otworzyły i ze środka wysiadły cztery postacie. Były ubrane na czarno, jedna miała przewieszoną przez ramię czarną sportową torbę.

Przeszli szybko przez dziedziniec w kierunku wejścia do drukarni. Prowadził Albert Harker. Przez szybę Pete widział recepcję i siedzącego przy biurku ochroniarza. Mężczyzna zauważył, że nadchodzą, i bacznie ich obserwował, ale na jego twarzy nie było widać niepokoju. Wizyty po godzinach zdarzały się pewnie dosyć często. Kiedy zbliżyli się do szklanych drzwi, ochroniarz nacisnął guzik na biurku. Chwilę potem rozległo się głośne bzyknięcie i drzwi stanęły otworem.

Albert Harker złapał za uchwyt i pociągnął.

- Dziękuję - powiedział.

Tuż za nim do środka weszli Pete, Kevin i Greg.

- Nie ma sprawy - odparł ochroniarz. - Proszę się wpi...

Reszta zdania ugrzęzła mu w gardle, ponieważ oczy Alberta Harkera zaszły głęboką płomienną czerwienią. Wampir dobiegł do biurka, jakby był czarną smugą, chwycił

chwiejącego się strażnika za tył głowy i uderzył jego twarzą o blat. Nos mężczyzny pękł w akompaniamencie głośnego chrupnięcia kości. Krew popłynęła we fluorescencyjnym świetle recepcji.

- Jezus! - krzyknął McKenna.

Harker uniósł głowę strażnika, który miał otwarte usta i wywrócone oczy.

- Nic mu nie będzie - powiedział wampir. - Kiedy się obudzi, będzie go bolała głowa, ale do tego czasu my już dawno zdążymy zniknąć. Greg, zwiąż go i zaknebluj mu usta. Tylko nie zasłaniaj mu nosa. Nie chcę, żeby się udusił.

Greg przytaknął i zrzucił torbę z ramienia. Otworzył suwak i wyjął ze środka rolkę czarnej taśmy izolacyjnej i długi plastikowy kabel. Harker jedną ręką wyjął strażnika zza biurka, przełożył go ponad blatem i położył na podłodze. Greg szybko związał mu ręce za plecami i nogi w kostkach. Potem oderwał kawałek taśmy i przycisnął go mocno do ust ochroniarza.

- Dobra robota - pochwalił Harker i przeniósł mężczyznę za biurko. Położył go na podłodze obok krzesła, tak żeby był niewidoczny dla wszystkich zaglądających do środka z zewnątrz. Potem wrócił do towarzyszy z wciąż płonącymi oczami.

- To koniec, tak? - spytał McKenna. - Nikomu więcej nie stanie się krzywda?

- Tak jak ci obiecałem, przyjacielu - odparł Harker. - Nikt więcej nie zostanie ranny.

- Dobrze - przytaknął Kevin. - Tak jak obiecałeś.

Znajdujące się na tyłach recepcji drzwi prowadziły na piętro drukarskie. Dostęp był kontrolowany przez panel na kartę, ale Harker po prostu napierał na drzwi, aż zamki puściły z głośnym trzaskiem metalu. Ogłuszający hałas natychmiast

zalał recepcję kakofonią grzmiących metalicznych tłoków i ogromnych obracających się kół.

- Za mną - powiedział wampir i wszedł do środka.

Prasy wyglądały jak coś z przemysłowego koszmaru. Zajmowały ogromne pomieszczenie od podłogi aż po sufit, seria niezliczonych maszyn połączonych przenośnikiem taśmowym, który wił się pomiędzy nimi. Na otwartej przestrzeni po prawej stronie stały liczne biurka i komputery. Z sufitu nad nimi zwisała tablica z napisem REDAKCJA.

Pięć metrów dalej, obok drzwi stała duża przeszklona szafka. Harker szedł pod ścianą i zatrzymał się przy niej. Towarzysze podążyli za nim. Pete obserwował ogromną halę, poszukując pracowników. McKenna powiedział im, że drukarnia była niemal całkowicie zautomatyzowana. Kiedy uruchomiono prasy, na miejscu przez całą noc zostawała tylko garstka pracowników technicznych. Ich zadaniem była naprawa maszyn, gdyby coś poszło nie tak. Obliczył, że w całym budynku nie powinno przebywać więcej niż dziesięć osób.

Obok działu redakcyjnego szpule papieru wyższe od przeciętnego człowieka kręciły się, karmiąc wiecznie głodne maszyny. Pete dostrzegł, że na drugim końcu sali gotowe gazety były automatycznie związywane, owijane folią i układane na paletach. Potem pojawił się jeden z pracowników drukarni, mężczyzna w niebieskim kombinezonie. Jechał podnośnikiem widłowym z żółtym światłem obracającym się na dachu. Na odległej ścianie znajdowało się kilka par przesuwanych drzwi, z których większość była teraz otwarta. Tam parkowały ciężarówki, które rozwoziły „The Globe” do centrów dystrybucji w całym kraju. W tej chwili stały gotowe do załadunku kolorowymi stronicami brukowca.

Pete widział, jak mężczyzna uniósł jedną z palet na otwartą pakę ciężarówki, a potem drugi pracownik zamknął drzwi na klucz. Samochód natychmiast odjechał, pozostawiając prostokątną dziurę w ścianie budynku. Mężczyzna wycofał

wózek widłowy, aż znikł za górującymi maszynami.

Harker otworzył szklaną szafkę, a towarzysze stłoczyli się wokół niego. Na metalowym panelu znajdowały się podświetlone przyciski, pośrodku duży czerwony podpisany WSZYSTKO STOP.

Wampir wysunął długi palec i nacisnął guzik.

Nagła cisza była tak zdumiewająca, że aż się wzdrygnęli. Przez dłuższy moment jedyne, co słyszeli, to wysokie syczenie gwałtownie zatrzymanej prasy. Po chwili rozległa się seria alarmów i w ogromnym pomieszczeniu ktoś zaczął coś krzyczeć.

- Zaczyna się - powiedział Harker. - Wyjaśnianie zostawcie mnie.

Oczy wampira zaszyły czerwienią, a kły się wysunęły. Sekundę później dwóch mężczyzn w niebieskich kombinezonach wyszło pomiędzy rzędów maszyn. Byli zaczerwienieni i mocno marszczyli brwi.

- Hej! - krzyknął jeden z nich, wskazując na Petea. - Co, do diabła...? - Głos uwiązł mu w gardle, kiedy spostrzegł Alberta Harkera, uśmiechniętego, świecącego potwora z najgorszych koszmarów. Otworzył szeroko oczy i próbował zawrócić, ale było za późno.

Harker ruszył naprzód i uniósł obydwu mężczyzn z ziemi. Rzucił ich, niemal od niechcienia, do działu redakcyjnego, gdzie ciężko upadli na ziemię. Krzyczeli z bólu i przerażenia, szeroko otwierając oczy.

- Pilnujcie ich - warknął Harker i znikł.

Pete i Greg podbiegli i stanęli nad kulącymi się, przerażonymi mężczyznami. Kilka sekund później wrócił Harker, trzymając w swoim nadnaturalnym uchwycie jeszcze dwóch pracowników. Po niecałych dwóch minutach ośmiu mężczyzn tłoczyło się razem pomiędzy biurkami, drżąc z przerażenia.

Albert Harker opadł na ziemię i spojrzał na nich strasznymi

płonącymi oczami.

- Zachowajcie spokój, panowie - warknął. - Jeśli będziecie robić to, co wam każę, nie stanie wam się krzywda. Rozumiecie?

Pełne paniki skomlenie nieznacznie ucichło, a trzech lub czterech zdołało nawet kiwnąć głową.

- Dobrze - skwitował Harker. - Dokonamy pewnych poprawek w jutrzejszym wydaniu, a wy, drodzy panowie, nam w tym pomożecie. Nie poniesiecie za to winy i nikt nie uzna, że to wasza sprawka. Więc, proszę, nie róbcie głupstw.

Mężczyźni patrzyli na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Ilu was potrzeba, żeby obsługiwać prasę? - spytał Harker. Stłoczona grupka milczała.

- Zadałem wam pytanie - powiedział wampir głosem pełnym groźby. - Oczekuję odpowiedzi. Ty, mów.

Wskazał na chudego, bladego mężczyznę siedzącego z przodu kulącej się grupy. Był jeszcze bardzo młody, a na jego twarzy malowało się przerażenie, ale zdołał zebrać siły.

- Jeśli nic się nie popsuje... - szepnął.

- Mów głośniej, na miłość boską - rzucił Harker. Mężczyzna głośno przełknął i zaczął jeszcze raz.

- Jeśli nic się nie popsuje - powtórzył - to do maszyn nie potrzeba nikogo. Wystarczą ładowacze na końcu.

- Ilu z was ładuje ciężarówki?

- Czterech - rzekł mężczyzna. - Czterech z nas może to zrobić.

- Dobrze - skwitował Harker. - Greg, zwiąż czterech. Byle szybko.

Greg Browning wystąpił naprzód z entuzjazmem bijącym z twarzy. Pete obserwował wszystko z dziwnym uczuciem narastającym w żołądku. Czuł, że tkwi w ciemności, że nie powiedziano mu wszystkiego. Wampir czerpał zbyt wielką radość ze strachu kulących się przed nim mężczyzn.

„Nie jestem pewien, czy słusznie sądziliśmy, że to jest tym,

czym się wydawało".

Greg odsunął się od grupy, pozostawiając czterech mężczyzn związanych i zakneblowanych. Harker z łatwością przeciągnął ich dalej od kolegów i położył w rzędzie pod ścianą.

- Pete, pilnuj ich - nakazał. - Jesteś za to odpowiedzialny. Randall przytaknął.

- Jasne.

Harker uśmiechnął się i odwrócił się do McKenny.

- Kevinie - powiedział. - Czyń honory.

McKenna kiwnął głową. Na jego twarzy było widać skupienie. Minął związanych mężczyzn i wszedł do działu redakcyjnego. Usiadł przy jednym z biurk i włączył komputer. Zaświecił się ekran, pokazując plik, który sunął właśnie przez ogromną prasę drukarską - jutrzejsze wydanie „The Globe”. Na pierwszej stronie znajdowało się ogromne plażowe zdjęcie amerykańskiej piosenkarki w bikini, z nagłówkiem sugerującym, że znalazła się ona pod skalpelem chirurga plastycznego. Drugi artykuł zawierał informację, najwyraźniej na wyłączność, o tym, że hiszpański piłkarz ma podpisać wielomilionowy kontrakt z drużyną z północnego zachodu.

McKenna wyjął z kieszeni pendrive'a i podłączył z boku monitora. Otworzył folder, gdy ten pojawił się już na ekranie, i kliknął jedyny znajdujący się w nim plik. Pracując szybko, wykasował istniejącą pierwszą stronę wydania i wkleił na niej ogromny nagłówek oraz trzy krótkie kolumny testu. Potem przeszedł do strony drugiej, wkleił resztę dokumentu i zapisał nową wersję pliku do druku. Zanim pokazał swoje dzieło Harkerowi i pozostałym kompanom, wrócił do pierwszej strony.

Nie było to arcydzieło - czcionki nudne, krój mały, a formatowanie w najlepszym razie proste. Ale nie ulegało wątpliwości, że stworzona przez McKennę strona robi ogromne wrażenie.

WAMPIRY
SĄ PRAWDZIWE
RZĄD WAS OKŁAMUJE

- Doskonale - rzekł Harker, ściskając ramię dziennikarza. - Idealnie. Drukujemy.

- Jeden z nich musi to zrobić - wyjaśnił McKenna, wskazując na czterech mężczyzn, którzy nie byli związani.

Harker przytaknął.

- Kto potrafi rozpocząć proces? - spytał z płomiennie czerwonymi oczami.

- Nie każcie mi pytać ponownie.

Jeden z mężczyzn uniósł dłoń.

- Ja - powiedział.

- Zrób to - rozkazał Harker. - Szybko.

Mężczyzna skinął głową i wstał. Niepewnym krokiem podszedł tam, gdzie siedział Kevin McKenna, i ostrożnie wziął myszkę z jego dłoni. Pete obserwował, jak zatwierdza kolejne zmiany, przekalibrowuje system, aby uwzględnić nowe strony, i włącza maszyny. Huk wstrząsnął ziemią pod ich stopami, ale maszyny nie ruszyły.

- Dlaczego nic się nie dzieje? - spytał Harker.

- Chwilę potrwa, zanim maszyny się rozgrzeją - odparł mężczyzna trzęsącym się głosem. - Nic nie mogę na to poradzić.

Harker warknął, ale skinął głową.

- Niech będzie - mruknął. - Osiem minut nie robi różnicy. Kevinie, zostań tu i wypełnij drugą część swojego zadania. Pete, wiesz, co masz zrobić?

- Pilnować ich - odparł, wskazując głową na związanych mężczyzn.

- Dokładnie - potwierdził wampir. - Greg, ty idziesz ze mną, tak jak panowie. Gdy tylko egzemplarze zaczną schodzić z

prasy, wróćcie do pracy. Nie chcę, żeby kierowcy wozów dostawczych mieli przeświadczenie, że dzieje się tu coś niezwykłego. Jeśli spróbujecie któregoś z nich zaalarmować, wy i on gorzko tego pożałujecie. Czy wyrażam się jasno?

Czterej mężczyźni przytaknęli energicznie ze strachem w oczach.

- Dobrze - rzekł Harker. - Zatem chodźmy. Pete, Kevin, jeśli będą jakieś problemy, krzyknijcie. Doskonale was słyszę, pamiętajcie o tym.

Pete zmarszczył brwi. „Pamiętajcie? Czy to była groźba?”.

Wampir uniósł się w powietrze, wywołując kolejną falę paniki wśród mężczyzn w niebieskich kombinezonach. Wstali i ruszyli przejściem pomiędzy maszynami eskortowani przez Grega Browninga do punktu załadunku. Pete obserwował, jak odchodzą. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że coś jest nie tak. Spojrzał na Kevina McKennę, próbując go ocenić, ale dziennikarz był odwrócony do niego plecami i w pośpiechu pisał coś na komputerze.

Pete mu się przyglądał. Dziwne przeczucie wciąż narastało, z minuty na minutę stając się coraz silniejsze. Nigdy nie był arogancki. Wręcz przeciwnie. Jeśli chodziło o zalety i osiągnięcia, skłaniał się raczej ku przesadnej skromności. Zawsze wiedział, że nie jest najmądrzejszy, najsilniejszy ani najprzystojniejszy, że nie jest najbardziej czarujący, i pogodził się z tym. Ale jedno, co o sobie wiedział i za co siebie chwalił, to to, że jest dobrym człowiekiem o odpowiednich wartościach moralnych, lojalnym i odważnym, kiedy trzeba bronić własnych przekonań. Odsunął się od dziennikarza, oddalając się też od czterech związanych mężczyzn leżących pod ścianą.

McKenna odsunął krzesło od biurka i przetarł oczy wierzchem dłoni.

- Albercie - powiedział, nieznacznie unosząc głos. - Chcesz to zobaczyć?

Nastąpiła długa chwila ciszy, zanim wampir bezdźwięcznie opadł obok

McKenny i spojrzał na monitor.

- Już działa? - spytał z płonącymi oczami.

- Tak - odparł McKenna. - Każdy może to zobaczyć. Harker klepnął go w ramię.

- Dobra robota - pochwalił go. - Idealnie zagrałeś swoją rolę.

- Zdrówko - rzekł dziennikarz. - Co teraz? Gazeta się ukaże i to koniec, tak?

- Koniec?

- Koniec - powtórzył McKenna. - Opinia publiczna pozna prawdę. Właśnie tego chcemy.

- Mój drogi przyjacielu - powiedział Harker z uśmiechem.

- To nie koniec. Do niego jeszcze daleko. Jak tu skończymy, zaczniesz pracę nad kolejnym artykułem.

McKenna zmarszczył brwi.

- Jakim artykułem? O czym jeszcze miałbym napisać?

- Będzie to osobista relacja ze świata, który im pokazujemy - wyjaśnił wampir. - Śmierć, przerażenie, krew. Zniszczone rodziny, niewinni mężczyźni i kobiety skazani na rzeź. Krucjata musi mieć główne punkty, obrazy tak smutne i straszne, by nie można ich było zignorować, które zmuszą ludzi do stawienia czoła rzeczywistości, jaka ich otacza. Krótko mówiąc, potrzebni są męczennicy.

Po plecach McKenny przeszedł dreszcz.

- Co masz na myśli, mówiąc o męczennikach? - spytał powoli. - Powiedziałaś mi, że nikomu nie stanie się krzywda.

Uśmiech na twarzy wampira stał się węższy.

- Nie zwracaj sobie głowy szczegółami - poradził cicho. - Najważniejsze dla ciebie, że jesteś całkowicie bezpieczny.

- A co z innymi? - syknął McKenna. - Co z Peteem, Gregiem i pracownikami drukarni?

- Uczymy ich pamięć.

McKenna wpatrywał się w lśniąca twarz potwora i nagle wszystko zrozumiał. Poczł, jakby w środku miał lód.

- Od początku to planowałeś - rzekł powoli. - Dlatego chciałeś, żeby przyjechali. Żeby mogli umrzeć za twoją sprawę.

Czerwień w oczach Harkera zmieniła się w wirujący szkarłat.

- Mówiłem, żebyś nie zwracał sobie głowy szczegółami. Jeśli musisz się na czymś skupiać, pomyśl o dobru ogółu.

Powiew powietrza uderzył w McKennę i wampir znikł, wystrzeliwując pod wysoko zawieszony sufit drukami. Dziennikarz został na miejscu. Zamarł na siedzeniu, a w głowie kotłowały mu się tysiące myśli.

„ObożeoBożeoBożeoBożeoBożeoBoże”.

Miał wrażenie, że jego pierś wykonano z betonu. Próbował oddychać, ale nie mógł nabrać powietrza do płuc. W głowie narastało ciśnienie, dudniąc w skroniach. Zrozumiał, co zrobił.

Nie możesz im powiedzieć. Usłyszycię, nawet jeśli będziesz szeptał. Myśl, na miłość boską! Jak możesz to powstrzymać?”.

Powoli obrócił głowę i spojrzał na Petea Randalla. Mężczyzna stał przy drzwiach pogrążony w myślach i spoglądał na pracowników. McKenna obserwował go przez dłuższą chwilę i nagle zrozumiał, co musi zrobić.

Uniósł dłoń i gestem przywołał do siebie Petea.

Pete Randall zmarszczył brwi, kiedy dziennikarz do niego pomachał. Szedł powoli, stawiając stopy od palców. Zaczynał podejrzewać, że sytuacja się zmieniła.

- O co chodzi? - spytał, podchodząc do McKenny.

- Zobacz - powiedział Kevin, wstając i wskazując na ekran. - Właśnie pokazywałem to Albertowi. Udało mi się.

Pete usiadł na krześle i spojrzał na monitor. Na pasku u góry

wciąż widniał adres „The Globe”, ale zdjęcia, filmy i fora znikły ze strony. Jedyne, co się teraz na niej znajdowało, to ogromny nagłówek McKenny i jego długi artykuł.

- Jasna cholera - mruknął Pete. - Załadowałeś?

- Tak - potwierdził stojący za nim Kevin. - Nieźle, nie?

- Bardzo nieźle - przyznał Pete.

Odwrócił głowę, żeby uśmiechnąć się do McKenny, przez co pięść dziennikarza trafiła go w policzek, a nie w tył głowy. Ból rozszedł się falą i Pete opadł na kolano. Pociemniało mu przed oczami.

McKenna chwycił go z boku za głowę i uderzył nim w blat biurka. Poczuł, jak pęka mu skóra nad uchem, a twarz zalewa ciepła krew. Po chwili wszystko ogarnęła ciemność.

Kiedy się ocknął, leżał na ziemi. Z trudem odemknął powieki - miał wrażenie, że są z ołowiu. Głowa pękała mu z bólu. Stłumił to uczucie i z całą siłą, na jaką było go stać, otworzył oczy. Magazyn znów nabrał ostrości i Pete zobaczył przed sobą czterech mężczyzn, których związał Greg Browning. Dwaj patrzyli na niego ze strachem, ale pozostali starali się doczołgać do drzwi recepcji.

Nigdzie nie było widać Kevina McKenny.

Pete usiadł, przyłożył dłoń do boku głowy i spojrzał na nią - była pokryta krwią. W żołądku mu się przewróciło i zwymiotował między kolana. Zakręciło mu się w głowie. Walczył, żeby odzyskać panowanie. Wstał, stanął na chwiejnych nogach i z trudem doszedł do drzwi. Czołgający się mężczyźni zamarli, wpatrując się w niego z wyrazem całkowitej bezradności. Pete ich zignorował. Rzucił się do drzwi recepcji i spostrzegł stojącego przy biurku Kevina McKennę ze słuchawką telefonu przy uchu.

- Drukarnia „The Globe” - powiedział zdenerwowany dziennikarz. - Nie, nie znam cholernego adresu. Gdzieś w

okolicy Reding. Albert Harker przetrzymuje mnie i dwóch innych mężczyzn jako zakładników. Petea Randalla i Grega Browninga. To uciekinier z Broadmoor. Na miłość boską, po prostu przyjdźcie tutaj najszybciej...

Pete ruszył w jego kierunku chwiejnym krokiem, próbując zawołać jego imię. Ale usta odmówiły mu posłuszeństwa. Udało mu się tylko nisko zaskrzeczeć. McKenna zobaczył go i okrążył biurko, aby ich rozdzielało.

- Cofnij się! - krzyknął. - Cofnij się, Pete! Robię to dla ciebie!

Randall rzucił się do przodu, a dziennikarz się wycofał, wciąż trzymając słuchawkę przy uchu. I wówczas szeroko otworzył oczy, a cała krew odpłynęła mu z twarzy. Pete próbował odwrócić głowę, wiedział, że to nie on wywołał taką reakcję McKenny. Ale nim to zrobił, jakaś plama przemknęła obok niego.

Przybrała postać wściekłego, demonicznego Alberta Harkera. Wampir chwycił McKennę za poły marynarki i poderwał, krzycząc niezrozumiale w twarz dziennikarza. Słuchawka wypadła McKennie z dłoni, kiedy bezowocnie walczył z nadnaturalną siłą potwora.

- Ty zdrajco! - krzyknął Harker. Oczy mu płonęły, a na usta wystąpiła piana. - Ty judaszu bez jaj!

Rzucił McKennę na szklaną ścianę recepcji. Pękła od góry do dołu, ale się nie rozsypała. Dziennikarz osunął się na podłogę. Miał szeroko otwarte usta i bez wyrazu wpatrywał się w potworną istotę, po której stronie się opowiedział.

Harker sięgnął i podniósł go na nogi. Pete obserwował bezradnie, krzycząc na siebie w duchu, że musi to przerwać, powiedzieć coś lub zrobić. Ale nie mógł. Ciało go nie słuchało. Mógł jedynie stać i patrzeć. Przez długą chwilę McKenna rzucał się w silnym uścisku Alberta Harkera. Potem wampir zatopił palce drugiej dłoni w miękkim ciele pod brodą McKenny i wyrwał mu gardło. Oderwało się z okropnym dźwiękiem. Wstrząsająco jasna krew wystrzeliła w powietrze i

ochlapała szklane okna i gołą betonową podłogę.

Harker zatopił twarz w szkarłatnym gejzerze wydobywającym się z szyi McKenny i pił łapczywie z zamkniętymi w ekstazie oczami. Potem rzucił zwłoki mężczyzny, którego nazywał przyjacielem, uniósł telefon i roztrzaskał go o biurko. Kawałki plastiku i zwoje kabla wystrzeliły w śmierdzące krwią powietrze.

...LEJE

- Mamy go - powiedział Paul Turner z błyskiem w oku. - To Lamberton, a nie Valentin. Mamy drania.

- Ostrożnie - ostrzegła Kate. - Valentin może być w to zamieszany. Wątpię, żeby Lamberton robił cokolwiek bez pozwolenia swojego pana, a ten mieszka w celi obok. Czy nie słyszałyby tego samego co Marie?

Dwójka agentów siedziała w salonie WZOB-u, zastanawiając się, co zrobić z bombą, którą Marie Carpenter niechcący na nich zrzuciła. Matka Jamiego została odłączona od sprzętu monitorującego i odprowadzona w eskorcie agentów wydziału bezpieczeństwa do celi. Zanim wyszła, Turner wyjaśnił jej, dlaczego jest tak ważne, by Lamberton nie zorientował się, że coś było nie tak. Miała wrócić do celi i zachowywać się jak zwykle.

- Jak długo? - spytała. - Obawiam się, że nie jestem dobra w kłamaniu.

- Niezbyt długo - odparł. - Zejdziemy na dół, nim się pani zorientuje.

Marie skinęła głową i wyszła ze WZOB-u razem z eskortą. Patrzyli, jak

odchodzi, wciąż nie dowierzając temu, co od niej usłyszeli, chociaż ona sama nie wiedziała, że to istotne.

- Może - powiedział Turner. - Ale nawet Valentin musi spać. Jak miałby zdobyć konsolę? I po co? Nie, to sprawa pomiędzy Lambertonem i osobą, która wysyłała mu wiadomości.

- Zapewne masz rację - potwierdziła Kate. - Proszę tylko,

żebyś był ostrożny.

Major odwrócił się i dostrzegł na jej twarzy zmartwienie.

- Nie obawiaj się - rzekł z uśmiechem. - Będę. Kate również się uśmiechnęła.

- Więc co teraz?

- Muszę powiedzieć Calowi, czego się dowiedzieliśmy - odparł. - Potem on podejmie decyzję.

Kate miała coś powiedzieć, kiedy zapiszczała konsola jej szefa. Turner zaklął, chwycił ją i aktywował kciukiem ekran. Przeczytał wiadomość i jęknął.

- Echelon coś namierzył - powiedział. - Powiadomienie dla Godziny Zero. Przepraszam na chwilę.

Oficer bezpieczeństwa odłożył konsolę i wyciągnął radio z kieszeni przy pasku. Wpisał numer na padzie z przodu słuchawki i przyłożył ją do ucha.

- NS303, 36-A zgłasza się po ocenę alarmu Echelon. Proszę kontynuować.

Kate obserwowała, jak Turner wysłuchuje wiadomości przechwyconej przez Echelon - działający na ogromną skalę system monitorujący, który bezustannie skanuje komunikację elektroniczną w poszukiwaniu słów i fraz oznaczonych przez służby bezpieczeństwa. Wyłapuje dowody zbrodni, plany zamachów i ataki terrorystyczne. Ale system skanował też dane w poszukiwaniu długiej listy słów i fraz, które każdemu spoza Departamentu wydałyby się dziwne: wampir, krew, czerwone oczy, Czarny Filtr i dziesiątki innych.

Zauważyła, że Paul Turner zamarł. Wpatrywał się w przestrzeń przed sobą z szeroko otwartymi oczami.

„Co znowu?” - zastanawiała się.

- Zrozumiałem - powiedział Turner. - Prześlijcie do mnie zapis. Bez odbioru. - Przymocował radio do paska i spojrzał na Kate z wyrazem szoku malującym się na twarzy.

W sercu Kate zagościła panika.

- Co się stało? - spytała. - Paul, o co chodzi?

Jego konsola ponownie wydała sygnał, który zaledwie kilka minut wcześniej demonstrował Marie Carpenter. Otworzył wiadomość i podał konsolę Kate. Dziewczyna wzięła ją trzęsącymi się rękami i spojrzała na ekran.

NASŁUCH ECHELON Nr 45110/4F

ZRODŁO. Telefon alarmowy (linia naziemna 0118 974 6535)

POCZĄTEK ZAPISU

Potrzebna jest policja, naty-chmiast. Nazywam się Kevin McKenna. Gdzie jestem? Drukarnia „The Globe”. Nie, nie znam cholernego adresu. Gdzieś w okolicy Reading. Albert Harker przetrzymuje mnie i dwóch innych mężczyzn jako zakładników. Pete'a Randalla i Grega Browninga To uciekinier z Broadmoor. Na miłość boską, po prostu przyjdźcie tutaj najszybciej...

KONIEC ZAPISU

OCENA RYZYKA. Poziom pierwszy (klasyfikacja Godzina Zero)

Kate wpatrywała się w słowa na ekranie. Przeczytała je po raz drugi. Rozum desperacko próbował znaleźć w tym jakiś sens, co powiedziałoby jej, że to, co widzi, jest w rzeczywistości czymś innym.

Tata? - pomyślała. - Och, tato. Coś ty zrobił? Coś ty, do diabła, zrobił?"

Podniosła wzrok na Paula Turnera, który przypatrywał jej się z wyraźną udręką. Widok tak surowej miny na zwykle chłodnym obliczu oficera bezpieczeństwa sprawił, że czuła napływające łzy.

- Co to jest? - spytała drżącym głosem. - Co to znaczy?

- Nie wiem - odparł Turner, patrząc jej w oczy. - Nie wiem, Kate. Obiecuję ci, że się dowiem. Zachowaj spokój.

- Mój tata - powiedziała. - I tata Matta. I Albert Harker. Nie

rozumiem.

- Kate...

- Muszę iść - powiedziała, wstając z miejsca. - Muszę natychmiast iść.

- Kate, tylko...

- Nie spróbujesz mnie zatrzymać? - spytała, przyglądając się mu. - Proszę, powiedz, że byś tego nie zrobił.

- Kate, do cholery Zatrzymaj się na chwilę. Daj mi pomyśleć.

Niemal widziała, jak w głowie Turnera pracują trybiki. Starał się rozwiązać dylemat: iść do Holmwooda z wiadomością o Lambertonie, czy jej pomóc.

- Paul, nie mam na to czasu - powiedziała cicho.

- Pójdę z tobą - odparł. - Ruszamy natychmiast.

- Nie możesz - stwierdziła. - Oboje o tym wiemy. Musisz się zająć Lambertoniem.

- Albert Harker jest priorytetem w klasyfikacji Godziny Zero - odpowiedział. - Wszystko inne może poczekać.

- Nie - rzekła. - Dobrze wiesz, że nie może.

- Cholera jasna! Kate, co chcesz, żebym zrobił?! - krzyknął Turner. - Nie pozwolę ci iść samej przeciwko Albertowi Harkerowi! Nie wiemy, co on planuje ani co, u licha, robi z nim twój ojciec.

- Wiem o tym - przyznała. Uśmiechnęła się, widząc taki wybuch emocji. - Ale idę. Gdybyś ty był w niebezpieczeństwie, Shaun by po ciebie przyszedł. Nic by go nie powstrzymało. Sam powiedziałeś, Paul, że kiedy ktoś z twojej drużyny wpada w tarapaty, robisz wszystko, żeby go z nich wyciągnąć. Nic innego nie możesz zrobić.

Turner się jej przyglądał.

- To nie w porządku. Mieszanie go w to jest nie w porządku.

- Wiem - odparła. - I przepraszam. Ale wiesz, że mam rację. Więc proszę, nie próbuj mnie zatrzymać.

- Dobrze - powiedział. - Ale wstrzymaj się minutę. Widziała, jak po raz kolejny rozważa sytuację, szukając jakiegoś

sposobu, żeby jej pomóc.

- Nie będę cię powstrzymywał - rzekł po dłuższej chwili.

- I nawet nie będę próbował przekonywać cię, żebyś nie mówiła Mattowi. Muszę poinformować Cala o tym, co się dzieje. Ale wyruszysz przed zespołem Jacka. Tylko zrób dla mnie jedno, dobrze? Daj mi dziesięć minut. Za dziesięć minut bądź w sali odpraw. Obiecujesz?

- Dobrze - zgodziła się. - Obiecuję. Dziesięć minut.

Matt Browning stał sztywno przed biurkiem Cala Holmwooda z dłońmi splecionymi za plecami. Tymczasowy dyrektor przyglądał mu się z wyrazem tak skrajnej rozpacz na twarzy, że patrząc na niego, czuł się winny.

- Popraw mnie, jeśli źle zrozumiałem - powiedział wreszcie Holmwood. - Twierdzisz, że każdy więzień i pacjent, którego uwolniono podczas ataku na Broadmoor, został przemieniony za pomocą wirusa pobranego od wyjątkowo starego i potężnego wampira? Być może samego Drakuli? Naprawdę to mi mówisz?

- Tak, sir - powtórzył Matt.

- Z powodu korelacji pomiędzy wiekiem wampira a siłą mężczyzn i kobiet, których przemienia. Dobrze to zrozumiałem?

- Tak, sir. Przykro mi, sir.

- Zakładam, że to w żaden sposób nie jest twoja wina. Matt zmarszczył brwi.

- Nie, sir.

- Zatem nie przeprasza. Przynosisz złe wieści, nie jesteś ich przyczyną. - Holmwood przecesał dłonią włosy, a potem uderzył nią o blat biurka.

Matt aż się wzdrygnął.

- Niech to diabli! - ryknął. - Jesteś tego pewien? Nie ma żadnych szans, że się mylisz?

Matt rozważył to pytanie. Z laboratorium wydziału naukowego przyszedł prosto do kwatery tymczasowego

dyrektora. Serce waliło mu w piersi, a dłonie się pociły. Idąc przez Pętlę, przeanalizował swoją teorię od wszystkich stron. Szukał czegoś, co by się nie zgadzało, założeń, których nie miałby czym poprzeć.

Nic takiego nie znalazł.

- Mogę się mylić, sir - powiedział. - Ale nie uważam, by było to prawdopodobne. To pasuje do dowodów, które widzieliśmy, wyjaśnia siłę uciekinierów i potwierdza teorię zależności siły wampira od jego wieku, łącznie z przekazaniem wirusa ofierze. Od zawsze było przyjęte, że starsze wampiry stają się z czasem silniejsze, tak jak człowiek robi się tym silniejszy, im więcej ćwiczy. Sądzę, że tak właśnie jest. Ale uważani też, że wirus mutuje w organizmie wampira. On też staje się silniejszy.

- Co oznacza, że kiedy stary wampir kogoś przemienia, ten ktoś będzie silniejszy, niż gdyby przemienił go młodszy wampir?

- Tak. Na przykład Valentin tworzyłby niezwykle silne wampiry.

- Jak Lamberton. Matt przytaknął.

- Dlaczego wcześniej tego nie zauważyliśmy? - spytał Holmwood. - Przeprowadzamy tyle badań.

- Nie wiem - odparł Matt. - Ale mam teorię.

- Słucham.

- Nie dostrzegliśmy związku, ponieważ stare wampiry rzadko kogoś przemieniają. Pożywiają się i zabijają. To logiczne. Każdy, kogo by przemieniły, byłby potężny. Stanowiłby potencjalne zagrożenie. Proszę spojrzeć na Larisę. Jest niezwykle silna, chociaż przemieniono ją zaledwie kilka lat temu. Ale to ma sens, ponieważ zrobił to Grey, który jest ponoć najstarszym wampirem w Wielkiej Brytanii. Z tego, co mówiła, nie zamierzał jej przemienić. Chciał ją zabić.

- Jezus - szepnął Holmwood.

- Mam nadzieję, że się mylę, sir. Nikt nie będzie bardziej

zadowolony, kiedy okaże się, że nie mam racji.

- Ja będę - odparł Holmwood i uśmiechnął się wymuszenie. - Ale też będę bardzo zaskoczony. Dlaczego uważasz, że to Drakula?

Matt wzruszył ramionami.

- Teoretycznie może chodzić o każdego starego wampira. O Valeriego albo o kogoś, o kim w ogóle nie wiemy. Lecz jeśli to Drakula, wszystko by się zgadzało, prawda? Graffiti, które widzieliśmy, głosiło nie „On powróci”, tylko „On powraca”. Powiedzmy, że mamy rację i Drakula jeszcze nie wrócił do pełni sił. Może wysyłać swoich sługusów ze strzykawkami pełnymi plazmy, żeby zainfekowali wszystkich pacjentów. To zajmie nasz czas, który moglibyśmy przeznaczyć na poszukiwania. A on jest gdzieś tam i tworzy chaos. Mam wrażenie... Wygląda na to, że jest do tego zdolny.

- Rzeczywiście - powiedział Holmwood i westchnął. - Co mam z tym zrobić?

- Nie mam pojęcia, sir - przyznał Matt. - Po prostu pomyślałem, że powinien pan wiedzieć.

- Pozostałe departamenty także - mruknął Holmwood. - Jest jakiś sposób, żeby udowodnić twoją teorię? Chodzi mi o wykazanie jej prawdziwości ponad wszelką wątpliwość.

- Moglibyśmy udowodnić, że wirus mutuje, gdyby Larissa tutaj była - powiedział Matt. - W wirusie z jej plazmy i z plazmy uciekinierów powinny istnieć podobieństwa.

- Larissa jest w Nevadzie - powiedział Holmwood.

- Wiem, sir.

- Mógłbym sprowadzić ją do domu - stwierdził dyrektor. - Jeśli to by pomogło.

- Pomogłoby - odparł Matt. - Ale to nie moja decyzja, sir.

- No dobrze. A co z udowodnieniem, że Drakula maczał w tym palce?

- To też jest możliwe, sir - zapewnił Matt. - Gdybyśmy mieli próbkę jego DNA, chociażby częściową. Wątpię, żebyśmy

otrzymali stuprocentową zgodność, ponieważ wirus wampiryzmu nie zastępuje kodu genetycznego ofiary, a jedynie go modyfikuje. Ale oczekiwałbym wystarczających podobieństw pomiędzy jego DNA a DNA więźniów z wydziału naukowego, żeby zyskać pewność.

- W porządku - powiedział Holmwood. - Zobaczę, co da się zrobić. Zakładam, że nie muszę ci mówić, że to wszystko nie może wyjść poza ściany tego gabinetu.

- Nie, sir - zapewnił Matt. - Rozumiem.

- W porządku. Dobra robota, panie Browning. Doprawdy znakomita. Możesz odejść.

Matt przytaknął i podszedł do drzwi wyjściowych kwatery tymczasowego dyrektora. Wyszedł i był w drodze do laboratorium projektu Lazarus, kiedy zadzwonił jego telefon.

Wyciągnął aparat z kieszeni i zobaczył na wyświetlaczu nazwisko Kate Randall. Gdyby siedział przy biurku, nie odebrałby. Ale tym razem jej wyczucie czasu było idealne. Nacisnął zielony przycisk ODBIERZ i przystawił telefon do ucha.

- Cześć, Kate - powiedział. - Właśnie...

- Matt, posłuchaj - przerwała mu. - Mamy kłopoty. Spotkaj się ze mną w hangarze za pięć minut.

Matt się zatrzymał. Ton głosu Kate był wyważony i konkretny, ale usłyszał w nim coś, co brzmiało przerażająco podobnie do paniki.

- Co się stało? - spytał. - Kate, o co chodzi?

- O mojego tatę - powiedziała. - I o twojego. Twojego tatę. Echelon przechwycił rozmowę kogoś, kto przedstawił się jako Kevin McKenna. Poinformował, że jest zakładnikiem Alberta Harkera, a z nim są Pete Randall i Greg Browning.

Przez długą chwilę Matt nie odpowiadał. Lęk całkowicie go obezwładnił.

„Mój tata? Z tatą Kate? I z Albertem Harkerem? Jak to możliwe?”.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Niczego nie jestem pewna - odparła. - Ale nie mogę ryzykować. Jadę, Matt. Wyruszam natychmiast. Pojedziesz ze mną?

Strach przetoczył się przez jego ciało wielką, lodowatą falą. To była niemal najgorsza rzecz, jaką mógł sobie wyobrazić. Jego ojciec, człowiek, którego w równym stopniu kochał i nienawidził, potrzebował pomocy. Znów miał okazję po raz kolejny go zawieść. Znów miał szansę stać się tym starym, bezużytecznym Mattem, którego - jak sądził - na zawsze zostawił za sobą.

- Kate... - zaczął bezradnie.

- Moja opinia o tobie się nie zmieni - zapewniła. - Przysięgam. Ale muszę wiedzieć teraz. Jedziesz ze mną czy nie?

Zacisnął oczy.

„Mięczak. Lamus. Porażka. Maminsynek. Tchórz”.

- Widzimy się w hangarze - powiedział.

Cal Holmwood patrzył, jak Matt Browning zamyka za sobą drzwi jego kwatery, i oparł się wygodniej. Nie miał wątpliwości, że teoria tego genialnego, zdenerwowanego nastolatka była słuszna. W niecałe trzy miesiące nauczył się całkowicie mu ufać.

„Prawie trzystu uciekinierów przemienionych przez Drakulę - pomyślał, czując, jak po plecach przechodzi mu dreszcz. - Tysiące kolejnych na całym świecie. Jest gorzej, niż ktokolwiek z nas podejrzewał”.

Przysunął się do biurka i wcisnął serię klawiszy na ekranie terminalu. Ekran na ścianie się włączył, ukazując sieć Czarnego Filtru. Holmwood otworzył zabezpieczony program do komunikacji wideo i przesunął w dół listę kontaktów.

„Mnie słowo Matta wystarczy. Ale inni będą potrzebowali

dowodów".

Podświetlił nazwisko Aleksandra Owieczkina i kliknął POŁĄCZ. Kilka sekund później na monitorze pojawił się młody agent UZZP. Był wyraźnie zaskoczony.

- Dyrektorze Holmwood - powiedział. - Nazywam się Jewgienij Alimow, asystent pułkownika Owieczkina. Bardzo mi przykro, ale nie mam w grafiku pańskiego telefonu.

- Proszę się nie martwić, agencie Alimow - uspokoił go Holmwood. - To nie jest planowana rozmowa. Muszę porozmawiać z pańskim dyrektorem.

Alimowowi wyraźnie ulżyło.

- Tak, sir - odparł. - Zobaczę, czy jest wolny. Przepraszam. Młody mężczyzna podniósł się z miejsca i znikł z ekranu.

Holmwood czekał na tyle cierpliwie, na ile mógł. Już miał zacząć krzyczeć z frustracji, kiedy potężna ubrana na szaro postać Aleksandra Owieczkina zajęła puste miejsce i się do niego uśmiechnęła.

- Cal - powiedział. - To nieoczekiwana przyjemność. Jak się miewasz?

- Dobrze, Aleksandrze - odparł. - A ty?

- Nie mogę narzekać. Każdej nocy niszczymy kolejne wampiry i każdej nocy przemieniani są kolejni ludzie. To się nigdy nie zmienia.

- Jak wam idzie z ucieczką z Czarnego Delfina? Owieczkin wzruszył ramionami.

- Połowę zniszczyliśmy, chociaż każdy z nich walczył do samego końca. Połowę pozostałych mamy na naszych radarach. Reszta uciekła. A u was?

- Podobnie - odparł Holmwood. - Dzwonię właśnie z powodu tych ucieczek, Aleksandrze. Mam pewną informację. W tej chwili to tylko teoria, ale z twoją pomocą będę mógł ją udowodnić.

- Skąd ją masz? - spytał Owieczkin.

- Sformułował ją jeden z moich poruczników. Pracuje przy

projekcie Lazarus razem z dziewczyną, którą nam przysłaliście.

- Natalia Lenski - powiedział Owieczkin. - Jak sobie radzi? Trudno nam było się z nią rozstać.

- Według profesora Karlssona doskonale. Dwa dni temu padła ofiarą incydentu i odniosła powierzchowne obrażenia, ale nie masz się o co martwić.

- To dobrze. Co to za informacja?

Cal głęboko odetchnął i zaczął objaśniać dyrektorowi UZZP teorię Matta Browninga. Trwało to kilka minut. Koncept nie był dla niego ani tak znany, ani tak prosty jak dla Matta, więc mówił powoli, aby odmalować jasny i przekonujący obraz swojemu rosyjskiemu odpowiednikowi. Kiedy skończył, Owieczkin przez długą chwilę milczał.

- Ufasz temu chłopcu? - spytał wreszcie. - Myślisz, że ma rację?

Holmwood skinął głową.

- Tak. Wydam rozkaz wydziałowi naukowemu, żeby dokładnie zbadał tę teorię, ale najpierw będę czegoś od ciebie potrzebował.

- Wystarczy słowo. Holmwood odetchnął.

- Proszę, żebyś podesłał mi profil DNA, który otrzymaliście z prochów Drakuli. Matt sądzi, że to powinno wystarczyć do porównania z DNA naszych pojmanych uciekinierów, by mieć pewność, że teoria jest słuszna.

Owieczkin mu się przyglądał. Twarz rosyjskiego pułkownika była jak z kamienia, rzadko malowały się na niej jakiegokolwiek emocje. Dlatego Holmwood był zaskoczony i poczuł ulgę, kiedy na twarzy dyrektora UZZP pojawił się uśmiech.

- Wiesz, Cal - powiedział Owieczkin. - Gdybyś poprosił mnie o to trzy miesiące temu, zaprzeczyłbym, że w ogóle potrafiliśmy uzyskać jakiegokolwiek DNA z prochów.

- A teraz? - spytał Holmwood.

- Moi genetycy ci to podesłają - odparł, wciąż szeroko się

uśmiechając. - Zakładam, że podzielisz się wynikami tak szybko, jak tylko je uzyskasz.

- Oczywiście - zapewnił Holmwood. - Dziękuję, Aleksandrze.

- To żaden problem. Wszyscy jesteśmy teraz po tej samej stronie, prawda?

„Mam nadzieję” - pomyślał Holmwood.

- W rzeczy samej - rzucił. - Przyślę ci wyniki, jak tylko będziemy je mieli.

- Dobrze. *Do swidaniya*, Cal.

- Do widzenia, Aleksandrze.

Holmwood zakończył połączenie i odetchnął z ulgą. Po jego pełnej wściekłości, potępiającej mowie po porwaniu admirała Henry'ego Sewarda przez Valeriego Rusmanova departamenty do spraw nadnaturalnych połączył duch współpracy. Proces nie przebiegł bezboleśnie, ale aby osiągnąć wspólny cel, historyczna rywalizacja i trwający wiele dekad brak zaufania zostały odłożone na bok. Jednak Holmwood nie był tak naiwny, by sądzić, że między nimi nie istniały żadne tajemnice. Niemniej poprawa była ogromna w stosunku do sytuacji, która stała się już normą.

Wstał i wszedł do niewielkiej kuchni. Wyjął z lodówki butelkę wody i postawił ją na biurku. Potem znów przeszukał listę kontaktów. Kiedy dotarł do nazwiska Boba Allena, podświetlił je i przez chwilę jego palec zawisł nad przyciskiem.

„Ona cię za to znienawidzi” - pomyślał.

Holmwood się zawahał. Dał sobie chwilę na przemyślenie decyzji. Matt powiedział, że obecność Larissy by pomogła, a przecież nie miał powodów, żeby wątpić w młodego porucznika. Ale było coś więcej. Wokół jego Departamentu zbierały się ciemne chmury i czuł potrzebę zwania szyków i sprowadzenia swoich ludzi do domu.

„Zrozumie. Od początku wiedziała, że to nie są wakacje”.

Potem dopadło go poczucie winy. Przypomnił sobie

mężczyznę zamkniętego w celi pod Krainą Marzeń. Zdał sobie sprawę, że nie myślał o nim od bardzo dawna. Odłożył sprawę Juliana Carpentera na bok, ponieważ musiał się zająć dużo ważniejszymi sprawami. Być może nadeszła chwila, żeby zająć się człowiekiem, którego kiedyś nazywał swoim przyjacielem.

Holmwood kliknął POŁĄCZ i czekał.

„Dwie pieczenie na jednym ogniu - pomyślał. - Mam nadzieję, że oboje mi wybaczą”.

Kate schowała telefon do kieszeni i na dłuższą chwilę zamknęła oczy.

Próbowała myśleć logicznie i ustalić, czego musi być świadoma i na co ma się przygotować, ale nie potrafiła przestać wyobrazać sobie ojca, swojego biednego, kochanego taty, który nie skrzywdziłby nawet muchy, w szponach Alberta Harkera. To, w jaki sposób wampir znalazł jego i tatę Matta, nie miało teraz znaczenia. Liczyło się tylko zniszczenie go i zapewnienie ojcu bezpieczeństwa. Wyjaśnienia i obwinianie się mogą poczekać.

Chwyła konsolę zza paska i energicznie napisała wiadomość. Była krótka. Nakazała pilotowi na służbie spotkać się z nią w hangarze za pięć minut. Miała autoryzację Godziny Zero. Wysoki poziom klasyfikacji sprawi, że nikt nie zakwestionuje ich wylotu.

„Tak naprawdę - mówiła w duchu, chowając konsolę i biegnąc do hangaru - przecież nie kłamię. Tego rodzaju zadaniami zajmuje się oddział specjalny”.

Przemknęła pomiędzy biurkami w wydziale wywiadu, obojętna na ciekawskie spojrzenia załogi. Nie zwalniając, wybiegła na korytarz, skręciła w prawo i przyspieszyła w kierunku podwójnych drzwi, prowadzących do hangaru Czarnego Filtru. Otworzyły się z głośnym hukiem. Przebiegła na drugą stronę, Uderzając obcasami o asfaltową posadzkę, i

energicznie otworzyła zbrojownię. Nie miała czasu zjeżdżać do swojej kwatery i brać własnego sprzętu, więc musiała wystarczyć jej broń i sprzęt leżące na półkach ze stali nierdzewnej.

Na szczęście na końcu pomieszczenia znajdowała się szafka, w której wisiało kilka zapasowych mundurów. Rozebrała się, nie przejmując się tym, czy ktoś nie obserwuje jej zza znajdującego się za nią plastikowego okna, i wciągnęła czarny uniform. Zapięła się i już chowała broń i sprzęt do pasa, kiedy do pomieszczenia wpadł Matt. Był blady, oddychał ciężko i płytko.

- Ubieraj się - powiedziała, ledwie na niego patrząc. - Uniformy są tutaj.

Matt przytaknął, precyzyjnie się obok niej i wziął mundur w swoim rozmiarze. Przez dłuższą chwilę trzymał go w dłoniach, a potem zaczął się rozbierać.

„Chryste - pomyślała. - On nigdy nie nosił tego poza Placem Zabaw. Nie powinnam go ze sobą zabierać. To nie w porządku”.

- Matt... - zaczęła, ale jej przerwał.

- Daruj sobie - powiedział. - Wiem, o czym myślisz. Jadę z tobą.

Skinęła głową i ponownie skupiła uwagę na zadaniu. Kiedy jej sprzęt był już na miejscu, pomogła przyjacielowi zamocować jego wyposażenie: glocka 17, pistolet maszynowy Heckler & Koch MP5, granaty ultrafioletowe, broń na UV, latarkę, radio i konsolę.

- Wiesz, co robisz, prawda? - spytała. - Wiesz, jak posługiwać się tym wszystkim?

- Kate, nie martw się o mnie - odparł.

Nagle poczuła przyływ niepohamowanej miłości do tego chłopaka. Bał się. Można to było wyczytać z bladości jego skóry i szeroko otwartych oczu. Ale przyszedł tutaj i nie zamierzał pozwolić jej iść samej.

- Dobra - powiedział Matt, wstając i poklepując się po uniformie. - Chyba jestem gotów.

- Weź jeden z nich - poleciła, wskazując na rząd czamofioletowych kasków. - Mnie też podaj.

Matt skinął głową i zrobił, co mu kazała. Kate wzięła kask i wsunęła go sobie na głowę. Otworzyła umieszczony od spodu panel i wysunęła ukryty pod nim czarny kabel. Następnie podpięła go do portu na karku uniformu. To łączyło system kontrolny jej munduru i oznaczało, że mogła zmieniać możliwości wizualne i audio w kasku, używając przycisków i pada z boku paska.

Matt uważnie ją obserwował, a potem powtórzył jej czynności. Dwójka młodych agentów patrzyła na siebie przez krótką chwilę, podczas której Kate walczyła z absurdalną chęcią uściskania przyjaciela. To nie była pora na takie rzeczy. Mieli zadanie do wykonania.

- Chodźmy - powiedział Matt twardo. - Jestem gotowy.

- Jeszcze jedno - rzuciła Kate. - Musimy iść do sali odpraw. Tylko na chwilę.

Matt zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

- Obiecałam to Paulowi.

- Kate, nie mamy na to czasu - powiedział. - Musimy ruszać.

- Obiecałam - powtórzyła z naciskiem. - Zaczekaj tutaj, jeśli chcesz. Ale ja muszę iść.

Matt przyglądał jej się przez moment.

- Dobra - odparł. - Ale załatwmy to szybko.

- Zgoda.

Otworzyła drzwi zbrojowni i ruszyła biegiem przez hangar. Matt trzymał się tuż za nią. Wpadli przez podwójne drzwi, przebiegli korytarz i zatrzymali się przed wejściem do sali odpraw. Owalny pokój był taktycznym i strategicznym sercem Departamentu. Kate otworzyła drzwi i weszli do środka. Natychmiast stanęli jak wryci.

Nie marnowała ani chwili na zastanawianie się, dlaczego Paul Turner kazał jej obiecać, że przed wylotem przyjdzie do sali odpraw. Miała zbyt wiele na głowie. Ale nawet gdyby o tym myślała, nigdy nie zgadłaby, o co mu chodziło.

Na środku szerokiego pokoju, oparty o jeden ze stołów, stał pułkownik Victor Frankenstein.

Ogromny, zdeformowany mężczyzna miał na sobie uniform agenta i lekko trzymał największy karabin, jaki Kate w życiu widziała. Przy niej wiszący u jego pasa megagnat wyglądał na maleńki. Frankenstein uśmiechnął się do nich, gdy się zatrzymali i szeroko otworzyli oczy. Ten lekki uśmiech nie dotarł do ich oczu.

- Paul wyjaśnił mi, co się dzieje. - Jego głos był jak grzmot. - Chcę pomóc. Jeśli mi pozwolicie.

Kate spojrzała na Matta. Jej przyjaciel nadal wgapiał się w potwora wzrokiem pełnym zaskoczenia. Popatrzyła na potwora, czując, jak rodzi się w niej pełna desperacji wdzięczność.

- Sądziłam, że chroni pan tylko członków rodziny Jamiego? - powiedziała, uśmiechając się pomimo guli, którą poczuła w gardle.

- Przecież wy jesteście jego rodziną - odparł Frankenstein.

BEZ NAMYSŁU**SOHO, LONDYN**

Czarny van zatrzymał się z piskiem opon przed magazynem, gdzie zlokalizowano Alastaira Dempseya.

Z nieba nad Londynem padał deszcz, a krople odbijały się od pustych chodników. Woda w rynsztokach płynęła jak rwący potok. Ulewa przegoniła większość pieszych z ulicy. Chowali się w barach i restauracjach lub na stacjach metra, które miało ich zawieźć do domów.

Jamie Carpenter oparł się i oglądał materiał z zewnętrznych kamer. Przyglądał się wyraźnym obrazom w wysokiej rozdzielczości i czekał na właściwy moment na wykonanie ruchu.

Podczas lotu z Pętli on i Ellison niewiele ze sobą rozmawiali. Gdy tylko znaleźli się w powietrzu, Jamie poprosił o pozwolenie na awaryjne lądowanie w centrum Londynu, powołując się na to, że od tego może zależeć życie agenta. Agent komunikacji po drugiej stronie linii nie był przekonany i od razu odmówił zgody na lądowanie. Wysłał ich na London City Airport. Było to najbliższe miejsce, w którym mogli posadzić helikopter, nie wzbudzając przy tym niepotrzebnego zainteresowania. Jamie ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć agentowi, co dokładnie o nim sądzi, i przerwał połączenie. Czarna maszyna mknęła po niebie w kierunku Londynu. Kiedy wylądowali w odosobnionej części lotniska, spytał kierowcę, jak długo zajmie im dotarcie do Soho.

- Pół godziny - odparł agent. - Może trzydzieści pięć minut, jeśli trafimy na korki.

- Masz kwadrans - oświadczył Jamie.

Kierowca podszedł do swojego zadania z godnym podziwu zaangażowaniem, mknąc do centrum Londynu, lawirując pomiędzy czarnymi taksówkami i tłumami turystów. Z dachu vana rozbrzmiewała ogłuszająca syrena i biło oślepiające niebieskie światło.

Odległość z Pętli do Soho pokonali w mniej niż połowę czasu, jaki zajęło to Mortonowi, ale to i tak nie było dość szybko. Kiedy mknęli bulwarem wzdłuż Tamizy, Jamie sprawdził na płaskim ekranie lokalizację chipa ich kolegi. On i Ellison patrzył, na monitor z poczuciem całkowitej bezradności, mając nadzieję na cud. Byli blisko, bliżej niż Jamie mógł mieć nadzieję. Ale koniec końców okazało się to bezowocne. Piętnaście minut przed tym, jak dotarli w brudny londyński zaułek, chip Mortona przestał się przemieszczać.

„To nic nie oznacza - powtarzał sobie Jamie w duchu. - Nie było też śladu Dempsey'a. Z pewnością by uciekał”.

Ellison patrzyła na niego z profesjonalnym spokojem. Kobieta, która przybiegła do stołówki, żeby go znaleźć, która była na skraju płaczu, znikła. Zastąpiła ją agentka, o której Jamie opowiadał przyjaciółom. Czekala, żeby powiedział jej, co będą robić.

Jamie obserwował, jak mężczyzna przed chwilą wymiotujący do rynsztoka za vanem, zatacza się i niknie w ciemności. Ekran pokazał, że ulica z obu stron jest pusta.

- Ruszamy - zdecydował, otwierając tylne drzwi. - Gotowość pierwszego stopnia, gdy tylko wejdziemy do środka.

Ellison przytaknęła i wyskoczyła z wozu. Jamie ruszył za nią. Deszcz i para unosząca się ze studzienek całkiem zasłoniły mu widok przez wizjer. Wytarł go wierzchem rękawiczki i zatrzasnął drzwi vana. Potem spojrzął na magazyn.

Budynek górował nad nimi jak przysadziste, ciężkie zwierzę.

Zbudowano go z takiego samego bladego kamienia jak resztę starych budynków w Soho, ale lata ciężkich prac i zaniedbań zabarwiły go na szaro. Ściany na dole pokrywały plakaty koncertów, wystaw, wieców politycznych i tymczasowych stoisk handlowych. Naklejano je jedne na drugich tak długo, że w niektórych miejscach ich warstwa miała kilka milimetrów grubości. Wejście było lekko cofnięte od ulicy, a do drzwi prowadziły dwa szerokie kamienne stopnie. Zasłaniała je stalowa brama z gatunku tych, które montuje się, aby uniemożliwić dostęp bezdomnym. Brama i drzwi za nią były otwarte.

- Idź przodem - powiedział Jamie. - Ostrożnie.

Ellison przytaknęła, a potem wbiegła po schodach i znikła w środku. Jamie po raz ostatni rzucił okiem na skąpaną w deszczu ulicę i podążył za agentką.

Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po pomieszczeniu. Przed nimi znajdowała się ściana pokryta pinezkami i kawałkami papieru. Prowadziła na lewo i nikła w ciemności.

- Latarki - mruknął Jamie. - Termal u ciebie na wizjerze, u mnie normalny widok. Tryb cichy. Jeśli Alastair Dempsey wciąż tu jest, już stąd nie wyjdzie. Mam w nosie, czy będę musiał wysadzić ten budynek w powietrze razem z nim.

- A co z Mortonem? - spytała Ellison.

Jamie nie odpowiedział. Wyciągnął latarkę z za paska i poświecił na ścianę. Miała może dziesięć metrów i kończyła się w ciemnym kącie.

- Tędy - powiedział, wyciągając megagnat i trzymając latarkę przy lufie. - Za mną.

Szedł cicho wzdłuż mrocznego korytarza. Ellison była tuż za nim. Kiedy zbliżyli się do kąta, odezwał się do mikrofonu w kasku.

- Powiedz mi, jakie są odczyty termiczne dla tego, co znajduje się po drugiej stronie tej ściany.

- Tak, sir - odpowiedziała Ellison. Bezdźwięcznie go

wyminęła i powoli wychyliła się za krawędź. - Nic - poinformowała. - Nic ciepłego i nic się nie rusza.

- Zrozumiałem - odparł Jamie i wyszedł zza rogu.

To, co kiedyś stanowiło główną halę magazynu, było teraz jedynie dużym kamiennym pudełkiem. Latarka wychwyciła bruzdy w podłodze, w których niegdyś zapewne tkwiły szafki, i parę zasłoniętych żaluzjami drzwi na odległym końcu. Podłoga przed nimi była oznaczona żółtymi liniami.

- Rampa do załadunku - powiedziała Ellison i przesunęła latarkę, by oświetlić znajdujące się po prawej stronie drzwi. - Schody.

- W porządku - rzekł Jamie. - Idź przodem.

Ellison przytaknęła i ruszyła przez puste pomieszczenie. Jej buty stuknęły miękko o betonową posadzkę. Jamie szedł za nią, oświetlając latarką podłogę i nagie, sypiące się ściany. Ellison dotarła do drzwi i delikatnie pchnęła. Potem przykucnęła i zajrzała do środka z uniesionym megagnatem.

- Pusto - oznajmiła.

Jamie wszedł za drzwi. Światło latarki ujawniło metalowe schody, które skręcały o sto osiemdziesiąt stopni mniej więcej w połowie wysokości. Zaczął powoli po nich wchodzić, celując megagnatem w górę. Kiedy dotarł na półpiętro, skierował megagnat na otwarte drzwi znajdujące się na szczycie schodów. Gestem nakazał Ellison, żeby go wyminęła. Gdy wchodziła po schodach, Jamie wyczuł jakiś zapach - gorzki, oleisty aromat, który osiadł mu z tyłu gardła. Znikł równie szybko, jak się pojawił, więc chłopak skupił się na Ellison, bo ta właśnie dotarła do drzwi. Agentka wsunęła głowę do środka i się odezwała:

- Trzy pary drzwi. Wyglądają na biura. Nic gorącego w korytarzu.

- Zrozumiałem - potwierdził Jamie. Znów wyczuł zapach, ostry i gorzki. Zmarszczył brwi. - Czujesz coś?

- Nie - zaprzeczyła Ellison. - A ty?

- Tak mi się wydawało - odparł. - Ale już przeszło. Wszedł do pustego korytarza i poczuł na sercu ciężar. „Znikli - pomyślał. - Dempsey uciekł, a Morton ruszył za nim. Teraz mogą być gdziekolwiek”.

Przekreślił tarczę przy pasku, tę, która kontrolowała radio w kasku, i wcisnął przycisk łączący go z Pętlą.

- Zgłasza się NS303, 67-J - powiedział. - Zgłaszam prośbę o aktualizację lokalizacji Johna Mortona, NS304, 07-B, i celu - Alastaira Dempseya.

- Przetwarzam - odpowiedział głos po drugiej stronie. - Brak zmian.

- Zrozumiałem - odparł Jamie i przerwał połączenie.

- Jest tutaj? - spytała Ellison. - Obaj tu są?

- Nie sądzę - powiedział Jamie. - Chyba w inwigilacji coś poszło nie tak. - Ruszył do przodu i pchnął pierwsze drzwi. Biuro było puste. - Wydaje mi się, że nie mają pojęcia, gdzie on jest - kontynuował. - Może kompletnie mu odbiło i wyciął chip? Nie wiem.

Otworzył drugie drzwi, ukazując kolejne puste pomieszczenie. Znów wyczuł ten sam zapach. Unosił się w powietrzu, ale chłopak go zignorował. Czuł narastający gniew i coś jeszcze - ogromną bezsilność. Nie miał pojęcia, gdzie jest John Morton, i nie mógł mu pomóc.

„Znikł - myślał. - Obaj znikli. Mogą być wszędzie”.

Dotarł do ostatnich drzwi i ze złością otworzył je kopnięciem. I wtedy świat stał się szary i zamarł.

Jamie wstrzymał oddech i rozszerzył oczy za fioletowym wizjerem kasku. Otworzył usta, żeby krzyczeć, ale jedyne, co się z nich wydobyło, to lekki powiew powietrza.

- Jamie? - zaczęła Ellison. W jej głosie pojawiła się troska. Podbiegła do swojego przełożonego. - Co się...?

Umilkła, kiedy spojrzała za drzwi biura. I wtedy krzyknęła. Był to ogłuszający, rozdzierający skowyt, który uderzył bezpośrednio w uszy Jamiego i wyrwał go z odrętwienia.

Jeszcze raz zajrzał do biura i próbował przetrwać to, co widzi.

Na środku pokoju, w sieci cienkich białych linek wisiał John Morton. Linki były okręcone wokół jego rąk i nóg i przywiązane do metalowych belek, wypełniających trójkątną przestrzeń pod sufitem i trzymających go w górze.

Wokół szyi miał zawiązaną pojedynczą linkę, która unosiła jego głowę i odchylała ją do tyłu, tak żeby skierować ją w stronę drzwi. Jego twarz była blada i pozbawiona życia, a usta wykrzywione w niemym krzyku bezgranicznego bólu i przerażenia. Na środku podłogi, w stercie czerwieni i fioleto, leżały organy wewnętrzne Mortona. Wypadły przez szerokie, poszarpane nacięcia, biegnące od szyi aż do pachwiny.

Nóż, którego użyto, nadal tkwił w kości u podstawy jego gardła. Odbijał okropne białe światło rzucane przez jego latarkę. Z biura uniósł się dziwny zapach, ponownie wypełniając nozdrza Jamiego. Był silniejszy niż wcześniej, ale agent nawet tego nie zauważył. Nie mógł oderwać wzroku od unieruchomionego, okaleczonego ciała, które kiedyś było jego kolegą z oddziału.

Jamie powoli wszedł do pomieszczenia. Ellison została z tyłu, w przejściu. Wyglądała na sparaliżowaną, nie była w stanie za nim iść. Obszedł wiszące zwłoki z sercem walącym mu w piersi. Zawartość żołądka groziła powrotem tą samą drogą, którą się dostała.

„To zbyt wiele - myślał. - Zbyt wiele. Boże, nikt nie zasłużył na coś takiego”.

Zapach się nasilił i zaczęły mu łzawić oczy. Ale mimo to Jamie wciąż go ignorował. Pewnie był to jakiś gaz, który uwolniło ciało Mortona. Kwas, który wciąż powinien w nim być, a nie rozlewać się kałużą na podłodze biura w opuszczonym magazynie. Chłopak był już niemal z powrotem obok drzwi, kiedy jego uwagę przykuł jakiś ruch. Odwrócił się i dostrzegł ciemną sylwetkę unoszącą się nad Ellison. Otworzył usta, żeby zawołać jej imię.

Zanim uformował słowo, Ellison wystrzeliła do przodu jak z armaty. Straciła równowagę i wpadła z całym impetem na zwłoki Mortona, sprawiając, że zaczęły się kołysać. A potem osunęła się w jego leżące na ziemi wnętrze. Jakoś, ale Jamie nie wiedział jak, zdołała się obrócić w powietrzu i przerzucić ciężar ciała w jego kierunku, lądując z łoskotem u jego stóp. Jej jęk bólu rozbrzmiał mu w uchu.

Jamie obrócił się do drzwi, unosząc megagnat. Jego ciało zalała furia, żądający zemsty gniew, który w nim buzował, krzyczał i tańczył. Od czasu gdy chłopak dołączył do Czarnego Filtru, jemu i jego kolegom wiele razy pod osłoną ciemności zdarzało się robić rzeczy sprawiające, że zastanawiał się, kto tu naprawdę jest draniem i czy te wszystkie okropności, jakich się dopuszczali w służbie dobru, nie pozostawały po prostu okropnościami. Z pewnością jeszcze nie raz będzie nad tym dumął.

Ale to nie był jeden z tych przypadków. Jeszcze nigdy nie czuł większej pewności co do tego, czego od niego oczekiwano. Zabije Alastaira Dempseya i uczyni to z uśmiechem na twarzy - uśmiechem sprawiedliwego.

Ciemny kształt był ledwie widoczny w mrocznym korytarzu, lecz Jamie widział dość, aby mieć do czego celować. Palec zaciskał mu się na spuście, kiedy postać, niczym cień rozmywający się o zmierzchu, się poruszyła. Chwilę później w pustym budynku rozbrzmiał głos Alastaira Dempseya. Zdawał się dochodzić zewsząd.

- Przestańcie mnie śledzić! - krzyknął. - Mówię wam to po raz ostatni!

Ellison poderwała się na nogi i podniosła wizjer, który ujawnił

wykrzywioną z nienawiści twarz.

- Nigdy! - wrzasnęła. - Ty potworze! Ty tchórze! Nigdy!

- Wielka szkoda! - odparł Dempsey.

W korytarzu przed biurem rozległo się kliknięcie i w

ciemności zamrugał małeńki żółty płomień.

Jamie nagle zrozumiał sytuację z brutalną wyrazistością. Wiedział już, co to za zapach i co oznacza.

- Uciekaj! - krzyknął. - Wyjdź z...!

Reszta zdania ucichła, kiedy zapalniczka wleciała do biura przez otwarte drzwi. Jej płomień wciąż mrugał, kiedy benzyna, którą Alastair Dempsey polał ściany i podłogę, zapaliła się w głośnej eksplozji palącego gorąca i oślepiającego światła.

WYRUSZAJĄC ODRZUTOWCEM**WHITE SANDS MISSILE RANGE, NEVADA, USA**

Larissa miała iść pod prysznic, kiedy ktoś zastukał do jej drzwi.

Zakłęła pod nosem. Pył po drugiej stronie góry wydawał się gorszy, więc czekała, żeby móc przemyśleć wszystko, co powiedział jej Lee Ashworth, jednocześnie zmywając z siebie kurz. Rzuciła ręcznik na łóżko, przeszła przez niewielki pokój i otworzyła. Agent, którego nie знаła, skinął uprzejmie głową.

- Porucznik Kinley - powiedział. - Dyrektor Allen chce panią zobaczyć.

- Teraz? - spytała. - Właśnie w tej chwili?

- Obawiam się, że tak - odparł. - Czeka na panią w swojej kwaterze.

- Wiesz, czego chce? - spytała, wychodząc na korytarz i zamykając za sobą drzwi. - Czy coś się stało?

- Nie mam żadnych informacji - powiedział agent. - Przykro mi.

„Nie zabijaj posłańca. Nie zabijaj posłańca”.

- W porządku - odparła. - Dzięki.

Wyminęła go, uniosła się bez wysiłku w powietrze i pofrunęła do windy na końcu korytarza.

Kwaterna dyrektora bazy NS9 leżała w samym centrum poziomu zero. Larissa dotarła tam w niecałą minutę i zastukała. Po krótkiej przerwie, podczas której słyszała, jak maszyny budzą się do życia, drzwi cicho stanęły otworem.

- Wejdz, Larisso! - zawołał generał Allen.

Opadła na podłogę i zrobiła, co jej kazał. Generał Allen siedział na jednej z dwóch sof. Kiedy weszła, skinął głową i wskazał na drugą kanapę.

- Usiądź - powiedział. - Coś do picia?

- Poproszę wodę - odparła, siadając na sofie.

Allen wyciągnął z lodówki plastikową butelkę i rzucił w jej stronę. Larissa złapała ją w locie, odkręciła i od razu wypila połowę zawartości.

- Jak było w Vegas? - spytał Allen.

- Czyste szaleństwo - odpowiedziała. - W Anglii nie mamy niczego podobnego.

- To dobre miejsce na bycie wampirem, prawda?

- Tak, sir - odparła Larissa. - Całkiem niezłe.

- Dobrze - skwitował Allen. - Bardzo dobrze.

Larissa przyjrzała się generałowi. Wydawał się nieco bledszy niż zwykle i chyba coś zajmowało jego myśli.

- Czy podczas naszej nieobecności coś się stało? - spytała, odstawiając butelkę z wodą na stolik. - Wszystko w porządku?

Generał Allen pokręcił głową.

- Nic się nie stało, kiedy was tu nie było - odparł. - Ale muszę ci o czymś powiedzieć.

- W porządku. Mam jakieś kłopoty, sir?

- Skądże znowu. - Allen westchnął. - Larisso, zawołałem cię tu, ponieważ dzisiaj rano odbyłem wideorozmowę z Calem Holmwoodem. Wieczorem przyśle tu Minę II. Jutro rano wraca do Wielkiej Brytanii i dyrektor chce, żebyś była na pokładzie.

Przez dłuższą chwilę wampirzyca tylko na niego patrzyła. Słowa generała nie miały żadnego sensu, zupełnie jakby mówił w obcym języku.

- Wracam do domu? - spytała wreszcie.

- Wracasz do domu - potwierdził generał Allen. Na jego

twarzy malował się żal.

- Ale miałam być jeszcze cztery tygodnie - powiedziała powoli. - Co się zmieniło?

- Dokładnie nie wiem - odparł Allen. - Twój przyjaciel Matt Browning wysnuł pewną teorię na temat uciekinierów. Cal nie powiedział mi dokładnie, o co chodzi, ale najwyraźniej potrzebuje twojej pomocy, żeby ją potwierdzić. Jutro chce cię zobaczyć w Pętli.

- Ale... jeszcze cztery tygodnie - powtórzyła Larissa. Miała wrażenie, że zaraz się rozplacze.

- Wiem - przytaknął Allen. - Przypomniałem o tym Calowi i wiele razy podkreślałem. Przykro mi, Larisso. Naprawdę. Jeśli to jakieś pocieszenie, to powiem, że jest mi smutno, że cię tracimy. Ale nic nie mogę zrobić.

Cała gama emocji walczyła o pierwsze miejsce w jej piersi. Czowała ulgę, że problem z Timem Albertssonem sam zniknie. Ale pojawił się też ból, ostry i gorzki, na myśl o opuszczeniu nowych przyjaciół i miejsca, które zdążyła już pokochać. Czowała też coś na kształt paniki, kiedy pomyślała o ponownym zamknięciu w szarych korytarzach i o podejrzliwych, pełnych niesmaku spojrzeniach pracowników Pętli. W jej piersi jasno płonęła też ekscytacja, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że za niecałe dwadzieścia cztery godziny znów zobaczy Kate i Matta.

I Jamiego.

- Dlaczego po prostu nie poprosił mnie, żebym przyleciała do domu? - spytała. - Skoro to jest takie pilne.

Allen lekko przechylił głowę w prawą stronę.

- Mogłabyś to zrobić? - spytał.

- Zrobić co, sir?

- Polecieć do domu - odparł generał Allen. - Przez cały kraj i przez Atlantyk.

- Tak, sir - przytaknęła. - Bez problemu.

- Niezwykłe - rzekł Allen cicho. - Zakładam, że przysyłał Minę, ponieważ chce, żeby ci, których ze sobą zabierasz,

przybyli tam jak najszybciej.

- To wciąż aktualne, sir? - spytała. - Założyłam, że to oznacza, że moja misja została anulowana.

Allen pokręcił głową.

- Nic nie zostało anulowane - poinformował. - Cal powiedział, że oczekuje u siebie sześciu moich agentów. Wiem, że sądziłaś, iż masz więcej czasu, ale musisz podać mi nazwiska. Myślałaś już o kimś?

„Dobre pytanie. Sądziłam, że tak. Ale czy na pewno?”.

- Potrzebujecie ich pan teraz? - spytała.

- Nie - odparł generał Allen. - Jutro do siódmej rano. Wystarczy ci czasu?

Larissa przytaknęła.

- Dobrze - powiedział Allen. Wyjął piwo z lodówki, otworzył kapsel i się napił. - Dziwnie tu będzie, jak wyjedziesz. - Przełożony uśmiechnął się do niej. - Przywykłem już, że tutaj jesteś.

- Ja też, sir - odpowiedziała, czując w gardle narastającą gulę.

- Wiele osób będzie za tobą tęsknić. Tyle mogę ci powiedzieć na pewno.

- Miło to słyszeć, sir.

- Taka jest prawda.

Przez jakiś czas siedzieli w ciszy. Generał Allen popijał piwo, a Larissa zastanawiała się, co takiego wymyślił Matt, że Cal Holmwood musiał ją wcześniej wezwać do domu.

I wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl.

„Czy to możliwe? Czy to przez to, co się tutaj dzieje?”.

Patrzyła, jak generał Allen powoli sączy piwo.

„Czy mogę go spytać? I tak jutro wracam do domu. Chyba nie będzie bardzo wściekły?”.

Larissa się wyprostowała i spojrzała na dyrektora.

- Czy mogę o coś spytać, sir? - powiedziała. - Nawet jeśli nie powinnam?

Allan zmarszczył brwi.

- O co chodzi?

- Mój powrót do domu - zaczęła ostrożnie. - Nowa teoria Matta, Cał przysyłający Minę. Czy tak naprawdę nie chodzi czasem o więźnia, którego trzyma pan na dole?

Generał Allen zamarł z butelką uniesioną w połowie drogi do ust i szeroko otwartymi oczami. A potem bardzo powoli postawił butelkę na stoliku i nachylił się do przodu.

- Co o tym wiesz? - spytał. - Mów prawdę.

- Nie wiem, kim jest - powiedziała Larissa. - Ale kilku rzeczy się dowiedziałam.

- Jakich rzeczy?

- Wiem, że to Anglik. - Obserwowała, jak z twarzy generała odpływa krew. - Wiem, że przyjechał od strony pustyni, podał stare hasło dostępu i poprosił o pana imiennie. I wiem, że nikt poza panem nie może go widywać.

- Ale jak? - spytał niskim głosem. - Skąd to wszystko wiesz?

- Zadawałam pytania - oznajmiła. - Znalazłam właściwe osoby, które mogły mi na nie odpowiedzieć.

- Mówiłaś komukolwiek o tym, co właśnie mi powiedziałaś? - dążył. - Nie kłam. To niezwykle ważne.

- Nie, sir - odparła. - Nie chciałam sprawiać kłopotów. Po prostu byłam ciekawa.

- Ciekawa?

- Wszyscy wiedzą, że na dole ktoś jest, sir. Wszyscy o tym rozmawiają, ale nikt nie zna faktów. Ja chciałam się dowiedzieć.

- Dlaczego? Jakie znaczenie ma dla ciebie to, kogo trzymamy w celach?

Larissa wzruszyła ramionami.

- Jak już mówiłam, sir, byłam ciekawa.

Generał odzyskał rezon. Twarz ponownie nabierała koloru, dopił resztę piwa.

- Nie mogę ci nic powiedzieć o więźniu - oświadczył. - Nie

chodzi o to, że ci nie ufam, ale to tajna informacja, którą mogą znać jedynie dyrektorzy departamentów. Więc o nic mnie nie pytaj. I tak wiesz o wiele więcej, niż powinnaś.

- Ale myśli pan, że to o niego chodzi? - naciskała wampirzyca. - Myśli pan, że mój wcześniejszy powrót do domu może mieć z nim coś wspólnego?

- Nie sądzę - powiedział generał Allen. - Cał wyraźnie powiedział, że wypłynęły nowe informacje. Ale rzeczony więzień także jutro wylatuje i to tym samym samolotem co ty. Wnioski możesz wyciągnąć sama. To koniec dyskusji na ten temat. Czy to jasne?

- Tak, sir - zapewniła Larissa. W głowie kręciło się jej od różnych możliwości. - Całkowicie.

WINNI

Paul Turner głęboko odetchnął i zapukał do drzwi kwatery tymczasowego dyrektora.

- Proszę wejść! - zawołał Cal Holmwood.

Zamki się otworzyły i Turner pchnął drzwi. Uchyliły się bezdźwięcznie na przeciwwadze, ujawniając tymczasowego dyrektora w miejscu, które niemal zawsze zajmował - siedzącego za długim drewnianym biurkiem, uginającym się pod górami papierów, dodawanych każdego dnia. Na blacie stała szklanka z ciemnym płynem.

- Paul - powiedział Holmwood. - Jeśli masz dobre wieści, zapraszam cię serdecznie. Jeśli nie, obawiam się, że wchodzisz na własne ryzyko. Dzisiaj więcej już nie zniosę.

- Przykro mi, Cal - rzekł Turner. Zamknął za sobą drzwi i wszedł do pokoju. - Musisz coś zobaczyć. Poziom Godzina Zero.

Z Holmwooda jakby zeszła para.

- Drakula?

Turner pokręcił głową.

- Chodzi o Alberta Harkera - poinformował i podał dyrektorowi raport wydziału inwigilacji.

Ten z kolei wziął z biurka teczkę i podał go oficerowi bezpieczeństwa.

- W takim razie ty musisz przeczytać to.

Turner zmarszczył brwi i otworzył teczkę. Przeczytał streszczenie raportu Andrew Jarvisa, czując, jak po plecach przechodzą mu ciarki.

- Dlaczego o tym nie wiedziałem? - spytał.
- Słucham, majorze?
- Jestem oficerem bezpieczeństwa, Cal. Powinienem to zobaczyć, jak tylko zostało napisane.
- Może ci być trudno to słyszeć, Paul - odparł Holmwood - ale to nie ty dowodzisz tym Departamentem. A kiedy chodzi o istotne informacje, to ja decyduję o tym, kto co zobaczy. Czy to jasne?
- Oczywiście, sir - powiedział Turner niskim, twardym głosem. - Przepraszam.
- W porządku, Paul - rzekł Cal. - Dostałem ten raport dwie godziny temu. Nie zobaczyłeś go, bo kiedy inwigilacja ich znajduje, nie możemy nic z tym zrobić.
- Cal, przeczytaj, co ci dałem. Sytuacja się zmieniła. Holmwood otworzył teczkę i szybko powiódł wzrokiem po dokumentach. Kiedy znów popatrzył na Turnera, był blady.
- Co na to wywiad? - spytał. - Czy to potwierdzone?
- Nadal oceniają wiarygodność - odparł major. - Ale sugeruję działanie z założeniem, że to prawda.
- Jezus - powiedział Holmwood. - Co, do cholery, się dzieje?
- Nie wiemy na pewno, sir - tłumaczył Turner. - Ale ojcowie dwóch agentów tego Departamentu, dziennikarz i jedyny przemieniony z potomków założycieli w nowoczesnej drukarni mogą oznaczać katastrofę, sir. Już samo ryzyko, że cywile się o wszystkim dowiedzą, jest ogromne.
- Dzięki, Paul - rzekł Holmwood głosem pełnym sarkazmu.
- Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Chryste. - Tymczasowy dyrektor wyciągnął konsolę z za paska, wpisał szybko polecenie na ekranie dotykowym i spojrział na oficera bezpieczeństwa. - Rozkazałem oddziałowi Jacka Williamsa stawić się za dziesięć minut w sali odpraw. Czy jest coś poza tym, co mi dałeś, o czym muszę im powiedzieć?
- Nie, sir - zapewnił Turner. - To wszystkie informacje, jakie posiadamy.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie?

To była chwila, której Turner się obawiał, a która - bez żadnej przesady - mogła zakończyć jego karierę w Czarnym Filtrze. W drodze ze WZOB-u rozważał okłamanie przyjaciela, powiadomienie go o wszystkim, gdy już będzie po akcji, ale odpędził od siebie tę myśl. Nie byłoby w porządku pozwolić Jackowi Williamsowi i jego drużynie wyruszyć na misję bez kompletu informacji. A poza tym to nie leżało w jego naturze. Podjął decyzję i będzie musiał żyć z jej konsekwencjami. Nie okłamał oficera dowodzącego, kiedy zada on bezpośrednie pytanie.

- Tak, sir - powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił. - Kate Randall i Matt Browning są już w drodze. Jest z nimi pułkownik Frankenstein, sir.

Przez długą chwilę Cal Holmwood nawet nie mrugnął. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał jak warczenie.

- Paul, dlaczego to zrobiłeś?

- Przepraszam, sir - powiedział Turner. - Porucznik Randall była ze mną, kiedy otrzymałem wiadomość. Ruszyłyby z moim pozwoleniem albo bez niego i tak czy inaczej wzięłyby ze sobą Browninga. Uznałem za bezcelowe opóźnianie tego.

- Paul, to siedemnastoletnia dziewczyna - rzekł Holmwood. Każde słowo było ciężkie i niebezpieczne jak lawina. - Chcesz mi powiedzieć, że nie mogłeś uniemożliwić im wyjścia? Naprawdę chcesz, żebym w to uwierzył?

- Nie, sir - zaprzeczył Turner.

- Porucznik Browning był tu ledwie dwadzieścia minut temu. Paul, to naukowiec, a nie żołnierz. Nie rozumiem, dlaczego właśnie ty zrobiłeś coś tak absurdalnie nierozsądnego.

- To ich rodziny - powiedział Turner po prostu. - Musiałem im na to pozwolić. Na ich miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo.

- Więc jesteś równie głupi jak oni - odparł Holmwood, podnosząc głos w złości. - Pozwoliłeś im narazić się na

niebezpieczeństwo, bo ty zrobiłbyś tak samo? Nie wiem, czy wypadło ci to z pamięci, ale kiedy byłeś w ich wieku, miałeś już za sobą dwie misje w Afganistanie z Drugim Batalionem Spadochronowym. Browning nawet nie jest agentem, na miłość boską! A Randall działa dopiero od kilku miesięcy. Powiniennem postawić cię za to przed sądem wojskowym!

Turner patrzył na coraz czerwieńszą twarz tymczasowego dyrektora.

„Ma rację - przyznał w duchu. - Wszystko, co mówi, to prawda. Jeśli Kate stanie się krzywda, to będzie twoja wina. Zresztą w przypadku Matta i Frankensteina też. Wszystko spadnie na twoją głowę”.

- Rozumiem, sir - przyznał. - Proszę wydać mi rozkaz. Holmwood przyglądał mu się z ogniem w oczach. Turner jeszcze nigdy nie widział go tak wściekłego. Jakby miał zaraz pęknąć.

- Dlaczego z nią nie pojechałeś? - spytał. Turner zmarszczył brwi.

-Sir?

- Tutaj chodzi o ciebie i Kate i nawet nie próbuj udawać, że jest inaczej. Chodzi o ciebie, o Kate i o Shauna. Gdyby monitoring wyłapał nazwisko ojca któregokolwiek innego agenta, nawet przez myśl by ci nie przeszło, żeby pozwolić mu iść samemu. Obaj dobrze o tym wiemy. Więc dlaczego nie pojechałeś, żeby ją chronić? Dlaczego wysłałeś Victora? Dlaczego, do diabła, wciąż tutaj jesteś, Paul?

- Chciałem jechać, sir - odparł. - Ale nie mogłem.

- Dlaczego?

- Dlatego że dowiedziałem się, kto podłożył bomby, sir. Szedłem tutaj, żeby o tym poinformować, kiedy przyszła wiadomość.

Holmwood przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę.

- Kto to zrobił? - spytał wreszcie.

- Sługus Valentina - odparł Turner. - Lamberton, sir.

- Skąd to wiemy? Mamy pewność? Turner przytaknął.
- Tak, sir. Jakies dwie godziny temu wydział bezpieczeństwa potwierdził obecność wampira w pokoju Kate. Valentin przeszedł przesłuchanie WZOB-u, a przed chwilą rozmawialiśmy z Marie Carpenter. Powiedziała nam, że Lambertson korzystał w swojej celi z jednej z naszych konsoli.
- Na co mu konsola? - Holmwood zmarszczył brwi.
- Jemu na nic, sir - odparł Turner. - Ale byłaby bardzo przydatna temu, który wydaje mu rozkazy.
- Jeden z naszych?
- Na pewno, sir. Nikt inny nie byłby w stanie dostarczyć mu konsoli, a WZOB może zagrozić tylko agentom.
- Wiemy, o kogo chodzi?
- Jeszcze nie, sir.
- Chryste, Henry - szepnął Holmwood, spuszczać wzrok na blat biurka. - Nigdy mi nie mówiłeś, jak to jest być dyrektorem.
- Słucham, sir? - rzekł Turner.
- Nic - odparł Holmwood. - Nie mówiłem do ciebie. - Wstał z miejsca. - Dowiedzmy się, kto trzyma smycz Lambertsona - powiedział i ruszył do drzwi.

Dwaj zaprawieni w boju agenci stali w ciszy w jadącej na dół windzie.

Walczyli ramię w ramię więcej razy, niż którykolwiek pamiętał, widzieli i robili rzeczy, o których obaj pragnęliby zapomnieć, ponieśli straty, które będą boleć, póki nie wydadzą ostatniego tchnienia. Ale nawet teraz, kiedy wszystko zdawało się wokół nich sypać, kiedy kolejne odkrycia coraz bardziej im ciążyły i ich przygniatały, żaden niczego by nie zmienił. Ich życie było pełne cudów, różnorodne i kompletne. Czuli dumę z tego, kim byli - żołnierzami światła, po raz kolejny opadającymi w ciemność.

- A jeśli Valentin wiedział? - rzekł Holmwood. - To może stanowić poważny problem.

- Wiem - odparł Turner. - Myślisz, że mógłby przyjmować rozkazy od któregoś z nas?

- Nie - przyznał Holmwood. - Ale nie wiem, czy wierzę w choćby jedno słowo, które wypowiedział, odkąd tutaj jest. Nie zaskoczyłoby mnie nic, co mógłby zrobić.

- Z drugą częścią się zgadzam - rzekł Turner. - Ale wierzę, że jest tu z tego powodu, który nam podał. Nie ufam mu, ale nie wydaje mi się, żeby chciał wyrządzić nam krzywdę.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - powiedział Holmwood.

- Ponieważ nie sądzę, żeby był szczęśliwy, kiedy przebijemy kołkiem jego lokaja.

Nastąpiła długa cisza.

- Jest coś jeszcze, sir - rzekł Turner. Holmwood zaczął się śmiać.

- Coś jeszcze zostało? - spytał. - Czyżby na orbitę okołozemską wlatywała właśnie wroga flota kosmitów?

- Nic mi o tym nie wiadomo - rzucił Turner. - Chodzi o rekruta Jamiego.

- O Mortona? Turner przytaknął.

- Sam wyruszył za wampirem, którego gonił ich oddział. Kate mi o tym powiedziała. Jamie i jego druga rekrutka podążyli za nim.

- Pozwoliłem Jamiemu dezaktywować jego status czynnego agenta.

- Zamierzał to zrobić - powiedział Turner. - Morton znikł, zanim Jamie miał ku temu okazję.

- Teraz nic na to nie poradzimy - skwitował Holmwood. - Jamie to dobry agent. Wie, co robi.

- Tak, sir.

Winda się zatrzymała. Drzwi rozsunęły się, ukazując służkę, która kontrolowała dostęp do skrzydła więziennego. Po drugiej stronie znajdował się długi korytarz z celami. Jedna z

nich, dziewięta po prawej, była domem Lambertona, najstarszego towarzysza Valentina Rusmanova.

„Cał ma rację - pomyślał Turner, kiedy podchodzili do służy.

- Jeśli Valentin wesprze Lambertona, sytuacja może się zrobić nieciekawa. Bardzo nieciekawa”.

Holmwood przysunął identyfikator do czarnego panelu na ścianie. Zapaliło się zielone światło i dyrektor szybko wpisał na ekranie dotykowym serię cyfr. Światło zmieniło się na jasnofioletowe i po chwili drzwi służy, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne, rozsunęły się dokładnie w tym samym czasie, przez co została pogwałcona zasada, na jakiej miały działać.

- Szkoda czasu - wyjaśnił Holmwood, dostrzegając zdumienie na twarzy towarzysza. - Za pięć minut muszę być w sali odpraw i wysłać Jacka Williamsa, by posprzątał twój bałagan.

- Tak, sir - powiedział Turner i wszedł za swoim oficerem dowodzącym przez służę.

Agentka dyżurna, członek wydziału ochrony Jess Nelson, opuściła swoje stanowisko, kiedy drzwi służy zasyczały, i teraz wpatrywała się w nie z niepokojem. Kiedy zobaczyła dwóch wchodzących przez nie mężczyzn, jej twarz się rozpromieniła.

- Do kogo panowie...

- Bierz Słoneczko i chodź z nami, agentko.

Nelson szeroko otworzyła oczy. Broń rosyjskiej produkcji była wykorzystywana tylko w najniebezpieczniejszych okolicznościach i przechowywana jedynie w zbrojowni w hangarze i w dyżurce skrzydła więziennego. Ale zrobiła, jak jej rozkazano - wbiegła do środka i wyszła z ciężką, czarną bronią opartą na ramieniu. Szeroką lufę skierowała na sufit.

- Gotowa, sir - powiedziała. Jej zwierzchnik przytaknął.

- Dobrze. Chodź z nami.

Holmwood ruszył korytarzem jako pierwszy. Po jego jednej stronie szedł Turner, a Nelson zajęła miejsce z drugiej strony.

Skupiła wzrok na celi Valentina Rusmanova.

„Prawie - myślał Turner, patrząc w tym samym kierunku. - Ale nie do końca. Nie ten wampir”.

Trójka agentów minęła celę Valentina, nie zwalniając. Stary wampir leżał na łóżku i czytał nuty. Spojrzał w górę i zmarszczył brwi, kiedy trzy ubrane na czarno postacie znikły z jego pola widzenia.

Zatrzymały się przed celą Lambertona i spojrzały do środka. Z tyłu celi wampir polerował buty swojego pana jasną szmatką. Jego dłonie poruszały się z nadnaturalną prędkością, więc gałganek był ledwie widoczny. Rozmywał się plamą nad skórą.

- Lambertonie - powiedział Holmwood.

Lokaj podniósł wzrok i przerwał polerowanie. Odłożył buty i szmatkę na bok, a potem podszedł do ultrafioletowej bariery, która miała zatrzymać go w środku.

„Najwyraźniej stanowi dla niego taką samą przeszkodę jak dla jego pana - pomyślał Turner. - Chociaż z chęcią posłucham, jak wydostał się z bloku więziennego”.

- Panie Holmwood, panie Turner - zaczął Lambertton gładko.

- Obawiam się, że nie znam nazwiska panienki. W czym mogę państwu pomóc?

- Możesz się cofnąć - rzekł Turner, unosząc megagnat i celując w serce wampira. - To będzie dobry początek.

Cień irytacji przemknął po twarzy Lambertona, ale cofnął się, patrząc na trójkę agentów.

- Co to ma znaczyć? - spytał ktoś przyjacielskim tonem z korytarza za nimi.

Nelson się obróciła, a gdy zobaczyła Valentina Rusmanova opartego swobodnie o ścianę pomiędzy celami jego i Lambertona, w szoku gwałtownie nabrała powietrza. Paul Turner ledwie spojrzał w jego kierunku.

- Valentinie, to cię nie dotyczy - powiedział. - Wracaj do swojej celi.

- Śmiał się nie zgodzić. - Wampir się uśmiechnął. - Na pewno nie, kiedy celujesz ten swój mały pistolecik w mojego towarzysza.

Turner spojrzał na Cala Holmwooda, który skinął głową.

- W porządku - odparł. - Stań ze swoim służącym. Powinieneś usłyszeć, co mamy mu do powiedzenia.

- Zamieniam się w słuch, majorze Turner - rzekł Valentin i bez wysiłku wsunął się przez ścianę UV do celi swojego służącego.

- Mój panie - zaczął Lambert od razu. - Obawiam się, że nie...

- Spokojnie, stary przyjacielu - powiedział Valentin, skupiając wzrok na Paulu Turnerze. - Jestem pewien, że nasi gospodarze wyjaśnią nam, o co chodzi. I to szybko.

Cał Holmwood odchrząknął.

- Twój pobratymiec próbował zabić agentów tego Departamentu, Valentinie. Dlatego tutaj jesteśmy.

- Rozumiem - powiedział Valentin, mrużąc oczy. - Zakładam, że macie dowód. Na pewno nie oczekujecie, że w przypadku tak poważnych oskarżeń wystarczy wasze słowo.

- Dowód jest w tej celi - odparł Turner.

Stojąca obok niego Nelson opuściła Słoneczko o kilka stopni. Nie celowała w żadnego z wampirów w celi, ale lufa nie była już zwrócona w stronę sufitu.

Valentin rozejrzał się po skromnej przestrzeni.

- Przyznam, że niczego nie dostrzegam, majorze Turner.

- Może nie dość uważnie się rozglądasz - odparł Turner i podszedł bliżej do ultrafioletowej bariery.

Z gardła Lambertona dobyło się warknięcie.

Valentin spojrzał na swojego lokaja, który wpatrywał się w oficera bezpieczeństwa oczami płonącymi niczym rozżarzone węgle i lekko marszczył brwi.

- Proszę pokazać dowód, majorze - powiedział cicho. - Chętnie go zobaczę, jeśli rzeczywiście istnieje.

- Ależ oczywiście - odrzekł major i przekroczył barierę. Lśniaca ściana światła połaskotała jego skórę. Natychmiast podszedł do nienagannie poślanego łóżka Lambertona. Klęknął, wsunął ręce pod materac i od razu znalazł to, czego szukał.

Jego dłoń wyczuła twardej prostokąt o znanym rozmiarze.

„Dzięki Bogu”.

Dłonią w rękawiczce dotykał brzegu materaca, szukając otworu. Stojący za nim Lambertson ciągle powarkiwał niczym zagoniony w kąt pies. Nim sięgnął materaca, dłoń Turnera natrafiła na równe rozcięcie i wsunęła się do środka. Wsunął rękę aż po łokieć i zacisnął palce na prostokącie. Wyjął go, wyszarpując jednocześnie kawałki wypełnienia. Wstał i spojrzał na dwa wampiry, trzymając przedmiot na wyciągniętej dłoni.

- Co to jest? - spytał Valentin.

- Przenośna konsola - odpowiedział Turner. Starał się stłumić radość, jaką odczuwał, żeby nie odmalowała się na jego twarzy. - Przyznaje się ją każdemu agentowi, ale nie wampirom w więzieniu.

- I czego to dowodzi, majorze Turner? - spytał Valentin. - Jeśli mój pracownik ukradł jedno z waszych urządzeń, to proszę bardzo, dajcie mu po łapach. Macie moje błogosławieństwo. Ale nie rozumiem, w jaki sposób miałyby to dowodzić próby morderstwa.

- Dochodzenie wydziału bezpieczeństwa w sprawie wybuchu na poziomie B zostało dziś po południu zakończone - powiedział Turner. - Wyniki są niepodważalne. W rzeczonym pokoju wampir spędził około czterech minut dwie godziny przed eksplozją ładunku. W bazie są tylko trzy wampiry. Valentinie, ty i ja odbyliśmy wczoraj rano uroczą pogawędkę, która oczyściła cię z podejrzeń o jakikolwiek udział w tym zamachu. A dzisiaj po południu przesłuchaliśmy Marie Carpenter, która również nie miała nic wspólnego z

zamachem. Ale powiedziała nam coś interesującego. Stwierdziła, że kilka razy słyszała, jak ty, Lambertonie, stukasz w coś, co brzmiało, jakby było zrobione z plastiku. Słyszała też brzęczenie, którego nie rozpoznawała. Odtworzyłem jej dźwięk wydawany przez konsolę, kiedy przyjdzie nowa wiadomość, i potwierdziła, że słyszała właśnie taki sygnał.

Turner aktywował konsolę i wszedł do folderu wiadomości. Były dwie, obydwie przeczytane, przysłane przez nieznanego nadawcę. W miejscu, gdzie zazwyczaj wyświetla się imię, było widać jedynie rząd cyfr i liter.

- Podłożyłeś bomby - powiedział, patrząc spokojnie na Lambertona.

Wampir także nie odrywał od niego tłących się szkarłatem oczu. Twarz stojącego za Lambertorem Valentina Rusmanova stała się jeszcze bledsza niż zwykle. Patrzył na swojego sługę z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Wyszedłeś z tej celi i opuściłeś blok, chociaż przyznam, że nie mam pojęcia, jak to zrobiłeś, i podłożyłeś dwie bomby. Bomby, które miały zabić porucznik Randall i mnie. Ośmielisz się zaprzeczyć?

Lamberton ponownie prychnął, ale nic nie powiedział. Turner jeszcze raz uruchomił konsolę i odczytał wiadomości. Jedną przysłano poprzedniego ranka.

DZISIAJ/B261/A86

„Numery pokoi mojego i Kate - pomyślał. - Mamy cię”.
Ostatnią przysłano wczoraj po południu.

ZAWIODŁEŚ

„Jak jasna cholera. Oczywiście, że zawiodłeś”.

Turner rzucił konsolę Calowi Holmwoodowi. Ledwie

dotknęła opuszków jego palców, kiedy Lamberton ruszył z głębokim, dochodzącym aż z trzewi krzykiem i chwycił ją w powietrzu. Uniósł ją nad głowę, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, i już miał rozwalić ją na kawałki o podłogę celi, kiedy głos, stary i zimny jak śmierć, powiedział jedno słowo:

- Lambertonie.

Wampir zamarł z ramieniem nad głową. Potem powoli opuścił urządzenie i odwrócił się do swojego pana.

Valentin Rusmanov przyglądał się swojemu służącemu z największym wyrazem zawodu, jaki Paul Turner widział w życiu. Jego oczy płonęły bladą, melancholijną czerwienią, a kąciki ust opadły, jakby przed chwilą spróbował czegoś bardzo niesmacznego.

- Zrobiłeś to? - spytał. - Nie okłamuj mnie, stary przyjacielu. Nie teraz.

Lamberton patrzył na Valentina z udręką. Ciężko przęłykał ślinę, jakby szukał jakiejś kombinacji słów, dzięki której mógłby uniknąć okłamania swojego pana. W końcu to, co wyszło z jego ust, zabrzmiało niemal jak krzyk nieszczęścia.

- Tak, mój panie! - wrzasnął. - Przepraszam, wybacz mi, mój panie! Zrobiłem to dla ciebie! Zrobiłem to dla ciebie!

Turner nieświadomie uniósł megagnat i wycelował go w Valentina Rusmanova. Cal Holmwood, który obserwował rozwój sytuacji w ponurą determinacją, uczynił to samo. Agentka Nelson opuściła Słoneczko.

- Dla mnie? - spytał Valentin. Zignorował cały wycelowany w siebie arsenał. Skupił się całkowicie na swoim służącym. - Co masz na myśli?

- On do mnie przyszedł, panie - tłumaczył Lamberton. Zaczął płakać, a potężny szloch wstrząsał jego szczupłą sylwetką. - Jeden z nich przyszedł do mnie, kiedy spałeś, i powiedział, co chce, żebym zrobił. Dał mi urządzenia i konsolę i kazał mi je ukryć, aż nadejdzie właściwa pora. Zniszczyłby cię, mój panie. Groził, że zniszczy cię we śnie. Nie miałem wyboru, panie.

Musiałem!

- Kto do ciebie przyszedł? - spytał Valentín. Jego oczy zaczynały się robić coraz ciemniejsze, przybierając odcień lawy. - Kto ci to powiedział?

- Nie znam jego nazwiska, panie. Był tutaj, kiedy przybyliśmy do tego miejsca. Stał z tymi ludźmi, kiedy po raz pierwszy przyszli z tobą rozmawiać.

„Chryste - pomyślał Turner. Serce stanęło mu w piersi. - Oddział specjalny Godzina Zero. Zeszliśmy tutaj razem, rankiem po ich przybyciu. To wtedy rozpocząłem przesłuchanie”.

- Jak wyglądał? - spytał Cal Holmwood. Popielaty odcień jego skóry powiedział Turnerowi, że tymczasowy dyrektor wyciągnął dokładnie te same wnioski.

- Wysoki - wydukał Lamberton pomiędzy kolejnymi szlochami. - Czarne włosy. Stał z tyłu, niedaleko pana Carpentera. To wszystko, co wiem. Przysięgam.

- To Brennan. - Głos Turnera był niewiele głośniejszy od szeptu. - Był w oddziale od samego początku. Cal, on wie o wszystkim.

Holmwood przyglądał się majorowi.

- Przeszedł już przesłuchanie WZOB-u?

- Nie.

- Znajdź go. Namierz jego chip.

Oficer bezpieczeństwa wyjął swoją konsolę i zaczął szukać Richarda Brennana. System niemal od razu wyświetlił dane.

- Jest tu - poinformował Turner z ulgą. - Na terenie. Niedaleko pasa startowego.

Z konsoli Holmwooda dobiegł sygnał alarmu. Mężczyzna zaklął i chwycił urządzenie.

- Muszę iść na odprawę i wprowadzić Jacka w sytuację - wyjaśnił. - Skończ tutaj, a potem znajdź Brennana. Nie pozwól, żeby zrobił to ktokolwiek inny. Osobiście go do mnie przyprowadź.

Odwrócił się i odszedł, nie czekając na odpowiedź oficera bezpieczeństwa. Turner obserwował go przez chwilę, a potem wycelował megagnat w pierś lokaja Valentina.

- Lambertonie - powiedział. - Za próbę zabójstwa członków Departamentu zostajesz skazany na natychmiastową destrukcję.

Wampir przestał szlochać i spojrzał błagalnie na swojego pana.

- Panie, błagam cię. Zrobiłem to dla ciebie, żeby cię chronić. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby coś ci się stało, mój panie. Nie po tym, jak długo ze sobą byliśmy. Błagam cię, panie. Nie pozwól im mnie zabić.

- Sądziłeś, że nie jestem w stanie sam się obronić? - spytał Valentin niskim głosem. - Tak złe masz o mnie mniemanie? Nawet nie pomyślałeś, żeby mi o wszystkim powiedzieć po tym, jak ten człowiek do ciebie przyszedł.

- Sam to załatwiłem, panie - wymamrotał Lambertton. - Nie chciałem cię kłopotać, mój panie, ani niepokoić czymś tak trywialnym. Dbałem o ciebie, mój panie, tak jak zawsze to robiłem i będę robił. Czym są dwaj martwi ludzie, panie? Jaką robią różnicę? Oni nic nie znaczą, panie, ale ty... Ty jesteś moim całym życiem, panie, jesteś dla mnie wszystkim. Nie mogłem ryzykować. Wybacz mi, och, wybacz.

- Zostałeś zmanipulowany - stwierdził Valentin. - Wykorzystano twoją lojalność wobec mnie i to w tak łatwy sposób. Powinieneś się wstydzić.

- Wstydzę się, mój panie - przyznał Lambertton. - Naprawdę.

- Valentinie, odsuń się - nakazał Turner, patrząc znad lufy megagnata. - Muszę wykonać wyrok.

Na twarzy Lamberttona odmalowała się czarna rozpacz. Po raz ostatni spojrzał na swojego pana, który patrzył na niego bez emocji. Turner wypuścił powietrze z płuc i nacisnął spust. Huk wybuchającego gazu był ogłuszający w ograniczonej przestrzeni celi i odbijał się echem w uszach. Kołek wyleciał z

lufy megagnata i poszybował w kierunku wampirzego lokaja. Ułamek sekundy później drut, który się za nim rozwijał, zwisał luźno. Valentin chwycił kołek w locie.

„Cholera” - pomyślał Turner.

Valentin obrócił kołek w dłoni.

- Nie mogę ci pozwolić na to, żebyś zniszczył mojego sługę, majorze Turner - odezwał się, nawet nie zerkając na oficera bezpieczeństwa.

Lamberton odetchnął z ulgą.

- Dziękuję ci, mój panie - szlochał. - Och, dzięki... Valentin się poruszył.

Stary wampir odrzucił kołek na bok, podszedł krok bliżej i wbił dłoń w pierś Lambertona. Służący szeroko otworzył oczy, kiedy ręka Valentina zatopiała się w nim aż po nadgarstek. Z wnętrza jego ciała wydobyło się okropne chrupnięcie łamanych kości. Lamberton odrzucił głowę do tyłu, żeby krzyczeć, ale nie mógł wydobyć żadnego dźwięku. Zamiast tego z jego otwartych ust wystrzeliła fontanna ciemnoczerwonej krwi, chlapiąc na sufit i opadając na podłogę. Stęknąwszy z wysiłku, Valentin wyjął dłoń z piersi służącego i przytrzymał jeszcze bijące serce Lambertona przed jego wstrząśniętą twarzą.

- Zhańbiłeś się - oznajmił, patrząc swojemu lokajowi prosto w szeroko otwarte, pełne oburzenia oczy. - A tym samym pohańbiłeś i mnie. Jestem gorzko rozczarowany.

Lamberton wydał z siebie serię okropnych dźwięków, jakby był duszony. Krew ciekła z ziejącego otworu na jego piersi. Przez dłuższą chwilę Valentin utrzymał jego spojrzenie, a potem zgniótł spowalniające serce w dłoni. Mięsień wybuchł pod ciśnieniem, a zaledwie ułamek sekundy później pozostała część Lambertona poszła w jego ślady. Ekspłodował z głośnym, wilgotnym hukiem, rozpryskując się po całej celi i bryzgając na bladą twarz swojego pana.

Przez kilka sekund ciche kapanie spadającej krwi było

jedynym dźwiękiem w celi. Potem Valentin obrócił się w stronę Turnera, skąpany we krwi swojego najstarszego przyjaciela.

- Obawiam się, że to było coś, na co mogłem pozwolić tylko sobie - powiedział. - Mam nadzieję, że to rozumiesz. I że przyjmiesz moje szczere przeprosiny za wszystko, co zrobił w moim imieniu.

Turner wpatrywał się w pokrytą resztkami wnętrzości postać i powoli przytaknął. Wcisnął przycisk, który przyciągnął kolek z powrotem do lufy megagnata, i wsunął broń do kabury. Nie spuszczał oczu z Valentina.

- Ten Brennan - kontynuował Valentin. - Człowiek, z którym konspirował mój służący. Czy nadal jest na terenie bazy?

- Tak - odparł Turner. Wciąż jeszcze starał się zrozumieć, co się przed momentem wydarzyło. - Prawdopodobnie biegnie w stronę płotu.

- Zamierzasz go złapać, majorze?

- Jak najbardziej - przyznał Turner. Czuł, że wraca mu wewnętrzna równowaga, a umysł ponownie nabiera jasności.

- Majorze Turner - zaczął Valentin. - Chciałbym ci towarzyszyć. Czuję, że muszę odpokutować za przewinienia, których dopuścił się mój służący.

Turner już otworzył usta, żeby odmówić, ale zmienił zdanie.

„Jest tutaj - pomyślał. - I właśnie zniszczył swojego najstarszego przyjaciela. W którymś momencie będziemy musieli zacząć mu ufać. I tak nic mu nie zrobimy, jeśli kłamie, więc równie dobrze możemy zacząć go wykorzystywać”.

- Nelson - nakazał. - Dzwon po Sekcję Wydziału Bezpieczeństwa i czekaj tutaj na nich, aż cię zwolnią.

Młoda agentka skinęła głową, więc ponownie skupił uwagę na pozostałym mieszkańcu celi.

- Chodźmy więc - powiedział. - Zanim ucieknie.

Valentin przemknął przez ścianę z ultrafioletu z prędkością,

która rozmyła jego rysy. Turner obserwował go, dziwiąc się niezwyklej sile wampira.

- Jestem gotowy, majorze. Na pański sygnał - oznajmił wampir i się uśmiechnął.

Paul Turner patrzył na Valentina Rusmanova, kiedy winda zabierała ich na górę. Wampir wydawał się nienaturalnie spokojny jak na to, co przed chwilą zrobił i komu to zrobił.

„To może być najgorszy błąd, jaki kiedykolwiek popełniłem - pomyślał. - A po dzisiejszym dniu to mówi wiele”.

Winda się zatrzymała, nim otworzyły się drzwi prowadzące do długiego korytarza na poziomie zero. Turner ruszył sprintem, wyciągając konsolę zza paska. Valentin sunął w powietrzu obok niego bez żadnego wysiłku i zerkał na prostokątny monitor.

- Gdzie jest? - spytał. - Uciekł?

- Nie - powiedział Turner. - Nadal jest przy pasie startowym.

- Wygląda na to, że się nie rusza.

Dotarli do dużych podwójnych drzwi, które prowadziły do hangaru. Oficer bezpieczeństwa opuścił ramię i wyważył je, nie zwalniając. Valentin przeleciał przez nie z gracją tuż za nim.

Ogromne drzwi były otwarte na nocne niebo. Falujący hologram, osłaniający bazę przed satelitami wrogich państw i samolotami zwiadowczymi, wisiał nad ich głowami, przepuszczając blask jedynie najjaśniejszych gwiazd. Turner nachylił się niczym sprinter wchodzący w ostatni zakręt i przyspieszył, mknąc w stronę otwartych terenów Pętli z konsolą w dłoni.

- Jak daleko? - spytał Valentin.

- Sześćset metrów - odpowiedział Turner. - Na wprost.

- Proszę wybaczyć, majorze Turner - powiedział Valentin i znikł Turnerowi z oczu.

Oficer bezpieczeństwa zatrzymał się zszokowany. „Nie, nie, nie. Ty zdraдлиwy draniu”.

Sięgał po megagnat, kiedy niemożliwie silne dłonie chwyciły go pod ramionami i bez wysiłku uniosły w powietrze.

Valentin Rusmanov wystrzelił niczym pocisk z procy, trzymając Paula Turnera kilka centymetrów ponad trawą i asfaltem, które zlewały się w jedno. Szybkość wampira była oszalałamiąjąca, niemożliwa i nienaturalna. Niecałe dwie sekundy później Valentin wystrzelił w górę i opadł na ziemię z gracją motyla. Puścił Turnera, a ten zatoczył się, jakby był pijany.

- Gdzie jest? - spytał wampir. - Nie widzę go. Ani go nie czuję.

Z niejakim trudem Turner skupił uwagę na konsoli. Według mapy na ekranie byli niecałe piętnaście metrów od agenta Brennana. Przed nim szeroki czarny kształt siedział w drżącej ciemności pod hologramem.

- Co to takiego? - spytał Valentin. - Pachnie niesamowicie.

- To ogród - powiedział Turner, wyciągając MP5 z kabury. - Ogród różany. Pomnik pamięci dla dwóch poległych agentów, którzy tutaj zginęli.

- To on? Mężczyzna, którego szukamy?

- Tak twierdzi moja mapa - stwierdził Turner. Schował konsolę i wyjął zza paska latarkę.

- Zatem chodźmy - powiedział Valentin i przefirunął ponad trawą w stronę ogrodu.

Turner pobiegł obok niego, aż dotarli do przejścia w kamiennym murze, które służyło za wejście do ogrodu. Wszedł na drewniane deski leżące pomiędzy rabatami róż, włączył latarkę i poświecił wokół, pewien już, co zobaczy.

Nic.

Nigdzie nie było śladu Richarda Brennana.

Światło latarki wyłowiło coś kolorowego z tyłu ogrodu, więc podszedł, aby to sprawdzić. Valentin leciał obok w ciszy.

Najwyraźniej też zdał sobie już sprawę z tego, że ich pościg był daremny. Przed nimi stała drewniana ławka, poświęcona pamięci Johna i Georgea Harkerów. Ich imiona wyryto w brązowej płytce przykręconej na środku oparcia. Turner poświecił powoli na ławkę i zobaczył, do czego doprowadziła go mapa.

Na drewnianym siedzisku znajdowała się kałuża czerwonej cieczy. Już niemal całkiem wyschła, ale gdy była świeża, krew spłynęła pomiędzy deskami na ziemię. Pośrodku ciemnego płynu leżał mały metalowy kwadracik, który błysnął w świetle latarki Turnera.

- Wyciął chip - powiedział major cicho. - Wyciął go z własnego ramienia. Może być gdziekolwiek.

Valentin stał obok niego i przyglądał się okropnemu prezentowi, który Brennan zostawił temu, kto przyjdzie go szukać.

- Na ławce jest coś napisane - powiedział. - Czuję zapach farby.

Turner przełączył promień latarki na szerszy, ale już wiedział, co zobaczy.

Dwa słowa, jakie nagryzmołono na oparciu, bezczęściły brązową tabliczkę zielenią farby w spreju.

ON POWRACA

Przez dłuższą chwilę ani człowiek, ani wampir nie powiedzieli słowa.

Paul Turner poczuł się nagle bardziej zmęczony niż kiedykolwiek w swoim długim życiu. Istniała granica tego, ile człowiek może znieść, ile może przyswoić i nadal stawiać krok za krokiem. Po raz pierwszy poczuł, że jest niemal na tej granicy. Wszystko wydawało się czarne niczym tunel, na którego końcu światło coraz bardziej się oddalało. Brennan znikł, a wraz z nim zapewne treść każdej rozmowy, jaką odbyli

na temat Drakuli - ich teorie, założenia i początki strategii, jak się z nim rozprawić.

To nie cofało ich do początku, tylko znacznie, znacznie dalej.

- Mogę ich znaleźć - zapewnił Valentin. W jego głosie płonął cichy ogień.

- Drakulę. Mojego brata. Jeśli mi pozwolicie, mogę ich znaleźć. Wrócę i powiem wam, gdzie są.

Turner wzruszył ramionami.

- Przecież obaj dobrze wiemy - przyznał - że jeśli zdecydujesz się odejść, nie będę mógł cię zatrzymać.

- Podejrzewam, że bardzo mocno byś próbował - odparł wampir z uśmiechem. - Ale wolałbym się o tym nie przekonywać. Wolałbym wyruszyć z twoim błogosławieństwem.

Turner przez chwilę przyglądał się twarzy starego wampira.

- Idź - zgodził się. - Znajdź ich. A potem wróc. Nie sprawia, żebym wyszedł na idiotę przez to, że ci zaufałem.

- Możesz na to liczyć - odparł Valentin. Przez chwilę patrzył na Turnera, a potem uniósł się w niebo i znikł.

WSTRZYMAĆ PIERWSZĄ STRONĘ

Kate Randall siedziała na ławce z tyłu helikoptera. Dłonie oparła na kolanach i starała się uspokoić rozszalałe serce. Matt Browning zajął miejsce obok niej. Na jego łagodnej, bladej twarzy malowała się determinacja, wzrok wbił w podłogę. Na ławce naprzeciwko siedział pułkownik Victor Frankenstein. Ogromną szarozieloną głową niemal ocierał się o sufit. W ciszy obserwował młodych agentów nieodgadnionym wzrokiem.

Wystartowali z Pętli dwadzieścia minut wcześniej. Ich helikopter poderwał się ku ciemniejącemu niebu i skierował się na południe. Kiedy byli już w drodze, piloci ogłosili przewidywany czas dotarcia na miejsce i od tamtej pory w kabinie pasażerów panowała całkowita cisza. Kate to odpowiadało; nie miała ochoty rozmawiać o tym, dokąd lecą ani co będą robili. Ta operacja nie zaliczała się do zwyczajnych, kiedy to wywiad dostarcza informacji na temat terenu, liczby celów i motywów postępowania wroga, któremu zamierzali stawić czoła.

To było coś innego.

Nie mieli pojęcia, ile wampirów na nich czekało. Albert Harker mógł być sam, ale mógł też mieć przy sobie całą armię. Nie wiedzieli, co Harker robił, chociaż cel ich podróży - drukarnia jednego z największych brukowców w kraju - sugerował, że jego plan obejmował zdemaskowanie czegoś. Być może chodziło o wampiry, a może o Czarny Filtr. A może o jedno i drugie. Ale, co najważniejsze, żadne z nich nie

wiedziało, w jaki sposób ojcowie zostali zamieszani w to, co się działo.

Kate zerknęła na Matta. Starła się o niego nie martwić, ale bezowocnie. Chłopak nie miał przygotowania operacyjnego, a w Pętli przeszedł tylko podstawowy trening z broni i umiejętności taktycznych. To było zrozumiałe, ponieważ Matt został zwerbowany do projektu Lazarus, a nie jako agent. Jedynym realistycznym scenariuszem, w którym wymagano by od niego, aby walczył, jest ten, kiedy trzeba by było bronić Pętli. Gdzieś w głębi serca czuła, że nie należało go zabierać i że jeśli coś mu się stanie, to ona poniesie całą winę. Ale wiedziała, że nie mogła ruszyć na tę misję bez niego i potem z tym żyć - pewnych spraw się nie ukrywa.

- Pięć minut - poinformował pilot.

- Dobra - powiedział Frankenstein dudniącym głosem i uśmiechnął się słabo do Kate. - Jesteście gotowi?

Pomimo nieobecności podczas wcześniejszych misji potwór nie dawał Kate powodów do zmartwień. Zgłosił się na ochotnika, miał więcej doświadczenia niż reszta Departamentu razem wzięta, no i była zachwycona, że im towarzyszy.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

Albert Harker się uśmiechnął, okrążając biurko ochrony, które teraz było umazane krwią Kevina McKenny, i podfrunął do Petea Randalla.

Jego okropne oczy lśniły czerwienią tak ciemną, że wydawały się czarne, i Pete był pewien, że jego życie zaraz dobiegnie końca. Ale zamiast bolesnej śmierci, której oczekiwał, Albert Harker jedynie poklepał go mocno po plecach.

- Nie ma odwrotu, Pete - powiedział. - Idziemy aż do końca.

Harker zaprowadził go z powrotem do głównej hali i skupił uwagę na czterech mężczyznach, których Greg Browning

wcześniej związał. Hałas w pomieszczeniu był ogłuszający. Prasa drukarska znów działała, wypluwając kopie zmienionej wersji jutrzejszego wydania „The Globe”, z artykułem Kevina McKenny. Pochwyceni mężczyźni patrzyli na skąpanego we krwi wampira z nieskrywanym przerażeniem. Pete starał się zebrać myśli. Straszna śmierć McKenny i ciężki cios w głowę, który otrzymał zaledwie kilka minut temu, sprawiły, że ledwie był teraz w stanie funkcjonować.

Wampir podszedł do dwóch leżących najbliżej mężczyzn, tych, którzy próbowali doczołgać się do drzwi, kiedy Pete był chwilowo nieprzytomny, i wyrwał im gardła szybkim ruchem nadgarstka. Krew popłynęła po betonowej posadzce, tworząc rosnącą w przyprawiającym o mdłości tempie kałużę. Dwaj pozostali mężczyźni zaczęli jęczeć pomimo knebli i z przerażeniem szeroko otwierali oczy. Próbowali się odsunąć, kiedy Harker zbliżył się do nich z szerokim uśmiechem i płonącymi oczami.

- Nie... - zdołał powiedzieć Pete. - Proszę... Wampir obrócił się w jego stronę.

- Co „nie”? - spytał. - Nie rób tego, co trzeba? Ciebie może opuszczać odwaga, ale ja się nie wycofam.

- Powiedziałaś... że nikomu... nie stanie się krzywda. Harker westchnął.

- Tego bym pragnął, uwierz mi. Niestety, Kevin zmienił sytuację nas wszystkich. Przyjdą po nas i musimy być gotowi.

Pete obserwował wampira. W kącikach oczu zebrały mu się łzy. Nie na to się pisał, nie dlatego zbierał odwagę i stał się częścią nieznanego. To było morderstwo, to była rzeź niewinnych.

To było szaleństwo.

Harker uniósł dwóch płaczących, rzucających się mężczyzn w powietrze i spojrział na Petea.

- Idź do innych do strefy załadunkowej - powiedział. - To tam

się pojawia. Szybko.

Pete spojrział na długą halę. Na odległym końcu, obok metalowych odsuwanych drzwi, widział Grega Browninga wydającego rozkazy czterem mężczyznom w niebieskich kombinezonach. Trzej ładowali paletę pakunkami gazet, kiedy tylko opuszczały one prasę. Czwarty siedział za kierownicą wózka widłowego i czekał na sygnał, by ruszyć. Nie miał pojęcia, co się dzieje niecałe piętnaście metrów za nim.

Pete przez chwilę się zastanawiał, czy zdołałby uciec i ukryć się pomiędzy maszynami, ale szybko zrozumiał, że taki ruch byłby bezsensowny. Harker mógłby wzlecieć w powietrze ponad sprzętem i szukać go z góry. Poruszał się o wiele szybciej i bardzo prawdopodobne, że słyszał, jak Pete oddycha.

Będzie musiał zyskać na czasie i mieć nadzieję, że dostanie szansę odpokutowania za ten horror, który pomógł rozpętać.

Jack Williams stał przy otwartych drzwiach helikoptera. Jego lina bezpieczeństwa była mocno przymocowana do poręczy. Stojący za nim Todd McLean, australijski rekrut, który zastąpił Shauna Turnera, i Angela Darcy, tymczasowo przyjęta do oddziału po tym, jak jej został zdziesiątkowany, obserwowali go uważnie, żeby przekonać się, czy opanuje gotującą się w nim złość.

Był wściekły na Kate i Matta za to, że wyruszyli za Albertem Harkerem, i niezwykle rozczarowany, że nie przyszli do niego i nie powiedzieli, co się dzieje. Pozwoliliby im przyłączyć się do oddziału. Było mu przykro, że Kate o tym nie wiedziała. Ambitna część jego samego, ta, która miała nadzieję, że pewnego dnia zostanie dyrektorem Departamentu, z przerażeniem myślała o tym, że młodym może się udać zniszczyć Alberta Harkera, zanim on dotrze na miejsce.

„Mój - myślał, kiedy helikopter mknął ponad krajobrazem. - On powinien być mój”.

Pete Randall szedł pomiędzy huczącymi maszynami prasy drukarskiej niczym człowiek skazany na szubienicę.

Albert Harker leciał bez trudu nad nim, trzymając związanych mężczyzn w obydwu dłoniach. Dotarli do szerokiej przestrzeni załadunkowej, podczas gdy Greg Browning wraz z czterema robotnikami w niebieskich kombinezonach zatrzymali się, aby obserwować ich przybycie. Oczy wampira zaśniły jasną, pełną radości czerwienią. Harker gwałtownie obniżył lot i wypuścił jednego z dwóch mężczyzn na ziemię. Potem obrócił się i drugiego z nich rzucił ponad wysokimi maszynami. Zaskoczony mężczyzna wirował w powietrzu, niemożliwie wysoko, a potem znikł im z oczu. Sekundę później rozległ się głuchy dźwięk, jakby worek cementu uderzył o ziemię.

- Pracujcie dalej - warknął Harker, obracając się, żeby spojrzeć na przerażonych, wstrząśniętych robotników. - A może doczekacie końca tej nocy. Jeśli przyjdą wam do głowy jakieś głupie pomysły o próbie ucieczki albo przeciwstawieniu się mnie lub moim towarzyszom, to sugeruję, żebyście pomyśleli o tym, co przed chwilą zrobiłem, i żebyście zmienili zdanie. Nasza sytuacja się zmieniła, ale wasze role pozostają bez zmian. Rozwiążcie kolegę, załadujcie ciężarówkę i wyślijcie je w drogę. I niech nic innego was nie zajmuje.

Czterech mężczyzn patrzyło na niego z przerażeniem na twarzach.

- Wracać do roboty! - krzyknął Harker.

Mężczyźni się rozproszyli; trzech wróciło na swoje stanowiska ze spuszczonej głowami. Czwarty podszedł do przodu i rozwiązał mężczyznę, którego Harker przeniósł przez długą salę.

Gdy wampir mówił, ogromna prasa wciąż drukowała i spora liczba egzemplarzy „The Globe” leżała już w kupce na

podłódze na końcu taśmociągu. Kiedy pracownicy zaczęli je zbierać, Pete zerknął na pierwszą stronę przedstawiającą prosty, ohydny nagłówek, który napisał McKenna. Nie poczuł nic. Właśnie o tym marzył, o odważnym planie zaalarmowania opinii publicznej, poinformowania o tym, o czym nikt nie mówił. Ale rzeczywistość była okropna. Na sam widok gazet przewracał mu się żołądek.

Podniósł wzrok i zobaczył przyglądającego mu się Grega Browninga. Wyraz jego twarzy zdradzał przerażenie i Pete wiedział, że jego nowy przyjaciel czuje dokładnie to samo co on.

Czuł się zdradzony. I rozczarowany.

Bał się.

Albert Harker wzbił się w górę i unosił się ponad zasuwanyymi drzwiami, nadzorując pracujących poniżej mężczyźni. Czerwonymi oczami co rusz zerkał wzdłuż hali. Pete wiedział dlaczego - wampir przewidywał, że wkrótce będą mieli towarzystwo.

Greg zgiął palce dłoni w bardzo subtelnym geście „podejdz tutaj”. Pete szedł powoli wzdłuż taśmociągu, najswobodniej, jak był w stanie, i udawał, że ogląda gazety, które go mijały. Greg podszedł z drugiej strony i schylił głowę, jakby koncentrował się na zadaniu.

- Gdzie jest McKenna? - szepnął ledwie słyszalnie.

- Nie żyje - odparł Pete cichym, drżącym głosem. - Harker go zabił.

- Dlaczego? - spytał Greg. - Co, u diabła, zrobił?

- Zadzwoił na policję - odparł Pete. - Znokautował mnie, a potem zadzwonił z recepcji. Więc Harker wyrwał mu gardło.

- Jezus - szepnął Greg. - Dlaczego Kevin to zrobił? Przecież to jego akcja.

Pete niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się - powiedział. - Szczerze mówiąc, to chyba nigdy nie był jego plan. Tylko zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy, a potem było za późno. To akcja Harkera. Ty, ja, McKenna, jesteśmy tylko pionkami. I powiem ci coś jeszcze. Wydaje mi się, że ty i ja mieliśmy nigdy nie opuścić tego miejsca.

- O czym ty mówisz?

- Pomyśl. Dlaczego tutaj jesteśmy? Harker nie potrzebuje nas, by zrobić to, co robimy. Sam mógłby to załatwić. A ostatnie, co McKenna mi powiedział, ostatnie, co w ogóle komukolwiek powiedział, to: „Robię to dla ciebie”. Myślę, że zdał sobie sprawę z tego, że został oszukany, i próbował jakoś to rozwiązać.

- Ale Harker robi to, o czym nam powiedział - rzekł Greg. Sięgnął po jedną z kopii brukowca z taśmociągu, udawał, że ją przegląda, i odłożył na miejsce. - To się dzieje, Pete. Ludzie poznają prawdę.

- Zginęło pięć niewinnych osób - odparł Pete. - Nie sądzę, żeby kierowały nim te same motywy co tobą i mną ani te, o których powiedział nam i Kevinowi. Jemu chodzi o zemstę. Sądzi, że Czarny Filtr jest już w drodze tutaj, i się nie boi. Jest podekscytowany.

- Dlaczego?

- Nie wiem - syknął Pete. - Jak myślisz, co się z nami stanie, jeśli ma rację i ludzie w czerni naprawdę się pojawią? Może nikogo nie zabiliśmy, ale ty związałeś tych mężczyzn, a ja stałem i nic nie zrobiłem nawet wtedy, kiedy dwóm z nich wyrwał gardła. Musimy się stąd wydostać.

- Jak? - spytał Greg. Na chwilę spojrzał w górę i Pete dostrzegł w oczach nowego przyjaciela strach. - Nie możemy z nim walczyć. Nie sami, nie we dwóch. Wątpię, żeby siedmiu dało mu radę, nawet gdyby udało nam się przekonać resztę, żeby spróbować.

- Nie wiem - przyznał Pete. - Nie mam planu. Ale lepiej,

żebyśmy coś wymyślili, bo jeśli Albert ma rację, sytuacja stanie się znacznie gorsza.

Helikopter z Kate Randall, Mattem Browningiem i Victorem Frankensteinem na pokładzie wylądował przed drukarnią „The Globe” z ciężkim stuknięciem.

Parking był opuszczony. Śmieci wyrzucone w powietrze przez podmuch ze śmigła wirowały nad asfaltem, a uliczne lampy rzucały bladą bursztynową poświatę. Frankenstein bez trudu zeskoczył na ziemię i wyciągnął dłoń. Kate ją chwyciła, przyjmując pomoc w zejściu na dół. Matt zrobił tak samo. Gdy tylko odbiegli na bezpieczną odległość, helikopter ponownie uniósł się w powietrze i znikł na ciemnym niebie.

Matt obserwował odlatującą maszynę. Miał wrażenie, że jego łożądek wypełnia cement. Czuł bolesne, bezlitosne napięcie, które sprawiało, że trudno mu było iść naprzód. Bał się. Kate o tym wiedziała i był prawie pewny, że Frankenstein także. To nic. Miał nadzieję, że wiedzieli również, że nie zamierzał ich zawieść.

Przed nimi wyłoniła się drukarnia - ogromny szary budynek z przeszkloną recepcją. Nawet z miejsca, w którym stali, jakieś piętnaście metrów od niego, Matt widział, że przynajmniej jedna z szyb była pęknięta, a czerwień pokrywała większość niewielkiej przestrzeni.

- Krew - powiedział, wskazując na nią dłonią w rękawiczce. - I to dużo.

- Widzę - odparła Kate. - Ruszajmy. Matt, od tej chwili obowiązuje gotowość pierwszego stopnia. Nasze wizjery mają być opuszczone przez cały czas. Nikt nie może zobaczyć, kim jesteśmy. Komunikacja wyciszona. Jasne?

- Jasne. - Opuścił wizjer, jak zawsze podziwiając technologię wykonania cienkiej płytki plastiku pokrytej filtrem.

Kate zrobiła to samo, a potem odezwała się wprost do jego

ucha:

- Matt, jesteś gotowy?

- Tak - powiedział z całym przekonaniem, na jakie było go stać. - Prowadź.

Kate ruszyła z miejsca, dobywając jednocześnie megagnat i umieszczając go w pozycji przed sobą, podtrzymując lufę jedną ręką, a drugą zaciskając na uchwycie. Matt zrobił to samo. Czuł w rękach ciężar broni. Frankenstein zostawił megagnat przy pasie, ale z kabury zapiętej na plecach wyciągnął ogromny srebrny karabin. Razem szli do przodu jedno za drugim, niczym strzelcy na głównej ulicy miasteczka gdzieś na Dzikim Zachodzie, kiedy zegar odlicza sekundy do południa.

Drzwi recepcji były zdalnie sterowane, ale Frankenstein po prostu naciskał na klamkę, aż puściły. Kate weszła do środka, mając Matta tuż za plecami. Od razu uderzył go zapach - bogaty miedziany aromat krwi, która pokrywała podłogę, biurko i ciekła gęstymi kroplami po szklanych ścianach. Frankenstein obszedł biurko i sprawdził, czy leżący pod nim strażnik żyje. W przypadku drugiego mężczyzny nie było to konieczne - miał rozerwane gardło.

- Martwy - powiedział Frankenstein. - Wcześniej go związali, przynajmniej na jakiś czas. Ma sine dłonie.

- Coś poszło nie tak - stwierdziła Kate. - Wątpię, żeby mieli w planie dekorowanie tego pomieszczenia krwią. Każdy mógł to zobaczyć.

- Zgadzam się - przytaknął Frankenstein. - Oboje bądźcie bardzo ostrożni. Cokolwiek się tu dzieje, może się nasilić.

Matt kiwnął głową. Żołądek mu się przewracał. Widział w życiu wiele krwi, w tym spory rozbryzg własnej, która wystrzeliła, gdy Larissa rzuciła mu się do gardła. Ale nie był przyzwyczajony do jej widoku jak jego towarzysze.

- Chodźmy - rzekła Kate. - Przekonajmy się, z czym mamy do czynienia.

Przeszła zakrwawioną recepcję i spojrzała na drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do głównej hali drukarni. Wisiały nierówno na zawiasach, wyrwane przez nadnaturalną siłę. Matt zaczerpnął powietrza i stanął obok niej. Frankenstein pilnował tyłów, stojąc za nimi.

Kate sięgnęła do klamki i pchnęła drzwi. Kakofonia dźwięków przedostała się do recepcji i do ich uszu. Matt skrzywił się za wizjerem kasku. Kate szerzej otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka. Poszedł za nią, czując z tyłu obecność Frankensteina.

Hala była ogromnym, skomplikowanym labiryntem metalu i wirującej gumy. Matt, który zawsze rozpromieniał się na widok osiągnięć inżynierii, szczególnie na tak wielką skalę, obserwował wszystko z fascynacją, dopóki Kate nie chwyciła go za ramię i nie powiedziała, że stoi w kałuży krwi. Spojrzał w dół i poczuł mdłości.

- Jezus - mruknął pod nosem. Rozejrzał się i od razu dostrzegł źródło szkarłatnej kałuży pod stopami.

Pod ścianą leżało dwóch mężczyzn. Mieli rozerwane gardła i puste, niewidzące oczy. Frankenstein ukląkł obok nich. Przycisnął dwa długie szarozielone palce kolejno do ich szyi i pokręcił głową.

- Gdzie oni są? - spytał Matt cicho. - Harker? Nasi ojcowie?

- Gdzieś tutaj - odparła Kate.

- Tylko mi nie mów, że się rozdzielamy, żeby ich znaleźć - powiedział Matt. - Bo to zawsze wydaje mi się głupim pomysłem.

Kate uśmiechnęła się za przesłoną wizjera i pokręciła głową.

- Trzymamy się razem - oznajmiła. - Tak jak mówiliśmy.

DBAMY O SWOICH

Kiedy płomienie buchnęły na ścianach i podłodze, gorąco w biurze magazynu było obezwładniające.

Jamie czuł, jak wdychane powietrze parzy go w nos i gardło. Odwrócił się w stronę płomieni i przez narastający huragan ognia próbował chwycić Ellison. Zdążyła opuścić wizjer, ale była zgięta w pół i kaszłała ciężko w głośniku, który miał w uchu, podczas gdy płomienie szalały wokół jej nóg. Uniformy Czarnego Filtru były ognioodporne, ale Jamie wątpił, by skonstruowano je z myślą o tak intensywnym płomieniu.

Skoczył w ogień, wołając ją. Agentka natychmiast się wyprostowała i wyciągnęła do niego dłoń. Złapał ją, czując, jak gorąco powoli zaczyna przenikać przez uniform, a całe ciało pokrywa warstwa potu. Zacisnął palce mocno wokół jej palców i pociągnął do przodu. Ellison przeszła chwiejnie przez ogień, jak ciemny, połyskujący kształt w tym piekle, jakim stało się niewielkie pomieszczenie. Jamie usłyszał nad swoją głową okropny trzask i ciężki, tłusty zapach wypełnił jego nozdrza. Ciało Johna Mortona zaczęło się palić, zawieszony ponad płomieniem niczym nadziewane prosię.

Jamie chwycił koleżankę z oddziału za ramię i z całej siły popchnął ją w stronę otwartych drzwi. Ellison potknęła się o własne stopy, ale nie upadła, przynajmniej nie do chwili, kiedy wypadła w chłodną ciemność korytarza. Jamie pobiegł do drzwi, czując na plecach gorąco, które powoli stawało się nie do zniesienia, i ślizgiem padł na podłogę obok niej. Agentka znów kaszłała. Przycisnęła ramiona do brzucha, a jej

ciałem wstrząsały dreszcze. Jamie odsłonił jej wizjer i na nią spojrzał. Miała mocno zarumienioną twarz, ale jej oczy pozostały przejrzyste pomimo spływających z kącików łez. Odepchnęła go ze złością w spojrzeniu.

- Idź za nim - powiedziała. - Nic mi nie będzie.

Jamie nie marnował ani sekundy na sprawdzanie, czy mówiła poważnie. Skoczył na równe nogi i ruszył sprintem w jedynym kierunku, w którym Alastair Dempsey mógł uciec. Podeszwy jego butów uderzały o metalowe stopnie, kiedy zbiegał nimi po dwa naraz. Biegając, przekręcił tarczę na pasku i zmienił opcje wizjera swojego kasku na filtr termiczny. Nie zatrzymując się, otworzył ramieniem drzwi na dole i wbiegł z powrotem do przestronnej pustej przestrzeni magazynu. Na wizjerze wciąż widział resztę śladu termicznego.

Rozejrzał się, szukając charakterystycznej biało-żółtej plamy cieplnej, której wampir nie mógł zakamuflować, ale niczego nie zauważył. Ponownie przekręcił tarczę, przełączając tryb wizjera na normalny, i od razu rzuciło mu się w oczy coś innego. Metalowe zasuwane drzwi były do połowy otwarte. Do środka wpadał deszcz przez prostokątny otwór, którego krawędzie oświetlał słaby blask z ulicznych latarni.

Jamie pobiegł w jego kierunku, naciskając jednocześnie przycisk, który łączył go na bezpiecznym kanale z Pętlą. Chwilę później agent z wydziału inwigilacji odebrał zgłoszenie.

- Cel priorytetowy: Alastair Dempsey! - wrzasnął Jamie. - Przemieszczaj się! Powiedz, że go macie?!

- Proszę podać kod - odparł głos.

- Jamie Carpenter, NS303, 67-J! - krzyknął. - Podaj mi jego pozycję!

- Ustalam - odparł agent. - Trzysta metrów na południowy zachód od ciebie. W ruchu.

Jamie schylił się pod na wpół otwartymi drzwiami i ślizgiem wypadł na ulicę. Padał deszcz. Strugi wody uderzały w

chłopaka, rzucając porywistym wiatrem. Złapał konsolę z paska, sprawdził pozycję na mapie, która rozświetliła ekran, i jak najszybciej pobiegł w kierunku Bridle Lane.

- Podawaj mi aktualizacje! - krzyknął, uderzając podszewkami o asfalt. - Nie zgub go!

Biegł, jakby od tego zależało jego życie. W ramionach pulsowała mu krew, a serce waliło w piersi.

„Nie tym razem - myślał. - Drugi raz mi nie uciekniesz”.

Kilkoro mężczyzn i kobiet, którzy kulili się przed deszczem albo w upojeniu się nim cieszyli, zatrzymało się i przyglądało. Biegł, całkiem ich ignorując. Wiedział, że łamie podstawową zasadę Czarnego Filtru, bo pozwala, by cywile go zobaczyli, ale w tej chwili nie miało to znaczenia.

Nie liczył się nic poza zniszczeniem Alastaira Dempseya.

Po prawej stronie dostrzegł wejście w boczną uliczkę i skierował się w jego stronę. Ślizgał się na mokrym podłożu. Na moment stracił równowagę i sądził, że się przewróci, ale siła rozpędu poniosła go aż za róg, więc znów przyspieszył.

- Odległość?! - krzyknął.

Uliczka zwęziła się alarmująco, ale na jej końcu było przejście. Biegł ku wysokiemu, wąskiemu otworowi.

- Sto dziewięćdziesiąt metrów - odparł agent inwigilacji.

- Kierunek bez zmian.

„Zbliżam się. Doganiam go”.

Dempsey najwyraźniej się nie spieszył. Jamie się zastanawiał, czy wampir po prostu założył, że zginęli w płonącej pułapce, którą na nich zastawił, ale wątpił, żeby był aż tak beztroski. Raczej nie zdawał sobie sprawy ze stopnia inwigilacji, jakim dysponowali jego prześladowcy. Pewnie wierzył, że spory zapas czasu w połączeniu z ciemnością i labiryntem bocznych uliczek tego obszaru centrum Londynu wystarczą, żeby zagwarantować pomyślność ucieczki.

„Błąd - pomyślał Jamie, obnażając zęby w uśmiechu tak dzikim, że każdy, kto by go zobaczył, natychmiast by się

wycofał.

- Śmiertelny błąd".

Dotarł do końca alejki i przebiegł ulicę, nie zwalniając. Gdyby akurat jakaś taksówka jechała tamtą drogą, jego pościg za Alastaiem Dempseyem zakończyłby się w szpitalu. Lub gorzej. Ale ulica była pusta. Po jej przeciwnej stronie przy chodniku znajdowało się kolejne wąskie przejście, zastawione śmieciami i gnijącymi resztkami tekturowych pudeł. Przedarł się przez nie i biegł dalej.

- Pozycja?! - krzyknął.

- Czterdzieści pięć metrów - odpowiedział agent natychmiast.

- Prosto przed tobą.

- Jamie? - rozległ się głos Ellison. Był ochryply i przypominał skrzeczenie, ale przepełniała go determinacja. - Gdzie jesteś?

- Inwigilacja - powiedział Jamie, biegnąc uliczką. - Podaj agentce Ellison moją pozycję.

Agent natychmiast przekazał informacje jego koleżance z oddziału. Jamie przestał ich słuchać, skupiając się całkowicie na pościgu za Alastaiem Dempseyem. Uliczka, którą biegł, była długa, pusta i rozciągała się aż do pełnej zgiełku Lexington Street.

„Powiniennem już go dogonić. Gdzie on jest, do diabła?”

Przekręcił tarczę przy pasie i ponownie włączył tryb termiczny. Zobaczył go - Wampir biegł po dachu budynku, którego ściana zamykała alejkę od prawej strony. Stanowił wyraźną plamę białego i pomarańczowego koloru na wysokości czwartego piętra. Jamie nigdy by go nie zauważył bez wspomagania, jakie zapewniał mu wizjer. Zatrzymał się i schował w cieniu ściany po lewej stronie. Obserwował, czy Dempsey usłyszał, że nadciąga. Deszcz dudnił o chodnik, a ciemne chmury sunęły po czarnym, nocnym niebie.

Dempsey nie zdradzał oznak, że się zorientował, iż jest śledzony. Przesuwał się po krawędzi dachu, ślizgając się po dachówkach z prędkością niewiele większą od zwykłego

chodu. Zupełnie jakby wybrał się na wieczorny spacer po mokrym sklepieniu metropolii.

A potem, całkowicie bez ostrzeżenia, wzleciał w powietrze i przeciął uliczkę bezpośrednio nad głową Jamiego.

Jamie przykucnął i przebiegł na drugą stronę przejścia. Spojrzał w górę. Wampir kierował się w tę samą stronę, ku tłocznej ulicy przed nimi. Był coraz bliżej. Śledził Dempseya, dostosowując do niego swoją prędkość, i zamarł, gdy wampir ponownie przeskoczył wąską uliczkę.

„On się bawi - pomyślał Jamie, czując narastającą nienawiść. - Doskonale się bawi”.

W głowie mu się kotłowało. Starał się wymyślić sposób na sprowadzenie Dempseya na dół, na swój poziom, gdzie mógłby zyskać przewagę. Jeśli dotrą do Lexington Street, wszystko przepadnie. Nieważne, jak był wściekły i jak paląca była jego potrzeba zemsty. Nie mógł podążyć za wampirem do bardzo zaludnionej strefy. Ryzyko zdemaskowania było zbyt duże. Gdy patrzył w górę, przyszedł mu do głowy pomysł. Szansę miał niewielką, ale to musiało wystarczyć.

Jamie sięgnął w dół, nie odwracając wzroku od wampira, i odpiął broń na ultrafiolet. Potem podbiegł do przodu, mając nadzieję, że dudnienie deszczu słumi dźwięk jego kroków i że potwór na górze nie wybierze właśnie tego momentu, aby spojrzeć w dół. Czekał, aż znajdzie się piętnaście metrów przed spacerującym tanecznym krokiem wampirem, zatrzymał się i uniósł broń.

„Jeden strzał - myślał, czując, jak jego ciało wypełnia znajomy lodowaty spokój. - Jeśli spudłuję, znów mi ucieknie”.

Patrzył w górę na Dempseya, który wciąż był czymś niewiele więcej niż jasną białozółtą plamą ciepła. Czuł, jak serce mu zwalnia, a oddech staje się spokojny i równomierny.

„Jeden strzał”.

Cztery piętra wyżej Alastair Dempsey obrócił się w lewo i bez

wysiłku uniósł się w powietrze. W alejce dokładnie pod nim Jamie Carpenter nacisnął guzik swojej broni ultrafioletowej.

Jasny promień fioletowego światła przeciął deszcz, penetrując mrok nocnego nieba, i całkowicie pochłoniął wampira.

Dempsey stanął w fioletowym ogniu, krzycząc z szoku i bólu. Kierunek lotu drastycznie się zmienił, kiedy wampir zaczął się rzucać, krzycząc i uderzając własne ciało, by zagasić szalejące fioletowe płomienie. Wpadł na ścianę przeciwległego budynku, wysoko ponad głowę Jamiego. Chwycił się mokrych cegieł, wrzeszcząc i walcząc, aby utrzymać się w powietrzu, ale było to bezcelowe. W płomieniach ognia przedostających mu się do gardła i płuc opadł na ziemię.

Jamie wciąż celował w niego fioletowym promieniem. Roznosiła go dzika euforia i prymitywne pragnienie polowania i zabijania. Wampir zdobył się na ostatni skazany na porażkę wysiłek, żeby opóźnić nieuniknione, starając się złapać płonącymi palcami za coś, czego tam nie było. Wreszcie opadł na mokrą uliczkę w mieszaninie krwi i palącego się ciała. Kiedy tak leżał bez ruchu, unosiła się z niego para.

Jamie wyłączył broń, umieścił ją z powrotem przy pasie i odetchnął długo i głęboko. Nic nie zwróci życia Johnowi Mortonowi ani nie wymaże z pamięci Jamiego tego, jakie tortury zadano jego koledze, więc to było najlepsze, co mógł zrobić - upewnić się, że potwór, który zabił Mortona, nie będzie miał szansy pozbawić życia nikogo innego. Dobrze wiedział, że zemsta to nie to samo co sprawiedliwość, ale w tym wypadku musiała wystarczyć. Tylko tyle mógł zrobić.

Wyjął glocka i szybko przykręcił do lufy tłumik.

- Jamie? - Głos Ellison zabrzmiał w jego uchu głośno i surowo. - Widziałam UV. Co się dzieje?

- Leży - odparł Jamie i usłyszał w swoim głosie drzenie. - Dorwałem Dempseya.

- Nie niszczyć go - powiedziała natychmiast Ellison, a Jamie aż

się cofnął, gdy usłyszał, z jaką pasją to mówiła. - Zaczekaj na mnie. Proszę.

- Poczekał - zapewnił. - Pospiesz się.

- Za chwilę tam będę.

Chłopak spojrział na parujące szczątki wampira. Większość jego skóry spaliła się na czerwono, chociaż w niektórych miejscach albo była czarna, albo całkiem znikła. Odchodziła całymi płatami i pokrywały ją pęcherze. Kilka z nich pękło, uwalniając gęsty białozółty płyn, który spływał na chodnik, gdzie zmywał go deszcz. Wampir się nie ruszał. Miał zamknięte oczy, a otwarte usta wypełniała deszczówka.

„Udaje martwego - pomyślał Jamie. - Oj, proszę”.

Podniósł glocka, wycelował go w kolano Alastaira Dempseya i nacisnął spust. Odgłos wystrzału rozbrzmiał w skąpanym w deszczu nocnym powietrzu i kula utkwiała w ścianie, gdzie jeszcze ułamek sekundy wcześniej leżał wampir.

Spalona, zniszczona istota poderwała się w górę. Z jej zwęglonego ciała dobywała się para, a z ust - wściekłe warczenie. Jamie podniósł broń, ale Dempsey doskoczył do niego, nim zdołał nacisnąć spust po raz drugi. Wampir zamachnął się zniszczonym, spalonym ramieniem i trafił w gruby plastik wizjera Jamiego.

Uderzenie miało ogromną siłę. Na powierzchni wizjera pojawiły się cienkie pęknięcia, niszcząc filtr termiczny. Jamie został wyrzucony w górę. Oczy uciekły mu w tył głowy, czuł powalający ból. Gdy upadł twardo na asfalt, prześlizgnął się kilka metrów na plecach.

„Nigdy nie zostałem uderzony w ten sposób - pomyślał, próbując zmusić kończyny do działania. - Z taką siłą. I z taką mocą”.

Sięgnął w górę drżącą ręką i odsłonił przesłonę. Dzwoniło mu w uszach, myślał powoli i czuł się źle. Zmusił się do otwarcia oczu, spojrział na ulicę i poczuł, jak strach ściska mu serce.

Poczerniała postać Alastaira Dempseya szła w jego kierunku z uśmiechem na tym, co pozostało z jego twarzy.

„Nie powinien nawet być w stanie wstać. Mój Boże”.

Jamie przeczołgał się do tyłu. Glock wypadł mu z dłoni, kiedy wyrzuciło go w górę, więc zaczął szukać przy pasie czegokolwiek, czego mógłby użyć. Wyjął broń UV i zobaczył, że z cylindra spadają kawałki szkła. Obrócił broń i odrętwiały przyglądał się pozostałościom strzaskanej żarówki. Jego dłoń zacisnęła się na MP5, ale nawet w desperacji nie potrafił się zmusić, by po niego sięgnąć. Strzelanie z pistoletu półautomatycznego zaledwie kilka kroków od zatłoczonego Soho było zbyt niebezpieczne, żeby to nawet rozważyć, nieważne, ile mogło go to kosztować. Potem jego palce wyczuły uchwyt megagnata. Wyszarpał go z pasa i chwycił przed sobą.

Dempsey się nie spieszył. Wszystko wskazywało na to, że doskonale się bawi. Miał wygląd drapieżnika, który zbliża się do rannego zwierzęcia. Szedł miarowo po mokrych kamieniach z luźno zwieszonymi po bokach, spalonymi na czerwono-czarno i dymiącymi ramionami. Jamie wycelował z megagnata i nacisnął spust. Kiedy kołek wyleciał z lufy, przez myśl przeszło mu tylko jedno:

„To nie zadziała”.

Kołek leciał wzdłuż uliczki prosto w pierś Dempseya. Jamie ledwie go dostrzegł. Ułamek sekundy przed tym, nim trafił do celu, wampir ruszył się i usunął w lewo, jakby to była najłatwiejsza rzecz na świecie. Chwycił w powietrzu metalowy drut. Jamie widział, jak spalona skóra odrywa się od jego dłoni, kiedy złapał mknącą linkę, ale Dempsey zdawał się tego nie zauważać. Przez chwilę patrzył na kabel, potem pociągnął go i wyrwał szybkim ruchem okaleczonego nadgarstka.

Jamie nie miał nawet czasu, żeby pomyśleć o puszczeniu

megagnata, nim znów został wyrzucony w powietrze. Ramiona i ręce bolały go tak, że prawie krzyczał w agonii. Patrzył, niemal z niedowierzaniem, jak ziemia ucieka spod niego, a ciało leci ku czekającemu wampirowi. Potwór z obojętnością wysunął ramię i złapał go za gardło.

Jamie wierzgał nogami, ale w nic nie trafiał. Złapał ramię Dempseya, zdzierając z niego spaloną skórę i czując, jak puszcza pod jego palcami niczym grillowane mięso, ale uchwyt wampira nie zelżał. Czuł, że jego gardło jest miażdżone, i opanowała go panika. Na skraju jego pola widzenia pojawiły się szare plamki i poczuł zmęczenie, ogromne zmęczenie. Puścił ramię wampira, ręce zawisły mu bezwładnie po bokach. Kiedy zaczęła napierać na niego ciemność, gdy ostatnie plamy światła miały zgasnąć, Dempsey rzucił nim o ścianę równie spokojnie, jak ktoś mógłby rzucić piłeczkę tenisową.

Głowa Jamiego uderzyła o mur. Tylko kask uchronił go od tego, by jego czaszka nie pękła jak skorupka jajka. To sprawiło, że świat znów nabrał ostrości. Kiedy poczuł mokre cegły, rozległo się głośne trzaśnięcie, a zaraz potem ból, kłujący i nagły, ogarnął jego tułów i spłycił oddech do urywanego sapania.

„Żebra - pomyślał, zsuwając się bezradnie na ziemię. - Połamane. Trzy lub cztery. Może więcej”.

A potem, kiedy zobaczył, że Alastair Dempsey idzie w jego stronę, prostsza, bardziej prymitywna myśl zaświtała mu w głowie:

„Umrę”.

Wampir przeszedł szerokość alejki, sięgnął w dół i podniósł go na nogi. Jamie starał się zmusić swoje chwiejące się, uszkodzone ciało do działania, unieść ramiona i walczyć, ale nie był w stanie. Nic mu już nie zostało.

Dempsey mu się przyglądał. Z bliska jego spalona twarz była jeszcze straszniejsza - powieki znikły, podobnie jak większa

część jego nosa, a usta były popękane i sączyło się z nich z tuzina miejsc. Sama skóra została zwęglona, poza tymi miejscami, gdzie odpadła, odsłaniając czerwień pod spodem. Wampir się uśmiechnął. Zza popękanych warg wysunęły mu się kły.

- Nie możesz się stać moim przyjacielem - powiedział głosem przypominającym warczenie. - Nie bawię się z mężczyznami. Ale nadasz się na posiłek.

Jamie patrzył. Jego umysł był tak przytłoczony strachem, że nie potrafił zamknąć oczu i odgrodzić się od tej strasznej rzeczy, która miała go zabić. Kły wydawały się ogromne i jak nie z tego świata. Czekał, aż przebiją mu skórę, i zastanawiał się, czy będzie boleć.

Trach.

Coś gorącego i mokrego prysło Jamiemu w twarz. Potem siła, która przytrzymała go przy murze, znikła i zsunął się na ziemię. Zebrał w sobie resztki sił i otarł płyn z oczu akurat w chwili, kiedy Alastair Dempsey upadł przed nim z roztrzaskaną czaszką. Krew i mózg wypłynęły na zewnątrz, rozlewając się po wilgotnym podłożu. Ogień w oczach wampira zgasł, a źrenice uciekły do tyłu.

Jamie próbował głębiej odetchnąć, skrzywił się z powodu bólu promieniującego z pękniętych żeber i powoli odwrócił głowę. Uliczką w jego stronę szła Ellison. Z lufy uniesionego glocka wzbijała się wirująca strużka dymu. Nie podbiegła ani nie opuściła broni. Kiedy doszła do niego i uniosła przesłone, wciąż celowała do leżącego bez ruchu ciała Alastaira Dempseya.

- Wszystko w porządku? - spytała. - Jesteś ranny?

Jamie się skrzywił i zmusił się do wypowiedzenia trzech słów:

- Przebij go kołkiem.

Ellison skinęła głową. Wolną ręką wyjęła z pasa metalowy kołek, cały czas trzymając wampira na muszce. A potem

doskoczyła i wbiła mu go w pierś. Zwęglone resztki Alastaira Dempseya wybuchły z wilgotnym hukiem, obryzgując ich oboje krwią. Przez dłuższą chwilę Ellison trzymała lufę wycelowaną w zakrwawiony fragment gruntu, a potem wsunęła broń do kabury i podeszła do Jamiego. Na jej twarzy malowało się zmartwienie.

Jamie poczuł przerażający ból w okolicy żeber, kiedy Ellison pomagała mu wstać. Zaciśnął zęby i starał się tego nie okazywać. Oparł się o ścianę i powoli płytko nabrał powietrza. Ból był duży, ale nie sądził, żeby postrzępiona końcówka któregoś z żeber przebiła mu płuco. Ledwie, bo ledwie, ale mógł oddychać.

Ellison cofnęła się o pół kroku, kiedy starał się przywołać półuśmiech na ubrudzonej krwią twarzy. Nie czuł euforii z powodu zniszczenia Dempseya. Miał wrażenie, że jest zmęczony i pusty.

- Dobra robota - powiedział. Jego słowa brzmiały niemal jak jęknięcia. - Wszystko z tobą w porządku?

Ellison pokręciła głową.

- Nie, sir - odparła. - Daleko mi do „w porządku”. A z tobą?

- Nie - przyznał. - Ale żyję. Dzięki tobie.

Udało jej się uśmiechnąć, ale na jej twarz szybko powrócił wyraz udręki.

- Jezus, Jamie - powiedziała zdławionym głosem. - John... Biedny John. Ja po prostu...

Wyciągnął rękę, krzywiąc się z bólu, i złapał ją za ramię.

- Wiem - odparł. - Był dobrym człowiekiem i zasłużył na lepszy los. Ale my wciąż tu jesteśmy, Lizzy. I musimy iść naprzód.

- Wciąż o tym myślę - przyznała. - O tym, przez co musiał przejść... no wiesz... zanim.

Jamie miał wrażenie, jakby ze współczucia pękało mu serce

- Zawsze tak będzie - stwierdził. - Nigdy o nim nie zapomnisz. An, o tym, co mu zrobiono. Więc musisz to

wykorzystać by nikogo innego nie spotkał taki sam los.

Skinęła głową.

- Tak, sir. Przepraszam. Już wcześniej widywałam straszne rzeczy, ale nie tak...

- Wiem - powiedział łagodnie. - W porządku.

- Musimy zabrać cię do kliniki, sir.

Jamie przytaknął. Sięgnął w dół i nacisnął guzik na pasie łącząc się z kierowcą vana.

- Prośba o natychmiastowy odbiór - powiedział, krzywiąc się z bólu. - Moja lokalizacja. - Przekreślił tarczę i ponownie połączył się z wydziałem inwigilacji. - Potrzebna ekipa sprzątająca w poprzedniej lokalizacji. Służby porządkowe prawdopodobnie już działają. Czynniki nadnaturalne nie zostały eksponowane. Należy wydostać szczątki Johna Mortona, NS304, 07-B i przewieźć je do Pętli. - Wyłączył komunikator i spojrzał na Ellison - Dwie minuty.

Ellison pokiwała głową.

Dwójka agentów stała w ciemności. Ich myśli wypełniały ból i poczucie straty. Pozostałości po Alastairze Dempseyu rozplynęły się w deszczu i popłynęły w stronę przepelnionych studzienek odpływowych.

PROSTO Z DRUKU

Pete Randall stał obok ostatniego taśmociągu i udawał, że pilnuje mężczyzn pakujących gazety i ładujących je na palety, kiedy usłyszał wydobywające się z gardła Alberta Harkera głośne warczenie. Spojrzał w górę i zobaczył, że w oczach wampira zakwitł znajomy czerwony blask. Potem wampir gwałtownie runął w dół i stanął obok niego.

- Są tutaj - powiedział Harker z okropnym, pełnym oczekiwania uśmiechem na twarzy. - Trójka. Właśnie przylecieli.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał Pete.

- Zabiję ich, oczywiście - odparł Harker. - A czego się spodziewałeś?

- Tobie na tym wszystkim nie zależy, prawda? - Głos Petea drżał. - Wszystko, co powiedzieliście nam Kevin i ty, kiedy przyjechaliśmy do Londynu, nie było prawdą, czyż nie?

Harker warknął i podniósł Petea z ziemi jedną szczupłą ręką. Trzymał go w górze bez wysiłku.

- Nie waż się mówić mi, na czym mi zależy. - Oczy wampira płonęły. - Nigdy nie potrafiłbyś zrozumieć, co to dla mnie znaczy, ile wycierpiałem z rąk ludzi, przeciwko którym wystąpiliśmy. Różnica pomiędzy tobą a mną jest taka, że ja mam siłę, żeby zrobić to, co należy. Nie chlipię i nie jęczę, gdy pojawia się pierwsza przeciwność.

- Moja córka... zginęła - powiedział Pete, łapiąc powietrze. - Czy to... nie dość... cierpienia?

Harker zaczął się śmiać. Był to krótki dźwięk,

przypominający chrząknięcie.

- Ludzie umierają - skwitował. - Umierają codziennie. Mnie odebrano nawet tę możliwość. Moje życie zostało skradzione przez osoby, którym powinno na mnie najbardziej zależeć i którym powinienem móc bezwarunkowo ufać. Wymieniłbym życie, jakie wiodłem, na śmierć i uczyniłbym to z radością.

Puścił Pete'a. Mężczyzna opadł na ziemię i masował ściśnięte gardło. Kątem oka zobaczył Grega Browninga obserwującego rozgrywającą się przed nim scenę. Nowy przyjaciel był nieruchomy jak skała i nawet się nie odezwał.

- Ładujcie dalej! - krzyknął Harker. - Będę miał was na oku! Jeśli przestaniecie albo jeśli spróbujecie uciekać, zabiję was!

- Nie mieliśmy tego przetrwać, prawda? - spytał Pete Trzymał się za zranioną szyję, a w kącikach oczu wezbrały mu łzy. - Greg, ja i pozostali. To już nie ma znaczenia, więc po prostu powiedz prawdę, ty draniu.

Harker przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem uniósł palec do ust.

- Ciii - szepnął, a potem wzleciał pod sufit i znikł w cieniu.

Pete wstał powoli i spojrzał na pracowników w niebieskich kombinezonach. Nie mógł im nic powiedzieć, nic, co poprawiłoby sytuację. Pięciu mężczyzn wytrzymało jego spojrzenie z wyrazem całkowitej rezygnacji na twarzach. Potem wrócili do swoich zadań Pete obserwował ich z bezsilną udręką. Greg Browning powoli podszedł i stanął obok niego. Nastąpiła długa, krępująca cisza, aż wreszcie nowy przyjaciel odezwał się głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Umrzemy, prawda? Wszyscy?

- Nie wiem - odparł Pete. Gdzieś w głębi serca czuł, że role się odwróciły i teraz to przyjaciel szuka u niego odpowiedzi - Prawdopodobnie.

- Nie chcę umierać - odparł Greg zdławionym ze strachu głosem. - Wiem, że powiedziałem, że nie obchodzi mnie, co

się ze mną stanie, ale cofam to. Nie chcę umierać.

- Ja też nie - rzekł Pete. - Nie w ten sposób. Ale jeśli będę musiał, to chcę go zabrać ze sobą do grobu. Tylko o tym mogę teraz myśleć.

- Jak? - spytał Greg.

- Bądź czujny - odparł Pete. - Jeśli nadarzy się okazja, to zapewne będzie to nasza jedyna szansa. Bądź gotów ją wykorzystać.

Kate poprowadziła Matta i Frankensteina pomiędzy górującymi maszynami. Cała trójka mocno trzymała broń w dłoniach.

Hałas był nieustępliwy. Papier huczał na wałkach i krajalnicach, podczas gdy ogromne sztaby nanosiły na nie atrament. Gorąco przytłaczało, w powietrzu unosił się kurz. Matt nerwowo położył palec na osłonie spustu megagnata, zadowolony, że wizjer chowa jego twarz przed towarzyszami. Wątpił, by bez niego był w stanie ukryć strach.

Coś poruszyło się w ciemności pod dachem.

Matt zamarł.

- Co jest? - spytała Kate.

- Nie wiem - odparł. - Wydawało mi się, że coś widziałem. Tam, na górze.

Czekali bez ruchu z uniesionymi megagnatami. Serce Matta waliło w piersi, kiedy wpatrywał się w odległe sklepienie.

- Dobra - powiedziała wreszcie Kate. - Ruszamy dalej.

Poruszali się powoli między maszynami. Ponad ich głowami ogromny taśmociąg biegł w dół i po lewej stronie skręcał za róg. Szli wzdłuż niego w rzędzie, trzymając uniesioną w gotowości broń. Przed sobą zobaczyli ogromne pomieszczenie. Trójka agentów zatrzymała się, niknąc w cieniu dzięki uniformom, i obserwowała otoczenie.

Gazety sunęły bez końca na taśmociągu, a mężczyźni w

niebieskich kombinezonach związywali je w paczki i ładowali na palety. W ścianie na tyłach widniał rząd rozsuwanych w górę drzwi, a przed jednymi z nich stali dwaj mężczyźni w zwykłych ubraniach. Głowy schylili ku sobie, jakby byli pogrążeni w ważnej konwersacji. Gdy spojrzeli w górę, Matt usłyszał, jak Kate gwałtownie nabrała powietrza.

- Mój Boże - powiedziała. - Tak naprawdę nie wierzyłam w to.

Pete Randall zmarszczył brwi, jakby coś usłyszał, i szepnął do drugiego mężczyzny, który się wyprostował. Matt poczuł, że oddech zamiera mu w piersi, i przystanął.

Jego ojciec stał niecałe dziesięć metrów od niego Greg Browning wyglądał, jakby od czasu, kiedy Matt widział go po raz ostatni, postarzał się o dziesięć lat. Jego włosy naznaczyła siwizna, a twarz była pomarszczona bardziej niż kiedykolwiek. Oczy miał zapadnięte i wystraszone.

„Boi się - pomyślał Matt. - Wygląda na naprawdę przestraszonego. Obaj tak wyglądają”.

Nagle poczuł przemożną potrzebę, aby przebiec pustą przestrzeń i uściskać ojca. Było to coś, czego nigdy by nie zrobił, gdy jeszcze mieszkali w tym samym domu, a świat był mały i nieprzyjazny. Impuls zdawał się niemal nie do opanowania.

- Jezus - powiedział. - Kate, co oni tutaj robią?

- Nie wiem. - Jej głos brzmiał, jakby była na skraju płaczu. - Ale obaj są cali. To najważniejsze.

- To prawda - przyznał Frankenstein. - Ale gdzie jest Albert Harker?

Rozległ się trzepotliwy dźwięk, coś jak odgłos bicia skrzydeł dużego ptaka, i ciemna postać opadła z sufitu nad nimi. Coś mignęło o niesamowicie szybko i trafiło Matta w bok kasku. Uderzenie było niewiarygodne, jakby dostał ogromnym młotem. Chłopak zatoczył się do tyłu i upadł na kolano. W głowie mu wirowało. Obserwował, choć wzrok zachodził mu

mgłą, jak ciemny kształt uderzył Kate o maszynę, za którą się kryli. Dziewczyna przypadła do ziemi i zacisnęła palec na spuście swojego megagnata. Kołek wystrzelił z lufy i w akompaniamencie gwizdu pofrunął w kierunku sufitu.

Frankenstein, którego instynkt i reakcje wspierało wiele dekad doświadczenia, uchylił się przed wymierzonym w niego ciosem i wystrzelił z karabinu. Huk był ogłuszający, kiedy ogień liznął krawędź lufy. Ciemna postać znów wyskoczyła w powietrze i znikła.

Potwór kucnął i podniósł Kate na nogi.

- Nic mi nie jest - powiedziała na wydechu. - Matt? Chłopak starał się wstać. W głowie wciąż dzwoniło mu od ciosu wampira.

- Okej - zapewnił.

Mężczyźni w niebieskich kombinezonach przestali pracować i obserwowali rozgrywającą się na ich oczach brutalną scenę. Ojcowie Matta i Kate stali bezpośrednio przed nimi z otwartymi ustami.

- Za mną - powiedział Frankenstein.

Potwór kucnął i przebiegł przez pustą przestrzeń załadunkową. Robotnicy się cofnęli. Wyraz ich twarzy niczego nie zdradzał. Pete Randall i Greg Browning po prostu patrzyli z rezygnacją, jak trzy ciemne postacie ustawiają się obok nich plecami do zasuwanych drzwi.

- Chcę go mieć przed nami - oznajmił Frankenstein. - Jest o wiele zwinniej szy, niż powinien być, ale wierzcie mi, widziałem szybszych. Zachowajcie spokój.

Matt lepiej chwycił megagnat i zwalczył chęć spojrzenia na ojca. Greg Browning stał niecałe pięć metrów po jego prawej stronie i przyglądał się jemu i jego towarzyszom z wyrazem przerażenia na twarzy.

„Założę się, że to przywołało złe wspomnienia” - pomyślał Matt, nieświadom tego, jak dużo miał racji.

Greg Browning próbował odwrócić wzrok od ludzi w czerni, ale okazało się, że nie potrafił. Sparaliżował go strach.

Byli czymś wprost z jego koszmarów, ciemnymi agentami rządowymi, którzy odebrali mu syna. Wtargnęli do jego domu, chowając twarze, i grozili jego rodzinie bronią. Pete i on przyjechali na południe, żeby spróbować ich zdemaskować. A teraz stali tutaj, tak blisko, że niemal mógł dotknąć ich znienawidzonych czarnych uniformów. Pierwszy atak Alberta Harkera ich rozproszył, ale natychmiast się przegrupowali. Wyglądało na to, że się ze sobą komunikują, chociaż nikt nie powiedział ani słowa. Przez tę ciszę sprawiali jeszcze bardziej niepokojące wrażenie.

Greg spojrzął na Pete'a, który również przyglądał się w zdumieniu ludziom w czerni. Chciał krzyknąć, że to jest ich szansa, że powinni przynajmniej spróbować wyprowadzić robotników, ale nie potrafił zmusić się do mówienia. Jakaś częśćka jego z powrotem znalazła się w ogrodzie i obserwowała, jak jego syn krwawi, czując po raz kolejny straszną niemoc, która była najgorszą częścią tamtego dnia. Czuł się bezradny, mały, przestraszony i słaby. Dlatego jedynie patrzył, zbyt zalekniony, żeby się poruszyć, kiedy trzech ludzi w czerni czekali na kolejny ruch Alberta Harkera.

- Kaski i uniformy są fajne! - krzyknął głos gdzieś ponad mmi. - Ale muszę przyznać, że nie wierzyłem swojemu bratu, kiedy powiedział mi, że jest pan prawdziwy. Potrafię rozpoznać kształt legendy, kiedy ją zobaczę. Jak się pan miewa, panie Frankenstein?

Potwór przekreślił tarczę kontrolującą mikrofon w kasku.

- Doskonale, Albercie - odparł. Jego donośny głos przetoczył się po przestronnym pomieszczeniu. - Zakładam, że prośenie cię, byś zaprzestał tego szaleństwa, byłoby bezcelowe.

Harker zaśmiał się wysokim głosem. Przypominało to krzyk.

- Zakłada pan prawidłowo - odparł. - Niemniej muszę

przyznać, że wielce schlebia mi, że Czarny Filtr przysłał pana, by mnie powstrzymać. To o wiele większy komplement, niż moja rodzina kiedykolwiek mi powiedziała.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony - skwitował Frankenstein.
- Czemu nie zlecisz na dół, żebym mógł ci pokazać, jak bardzo się z tego cieszę?

- Och, nie sędzę - rzekł Harker. - Podoba mi się widok z góry. Widzę was wyraźnie, a wy nie widzicie nic. To doskonale pasuje do moich celów.

- Jakich? - spytał Frankenstein.

- Decyduję, jak zabić waszą trójkę - powiedział Harker. - Najchętniej pozwoliłbym wam zasmakować tego, co wasz ukochany Departament mi zrobił, ale obawiam się, że na to zwyczajnie nie mamy czasu. Przeszywający ból będzie musiał wystarczyć.

Matt przekręcił tarczę, włączył tryb termiczny i przeskanował wzrokiem ciemność ponad maszynami. Szukał jakiegoś ruchu, charakterystycznych świecących czerwonych plam, ale nie dostrzegł niczego. Serce waliło mu w piersi, a nogi miał jak z waty.

- Gdzie on jest? - spytał. - Nie widzę go.

- Nie wiem - odparła Kate. - W którymś momencie będzie się musiał ujawnić. Miej oczy szeroko otwarte.

- Jestem gotów na twój znak, Albercie - powiedział Frankenstein. - A tak na marginesie: zaczęły mnie irytować te maszyny. Z pewnością to rozumiesz.

Potwór ruszył biegiem do przodu, unosząc broń. Wcisnął lufę do otworu wentylacyjnego z boku maszyny kończącej proces drukowania i trzy razy nacisnął spust. Maszyna wybuchła, jej panele się powyginały, a wewnątrz się posypało. Wszystko się zatrzymało. Egzemplarze „The Globe” szybko zapchały wnętrze i linię, blokując taśmociąg. Na hali włączały się alarmy, kiedy kolejne maszyny zatrzymywały się jedna po drugiej.

Pełen furii krzyk rozniósł się echem z ciemności ponad ich głowami. Matt się przygotował.

„Nadchodzi”.

Ale nic się nie wydarzyło. Krzyk ucichł i gdzieś w oddali usłyszeli dźwięk pękającego szkła.

- To go naprawdę wkurzyło - powiedziała Kate. - Czy to był dobry pomysł?

Frankenstein warknął.

- Nie zaszkodzi - stwierdził. - Wściekli ludzie popełniają błędy. A bez tych przeklętych maszyn będziemy lepiej słyszeć.

Matt otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie miał szansy. Zasuwane drzwi, na których opierała się cała piątka, z ogłuszającym piskiem rozdieranego metalu eksplodowały do wewnątrz, rozrzucając ich po całej części załadunkowej. Metalowa framuga trafiła Matta w krzyż. Przeszyła go fala obezwładniającego bólu. Uderzył o ziemię i przeczołgał się do przodu, zaciskając zęby i czując dudniącą w głowie krew. Po całej hali rozeszły się odgłos ciężkich tąpnięć oraz pełne szoku i bólu krzyki.

Matt uniósł głowę i zobaczył, że jego ojciec przetacza się po podłodze, a z rany na jego czole spływa krew. Ojciec Kate leżał na plecach, a odkształcona framuga przygniatała jego nogi. Matt wykorzystał całą swoją siłę i obrócił się na plecy. Metalowy arkusz leżał mu na udach, ale mógł się ruszać. Odepchnął się do tyłu. Kate krzyczała z bólu. Zaryzykował spojrzenie w jej kierunku. Zobaczył, że drzwi przyciskają jej brzuch. Frankensteina nie było nigdzie widać, ale na krawędzi zniszczonych drzwi zaznaczało się spore wygięcie i tam prawdopodobnie leżał.

W miejscu, w którym przed chwilą znajdowały się drzwi, pozostał ciemny prostokąt otwarty na nocne niebo. Przez sekundę panowała cisza, a potem Albert Harker opadł swobodnie przez wejście. Kiedy szedł do strefy załadunkowej, jego oczy płonęły, a twarz wykrzywiał złośliwy uśmiech.

- Ot, i całe wasze szkolenie - powiedział ciepłym, przyjaznym tonem. - Tyle broni, taktyk i doświadczeń, a nie znacie nawet otoczenia.

Matt z całej siły odpychał się do tyłu. Skręcony metal drzwi ocierał mu golenie, co sprawiło, że krzyknął z bólu. Jego stopy dosięgły brzegu arkusza i przez okropną chwilę tam tkwił. Stłumił panikę i zignorował ból rozprzestrzeniający się od kostek, kiedy wyslizgiwały się spod metalu. Podniósł się, czując ukłucia bólu z tuzina miejsc, i ze wzrokiem utkwionym w nadchodzącego wampira zaczął się wycofywać.

- Matt! - zawołała Kate. Jej głos zabrzmiał głośno w jego uchu. - Matt, bądź ostrożny!

- Masz ducha walki - kontynuował Harker, uśmiechając się do niego szeroko. - Ależ z ciebie dzielny żołnierz. Założę się, że Czarny Filtr jest niesamowicie z ciebie dumny, prawda? Nie tak jak ze mnie. Powinienem być taki jak ty, ale nigdy nie dostałem szansy.

Wampir przeszedł po leżących drzwiach. Metal trzeszczał i gwałcił się pod jego ciężarem. Doszedł do jego brzegu i sfrunął na betonową podłogę. Kate wciąż się wiała, próbując unieść ciężki metal. Harker przez chwilę patrzył na dół, a potem zamachnął się nogą i trafił stopą w bok jej kasku. Rozległ się hałas jakby tłukącej się ceramiki i dziewczyna znieruchomiała. Wampir uniósł głowę i ponownie ruszył w kierunku Matta.

- Mój ojciec nie chciał, żebym dołączył do jego ukochanego Departamentu - powiedział Harker. - Wiedziałaś o tym? Założę się, że tak. Jestem pewien, że ty i twoi koledzy wciąż się śmiejecie z tego, co mi zrobił. Bo przecież na to zasłużyłem, prawda? Mogłem przynieść wstyd jemu i bratu, a to niedopuszczalne.

Drżącą ręką Matt uniósł megagnat. Udało mu się nie wypuścić broni, kiedy brzeg drzwi wyrzucił go do przodu, ale nie wiedział, czy podczas upadku nie została uszkodzona. Wampir szedł na niego z oczami płonącymi czerwienią, a on

wciąż się cofał.

- Nie zabiję cię - powiedział Harker, uśmiechając się do niego. - Przynajmniej nie od razu. Złamię ci kręgosłup i pozwolę patrzeć, kiedy będę zabijać twoich przyjaciół. To wydaje się sprawiedliwe.

Pełen egzemplarzy „The Globe” taśmociąg uderzył Matta w krzyż, blokując drogę ucieczki.

„O Boże. Zrób coś, zanim będzie za późno. O Boże. O Boże”.

Oparł megagnat o ramię, spojrział wzdłuż lufy, głęboko odetchnął i nacisnął spust. Metalowy kołek wystrzelił z głośnym hukiem eksplodującego gazu. Harker uśmiechnął się szerzej i z nieludzką prędkością odsunął się w lewo. Kołek przeleciał obok niego i uderzył w ścianę.

Matt wypuścił broń na podłogę i wyciągnął MP5 z za pasa. Panika zalała jego ciało, zaciskając się na sercu. W każdej chwili mógł zacząć płakać ze skrajnej udręki. Uniósł pistolet, choć ręce miał tak słabe jak niemowlę, i już miał nacisnąć spust, kiedy za Albertem Harkerem wyrósł ciemny kształt, o wiele od niego wyższy i szerszy.

Nastąpił jakiś ruch i pięść wielkości piłki do koszykówki wbiła się w bok głowy Harkera, rzucając go na drugą stronę strefy załadunkowej. Wampir wpadł na jedną z maszyn z ogłuszającym hukiem i osunął się na podłogę. Matt wciąż trzymał MP5 w dłoniach i z szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą stał wampir. Teraz znajdowała się tutaj ogromna postać Frankensteina. Jego kask gdzieś znikł, a szarozieloną twarz wykrzywiała furia.

- Jesteś ranny? - warknął.

Matt pokręcił głową z szeroko otwartymi oczami. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała gwałtownie.

Frankenstein skinął głową, przebiegł pomieszczenie i uniósł Alberta Harkera. Kiedy twarz wampira stała się widoczna, Matt gwałtownie nabrał powietrza. Nos krwiożerczej istoty

był zmiażdżony, przednie zęby wybite, a z rany biegnącej przez całą szerokość czoła ciekła krew. Ale najgorszy był głos wychodzący z jego ust - wysoki, piskliwy dźwięk, który okazał się śmiechem. Matt zorientował się o ułamek sekundy zbyt późno, żeby ostrzec Frankensteina.

Pięść krwio pijcy grzmotnęła w brzuch potwora, wybijając z jego płuc powietrze. Zwolnił uścisk i uniósł się lekko nad ziemię, podczas gdy Frankenstein zatoczył się do tyłu.

- Ładny cios - powiedział wampir, rozmasowując tył głowy. - Chciałbyś się założyć, że drugi raz ci się to nie uda?

Frankenstein głęboko nabrał powietrza, wyprostował się i spojrział na przeciwnika.

- Nie jestem hazardzistą - rzucił. - Nie wierzę w przypadek.

- Interesujące. - Na zmasakrowanej twarzy Harkera pojawił się uśmiech. W tej samej chwili rzucił się naprzód z ramionami wyciągniętymi przed siebie, gotowymi do chwytu.

Frankenstein go zobaczył. Obrócił się, niemożliwie szybko jak na osobę jego rozmiarów, i ogromnym przedramieniem uderzył wampira w locie.

Uśmiech znikł z twarzy Harkera, kiedy tylko huknął o beton, pozostawiając w nim długą wyrwę. Chmura pyłu wzbijała się w powietrze, zawirowała i zafalowała, kiedy Frankenstein w nią wbiegł. Zdumiewające, że zanim dobiegł do wampira, Harker był już na kolanach.

Frankenstein nawet nie zwolnił. Zamachnął się jedną ze swoich przypominających pnie nóg i kopnął wampira w pierś. Rozległ się głośny trzask i kiedy Harkera wyrzuciło w powietrze, krzyknął z bólu, chwytając się za strzaskane żebra i splot słoneczny. Krew podeszła mu do ust i prysnęła wokół, gdy krzyknął. Płonące oczy poruszały się szaleńczo w oczodołach.

Padł na podłogę, a Frankenstein uniósł stopę, najwyraźniej zamierzając wdeptać głowę wampira w beton i zmiażdżyć w nim resztki życia. Opuścił ją z wyrazem wściekłości na dużej

znieskształconej twarzy, ale w nic nie trafił, bo Albert Harker odskoczył na bok. Prześlizgnął się po podłodze, jednocześnie obracając się na plecy. Potem poderwał się na nogi. Frankenstein się odwrócił i dwaj mężczyźni, którzy pod pewnymi względami byli więcej niż tylko ludźmi, stanęli twarzą w twarz.

Matt obserwował tę scenę. Zapomniał o broni, kiedy dwa potwory rzuciły się w swoim kierunku, zderzając się z hukiem rozpędzonych pociągów. Kątem oka zobaczył, że Kate ruszyła rękami, i usłyszał w słuchawce niski, odległy jęk. Nie odrywając wzroku od toczącej się walki, wołał do niej po imieniu, starając się wyrwać ją ze stanu nieprzytomności, w który wprowadził ją kopniak wampira.

Kiedy Albert Harker wbił pięść w bok Frankensteina, potwór poczuł, że pękło mu jedno z żeber. Zacisnął szczękę, kiedy wampir go okrążył. Nie zamierzał pokazywać, jak wiele kosztował go ten cios.

„Jest silny. Bardzo silny”.

Odepchnął od siebie tę myśl. Skupianie się na potędzie przeciwnika nie przynosiło żadnych korzyści. Harker ponownie na niego natarł. Frankenstein zrobił unik najpierw w lewo, potem w prawo. Palce wampira przecięły powietrze w miejscu, gdzie była jego twarz. Olbrzym z prędkością błyskawicy wyciągnął ramię i pochwycił Harkera za nadgarstek. Jednocześnie ścisnął go i wykręcił. Poczul satysfakcję, kiedy pod jego naciskiem pękły kości.

Harker zawył z bólu, wyszarpnął poranioną rękę i się wycofał. Frankenstein głęboko odetchnął i poczuł, jak powietrze zatrzymuje mu się w płucach, kiedy Harker znów skoczył do przodu, zdecydowanie za szybko, i trafił go z całej siły w brodę. Boi opanował jego czaszkę i kiedy osunął się w tył na podłogę, pochłonęła go ciemność. Jego ostatnia myśl

była prosta:
„Za wolno”.

Matt patrzył z przerażeniem, jak potwór opada na beton. Jęczenie w jego uchu stawało się głośniejsze, ale go nie słuchał. Jego umysł był otumaniony widokiem pokonanego Frankensteina. Albert Harker chwiał się, jednocześnie trzymając się za pierś. Wyglądało na to, że ten cios kosztował go większość sił, podobnie jak jego ofiarę. Potem wypluł ciemną skrzeplinę, wyprostował się i odwrócił się do Matta.

Powoli szedł w jego stronę z uśmiechem na zniszczonej twarzy, który zwiastował nieuniknione. Hałas w uchu chłopaka stał się głośniejszy i zmienił się jego rytm. Chłopak z desperacją wpatrywał się w okropną zbliżającą się do niego postać, kiedy zdał sobie sprawę, że znajomy, choć skatowany głos Kate mówi dwa słowa. Skupił otumaniony umysł i usłyszał je.

- Broń... UV.

Szerzej otworzył oczy. Sięgnął w dół i wydobył ciężki cylinder zza paska. Albert zdążył lekko zmarszczyć brwi, zanim Matt wycelował w jego twarz i nacisnął przycisk.

Fioletowe płomienie buchnęły z ciała wampira, który krzyknął w agonii. Harker uderzał się dłońmi w twarz, upadł na kolana. Ogień lizał jego palce, paląc je na czerwono. Dym zaczął się unosić z jego całego ciała. Matt obserwował to, czując, jak żołądek mu się przewraca, kiedy Harker zdusił rozszalałe fioletowe płomienie i uniósł głowę.

Chłopak zobaczył niewiele więcej niż czaszkę. Jedno oko znikło, drugie obracało się szaleńczo. Skóra na twarzy wampira rozpadła się, ujawniając grube mięśnie i lśniąca białą kosc. Jego język został wypalony, a dźwięki dochodzące z gardła były co najwyżej niezrozumiałym pomrukiwaniem. Potem wampir podniósł się niewiarygodnie powoli.

Ból był rozdzierający. Albert Harker miał wrażenie, że jest rozcinany na kawałki tysiącem żyłek. Jego twarz bolała tak bardzo, że nie uważał tego za możliwe, a nozdrza miał pełne smrodu własnego spalonego ciała. Otumaniony, zszokowany umysł starał się utworzyć jedną spójną myśl, ale Harker czuł, jak za każdym razem mu umyka. Właściwie nie wiedział dlaczego, ale poderwał się na nogi i jednym okiem rozejrzał się po strefie załadunkowej. Pracownicy drukami patrzyli na niego z przerażeniem na twarzach. Jeden z agentów Czarnego Filmu kręcił się pod przygniatającymi go metalowymi drzwiami, drugi wycofał się aż do taśmociągu, a ten wielki potwór leżał na podłodze. Pete Randall i Greg Browning patrzyli na niego z obrzydzeniem malującym się na bladych twarzach. A McKenna? Kevin McKenna nie żył. Albert własnoręcznie rozerwał mu gardło. Krew dziennikarza pokrywała jego skórę do chwili, kiedy strawił ją fioletowy płomień.

Do jego otumanionego umysłu przedarła się świadomość, niosąc ze sobą głosy ojca i brata.

„Porażka. Rozczarowanie. Wstyd”.

Harker odchylił głowę do tyłu i zawył. Dźwięk był surowy, poszarpany i w niczym nie przypominał ludzkiego głosu. Przez długi czas kontrolował cierpienie wywołane tym, co mu zrobiono, wykorzystując je jako paliwo podtrzymujące płomień jego pragnienia zemsty. Teraz zostało uwolnione, opanowując jego ciało i grożąc rzuceniem go na kolana.

„Bezużyteczny. Czarna owca. Gorszy”.

Spojrzał na taśmociąg, na setki egzemplarzy gazety. Zabił, żeby je wydrukować. Poczul, jak coś się w nim otwiera. Miał wrażenie, że płomień zniszczył jego duszę, pozostawiając pustą skompę, która sprowadziła na siebie potępienie, gdy przelała niewinną krew.

„Opuszczony. Zbędny. Hańba”.

Harker ponownie zawył, kiedy głosy ojca i brata krzyczały, że udowodnił, iż mieli rację, i że zasłużył na wszystko, co go spotkało. W jego myślach pojawił się Kevin McKenna, jego pełna zdenerwowania szczerą twarz, z wymalowanym na niej oskarżeniem. Z rozerwanego gardła ciekła krew, kiedy zadał pytanie, które powtarzał tak często, a na które Harker za każdym razem odpowiadał kłamstwem.

„Ale nikomu nie stanie się krzywda, prawda?”.

Wampir ruszył w jego kierunku chwiejnym krokiem. Z jego głowy i szyi unosił się dym. Matt wypuścił zużyty pistolet UV i wyjął z za pasa kołek. Trzymał go przed sobą drżącą dłonią. Wszelki rozsądek został przegnany przez nieustępliwy strach i horror, który się wokół niego rozgrywał.

Albert Harker zatrzymał się przed nim. Jego oddech był urywany i świszczący, a jedno pozostałe oko obracało się w oczodole. Odległość pomiędzy nim a kołkiem w ręku przerażonego nastolatka wynosiła ledwie kilka centymetrów.

- Niech będą z ciebie dumni - powiedział wampir niewyraźnie. - Powiedz mojemu ojcu i mojemu bratu, co zrobiłeś. Będą z ciebie tacy dumni.

Matt nie mógł się ruszyć. Jego uwagę przykuwał dymiący, zniszczony chaos w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się twarz Harkera. Nie potrafił oderwać od niego oczu.

Wampir warknął, a potem się poruszył, unosząc ręce ku szyi chłopaka. Matt się otrząsnął i pchnął kołek do przodu, ale był zbyt wolny, o wiele za... Trach!

Matt patrzył ze zdumieniem, jak kołek znika w piersi Alberta Harkera. Krew zaczęła lecieć z rany, spływać po metalowym pocisku i moczyć mu rękawicę, ale wampir zdawał się tego nie zauważać. Spojrzał w dół. Białko jego pozostałego oka było czerwone, a źrenica czarna. Potem spojrzał w górę na Matta i

zadrgały mu kąciki ust.

„Uśmiecha się - pomyślał Matt. - To wygląda, jakby się uśmiechał”.

A potem Albert Harker wybuchł w akompaniamencie grzmotu parującej krwi, która zmoczyła Matta od czubka głowy aż po palce u stóp.

*

Matt Browning rozejrzał się wokół po cichej strefie załadunku. Powiększająca się kałuża krwi, która kiedyś była Albertem Harkerem, połyskiwała we fluorescencyjnym świetle. Kate nadal przygniatały powalone drzwi, ale chrypiała do jego ucha ledwo zrozumiałe gratulacje i wiwaty. Frankenstein leżał na podłodze. Jego pierś miarowo unosiła się i opadała. Pracownicy drukami zebrali się razem obok wózka widłowego, razem z...

Mattowi oddech ugrzązł w piersi.

Pośród krzyków i rozlanej krwi zdołał już zapomnieć, co sprawiło, że on i Kate podjęli się tej nieprzemyślanej misji skonfrontowania się z Albertem Harkerem. Teraz, kiedy patrzył na bladą, ściągniętą twarz ojca, przypomniawszy sobie.

Greg Browning stał obok Pete a Randalla. Na ich twarzach malował się identyczny szok. Przytłoczyła go chęć pobiegnięcia tam i uściskania ojca, ale opanował się i zmusił do rozsądnego myślenia. Głęboko odetchnął i ruszył do Kate, która zmagala się z przygniatającymi ją drzwiami. Złapał za krawędź i jęcząc z wysiłku, uniósł je tak, by mogła się spod nich wyczołgać. Wstała i mocno go uściskała.

- Niesamowite. - Nikt w hali nie słyszał jej głosu. - Jesteś niesamowity. Załatwiłeś go, Matt. Załatwiłeś go.

- Nie jestem tego taki pewien - odparł. - Wydaje mi się... Nie wiem.

Kate się od niego odsunęła, ale trzymała ręce na jego ramionach.

- Co masz na myśli?

- Powiedział mi coś - odparł Matt. - Powiedział, że powinienem sprawić, by jego ojciec i jego brat byli dumni. Potem się zaśmiał i... - Umilkł i nabrał powietrza. - Mógł z łatwością uniknąć kółka, gdyby tego chciał. Ledwie nim poruszyłem. To było raczej jak... Nie wiem.

- Co chcesz powiedzieć?

- Nie wiem.

- Matt, ale dlaczego miałby to zrobić?

- Nie wiem. Ale mógłbym przysiąc, że zanim umarł...

- Co? Mógłbyś przysiąc, że co?

- Mógłbym przysiąc, że się uśmiechnął.

- Jezus. - Jej głos wciąż brzmiał jak skrzek. - To okropne.

- Wiem - przyznał Matt.

- Mimo to - odparła - jesteś agentem, który zniszczył Alberta Harkera. Nikt nie będzie dbał o szczegóły. Zostaniesz bohaterem.

- Nie czuję się jak bohater - stwierdził.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Wreszcie przerwał ją Matt

- Co teraz robimy? - spytał. - Co zrobimy z naszymi ojcami?

- Nie wiem - odrzekła. - Najpierw musimy się zająć kimś innym.

Wzięła go za ramię i zaprowadziła tam, gdzie leżał Frankenstein. Kucnęli po jego dwóch stronach, a Kate złapała go za rękę i lekko potrząsnęła. Powieki potwora zadrżały, a z jego nierównych ust wydobył się jęk.

- Pułkowniku? - odezwała się Kate. - Pułkowniku Frankenstein? Słyszysz mnie?

Potwór powoli otworzył oczy. Obróciły się niepokojąco, a potem skupiły na nachylających się nad nim fioletowych wizjerach.

- Słyszę - mruknął. - Gdzie jest Harker?

- Zginął - poinformował Matt.

- Kto go dorwał?

- To nieistotne - powiedział chłopak. - Odszedł Frankenstein odepchnął się od podłogi i usiadł. Rozejrzał się po szczątkach pomieszczenia.

- Wybaczcie mi - rzekł. Jego głos brzmiał jak odległy grzmot.

- Zawiodłem was.

- Nie bądź niemądry - rzuciła Kate. - Przecież wszyscy nadal tu jesteśmy, prawda?

- Mało brakowało - odparł Frankenstein. Uniósł dłoń do brody i się skrzywił.

- Możesz to zgłosić? - spytał Matt. - My musimy coś zrobić.

Frankenstein zmarszczył brwi. Potem zauważył nieruchome sylwetki Petea Randalla i Grega Browninga i mruknął ze zrozumieniem.

- Nie będę was zatrzymywał. Idźcie. Ja to zgłoszę.

Kate kiwnęła głową i podała Mattowi rękę. Podciągnęła go i powoli zaprowadziła w stronę miejsca, gdzie stali ich ojcowie. Matt zobaczył, jak jego tata szerzej otwiera oczy i robi pół kroku w tył. Poczul wstyd.

„Boi się mnie - pomyślał. - Obaj się boją”.

Stojąca obok niego Kate sięgnęła w górę i zdjęła kask. Pokręciła głową i blond włosy opadły jej na uszy. Głęboko odetchnęła i spojrzała na tatę.

Z twarzy Pete'a Randalla odpłynęła krew, jakby nagle przełączono go na tryb monochromatyczny.

Złapał się za pierś. Przez straszną sekundę Matt sądził, że mężczyzna ma atak serca. Jego przyjaciółka zrobiła krok do przodu z niepokojem w oczach.

- Kate? - szepnął Pete Randall. Skinęła głową.

- To ja - odparła zachrypniętym głosem. - Jak...

Więcej nie zdołała powiedzieć. Jej ojciec podbiegł i uniósł ją nad ziemię, przyciskając do piersi.

Matt patrzył ze łzami wzbierającymi w kącikach oczu, jak ojciec Kate zaczyna niekontrolowanie szlochać na jej

ramieniu. Potem odwrócił się do swojego ojca, który patrzył na przyjaciela i jego córkę z większym ciepłem i empatią, niż Matt widział przez szesnaście lat mieszkania pod jednym dachem. Nabrał powietrza i zdjął kask. Ojciec zerknął w jego kierunku, ale ponownie skupił uwagę na Pecie i Kate. A potem bardzo powoli znów spojrzał na syna.

- Matt? - spytał. - Mój Boże. To naprawdę ty?

- To ja - odparł Matt. - Cześć, tato.

Greg przyglądał mu się przez dłuższą chwilę szeroko otwartymi oczami, nie mrugając. A potem powoli zrobił krok do przodu i objął syna.

TEN STATEK JUŻ ODPLYNĄŁ

Jack Williams poprowadził swój oddział przez skąpaną we krwi recepcję do wielkiej hali z prasą drukarską.

- Tutaj dwóch martwych - powiedział Todd McLean, zatrzymując się na chwilę przy ciałach zakneblowanych mężczyzn w niebieskich kombinezonach.

- Zostaw ich - powiedział Jack, nawet na nich nie patrząc. - Harker jest priorytetem.

Wszedł do hali i ruszył pomiędzy cichymi maszynami z megagnatem na ramieniu. Angela Darcy szła za nim, a na końcu kroczył McLean, rzucając ostatnie spojrzenie na zwłoki.

Wściekły Jack szedł wzdłuż długiej hali. Ich pilot wycisnął z helikoptera wszystko, rozwijając taką prędkość, że kadłub maszyny protestował, ale Jack i tak był zdolowany, ponieważ miał pewność, że to za mało. Od dawna był agentem i ufał intuicji, która teraz podpowiadała mu, że przybyli za późno.

Gdy wyszli z za rogu na końcu długiego taśmociągu, od razu spostrzegł, że się nie mylił. Pułkownik Frankenstein stał z jednej strony szerokiej strefy załadunkowej, a z drugiej strony, przy wózku widłowym, tłoczyło się pięciu mężczyzn w niebieskich kombinezonach. Na środku dostrzegł ogromny rozbryzg krwi, a Matt Browning i Kate Randall obejmowali dwóch mężczyzn, których nie rozpoznawał. Po Albercie Harkerze nie było śladu.

- Co to, u diabła, ma znaczyć?! - krzyknął, biegnąc w ich stronę. - Browning, Randall. Natychmiast zdajcie mi raport.

Matt i Kate odsunęli się od cywili i odwrócili w jego stronę.

- Jack - zaczęła Kate. - Co...?

- Kazałem ci zdać raport, porucznik Randall. - Jack kipiał z wściekłości. - Zaczynj od wskazania miejsca pobytu Alberta Harkera, a potem podaj mi naprawdę dobry powód, dla którego postanowiliście wyruszyć za tym konkretnym priorytetowym celem, nie informując zwierzchników.

- Jack, uspokój się - powiedział Frankenstein niskim głosem.

- Nie uspokoję się! - krzyknął Jack. Wszyscy się wzdrygnęli.

- Moja jednostka miała za zadanie zniszczyć Alberta Harkera! Cał złożył na mnie tę odpowiedzialność i... i... - Głęboko odetchnął i poczuł, jak ogień opuszcza go równie szybko, jak się pojawił. - Kate, po prostu powiedz mi, co się stało.

- Harker nie żyje - odparła, wskazując na dużą kałużę krwi. - Matt go zniszczył.

- Matt? - spytał Jack, patrząc na chłopaka.

- Na to wygląda. - Tak czy inaczej nie żyje.

- A McKenna?

- Martwy - powiedział Frankenstein. - Krew w recepcji należy do niego. Harker go zabił.

- Dobra - skwitował Jack. - Harker nie żyje, McKenna też.

Ktoś jeszcze?

- Ochroniarz, który pilnował recepcji - poinformował Frankenstein. - I trzech pracowników.

- Przynajmniej wasza trójka wciąż oddycha - rzekł Jack. - Kim są ci dwaj?

- Wskazał na mężczyzn stojących za Kate i Mattem.

- Pete Randall - odparł ojciec Kate, robiąc krok do przodu.

- Miło mi poznać.

- Wzajemnie. - Jack nie dowierzał. - Co pan tu, u diabła, robił, panie Randall?

- Sądziłem, że pomagam Kevinowi McKennie zdemaskować

istnienie wampirów. Nie zdawałem sobie sprawy, że chodzi o zemstę Alberta Harkera, do czasu gdy było za późno.

- Pomagaliśmy mu. - Greg Browning również podszedł bliżej.
- Obydwaj.

- Zakładam, że jest pan ojcem Matta - zgadł Jack.

- Greg Browning. Racja.

- No, oczywiście. - Jack poczuł narastającą absurdalną chęć, by się roześmiać. - Oczywiście. Wspaniale. Czy jest tu ktoś jeszcze? Ktokolwiek, kto był zamieszany w ten kompletny bałagan?

- Nie. Ja i Greg. I McKenna, i Harker. Ci mężczyźni nie mieli z tym nic wspólnego. - Pete wskazał na pięciu robo-tników w niebieskich kombinezonach, którzy przysłuchiwali się rozmowie z wyrazem zagubienia na twarzach.

- W porządku - odparł Jack. - Zaraz przyślę tu wydział bezpieczeństwa. Wyjaśnią im sytuację. Nic się nie stało.

- Tego bym nie powiedział - skwitował Pete. - Przynajmniej nie do końca.

- Podszedł do taśmociągu, wziął jedną z przerobionych kopii „The Globe” i podał ją Jackowi.

Ten zmarszczył brwi, przeczytał pierwszą stronę i poczuł, jakby serce zamarło mu w piersi.

- Jezu Chryste - powiedział i uniósł gazetę, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

- Co wyście, do cholery, zrobili?

- To nie oni - odparł Frankenstein. - To Albert Harker.

- Nie - zaproponował Pete Randall. - Wiedzieliśmy, co robimy. Nikt nas do tego nie zmuszał.

- Jezu Chryste - powtórzył Jack. - Nie mogę w to uwierzyć. Chcicie mi powiedzieć, że zostały już rozwiązane?

Pete przytaknął.

- Ile? - spytał Jack, podnosząc głos. - Ile egzemplarzy opuściło ten budynek?

Pete spojrzał na pracowników drukarni. Jeden z nich

podszedł bliżej, wyraźnie zdenerwowany.
- Sto tysięcy - powiedział. - Mniej więcej.

CO MOGŁO PRZEPAŚĆ

- Kiedy wyjechała pierwsza ciężarówka? - spytał Jack.

- Jakaś godzinę temu.

- Dokąd?

Mężczyzna w niebieskim kombinezonie wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? - Jack się zdziwił. - Nie macie raportów ani grafiku?

- Normalnie tak - odparł mężczyzna. - Ale normalnie jest nas ośmiu, nie pięciu. I normalnie nie lata nam nad głowami cholerny potwór, który grozi, że nas zabije.

- Niech to szlag - powiedział Jack. - Mówisz, że nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, gdzie jadą załadowane ciężarówki?

- Przykro mi - odparł mężczyzna.

- Jack, musisz zobaczyć jeszcze coś - wtrącił Frankenstein. Jack spojrział na potwora.

- Co takiego?

- Chodź ze mną - poprosił pułkownik. - To w dziale redakcyjnym. Pokażę ci.

Rzucił Mattowi Browningowi spojrzenie, a chłopak skinął głową. Dobrze wiedział, co robi potwór.

„Kupuje nam czas. Nie wie, co się stanie z naszymi ojcami, więc chce nam dać trochę czasu”.

- Jezus. - Jack westchnął. - W porządku. Darcy, McLean, zabezpieczcie teren. Jeśli pojawią się nowe ciężarówki,

zatrzymajcie je tutaj. Nic nie opuści tego budynku, chyba że ja tak powiem. Randall, Browning, wy czekajcie tutaj z ojcami. Czy to jasne?

- Tak, sir - odparła Kate.

Matt przytaknął i czekał, aż oddział operacyjny F-7 rozejdzie się po strefie załadunkowej, a Frankenstein oprowadzi Jacka Williamsa pomiędzy cichymi maszynami. Kiedy znikli, odwrócił się do ojca, czując narastającą wściekłość. Zamierzał spytać, co on do licha, wyprawia i czy rozumie, jak wielkie zrobił szkody, pomagając wydrukować gazety, które leżały za nimi. Ale oburzenie znikło, kiedy zobaczył minę ojca.

Greg Browning patrzył na niego z wściekłością.

- Zostawiłeś nas - oskarżył syna drżącym głosem. - Matkę siostrę i mnie. Zostawiłeś nas bez cholernego słowa. Myśleliśmy że nie żyjesz.

- Przepraszam. - Matt poczuł narastającą w gardle gulę. - Naprawdę, tato, jest mi przykro. Ale musiałem. Miałem szansę zrobić coś ważnego. Coś, o czym nie mogłem wam powiedzieć

- Nie rozumiem - stwierdził Greg. - Jesteś jednym z nich? Jednym z ludzi, którzy cię zabrali?

Matt przytaknął.

- Właściwie to jestem naukowcem, ale tak. Pracuję dla nich.

- Kim są?

- Tato, nie mogę ci tego powiedzieć. I tak wiesz już za dużo.

- Nie mogłeś nam wyjaśnić, co robisz? - Głos Grega był coraz wyższy. Osiągał głośność i ton dobrze znane Mattowi. - Nie mogłeś się nawet pożegnać z matką?

- Przepraszam - odparł Matt. - Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Panie Browning - wtrąciła się Kate. - Matt nie zamierzał zranić ani pana, ani matki. Mogę to panu przysiąc.

- Skąd możesz wiedzieć, co zamierzał? - spytał Greg, patrząc na dziewczynę. - Pozwoliłaś ojcu wierzyć, że nie żyjesz. Co ty

możesz wiedzieć o współczuciu?

- Co zrobiłam? - Głos uwiązał jej w gardle.

- Pozwoliłaś mi wierzyć, że nie żyjesz - powtórzył Pete Randall. Jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu. - Powiedzieli mi, że umarłaś, Kate. Prawie im uwierzyłem.

Poczuła wyrzuty sumienia tak silne, że niemal było to dla niej fizycznie bolesne.

„Powiedzieli mu, że nie żyję? Mówili mi, że nigdy tego nie zrobią”.

Przypomniała sobie rozmowę, którą odbyła tego ranka, kiedy zgodziła się wstąpić do Czarnego Filtru. Jej jedynym warunkiem, jedyne, o co prosiła i co było absolutnie nie do negocjowania, było to, żeby jej ojciec dowiedział się, że jest cała, zdrowa i bezpieczna.

Poczuła narastającą wściekłość.

„Major Gonzalez obiecał, że przekażą mu, że jestem cała. Powiedział to, patrząc mi w oczy. Mieli odczekać kilka tygodni, aż sprawa przycichnie, jednak zapewnił, że poinformują go, że robię coś tajnego, ale nic mi nie jest”.

Nagle dotarło do niej, dlaczego jej ojciec tutaj stał, dlaczego znalazł się w towarzystwie potwora, jakim był Albert Harker. Ta świadomość niemal ją przytłoczyła. Nie spędził ostatnich miesięcy dumny z córki, która robiła coś ważnego. Przez ostatnie miesiące zastanawiał się, czy jego jedynaczka żyje, czy jest martwa.

„Musiał czuć się tak, jakby nie miał nic do stracenia”.

- Przepraszam, tato - odparła. - Nigdy nie chciałam, żebyś tak myślał. Nie wiedziałam, że to ci powiedzieli.

- I to ma wszystko naprawić? - spytał Pete. - Zostawiłaś mnie, nawet nie mówiąc „do widzenia”, a ja mam przejść nad tym do porządku?

- Ona naprawdę nie wiedziała - potwierdził Matt. Żołądek mu się przewracał. Ta bolesna mieszanka poczucia winy i wzajemnych oskarżeń nie była tym, czym powinno być

ponowne spotkanie z ojcami. - Wiem, co jej powiedziano.

- Nie obchodzi mnie, co jej powiedziano! - krzyknął Pete i Matt się wzdrygnął. - Przez trzy miesiące byłem sam w pustym domu na umierającej wyspie i zastanawiałem się, co cię spotkało! Trzy miesiące! Jak mogłaś mi to zrobić, Kate?! Po tym, co stało się z twoją matką?!

Wstrząśnięta Kate szerzej otworzyła oczy.

- Nie mieszaj jej w to - odezwała się dziewczyna. - To nie moja wina, że umarła, tato. Nie możesz mnie za to winić

Pete wyraźnie posmutniał.

- Nie mieszam jej w to - odparł cicho. - I nie winię cię. Ani przez sekundę tak nie myśl. Ale, Kate, tęskniłem za tobą. Bardzo tęskniłem.

Kate wzięła ojca za rękę i spojrzała mu w oczy.

- Ja też za tobą tęskniłam - przyznała. - Nigdy nie chciałam, żeby zraniło cię to, co zrobiłam, chociaż w głębi serca pewnie wiedziałam, że tak będzie. Ale, tato, to była okazja, żeby coś zrobić, być może jedyna, jaką dostałabym w życiu. To była moja szansa.

- Nigdy bym cię nie powstrzymywał - odparł Pete. - Odkąd miałaś pięć lat, wiedziałem, że pewnego dnia będę musiał się z tobą pożegnać. Lindisfarne nigdy nie byłoby dla ciebie wystarczająco duże, i to nic złego. W porządku. Chciałem, żebyś kształtowała własne życie, i śmierć mamy tego nie zmieniła.

- Dla mnie owszem - powiedziała Kate drżącym głosem. - Nie potrafiłabym spakować walizki, powiedzieć „żegnaj” i zostawić cię samego w tym domu. Nie potrafiłabym.

- Więc pozwoliłaś, żebym sądził, że nie żyjesz? Uważasz, że to było lepsze?

- Nie wiedziałam, że to ci przekazali! - krzyknęła Kate - Już ci to mówiłam!

Nastąpiła długa chwila ciszy, głębokiej i pełnej napięcia. Ojciec i córka przyglądali się sobie, obydwójce głęboko

oddychając, obydwój z wyrazem złości na twarzach. Pete pierwszy spuścił

- Więc co właściwie robisz? - spytał niewiele głośniej od szeptu. - Dla tych ludzi, dla których pracujesz?

- Nie mogę...

- Nie możesz mi powiedzieć - odparł Pete. - Jasne.

- Przykro mi.

- Zabijasz wampiry?

- Tato. - Kate jęknęła bezradnie. - Wiesz, że nie...

Pete pokręcił głową i opuścił ją, jakby pograżył się w zadumie.

- Czy to właściwe? - spytał wreszcie. - To, co teraz robisz. Czy to właściwe?

- To konieczne - odparowała Kate.

- W porządku - powiedział jej ojciec. - To dobrze. - Potem przyciągnął do siebie córkę i ją objął.

Matt obserwował to z ulgą. Spojrzał na swojego ojca.

- Twoja matka będzie taka szczęśliwa - powiedział Greg.

- Ona... cóż. Będzie bardzo szczęśliwa.

- Jak ona się ma, tato? - spytał chłopak. - I co u Laury? Tęsknię za wami.

- Mają się dobrze. - Z głosu Grega znikła pewność siebie.

- Z tego, co mi wiadomo, wszystko u nich w porządku. Będzie taka szczęśliwa, kiedy usłyszy, że jesteś cały i zdrowy.

„Z tego, co ci wiadomo? - zadumał się Matt. - Dlaczego nie masz pewności?”.

Odpowiedź uderzyła w niego jak wiadro lodowatej wody.

„Zostawiła go. Kiedy znikłem, wzięła Laurę i też odeszła. Przez cały ten czas był sam?”.

Wtedy dotarło do niego, co mówił ojciec, i serce wypełnił mu smutek.

- Tato, nie możesz powiedzieć o mnie mamie - rzekł. - Jeśli cię wypuszczą, nie możesz nikomu powiedzieć o tym wszystkim.

- Co to znaczy: Jeśli cię wypuszczą"?

- Tato, a myślałeś, że co się stanie, jeśli was złapią? Że dostaniecie po łapach i zostaniecie odesłani do domu najbliższym pociągiem? To rządowa działalność, o wiele bardziej utajniona, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić. - Nagle poczuł wściekłość na ojca za jego głupotę i wplątanie się w ten cholerny bałagan.

- Dlaczego tu w ogóle jesteś, tato? Coś ty, u diabła, robił z kimś pokroju Alberta Harkera?

To Pete Randall mu odpowiedział. Ojciec Matta był tak wstrząśnięty, że nie mógł mówić.

- Nie wiedzieliśmy, czym był - odparł, wypuszczając córkę. - Sądzieliśmy, że pomagamy Kevinowi McKennie w zrobieniu czegoś dobrego, że ostrzeżemy ludzi przed wampirami. Nie wiedzieliśmy, że Harker tak naprawdę miał właśnie to w zamyśle

- Wierzę - powiedział Matt. - Wiem, że robiliście to, co uważaliście za słuszne. Ale myliliście się. To, że ludzie dowiedzą się o istnieniu tego wszystkiego, w niczym nie pomoże. Niczego to nie naprawi.

- Po prostu chcieliśmy coś zrobić - rzekł Greg Browning odzyskując głos.

- Nie chcieliśmy, żeby inni przechodzili przez to samo co my. Straciłem rodzinę. Petebwi powiedziano, że on także. Wszystko przez wampiry i tych przeklętych ludzi w czarnych uniformach. Co mieliśmy zrobić?

Kate spojrzała na Matta. Chłopak popatrzył na przyjaciółkę, ale nie powiedział.

Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie ojca.

POWROT DO DOMU

WHITE SANDS MISSILE RANGE, NEVADA, USA

Larissa unosiła się nad swoim łóżkiem z ramionami splecionymi pod głową. Zerknęła na stojący na stoliku zegar już chyba dziesiąty raz w ciągu ostatniej godziny.

6.42.

„Osiemnaście minut do chwili, kiedy generał Allen będzie oczekiwał na moją decyzję. A ja nadal nie wiem, co mam mu powiedzieć”.

Na jej biurku leżały dwie kartki, które przedstawiały dwie bardzo odmienne wersje przyszłości. Spojrzała na nie i poczuła, jak z niepewności przewraca jej się żołądek.

Spała, chociaż przez długi czas po opuszczeniu kwatery dyrektora NS9 sądziła, że nie będzie w stanie zasnąć. Kiedy już jej się to udało, sen był niespokojny i pełen koszmarów. Gdy się obudziła, a zegar oznajmiał, że jest dopiero po piątej rano, poddała się i poszła pod prysznic. Strumień wody nie pomógł jej rozjaśnić myśli. Kiedy wróciła do pokoju, nie była bliżej podjęcia decyzji niż wówczas, gdy siedem godzin wcześniej położyła się, aby rozważyć to, co przez długi czas wydawało jej się proste.

W ciągu tygodnia od przybycia do Nevady Larissa była właściwie pewna, kogo zabierze ze sobą do Czarnego Filtru. Tim poprosił ją o to, gdy tylko zaczęli razem pracować. Dzięki niemu poznała czwórkę z pozostałej piątki, czterech agentów, z którymi bardzo się zżyła: Karę, Kelly, Dannyego i Aarona.

Jej udział w ataku na siedzibę generała Rej ona dał jej ogromny wybór, jeśli chodziło o szóste miejsce, ale od razu polubiła Annę Frost, cichą, elegancką Kanadyjkę, która przypominała jej Kate Randall. I to powinien być koniec. Sześć nazwisk, sześciu agentów, którzy byliby atutami Czarnego Filtru i których z radością widziałyby w Pętli. Stanowiliby doskonały wybór dla niej i dla Departamentu.

Aż do chwili, kiedy Tim Albertsson wszystko popsuł.

„Nie jesteś sprawiedliwa - powtarzała sobie. - Oboje to popsuliście. Podobała ci się jego uwaga i mylnie zinterpretowałaś sytuację. To także twoja wina”.

Larissa wiedziała, że właśnie taka jest prawda, i była na siebie wściekła. Zaczęła się zastanawiać, czy z nią coś nie tak, czy ma jakąś wrodzoną tendencję do autodestrukcji. Chciała zabrać przyjaciół ze sobą do Czarnego Filtru. Wiedziała, że byliby po jej stronie i broniliby jej przed brakiem zaufania i podejrzeniami, z którymi regularnie zmagala się w Pętli. Ale teraz nie była pewna, czy może.

A wszystko przez głupiego, przystojnego i aroganckiego Tima Albertssona.

Nawet po Meksyku i Las Vegas wierzyła, że jest jeszcze czas, by rozwiązać ten problem i sprawić, żeby znikł. Jej delegacja miała potrwać jeszcze miesiąc. To mnóstwo czasu, żeby porozmawiać z Timem i uzmysłwić mu, że między nimi do niczego nie dojdzie, i mnóstwo czasu, żeby się z tym pogodził, zanim całą szóstką wyruszą do Pętli.

Bomba, jaką generał Allen zrzucił na nią ubiegłego wieczoru, pogrzebała tę nadzieję. Teraz nie miała już czasu, a skrępowanie i wstyd, które odczuwała, były zbyt świeże i zbyt silne. Nie mogła wrócić do Czarnego Filtru z Timem, nie w ten sposób, nie ze wspomnieniem jego pocałunku wciąż wyraźnym w jej pamięci, tego, jak na nią patrzył w klubie w Las Vegas, pragnienia wymalowanego na jego twarzy. Jak mogłaby przedstawić go Jamiemu, Kate i Mattowi? Przez cały

czas czułaby się jak na krawędzi, czekając, aż Tim powie coś nieodpowiedniego, czy to niechcący, czy naumyślnie, aby rozerwać delikatną więź łączącą ją z Jamiem.

Ryzyko było zbyt duże.

Ale złożyła mu obietnicę i wiedziała, że jeśli jej nie dotrzyma, nie może zabrać ze sobą pozostałych. Zrodziłoby to zbyt wiele pytań i zbyt wiele niechęci. Tim nigdy by jej nie wybaczył, gdyby złamała obietnicę, a do tego jeszcze zabrała ze sobą wszystkich jego przyjaciół.

„Jak mogłam narobić takiego bałaganu? - zastanawiała się. - Jak mogłam pozwolić, żeby coś tak dobrego się popsuło?”.

Larissa wstała z łóżka, czując gorąco w kącikach oczu. Osuszyło ono łzy, które prawie się w nich zebrały. Wisiała w chłodnym powietrzu swojej kwatery, głęboko odetchnęła, wypuściła powietrze i spojrzała na dwie kartki.

Na jednej były nazwiska agentów, które zamierzała podać generałowi Allenowi, kiedy nadejdzie pora. Na drugiej liście znajdowały się imiona mężczyzn i kobiet, którzy przysłużyliby się Czarnemu Filtrowi, ale oni nie byli jej przyjaciółmi. Zabranie ich oznaczałoby, że prawidłowo wypełniła swoje zadanie, ale też, że pozostawiła w Nevadzie szansę na poprawę swojego życia. Długo wpatrywała się w obie listy, aż zegarek wskazał godzinę 6.58.

„No dobrze - pomyślała. - W porządku”.

Opadła na ziemię i wzięła jedną z kartek. Przez chwilę stała bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w jakiś odległy punkt za ścianą przed nią. Potem otworzyła drzwi i poleciała korytarzem w stronę windy, nie patrząc za siebie.

- Jesteś tego pewna, Larisso? - Generał Allen siedział na jednej z kanap w swojej kwaterze, podczas gdy ona przycupnęła na drugiej i nerwowo wykręcała sobie palce dłoni. - To nie są nazwiska, których oczekiwałem.

- Czy to stanowi jakiś problem, sir? - spytała. Allen pokręcił głową.

- Żadnego - powiedział. - Po prostu jestem zaskoczony. Nie ma tu Tima ani Kelly, ani Kary? Żadnego z twoich przyjaciół?

- Nie, sir. - Larissa starała się mówić spokojnym głosem. - Zostałam tu przysłana, żeby zabrać sześciu agentów do Czarnego Filtru, a nie się zaprzyjaźniać, sir.

- Rozumiem. - Allen zmrużył oczy, wyraźnie coś podejrzewając. - Czego mi nie mówisz?

Larissa poczuła gorąco wypływające jej na policzki i siłą woli starała się opanować.

- Niczego nie ukrywam, sir - odparła. - To agenci, którzy w moim mniemaniu będą najlepiej pasować do Czarnego Filtru.

Generał Allen podniósł kartkę i ponownie przeczytał nazwiska.

- Kapitan Van Thai - powiedział. - Agenci Johnson, Schneider i Burgess. Rekruci Gregg i O'Malley. To z grupy, którą ty i Tim szkoliliście?

Larissa przytaknęła.

- Będą dobrymi agentami, sir.

- Nie mam co do tego wątpliwości - stwierdził Allen. - Wybór Jamesa Van Thala rozumiem. Służył już wcześniej w Czarnym Filtrze. Wiedziałaś o tym, kiedy go wybrałaś?

- Nie, sir - przyznała. - Ale to bonus.

- Johnson, Schneider i Burgess. Pracowałaś z nimi wszystkimi? Tylko bądź ze mną szczerą.

- Pracowałam z nimi wszystkimi - potwierdziła. - Poza tym zebrałam opinie od innych członków departamentu. Wszyscy wysoko ich oceniają.

Generał Allen położył listę obok siebie na sofie i zamilkł. Larissa obserwowała jego opaloną, naznaczoną doświadczeniem twarz i zastanawiała się, o czym myślał. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby odrzucił jej listę i nalegał, by zabrała do Anglii inną grupę agentów, ale była pewna, że nie

chciał tego robić.

- Wyrażę na to zgodę - oznajmił wreszcie. - Nie będę cię zmuszał, żebyś wyjaśniła mi, co tu się naprawdę dzieje, chociaż wiem, że jest coś, o czym mi nie mówisz. Ale chcę, żebyś wiedziała, że gdybyś chciała mi o czymś opowiedzieć, zostałoby to między nami. Dobrze?

Larissa poczuła ucisk w gardle. Głos generała był pełen dobroci. Nie oceniał jej.

- Wiem o tym, sir. - Dziękuję.

- Dobrze. - Allen wstał z kanapy i stanął przed nią. - Wylatujecie o dziesiątej. Wydam agentom rozkazy i każę im spotkać się z tobą w hangarze o wpół do dziesiątej. Podejrzewam, że większość z nich będzie zaskoczona.

Larissa wstała.

- Dziękuję, sir - odparła. - I dziękuję za to, że czułam się tu mile widziana.

Generał Allen uśmiechnął się szeroko.

- To była prawdziwa przyjemność, porucznik Kinley. Będę za tobą tęsknił.

- Ja za panem też - powiedziała. - Naprawdę.

Sześć godzin później odrzutowiec Mina II sunął gładko na wschód. Silniki ponaddzwiękowe pchały go nad płaską szaroniebieską powierzchnią Oceanu Atlantyckiego. Larissa siedziała przypięta pasami do jednego z siedzeń zamocowanych wzdłuż kabiny samolotu. Serce waliło jej w piersi.

Nie była przygotowana na siłę emocji, które nią zawładnęły, kiedy odrzutowiec pędził pasem startowym Strefy 51 i wzniósł się z gracją w jasne niebo Nevady. Smutek, jakiego oczekiwała, był ogromny. Ale nie przewidziała potężnego poczucia straty i samotności oraz ostrego klucia czegoś, co przypominało rozpacz. Przez jedną, pełną paniki chwilę

rozważała krzyknienie do pilota, żeby zawrócił i odstawił ich z powrotem, że zmieniła zdanie.

Ale na to było za późno. Sześciu agentów, których wybrała, siedziało w luku Miny, obserwując ją z wyrazem delikatnej ciekawości. Nie znikał on z ich twarzy od chwili, kiedy pojawili się w hangarze NS9, aby zgłosić się na misję, co do której nie podejrzewali, że staną się jej częścią.

Kapitan James Van Thai był wysoki, ciemnoskóry i w wieku, na oko Larissy, około czterdziestu lat. Głowę ogolił na łyso, a jego oczy miały piękny bladobrazowy odcień. Przed rekrutacją do NS9 służył w zwiadzie marynarki.

Jasnoróżowa szrama biegła od jego karku aż na głowę. Była wynikiem serii przeszczepów skóry, przeprowadzonych po tym, jak ponad dekadę wcześniej doznał poparzeń na irackiej pustyni.

Mówił delikatnie i był jedną z pierwszych osób, które powitały Larissę w Krainie Marzeń, nie wspominając nawet słowem o tym, że jest wampirem. Była pod wrażeniem i czuła głęboką wdzięczność. Kelly i Danny blisko z nim współpracowali, zanim został przeniesiony do wywiadu, i oboje wypowiadali się o nim w samych superlatywach, niemal z czcią. Urodził się w Angoli, w czasie trwania wojny o niepodległość. Podobno jego ojciec zginął, szmuglując nowo narodzonego syna za granicę kraju. Jej przyjaciele mówili, że Van Thai chętnie rozmawiał o tym ogólnie, ale nie wdawał się w szczegóły. Jego opinia w Krainie Marzeń przypominała tę, jaką cieszył się Paul Turner w Pętli, chociaż obydwaj mężczyźni nie mogliby się bardziej od siebie różnić. Van Thai był ciepły i przyjazny, zawsze uprzejmy i towarzyski.

Patrick Johnson i Mark Schneider byli do siebie tak podobni, że z łatwością można by ich pomylić, szczególnie w uniformach NS9. Obaj mieli po dwadzieścia kilka lat, krótko przycięte włosy i opaleniznę, która była czymś zwyczajnym dla stacjonujących na pustyni, gdzie temperatura za dnia

często przekraczała czterdzieści stopni. Dawni komandos oddziałów specjalnych SEAL od kilku lat dowodzili oddziałami operacyjnymi. Uważano ich za solidnych, doświadczonych agentów. W Pętli nikt nie będzie zdziwiony, że Larissa przywiozła ze sobą właśnie ich.

Carrie Burgess, wysoka kobieta o ostrych rysach twarzy, miała dwadzieścia kilka lat, czarne włosy i delikatną budowę. Nie wyglądała na agentkę CIA, którą była przed wstąpieniem do NS9, ale cieszyła się opinią jednego z najbystrzejszych analityków wywiadu w jednostce. Spokojna, opanowana, myślała strategicznie. Larissa pracowała z nią bezpośrednio tylko raz i uznała ją za dość nijaką. Ale Burgess współpracowała blisko z Timem Albertssonem i resztą programu agentów specjalnych NS9, co Larissie wystarczyło. W programie brali udział tylko najlepsi z najlepszych.

Tom Gregg ledwie co przestał być nastolatkiem. Niski i silny, miał bardzo ciemną skórę i ogromne oczy o nerwowym spojrzeniu. Wstąpił do armii zaraz po ukończeniu liceum i szybko zaimponował przełożonym determinacją i wytrwałością. Był już typowany na przyszłego członka oddziałów specjalnych, zapewne Delty, kiedy generał Allen wkroczył do akcji i zwerbował go do NS9. Doskonale sobie radził podczas treningów, które Larissa nadzorowała wraz z Timem Albertssonem. Przyjmował ciosy z milczącą wytrwałością, zawsze skory do nauki i poprawiania swoich umiejętności.

Laura O'Malley była niewiele starsza od Gregga, miała dwadzieścia dwa lub dwadzieścia trzy lata. Niska i niezwykle ładna. Jej ciemnorude włosy tak samo zdradzały przynależność do bostońskich Irlandczyków, jak jej nazwisko. Przybyła do Krainy Marzeń z NSA, niejasnej gałęzi aparatu ochrony bezpieczeństwa, gdzie większość z tego, co robiła, zostało utajnione. Larissa nie mogła się już doczekać, aż pozna ją z Angelą Darcy. Ścieżki kariery obydwu kobiet

wyglądały zadziwiająco podobnie, więc podejrzewała, że albo zostaną dobrymi przyjaciółkami, albo śmiertelnymi wrogami.

Larissa rozejrzała się po kabinie, po twarzach mężczyzn i kobiet zabieranych przez nią do Departamentu, który z taką samą siłą kochała i nienawidziła. Była pewna, że doskonale sobie poradzą, i cieszyła się na możliwość pracy z nimi. Ale na pokładzie Miny II znajdowało się coś o wiele ciekawszego niż oni, coś, do czego wciąż wracała myślami, powód, dla którego jej serce waliło w piersi po tym, jak wewnętrzny, fizyczny szok opuszczenia Nevady się rozwiął.

Na tyle kabiny dwóch agentów Czarnego Filtru w kaskach z opuszczonymi wizjerami i MP5 w dłoniach stało przed plastikową przesłoną, rozciągającą się od ściany do ściany i od sufitu do podłogi, tworzącą z tyłu zamkniętą przestrzeń. Na ławce na tyłach tego prowizorycznego pomieszczenia, w czarnym kapturze na głowie i z rękami skutymi za plecami, siedział mężczyzna, którego trzymano w jednej z cel w bazie NS9 od dnia, kiedy przybył do Strefy 51, wykrzykując imię generała Allena.

Został doprowadzony przez hangar zaledwie pięć minut przed tym, jak odrzutowiec Mina II wyprowadzono na pas startowy Krainy Marzeń. Eskortowali go ci sami agenci, którzy teraz trzymali przy nim straż. Byli to członkowie wydziału bezpieczeństwa Paula Turnera i odezwali się tylko po to, żeby poinformować ją, że jej rekruci z NS9 mają kategoryczny zakaz próbowania nawiązywania jakichkolwiek kontaktów z więźniem. Dla Larissy, z wyższym stopniem niż mieli oni obaj, było to denerwujące, ale odpuściła. Tymczasowy dyrektor Holmwood zapewne dał im wyraźnie do zrozumienia, że ich rozkazy przewyższały jej rangę.

Sam więzień prawie w ogóle się nie poruszył, odkąd plastikowa przesłona została zamknięta. Okazjonalnie rozprostowywał nogi i przenosił napięcie z ramion. Głowę miał opuszczoną niemal do piersi, więc Larissa nie potrafiła

stwierdzić, czy spał, czy nie. Obserwowała mężczyznę, który stanowił temat tak wielu plotek w Krainie Marzeń, i czuła, jak skóra świerzbi ją z ekscytacji i jednocześnie z frustracji. Znajdował się niecałe pięć metrów od niej, a wciąż nie mogła się dowiedzieć, kim jest.

Kiedy wróca do Pętli, zamierzała powiedzieć tymczasowemu dyrektorowi, ile wie, i spytać go, prosto z mostu, kim jest więzień - mężczyzna na tyle ważny, żeby jego tożsamość była chroniona nie tylko przez kaptur, lecz także przez dwóch uzbrojonych agentów. Jej ciekawość rosła z każdą chwilą.

- Trzy minuty - powiedział pilot, którego głos wydobywał się z głośników wmontowanych w ściany.

Serce Larissy zadrżało, kiedy zacisnęła pas bezpieczeństwa wokół ramion i talii. Za trzy minuty będzie z powrotem w Pętli. I chociaż perspektywa powrotu do Czarnego Filtru nie napełniała jej jednoznacznie radością, były trzy powody, dla których nagle zaczęła drżeć z przejęcia. Kate. Matt. Jamie.

Mina II wylądowała na pasie z niskim, klekotliwym uderzeniem i chwilowym piskiem opon.

Kiedy pilot hamował i skierował ponaddzwiękowy odrzutowiec do hangaru, Larissa odpięła pasy. Swobodnie wzbija się w powietrze i unosiła się obok drzwi, czekając, aż lampka na panelu kontrolnym zmieni kolor na zielony. Gdy ogłuszający ryk silników zaczął cichnąć, usłyszała, jak za nią rekruci także rozpinają pasy, wstają i wysuwają torby spod siedzeń. Zignorowała ich. Wzrok miała wbity w niewielkie świecące czerwone kółko. Z ostatnim szarpnięciem Mina II zatrzymała się, a jej silniki wydały długi, niski jęk. Czerwona lampka przed Larissą zmieniła kolor na zielony. Wampirzyca otworzyła plastikową skrzynkę, która zasłaniała panel, podniosła uchwyt bezpieczeństwa i nacisnęła płaski żółty guzik. Natychmiast rozległo się dudnienie maszynerii i rampa

z przodu kabiny zaczęła się powoli wysuwać, wpuszczając chłodne wieczorne powietrze do dusznego wnętrza. Larissa głęboko odetchnęła, rozkoszując się zapachami Pętli - wonią paliwa, trawy, smaru, potu. Rampa opadła na asfalt lądowiska i wampirzyca wyfrunęła przez otwarte drzwi. Jej nadnaturalny wzrok poszukiwał znajomych twarzy.

- Porucznik Kinley.

Odwróciła się w stronę źródła głosu i poczuła, że na jej twarzy pojawia się uśmiech. Cal Holmwood stał na szerokim lądowisku z Paulem Turnerem u swego boku. Dyrektor uśmiechnął się do niej, kiedy wylądowała przed nim i zasalutowała.

- Witam, sir - powiedziała. - Jak się pan miewa?

- Tak dobrze, jak można by tego oczekiwać - odparł Holmwood. - Jak lot?

- Był krótki - stwierdziła. - Ale i tak dłuższy, niż gdybym sama przyleciała.

- Z pewnością - przyznał Holmwood. - To nasi nowi rekruci?

- Skinął głową w kierunku Miny II.

Larissa odwróciła się i zobaczyła, że szóstka Amerykanów właśnie schodzi po rampie, rozglądając się po rozległych terenach Pętli z zaciekawieniem.

- Tak, sir - odparła. - Chce ich pan poznać?

- Myślę, że chyba powinienem.

Larissa skinęła głową.

- Agenci NS9! - krzyknęła. - Do mnie, natychmiast!

Mężczyźni i kobiety podeszli do miejsca, gdzie stała, z wyrazem niedowierzania na twarzach.

- Tymczasowy dyrektorze Calu Holmwoodzie - rzekła Larissa. - Przedstawiam kapitana Jamesa Van Thala, agentów Patricka Johnsona, Marka Schneidera i Carrie Burgess oraz kursantów Toma Gregga i Laurę O'Malley.

- Jasna cholera - powiedziała Burgess, a potem mocno się zarumieniła. - Przepraszam, sir.

- Nie przejmuj się - odparł Holmwood, uśmiechając się szeroko do nowo przybyłych. - Miło mi was poznać. Jestem wam wdzięczny za przybycie.

- To zaszczyt, sir - odezwał się Van Thai.

- Dobrze mieć tu pana z powrotem, kapitanie - powiedział Holmwood. - Trochę się tu zmieniło od pańskiego ostatniego pobytu.

- Z niecierpliwością czekam, aż zacznę służbę, sir.

- Miło to słyszeć - odrzekł Holmwood. - Majorze Turner proszę pokazać agentom ich kwatery i dopilnować, żeby dostali wszystko, czego im potrzeba.

- Tak jest, sir - powiedział Turner, robiąc krok naprzód. - Za mną, proszę.

Oficer bezpieczeństwa odwrócił się i poszedł w stronę otwartego hangaru.

Po sekundzie czy dwóch agenci NS9 ruszyli za nim. Holmwood obserwował ich przez chwilę, a potem spojrzał na Larisę.

- To dobrzy ludzie - powiedziała.

- Nie wątpię - uspokoił ją. - Nie wysłałbym cię, gdybym me ufał twojej ocenie charakterów. Albo gdybym uważał, że nie wyjdzie ci to na dobre. Jak było?

- Wspaniale, sir - rzekła. - Ale to już koniec. Wróciłam do domu.

Holmwood przytaknął.

- Rozpakuj się. Jutro rano chcę mieć raport. No i myślę, że jest kilka osób, które nie mogą się doczekać, aż znowu cię zobaczą.

- Mam nadzieję - odparła z szerokim uśmiechem.

- Idź więc - nakazał Holmwood. - Możesz się oddalić. Rzuciła spojrzenie na Minę II. Dwaj agenci czekali na dole rampy, pilnując więźnia. Ten, z kapturem na głowie, wyprostowany, stał sztywno na nogach rozstawionych na szerokość ramion. Rozważała spytanie o niego tymczasowego dyrektora i

zakończenie sprawy na miejscu, ale odrzuciła tę myśl.

„Nie pora na to - pomyślała. - I nie mogę już dłużej czekać. Muszę się zobaczyć z przyjaciółmi”.

Larissa ruszyła w stronę hangaru. Bez zastanowienia uniosła się w powietrze, ale przypomniała sobie, gdzie jest, i ponownie opadła na ziemię. Latanie, które w Nevadzie było takie wspaniałe, tak cudownie wyzwalające, tutaj stanowiło powód do podejrzeń i powodowało brak zaufania znacznej liczby kolegów i koleżanek. W jednej chwili troszeczkę popsuł jej się humor.

Stukając obcasami o betonową posadzkę hangaru, poszła do podwójnych drzwi, które prowadziły do środka Pętli. Wyciągnęła konsolę zza pasa i już miała napisać wiadomość do Jamiego z pytaniem, gdzie jest, kiedy usłyszała odgłos kroków trzech osób. Zatrzymały się za nią, więc zerknęła przez ramię.

Więzień i jego eskorta zatrzymali się przed Calem Holmwoodem. Kiedy patrzyła, dyrektor machnął dłonią i dwaj agenci weszli do hangaru, pozostawiając tymczasowego dyrektora samego z mężczyzną w kapturze. Obracając się, dostrzegła jeszcze, że Holmwood bierze mężczyznę za ramię i prowadzi przed siebie. Dotarła do podwójnych drzwi i już miała je otworzyć, kiedy usłyszała słowa, które sprawiły, że wstrzymała oddech. Cal Holmwood wyszeptał jej tak cicho, że normalna osoba nie byłaby w stanie ich usłyszeć. Ale dla nadnaturalnie czulego słuchu Larissy były wyraźne jak dźwięk dzwonu. - Witaj z powrotem, Julianie.

Larissa gwałtownie wciągnęła powietrze. Pchnęła drzwi, nie chcąc zdradzić, że cokolwiek usłyszała, i ruszyła znajdującym się za nimi korytarzem. Kręciło się jej w głowie. Powtarzała sobie, żeby się uspokoić i nie wyciągać pochopnych wniosków.

„Mnóstwo osób ma na imię Julian. To nic nie znaczy. On nie żyje, na miłość boską”.

Możliwość była tak niewiarygodna, że nawet nie pozwalała sobie odpowiednio jej rozpatrzeć. To było coś zbyt wielkiego monumentalnego w rozmiarach. Ta myśl przyszła jej do głowy w Nevadzie, ale wówczas ją odpędziła, tak jak starała się to zrobić teraz.

„Przypadek. To musi być zbieg okoliczności”.

Weszła do windy i nacisnęła przycisk z napisem B. Kiedy drzwi przed nią się zasunęły, oparła się o metalową ścianę. W głowie jej dudniło.

Nie było mowy, żeby zdradziła Jamiemu to, co usłyszała, nie bez niepodważalnego dowodu, że ta straszna myśl, od której robiło Jej się niedobrze, była prawdziwa. Jeśliby mu powiedziała i pozwoliła, aby robił sobie nadzieję, a potem okazałoby się, że nie miała racji, to by go zniszczyło. I ich. Ale jeśli istniała choćby najmniejsza szansa, że został okłamany, że jego ojciec nadal W to jak może milczeć? Jeżeli więzień miał zniknąć w jakimś ciemnym kącie Czarne Filtru, a ona nie powie Jamiemu, póki jeszcze istnieje szansa, żeby coś z tym zrobić, to jak będzie mogła z tym żyć?

Była pogrążona w zadumie, kiedy drzwi windy się rozsunęły, ukazując długi centralny korytarz poziomemu B. Skręciła w lewo i ruszyła szarą półkolistą ścieżką prowadzącą do jej kwatery, pokoju, którego nie widziała od ponad miesiąca. Jej umysł był pełen zmarłych i tajemnic. Nie zorientowała się, że stoi za nią ciemna sylwetka, dopóki nie otworzyła identyfikatorem drzwi swojego pokoju i ktoś nie postukał jej w ramię.

Szeroko otworzyła oczy, które natychmiast zaszły ciemną czerwienią. Obróciła się, kły wysunęły się z jej dziąseł i... stanęła jak wryta. Zobaczyła przed sobą szeroko uśmiechniętego Jamiego Carpentera.

Larissa otworzyła usta, ale nie miała szansy, żeby powiedzieć choćby słowo. Jamie objął ją w pasie, uniósł i wniósł do jej pokoju, kopniakiem zamykając za nimi drzwi.

DWA DNI PÓŹNIEJ

SEKCJA ZWŁOK

- Rozpoczynamy zebranie - rzekł Cal Holmwood. - Wszyscy członkowie oddziału specjalnego Godzina Zero są obecni. Dodatkowo są z nami porucznicy Kinley, Randall i Browning, pułkownik Frankenstein i kapitan Van Thai.

Jamie rozejrzał się po sali odpraw. Centralny stół był wypełniony. Wszystkie miejsca wokół zajęli mężczyźni i kobiety w czarnych uniformach. Tymczasowy dyrektor siedział po jednej stronie razem z Paulem Turnerem. Miejsce naprzeciwko niego zajął Jack Williams. Wyglądał na zmęczonego, jak zawsze, ale na jego twarzy malowała się determinacja, a jego głos był niski i opanowany.

- Ubiegły tydzień okazał się niezwykle, nawet jak na standardy tego Departamentu - zaczął Holmwood. - Zebranie zostało zwołane, aby poinformować was o ostatnich wydarzeniach. Po nim na wasze konsole zostanie rozesłane sprawozdanie, a wraz z nim postanowienia dotyczące bezpieczeństwa oraz tego, co wolno wam wyjawić swoim oddziałom. Dopóki ich nie otrzymacie, proszę, nie omawiajcie tego, co usłyszycie w tej sali, z nikim, kto nie jest tu obecny. Czy to dla wszystkich jasne?

Nastąpiło chóralne potwierdzenie. Wszyscy kiwali głowami.

- Dobrze - powiedział Holmwood. - Zanim zaczniemy, chciałbym, abyśmy wszyscy powitali nowych członków tego oddziału. Poruczników Browninga i Randall wszyscy znacie, pułkownika Frankensteina, który powrócił do czynnej służby, też. Chcę wam przedstawić kapitana Jamesa Van Thala z NS9,

który spędzi z nami najbliższą przyszłość. On i ja pracowaliśmy razem kilka razy i mogę was zapewnić, że mamy szczęście, że tu z nami jest.

Kate i Matt lekko się zarumienili, Frankenstein nie zdradził się niczym, że słyszał, iż wspomniano jego imię, a Van Thai skinął głową i się uśmiechnął.

- Przejdźmy zatem do rzeczy - powiedział Holmwood. - Z pewnością większość z was już wie, że Albert Harker, który znikł z Broadmoor podczas masowej ucieczki, został zniszczony dwie noce temu w drukarni gazety „The Globe” nieopodal Reading. Dokonał tego porucznik Browning, któremu towarzyszyli porucznik Randall i pułkownik Frankenstein. Przesłuchanie współników Harkera potwierdziło, że jego intencją było poinformowanie społeczeństwa o istnieniu wampirów i tego Departamentu, chociaż z czasem doszli do wniosku, że jego prawdziwym celem była zemsta na nas. W kwestii poinformowania społeczeństwa odniósł częściowy sukces.

- Jak duży? - spytała Angela. - Ile osób wie?

- Około stu tysięcy egzemplarzy „The Globe”, które Harker i Kevin McKenna zmienili, zostało wcześniej rozwieszane. Udało nam się przechwycić kilka ciężarówek, zanim dotarły na miejsce, i usunąć sporą część z punktów handlowych. Ale brakuje około tysiąca egzemplarzy. Musimy założyć, że zostały kupione i przeczytane.

Co więcej, strona „The Globe” opublikowała materiał McKenna bez żadnych zmian. Wisiał tam przez ponad godzinę. Strona została zamknięta, tak samo jak blog, który McKenna pisał zapewne z polecenia Alberta Harkera. Ale kopie tekstu i cache obydwu pojawiają się codziennie. Nie ma sposobu na to, żeby całkiem znikły, ani na to, by dokonać jakichś dokładnych obliczeń tego, ile osób przeczytało je w różnych formach. Wczoraj w „The Globe” pojawiła się oficjalna odpowiedź. Wydrukowano sprostowanie i

wstępniak, w którym oskarżono McKennę o sabotaż i próbę oszukania społeczeństwa, zanim popełnił samobójstwo. Wstępne ustalenia wskazują, że ta historia się przyjęła, przynajmniej na razie. W kręgach miłośników teorii konspiracyjnych została od razu odrzucona. Ministerstwo Obrony odebrało ponad trzy tysiące telefonów i piętnaście tysięcy e-maili z pytaniem o nasze istnienie. Na wszystkie odpowiadano stanowczym przeczeniem. Poza dalszym monitorowaniem sytuacji nie możemy nic więcej w tej chwili zrobić.

- Jezus - jęknął Jack Williams. - Wydało się. Nawet jeśli nikt w to nie uwierzył, Harker dostał to, czego chciał.

- Porucznik Browning wbił mu kołek w serce i Harker wybuchł - powiedział Frankenstein. - Wątpię, żeby tego chciał.

„Nie jestem tego taki pewien” - pomyślał Matt.

- Wydział bezpieczeństwa ocenił, że nie ma bezpośredniego zagrożenia ujawnienia Departamentu - stwierdził Paul Turner, rzucając Frankensteinowi ostre spojrzenie. - Chociaż jest oczywiste, że teraz stało się to o wiele realniejsze niż jeszcze tydzień temu. Może Harker nie otworzył drzwi na oścież, tak jak zamierzał, ale je uchylił. Prawdopodobieństwo, że opinia publiczna nigdy nie dowie się o istnieniu tego Departamentu i istot nadnaturalnych, jest niemal zerowe.

Jamie słuchał kolegów z szeroko otwartymi oczami. Wiedział, co się wydarzyło w drukarni, słyszał opowieść ze szczegółami zarówno od Matta, jak i od Kate. Ale aż do teraz nikt poza wydziałem bezpieczeństwa nie miał pojęcia, jakie szkody spowodował Albert Harker.

- Tego wszystkiego można było uniknąć - zauważył niskim głosem - gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest Albert Harker i gdyby rodzina lepiej go traktowała. To nie musiało się wydarzyć.

- Dziękujemy, poruczniku Carpenter - rzekł Turner. - Kiedy już wydział naukowy zbuduje wehikuł czasu, obiecuję, że to

będzie pierwsze, co naprawimy.

Jamie patrzył na oficera bezpieczeństwa, który wytrzymał jego spojrzenie. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje, jak zwykle.

- Przejdźmy dalej - powiedział Holmwood, posyłając obydwu agentom ostrzegawcze spojrzenie. - Mamy nowe informacje na temat kolejnych uciekinierów z Broadmoor. Dzięki współpracy UZZP wydział naukowy był w stanie potwierdzić teorię wyłożoną przez porucznika Browninga. Teoria wyjaśnia niezwykle siłę przemienionych uciekinierów i to, jak było możliwe przeprowadzenie akcji zakrojonej na tak wielką, światową skalę.

Jamie spojrzał na Matta, który się zarumienił, i spostrzegł, że Kate i Larissa również na niego patrzą.

„O tym nam nie powiedziałaś, cokolwiek to jest - pomyślał. - A co się stało z obietnicą, że nie będziemy mieć przed sobą sekretów?”

- Wnioski są takie, że uciekinierzy z Broadmoor nie zostali przemienieni tradycyjną metodą, którą wszyscy znamy. Nie zostali ugryzieni.

- Zatem co, u licha, im zrobiono? - spytała Larissa. Patrzyła na tymczasowego dyrektora z marsową miną.

- Zrobiono im zastrzyki, porucznik Kinley. Wstrzyknięto im plazmę która pokrywa kły każdego wampira. W tym wypadku pochodziła ona bezpośrednio od Drakuli.

Wokół stołu rozległy się westchnienia. Jamie szeroko otworzył oczy i popatrzył na Frankensteina. Potwór był jak zawsze niewzruszony, ale chłopakowi wydawało się, że dostrzegł w kącikach jego oczu zaskoczenie.

- UZZP było w stanie uzyskać profil DNA Drakuli z prochów, które znajdowały się swego czasu w ich posiadaniu - kontynuował Holmwood. - Porównanie ze zmutowanym DNA dwóch pacjentów z Broadmoor wykazało częściową zgodność, na tyle dużą, aby móc wyciągnąć wnioski, które przed chwilą

wam przekazałem.

- To nie wyjaśnia, dlaczego są tacy silni - stwierdziła Angela Darcy - Wydawało mi się, że siła wampira rośnie z czasem, który mija od przemiany.

- Tak było przyjęte - przytaknął Holmwood. - I sądzymy że to prawda. Ale teoria porucznika Browninga sugeruje, że jest w tym coś więcej, niż nam się wydawało. Wygląda na to, że istnieje wyraźna zależność pomiędzy wiekiem wampira a siłą jego ofiar To wyjaśnia, dlaczego uciekinierzy mają tak wielką moc

- Możę to się odnosi tylko do Drakuli? - zasugerował Dominique Saint- Jacques. - Bo był pierwszy?

Holmwood pokręcił głową.

- Są też inne przykłady. Marie Carpenter, którą przemienił Alexandru Rusmanoy jest znacznie silniejsza i szybsza, niż tego oczekiwaliśmy, biorąc pod uwagę to, kiedy została przemieniona. No i... - Umilkł, skupiając uwagę na Larissie.

Wampirzyca zmarszczyła brwi, a potem zarumieniła się pod spojrzeniem wszystkich członków oddziału Godzina Zero.

- Ja? - spytała. - Ma pan na myśli mnie? Holmwood przytaknął.

- Generał Allen powiedział, że wykazujesz zdolności znacznie wykraczające poza oczekiwaną krzywą rozwoju. Opisał mi cię jako jednego z najpotężniejszych wampirów, jakie kiedykolwiek widział. Czy to prawda?

Larissa na chwilę umilkła.

- Pewnie tak - odparła. - Nie wiem. Nie mam porównania.

- Cóż... Załóżmy, że generał Allen, który w swoim czasie widział wiele setek wampirów, ma rację. Zostałaś przemieniona przez Greya, który jest uważany za najstarszego brytyjskiego wampira. To pasuje do wzorca odkrytego przez porucznika Browninga.

Wokół stołu zapanowała cisza. Larissa wyglądała na bardzo zmieszana. Jamie starał się pochwycić jej spojrzenie, by

okazać wsparcie, ale nie popatrzyła w jego stronę.

- To niezwykle - powiedział major Van Thal. - Czy przekazał pan te ustalenia pozostałym departamentom?

Holmwood przytaknęła.

- Departamenty zostały poinformowane. Kilka z nich przeprowadzi własne badania i podzieli się z nami wynikami, ale zasadniczo wszyscy przyjęli teorię Browninga.

Matt szerzej otworzył oczy i znów się zarumienił. Jamie się uśmiechnęła. Pomimo swoich talentów jego przyjaciel był skrzępowany tyłoma pochwałami i uwagą. Nie miał w sobie ani krztyny arogancji czy próżności. Jamie poczuł złość, nie po raz pierwszy, na chłopców, którzy przez długi czas uprzykrzali Mattowi życie.

- Więc co to oznacza? - spytała Kate. - Czy to cokolwiek zmienia?

- Nie w kwestii naszych reakcji - rzekł Holmwood. - Na wolności pozostaje stu dwunastu uciekinierów z Broadmoor. Celem operacyjnym jest znalezienie i zniszczenie ich. Wszyscy agenci zostaną uprzedzeni, by zachowali szczególną ostrożność podczas konfrontacji, ale plan się nie zmienia.

- Może powinien, sir - rzekła Larissa. Była blada, a Jamie dostrzegł w kącikach jej oczu znajome czerwone błyski.

- Masz coś do powiedzenia? - spytał Holmwood, patrząc na nią.

- Zastanawiałam się nad czymś, sir - powiedziała Larissa. - Nad czymś, co przydarzyło mi się kilka dni temu.

- Co takiego?

- Byłam w Las Vegas - zaczęła Larissa.

Jamie lekko zmrużył oczy, ale nawet jeśli to zauważyła, nie dała tego po sobie poznać.

- W klubie nocnym. Byłam na zewnątrz i wyczułam innego wampira. Czułam jej zapach, kiedy znalazłam się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od niej. Podeszłam więc i się przywitałam. Nazywała się Chloe i została przemieniona rok

wcześniej w klubie w Nowym Orleanie.

- Dlaczego nam to opowiadasz, porucznik Kinley? - spytał Holmwood. - To nie czas na opowieści z wakacji.

- Przepraszam, sir - odparła. - Mówię o tym, ponieważ ona nie miała pojęcia, kim jesteśmy. Nigdy nie słyszała o Czarnym Filtrze, NS9 ani UZZP. Nie wiedziała o naszym istnieniu, a kiedy jej powiedziałam, nie przejęła się. Poznała w życiu tylko jednego wampira, mężczyznę, z którym umawiała się w Los Angeles. Nie zabijała ludzi ani ich nie przemieniała. Uważała, że Drakula to postać z filmów, które oglądała, kiedy była dzieckiem.

- Do czego zmierzasz? - spytał Paul Turner. - Zakładam, że o coś w tym chodzi.

- Chodzi o to - odparła, patrząc na oficera bezpieczeństwa mrozącym spojrzeniem - że to była zwyczajna dziewczyna. Żyła normalnie i robiła swoje. Po prostu była wampirem. Nikomu nie zagrażała. Ale gdyby jakiś agent NS9 zobaczył ją przez wizjer podczas misji w LA, bez namysłu wbiłby jej kołek w serce.

- No i? - spytał Holmwood.

- No i czy to jest właściwe? - spytała Larissa, podnosząc głos. - Zabijanie jej z powodu tego, czym jest? Nie zrobiła nic złego, nie prosiła o to, żeby zostać wampirem. Pacjenci z Broadmoor też nie. Byli już uwięzieni za swoje zbrodnie, a teraz my skazujemy ich na śmierć za coś, co nie jest ich winą.

- A co sugerujesz? - dopytywał Turner. - Wybudowanie wielkiego kompleksu, który by ich wszystkich pomieścił, i trzymanie kciuków, żeby Lazarus opracował lekarstwo, zanim będziemy musieli zająć się kolejną ucieczką?

- Nic nie sugeruję, sir - odparła Larissa. - Po prostu uważam, że ważne jest, żebyśmy pamiętali, co naprawdę robimy za każdym razem, gdy naciskamy spust megagnata. Nie niszczymy potworów ani szczurów czy karaluchów. To są chorzy ludzie, a my ich zabijamy.

- Wystarczy, porucznik Kinley - rzekł Cal Holmwood. - Mamy o wiele większe problemy i ledwie utrzymujemy się teraz na powierzchni. Obawiam się, że kwestie moralne muszą poczekać.

Larissa skinęła głową, chociaż jej mina powiedziała Jamiemu, że sprawa nie została zakończona. Odczeka, ale nie miał żadnych wątpliwości, że gdy uzna, że nastąpi odpowiednia pora, znów podejmie ten temat.

„Dobrze - myślał. - Powinna. To, co powiedziała, jest prawdą”.

- W porządku - powiedział Holmwood. - Dalej. Niektórzy z was są już tego świadomi, że śledztwo w sprawie wybuchu, do którego doszło w kwaterze porucznik Randall, zostało zakończone. Urządzenie, takie samo jak to bezpiecznie rozbrojone w pokoju majora Turnera, zostało podłożone przez Lambertona, byłego lokaja Valentina Rusmanova. Wampir został zaszantażowany przez byłego członka tego oddziału. Z pewnością zauważyliście już jego nieobecność.

- Brennan. - Patrick Williams niemal splunął.

- Richard Brennan - potwierdził Holmwood. - Jego związek z Drakulą albo, co bardziej prawdopodobne, z Valerim Rusmanoyem, jeszcze nie został ustalony. Ale jest jasne, że duże prawdopodobieństwo wykrycia tych powiązań doprowadziło go do pojęcia działań.

- Atak na WZOB - powiedziała Angela Darcy.

- Właśnie - przytaknął Holmwood. - Nie wiemy, czy zakładał, że śmierć majora Turnera i porucznik Randall oznaczałaby koniec śledztwa, czy chciał po prostu spowodować zamieszanie żeby ukryć swoją ucieczkę. Znikł i nie ma sposobu na to, żeby go namierzyć.

- Jak on to zrobił? - spytał Jamie. - Jak wy dostał Lambertona z bloku więziennego, żeby mógł podłożyć bomby? Holmwood zerknął na oficera bezpieczeństwa.

- Majorze Turner?

- Dziękuję, sir - odparł major. - Brennan osobiście zaniósł Lamberttonowi urządzenia w zwykłej torbie podróżnej. Mamy nagranie z kamer bezpieczeństwa sprzed trzech dni, na którym widać, jak wchodzi do bloku z torbą, a potem wychodzi bez niej. Inwigilacja tego nie wychwyciła. Upoważnienia Godziny Zero Brennana oznaczały, że jego odwiedziny u pojmanyh wampirów nie były czymś niezwykłym.

- Być może należało przeprowadzić dokładniejsze śledztwo zanim przyznano taką swobodę - rzekł Frankenstein niskim, głębokim głosem.

- Być może, pułkowniku - przyznał Turner. - A co do wypuszczenia Lamberttona z bloku więziennego, to z rozczarowaniem muszę przyznać, że Brennan z powodzeniem zaszantażował członka mojego wydziału, agenta Aleksa Lombarda. Okazuje się że Lombard wdał się w romans pozamałżeński i Brennan wszedł w posiadanie obwiniających go e-maili. Lombard otrzymał instrukcje wypuszczenia Lamberttona na dwadzieścia minut podczas swojej zmiany na straży w bloku więziennym. Brennan obiecał mu, że nikomu nic się nie stanie.

- Gdzie on teraz jest? - spytał kapitan Van Thai. - Lombard.

- Został wydalony ze służby w tym Departamencie - odparł Turner. - Dyscyplinarnie.

Van Thai skinął głową.

- A co z Natalią? - dopytał Matt. - Są nowe informacje o jej stanie zdrowia?

- Jak z pewnością wiesz, poruczniku Browning - zaczął Holmwood z cieniem uśmiechu na twarzy - panna Lenski dochodzi do siebie i w ciągu tygodnia ponownie dołączy do projektu Lazarus.

- Dobrze - skwitowała Kate. - To już coś. Turner skinął głową.

- Prawda. A teraz z radością informuję o zakończeniu

procesu WZOB-u, który przeprowadzaliśmy wraz z porucznik Randall. Przesłuchaliśmy i oceniliśmy wszystkich pełniących służbę członków Departamentu, łącznie z kapitanem Van Thalem i jego kolegami. W obliczu ostatnich wydarzeń może to być małe pocieszenie, ale wstępne wnioski są takie, że obecna załoga Czarnego Filtru jest czysta. Musimy założyć ze smutkiem, że jest tak pierwszy raz od dawna.

- Dziękuję - rzekł Holmwood. - I pani też, porucznik Randall. Wiem, że to nie było łatwe zadanie, i cały Departament jest wam winien podziękowania.

Turner przytaknął i spojrzał na Kate, która się uśmiechnęła.

- Czy ktoś chciałby jeszcze coś dodać? - spytał Holmwood.

- Valentin - powiedział Jamie bez namysłu. Następnego ranka po pościgu za Johnem Mortonem zszedł na dół, żeby odwiedzić matkę, i od razu zauważył, że obie cele, zajmowane przez najmłodszego z braci Rusmanowow i jego służącego, były puste. - Gdzie on jest?

- Pan Rusmanoy został wysłany na poszukiwania brata i byłego mistrza - odparł Holmwood. - Zgłosi się, kiedy będzie miał dla nas informacje.

Frankenstein chrząknął ze śmiechem.

- Nie będę czekał w gotowości.

- Ja też nie, pułkowniku - skwitował Holmwood. - Ale wierzę, że Valentin jest słowny i że jeszcze go zobaczymy.

- Z pewnością tak będzie - rzucił Frankenstein. - Będzie szedł obok brata, kiedy jego pan poprowadzi ich do bitwy przeciwko nam.

- Czas pokaże - powiedział Holmwood. - Jeden z nas bez wątplenia będzie miał rację, a drugi się pomyli. Jeszcze coś? Pozostali?

Wokół stołu w sali odpraw zapanowała cisza.

- Odnieśliśmy rany - kontynuował Holmwood. - W wyniku ataku Valeriego i zgnilizny, którą odkryliśmy w samym sercu naszego Departamentu. Ale w ostatnich miesiącach

odnieśliśmy też zwycięstwa i będzie ich więcej. Gdybym w to nie wierzył, nie stałbym tutaj przed wami i nie prosiłbym o to, żebyście tyle z siebie dawali. Jestem zaszczycony, że mogę być waszym oficerem dowodzącym. Dziękuję. Możecie się rozejść.

Larissa jako ostatnia opuściła salę odpraw. Obserwowała z obiektywnym zainteresowaniem, jak reszta oddziału Godzina Zero wychodzi na korytarz.

Kate zatrzymała się, żeby porozmawiać z Paulem Turnerem, a potem dołączyła do Matta, który patrzył przez ramię, czy idzie za nim Jamie. Szedł, ale wcześniej, wstając od stołu, spojrzął na Larissę, przechylając głowę. Jakby chciał spytać, czy wszystko w porządku.

Nie było, ale skinęła głową.

Patrick Williams i jego brat szli ramię w ramię. Jack nie potrafił się powstrzymać przed zerknięciem na Angelę Darcy, która była pogrążona w rozmowie z Dominikiem Saint-Jacque'em i Andrew Janasem. Amy Andrews wyszła z Calem Holmwoodem, a Paul Turner i Frankenstein opuścili salę pogrążeni w rozmowie. Larissa czekała przez dłuższą chwilę, ciesząc się ciszą i opustoszałym pokojem. Starła się stłumić gniew.

„Jest określenie na zabijanie ludzi po prostu za to, kim są - myślała. - Nazywa się to czystką etniczną”.

Odetchnęła głęboko i przeszła przez salę. Wiedziała, że Jamie będzie na nią czekał w korytarzu, i zdawała sobie sprawę z tego, że muszą porozmawiać.

Większość pierwszego dnia po jej powrocie spędzili w jej pokoju, wychodząc tylko pod prysznic i żeby coś zjeść. Jamie opowiedział jej o Johnie Mortonie, a ona starała się mu wytłumaczyć, że to nie była jego wina. Pytał ją o Neyadę, więc powiedziała mu, że jej się tam podobało, ale nie zdradziła

szczegółów. Podejrzliwie zmrużył oczy, dlatego obiecała, że później wszystko mu wyjaśni - kiedy będzie gotowa. Zgodził się, chociaż niechętnie, i więcej do tego nie wracali. Omawiali zatem to, co wydarzyło się w Pętli. Zajęło im to wiele czasu.

Larissa otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do swojego chłopaka, który stał oparty o ścianę, ale wyprostował się, kiedy podeszła.

- Matt i Kate muszą wracać do pracy - powiedział. - Ale wcześniej pójda coś zjeść. Obiecałem im, że się do nich przyłączymy.

- Okej - odparła. - Brzmi dobrze.

Stali w korytarzu. Panująca między nimi cisza była krępująca.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Chyba tak - odparł Jamie. - Byłaś w Vegas, kiedy do ciebie dzwoniłem? Próbowałem dwa razy.

Larissa przytaknęła.

- Rozmawiałam z Chloe - wyjaśniła. - Tą wampirzycą. Przepraszam, że nie mogłam odebrać.

„To prawie prawda - przekonywała się w duchu. - Prawie”.

- W porządku. - Uśmiech wrócił na jego twarz. - Wiem, jak to jest.

- Właśnie - przytaknęła. Wolność myśli i działania, którą tak się cieszyła w Nevadzie, już znikła. Jej świat znów był pełen poczucia winy, tajemnic i ciemności.

- Cieszę się, że wróciłaś do domu, Larisso - powiedział Jamie miękko. - Bez ciebie nie było tu tak samo.

- Ja też się cieszę, że wróciłam - skłamała.

EPILOG PIERWSZY:

TRZY POŻEGNANIA

- Naprawdę? - spytała Kelly. - Nie potrafisz wskazać żadnego powodu, dlaczego tak zrobiła? Ani jednego?

Siedzieli przy stoliku w jadalni Sama z Dannym i Aaronem. Atmosfera była chłodna i napięta. To był pierwszy raz, kiedy czwórka przyjaciół spotkała się razem, odkąd Tim wysłał im wiadomość, że Larissa wyjechała. Wszyscy mieli coś do powiedzenia.

- Co masz na myśli, Kelly? - dopytywał Tim. - Przestań insynuować.

- Ona insynuuje - rzekł Danny, dodając do kawy śmietankę i cukier i mieszając energicznie - że to twoja wina, że wyjechała w taki sposób. A ja się z nią zgadzam.

- O czym ty mówisz? - spytał Tim. - Przecież ja nic nie zrobiłem.

Kelly prychnęła.

- Poza tym, że wyraźnie dałeś jej do zrozumienia, że ci się podoba, flirtowałeś z nią, próbowałeś ją pocałować i sprawiłeś, że była skrupowana. Wiedziałeś, że ma chłopaka, ale nie mogłeś sobie odpuścić, nie mogłeś zaakceptować, że prawdopodobnie nie możesz jej mieć? I jesteś zaskoczony, że postanowiła nie zabierać cię do Czarnego Filtru, żebyś mógł spędzać czas z nią i Jamiem? Jeśli tak, to jesteś idiotą.

Tim patrzył na przyjaciółkę. Wiedział, że to, co mówiła, było prawdą, ale chciał jej powiedzieć, że nie zna całej historii, że on także podobał się Larissie, był tego pewien, i że podobała jej się uwaga, jaką jej poświęcał. Zachęcała go. Jednak nie

potrafił tego powiedzieć. Wyszedłby na aroganta i egoistę.

- To, co mnie wkurza - powiedział Danny, patrząc prosto na Tima - to, że zawałeś sprawę nie tylko dla siebie. Schrzanieś ją dla nas wszystkich. Zabrałaby nas ze sobą, ale przez ciebie czuła, że nie może. Więc wyjechała, a my wciąż tutaj jesteśmy.

- Nie winię jej - odezwał się wreszcie Tim. - I macie rację. To moja wina. Przykro mi.

- Cudownie - rzekł Aaron. Cichy agent wywiadu wyglądał przez okno i popijał wodę. - Ale to niczego nie zmienia, prawda? Była tu tylko kilka tygodni, ale stanowiła część naszej grupy. Chyba nie tylko ja tak uważam. To przykre, że nie mogłeś pojechać do Czarnego Filtru, ponieważ wiem, jak bardzo zawsze tego pragnęłeś. To wkurzające, że i my nie pojechaliśmy. Liczyłem na zmianę otoczenia. Ale tutaj chodzi o coś znacznie większego. Chyba wszyscy wiemy, że Czarny Filtr będzie na pierwszej linii tego, co się zbliża. I jestem pewien, że moglibyśmy im pomóc, ale nie poleciliśmy. I to twoja wina, niezależnie od tego, czy jest ci przykro, czy nie.

Tim był zdumiony. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Aaron powiedział aż tyle za jednym razem, i te słowa głęboko go dotknęły. Zaakceptował oskarżenie o to, że latał za Larissą, choć nie powinien był tego robić, i że z jego winy uciekła od niego i od przyjaciół. Ale Aaron sugerował coś znacznie gorszego.

„Mówi, że zaszkoziłem naszej sprawie przeciwko Drakuli”.

- Przepraszam, jeśli was zawiodłem - powiedział. - Wszystkich.

- Jezus, Tim - odparła Kelly. - Wiemy, że nie próbowałaś specjalnie narobić bałaganu i że nie chciałeś, by tak się to ułożyło. Ale musisz zrozumieć, że nie możesz wszystkiego kontrolować. Nie wszystko będzie szło zgodnie z twoim planem. Złe rzeczy się zdarzają.

- Złe rzeczy się zdarzają - powtórzył Tim. - Amen.

Daleko od jadłodajni Sama, w północno-wschodniej Anglii, mężczyzna i jego córka stali obok auta na parkingu.

Kate Randall spędziła większą część ostatnich trzech dni z ojcem. Ona i Matt błagali Cala Holmwooda, aby nie zamykał ich ojców w celach Pętli, i tymczasowy dyrektor wreszcie uległ, pozwalając im spać w jednym z dormitoriów, w których zwykle umieszczano nowych rekrutów Czarnego Filtru. Co noc byli zamykani na klucz i nie mogli wychodzić poza teren Pętli, chociaż to nie było konieczne. Obydwaj byli cywilami i istniało małe prawdopodobieństwo, żeby próbowali uciec z tajnej bazy wojskowej.

Na początku ich rozmowy przebiegały dość niezręcznie. Kate pomówiła z Mattem i z ulgą usłyszała, że jemu również było trudno porozumieć się z ojcem. Ulga i bezgraniczna radość, jakie odczuwał Pete Randall po odkryciu, że jego jedyna córka nie umarła, szybko ustąpiły miejsca irytacji, która, z punktu widzenia sfrustrowanej Kate, ocierała się o napastliwość. Wciąż wracał do tego samego, do jednego pytania, na które nie miała odpowiedzi.

„Pozwoliłaś, żebym myślał, że nie żyjesz. Jak mogłaś?”

Starła się mu wytłumaczyć, starała się sprawić, by zrozumiał, co się stało z jej punktu widzenia: brak przyszłości na Lindisfarne, szansa na zrobienie czegoś dobrego, czegoś znaczącego. I przede wszystkim, że Czarny Filtr obiecał jej, że nie dopuszczą, by tak sądził. Uznała to za zdradę i zamierzała omówić to z Calem Holmwoodem, jak tylko sytuacja wróci do czegoś, co w Pętli uchodzi za normę. Ale nic się nie liczyło. W oczach Pete a córka go porzuciła.

Sytuację pogorszyło długie oczekiwanie na to, by Cal Holmwood do spółki z Paulem Turnerem zdecydowali, jakie działania podejmą w stosunku do jej ojca i ojca Matta. Obaj mężczyźni złamali prawo i byli świadomi istnienia zarówno

wampirów, jak i agencji, które z nimi walczyły. Pojawiły się plotki, a wiele z nich doszło do Kate, że zostaną zamknięci na resztę życia.

Kiedy decyzja wreszcie zapadła, pierwszą reakcją Kate był płacz, a drugą myśl, że znów jest winna podziękowania Paulowi Turnerowi.

- Więc to tyle - powiedział Pete Randall. Trzymał w dłoni kluczyki i miał bladą, ściągniętą twarz. - Tutaj się zegnamy. Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę?

Kate głęboko odetchnęła. Nie mogła odprowadzić ojca dalej niż do vana. Samochód odwiózł go na stację Berwick. To tam zaczęła się jego dziwna, okropna przygoda z Albertem Harkerem, która wydawała jej się teraz bardzo odległa w czasie. Holmwood pozwolił Petebwi i Gregowi na powrót do domów ze świadomością, że resztę życia spędzą pod obserwacją, ale Kate nie mogła ryzykować, że zobaczy ją ktoś, z kim dorastała. Lindisfarne było małą społecznością, więc jej pojawienie się pociągnęłoby za sobą masę pytań. Nie chciała, żeby ojciec musiał próbować na nie odpowiadać.

- Nie wiem - odparła szczerze. - Mam nadzieję. Dzieją się teraz pewne rzeczy, o których nie mogę ci powiedzieć. Ale kiedy to się skończy, jeśli wszyscy wciąż tu będziemy, to chyba tak.

Pete skinął głową. Nie spieszyło mu się, by wsiąść do auta i jechać do domu. Był na nią zły, ale nie chciał znów się z nią rozstawać.

- Tato, muszę już iść. - Jej głos był przytłumiony i czuła w piersi ucisk. Nie była pewna, czy jeśli szybko nie odejdzie, w ogóle będzie w stanie to zrobić. - Dasz sobie radę?

Pete się uśmiechnął.

- Dam - powiedział.

Kate podeszła bliżej i zarzuciła mu ramiona na szyję. Przygarnęła ją mocno, przyciskając twarz do jej ramienia.

- Jestem z ciebie bardzo dumny, Kate - szepnął. - Bardzo cię

kocham.

Czuła, że z kącików oczu poleciały jej łzy, a w gardle pojawiła się wielka gula.

- Dzięki, tato - zdołała wykrztusić przez ściśnięte gardło. - Ja też cię kocham.

Pete Randall zwolnił uścisk i się cofnął. Przez dłuższą chwilę patrzył na córkę, a potem otworzył drzwi auta i usiadł za kierownicą. Kiedy silnik ożył, Kate cofnęła się o krok. Patrzyła, jak ojciec powoli rusza. Kiedy dotarł do wyjazdu z parkingu, zobaczyła, jak się obraca i na nią patrzy. Uniosła dłoń i krótko mu pomachała. Odpowiedział jej tym samym. Potem żwir zachrząścił i jej ojciec odjechał.

Niepewnym krokiem wróciła do vana, beczynn timer stojącego za nią. Otworzyła drzwi od strony pasażera, usiadła i zapięła pas.

- Dokąd, sir? - spytał kierowca.

- Do domu - odparła.

Niecałe dwieście kilometrów na południe rozgrywała się podobna scena.

Matt Browning stał w kuchni domu, w którym dorastał, i pił pierwszą filiżankę herbaty, jaką ojciec kiedykolwiek mu przygotował. Wciąż był w lekkim szoku. Nie miał pewności, czy jego ojciec w ogóle wie, gdzie jest czajnik ani jak działa. Dom był nieskazitelnie czysty, co stanowiło kolejną niespodziankę. Oczekiwał, że od czasu, gdy jego matka odeszła, góry śmieci sięgnęły już okien.

Kiedy ojciec parzył herbatę, Matt wszedł na górę do swojego pokoju i zalała go fala nostalgii tak silnej, że odczuwał ją niemal fizycznie. Pokój, w którym spędził większość życia, chowając się przed światem zewnętrznym, wydawał się bardzo mały. Jego łóżko było posłane, a półki z książkami i komiksami wyglądały dokładnie tak, jak je zostawił. Ale miał

wrażenie, jakby należały do kogoś innego. Nie rozpoznawał już mieszkańca tego pokoju.

- Chcesz jeszcze jedną? - spytał Greg Browning, wskazując głową na kubek w dłoni syna.

- Nie, dzięki, tato - odparł Matt. - Powiniennem się już zbierać.

Jego ojciec na chwilę się zachmurzył, ale szybko odzyskał rezon.

- Oczywiście - powiedział. - Rozumiem. Masz pracę. Matt przytaknął.

- Chciałbym to rozumieć. - Ojciec uśmiechnął się delikatnie.

- Ale to nic nowego, prawda? Nigdy nie rozumiałem większości rzeczy, które robiłeś. Już kiedy miałeś pięć lat, byłeś ode mnie inteligentniejszy.

- Przepraszam, tato.

Greg zmarszczył brwi.

- Nie przepaszaj, Matt. Nigdy nie przepaszaj za to, kim jesteś. To ja powiniennem cię przeprosić. Powiniennem był bardziej się starać, kiedy byłeś mały. Powiniennem był bardziej się interesować. Było mi ciężko, synu. Nigdy nie lubiliśmy tych samych rzeczy, a ja nie dość mocno starałem się cię zrozumieć. Jeśli mam być szczery, to powiem ci, że się bałem. Teraz mogę już to przyznać. Ale to żadna wymówka. I zawsze byłem z ciebie dumny, nieważne, czy w to wierzysz, czy nie. Zawsze opowiadałem ludziom o swoim genialnym synu.

Matt się zarumienił. Nie wiedział, co ojciec chciał od niego teraz usłyszeć. Czy prosił go o wybaczenie, o to, żeby powiedział, że nic się nie stało? Chętnie by tak zrobił, gdyby miał pewność, że to pomoże. Ale kiedy spojrział na ojca, nie był przekonany, że tak będzie.

- A teraz popatrz na siebie - kontynuował Greg. - Pracujesz dla rządu, starasz się uratować świat. Chciałbym móc powiedzieć o tym ludziom.

Krew odplynęła z twarzy Matta, ale jego ojciec znów się

uśmiechnął.

- Nie martw się, synu - uspokoił go. - Dowie się tylko twoja matka, nikt inny. Rozumiem.

Chłopak skinął głową.

- Zadzwońisz do niej?

- Tak - odparł Greg. - Jak tylko wyjdiesz. Jakaś cząstka mnie chciałaby zadzwonić do niej już teraz i pozwolić ci z nią porozmawiać, ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Szczerze powiedziawszy, nie wiem, czy odbierze mój telefon.

- Przykro mi - powiedział Matt. - Nie chciałem wszystkiego popsuć.

- Wiem - odparł Greg. - Prawdę mówiąc, już przed twoim odejściem nie było między nami zbyt dobrze. Od lat nam się nie układało. Twoje ponowne zniknięcie było po prostu kroplą, która przelała czarę.

- Myślisz, że wróci? - spytał Matt.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Nie wiem, synu. Szczerze powiedziawszy, nie sędzę. Ale będzie lepiej, jak dowie się, że jesteś bezpieczny. To może ułatwić pewne sprawy.

- Tęsknisz za nimi? - dopytał Matt delikatnie.

- Oczywiście - odpowiedział Greg. - Za tobą też. Wyznam, że nie wiem, co mam teraz zrobić. Odkąd twoja mama odeszła, myślałem tylko o tym, żeby odegrać się na ludziach, którzy nam cię odebrali. Nie obchodziło mnie, co się ze mną stanie.

- Mógłbyś wyjechać do Sheffield - zasugerował Matt. - Znaleźć tam pracę. Być bliżej mamy i Laury.

- Może - odparł Greg. - Teraz ty dajesz mi rady? Matt się uśmiechnął.

- Na to wygląda.

Dwaj mężczyźni umilkli. Matt wiedział, że powinien iść, wracać do Pętli i do swojego biurka w laboratorium projektu Lazarus. W wyniku czegoś, co nosiło teraz nazwę teorii Browninga, mieli więcej pracy niż kiedykolwiek. Odkrycie, że

wirus wampiryzmu ewoluuje w organizmie nosiciela i im więcej ma na to czasu, tym większą siłę daje ofiarom, miało następstwa zarówno dla pierwotnych analiz, jak i ogólnie pojętej ochrony całego Departamentu.

Lecz ze zdumieniem odkrył, że nie chce wychodzić. Co prawda, nie posunąłby się tak daleko, żeby twierdzić, że jego tata się zmienił, ale złość i frustracja, które zdawały się gotować w nim od zawsze, znikły, przynajmniej tymczasowo. Matt zastanawiał się, czy utrata rodziny była czymś, co osoby uzależnione nazywają sięgnięciem dna, i czy ojciec był wreszcie zmuszony zwrócić gniew przeciwko sobie, a nie winić świt, który go rozczarował.

- Na pewno nie chcesz jeszcze jednej herbaty? - spytał Greg. - Na drogę?

Matt spojrzał na tatę.

- Jasne - powiedział. - Chętnie.

Ojciec skinął głową, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Włączył czajnik i zaczął szperać w szafkach. Po chwili Matt poszedł mu pomóc.

EPILOG DRUGI:

DWÓCH WIĘŹNIÓW

Henry Seward wypluł dużą skrzeplinę krwi na podłogę między swoimi nogami i zmarszczył brwi. Na środku szkarłatnej kałuży leżało coś białego. Sięgnął w dół wyraźnie drżącą w blasku świec ręką, podniósł to i przysunął do twarzy. To był ząb.

Przewrócił mu się żołądek. Przesunął językiem wewnątrz wzdłuż górnej szczęki i znalazł przerwę. Znajdowała się po prawej stronie, gdzieś w połowie. Docisnął język do pustej przestrzeni i się skrzywił, kiedy jego czubek dotknął miękkiego dziąsła. Przez chwilę czuł, jakby się dławił, a potem znów spojrzał na ząb. Wydawał się cały - korzenie, które kiedyś trzymały go wewnątrz, były grube, jasnożółte i nienaruszone.

„Wypadł - zrozumiał. - Nie jest złamany. Wypadł”.

Siedział na podłodze maleńkiego pokoju, służącego za celę. Kolana miał uniesione i obejmował je ramionami. Przez okno na przeciwległej ścianie widział pierwsze oznaki świtu. Wyłaniały się ponad horyzont na wschodzie, plamiąc niebo na fioletowo. Seward wciąż nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje. Drakula powiedział mu, że są we Francji, ale to było wszystko, co stary wampir mu wyjawiał. W najczystsze, najciemniejsze noce Seward sądził, że widzi odległy blask elektrycznych świateł. Ale czym i gdzie były, pozostawało tajemnicą.

Od dwóch nocy, odkąd wyskoczył z balkonu zamku, nikt go nie torturował. Wściekłość Valeriego była przerażająca i po

raz pierwszy, odkąd zabrano go z Pętli, Seward naprawdę wierzył, że jego życie dobiega końca. Służący Drakuli zaatakował go z zimną, zawziętą precyzją, wydobywając z niego krzyki, które brzmiały jak odgłosy zwierząt. Następnego ranka, kiedy odstawiono go do jego pokoju, krwawiącego, łkającego i ledwie mogącego oddychać, przyszły dwa wampiry i opatrzyły jego rany z większą uwagą niż zazwyczaj. W ciągu tych czterdziestu ośmiu godzin właściwie pozostawiono go samego. Wampiry, które były bardziej uprzejme i nie pałały aż tak ogromną nienawiścią, przynosiły mu do pokoju jedzenie i wodę, zapewniały czyste ubranie i silne, otumaniające środki przeciwbólowe.

Seward wiedział, że to nowe zachowanie nie było motywowane hojnością czy dobrocią. Już raczej wynikało z instynktu przetrwania Valeriego. Słyszał, jak Drakula rozkazuje współpracownikowi go zabijać więźnia, i sądził, że Valeri dbał o niego bardziej niż zamierzał. W konsekwencji próbowano doprowadzić Sewarda do względnego zdrowia, aby starszy z Rusmanovów nie sprowokował niezadowolenia swojego pana.

Seward był dumny z tego, co zrobił na balkonie. Nie wiedział, jak bardzo zaszkodził regeneracji Drakuli i czy w ogóle tak się stało. Ale ujrzenie niepewności na twarzy starego potwora kiedy zaczęła opuszczać go siła, było cudowne i niemal warte agonii, która nastąpiła później. Wciąż nie rozumiał, co wampir miał na myśli, kiedy podczas kolacji twierdził, że jest wszędzie ale szczerze powiedział, że nie za bardzo go to obchodziło. Mało prawdopodobne, żeby mógł coś z tym zrobić z za wysokich, kamiennych murów swojego więzienia, więc nie warto było się na tym skupiać. Wierzył w Cala Holmwooda oraz w mężczyzn i kobiety z Czarnego Filtru. Był pewien, że potrafią rozprawić się ze wszystkim, co Drakula dla nich przygotowuje. Żałował tylko jednego - że nie będzie mógł zobaczyć, jak jego przyjaciele ścierają uśmiech z twarzy

Valeriego i Drakuli.

Ponownie zakaszłał, ciężko unosząc pierś, i wypluł mniejszy skrzep krwi. Trząsał się niemal bez przerwy, w jednym uchu mu dzwoniło i wciąż go bolało. Ale zmusił się do uśmiechu, obnażając umazane na czerwono zęby

„Jeden z moich przyjaciół dźgnie cię w pierś i wyrwie ci serce, ty stary łajdaku - myślał. - A ja, gdziekolwiek będę, roześmieję się do rozpuku. Możesz na to liczyć”.

*

Kilkaset kilometrów na północ Julian Carpenter usiadł prosto w swojej celi, kiedy zamki u drzwi otworzyły się serią zgrzytów i uderzeń.

Leżał na łóżku i starał się trochę przespać, chociaż mu się to nie udawało. Lot powrotny z Nevady był krótki, ale wyjątkowo niekomfortowy. Ból w nadgarstkach dał mu się we znaki, tak samo jak poczucie klaustrofobii wywołane przez kaptur, który musiał włożyć. Ale najgorsze było odczuwane przez niego upokorzenie, kiedy zabrano go do Wielkiej Brytanii niczym pospolitego kryminalistę. Został załadowany do samolotu po ciemku, ostrzeżony, że nie wolno mu się do nikogo odzywać, zamknięty w dźwiękoszczelnej celi, której nawet nie widział, a potem prowadzony przez Pętlę pod eskortą agentów trzymających go za ramiona. Był na skraju rozpacz, aż usłyszał głos Cala Holmwooda witający go z powrotem. Ten znajomy, przyjacielski ton pozwolił mu się opanować, kiedy prowadzono go na dół do celi, w której teraz siedział.

Zdjęto mu kajdanki i gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zsunął z głowy kaptur. Cella była trochę większa od tej, w której spędził ostatnie trzy miesiące w Krainie Marzeń, ale równie oszczędnie urządzona: łóżko, toaleta, umywalka, krzesło. Był wykończony, ale sen nie nadchodził z jednego tylko powodu, niedającego mu spokoju. Gdzieś, być może nie więcej niż kilkaset metrów od miejsca, gdzie leżał, znajdowali

się jego żona i syn.

Drzwi celi się otworzyły i do środka wszedł Cal Holmwood. Skinął głową, a Julian słabo się do niego uśmiechnął. Tylko na tyle było go stać w tej sytuacji.

- Julianie - przywitał go tymczasowy dyrektor Czarnego Filtru. - Jak się miewasz?

- I co mam ci powiedzieć, Cal? - odparł.

Holmwood wzruszył ramionami i usiadł na plastikowym krześle. Julian przesunął się na łóżku i oparł plecami o ścianę.

- Przykro mi z powodu tego - przyznał Holmwood. - Niechętnie widzę cię w takiej sytuacji. To nie w porządku.

- Jest na to proste rozwiązanie - odparł. - Skoro tak ci przykro.

- Nie - zaprzeczył Holmwood. - Nie ma.

Julian czuł, jak wnętrzności zamieniają mu się w wodę.

- Co się dzieje? - spytał. - Powiedz mi.

- Julianie, nikt nie może wiedzieć, że nie jesteś martwy - odrzekł Holmwood. - To przysporzyłoby nam zbyt wielu problemów. Przynajmniej na razie.

- Nikt? - wyszeptał Julian. - Nawet...

- Łącznie z Marie i Jamiem - rzekł Cal. - Przykro mi. Zginąłeś jako podejrzany o zdradę i nie stać mnie na to, żeby to wszystko odgrzebywać. Nie teraz. Thomas Morris przyznał się, że cię wrobił, ale upozorowanie własnej śmierci wygląda podejrzanie. Z pewnością to rozumiesz. Będzie trzeba przeprowadzić dochodzenie, spisać zeznania i przeprowadzić przesłuchania. Nie mogę teraz poświęcić na to czasu i ludzi. Nie przy tym wszystkim, co się wokół dzieje.

Julian czuł się otumaniony. Bob Allen ostrzegł go przed taką możliwością, starał się go na to przygotować, ale usłyszenie tych słów z ust Cala i tak było niczym cios w brzuch.

- Mówisz, że nie wolno mi zobaczyć się z rodziną - powiedział powoli. - Dobrze cię zrozumiałem? Chcę mieć

pewność.

- Tak - odparł Holmwood. - Jak już mówiłem, przykro mi.

- Przykro ci? To jakiś żart?

-To...

- Nie zrobiłem nic złego - przerwał mu Julian. - Ani wtedy, ani od tamtej pory. Upozorowałem śmierć, ponieważ widziałem, jak dobrze ktoś mnie zrobił, i nie chciałem, żeby Marie i Jamie płacili za coś, co ponoć zrobiłem Departamentowi. W ciągu tych lat nie powiedziałem nikomu, kim jestem. Nie powiedziałem nikomu o nas ani o wampirach, ani o niczym innym, co jest tajne. Ujawniłem się tylko dlatego, że sądziłem, że mój syn jest w niebezpieczeństwie, i od tamtej pory siedzę w więziennej celi. Wyjaśnij mi więc, jak twoje „przykro mi” ma dla mnie cokolwiek znaczyć.

Holmwood milczał.

- Jesteś moją rodziną, Cal. - Głos Juliana zdawał się niebezpiecznie bliski załamania. - Moja żona. Mój syn. Proszę, nie rób mi tego.

Holmwood patrzył na niego. Miał przekrwione oczy, a worki pod nimi były ciemne i ciężkie.

- Już się stało - powiedział cicho. - Przykro mi. Decyzja została podjęta.

Julian poczuł ogarniające go zimno. Miał wrażenie, że podczas gdy jego

przyjaciel mówił, coś w nim umarło, coś bardzo ważnego.

- Więc co teraz? - zapytał. - Mam tu zostać i mieć nadzieję, że zmienisz zdanie?

- To zależy od ciebie - odparł Holmwood, prostując się na krześle. - Możesz tu zostać, w tej celi. Będziesz bezpieczny i będziesz miał opiekę. Zorganizuję ci trochę rzeczy i zapewnię rozrywkę, żeby uczynić twój pobyt trochę znośniejszym. Ale poza mną nikt nie będzie wiedział, kim jesteś, i będziesz miał zakaz rozmowy z kimkolwiek innym.

- Albo? - spytał Julian. - Jest druga możliwość?

- Możesz odejść - odparł Holmwood. - Damy ci nowe nazwisko i nowe życie. Ale nigdy nie będziesz mógł wrócić. Nie będziesz mógł próbować skontaktować się z nikim z Departamentu ani z odpowiednikami w innych rejonach świata. Będziesz pod stałą obserwacją przez resztę życia, a najdrobniejsze złamanie zasad spowoduje, że tutaj wrócisz, czy będziesz tego chciał, czy nie. Ale możesz mieć życie. Przynajmniej tyle jesteśmy ci winni.

- Bez mojej rodziny? - spytał Julian. Holmwood skinął głową.

- Tak. Bez nich.

- Cóż by to było za życie?

- Lepsze od tego, które wiódłbyś zamknięty w tej celi - odparł Holmwood.

- Takie, w którym możesz wyjść na zewnątrz, zobaczyć słońce i wybrać, co chcesz zjeść. Bierz je albo zrezygnuj.

- Bierz albo zrezygnuj? - spytał Julian. Jego umysł zwalniał, jakby ogrom tego, co powiedział Cal, odcinał dopływ energii do jego głównych systemów. Cella wydawała się jeszcze bardziej szara, rozmywała krańce jego pola widzenia, kurczyła się wokół niego i ograniczała perspektywę do ciemnego tunelu.

- Obawiam się że tak - odparł Holmwood. Podniósł się z miejsca, podszedł do drzwi i uderzył w nie trzy razy. - Dam trochę czasu do namysłu. I, jak już mówiłem, bardzo mi...

- Wynoś się stąd, Cal - powiedział Julian, kładąc się na łóżku.

Drzwi się otworzyły. Holmwood patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a potem odwrócił się i wyszedł z celi, trzaskając drzwiami.

Julian wpatrywał się w sufit. Słowa przyjaciela kołatały mu w głowie.


„Bierz albo zrezygnuj”.

„Bierz”.

„Albo zrezygnuj”.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ DNI DO GODZINY ZERO

cdn...

 Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA

Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
Dedykacja	7
Motto	8
ZAWIADOMIENIE	9
PROLOG	10
PIĘĆDZIESIĄT DWA DNI DO GODZINY ZERO	24
NASTĘPNE POKOLENIE	25
LAZARUS W NOWEJ ODSŁONIE	37
BRAK WIADOMOŚCI	42
PUSTYNIA NIE POWINNA BYC MIEJSCEM DLA WAMPIRA	49
CZAS LECZY RANY	61
CYWILIZOWANI LUDZIE	70
PŁYŃ LUB TOŃ	78
ZAGINIONY HARKER	86
SZOK NOWOŚCI	96
ROZMOWA	103
CZAS WRACAĆ DO DOMU	123
GOTOWI DO DZIAŁANIA	139
PORTALE SPOŁECZNOŚCIOWE	154
DZIEWCZYNY KONTRA CHŁOPAKI	164
PIĘĆDZIESIĄT JEDEN DNI DO GODZINY ZERO	176
JEDEN Z NASZYCH	177
TAJNE ZNACZY TAJNE	182
DAWNE PORACHUNKI	195
NAJWAŻNIEJSZY POSIŁEK DNIA	206

WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZESC 1	217
SEN SPRAWIEDLIWEGO	230
WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZĘŚĆ 2	234
NA SZLAKU UMARŁYCH	258
PRAWDA LUB KONSEKWENCJE	261
WOJNA Z NARKOTYKAMI, CZĘŚĆ 3	273
ZZA GROBU	276
ZA BLISKO DOMU	282
ZBYT DŁUGO W UŚPIENIU	289
TAM, GDZIE ZABOLI	295
ZAGŁUSZANIE	302
WSTĘPNE WNIOSKI	306
„DO NOWEJ ZBRODNI PCHAJĄ ZŁOŚCI DAWNE”	320
PIĘĆDZIESIĄT DNI DO GODZINY ZERO	326
ZACIEŚNIAJĄC SIEĆ	327
ZABAWA Z OGNIEM	336
SUMA NASZYCH CZĘŚCI	349
SCHODZĄC POD ZIEMIĘ	357
MIASTO GRZECHU	372
...WISI NA WŁOSKU	390
ŁĄCZĄC KROPKI	407
GŁÓWNY PODEJRZANY	411
WYBRUKOWANE DOBRYMI CHĘCIAMI	422
POMRUKI NIEZADOWOLENIA	426
OJCOWIE .DLA.PRAWDY	435
CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ DNI DO GODZINY ZERO	442
MRO CZNY HORYZONT	443
TRZEJ MUSZKIETEROWIE	451
OSTATNIE WYDANIE	462

NIGDY NIE PADA...	471
CZAS NA NIKOGO NIE CZEKA	474
ZA KOTARĄ	488
ELEMENTY UKŁADANKI	499
DEADLINE	512
...LEJE	526
BEZ NAMYSŁU	542
WYRUSZAJĄC ODRZUTOWCEM	550
WINNI	556
WSTRZYMAĆ PIERWSZĄ STRONĘ	576
DBAMY O SWOICH	586
PROSTO Z DRUKU	598
TEN STATEK JUŻ ODPŁYNAŁ	617
CO MOGŁO PRZEPAŚĆ	621
POWROT DO DOMU	627
DWA DNI PÓŹNIEJ	640
SEKCJA ZWŁOK	641
EPILOG PIERWSZY:	653
EPILOG DRUGI:	661
CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ DNI DO GODZINY ZERO	668